BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

CZYTELNIA
LUDOWA
W CIESZYNIE.

353183
II



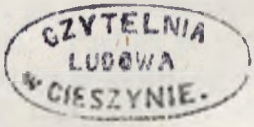
BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1871.

Tom czwarty.



WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

—

1871.

Дозволено Цензурою.

Варшава 24 Сентября 1871 года

W drukarni Józefa Bergera przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 619.

CZŁOWIEK BEZ JUTRA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharyasiewicza.

(Dokończenie).

XII.

Anna.

Dziwną sytuacyę stworzył sobie teraz Stefan. Umówiony z Anną plan przyprowadził bez wielkich trudności do skutku. Pewnego poranku przyszła do Pauliny poważna matrona i powiedziała jéj, że bierze Annę w obowiązek i na miejsce córki do siebie. Paulina przystała na to chętnie, bo od niejakiego czasu spostrzegła jakąś niechęć Anny ku sobie i obawiała się ztąd jakichś zajść nieprzyjemnych; Anna więc pożegnała jéj dom i z poważną matroną, która odtąd była jéj towarzyszką, zajęła w posiadanie ów handelek pachnideł, który Stefan wyposażył jak najwytworniejszém urządzeniem.

Jakie były przytém zamysły Stefana, trudno wiedzieć. Zdaje się, że w pierwszéj chwili chciał on tylko naśladować owych bogatych gildzistów, z których każdy chełpił się posiadaniem jakiegoś kwiatka, który zazwyczaj pielęgnował w złotym wazoniku, mniemając, że to czarodziejski kwiat

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

miłości. Innych wyobrażeń o miłości nie było u nich. Była to po prostu rubryka wydatku, a im większym był wydatek, tém większe było wyróżnienie się od innych, o co im właściwie chodziło!

— Mnie moja miłość kosztuje dziesięc tysięcy złr. rocznie! — mówił jeden do drugiego.

— Ja mojéj nie mogę opędzić i dwudziestoma! — odpowiedział drugi z dumą arystokratyczną.

— Minkeles wydaje dla swojéj Helenki pięćdziesiąt tysięcy! — zauważył trzeci.

— Szczęśliwy Minkeles! — powtórzyli wszyscy chórem — pięćdziesiąt tysięcy!....

Śród takich ludzi nie mógł Stefan w tyle pozostać. Należało to do pewnéj dystynkcyi, okazywało zasoby materyalne a w sprawach finansowych było niejako hipoteką. Rozumowano w ten sposób: jeżeli pan Minkeles na utrzymanie pięknéj Heleny może wydawać pięćdziesiąt tysięcy złr., to musi miéć w zapasie jakieś miliony, bo inaczéj tegoby nie czynił!

I wydatek taki między ludźmi nieposiadającymi żadnych hipotecznych dowodów swego majątku, był rzeczywistym probierzem, którym mierzono jego mienie. Weszło to tak w zwyczaj, że człowiek nie wykazujący w rozchodzie swoim takiego wydatku, był po prostu uważany za biédnego. Ztąd téż poszło, że spekulanci pieniężni, którzy oszustwem się trudnili, naumyślnie i to z ostentacyą ponosili takie wydatki, sprawiali takim Helenkom precyozy i ekwipaże, aby tym sposobem świadczyły o ich milionach, których nigdy nie mieli. Kończyła się taka operacya zazwyczaj tém, że spekulant nadużywszy zarobionego tym sposobem kredytu, ogłosił sztuczne bankructwo, a piękne Helenki z salonów pierwszo piętrowych wracały na swoje poddasza!

Zdaje się, że i Stefan prawdopodobnie chciał tym zwyczajem świata finansowego, zadość uczynić i stworzyć sobie pewną hipotekę, jeśli nie majątku, to przynajmniéj dochodów swoich.

Bracia „Schmilles" nawet wyraźnie kilka razy o to go nagabywali, bo to potrzebne było do ich interesu; sekretarz bowiem generalny spółki, powinien okazać całemu światu

finansowemu że ma majątek i że na świecie żyje odpowiednio temu majątkowi i stanowisku.

Jeżeli takie były zamiary Stefana, to zamiary te nie tylko mu się nie udały, ale mogły nawet nabawić go nie małego kłopotu, mogły mu stworzyć sytuacyę nie nader wygodną.

Anna miała lat ośmnaście, wychowana była w domu starego bakałarza, który już z obowiązku swego przemawiał zawsze do niéj jak książka arcy-moralna. Okazywał jéj piękne, wzniosłe, częstokroć zbyt idealne strony życia i nauczył ją wierzyć w cnotę i w dobre przymioty serca ludzkiego. Umysł jéj zabawiał najlepszémi książkami, które za wzory dla młodego wieku służyły.

Tym sposobem Anna wierzyła w świat dobry i poczciwy, wierzyła w szlachetne przymioty serca i duszy.

W książkach czytała nieraz, że człowiek bogaty zakochać się może w biednéj dziewczynie, że miłość żadnym światowym nie ulega względom, że jest ona jak promień słońca, który szkła twarde przebija i nic z swego ciepła ani blasku nie traci!.....

Prócz tego zwierciadło i ludzie powiedzieli jéj, że jest bardzo piękną! Kiedy się tylko na ulicy pokazała, wszyscy przechodnie stawali przed nią, jakby byli jéj widokiem oczarowani!...

Piękność kobiéty to jest jéj najwyższym skarbem, a która kobiéta skarb ten posiada, niéma już granic dla jéj marzeń! Wszystko jest u niéj wtedy możliwe! Miłość mężczyzn to haracz, który się jéj należy, a ona może tylko wybierać, który z nich najlepiéj się jéj podoba! Nié ma już u niéj ani bogatych ani dumnych na tytuły swoje, bo wszystko wtedy podlegać może jéj urokowi!

Jakkolwiek Anna była bardzo piękną nie miała jednak tak wygórowanych podobnych uroszczeń. Serce jéj mogłoby z równą namiętnością pokochać jakiego biédnego młodzieńca, któryby odważył się wspólnie z nią zarabiać pracą na chléb codzienny. Przypadek jednak chciał, że zamiast ubogiego młodzieńca, stanął przed nią człowiek bogaty i z tytułem. Zrazu taiła Anna swoje uczucia i kryła je w najskrytszym zakątku marzeń swoich; gdy jednak ten człowiek postępowaniem swojém dał jéj poznać, że i ona dla niego nie jest

obojętną, wtedy wybuchło jéj starannie ukrywane uczucie z całą siłą, na jaką tylko stać było ośmnasto-letnie serce!

Wtedy ani na myśl jéj nie przyszło, że między nią a Stefanem mogłyby znaleźć się jakie przeszkody. Jego stanowisko nie było żadnym skopułem, bo on ją kochał, ona jego nawzajem! Dla szlachetnéj dziewczyny było to już wszystkiém, co do szczęścia dwojga ludzi potrzebném było! On był bogaty, ona była.... piękną, piękną niezwyczajnie... czyż to nie dosyć? Czyż tysiące mężczyzn nie ożeniło się tylko dlatego, że wybrana ich była piękną?...

A że była piękną, tego największe teraz miała dowody.

Cała bogata młodzież, a nawet i wysłużeni kawalerowie, dowiedziawszy się o ładnéj parfimerce na „Wiener-vorstadt" schodzili się do niéj tłumnie i całemi tuzinami brali pachnidła, mydełka i inne toaletowe przybory. A każdy z nich powiedział jéj jakiś komplement; każdy widocznie przyszedł po to, aby tylko ją widzieć, aby wykraść jéj ten uśmiech melancholijny, który tyle miał w sobie rozkoszy!...

Wszystko to widziała Anna i utwierdziła się w tém przekonaniu, że i Stefan uległ urokowi jéj pięknych oczu, a prócz tego uległ jéj uczuciu, jakie od samego początku miała dla niego.

Była więc pewną swojéj złotéj przyszłości i dwa razy dziennie modliła się na klęczkach za swoje szczęście do Boga i czekała cierpliwie tego szczęścia, bo czekanie to było najwyższą rozkoszą.

Jeżeli więc Stefan miał jakie inne względem niéj zamiary; jeżeli po prostu chciał ją mieć jako okaz dla znajomych, aby im dowieść, że dochody jego na taki nawet wydatek wystarczają: to taka Anna była dla niego bardzo niewygodnym przedmiotem. Uroszczenia jéj mogły mu zatruć nie jedną chwilę życia, mogły mu zgotować pewną fałszywą sytuacyę, która nabawiłaby go różnych kłopotów.

Dotąd jeszcze nie nadeszły te kłopoty: Anna była szczęśliwą w marzeniach swoich!

Czy Stefan był szczęśliwy i zadowolony? trudno powiedzieć. Sytuacya jego była dziwną.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie miał on zamiaru połączyć się z Anną ślubem małżeńskim. Chciał zapewne dla nudnych chwil życia stworzyć sobie pewną oazę,

gdzieby po szampanie i pasztetach sztrasburgskich mógł odgrywać rodzaj sielanki; być może że chodziło mu także o opinią swego koła, która mu żyć w ten sposób nakazywała.

Anna jednak popsuła mu zaraz z początku wszystkie szyki. Z wielką zręcznością, na które więcéj złożyły się szlachetne przymioty serca aniżeli sztuka, zmusiła go do zajęcia innéj pozycyi.

Chciała ona dowiedzieć się od Stefana, co za powody kierują nim, że podjął się opieki nad nią!

Stefan zrazu wymykał się jak mógł: mówił o przyjaźni, o obowiązkach jakie się zazwyczaj ma za granicą dla swoich, którzy pomocy potrzebują: mówił wreszcie o kaprysach czynienia dobrze, które także czasem znudzonych życiem ludzi napadają.

Anna na wszystkie te powody odpowiadała poruszeniem pięknéj główki, albo, co było gorsza, łzami. Czuła się nader nieszczęśliwą i powiedziała mu, że rzeczy tak na dłużéj pozostać nie mogą.

Były dla niéj, jak twierdziła, tylko dwie drogi. Mogła zupełnie z jego łaski zrezygnować i do swego opiekuna powrócić; albo pozostać właścicielką tego handlu, który jego dobremu sercu zawdzięcza. W takim jednak razie wypadałoby może, aby przyjaźń jego na tém wyświadczoném jéj dobrodziejstwie poprzestała i nie objawiała się tak częstémi wizytami, które fałszywą opinię na nią ściągnąć mogą.

Rozczarowania Anny były bardzo słuszne a Stefan musiałby im uledz, gdyby to właśnie nie sprzeciwiało się jego może chwilowym kaprysom. Na wyjazd Anny stanowczo nie chciał się zgodzić; pozostawienie zaś jéj własnym losom, znaczyło utracić ją, bo zbyt liczni byli adoratorowie, z pomiędzy których mogła sobie według woli wybierać.

Stefan nie chciał jéj utracić, a przeto był zmuszony zręcznie prowadzoną z jéj strony rozmową, która z czystego natchnienia wychodziła, wyrzec to stanowcze słowo: kocham!

Więcéj nie pragnęła Anna. Było to dla niéj wszystkiém czego pragnęła. Mając to słowo, zdawało się jéj, że ma już całe szczęście, że wszystko co do tego słowa należy, jest tylko prostą konsekwencyą.

I nastały w jéj życiu najpiękniejsze dni pogody: niebo uśmiechało się, świat był piękny, ludzie dobrzy! W sercu jéj

brzmiały ustawicznie struny najszlachetniejsze, oddychała atmosferą szczęścia!....

Całe życie teraźniejsze, które było tylko wyczekiwaniem ostatecznego szczęścia, urządziła sobie w ten sposób, że żadna chwila nie była straconą. Rano rozporządzała ze swoją sędziwą towarzyszką swojém małém gospodarstwem, potém ubierała się starannie i z książką w ręku siedziała w magazynie, patrząc od czasu do czasu przez szybę kryształową, czy nie ujrzy Stefana. Liczni klienci nie dawali jéj w takim razie wiele czasu na podobne czaty, a za to zapełniała się szufladka w stoliku znacznym zarobkiem, z czego Stefanowi po obiedzie z radością zdawała rachunek, opowiadając mu przytém o różnych komplementach, które ją spotykały.

Codziennym kupującym i to kupującym w znacznych ilościach, był syn pewnego bankiera, którego Stefan znał doskonale. Ten młody krezus zajeżdżał zawsze przed jéj magazyn swoim pysznym ekwipażem z lokajami w liberyach, a Anna komicznie umiała opowiadać o jego staraniach, aby jéj się przypodobać. Stefan śmiał się także, bo widział z opowiadania Anny całą szczerość i otwartość i nie potrzebował bynajmniéj obawiać się zdrady.

Anna bowiem umiała nie tylko dla obcych ale nawet i dla Stefana zakreślić wkoło siebie tak szeroką granicę, umiała otoczyć się taką aureolą szlachetnéj i zacnéj kobiéty, że nie pozwoliła w niczém i nikomu sobie ubliżyć, Stefan nawet był zmuszony trzymać się po za tą granicą i mimo doświadczeń życia nie mógł odważyć się tę granicę kiedykolwiek przekroczyć.

Czasami bawiło go to, jako coś niezwykłego, czego jeszcze nigdy nie widział. Czasami jednak gniewało go, bo w obec innych swoich towarzyszy wydawał się śmiesznym. Taił się nawet z tém przed nimi, że młoda dziewczyna potrafi tak nad nim panować i zmusza go do jakiéjś służby w idealnéj świątyni miłości, istnienia któréj tamci wprost zaprzeczali!

Coś jednak wiązało go do tego stosunku, czego sobie nie mógł wytłumaczyć!

Czy była to potęga szlachetnego serca? Czy był to prosty skutek owéj wielkiéj miłości, jaką dla niego czuła Anna a któréj on nieświadomie ulegał?.,...

Kllka razy, osobliwie po dłuższych orgiach wyprawianych z giełdzistami, chciał się uwolnić od tego dziwnego stosunku, chciał Annę pozostawić własnym jéj losom, aby na jéj miejsce wyszukać sobie inną zabawkę, któraby mniéj mu imponowała swoją idealną szlachetnością!

Do tego jednak przyjść nie mogło: gdy ujrzał te duże, wyraziste oczy Anny, gdy usłyszał wdzięczne jéj szczebiotanie, które o wiele różniło się od szczebiotania sztucznego pijanych bachantek, gdy wreszcie odetchnął kilka razy tą atmosferą, która ją otaczała: upadły wszelkie jego postanowienia, a on był szczęśliwy, jeśli mu pozwolono ucałować tę drobną rączkę i kilka chwil słuchać tego dźwięcznego głosu, który sam dla siebie był już harmonią!

Razu nawet jednego sprawiły na nim jéj słowa większe wrażenie niżeli się spodziewał.

Było to o szaréj godzinie. Stefan przyszedł z wystawnego obiadu spółki, na którym wiele wypito butelek szampana i wiele nagadano się o milionach i kobiétach.

Obiad trwał kilka godzin, Stefan był zmęczony rozmową biesiadników: w kwaśném usposobieniu przyszedł do Anny, aby trochę odpocząć.

Anna siedziała smutna i zamyślona! Podparła rączką głowę, przed nią leżała otwarta książka. Stefanowi podała rękę, a ręka ta była zimną jakby z marmuru.

— Czy jesteś chorą Anno? — zapytał Stefan i przysiadł się do niéj.

— Chorą nie jestem, ale mam dziwne jakieś rozdrażnienie nerwów! — odpowiedziała spokojnie.

— Z czegóż pochodzi to rozdrażnienie?

— Miałam sen bardzo dziwny!... Jestto dziwne uczucie widzieć siebie umarłą!

— Umarłą?

— Tak jest. Śniło mi się żem umarła i że wyszła ze mnie jakaś niewidoma istota, która mogła patrzéć się na umarłe ciało!.... Widziałam tedy, jak leżałam w trumnie ze złożonémi wkrzyż rękoma. W ręku zamiast krzyżyka mia-

łam kwiatek biały, który zaledwie z pączka się rozwinął.... Potém przyszli jacyś ludzie nieznani i włożyli mi wieniec z kwiatów na głowę, mówiąc, że mi się taki wieniec należy. Za tymi ludźmi przyszedł ksiądz, odmówił modlitwę i pokropił mnie wodą święconą... Potém przybili wieko trumny gwoździami... jeden z tych gwoździ wbił mi się w głowę, gdzie były za życia najpiękniejsze moje marzenia!... Potém widziałam, że mnie włożono na wóz duży, czarném suknem okryty... i długi orszak prowadził mnie do grobu..... Oglądałam się za tobą, ciebie nigdzie nie było!

Anna przy tych słowach zwróciła na Stefana wzrok swój szklanny.... Stefan przeląkł się tego wzroku!

Jakiżby powód mógł być tego przestrachu? Czy widmo grobu i śmierci wywołane słowami Anny, po ostrygach, pasztetach i szampanie działało na niego tak nie mile?....

— Co za okropne obrazy stawiasz mi przed oczy?— zawołał Stefan z nie miłym dreszczem—któż z żyjących bawi się takiémi obrazami?... Musisz być chorą.

— Prócz tego snu, nic mi nie jest mój drogi!—odpowiedziała smutno... a zresztą cóż w tym śnie jest okropnego? Wszak wszyscy ludzie umiérają i my pomrzemy: jestto meta do któréj wszyscy dążymy..... nic tam nie straszy ani trwoży... to tylko jedno było dla mnie straszne i okropne że na moim pogrzebie ciebie nie było!....

— Może prędzéj od ciebie umrę!—odparł z uśmiechem Stefan, ale uśmiech jego skostniał śród drogi.

— Nie, to być nigdy nie może!—zawołała żywo Anna i uścisnęła go spazmatycznie za rękę—to być nie może, ja wiem, że ja pierwéj umrę!... Jabym twojéj śmierci nie przeżyła!

— Po cóż mnie drażnisz takiémi obrazami?—gniewnie ozwał się Stefan— ja chciałem u ciebie trochę wypocząć, trochę wytchnąć, trochę uspokoić się....

— Śmierć jest także uspokojeniem się!—wyszepnęła Anna a oczy jéj zaszły łzami!

Stefan był niespokojny cały wieczór i myślał ciągle o tym śnie Anny.

XIII.

Telegram.

Sześć miesięcy trwały już przygotowawcze operacye „spółki exploatacyi". Operacye te były nader kosztowne. Zbierano materyały i daty statystyczne handlu i przemysłu całéj monarchii; na tych bowiem datach miała się opierać przyszła exploatacya.

Spółka ta była prostém oszustwem, niepodlegającém jednak pod paragrafy kodeksu karnego, i byłaby w najbliższéj przyszłości odsłoniła wszystkie ujemne strony swoje, gdyby europejskiego znaczenia wypadek nie był uprzedził jéj śmierci zgniłéj i powolnéj.

Wypadkiem tym europejskiego znaczenia był prosty, krótki telegram z Paryża, składający się z trzech słów: „Napoleon niebezpiecznie chory!"

Rzecz dziwna! Nigdy jeszcze drożéj nie zapłaciła Europa i Ameryka za taki krótki telegram!

Telegram ten kosztował nie miliony ale miliardy!

„Napoleon niebezpiecznie chory" przylepiono po giełdach europejskich, a trzy te słowa były jeszcze straszniejsze od trzech słów napisanych na ścianie śród uczty Sardanapala: *Mane, takel, fares!*...

Miejscem uczt sardanapalskich były tym razem... giełdy!

Mane, takel, fares! napisano na ich murach i słowa te prorocze sprawdziły się w sposób okropny!... Zliczono, zważono i podzielono!...

Zliczono straty, zważono kredyt i podzielono się pozostałém mieniem!

Setki bankierskich domow runęły, a z niemi poszło mienie milionów ubogich!

I dlaczegóż to wszystko się stało?... Dlatego, że „Napoleon niebezpiecznie chory"!...

Zaiste, po dzisiejszych przejściach, trudno sobie wyobrazić, co za dziwny urok był w tym krótkim telegramie, który całą ziemię od morza do morza tak przestraszył!...

Czy obawiano się po śmierci Napoleona nowéj wędrówki narodów? Czy miały nastąpić trzęsienia ziemi i zaćmie-

nia słońca, a wulkany wyrzucić na całe miasta i grody potoki lawy czerwonéj?... Czy ziemia zmienić miała oś swoją i zamiast na biegunach północno-południowych obracać się na ekwatorze? Zkądże strach taki paniczny ogarnął całą Europę?...

Trudno dzisiaj odgadnąć, co sobie z téj niebezpiecznéj choroby prorokowano! Dosyć, że giełdy wszystkie skamieniały ze strachu, że Napoleon niebezpiecznie zachorował!

I w całéj Europie powtórzyły się teraz sceny, jakie za czasów operacyj Lawa w Paryżu widywano. Były to sceny straszne, okropne, gorsze od głodu, moru i wody!

Na giełdę pospieszały massy, jak ongi śpieszyły do szturmu na Bastylię!...

Krzyk, rozpacz, łzy, płacz i samobójstwa były drobne akcessorya tego olbrzymiego obrazu!

W ostatnich bowiem czasach rzuciły się wszystkie kapitały, a mianowicie uboższych na giełdę.

Rozruszanéj publiczności różnemi odezwami spółek i wexlarzy, którzy w każdym dzienniku łokciowe drukowali inseraty, opisujące z lubieżnością rozkosze gry giełdowéj, powiedziano krótko i węzłowato, że praca teraz nie popłaca, że kapitał włożony w pracę daje zaledwie lichy procent, a na grze giełdowéj może on wkrótkim czasie wzrość do milionów!...

I biedna, wiecznie spragniona część ludzkości, oddała do gry giełdowéj cały swój mająteczek pracą długoletnią uzbierany i teraz... utraciła wszystko!

Wszystkie papiery spadły prawie do połowy wartości, i że zazwyczaj grano na dyferencyę niepokrytą, więc potrącano wszystko!

Każda minuta przynosiła wiadomość bankructwa tego lub owego domu, a ludzie zachrypli podając sobie te wiadomości daléj!..

Jedni wpadali w szał waryatów, inni stawali się istotnymi waryatami!..

Stefan pobiegł na giełdę.

Tłumy niezliczone otaczały giełdę; cała ulica była zapchana: lichwiarze, wekslarze, ludzie pracy, wdowy i sieroty, wszystko to pomieszało się w jedną wielką, ruchliwą massę!

Stefan nie mógł się przebić przez te tłumy. Widział płacz, słyszał narzekania, a tam tylko niema, skamieniała rozpacz patrzała na niego! Przedzierał się przez jednych i drugich...

Wreszcie po kilkogodzinnéj pracy udało mu się dotrzéć do przedsionku.

W przedsionku ujrzał obu braci „Schmilles“. Jeden z nich łykał ustawicznie a nie mógł przełknąć, a drugi z wiszącym policzkiem ruszał ustami, ale nic wyrzec nie zdołał.

Z otoczenia ich dowiedział się Stefan, że obaj są... bankrutami!

Na nich opierała się spółka exploatacyi. Stefan wiedział, że oni część większą kapitałów które wpłynęły do spółki, rzucili na giełdę a teraz wszystko stracili!...

Stefan także skamieniał: była to i jego ruina!...

Fala giełdowych spekulantów porwała go z sobą. Niemiał on żadnéj woli, żadnych sił. Był piłką w prądach téj fali, która go wlokła z sobą po kurytarzach i salach, rzucała nim z kąta w kąt i w końcu wypchnęła go na ulicę.

Trwało to kilka godzin... Na ulicy dowiedział się, że Jonas Schmilles w przystępie rozpaczy poderżnął sobie ten sam węzeł krtani, który mu się wiecznie ruszał, a potworny Jonathan daleko legalniéj, bo przez apopleksyę przeniósł się na drugi świat, gdzie nie ma ani giełdy, ani spółek, ani austryackiego kodeksu karnego!..

Stefan oprzytomniał na tę wieść; chodziło mu bowiem po téj wieści o jego własną osobę.

Naśladując głównych dyrektorów wziął Stefan z kassy spółki dziesięć tysięcy złotych reńskich dla własnego użytku, mając nadzieję późniejszym dochodem to pokryć.

Tymczasem telegram paryzki wszystkie szyki pomieszał, chociażby z czasem i bez telegramu stałaby się taka katastrofa ze spółką eksploatacyi.

Sąd lada chwila mógł całą kancelaryę opieczętować; Stefan był zgubiony a w najlepszym razie był znowu *bez jutra.*

Wprawdzie co do tego jutra, powziął on w ostatnich czasach zupełnie inne wyobrażenie!

Z początku myślał, że tylko ten człowiek jest *bez jutra*, kiedy na jutro nie ma kawałka chleba. Gdy na ławce w par-

ku zasypiał, zdawało mu się, że jest bez jutra; gdy w liberyi krewnego cesarzów paradował, zdawało mu się, że jest także bez jutra, bo liberyą nie uważał za swoje jutro!... W ostatnich jednak czasach, gdy w świat finansowy głębiéj wglądnął, przekonał się, że ludzie, którzy angielskiemi karetami jeżdżą, którzy niby miliony posiadają i wielkiemi bankierskiemi domami się mianują, są czasem a nawet i często także *bez jutra!*

Bogactwo ich... to kredyt! Bogactwo ich... to gra ustawiczna cyframi, które w jedném miejscu mnożą się, a w drugiém upadają!... Bogactwo ich jest najczęściéj fikcyą liczbową, a ktoby w danéj chwili kazał każdą liczbę przykryć gotówką, okazałoby się... bankructwo!

Wszystkie te jednak filozoficzne komparacye na nic się nie zdadzą w téj chwili Stefanowi!

Był zrujnowany, był więcéj niżeli bez jutra!

W tém dziwném odrętwieniu, na granicy rozpaczy i idyotyzmu przyszła mu na myśl Paulina.

U Pauliny nie był już kilka tygodni. Chciał w téj chwili pójść do niéj i z nią o téj strasznéj katastrofie coś pomówić. Nie spodziewał się ratunku od niéj, ale spodziewał się przynajmniéj jakiegoś pocieszającego słowa, a co więcéj wpływu jakiego, gdyby tego ostateczna była potrzeba!...

Wsiadł w zamkniętą karetkę, spuścił zasłony na okna i kazał się zawieźć na „Kärnthner strasse".

Już z daleka uderzyło go, że okna w mieszkaniu Pauliny były pootwierane. Pora, jakkolwiek wiosenna, była dosyć chłodna. W oknach nie było żadnego światła, chociaż już był zmrok.

Niedobre przeczucie ogarnęło go: wyszedł z karetki i szybko pobiegł na schody.

Drzwi przedpokoju były otwarte... Wszedł do salonu... zastał tam obcych ludzi, którzy zabierali meble... Wszystko było w nieporządku...

— Czy baronowa wyprowadza się?—zapytał nieznajomego robotnika.

— Baronowa?... Baronowa już tu od tygodnia nie mieszka!—odpowiedział robotnik.

— Wszak wszystkie rzeczy są baronowéj!

— Baronowa miała tutaj tylko dwa kufry i z temi wsiadła do dorożki i wyjechała gdzieś na przedmieście—od-

parł robotnik i obrócił się od Stefana, aby komodę słomą obłożyć.

Stefan i tu widział jakąś katastrofę, któréj jeszcze odgadnąć nie mógł. Mogła wprawdzie ta katastrofa być w związku z katastrofą giełdową, ale do tego było mało prawdopodobieństwa!

Powoli, machinalnie raczéj zeszedł ze wschodów. Teraz już sam nie wiedział gdzie się udać. Dawniejszych znajomych lękał się, a zwierzyć się ze swojém nieszczęściem nie miał komu!... O Annie nie myślał w téj chwili! Dlaczego? Sam nie wiedział!

Zresztą Anna nie była w téj chwili dla niego. Był to kwiatek cudnéj woni, ale zimowy oddech katastrofy mógł go zwarzyć? Czémże bowiem jest woń fijołka śród całéj zatrutéj atmosfery?...

Korzystając ze zmroku, bezludnemi zaułkami puścił się do domu.

XIV.

Krezus.

Całą noc przepędził Stefan w strasznych snach gorączkowych: każdy szelest straszył go, każdy turkot powozu budził go; sam nie wiedział czy śpi, czy czuwa.

Nazajutrz rano wymknął się z domu, aby gdzieś Paulinę odszukać. Zdawało mu się, że jego los w sposób dziwaczny łączy się z losem téj osoby, z którą wzrosł razem i która w pierwszych latach służyła mu niejako za ideał życia!

Wszedł jeszcze raz do dawnego jéj mieszkania. Wypytywał się wszystkich, aby choć jakiś ślad wynaleźć, ale wszystko było daremnie. Tyle tylko wiedziano, że pewnego dnia, jak zwykle, przyszedł stary baron z wizytą i widocznie był zmartwiony, że jéj już nie zastał. Znalazł na stole list jéj ręką pisany, przeczytał go i mocno się zasmucił. Potém wypowiedział gospodarzowi mieszkanie, a wypożyczone z magazynu meble kazał napowrót oddać.

Tyle tylko dowiedział się Stefan. Wnosił z tego, że Paulina dobrowolnie mieszkanie zmieniła, i z przyszłym swoim mężem na zawsze się rozstała.

Jaka jednak była tego przyczyna? Co mogło ją skłonić do opuszczenia tak wykwintnego mieszkania? Czy może to mieszkanie zmieniła na lepsze jeszcze? Może wyprowadziła się na większe jeszcze dostatki?...

Wszystko to były pytania, na które Stefan nie mógł sobie dostatecznie odpowiedzieć. I właśnie dlatego tém większą była jego ciekawość, co się z Pauliną stało, tém wyraźniejsze miał przeczucie, że losy jego dalsze staną się może znowu od jéj losów zawisłe!...

Chodził dzień cały i drugi, ale chodził daremnie: nigdzie nie było ani śladu Pauliny!

I teraz jeszcze nie myślał o Annie. Stosownie do jego wyobrażeń zdawało mu się, że tylko powodzenie jego mogło serce Anny zniewolić ku niemu. Czémże on dzisiaj mógł być dla niéj? Rady przynajmniéj od niéj żadnéj nie oczekiwał, a przynajmniéj rady takiéj, jakiéjby mu udzielić mogła Paulina!..

Po dwóch dniach daremnych poszukiwań, wrócił znowu chyłkiem do domu.

Ledwo jednak usiadł aby wypocząć, usłyszał turkot pod oknem: jakiś ekwipaż zatrzymał się.

Podsunął zwolna firankę i ujrzał ekwipaż pana X*** syna bogatego bankiera.

Wkrótce usłyszał dzwonek w przedpokoju: ostrożnie sam drzwi otworzył.

— Od dwóch dni szukam pana – rzekł do niego młody krezus — a nigdy zastać nie mogę!

— Miałem interesa!... Pan wiész o naszém nieszczęściu! — odpowiedział smutno Stefan.

— Właśnie w tych interesach przychodzę do pana!

Stefan przestraszył się; zimne mrowie przebiegło mu po ciele: ojciec gościa był grubo w spółce.

— Na świecie zazwyczaj tak to bywa—mówił daléj młody krezus, zapalając sobie z flegmą cygaro — że nieszczęście jednego gotuje szczęście drugiemu! Katastrofa onegdajsza szarpnęła trochę i ojca, ale nie tak bardzo. Gdy ojciec się tém kłopotał, rzekłem do niego: na co ojcze martwić się! Pieniądz nigdy nie ginie! Ile straci A., tyle zarobi B.! Jestto notacya a nic więcéj! Jeżeli ja naprzykład pięćdziesiąt tysięcy stracę, to przecież papierów w błoto nie rzucę! We-

źmie je kupiec, restaurator, potrzebniejszy przyjaciel wygra w karty, albo do swego pugilaresiku zamknie błękitnooka bajaderka! A co nie prawda? Nie uczyłem się ekonomii społecznéj, ale traktuję ją w jak najrozleglejszych zasadach! Co, nie prawda? Czy nie mam słuszności?...

— Hm, hm, mruczał Stefan prawie bez myśli, patrząc zamyślony przed siebie.

— Z moim ojcem mam z tego powodu bardzo częste dysputy—prawił daléj krezus—bo on jest innego zdania! On trzyma się jeszcze systemu prohibicyjnego! ha! ha! ha!... bardzo dobrze, prohibicyjnego systemu! On zakazuje mi to i owo czynić, i powiada że to marnotrawstwo! *Fi donc!* któż obrót kapitałów kiedy marnotrawstwem nazywał?... Jeszcze raz powiadam, że kapitał nie ginie nigdy w ostatecznéj cyfrze, zmieniają się tylko pozycye. Dawniéj zero tam stało, dzisiaj przechodzi na inne miejsce; w summie to wszystko jedno!... ha! ha! ha!... Czyż nie prawda?

— Zasady pańskiéj ekonomii są wyborne!—zauważył Stefan.

— A co? Nie powiedziałem dobrze?... Jestem zwolennikiem wolnego handlu... rozumiesz mnie pan? Ale potém o tém!.. Mówiłem że kapitał w ostatniéj summie nigdy nie ginie. To jest prawda niezbita. Onegdaj naprzykład wiele ubogich mizeraków potraciło swoje setki i tysiączki. I gdzież się to podziało? Znam jednego porządnego wekslarza, który przez dwa dni ostatnie na téj *baśni* zarobił okrągły pół milionik... Czyż to nie jest zupełnie naturalnie, aby małe strumyki wpływały do większéj rzeki, a ta znowu do morza? Cóż te małe strumyki za korzyść przynoszą? A rzeki wielkie i morze dźwigają parowe okręty i służą społeczeństwu! .. Czemże były dotąd te drobne kapitaliki w rękach tych mizeraków? Martwą rzeczą! A teraz zgromadzone w półmilionik mogą być posługą czy to dla handlu i przemysłu, czy też dla podobnego marnotrawcy, jakim mnie mój ojciec nazywa, a z czém ja wcale się nie zgadzam! ha! ha! ha! Nieprawdaż?...

— Zazdroszczę panu tego dobrego humoru! Żałuję, że się podobnym odwzajemnić nie mogę!...

— Ha! ha! ha! Prawda! Cóż robić! Humor jest także kapitałem! Jeden go zarabia a drugi traci! Jeden

się śmieje, drugi płacze!.. ha! ha! ha!.. Ale zapomniałem o właściwym interesie!

— Słucham pana!

— Mówiłem panu, że ojciec mój jest za systemem prohibicyjnym, a ja wyznawcą wolnego handlu! ha! ha! ha! wolnego handlu!... Więc chcę panu uczynić z wolnéj woli propozycyą, a pan również możesz ją albo zaakceptować albo nie... coby jednak panu na dobre nie wyszło!

— Nie mogę pana zrozumieć, chciéj się pan jaśniéj wytłumaczyć!

— Zaraz panie, tylko wprzódy chciałem zapoznać pana z moimi zasadami wolnego handlu! ha! ha! ha! A teraz przystępuję do rzeczy. Pan wiész zapewne, że spółka eksploatacyi razem z Schmilesami machnęła koziołka!...

Stefan ruszył głową na znak, że wié o tém.

— Otóż remanenta téj spółki bierze sąd pod swoją opiekę, a tam, jeśli się nie mylę, jest mały deficycik mniéj więcéj dziesięć tysięcy, tytułem zaliczki, którą pan sobie wziąłeś własnoręcznie...

— Czy pan jesteś delegatem sądu?

— Uspokój się pan! Jestem przyjacielem pana i wymyśliłem sposób wyratowania go z tak niemiłéj sprawy! Przyznasz pan, że nie miło jest odpowiadać sędziom w obec publiki!... ha! ha! ha!

Stefan zgrzytnął zębami, zacisnął usta i słuchał daléj.

— Interes mój — mówił daléj krezus — jest tego rodzaju: że według zasad ekonomii społecznéj jest interesem obopólnym! ha! ha! ha!... Pan masz na „Wienervorstadt" pewny klejnocik...

— Czy pan ciągle jesteś w humorze żartobliwym — zawołał niecierpliwie Stefan.

— Wierzę, że panu z razu ta rzecz nie będzie przyjemną, ale chwilkę cierpliwości.

Stefan powstał z krzesła jak człowiek, który dla podobnéj rozmowy bynajmniéj nie ma cierpliwości.

— Radzę panu obrać inny przedmiot do rozmowy, inaczéj byłbym zmuszony zostawić pana samego!

— Nie gniewam się! Ha! ha! ha. Ja wiem, że to nieprzyjemnie. Ale w końcu przecież pan mnie usłuchasz! Widzisz pan, rzeczy tak stoją, że złoty ptaszek panu ucieknie,

gdy się dowié, że pan przed sąd jesteś powołany. A tak ja wezmę go sobie w sposób spokojny i za wyłożone dla niego koszta panu zapłacę!

Ostatnie słowo dziwnie zabrzmiało w uszach Stefana. Gdyby młody krezus przynajmniéj innego słowa użył! Jeżeli nie rzecz sama, to forma jéj cyniczna, sprawiała Stefanowi zawsze pewną alternacyę. Gniewał się, że niektórzy ludzie tak zaraz nazywają rzecz po nazwisku!

Podniósł się znowu szybko z krzesła, jakby młodego krezusa chciał obić za taką propozycyę.

Młody krezus jednak jak najspokojniéj w téj chwili oglądał paznogcie swoje, jakby ruchów Stefana wcale nie widział: ten spokój przeciwnika uspokoił także Stefana.

— Cóż pan się tak długo namyślasz?— ozwał się krezus--szkoda drogiego czasu! A dla pana rzeczywiście jest ten czas bardzo drogi! kto wié czy pachołkowie sądu nie są już w drodze....

Dziwny spokój krezusa wpływał także i na Stefana, usiadł na krześle i zamyślił się.

— Mogę panu powiedzieć —mówił daléj z flegmą krezus — że Anna ma prócz mnie wielu jeszcze innych adoratorów, którzy z położenia pańskiego teraz korzystać zechcą z tą różnicą, że zechcą skorzystać mniéj szlachetnie odemnie. Kobiéty lubią złoty deszczyk, a sam Jowisz nie mógł sobie inaczéj poradzić. Gdy Anna dowié się, że od pana tego złotego deszczyku już się spodziéwać nie może, przystanie do tego, który jéj to obieca; a tak stracisz pan i Annę i mój projekt!

Stefan siedział nieruchomy: oczy jego patrzały w jeden punkt na ziemi.

— Zresztą — mówił daléj krezus — gdybyś nawet pan liczył na stalsze przywiązanie Anny, to z niego w żaden sposób skorzystać nie możesz. Dzis, jutro, potrzeba będzie wziąć nogi za pas i czmychnąć za góry, bo sprawa z sądem zawsze jest nieprzyjemną! I cóż się wtedy stanie z Anną? Nie mając żadnych funduszów, nie weźmiesz jéj pan z sobą! Ptaszka złapie piérwszy lepszy ptasznik, a pan na tém nic a nic nie zyskasz!... Czyż moja propozycya nie jest przyjacielską?...

Gdy piérwsze oburzenie téj propozycyi przeminęło, zaczął Stefan spokojnie o téj rzeczy myśléć. Położenie jego było tak smutne, że w obec tego położenia opuściły go wszelkie szlachetniejsze namiętności i uczucia. Zdawało mu się, że serce nagle zastygło mu w piersi, że krew także w żyłach zamarzać zaczyna. Przed nim otwierało się ciemne, puste, okropne *jutro!*

Czémże w obec tego jutra mogła być Anna dla niego?

Gdy w téj chwili pod wrażeniem tego smutnego jutra, rachunek z sobą zrobił, zdawało mu się że Anna była więcéj kaprysem dla niego, niżeli rzeczywistą potrzebą. Przy dostatkach, przy śmiałych marzeniach o milionach, była ona dla niego jedną kapryśną (jak mniemał) chwilą z miliona innych chwil życia, była jednym odmiennym dźwiękiem w chórze całéj stolicy, była jednym zabłąkanym promykiem księżyca śród pysznych świateł gazowych.... Czémże dzisiaj mogła być, kiedy straszna myśl o własnéj egzystencyi i bezpieczeństwie stanęła przed nim nieubłagana, zimna, lodowata!

Gdyby spokojném załatwieniem deficytu mógł w stolicy pozostać, znalazłby może jakie drogi, podobne do tych, które go do takich dostatków zaprowadziły na czas niejaki!... Tak jednak musi uchodzić i kryć się, a tém samém przeciąć sobie wszelką drogę do lepszéj przyszłości.

Najgorszy człowiek czuje przy każdym złym kroku swoim pewną nieprzyjemną oscylacyę serca. Zdaje się że i Stefan czuł to w téj chwili, szybko bowiém powstał z krzesła i przeszedł się kilka razy po pokoju.

Dziwna jest, że w takim razie gorsza część istoty człowieka sili się nad wyszukaniem drogi, którą obchodzi zazwyczaj skopuł sumienia.

Stefan upierał się z tą myślą, że Anna nie jest konieczną potrzebą w dzisiejszém położeniu dla niego; mniemał nawet, że jestto pozycya, która sama przez się straconą być musi, jeźli się niéma dostatków do trzymania téj pozycyi. Mimo to jednak jakiś brzęczący dźwięk odzywał się z głębi duszy, którego żadném rozumowaniem dotąd przygłuszyć nie mógł.

Otóż na ten dźwięk wymyślił sobie teraz wygodny sposób:

Jeżeli to prawda — pomyślał sobie — że Anna jak każda inna kobiéta, tylko dostatki kocha, a reszta wszystko

jest dla niéj obojętném, dlaczegóż nie mogę użyć próby, tak samo jak na złoto ognia używają? Dlaczegóż nie mogę wejść w ofiarowany mi interes i jéj to zaproponować?... Jeżeli przyjmie projekt, to zyskamy na tém oboje: ona otrzyma bogatego adoratora, a ja pozbędę się mojéj kapryśnéj illuzyi i zyskam, co ważniejsza fundusik na pokrycie deficytu kasowego!...

Ta myśl wielce uspokoiła Stefana, zdawało mu się nawet, że taki zwrot był koniecznością w dalszych losach jego: bez takiego zwrotu, sam nie wiedział jakby mógł wybrnąć.

Teraz, gdy już niejako okazała mu się droga wyjścia, przedstawiło mu się w całéj okropności jego położenie, i rzeczywiście widział teraz propozycyą młodego krezusa, za szczególnie przyjazny zbieg okoliczności a nawet..., nawet według zwykłego przyzwyczajenia, chciał widzieć w tém palec Opatrzności!

Spokojnie więc zaczął traktować swego gościa. Zapalił sobie cygaro i rzekł:

— Jakkolwiek propozycya pana, jak to pan sam zrozumiesz, nie mogła mi być wielce przyjemną, bliższe jednak rozważenie okoliczności przekonywa mię, że pan istotnie masz względem mnie przyjacielskie zamiary; dlatego w zasadzie nie miałbym nic przeciw porozumieniu....

— Ha, ha, ha! spodziewałem się takiéj odpowiedzi od pana!—odpowiedział krezus—wiedziałem bowiem że przy bliższéj rozwadze pan się na to zgodzisz. Zresztą niéma w tém nic tak dziwnego. Znałem jednego przemysłowca, który dopóki mógł żył z ostentacyą. Miał ekwipaże i ładne kobiéty. Jednéj z nich wynajął dystrybucyę cygarów, a gdy noga mu się pośliznęła i ekwipażów niestało, to poczciwa niemka służyła mu za jedyny dochód! I wiernie dzieliła się z nim każdym dochodem!

— Nie odchodźmy od rzeczy! — gniewnie przerwał Stefan.

— A prawda, pan nie masz czasu. A więc interes byłby skończony... chodzi tylko jeszcze o jeden waruneczek.

— Jakiż waruneczek?

— Jeśli Anna na naszą umowę przystanie!

— Wszak to już będzie rzeczą pana!

— Nie, panie! Tu potrzeba na to dokumentu, że pan sam sobie tego życzysz, że to jest jedyny ratunek pana, że inaczéj pan będziesz musiał ze stolicy uciekać....

Stefan zagryzł usta aż do krwi i zaczął po kolei łamać sobie kości w palcach, aż trzeszczały. Zdawało mu się, że wszystko w życiu, a nawet lepsze jego chwile, zwracają się zawsze przeciw niemu; nawet Anna stawała się teraz umartwieniem dla niego....

Innéj drogi jednak nie było. Przed nim stało groźne, nieubłagane jutro! A on nie mógł jemu nic dać, prócz Anny!...

— Więc skończony interes!—rzekł do krezusa.

— Siadaj pan i pisz kartkę do Anny!—odparł tenże spokojnie.

Stefan usiadł i napisał te słowa:

„Oddawca téj kartki opowie ci, że jestem zrujnowany. Nie lękam się ubóstwa, ale lękam się sądowego skandalu, który niechybnie musiałby nastąpić, gdybyś mi żądanego od ciebie ratunku odmówić miała. Nie tłumacz sobie tego w ten sposób, jakobym żądał od ciebie zwrotu wyłożonych kosztów na zakupienie handlu, ale jest to po prostu konieczność mego rozpaczliwego położenia. Summa obiecana od rzeczonego oddawcy téj kartki wystarczy na pokrycie moich potrzeb, a zostawiam to twemu szlachetnemu sercu, czy mnie zechcesz ratować, czy z zimną krwią pozwolisz na moją zgubę.... Niéma ani chwili czasu do stracenia, resztę objaśni cię oddawca téj kartki.

Twój Stefan."

Gdy Stefan te słowa napisał, zrobiło mu się lżéj na sercu.

Ludzie zepsuci radzi wszędzie upatrywać powody samolubne. Stefanowi zdawało się, że z takiego przebiegu rzeczy nie tylko on ale i Anna będzie zadowolona!

Zapewne będzie tam trochę pozornego żalu dla kolorytu idealnego, o który kobiétom czasem chodzi, a w końcu pogodzi się wygodne serduszko z nowym stanem rzeczy!

Ileżto kobiét godzi się w ten sposób z utratą najsłodszych marzeń swoich?....

Tak sobie myślał Stefan i z dosyć dobrym humorem podał rękę krezusowi.

— Kiedyż mój panie mogę się spodziewać owych dziesięciu tysięcy?—zapytał.

— To zawisło teraz wyłącznie od Anny!

— Kiedyż będziesz pan z nią mówił?

Krezus z flegmą popatrzył na zegarek:

— Dzisiaj już będzie zapóźno—odrzekł—bo za godzinę jadę do Hitzing! Obiecałem kilku znajomym że tam przyjadę. Będzie tam wesołe grono naszych baletniczek: możebyś i pan z nami się zabawił! *Vita brevis.*

— Nie mogę. Mam jeszcze niektóre interesa do załatwienia.

— Żałuję mocno. Więc dzisiaj do Anny nie pójdę. Jutro, nie prędzéj o czwartéj po południu będę mógł być u niéj.

— Więc jutro o czwartéj będziesz ją pan widział!— rzekł Stefan z uśmiechem szyderczym i pożegnał szczęśliwego krezusa.

Krezus schodził tryumfalnie po schodach i gwizdał sobie aryę z Offenbacha.

XV.

Na poddaszu.

Po wyjściu młodego krezusa opanowało Stefana dziwne uczucie. Nie umiał sobie z niego zdać sprawy. Nie wiedział, czy to jest radość z takiego przebiegu rzeczy, czy obawa przed czémś, czego sobie jeszcze nie mógł wyobrazić; dreszcz nieokreślony przechodził wszystkie członki jego i nie pozwolił mu spokojnie oddychać: pierś jego jak popsuta maszyna, chwytała oddech w sposób nienormalny.

Przypisywał to wzruszeniu jakiego doznał w tych dniach ostatnich. Rozdrażnione nerwy jego jeszcze się nie uspokoiły, jeszcze kurczowo drgały w całém ciele. Zdawało mu się, że ruch na wolném powietrzu uspokoi go i sprowadzi zmysły do zwykłéj równowagi.

Prócz tego przypomniał jeszcze sobie Paulinę: jéj nieznane losy rozciekawiały go coraz więcéj. Nie mógł jeszcze wymyślić żadnego powodu, któryby mógł ją skłonić do

opuszczenia tak wygodnego stanowiska. Im więcéj nad tém myślał, tém dziwaczniejszą wydawała mu się jéj historya, tém większa ciekawość zbierała go, aby wszelkich sposobów użyć do odszukania śladów do niéj.

Zresztą zatrzymanie się dłuższe w domu nie było bezpieczne. Sąd mógł już teraz poczynić kroki względem niego, chociaż z innéj strony nie spodziewał się, aby tak zawiłe rachunki, jakiemi były pozostałości spółki exploatacyjnéj, mogły być w tak krótkim czasie ukończone.

Dla większéj jednak pewności zebrał się i wyszedł z domu.

Chodził po całéj stolicy, zaglądał w rozmaite zaułki czy gdzie śladu Pauliny nie znajdzie; ale nigdzie nic nie napotkał, coby choć na jakibądź ślad wskazywać mogło!

Gdy wieczorem stolica mnóstwem świateł zabłysnęła, gdy wspaniałe magazyny rozlały całe strugi światła na szerokie ulice, Stefan chodził od jednych okien do drugich i patrzał w nie, czy gdzie nie ujrzyPauliny!

Pauliny nigdzie nie było. Stefan szedł z ulicy w ulicę, szedł bez myśli, bez wiedzy gdzie idzie, szedł naprzód aby iść tylko, bo ruch łagodził rozdrażnione nerwy jego....

Wreszcie zatrzymał się przed magazynem, który wewnątrz miał bardzo piękne oświetlenie! Wewnątrz magazynu siedziała młoda, nadzwyczaj piękna kobiéta w ubraniu gustownem; trzymała w ręku książkę i czytała z wielkim spokojem.

Była to Anna.

Stefan drgnął jakby od iskry elektrycznéj. Gniewał się na siebie że tutaj przyszedł. Stał kilka chwil w niepewności, co ma uczynić. Zdawało się, że kilka razy brała go ochota wejść do magazynu i po dawnemu kilka chwil w towarzystwie Anny przepędzić, ale wnet jakiś kurcz wewnętrzny, spowodowany przez jakąś myśl bolesną, odtrącił go od drzwi jasno oświeconych.

Odetchnął pełną piersią, jak tonący człowiek gdy go fala na powierzchnię wody wyrzuci i wrócił się.

Noc przepędził bardzo niespokojnie. Zrywał się co chwila, wyskakiwał z łóżka i pilnie nadsłuchiwał. Zdawało mu się, że ktoś był przy nim, że ktoś zimną ręką dotknął się skroni jego, ręką zimną, lodowatą!...

Z potem na czole, z niecierpliwością w duszy, która go paliła, oczekiwał pierwszego brzasku dnia...

Wreszcie dzień zawitał. Stefan zebrał się skwapliwie jakby kto czyhał na niego!... Rozdzierające jakieś przeczucie dławiło go, nie mógł powietrza zaczerpnąć... Wyszedł na miasto.

Może po raz piérwszy w życiu widział budzącą się stolicę.

Wszystko to, co do zamożniejszych warstw należało, spało jeszcze. Okna piérwszych piąter były jeszcze zasłonione; jeszcze cichy aniół snów roztaczał tam szare skrzydełko swoje i pieścił duszę tém, czego ona sama pragnęła: tylko ludzie ciężkiéj, dziennéj pracy, powstawali już, aby się wziąć do roboty, którą wczoraj dla odpoczynku odłożyli od siebie.

Stefan wyszedł z miasta. Dzień był wiosenny. Słońce wytoczyło się w całym majestacie majowym i rozlało morze ciepła i światła na całą, w błękitnawą gazę okrytą stolicę. Z pośród morza domów, dachów i kominów wynurzała się w postaci topoli, wieża św. Szczepana i dążyła wprost ku niebiosom, jak modlitwa bogobojnego człowieka!....

Stefan patrzał z daleka na miasto, a dziwne uczucie przygniatało serce jego! Nie umiał bliżej określić tego uczucia, a jednak upadał pod niém, jak pod wiekiem trumny ołowianéj!...

W oknach otworzonych warsztatów widział ludzi wesołych i zdrowych. Powstali oni ze snu z rumianémi twarzami i swobodném wejrzeniem i brali się do pracy jakby do rozrywki!

Stefan zazdrościł im téj swobody życia. Dziwne myśli przebiegały mu po głowie. Robił rachunek z dotychczasowém szczęściem i nieszczęściem swojém i smutno patrzył zamyślony przed siebie.

W téj wędrówce mijały mu godziny w dziwny sposób. Lękał się liczyć je, lękał się spojrzéć na zegarek, bo zdawało mu się, że może na cyferblacie wyczyta nieprzyjemny wyrok dla siebie! Nie czuł przytém ani głodu ani pragnienia, jakby potrzeby ciała nagle zastanowiły się!

Było już sporo po południu, gdy znowu zaczął się zbliżać do miasta.

Na skręcie jednéj ulicy, zdawało mu się że kogoś poznał. Szybko pośpieszył za kobiétą skromnie ubraną. Kobieta weszła do kamienicy... on za nią.

— Czy tu mieszka ta pani, co teraz tędy przeszła—zapytał z gorączką odźwiernego.

— Pani?... Jaka pani? to nie była żadna pani!—odparł z flegmą odźwierny.

— Pytam o tę kobiétę w szaréj zarzutce.

— To szwaczka, która mieszka na poddaszu.

Stefan zawahał się. Zapewne zmyliło go oko. Odszedł z kamienicy.

Po chwili jednak wrócił i wszedł na czwarte piętro.

Było to ubogie, ale schludne poddasze. Stefan na chybił-trafił otworzył piérwsze drzwi...

I kogóż tam ujrzał?

Była to Paulina!

Widok Stefana zmieszał z razu Paulinę, po chwili jednak oprzytomniała, uśmiechnęła się, podała mu rączkę, zawsze małą i piękną i prosiła go aby usiadł.

Stefan nie mógł jeszcze z zadziwienia przyjść do siebie: powoli zaczął się rozglądać po poddaszu.

Były to małe dwa pokoiki. Sofka ciemnym perkalem pokryta, stolik olchowy, cztery krzesła i małe pianino stanowiły całe urządzenie. W drugim widać było białe łóżeczko i skromną gotowalnię.

— Zlituj się pani—ozwał się Stefan—wytłumacz mi to wszystko!

Twarz Pauliny nie miała ani różu ani bielidła. W utrefieniu włosów zaszła także zmiana. W naturalnych splotach jak ongi w rodzinném mieście, spadały one na białe ramiona, które okrywała prosta bluzka z angielskiego perkalu!

Przed Pauliną leżały różne materye do szycia.

— Wymagasz pan odemnie bardzo wiele—odpowiedziała z czarującym uśmiechem, jakiego już dawno na jéj ustach nie było—wymagasz pan wiele, bo wymagasz spowiedzi!

Stefan nie mógł przyjść z zadziwienia do siebie: Paulina była młodszą o lat dziesięć, twarz jéj, pokryta dawniéj pudrem i różem, grała dzisiaj kolorami zdrowia i młodości!

Cóżby to mogło być, co tak ożywia i odmładnia?.

—Jeżeli o spowiedzi mowa—odparł Stefan po chwili—to może mam prawo do takiéj spowiedzi!

— Prawo?.... Nie wiem!—odpowiedziała Paulina—jeżeli wszystko to zsumujemy, co kiedykolwiek zaszło między nami!... Ale nie, dobrze pan mówisz, masz pan prawo do tego, a jeźli spowiedź moja pożądany skutek na pana wywrze, to będę za spowiedź moją sowicie wynagrodzoną.

— Słucham panią z całą uwagą!

— Najprzód niech pan mi wierzy, że poddasze to obrałam z własnéj woli.

— Myślałem że katastrofa giełdowa, która i mnie...

— Wiém o tém, inaczéjbym z panem nie mówiła. Tylko w pewnych chwilach jest człowiek przystępny pewnym uczuciom, a w takiéj chwili, zdaje mi się, widzę pana!

Stefan spuścił głowę. Paulina już wiedziała o jego nieszczęściu.

— Otóż najprzód panu powiadam, że katastrofa giełdowa ani mnie ani nikogo z najbliższych mnie nie dotknęła. Opuściłam mieszkanie moje w chwilach najlepszéj przyjaźni z baronem.

— Jakaż potrzeba do tego panią znagliła?

— Potrzeba lepszego uczucia, bez którego nie ma szczęścia na ziemi!

— Potrzeba lepszego uczucia?... Nie rozumiem pani!

— Pan wiele razy w życiu mnie nie rozumiałeś!—odpowiedziała z uśmiechem—a gdyby to było nastąpiło, nie bylibyśmy może dzisiaj tutaj w tak dramatycznem położeniu!

Stefan potarł ręką po czole, jakby tam chciał co zmazać.

— Wierzaj mi pan—mówiła daléj z tym samym swobodnym uśmiechem—wierzaj mi pan, szczęście ludzkie nie zawisło od szerokości horyzontu, na który z wysokiego stanowiska się patrzy, ale od oka, jakiém się na ten horyzont spogląda. Jeżeli w tém oku przebija się zadowolenie z życia i z siebie, to horyzont ten będzie dla nas rajem, czy on jest rozległy, czy mały jak horyzont więźnia: wszystko inne jest złudzeniem!

Stefan westchnął i spojrzał zamyślony przed siebie.

— W różny sposób wyobrażałam sobie szczęście—mówiła daléj Paulina—ale przyznam się, że szczęścia nigdzie

nie znalazłam... Widziałam że tysiące kobiét kładą na pierwszém miejscu dostatki, a potém dopiero serce; pomyślałam sobie, że musi to być szczęście prawdziwe jeśli tysiące za niém przepada. Miałam jeszcze przed niemi pewne korzyści. One wiążą się nieraz związkiem nierozerwalnym z mężczyzną, którego nie kochają, a którego tylko bogactwa je ujęły; ja zaś prawdziwą sympatyą przywiązałam się do człowieka, który mnie dostatkami obsypywał. Tamten zawadza im na każdym kroku, nie mogą się ani na chwilę pozbyć jego oblicza natrętnego, a ja byłam wolną od tego wszystkiego... A przecież nie znalazłam szczęścia w życiu wyłącznie tylko na dostatkach opartém!.... Im wybredniejsze otaczały mnie dostatki, tém duszniejszą była dla mnie atmosfera; tém bardziéj byłam głodną i spragnioną jakiegoś lepszego, szlachetniejszego oddechu!....

Stefan uśmiechnął się z ironią i zauważył:

— Prawda!... Gdyby kobiéty zmartwychstawać umiały, toby każda z nich była w powtórnem życiu... aniołem!

— Jeśli aniołem być nie można—odparła z westchnieniem Paulina — to można być poczciwą pokutnicą!... Pan nie wierzysz temu? Uśmiech ironiczny zdradza myśli pana! Być może że się łudzę, ale dotąd nie mam prawa wątpić o sobie!

Co ten ironiczny uśmiech Stefana oznaczał, trudno wiedzieć. Czy był on surową krytyką owéj wygodnéj moralności kobiecéj, o któréj Paulina mówiła?

— Czy znalazłaś pani sferę tego lepszego, szlachetnego uczucia?—zapytał Stefan.

— Zdaje mi się, że znalazłam!... A z przyjaźni dla téj sfery obrałam to poddasze!

— Czyż to jest wyłączna sfera dzisiaj, wszelkiéj szlachetności?

— Nie jestem tego zdania.... ale przypadkiem znalazłam ją tutaj!

— Więc zakochałaś się pani?

— Tak jest: kocham i jestem nawzajem kochaną!

Milczenie zapanowało przez chwil kilka. Oboje cofnęli się myślami swemi gdzieś w głąb życia.

— Czy nie można wiedzieć, kto jest tak szczęśliwy?

— Biédny, chory artysta.

— Artysta?... Tam do kata! W każdéj powieści artysta i tu artysta.

— Bo to są zazwyczaj ludzie idealniejszego usposobienia od innych.

— Czy zna on panią?

— On mnie wcale nie zna: u niego jestem prostą szwaczką!

Znowu ten sam ironiczny uśmiech zaigrał na twarzy Stefana. Biédny, idealny artysta!...

— Jakimże sposobem stałaś się pani dla tego człowieka szwaczką?—zapytał Stefan.

— Sposobem trochę romantycznym ale w gruncie bardzo prostym. Raz chciałam obaczyć ludowe zabawy i w skromnéj sukience wmieszałam się w zgromadzenie. Jakiś człowiek z twarzą szlachetną zwrócił moją uwagę na siebie. Widziałam także, że i on często patrzał na mnie. Po chwili zbliżył się do mnie, powiedział mi, że jest rzeźbiarzem a ja mu nawzajem powiedziałam, że jestem szwaczką. Przyjął to z największym spokojem, powiedział mi, że sprawiłam na nim dziwne wrażenie i prosił, aby mu było wolno pisywać do mnie. Dałam mu adres mojéj służącej, nie pozwoliłam mu nigdy przychodzić, a za to co dwa tygodnie raz bywałam na téj ludowéj zabawie i z nim się widziałam!

— To nader romantycznie!—zauważył Stefan z ironią.

— Zrazu, mówiąc szczerze, wziąłem to sobie za rozrywkę, aby kogoś mistyfikować; późniéj zapanowało nademną szlachetne uczucie Edwarda i dało mi poznać tę atmosferę do któréj tak często wzdychałam!... Weź pan to moje ostatnie słowo do serca, że niczém są one sztuczne blichtry życia, jeżeli się niéma téj pięknéj, wonnéj atmosfery uczucia szlachetnego, które jest jedyném szczęściem człowieka: blichtry te są tylko sztuką wymyśloną, jak leki apteczne dla podtrzymywania zdrowia tam, gdzie go już niéma!...

Stefan przebiegł lotną myślą koleje swego życia i westchnął.

— Nie chciałam demaskowaniem zmartwić biédnego Edwarda i postanowiłam być dla niego tém, czém mnie pokochał. Za dwa tygodnie połączy nas ślub nierozerwalny i zawiozę go w inne kraje, aby powietrze Południa mogło zbawiennie działać na jego chory organizm. Cierpi biédny

na piersi. Jestto choroba z niedostatku i pracy!... I już teraz marzę sobie, jak będziemy razem chodzić po ruinach wiecznego miasta.... jak mu w każdéj chwili życia za jego miłość będę opiekuńczym przewodnikiem...

Marzenia Pauliny mogłyby w każdym innym razie podlegać ostréj krytyce... ale Stefan w téj chwili nie był wcale do niéj sposobnym. Zresztą nie mógł i nie umiałby nawet krytykować marzeń kobiéty, która podobne jak i on koleje życia przeszła. Pominął więc wszelkie ujemne strony podobnéj filozofii życia, a zatrzymał się tylko myślą przy tym uroku, w jakim właśnie przedstawiała mu szczęście swoje Paulina.

I on chciałby być takim pokutnikiem, chciałby téj zdrowéj zaczerpnąć atmosfery, która takim wdziękiem przyodziała teraz twarz Pauliny!...

— Jeżeli chcesz pan być prawdziwie szczęśliwym— rzekła do niego po chwili —to jest teraz w mocy pana. Porzuć tę atmosferę zgniłą i duszną, porzuć te sztuczne narkotyki życia, a wróć do czystéj, zdrowéj krynicy, od której tak radzi oddalamy się!.....

Stefan potarł ręką po czole, odetchnął pełną piersią i rzekł w dziwném wzruszeniu:

— Przyznam się pani, że podobne pragnienia już mię nagabywały!

— A teraz masz pan sposobność do tego!

— Sposobność?—z zadziwieniem zapytał.

— Nie myśl pan, aby coś, co ukrywałeś przedemną, było tajemnicą dla mnie. O Annie wiedziałam!... Jestto kobiéta jakby stworzona dla pana: ona podniesie cię, jeśli wspomnienia przeszłości przygniatać cię będą!...

Stefan zamyślił się: pierś jego podnosiła się wysoko i opadała...

— To być nie może — westchnął i głowę spuścił na piersi.

— Dlaczego być nie może?.... Silnéj woli nic nie przełamie!

— Dobre myśli w życiu zazwyczaj przychodzą za późno! Jestem dzisiaj bez jutra!

W téj chwili uroczy obraz Anny, widziany wczoraj przez szybę, przesunął mu się po przed oczy!

Westchnął i oczy spuścił ku ziemi.

— Bez jutra pan jesteś?—ozwała się Paulina i zamyśliła się na chwilę—zaczekaj pan, przychodzi mi coś na myśl. Funduszów żadnych nie mam prócz małéj sumki, oszczędzonéj z dostatków moich! a którą na podróż do Włoch złożyłam w kassie oszczędności dla Edwarda; ale mam tutaj kilka losów, które mi kiedyś w podarunku przyniesiono. Zdaje mi się, że już temi dniami było ciągnienie, ale nie spieszyłam się z dowiadywaniem, bo szczęście moje dzisiejsze jest wyższe nad szczęście wygranéj.... Otóż dwa z tych losów dam panu, a być może, że wzgląd na cel, w jakim są dane, sprawi w wyrokach boskich szczęście pana i Anny!

Przelotny ogień zamigotał w oczach Stefana. Na chwilę zabłysła przed nim myśl, czy raczéj marzenie o takiém szczęściu... Była to myśl rozkoszna!

Anna w całym uroku przesunęła mu się po przed oczy. Postać jéj eteryczna i anielska przesunęła mu się jak ożywczy płomień przez zgniłą atmosferę jego życia i oczyściła ją!...

Ale do téj Anny było wiele, wiele potrzeba!...

Z gorzkim uśmiechem schował losy do kieszeni, obiecał Paulinę jak najprędzéj odwiedzić i pożegnał ją z jakiémś dziwném, nieokreślonem przeczuciem.

XVI.

Na drodze szczęścia.

Była godzina trzecia po południu, gdy Stefan wyszedł od Pauliny. Zatopiony w różnych myślach nad sobą szedł, szedł zwolna naprzód i nagle stanął przed kawiarnią, w któréj często bywał.

Machinalnie prawie wszedł: kazał sobie dać filiżankę herbaty.

Usiadł w ciemnym kącie i patrzał ztamtąd martwemi oczyma na rój gości, który uwijał się po wspaniałych salach.

Trwało to blizko godzina. Wypił herbatę i kazał sobie podać dziennik. Posługacz przyniósł mu dziennik i położył przed nim stroną odwrotną. Stefan rzucił okiem i zobaczył właśnie na ostatniéj stronnicy numera wyciągniętych losów.

Przypomniał sobie teraz o losach danych mu przez Paulinę. Wyjął z kieszeni, odczytał numera, przeszedł okiem na ostatnią stronnicę dziennika... o dziwo!...

Jeden z losów wygrał kilkanaście tysięcy złotych reńskich!

Stefan drgnął, jakby jasny słup światła strzelił w niego. Siedział tak chwilę skamieniały. Oczy jego rozgorzały dziwnym ogniem. Jakaś myśl wielka i potężna wciągnęła je w głąb głowy. Twarz jego zagrała żywemi kolorami.

A tłumy gości przechodziły przed nim, mijały go i potrącały, a żaden z nich nie wiedział, że w tym człowieku odbywa się w téj chwili wielka rewolucya moralna, że ten człowiek w téj chwili myśli na seryo o rehabilitacyi życia swego... że marzy o biédnéj kobiecie, aby szczęście swoje podzielić z nią węzłem nierozerwalnym!...

Nikt o tém nie wiedział a jednak Stefan na seryo myślał o Annie. Rozkoszne obrazy przebiegały mu przed oczyma, z zapartym oddechem ścigał je, aby żadnego z nich nie spłoszyć!...

W téj chwili jednak przypomniał sobie o *godzinie czwartéj!*

Straszne, potworne obrazy stanęły mu przed duszą!...

Spojrzał na zegarek: była godzina czwarta!

Szybko powstał i wybiegł na ulicę.

Na ulicy spotkał go służący, który właśnie szedł go szukać.

— Czego chcesz?—gorączkowo zapytał Stefan.

— Jakaś pani szukała pana w domu i prosiła, abyś pan natychmiast ją odwiedził. Jest w hotelu „zum wilden Mann“ Nr. 13; powiada, że ma pilny interes.

Szalona myśl przebiegła Stefanowi do głowy. Trudno wiedzieć jakim sposobem przyszedł do téj myśli, ale zdawało mu się, że to będzie Anna!

Szybko pokombinował rozmaite pobudki do takiego kroku. Wyobraził sobie, że Anna oburzona propozycyą krezusa, porzuciła magazyn, a wybierając się w drogę do opiekuna swego, którą nieraz groziła, chciała może z nim się pożegnać...

Stefan wpadł do pierwszego fiakra, którego spotkał na drodze i kazał się zawieźć do wskazanego hotelu.

W hotelu nie było nikogo pod tym numerem, ale zostawiono rozkaz, aby Stefan zaczekał.

Co to jest za kobieta, nie umiano mu powiedzieć, tylko tyle się dowiedział, że fiakrem przyjechała przed chwilą i że jest blondynką.

Wszystko to utwierdziło Stefana, że to jest Anna: jego domysły zdawały mu się niezbite.

Postanowił czekać.

Czekał długą, nader długą godzinę: w téj godzinie przetrwał wszelkie katusze piekła.

Po godzinie wreszcie przywiozła remiza... baronowę, pułkownikową!

— *Bon jour!* Przecież widzę pana—zagadnęła z radością i podała mu rączkę.

Stefan zbladł z przerażenia. Pomyślał o godzinie czwartéj.

— Nie spodziewałem się pani tutaj spotkać! —wyjąkał.

— Ach, złożyły się na to różne okoliczności!.. Niech pan chwilkę usiądzie!

— Przepraszam panią, ale nader pilne interesa niecierpiące zwłoki...

— *Mais comment!* Przecież pan nie będziesz tak niegrzecznym!... Zresztą nic ja sama zawezwałam pana tutaj! Złożyła się razem zemną pewna dobra znajoma pana, którą przypadkiem poznałam!... Zaraz tu przybędzie!

— Któż to może być?—zapytał z gorączką Stefan, któremu już się w głowie przewróciło.

— Zgaduj pan!

— Blondynka?

— A... tak... blondynka, ładna blondyneczka!—rzekła z uśmiechem pani Aurelia.

Stefan stracił już zmysły. Zdawało mu się, że przed nim rozwiązuje się dziwny dramat, którego rezultatem nie może być nikt inny, tylko... Anna.

Jakim sposobem przyszedł do tego? trudno wiedzieć. Usiadł na krześle.

— Słyszałam, że panu bardzo się świetnie teraz powodzi!—rzekła baronowa.

— Tak... świetnie, dosyć świetnie!—wyjąknął Stefan patrząc na drzwi.

— A na nas przyszło wielkie nieszczęście!.. Pułkownik stracił wszystko!

— Pułkownik stracił wszystko!—powtórzył machinalnie Stefan!

— Liczymy na to, że pan swoim wpływem dopomożesz nam!

— Swoim wpływem dopomożesz nam!

— Ale pan jesteś za nadto jakoś roztargniony!

— Prawda, jestem roztargniony... kiedyż przyjdzie znajoma pani?

W téj chwili otworzyły się drzwi: do pokoju weszła drobnym, kokietującym krokiem... Węgierka.

— A toż i ona!— z uśmiechem zawołała baronowa.

Stefan stanął jak wryty.

— O mój *Istvanku!*—ozwała się babulka i pogłaskała zmarszczoną rączką twarz jego;—mój ty *frou-frou!* Toś już zapomniał o mnie?... To wtedy znałeś drogę do mnie, a teraz uganiasz za młodemi?... Czekaj! Dobrze żem cię złapała tutaj! Nie ujdziesz mi tak prędko! Siadaj i opowiédz, gdzie tak uganiasz?...

Stefan był blizki apopleksyi. Zegar stojący na komodzie wskazywał pół do szóstéj!

Rozpaczliwym skokiem chciał się ratować, ale babulka uchwyciła go za połę i rzekła:

— Mówiłam ci, nie ujdziesz mi *Istvanku!* Siadaj i opowiadaj nam co porabiasz teraz!

— Ja nic nie porabiam!—krzyknął Stefan i szarpnął połę.

Wnet jednak poczuł ostre pazurki babulki na ręku, która trzymała go całą siłą żylastéj rączki swojéj.

Baronowa śmiała się do rozpuku z téj sceny. Stefan zniewolony usiadł. Pot zimny wystąpił mu na czoło. Wszystko mieszało mu się przed oczyma.

Wreszcie oprzytomniał, wstał z krzesła i szybko wziął kapelusz do ręki:

— Przepraszam panie—rzekł wzruszonym głosem—muszę odejść, bo w téj chwili może rozstrzygnęło się życie moje!

I oczy jego zaszły łzami... Zdawało mu się, że te kobiety jako Eumenidy stanęły mu na drodze szczęścia... Kobiety zdziwione spojrzały na siebie, a Stefan tymczasem wypadł na ulicę!

XVII.

Ostatnia scena.

Właśnie biła na wieży św. Szczepana godzina szósta, gdy konie fiakierskie zaryły kopytami przed magazynem Anny. Do magazynu wpadł Stefan.

Anna siedziała spokojna i nieruchoma jak statua z marmuru. Patrzała przed siebie zamyślona. Przed nią stała szklanka wody czystéj z srebrną łyżeczką.

Miała na sobie kostium fijołkowy, w którym jéj było bardzo do twarzy.

Gdy Stefan wszedł do magazynu, twarz jéj lekko zadrgała jakimś bólem kurczowym; po chwili jednak uspokoiła się.

Podała Stefanowi rękę... spokojną i zimną jak marmur.

Stefan uścisnął z gorączką tę rękę i usiadł na krześle.

Słowa zamierały mu na ustach, nie mógł o nic zapytać.

On przychodzi do niéj z szczęściem, ale czy nie przychodzi za późno?

Straszne milczenie panowało przez chwil kilka. Patrzyli oboje na siebie, patrzyli ze strachem i drżeniem. Zapytanie drżało w tém spojrzeniu, ale odpowiedzi żadne z nich nie pragnęło!

I słychać było głośne tętna serc... i przytłumiony oddech piersi...

Stefan czuł się winowajcą i nie chciał dowiedzieć się tego, o co się lękał!

Piérwsza przerwała milczenie Anna:

— Powiedz mi Stefanie—rzekła spokojnie, ale usta jéj blade zadrżały mimowolnie—powiédz mi Stefanie, jak sobie wyobrażasz szczęście?

— Szczęście... szczęście—mówił Stefan w złowrogiém przeczuciu—szczęście jestto pojęcie nader względne! U jednych jest to szczęście, co u innych nieszczęściem być może; czasami nawet sami zmieniamy wyobrażenia o szczęściu!

— Czy możesz mi powiedzieć Stefanie, jakie jest obecnie wyobrażenie twoje o szczęściu?

— Moje wyobrażenie zmieniło się w ostatniéj chwili. Dawniéj nie wierzyłem w szczęście, ale w pewne odurzenie duszy środkami, jakie dają bogactwa! Dzisiaj...

— Jakto?—zawołała żywo Anna, a twarz jéj blada zafarbowała się—ty Stefanie wierzysz dzisiaj, że można być szczęśliwym przy skromnych dostatkach?

— Nie tylko wierzę, ale wiara ta stała się dzisiaj potrzebą mego życia!

— Ach! Jakąż radość mi sprawiasz! Więc dzisiaj niby już naszemu szczęściu na drodze nie stało?... Czyż to być może?

Stefan patrzał z uwagą na Annę. Słowa jéj brzmiały mu jakoś dziwnie. Było w nich tyle spokoju, tyle chłodu, mimo deklamacyi retorycznéj. Zdawało mu się, że słyszy artystkę wygłaszającą próbę sceny, jaką ma kiedyś odegrać!..

Dreszcz przeszedł go, a jednak obawiał się zapytać, bo obawiał się odpowiedzi.

— Więc pan zmieniłeś swoje zdanie o szczęściu!— ozwała się po chwili milczenia Anna—szkoda, wielka szkoda!

— Szkoda? Dlaczego szkoda!—z zapartym oddechem zapytał Stefan.

— Bo zmieniłeś pan... za późno!

— Za późno!—krzyknął Stefan i wyciągnął z kurczowém drżeniem rękę ku niéj.

Anna patrzała chwilę na niego w milczeniu. Po bladéj jéj twarzy igrały małe światełka. Po chwili znikły te światełka, a twarz jéj stała się znowu nieruchomą jak marmur.

— Dlatego za późno—odrzekła spokojnie—że ja... także moje zdanie o szczęściu zmieniłam!

Stefan odetchnął pełną piersią i upadł znowu na krzesło jak człowiek, którego ominęło wielkie nieszczęście, ale który wysilił się straszną obawą.

— Zmieniłaś pani tylko zdanie o szczęściu!—ozwał się głosem bez dźwięku.

Anna patrzała na niego z uśmiechem bolesnéj ironii.

— I jakaż ta zmiana?—zapytał po chwili.

— Zmiana bardzo naturalna — odpowiedziała zimno Anna—dążymy zawsze do czegoś doskonalszego. Dawniéj wyobrażałam sobie szczęście w znaczeniu nieco samolubném. Szczęście nazywałam to, coby mi sprawiało chwile spokoj-

ne, błogie i rozkoszne; dzisiaj przyszłam do przekonania, że szczęściem może być także... poświęcenie się!

— Poświęcenie się?—powtórzył Stefan, a zimny dreszcz przeszedł mu znowu po ciele.

— Tak jest, poświęcenie się!—mówiła daléj Anna—czy pana to zadziwia?

— Nabawia mnie to śmiertelną trwogą!—odparł a pot zimny wystąpił mu na czoło.

— A przecież jest to tak naturalne!—z zimnym uśmiechem mówiła Anna—wszyscy dążymy do czegoś wyższego w życiu. Chory na przesyt życia Anglik, nie widząc nic wyższego w życiu, drapie się po skałach i urwiskach, aby wyszedł na wysoką górę! Niczém wtedy jest u niego niebezpieczeństwo na jakie się naraża!... On chce tylko wyżéj stanąć na ziemi od innych!... Albo idzie w zapasy z lwem puszczy afrykańskiéj, lub chce dopłynąć do bieguna północnego!... Czyż to nie jest uczucie wrodzone człowiekowi? Dlaczego ciebie nabawiają trwogą słowa moje, gdy mówię o poświęceniu się?

— Słowa twoje są ciemne i straszne.. a ja lękam się pytać.

— Lękasz się pytać o moje poświęcenie się? Wszak sam żądałeś odemnie tego poświęcenia!

Twarz Stefana zbladła, usta wykrzywiły się jakimś kurczem wewnętrznym.

— To była chwila obłąkania i rozpaczy—wyjąkał.

— Chwila obłąkania i rozpaczy? Nie, to był rezultat twego życia!

— Zlituj się!.. Nie mów tak... Ja przychodzę z szczęściem do ciebie!

— Z szczęściem?... Czyż może być wyższe szczęście jak poświęcenie się? Nie, nie odbieraj mi tego szczęścia!

Po tych słowach spokojnie zamieszała wodę w szklance i wypiła jednę część.

— Ale poświęcenie moje nie jest zupełne—mówiła daléj spokojnie—bo jest ono spłaceniem tylko długu. Byłam tobie winną, więc należało dług oddać!

Stefan zdrętwiał cały: wszystka krew zbiegła mu z żył do serca.

— Przecież...—jąkał—przecież... nie... to być nie może!

— Żądałeś odemnie ratunku... a więc dług oddany i ratunek człowieka, którego nad życie kochałam!

Rzekłszy to, otworzyła stolik i wyjęła paczkę opieczętowaną z dziesięcioma tysiącami.

— Oto jest dług mój — rzekła z głębokiém westchnieniem — i twój ratunek!

I wzięła znowu szklankę z wodą i spokojną ręką przytknęła do ust.

Myśl straszna przeszyła pierś Stefana.

— Co pijesz?—krzyknął i wyciągnął rękę po szklankę.

— Co piję?—spokojnie odpowiedziała Anna z rozjaśnioném obliczem—co piję? pytasz?... piłam truciznę!

Stefan przewrócił krzesło i chwycił za szklankę... w szklance zostały tylko resztki brudnego osadu na dnie!..

W téj chwili kurcz bolesny przebiegł po twarzy Anny... upadła na fotel... zmrużyła oczy... a dziwne drganie przebiegło po całém jéj ciele...

Stefan rzucił się aby ją ratować.

Tymczasem kilku ciekawych stanęło przed szklannemi drzwiami i patrzeli się na dziwną scenę wewnątrz magazynu, jakiéj nie rozumieli.

Co chwila zaczęło się mnożyć kółko ciekawych...

Stefan szybko przypadł do drzwi i zamknął je na klucz. Sam pośpieszył do Anny, którą już dziwnie opromienił groźny majestat śmierci...

Zamknięcie drzwi od magazynu, dało dopiéro powód do wmieszania się publiczności w ten zagadkowy dramat.

Massa ludzi stała przed magazynem... a ci co byli bliżéj widzieli, że jakiś mężczyzna napada kobietę i prawdopodobnie zabija ją!...

— Drzwi wysadzić!—krzyczała massa stugębna.

— Otwórz łotrze!—piorunującym głosem wołał jakiś wyrobnik i pięścią tłukł szyby!

— Otworzyć!—krzyczał policyant, którego ludzie przyprowadzili.

— Rozbójnik! Morderca! — wrzeszczały tłumy rozwścieklone...

Stefan słyszał to wszystko... słyszał brzęk szkła tłuczonego... słyszał łomot drzwi i uderzenia siekiery...

Widział twarze rozwścieklone... widział pięście zaciśnięte... widział policyantów i żandarmów z bronią połyskującą!... Widział Annę bez życia...

W głowie jego szumiało mu jakby słyszał szum stu orkanów na raz; w oczach mieszało się wszystko...

Anna leżała na fotelu już martwa i spokojna jak anioł...

I cóż teraz powié ten tłum rozwścieklony? Cóż powié władza, która prawdopodobnie już go szuka?... Czyż ma dać z siebie widowisko dla publiki przed sądem? Jakiż skutek może być tego sądu?... Może więzienie długie...

Stefan chwycił szklankę i pozostałe w niéj resztki osadu wychylił aż do dna!..

W téj chwili runęły drzwi... ale Stefan upadł na krzesło bez oporu!.. Upadł z wygranym losem w kieszeni... z darem Pauliny!

Był to istny dar Danaidy!...

. . . . . .

. . . . . .

W téj saméj chwili przejeżdżał przez ulicę krewny Hohenstauffów w swoim pysznym ekwipażu: tłumy przed magazynem zatrzymały ekwipaż.

Krewny Hohenstauffów gniewał się, krzyczał, groził że cały gmin potratuje, który poważył się zamknąć mu drogę... ale to wszystko nie pomogło!

Kilkaset powozów zatarasowało całą ulicę.

Fichtenau cały siny ze złości był zmuszony wysiąść z powozu i pójść na miejsce zbiegowiska, aby się tam popatrzeć. Tymczasem fala ludzi porwała go z sobą, wmieszała w grupę wyrobników i popychała go coraz daléj od jego powozu. Znowu krzyczał, siniał ze złości, ale napróżno!

Na jego nieszczęście z jakiegoś ładnego powozu wychyliła się ładna twarzyczka i z uśmiechem oddała mu ukłon.

Była to owa fijołkowa dama z balkonu narożnego domu przy *Kärnthnerring*, o któréj marzył krewny cesarzów!

Krew uderzyła mu do głowy na myśl, że fijołkowa dama spotkała go piechotą idącego śród tłumów wyrobników...

Był już pewny, że z tego powodu wszystkie jego marzenia stracone.

— Mój powóz! Mój powóz!—krzyczał donośnym głosem, aby fijołkowa dama usłyszeć mogła, i mahał białą chustką w kierunku, gdzie był swój ekwipaż zostawił... ale ani dama, ani służący jego tego nie słyszeli!...

Krewny Hohenstauffów posiniał ze zmartwienia i upokorzenia, jakiego w obliczu swojéj wymarzonéj kochanki doznał, a uważając całą sprawę za straconą, powalił się na dwóch wyrobników i w ich objęciach pożegnał się na zawsze z doktrynami dziewiętnastego wieku... Był to zacny, bardzo zacny oryginał. W swoim rodzaju był on także... człowiekiem bez jutra!

Tknęła go apopleksya.

. . . . . .

. . . . . .

Po kilkunastu minutach była znowu normalna cyrkulacya na ulicy. Fiakry rozwoziły śpieszących do kolei żelaznéj podróżnych, chłopcy szewskie gwizdali najnowsze arye Offenbacha, nowe spółki przemysłowe przemyśliwały o statutach, giełda nawet zapomniała o chorobie Napoleona... słowem, fale życia wielkomiastowego przeszły po tych tragicznych wypadkach i zatarły wszelkie ślady po nich.

Tylko w kronikach dzienników, pomiędzy wypadkami różnemi, wspomniano kilkoma słowy tak samo o parze romantycznéj w magazynie, jakotéż i o ostatnim krewnym Hohenstauffów! O kilka wierszy poniżéj doniesiono o śmierci młodego rzeźbiarza, który umarł na krwotok...

Biédna Paulina!.. biédna kobieta... bez jutra! Jéj droga nie prowadziła... do jutra!

* * *

W kilka miesięcy po tych wypadkach przyjechali podróżni do hotelu „zum ungarischen Krone“ i wzięli te same pokoje, w których Stefan poraz pierwszy występował z powodzeniem na szerszym świecie.

— I cóż Zosiu—rzekł po wieczornéj herbacie staruszek o pogodnéj twarzy do pięknéj, młodéj kobiety o jasnoblond włosach, która opierała swoją główkę o ramię młodego, czerstwego mężczyzny — cóż Zosiu? Widziałaś Paryż, Berlin, Drezno i Wiedeń! Które z tych miast najlepiéj ci się podoba?

— Najlepiéj mi się teraz podoba nasz biały dworek!— odpowiedziała młoda kobieta—i przycisnęła głowę do ramienia młodego mężczyzny.

— Przecież tak nie mów, moja droga – zauważył młody mężczyzna—stolice Europy mają bardzo wiele pięknych rzeczy!

— Prawda—odparła Zosia—temu nie przeczę. Jeżeli to bez uszczerbku rodziny stać się może, to dobrze i pożytecznie jest widzieć raz te cuda świata; ale mieszkać tam, mieszkać dla rozerwania nudów, tego nie pojmuję!.. Nasz zagon ojczysty ma tyle dla nas przyjemności, tyle uroku i tyle obowiązków jesteśmy mu winni, że życie nasze wydaje mi się za krótkie, aby z niego coś jeszcze dla bezcelowych wędrówek po świecie wykradać!

— Może masz i słuszność!—odparł z uśmiechem młody mężczyzna.

— A przecież był czas—rzekł z uśmiechem—że ten biały dworek bardzo smutno tobie wyglądał!

— Ojcunio jest bez litości!—odpowiedziała z czarującym uśmiechem Zosia—wszak małe pomyłki przebaczają się! A zresztą, Bóg na to zsyła na nas drobne nieszczęścia, abyśmy potém prawdziwe szczęście tém więcéj cenić umieli!.. Nie prawda Karolu?

— Prawda!—odparł Karol z rozjaśnioném okiem, po którém przebiegła mgła jakiegoś wspomnienia i znikła.

I ucałował serdecznie drobną rączkę czarującéj kobiety, tę samą rączkę, którą niegdyś, w owym białym dworku, chciał przemysłem posiąść nasz: *Człowiek bez jutra...*

Radymno, 30 listopada 1870 r.

KONIEC.

POSZUKIWANIA ARCHEOLOGICZNE

Jana Zawiszy.

I. W Czuryłowskiéj puszczy.

(Poszukiwania dnia 12 października 1868 r. i 15 sierpnia 1869 r.).

Okopiszcze wielkie w *Czuryłowskiéj puszczy* o trzy wiorsty od wsi tegoż nazwiska, w gubernii Mińskiéj, powiecie Ihumeńskim, dobra *Kuchcice* o 4 wiorsty od źródła Niemna.

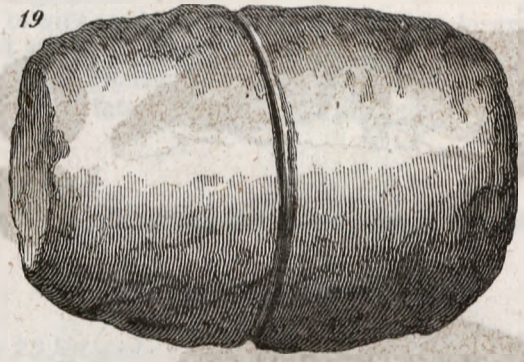
Na wyspie śród błota czyli na ostrowiu wysokiém, mającém trzy morgi obszaru, wał od 6—7 łokci usypany od wschodu, południa i zachodu, a jedno miejsce od północy na 80 kroków bez wału i rowu. Wejście pozostawione od wschodu przez rów na 5 łokci szeroki bez wklęsłości w wale; po za wałem wzgórze coraz się wznosi i cała ta przestrzeń pod 6—7 calowym *humusem* ubita zwirem od 3—4 cali grubości z daleka sprowadzonym, albowiem w bliskości podobny zwir rzeczny się nie znajduje. Od północy dwie jamy głębokie na 6 łokci, jedna od drugiéj na 25 kroków. Całe to okopiszcze ma obwodu 270 kroków, przecięcie 60 kroków, i porośnięte drobném gęstém liściastém drzewem.

W Bibliotece Warszawskiéj z miesiąca czerwca 1871 r. pod tytułem: „*Nowo ogłoszone wiadomości o Słowianach i Rusach ze źródeł arabskich*,“ pan Chwolson na str. 506 tak się wyraża:

„Mróz w ziemi Słowian bywa tak silny, że każdy z nich kopie sobie w ziemi rodzaj piwnicy, którą nakrywa drewnianym ostrokończatym dachem, jakie widzimy na kościołach chrześciańskich, a dach obkłada ziemią. W tę piwnicę przenoszą się z całą rodziną, i wziąwszy trochę drzewa i kamieni rozpalają ostatnie do czerwoności. Gdy kamienie rozpalą się do najwyższego stopnia, polewają je wodą, z któréj rozchodzi się para ogrzewająca mieszkanie tak, że zdejmują odzież.“

Porównywając to opisanie z jamami na okopiszczu, znajdziemy tłumaczenie do czego one służyły. W jednéj z nich znalazłem (ob. Fig. Nr 19) kamień 50-funtowy granitowy, przez środek wyżło-

19



biony; mógł służyć za kotwicę do zarzucania z czółna, albo też będąc zawieszonym był rodzajem uderzadła: dwa boki zużyte. Oprócz tego kamienia leżała w jednéj z tych jam bardzo zużyta na pół pęknięta granitowa szlifiernia, do ostrzenia lub szlifowania narzędzi kamiennych.

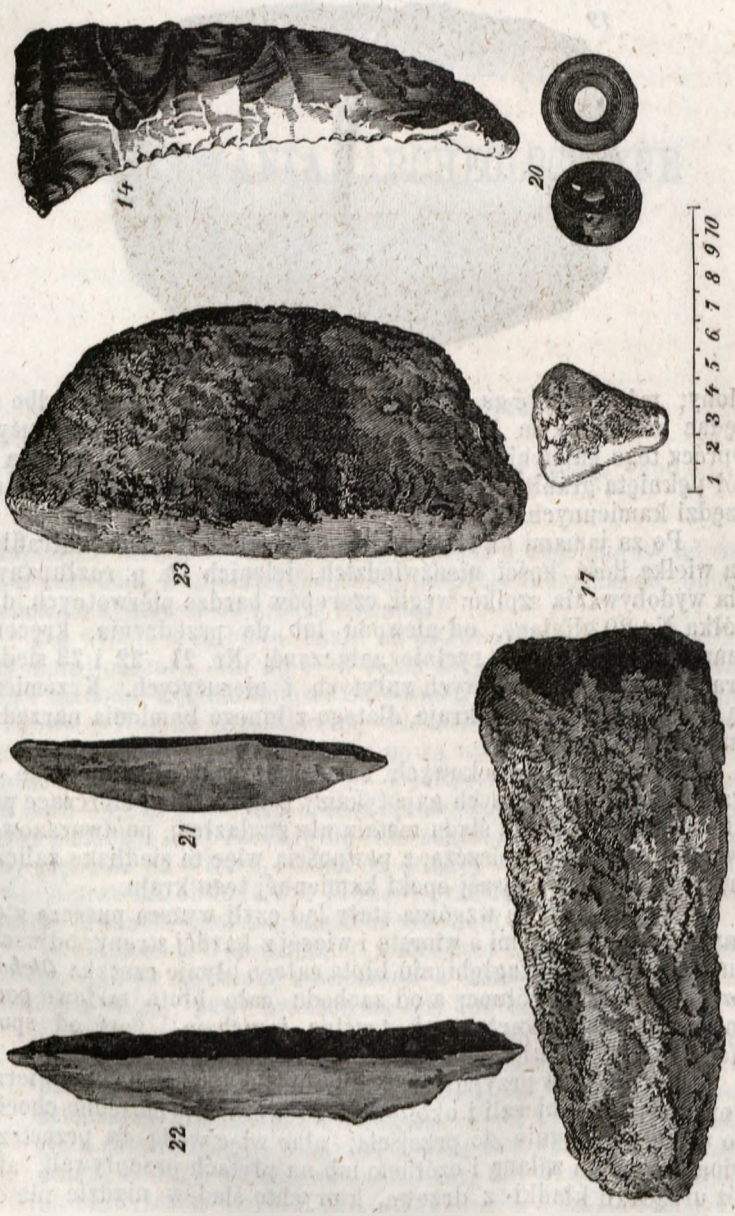
Po za jamami na toku zwirowym pod humusem natrafiłem na wielką ilość kości niedźwiedzich, jelenich i t. p. rozłupanych dla wydobywania szpiku: węgli, czerepów bardzo pierwotnych, dwa kółka Nr 20 gliniane, od niewodu lub do przędzenia, kręcenia sznurów służące, i w rycinie załączonéj Nr. 21, 22 i 23 siedem drapaczów mikaszystowych zużytych i niezużytych. Krzemienie są rzadkie w téj części kraju, dlatego z innego kamienia narzędzia znajdujemy.

Kilka dębów wiekowych bardzo spróchniałych jeszcze się wznosi, a po wielu innych napotykamy tylko z ziemi sterczące pnie i korzenie. Żadnego śladu metalu nie znalazłem, po dwurazowém zwiedzeniu tego okopiszcza; z pewnością więc to siedlisko zaliczyć można do najdawniejszéj epoki kamiennéj tego kraju.

Od całego tego wzgórza stały ląd czyli wyższa puszcza z dębami kilkuset letniemi o wiorstę i więcéj z każdéj strony; od wschodu w największém zagłębieniu błota całego płynie rzeczka *Olchówka* z południa na północ; a od zachodu całe błoto torfowe porośnięte brzozami karłowemi, trzciną i mchem. Torf od spodu sformowany, a z wierzchu coraz się powiększa.

Niepodobna przypuszczać aby ludzie kryjąc się od zwierząt i nieprzyjaciół obierali i okopywali to wzgórze, możebne chociaż po wielkiém bagnie do przejścia; albo więc wodą ta przestrzeń wiorstowa była zalaną i czółnem lub na płytach przepływali, albo też urządzali kładki z drzewa, którychto śladów nigdzie nie odkryłem.

Przy dwurazowém zwiedzaniu tego okopiszcza, nad torfem dość szczegółowo się nie zastanawiałem. Przestrzeń jednakże



ubita zwirem naprowadza nas na myśl, iż ta ilość tak wielka zwiru nieinaczéj jak wodą, pokrywającą całe błoto, sprowadzoną była, albowiem rzeczką Olchówką jeden nawet kloc drzewa letnią porą przesunąć niepodobna.

Była to więc osada podobna do mieszkań jeziornych w Szwajcaryi, wśród wody i puszczy żyli ci ludzie, a szczątki kości różnych zwierząt, czerepy gliniane, narzędzia kamienne, kółka od niewodu i t. p. dowodzą, iż tam liczna była siedziba ludzka.

II. Przedhistoryczne cmentarzysko w Grochowie.

(Poszukiwania z lat 1870 i 1871).

Dnia 23 listopada 1870 r..

Na prawym brzegu Wisły w *Grochowie*, o wiorstę od téj rzeki i od *Pragi*, o 250 sążni od *Terespolskiéj* kolei, a o 500 od *Moskiewskiéj* szossy, znajduje się pasmo piaszczyste wzgórzy, po części wiatrem rozwianych i rozkopanych. W średnim z tych wzgórzy wielka ilość urn z popiołami ludzkiemi się znajduje.

Przy pomocy łaskawéj i czynnéj JW. Panów Brühlow właścicieli téj ziemi, trafiliśmy na grób jeden cienko przykryty piaskiem, obrukowany bez żadnego cementu kamieniami, brukowcami zwanemi; po rozkopaniu tego grobu z czterech stron, okazał się że jest położonym od południa na północ, cztery i pół łokci długości, dwa szerokości i jeden wysokości, kształtu prawie owalnego podłużnego.

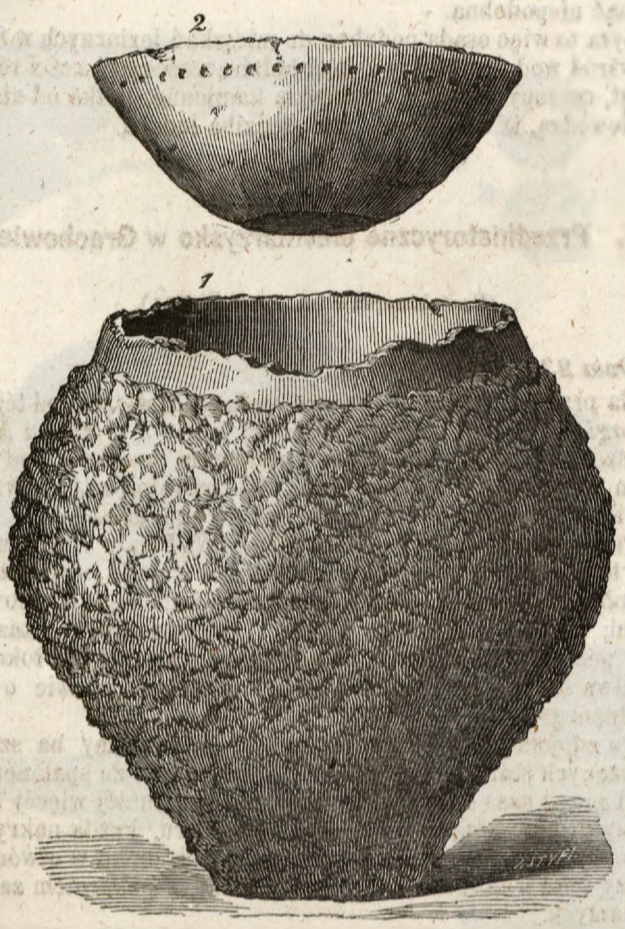
Po zdjęciu kilku kamieni i piasku, natrafiliśmy na szczątki urn ułożonych starannie, niestety potłuczonych, ze spalonemi kośćiami i przez czas spróchniałemi; liczba urn mniéj więcéj 15; jedna przy drugiéj ułożone rozmaitego rozmiaru, każda nakryta rodzajem płytkiéj pokrywy, misy lub miseczki dnem w otwór urny, a między temi ustawione mniejsze garnczki z pokarmem zapewne dla umarłych.

Urna jedna większego rozmiaru z popiołami i nakrywą znajduje się w zbiorze hrabiego Tomasza Zamojskiego, uprzednio przez panów Brühlow w całości wykopana (ob. rycinę Nr 1 i 2).

Ja zaś wydobyłem tym razem garnczek mały z uszkiem (Nr 3), ostrze od narzędzia krzemiennego, rodzaj dłuta bardzo pierwotnego (Nr. 4), i kształtu nadzwyczajnego kamień wapienny naciek stalagmit (Nr 5), służył zapewne jako amulet, lub będąc łatwy do ujęcia, jako narzędzie do lepienia urn i popielnic.

Po za tym grobem widocznie do naczelnéj familii należącego, wkoło natrafiliśmy na pojedyńcze urny z prochami na kilka łokci jedna od drugiéj wkopane, z tych niceśmy nie wyratowali. Średnie wzgórze okrągłe ma w przecięciu 150 kroków, inne dwa o 250 od-

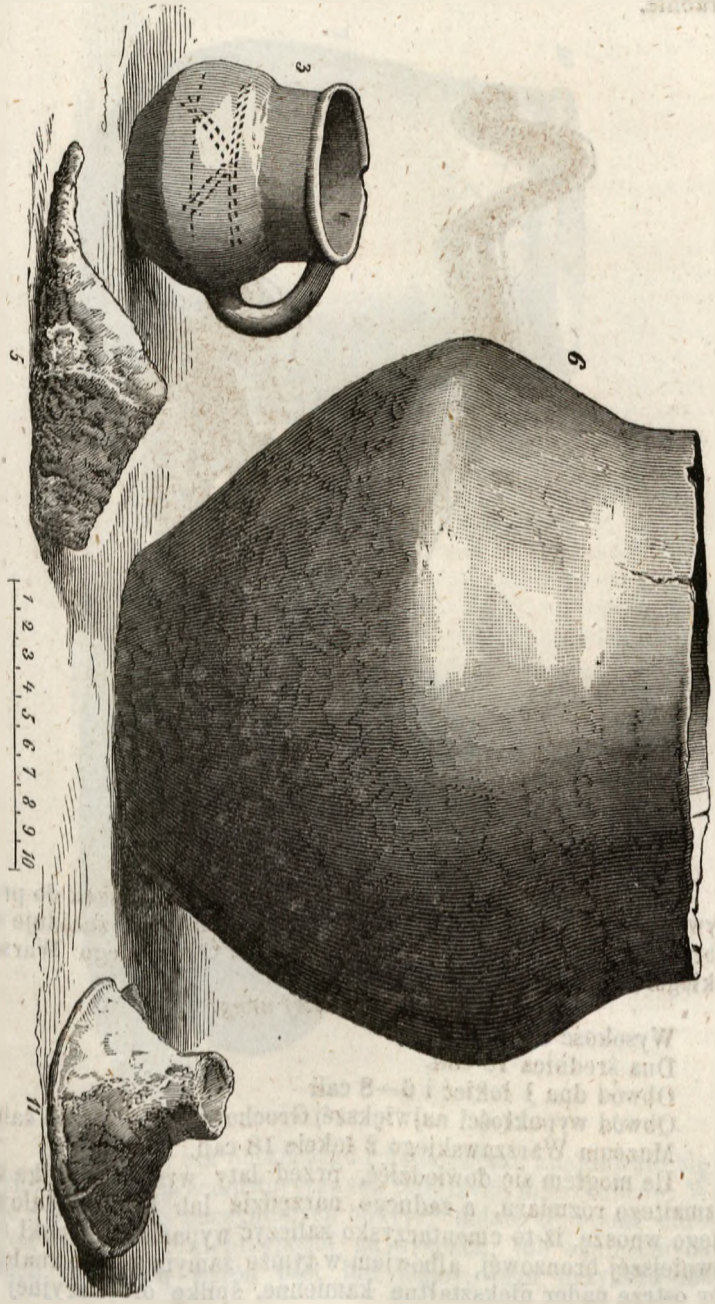
ległe, rozkopane dla wydobywania piasku: w tych dotychczas oprócz wielkiéj ilości czerepów niceśmy nie odkryli.



Dnia 1 czerwca 1871 r. wróciliśmy na Grochów w towarzystwie Alexandra hr. Przezdzieckiego, doświadczonego i zasłużonego naszego archeologa; tym razem natrafiliśmy także na wielką ilość urn rozmaitego rozmiaru z ręki lepionych i przekonaliśmy się, że urny pojedyńczo wkopywano z prochami, i pokryte płytkiém naczyniem lub wierzchem okrągłym dnem w otwór, przykrywano zwykle bardzo wielką urną w sposób na rycinie oznaczonym (Nr 9).

Znaleźliśmy między kościami spalonemi śpilkę od włosów bronzową, bardzo niekształtną (Nr. 12); urny trzy (Nr. 6, 7 i 8) prawie w całości wykopane; (Nr. 10 i 11) pokrywy trzy rozmaite-

go kształtu w kawałkach, służyć mogły do palenia oleju, lub stawiania jedzenia umarłym.



Każda urna lub naczynie innego rozmiaru, ztąd wnosić należy, iż bez żadnego toczydła, od ręki były robione, chociaż dość zgrabnie.



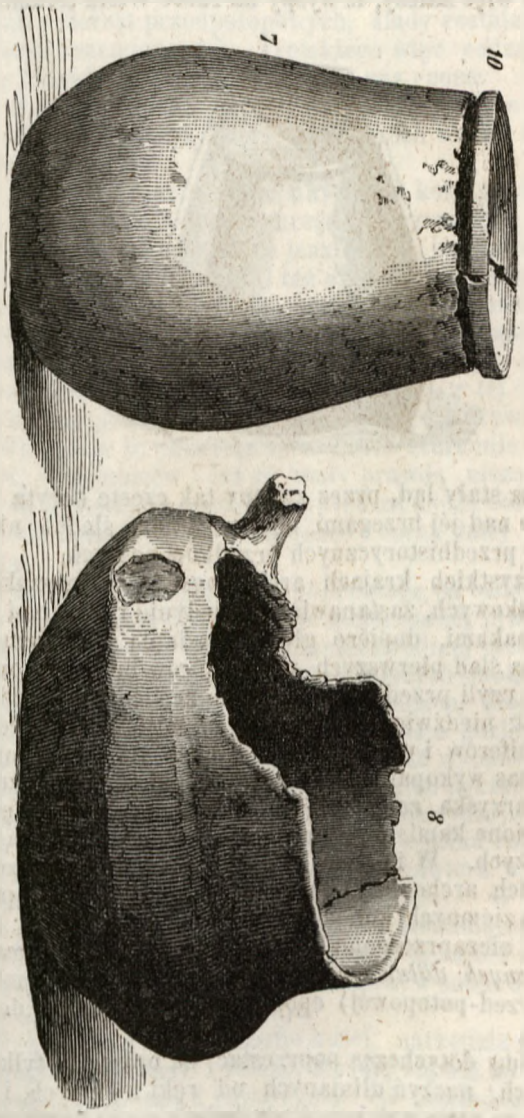
(Nr. 9). Urna jedna największego rozmiaru, służąca do przykrywania dnem do góry mniejszych urn z popiołami, znajduje się, dobrze sklejona, w Muzeum Uniwersytetu Cesarskiego Warszawskiego.

Rozmiary wielkiéj urny:

Wysokość 1 łokieć.
Dna średnica 10 cali.
Obwód dna 1 łokieć i 6—8 cali.
Obwód wypukłości największéj Grochowskiéj 2 łokcie cali 8.
Muzeum Warszawskiego 2 łokcie 18 cali.

Ile mogłem się dowiedzieć, przed laty wydobyto kilka urn rozmaitego rozmiaru, a żadnego narzędzia lub broni metalowéj; z tego wnoszę, iż to cmentarzysko zaliczyć wypada do epoki najdawniejszéj bronzowéj, albowiem w tymże samym grobie znaleźliśmy ostrze nader niekształtne kamienne, śpilkę ordynaryjnéj ro-

boty bronzową i inną ręcznej roboty, prawie bez ornamentacyi z gliny źle wyrobionéj czerwono-żółtéj.



W bliskości tak obszernego cmentarzyska znajdowało się zapewno siedlisko przedhistorycznych tutejszych mieszkańców. Wnosząc z dotychczas poczynionych odkryć, ludzie téj epoki chronili się od zwierząt i nieprzyjaciół na wyspach, lub wzniesionych na palach domkach, wśród błot lub jezior; tego przykład mamy

w Szwajcaryi na jeziorach, w Westfalii na torfowiskach, a w naszym kraju w W. Ks. Poznańskiém na brzegach jezior.

Wnosić więc należy, iż wyspy na rzece Wiśle teraźniejsze lub



zamienione na stały ląd, przez zmiany tak częste koryta téj rzeki i wzgórza po nad jéj brzegami, dostarczą nam śladów niezaprzeczonych osad przedhistorycznych przodków naszych.

We wszystkich krajach archeologowie w poszukiwaniach swoich początkowych, zastanawiali się jedynie tylko nad powierzchownemi oznakami, dopiéro głębsze badania geologiczne naprowadziły ich na ślad pierwszych mieszkańców ludzkich przed epoką potopową czyli przedlodową, razem ze śladami przed potopowych zwierząt: niedźwiedzi jaskiniowych, nosorożców, lwów, hyen, mamutów, reniferów i wiele innych. W naszym kraju opisywane były dotychczas wykopaliska na powierzchni ziemi okazujące się, groby, cmentarzyska, zamczyska, i tylko naczynia i narzędzia staranniéj obrobione kamienne, bronzowe i żelazne zwracały uwagę uczonych naszych. W innych krajach zachodnich a szczególnie skandynawskich, archeologia połączyła się z geologią, a przy wielkich robotach ziemnych, kolejach żelaznych, kanałach i t. p. natrafiali na ślady niezaprzeczone ludzkie w warstwach *pliocenicznych, post pliocenicznych, diluviach, alluviach* czyli w warstwach przedlodowatéj (przed-potopowéj) epoki i późniejszych, aż do czasów historycznych.

Musieliśmy dotychczas poprzestać na opisaniu tylko narzędzi kamiennych, naczyń glinianych od ręki lepionych, i te u nas uważane były za najdawniejsze ślady ludzi z epoki kamiennéj. Młoty, siekierki rozmaite, lud nasz uważał za kamienie piorunowe, a uczeni wnioskowali, że i u nas kamienna epoka istniała: ale do jakiéj epoki kamienne te szczątki należały, tego nie oświadczyli; czy do najpierwszéj, w któréj zaledwie narzędzia krzemienne rozpoznać można od naturalnie rozbitego krzemienia, czy też do staranniéj obrobionych, lub nareszcie do tak zwanéj epoki kamienia

szlifowanego. Tę pierwszą epokę najdawniejszą cechują nie tylko najniekształtniejsze narzędzia, ale też na kościach mamutowych lub innych zwierząt przedpotopowych, ślady rozbijania tych kości narzędziami krzemiennemi. Trojakiego więc rodzaju napotykamy ślady ludzkie w najodleglejszéj od nas epoce:

1) Szczątki ludzkie bardzo rzadko dotychczas wynajdywane w jaskiniach we Francyi, Belgii i Niemczech wraz z kośćmi przedpotopowych zwierząt.

2) Ślady narzędzi krzemiennych na kościach tych zwierząt.

3) Najniekształtniejsze narzędzia krzemienne.

W późniejszéj nieco epoce jaskiniowéj, już natrafiamy na czerepy naczyń glinianych, od téj też epoki zaczynamy śledzić człowieka krok za krokiem, w jego zwyczajach, sposobie budowania schronień od zwierząt i nieprzyjaciela, w jaskiniach lub śród jezior i błot na palach; przekonywamy się czém żył, czy się trudnił rolnictwem, jakie zasiewał ziarna, jakie były w téj epoce zwierzęta domowe, na jakie polował i jakich narzędzi używał do rybołówstwa. Wszystkie te odkrycia sprawdzone starannie zostały, przez geologów, archeologów i już się stały prawdą niezaprzeczoną; we wszystkich krajach ta nauka największą ciekawość zbudziła poznania rodu ludzkiego w jego kolébce i coraz daléj na téj drodze postępują.

U nas, jak rzekłem jeszcze poprzestają na badaniach powierzchownych, a przecież wyższa część ziemi naszéj przed epoką lodowatą nie była pokryta wodą i najniezawodniéj człowiek krył się w jaskiniach, a po ustąpieniu wód z niższych okolic, na brzegach rzek i jezior. Przy rzekach więc, na wyspach, śród błot w nanosach *post pliocenicznych* najświeższych, tam gdzie stare łożyska rzek lub torfowiska, śladów ludzkich szukać wypada.

Torfowiska prawie wszystkie należą do pokładów po-lodowatéj epoki, a tych u nas wszędzie ilość nadzwyczajna; przy wykopywaniu torfu uwagę zwracać wypada na skład roślinny; zwykle spodnia część, wodą najczęściéj zalana, zawiera w sobie inne gatunki roślin od średniéj i wierzchniéj warstwy. W Danii np. najniższa się składa z iglastego drzewa już nierosnącego w tym kraju, sosny szkockiéj; średnia z liściastego dębu też nieistniejącego, brzozy etc.; a najwyższa dopiéro zawiera w sobie do dziś dnia rosnące gatunki drzew w tym kraju.

Wynalezione w tym torfie kości, narzędzia najpierwotniejsze krzemienne, bronzy i żelazo, stosują się też do epok: najpierwotniejszéj, późniejszéj i najnowszéj. W pokładzie gdzie iglastego drzewa są ślady, znajdują się kości cietrzewi, głuszców, których szczątki nikną w pokładzie liściastego torfu, a człowieka ślady od najdawniejszéj do najświeższéj towarzyszą, z różnicą tylko wyrobu narzędzi coraz kształtniejszych krzemiennych, bronzowych i żelaznych.

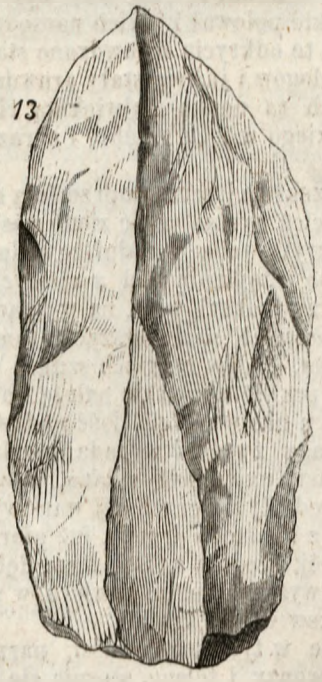
Cmentarzysko w Grochowie należy do epoki najdawniejszéj bronzowéj, w urnach znajdujemy palone kości, jednakże bardzo

niekształtne ostrza od strzały i śpilka bronzowa jedna roboty bardzo ordynaryjnéj, dowodzą, iż metalowych narzędzi i ozdób w kraju tym nierobiono, a z daleka sprowadzali i to rzadko.

Konstanty hr. Tyszkiewicz opisuje cmentarzyska, w których téż znajdywał różnych epok ślady; ztąd wnosi, że zwyczajem było u ludzi od bardzo dawna na témże samém miejscu, grzebać umarłych w rozmaitych epokach bardzo od siebie oddalonych.

Nad *Swisłoczą* rzeką w *Zborsku* zwiedzałem cmentarz chrześciański na dawném okopiszczu pogańskiém założony, gdzie kiedy niekiedy znajdują czerepy urn z popiołami.

Narzędzia krzemienne znajdujemy w naszym kraju od najniekształtniejszych do najdoskonalszych. Ostrze od strzały grochowskiéj (Nr. 4), w Rzucowie Sandomierskiém nóż (Nr. 13) krzemienny, i tysiące odłamków znalezionych w *Grabówce* pod Płoc-



kiem przez Alexandra hr. Przezdzieckiego i professora Przyborowskiego należą do epoki krzemienia ciosanego najpierwotniejszego *(paleolithique)*, a rodzaj sierzpa (Nr. 14) z *Woroneżyna* na Wołyniu od księcia Włodzimierza Czetwertyńskiego mi ofiarowany, roboty bardzo doskonałéj, policzyć można do wyrobów najdoskonalszych krzemiennych.

Ogólną zasadę przyjęli *J. Lubock* i inni archeologowie uważać wszelkie odłamki krzemienne (Nr. 15 i 16) całe, złamane lub



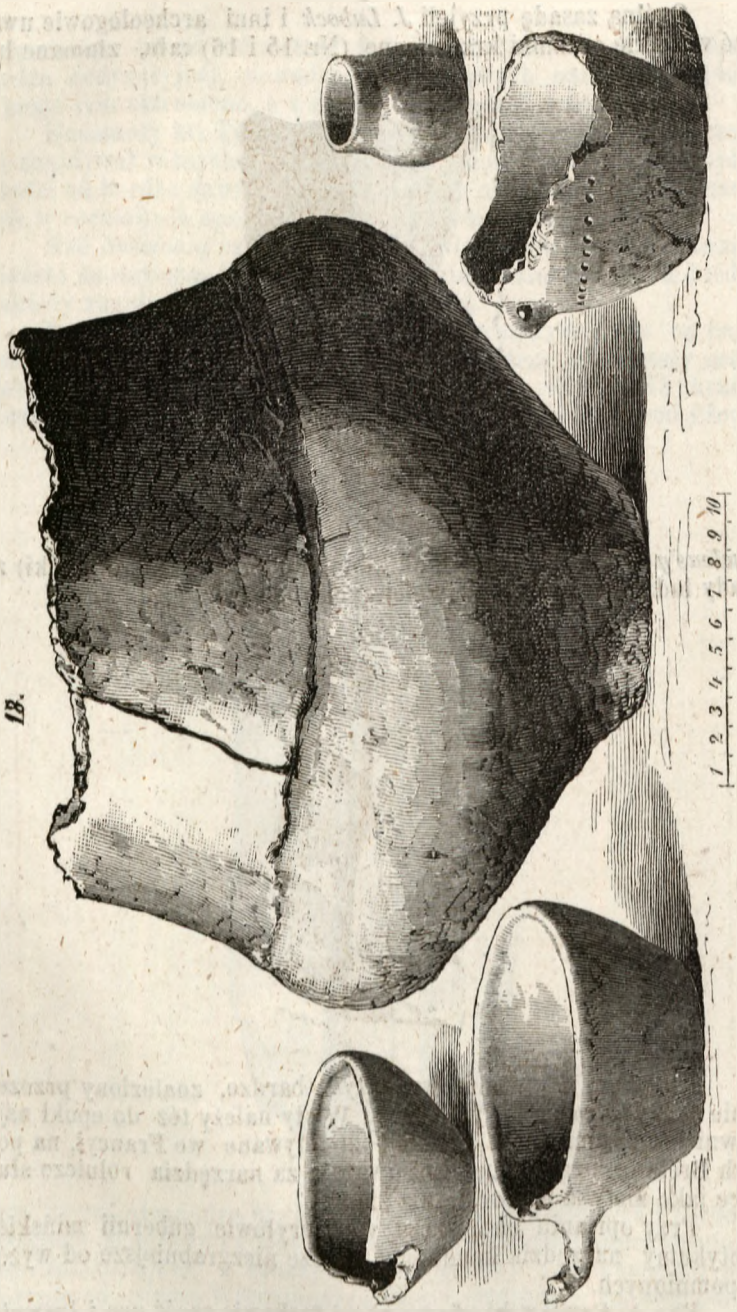
nucleus'y (środki krzemieni od których odbite zostały odłamki) za ślady ludzkie z epok najdawniejszych rodu ludzkiego.



Klin (Nr. 17) granitowy zużyty bardzo, znaleziony przezemnie w *Żabieńcu* na lewym brzegu Wisły należy też do epoki najdawniejszéj kamiennéj; podobne znajdywane we Francyi, na polach Bretanii, uczeni tameczni uważają za narzędzia rolnicze służące jako motyka do rozbijania ziemi.

Przy opisaniu okopiszcza w Czuryłowie gubernii mińskiéj spotykamy narzędzia kamienne jeszcze niezgrabniejsze od wyżéj wspomnionych.

Pan A. Pawłowski ofiarował mi łaskawie sześć urn i łzawnic (Nr. 18), przed laty własną ręką wykopane w powiecie konińskim we wsi *Królikowie*; wyrobu są ręcznego ale doskonalszego i z lepiéj wyrobionéj gliny, aniżeli grochowskie wyżéj opisane.



Przy coraz większém zamiłowaniu do archeologii w naszym kraju, nie wątpię iż dalsze poszukiwania na tém miejscu zaniedbane nie będą i więcéj nam szczegółów ciekawych dostarczą.



Plan z oka zdjęty.

III. Ojcowska dolina i jéj okolice.

W badaniach archeologicznych Ojcowa i całéj téj prześlicznéj okolicy, przedewszystkiém poszukiwaliśmy w jaskiniach śladów człowieka przedhistorycznego, i nasza praca jak najpomyślniejszym została uwieńczona skutkiem. Opisując cmentarzysko grochowskie wspomniałem iż w części górzystéj, wody, z epoki potopowéj czyli lodowatéj, wcześniéj ustąpić musiały aniżeli z płaszczyzn; w jaskiniach więc jako naturalnych schronieniach ślady zwierzęce i ludzkie prawdopodobnie wynajdywane być mogą. Panowie Ślusarski laborant anatomii porównawczéj przy Uniwersytecie Cesarskim Warszawskim, i Marcin Olszyński udzielili mi swéj łaskawéj i naukowéj pomocy.

Dnia 29 lipca r. b. zwiedziliśmy jaskinię *Łokietkowską* i *Królewską* czyli *Ojcowską;* w pierwszéj z nich i to u wejścia kopiąc na łokieć głębokości aż do *stalagmitu* wciąż znajdywaliśmy kości niedźwiedzia jaskiniowego *ursus speleus* w wielkiéj ilości wapieniem przesiąkłe, a szczególnie w jamie, dokąd się po drabinie spuszcza. Wszystkie te jaskinie Łokietkowska i Królewska wysoko są bardzo położone, wejście trudne i uciążliwe, przystęp był jedynie tylko dla zwierząt możebny; ludzkie ślady znaleźliśmy tylko w *zbójeckiéj;* narzędzie z kości jeszcze nie zdeterminowanéj, długości cali 3 i pół, szerokości od 1 do 1 i pół cala, grubości ćwierć cala. Oprócz ostatniéj *Wierszchowskiéj* jaskini, w żadnéj innéj krzemienia ani najdrobniejszego nie spostrzegliśmy, pomimo pilności wielkiéj.

Cała ta część kraju należy do utworu *jurassowego* czyli *oolitu* górnego. Wejście do jaskini bywa zwykle nizkie i ciasne; następnie groty czyli sale obszerne, połączone korytarzami, *stalaktyty* z góry, a *stalagmity* z dołu łącząc się tworzą filary, które z czasem do tyla się powiększają, iż zagradzają cały korytarz.

Kości niedźwiedzie wynajdywane, teraźniejszém położeniem swojém dowodzą, iż te zwierzęta zaskoczone będąc kataklizmem wodnym lub innym, tam na miejscu zginęły, albowiem kości miotaniem wody nie otarte i nie rozrzucone, nadto, piszczele razem z czaszką i kręgami się znajdują. W najgłębszych lochach nanosu żadnego niema oprócz rumowiska (odpadów od skał) lub stalagmitu tworzącego się. Ilość kości niedźwiedzich i innych zwierząt jest bardzo wielka, po zdeterminowaniu w osobnym artykule opisane będą.

31 t. m. zwiedziliśmy *Zbójecką* jaskinię i *Jerzmanowską*, *nietoperzową* zwaną, w téj ostatniéj czerepy były od garnków bardzo niekształtne, niedźwiedzie kości w ilości nadzwyczajnéj i rodzaj haka z rogu jelenia lub renifera obrobiony jak na tablicy.

Jerzmanowska jaskinia słynie z ilości nietoperzy w dwóch salach na 30 łokci średnicy. Pomiot tych zwierząt rodzaj *guana* pokrywa cały spód jaskini na pół łokcia mniéj więcéj, wystają tyl-

ko rumowiska skał po których przejść można; przed kilką laty dziedzic teraźniejszy Ojcowa wywiózł na pole 500 fur tego nawozu z dobrym skutkiem, jednakże wywóz nader uciążliwy i teraźniejsza ilość nie odpowié sądzę poniesionemu nakładowi.

15 sierpnia r. b. udaliśmy się do jaskini *Wierszchowskiéj* w udzielnéj dolinie położonéj, w téj dopiéro powiedzieć możemy, iż człowieka jaskiniowego z dwóch epok kamiennych *paleolitycznéj* i *neolitycznéj* czyli ciosanego i szlifowanego kamienia, odkryliśmy.

Przystęp do jaskini łatwy, wejście od zachodu, na 30 łokci najwięcéj od poziomu doliny. Przed otworem ciasnym na jednego człowieka rodzaj przedsionku, długi na 13 łokci, szeroki na 5 łokci, a wysoki na 8 łokci; na pół łokcia pod nanosem ziemi czarnéj ślad ogniska z prawéj strony gdzie niegdzie z węglem zmięszany; wkoło tego ogniska sterczały narzędzia krzemienne rozmaitych rozmiarów, kości połupane dla wydobywania szpiku zwierząt jeszcze nie zdeterminowanych, bryły większych kamieni *nuclensami* zwane, z których odbitki służyły do robienia narzędzi, czerepy od naczyń glinianych ręką lepionych i jeden paciorek szklanny śliczną patyną czyli glazurą pokryty; ten leżał prawie na powierzchni pod dwucalową warstwą ziemi — słowem, siedziba niezaprzeczona ludzka z epoki kamiennéj. Wspomnę jeszcze iż na 15 łokci niżéj wejścia, rodzaj okopu stanowi jakby wał broniący przystępu do jaskini.

Po wejściu wązkiém do jaskini przed nami filar stalaktytowy dzieli przestrzeń 30łokciową na dwa korytarze; od tego filaru na prawo w zagłębieniu gdzie jest drugie wejście do jaskini nizkie bardzo z przedsionku, na łokieć kopiąc znaleźliśmy jeszcze większą ilość krzemiennych narzędzi, a między temi kawał odbitego narzędzia szlifowanego na wszystkie strony: byłto klin, rodzaj dłuta lub siekiery do epoki neolitycznéj należący. Ciągną się daléj korytarze rozmaitéj długości i szerokości; tam kopiąc oprócz kości zwierzęcych nie zdeterminowanych jeszcze, niceśmy nie znaleźli.

Rzecz bardzo naturalna, iż tylko w przedsionku i przy wejściu samém jaskini ludzie mogli urządzać ognisko, albowiem dym znośniejszy, a daléj wchodząc nawet od pochodni duszący; cóż dopiéro dla mieszkających tam stale. Ognisko więc w przedsionku wynaleźliśmy i nigdzie indziéj w jaskini być nie mogło.

Podług opowiadania naszych przewodników przy końcu jednego bardzo ciasnego korytarza, dokąd wcisnąć się trudno, znajduje się rodzaj studni, do niéj nie inaczéj jak po linie spuścić się można, i tam jakoby pewien przewodnik z nazwiska nieznany znalazł przed laty czerepy od naczyń glinianych wielkiego rozmiaru. Miałożby to być w téj jamie cmentarzysko téj osady ludzkiéj? Między czerepami wprawdzie znaleźliśmy kawał naczynia bardzo wielkiego, dla braku jednakże sznurów téj jamy niestety zwiedzić nie mogliśmy.

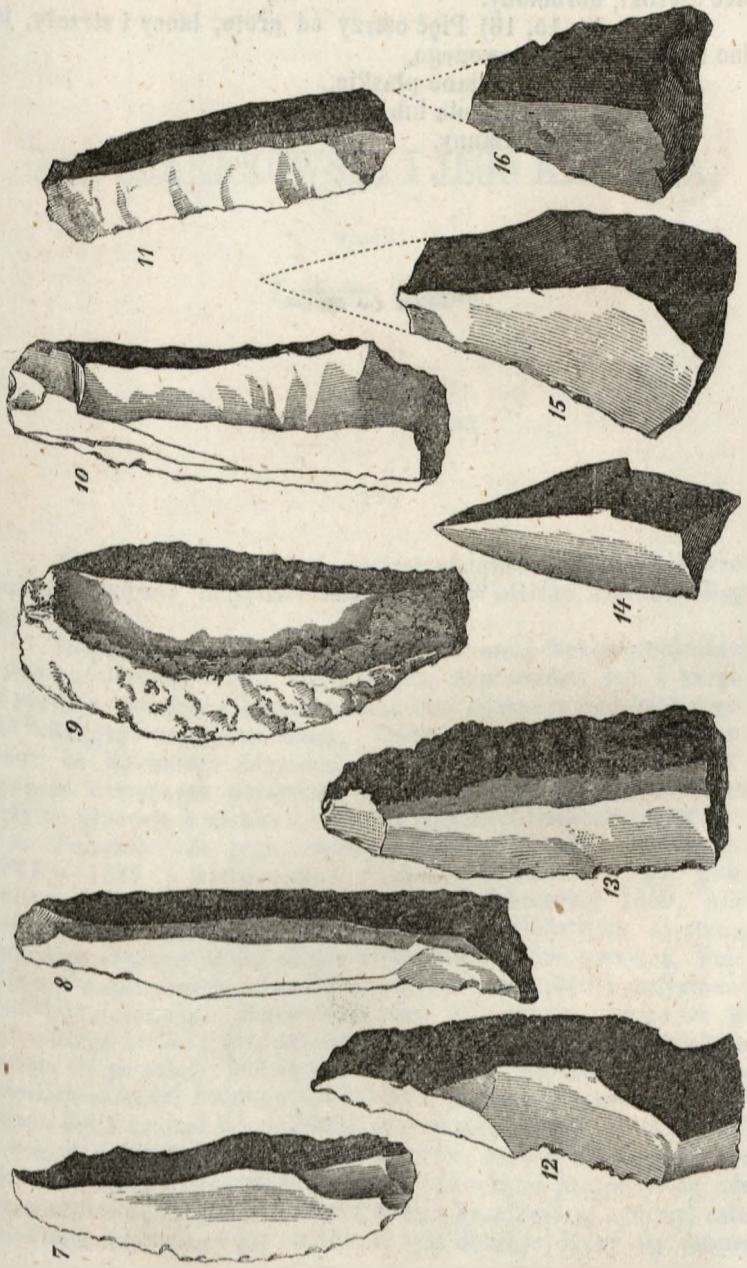
Piérwszy więc krok zrobiony, mamy ślady ludzi przedhistorycznych w Ojcowie z epok kamiennych; przy dalszych poszuki-

waniach odkryjemy niezawodnie szczegóły które nam umożebnią bliższe poznanie i opisanie obyczajów poprzedników naszych.

Narzędzia przedstawione na rycinie wielkości naturalnéj:



1) Nóż płaski, drapacz ostry na wszystkie strony, krzemienny.
2) Narzędzie łyżkowate (często w Danii wykopywane).



3) Kawał siekiery, dłóta lub klina, szlifowany.

7, 8, 9, 10, 11) Pięć odłamków *(éclats)* krzemiennnych, koniec szeroki, obrobiony.

12, 13, 14, 15, 16) Pięć ostrzy od grotu, lancy i strzały, jedno z krzemienia czerwonego.

4) Narzędzie kościane płaskie.

5) Hak z rogu jelenia lub renifera.

6) Paciorek szklanny.

JAN CZARNKOWSKI I JEGO KRONIKA.

PRZEZ

Ludwika Kubalę.

(Dokończenie).

IV.

Na stolicy gnieźnieńskiéj siedział podówczas 96 letni starzec, biskup, i osobisty przyjaciel Kazimierza Wielkiego, Jarosław Bogorya ze Skotnik.

Dostawszy się w 65 roku życia, jako archi-diakon gnieźnieński i vice-kanclerz, na stolicę arcybiskupią, zaprowadził ład i karność w kościele, zwiedzał jako metropolita inne dyecezye i zdziałał więcéj, niż wielu jego następców razem. Osobistość jego nabrała takiéj powagi, że Kazimierz mianował go pierwszym książęciem, która to godność następnym prymasom pozostała. Za jego staraniem stanęły na synodzie kaliskim 1357, owe sławne *Constitutiones ecclesiarum Poloniae*. Za jego staraniem powstał Statut wielko-polski 1341 — 1347 i wieko-pomny Statut wiślicki. Za jego pośrednictwem przyszła do skutku ugoda o dziesięciny 1359, którą przytłumiono zacięte spory między duchowieństwem a stanem świeckim i zaciętą walkę, długie wieki na Zachodzie trwającą, któréj ślady w niezliczonych pismach kanoników, prawników i statystów do dziś dnia pozostały. Wyobraźmy sobie tego starca, białego jak gołąb z długą brodą, z przymrużonémi oczyma, jak zgarbiony wiekiem, krząta się po całém królestwie, jak dogląda warsztatów i budowli wielkich zamków, które swoim kosztem, potężnémi murami otoczył; miast, które założył lub upięknił; całych ziem, które ludem osadził; mnogich kościołów jego fundacyi, pałaców, domów i chat, które zbudował.—Kiedy to wszystko rośnie pod jego rękami, przyjmuje się, udaje, a zaprawdę można powiedzieć wraz z kronikarzem „to był człowiek najszczęśliwszy" gdy zrobiwszy tyle dobrego, hojny dla wszyst-

kich, ubogich i uciśnionych najpewniejszy obrońca, znany od królów i książąt trzech ościennych narodów, wielbiony od swego jak ojciec i mąż najmiłosierniejszy, przeżywszy lat 100 przeniósł się spokojnie do wieczności.

Pod możną opieką tego starca, przeżył Czarnkowski kilka lat w spokoju. Codzienny gość na dworze arcybiskupa, tém więcéj pożądany, że grywał z nim w szachy; obowiązkami swemi najbardziéj do jego osoby zbliżony, pędził życie bezpiecznie, mało się troszcząc o dwór i wrogów swoich.

Urząd jego kościelny, archidyakonat, używał wówczas tak wielkiego znaczenia, że władzą swoją przyćmiewał znaczenie biskupa. Należał doń nadzór, wizytacya i prokuratorya (1) całéj dyecezyi bez sprawozdania; sąd i kara podczas objazdów i własna jurysdykcya, okrom miejsca w którém się sam biskup znajdował; to wszystko czyniło zeń najważniejszą osobę w oczach kleru nad którym miał dyscyplinarną władzę; w oczach zaś biskupów ówczesnych urząd ten który się *oculus et manus Episcopi* nazywał, był taką niedogodnością, że wszelkiemi sposobami władzę jego umniejszyć się starali. Znaczenie archidyakonatu najlepiéj się uwydatni wzmianką, że sobór trydencki chcąc tę władzę ograniczyć, odebrał jéj sądownictwo w sprawach małżeńskich i kryminalnych, prawo karania duchownych za konkubinat, i zabronił im exkomunikować na własną rękę (2). Takie były zajęcia Czarnkowskiego przy kapitule gnieznieńskiéj liczącéj 24 kanoników a 7 prałatów.

Tymczasem arcybiskup Jarosław ociemniał niespodzianie, a czując zbliżający się koniec życia, zrezygnował za zezwoleniem papieża z arcybiskupstwa, a na stolicę św. kościoła gnieznieńskiego wstąpił 3 czerwca 1374 r. krewniak jego, Jan Suchywilk kanclerz krakowski.

Nowy arcybiskup nie był lubiany: najprzód za to, że nie był z Wielkopolski, a potém że był dworakiem; duchowieństwo go nie cierpiało, bo był dla księży szorstkim i grubiańskim, o powagę kleru się nie troszczył. Tém więcéj rosła powaga i znaczenie Czarnkowskiego. Jeśli surowość obyczajów, rozum, powaga stanu, wielki ród, wielki majątek i urząd jaki za czasów zmarłego króla sprawował, dawały mu same przez się wielkie znaczenie, to w porównaniu z arcybiskupem miał go daleko więcéj jako ksiądz żarliwy o dobro kościoła; jako Nałęcz mający tylu stryjów w Wielkopolsce, jako człowiek, który nie cierpiał Węgrów, był prześladowany od dworu i niewinnie z urzędu odsunięty. A ponieważ trzymał zawsze ze szlachtą, był biegłym w sprawach publicznych, stosunki Królestwa znał dokładnie, a na rozumie i śmiałości mu nie zbywało, przeto każdy opór, każda opozycya, miała w nim głównego doradcę, a wszyscy niezadowoleni lub pokrzywdzeni swoją głowę. Czarnkowski stanął na czele Wielkopolski i—upadł z tego powodu.

(1) Był to rodzaj opłaty, jaką plebani za wizytacyę składać byli obowiązani.

(2) Aschbach Kirch. Lex.— Wetzer u. Welte Kirch. Lex.

* * *

Było to w lecie r. 1374, w Uniejowie, w letniéj rezydencyi arcybiskupów. Piękny ten pałac, $6\frac{1}{2}$ mil od Kalisza, wśród winnic, wśród rozległych łąk nad brzegami Warty położony, roił się gwarnie mnóstwem księży, szlachty, dworzan i sług nowego arcybiskupa. Jan Suchywilk zjechał był tamże z całym dworem swoim na letnie mieszkanie.

Czarnkowski był wówczas właśnie w Uniejowie, kiedy na zamek zjechali niespodziewani goście: przyjechał sam wszechwładny kanclerz Zawisza i Janusz rycerz zamku Salomona, magnat węgierski, przy boku regentki.

Przyjęci przez arcybiskupa oświadczają, że przybywają w imieniu królowéj aresztować Czarnkowskiego, który okradł skarbiec królewski z wielkich pieniędzy i klejnotów.

Popłoch powstał pomiędzy duchowieństwem jakby huk gromu, który uderzył w pierś Czarnkowskiego; rozeszła się ta wieść na wszystkie strony i w niejednéj głowie odezwało się echo „być może.“ Już sam wzgląd, że regentka przysłała pierwszego ministra państwa w celu przyaresztowania Czarnkowskiego, był dla większości dowodem jego winy; i nie można się dziwić, że ogół chętniéj uwierzy w zbrodnię człowieka którego szanuje, niż w nikczemność tego który się na jego respekcie opiera.

Czarnkowski wbrew woli i chęci arcybiskupa wyjechał natychmiast do Krakowa. Był on zarozważnym, aby sądom dworaka powierzył swój honor, i zanadto ufał w swoją niewinność, aby się obawiał swoich nieprzyjaciół. Zrobił co każdy zrobić powinien: ruszył do gniazda oszczerców i razem z Zawiszą i Januszem stanął w Krakowie.

Śmiałość oskarżonego zaczęła być dla dworu kompromitującą; przeto królowa za poradą Mikołaja z Kurnika uwięzić Czarnkowskiego zaraz po jego przybyciu kazała. Wysłany Spytek dworzanin na czele dworskich ludzi z rozkazem, aby gdziekolwiek archidyakona znajdzie, natychmiast go przyaresztował; znalazł Czarnkowskiego w Miechowie, kiedy w towarzystwie okolicznéj szlachty siedział przy obiedzie: oświadczył mu, że jest więźniem i jechać ze sobą rozkazał. Na poręczenie współbiesiadników został Czarnkowski cały ten dzień jeszcze w Miechowie, dworzanie jego tegoż wieczora wszyscy schwytani zostali, a nazajutrz pana ich przywieziono na zamek i do więzienia wtrącono.

W Krakowie pomiędzy duchowieństwem należącém do kancelaryi i w kołach bliżej dworu położonych, wiedziano aż nadto dobrze, że całą tę intrygę prowadzi Mikołaj z Kurnika, że obaj z Zawiszą wciągnęli w zmowy swoje kilku Węgrów z dworu królowéj i podarunkami i obietnicami namówili ich, aby Czarnkowskiego o kradzież przed królową oskarżyli, że kanclerze zasłaniają się powagą tronu i urzędu swego, dowodów żadnych nie mają i że Czarnkowski jest niewinny.

Tymczasem kanclerze (1) wysłali zaufanych ludzi do Floryana biskupa krakowskiego, którzy mu mieli oświadczyć, że królowa życzy sobie, że to jest wolą jéj, aby Czarnkowskiego na wieczną więzienie skazał. Biskup oburzony podobną insinuacyą kazał odnieść królowéj, że archidyakon jest człowiekiem sprawiedliwym, fałszywie oskarżonym i niesłusznie uwięzionym, i że zanadto dokładnie znaną mu jest jego niewinność, aby się chciał w czémkolwiek do jego nieszczęścia przyczynić.

Królowa dotknięta tą dworną odpowiedzią zawezwała oskarżycieli i rozkazała im, aby natychmiast z dowodami wystąpili, gdyż w przeciwnym razie Czarnkowskiego wypuścić rozkaże. Wysłano więc powtórnie poselstwo do biskupa z żądaniem, aby natychmiast śledztwo rozpoczął. Biskup odmówił twierdząc, że archidyakon pod jego sądownictwo nie należy i dodał przytém, że żadne śledztwo prowadzoném być nie może, jeżeli Czarnkowski formalnie oskarżonym nie zostanie. Wtedy królowa kazała więźnia wypuścić odsyłając go wraz z oskarżycielami pod sąd arcybiskupa.

Wypuszczono Czarnkowskiego w dzień Śgo Stanisława w jesieni (23 września), kiedy szlachta i panowie Królestwa tłumnie zjechali się do Krakowa. Ci z taką czcią i uszanowaniem go przyjęli, że współczucie to wynagrodziło mu wszystkie męczarnie i cierpienia jakich doświadczył. Przepędziwszy 9 dni wesoło, jak sam pisze, w Krakowie, powrócił do Uniejowa.

Zdaje się, że po wypuszczeniu Czarnkowskiego ani królowa, ani kanclerze nie mieli ochoty wznawiać téj sprawy na nowo. Nie udało im się wtrącić go na całe życie do więzienia, ale udało im się uwikłać go w brudną sprawę i zostawić na osobie jego plamę nieoczyszczonego honoru; nieprzyjaciele Czarnkowskiego musieli być bardzo liczni i bardzo zuchwali. Mamy dowody że pisano na niego paszkwile jakoby ukradł za czasów Kazimierza 16,000 grzywien groszy ze skarbu, zarzucano mu publicznie nieprawe urodzenie, czary, złe życie, zaczarowany pierścień od jakiegoś żyda Lewka; robiono zeń czarnoksiężnika, złodzieja i rabusia i przymuszano, go do ciągłych skarg i procesów.

Czarnkowski musiał się starać, aby nietylko siebie samego sądownie oczyścił, ale i oskarżycieli swoich pociągnął do odpowiedzialności, bo jako człowiek używający złéj opinii nie mógłby się był nawet na swojém kościelném stanowisku utrzymać. Ale na to potrzeba było zostać sądownie oskarżonym, bo bez skargi, jak to słusznie zauważył biskup krakowski, nawet śledztwo było niemożebném. Tymczasem donosiciele mimo całéj potęgi i zuchwalstwa, nie mieli odwagi narażać się na skutki nieudowodnionéj skargi.

(1) Mikołaj z Kurnika był już kanclerzem wielkopolskim, czyli jak wówczas nazywano polskim w r. 1372: Zawissius archid. vicecancell. aule nostrae et Nicolaus de Kurnik decretorum doctor cancellarius noster majoris polonica. Cod. Dipl. Raczyn. 262.

Prawa Kazimierza W. surowo karały potwarz, która z powodu wadliwéj procedury sądowéj w Polsce się zagnieździła. Na potwarców była ta sama kara co na zabójców: za osławienie kobiety trzeba było sądownie pod ławą odszczekiwać, a sam król rozpalonem żelazem potwarców piętnować kazał. Prawo kanoniczne, z którém nieprzyjaciele Czarnkowskiego najwięcéj mieli do czynienia, również surowo potwarców karało a to z tego powodu, że dawało większą łatwość wyszukania ich i sprowadzenia przed sądy kościelne. Wrazie nieudowodnienia trzeba było ponieść karę, zwaną *talio* i cierpiéć to, na co oskarżony po udowodnieniu mu winy zasługiwał (1): potwarcy tracili beneficya, podpadali exkomunice, a w danym razie mogli być nawet publicznie chłostani (2). Wiedział o tém wszystkiém Mikołaj z Kurnika i ułożył tak całą tę sprawę, że nie było skargi ani oskarżyciela, i nikt do odpowiedzialności pociągniętym być nie mógł.

Czarnkowski wróciwszy do Uniejowa uprosił arcybiskupa, że przed sąd swój zacytował. Mając pozew w ręku, ogłosił go po wszystkich kościołach edyktem oznajmiającym, że posądzony o kradzież skarbu królewskiego wzywa na termin dany wszystkich, którzyby go na podstawie fałszywego doniesienia oskarżyć chcieli w całości lub w jakimkolwiek szczególe tyczącym się téj sprawy.

Gdy termin nadszedł, stanął przed sądem arcybiskupim w Żninie Mikołaj z Kurnika, jako poseł królowéj regentki i żądał w jéj imieniu, aby arcybiskup natychmiast śledztwo rozpoczął obowiązując się, jak się samo przez się rozumie, przedstawić sądowi wszelkie poszlaki na których się to żądanie królowéj opierało. Nie potrzeba dowodzić, że podobna procedura, choćby się zakończyła zupełném uniewinnieniem, może skompromitować najczyściejszego człowieka. Oparł się też Czarnkowski twierdząc, że śledztwo wytoczoném być niemoże, dopóki formalnie oskarżony nie zostanie, powiedział, że podejrzenie jakie nań rzucono, pochodzi od największego wroga, od obecnego Mikołaja z Kurnika i ofiarował się zapisać z tymże *in poenam talionis*, było go tylko na podstawie ogłoszonego edyktu oskarżył. Oświadczeniem tém zrzekał się Czarnkowski wszelkiéj skargi o oszczerstwo gdyby mu kanclerz winy nie udowodnił, dozwalał się skarżyć na podstawie edyktu nie o całą zbrodnię, ale o najmniejszy szczegół mający z nią styczność, a wrazie nieudowodnienia skargi, Mikołaj z Kurnika miał cierpieć tylko taką karę, jakąby na Czarnkowskiego przed sądem wniesiono. Kanclerz odmówił i— czego się nikt nie mógł spodziewać,— wystąpił z prośbą w imieniu królowéj i swojém imieniu, aby cały ten proces zaniechano i Czarnkowskiego od wszelkich zarzutów zwolniono, co też arcybiskup natychmiast uczynił.

Był to srogi cios i ciężka krzywda dla Czarnkowskiego, bo po tym fakcie tracił bezpowrotnie wszelkie znaczenie, a honor jego przestał interesować ludzi. Szczerze życzliwi dworowi mogli być zupełnie zadowoleni, że się rząd zgrabnie wycofał z tego skandalicznego

(1) Corp. Jur. Can. Decreto II, cania II, questio III, cap. II i III.
(2) Decretal. Lib. V, tit. II, cap. I i II.

procesu, który po oświadczeniu biskupa krakowskiego i po tak ostentacyjném przyjęciu jakiego Czarnkowski doznał od panów i szlachty polskiéj w Krakowie, kompromitował dwór i podkopywał wszelką moralną jego powagę. Stronnicy Czarnkowskiego mogli w dobréj wierze uważać ten krok rządu, za przyznanie się do winy i odwołanie tego co się stało, ale dla ogółu to wszystko nie wystarczało; Czarnkowski wcale nie został z podejrzeń oczyszczony. Gdyby dziś w kraju którym dwór wytoczył ministrowi śledztwo z powodu kradzieży, a potém całą tę sprawę stłumił, to opinia publiczna prędzéjby przypuszczała, że jest miłosiernym, że nie chce kompromitować więcéj ludzi i t. p. powody, niż to, że się przyznaje do winy, iż działał lekkomyślnie lub że był oszczercą. Na sto ludzi z których połowa wierzyła w niewinność archidyakona, a połowa o jego winie była przekonaną, nie wiedział po tym kroku żaden, co o téj całéj sprawie myśleć.

Czarnkowski czuł, że jest zgubiony, a widząc, że w kraju niema dla niego ratunku, przedsięwziął ciężkiéj krzywdy swojéj na dworze papiezkim dochodzić i tam królowę, Mikołaja z Kurnika, Zawiszę i resztę donosicieli oskarżyć. Przedtém jednakże rozpoczął kroki, aby się kanonicznie z wszelkich podejrzeń oczyścić.

Prawo kanoniczne dozwala księdzu, który w ciężkiém podejrzeniu u biskupa, u duchowieństwa i u ludu zostaje oczyścić się przysięgą, i przepisuje w tym celu formę, która się *purificatio canonica* nazywa (1), i czas 2 lutego w dzień Oczyszczenia N. Maryi P. (2).

Podawszy prośbę do arcybiskupa, ktory się temu sprzeciwiał, ale zabronić nie mógł, ogłosił po wszystkich kościołach trzy termina z wezwaniem wszystkich, którzyby go oskarżyć chcieli. Gdy na trzecim terminie nikt nie stanął, przystąpiono do ceremonii i po odbytéj spowiedzi i przyjęciu komunii wszedł Czarnkowski wraz z 5ma kanonikami do katedry gnieznieńskiéj i tamże przed wielkim ołtarzem, w obec zgromadzonego ludu, na czterech ewangeliach niewinność swoją poprzysiągł zwykłą formułą: „Ja N. nie sądzony przez nikogo, nie przymuszony, z własnéj woli mojéj oczyszczam się w obliczu waszém, w obec Boga i aniołów Jego, który zna sumienie moja, że zbrodni, którą mi zarzucają nie popełniłem ani popełnić kazałem.” Po dokonaniu téj przysięgi przystąpiło pięciu jego towarzyszy i poprzysięgli, że wierzą iż Czarnkowski prawdę poprzysiągł.

Arcybiskup wydał mu na żądanie świadectwo oczyszczenia wraz z opisem przebiegu jego całéj sprawy, opatrzone podpisami i pieczęciami świadków, a Czarnkowski zaczął się wybierać w drogę chcąc jak powiedziano wyżéj, przed sądem papiezkim dochodzić krzywdy swojéj na królowéj i jéj donosicielach.

Wtedy królowa, powodowana prośbami i nieczemi podszeptami kanclerzy i ich wspólników, skazała Czarnkowskiego na wygnanie i rozkazała mu odebrać wszystkie jego dziedziczne dobra i kościelne beneficya, pomimo protestu wszystkich panów Królestwa polskiego.

(1) Decreta II, causa II, questio V, cap. XVII, XVIII, XIX.
(2) Tamże cap. XVII.

Zrobiła to zaś w tym celu jak twierdzi sam Czarnkowski, aby nie mając funduszów zaniechał podróży na dwór papiezki. „Ale chęci królowéj pani— pisze Czarnkowski — nie zostały spełnione, albowiem archidyakon ufając w protekcyą Boga i w swoją niewinność, nie bojąc się wcale gniewu królowéj, z Królestwa w żaden sposób wyjść nie chciał i dopiéro za poradą niektórych panów, aby przez tychże furya królowéj łatwiéj mogła być ułagodzoną, do Wrocławia się przeniósł. Tamże jakiś czas przepędziwszy, udał się do Pragi, a ztamtąd do wiel. ojca Piotra, biskupa lubuskiego, który go miłościwie przyjął i przez 7 tygodni i dłużéj po przyjacielsku gościł. Następnie powrócił do domu i aż do śmierci téjże królowéj na beneficyach swoich, służąc Bogu pozostał; a nie troszcząc się wcale o jéj gniew, wyrok exkomunikaty na nią ogłosił.“

Tak się skończył ten skandaliczny proces, który zrobił wielkie wrażenie w całéj Polsce, poruszył całe duchowieństwo, wywołał demonstracye i protesta kilkakrotne panów i szlachty Królestwa, podkopał powagę dworu, a być może, że spowodował odjazd wyklętéj królowéj. Dziwna rzecz, że historya nasza zacząwszy od Długosza, podając najskrupulatniéj drobniejsze wypadki, pomija zupełnie całą tę sprawę, ktora przebiegiem swoim i osobistościami biorącemi w niéj udział, głębokie wrażenie w swoim czasie robić musiała. Kładę to na karb pewnych względów, jakiemi się powodowali starzy nasi historycy. U nowszych, począwszy od Naruszewicza, pominiętą została ta sprawa zapewnie jako digressya, która jest za obszerną a pozornie niema żadnéj styczności z biegiem wypadków, lub tóż jako rzecz wymagająca dłuższych poszukiwań, na które pisarze całéj historyi polskiéj czasu nie mieli.

V.

Jest niewątpliwą rzeczą, że w sprawie téj mamy przed sobą wielką krzywdę po jednéj, a wielką przewrotność po drugiéj stronie. Niewinność pokrzywdzonego tém jaśniéj występuje, że w stosunkach w jakich zostawał do dworu i do potężnych kanclerzy, żadna siła ludzka nie mogłaby go uratować, gdyby najmniejsza plama na jego dawném urzędowaniu ciążyła.

Pomimo to proces ten jest niezrozumiałym. Nie można pojąć, jakie powody miał rząd ówczesny do podjęcia takiego skandalu, do popełnienia tak nikczemnego uczynku. Ośmdziesięcioletnia regentka, doświadczona w sprawach rządu, dwóch kanclerzy, którym nikt rozumu nie może odmówić, rzucają się po 3 latach spokojnych na człowieka, który im nic złego nie zrobił i podnoszą nań fałszywe oskarżenie, pomimo, że o jego niewinności są najmocniéj przekonani; powagę tronu, urzędu i osobistości swoich kładą na szalę, aby przeważyć niewinność ludzką, nie szczędzą zabiegów osobistych, byle zgubić człowieka, a w końcu z obawy aby nie pojechał ze skargą do papieża,

którego się nikt nie obawiał, a tém mniéj dwór węgierski, wyganiając go z kraju pomimo protestu całéj szlachty — dlaczego?

Nienawiść osobista, interes osobisty nie może tutaj wchodzić w rachubę, bo napastnicy byli wszechwładni w Polsce i posiadali zupełne zaufanie króla i regentki. Jeśli chodziło o zaspokojenie nienawiści, to ci ludzie byli zanadto zuchwali, potężni i sprytni, aby nie potrafili zgnieść na miazgę człowieka bez pełnienia roli oprawców, bez jeżdżenia po terminach, i robienia skandalu w kraju ze szkodą domu królewskiego. Jakąż korzyść osobistą mogli wynieść z procesu z człowiekiem, który wypadł z łaski dworu i nie mógł mieć żadnéj nadziei, aby ją kiedykolwiek odzyskał?

Czarnkowski mówi, że obaj kanclerze widząc jak wielkie zachowanie i wziętość u ziemian ma archidyakon, słysząc o nowych prośbach, jakie za nim do króla i królowéj wnoszono, ułożyli na niego nowe kłamstwo; ponieważ jednak więc u szlachty ani prośby jakie za kimś do dworu zanoszą, nie są dostatecznym powodem do wytoczenia kryminalnego procesu i do wypędzenia go z kraju, przeto należy rozważyć co to była za wziętość jaką Czarnkowski posiadał, i prośby jakie za nim wnoszono, i o ile one były niebezpieczne dla królowéj i kanclerzy, że się na podobny proces odważyli. W tym celu trzeba zwrócić uwagę na inny, nierównie ważniejszy proces, jaki się właśnie w owym czasie toczył pomiędzy Polską a domem królewskim, i rozważyć, czy obie te sprawy nie stały ze sobą w styczności.

Jeszcze za czasów Kazimierza zapewniono domowi węgierskiemu dziedziczność w Polsce, ale tylko w linii męzkiéj. Układ ten zaprzysiężony obustronnie znajdował się w liście królewskim, który Ludwik wydał Polakom w Budzie 1355 roku. Tymczasem król Ludwik syna nie miał, po jego śmierci Polska była zupełnie zwolnioną od wszelkich zobowiązań dla jego domu, a trzy córki królewskie: Katarzyna, Marya i Jadwiga żadnego prawa do korony rościć nie mogły.

Otóż Zawisza zobowiązał się, że listy te wydostanie i przeprowadzi, że Polacy córki królewskie za panów i dziedziców swoich przyjmą (1). Był to pomysł tak zuchwały, że nawet ojcowskie serce Kazimierza nie ośmieliło się próbować coś podobnego, i król ten mając rodzoną córkę, którą serdecznie kochał, nie starał się nawet o to, aby jéj koronę polską zapewnić, ale Ludwika, jako następcę po sobie narodowi przedstawił. Tak silnym był zwyczaj, prawo publiczne (2) i wyobrażenia narodu, który kobietę od tronu wykluczał. Prócz tego sam król i rządy jego były niecierpiane, a jeśli szlachta i książęta z krwi Piastów zachowywali się spokojnie, to jedynie dlatego, że Ludwik syna nie miał.

(1) Kron. nr. 56— quasdam literas per Dom. Ludovicum... Regnicolis Poloniae datas, rehabere affectabat... Sommersb. II. 132.

(2) Casimirus .. dicebat se jus habere in regno Poloniae inferioris asserendo quod faemina non posset hereditan in regno. Cesarz Karol IV, w życiu swojém 96.

Król i regentka uwierzyli, że Zawisza za pomocą krewnych i kanclerza wielkopolskiego dokona co obiecał, i od tego czasu wicekanclerz stał się wszechwładnym na dworze krakowskim (1). Królowa obsypywała go łaskami, znosiła chętnie jego awantury, a dla samego króla nie było nic trudnego, byle utrzymać przy dobrych chęciach człowieka, który jednéj z córek jego dawał całe Królestwo w posagu. Sam Zawisza dostał listowne przyrzeczenie, opatrzone pieczęciami królewskiemi, że pierwsze biskupstwo jakie w Polsce zawakuje, jemu się dostanie (pierwszy przykład ekspektatywy w Polsce), ojciec i krewni jego obsypani łaskami i obietnicami. Pieczęć po Janie Suchywilku przeszła w jego ręce, a cokolwiek zaproponował w celu przeprowadzenia swego planu, wszystko spełnionem zostało.

Plan był potężny i tak dowcipnie obmyślony, że przy wszystkiém jeszcze i skarb królewski mógł co skorzystać. Kanclerze nie szukali stronnictwa, nie ujmowali szlachty, ale starali się przedewszystkiém pozyskać kilkunastu panów, którzy największe korzyści z całéj téj sprawy wynieść mieli. Tym przedłożyli plan ułożony przez Mikołaja z Kurnika (2); pieniądze, ekspektatywy i pokrewieństwa usunęły obawy i względy, a tak załatwiwszy to w największéj tajemnicy, wzięli się dopiéro wtedy do całego narodu i wystąpili z edyktem królewskim, nakazującym starostom i prefektom wybierać od wszystkich mieszkańców Królestwa Polskiego, z dóbr szlacheckich i z dóbr kościelnych, podatek zwany poradlne, 12 groszy i mierzycę owsa i żyta z łanu (3).

Edykt ten wywołał ogólne oburzenie. Zdawało się szlachcie i księżom, że to dżumę wytrębują i niewolę wieczystą, która im wsie i kmieci poniszczy. Arcybiskup, biskupi, duchowieństwo i szlachta jak jeden mąż podatku królowi odmówili, twierdząc, że od wszelkich podobnych podatków i poborów listami jego są zupełnie zwolnieni (4).

Odpowiedź ta (5), którą posłowie polscy Ludwikowi odnieśli, świadczy o zgodném porozumieniu się poprzedniém, duchowieństwa

(1) Kronika nr. 56.

(2) Tak należy wnosić ze słów samegoż Mikołaja z Kurnika: „Zawisza jest dziś biskupem krakowskim, za co nie komu innemu, ino Panu Bogu i mnie ma podziękować" i z innych oskarżeń jego. Kronika nr. 57.

(3) 12 złotych na nasze pieniądze, NB. za czasów Czackiego, według tab. ewaluacyi. Czacki o Prawach I.

(4) Kronika nr. 23 — Archiepiscopus vero et Episcopi ac viri Ecclesiastici sibi (Ludovico) denegabant ac etiam nobiles, dicentes, se a quibusvis talibus exactionibus et tributis per suas literas penitus absolutos. Sommersb. II 112.

(5) Długosz powiada, że Polacy odpowiedzieli, że za łaską Kazimierza w zupełności od tego podatku zwolnieni zostali, na co król Ludwik poruszony od swoich doradzców, miał odpowiedzieć: że Kazimierz obietnicę im tylko uczynił, ale jéj nigdy nie dopełnił, że ich jednakże uwolni od tego podatku, jeśli... Długosz lubiał parafrazę, jak słusznie zauważał Helcel (Pomniki I. CIV) lada cień dziejowego wypadku pochwycony, rozszerzał,

i szlachty, bo ani kościoły, ani pojedyncze rody posiadające przywileja uwalniające ich czarno na białém od tego podatku, nie powoływały się na nic, ale wszyscy razem odwołali się do listów królewskich, danych w Budzie 1355 r., w których Ludwik zaręczał, że żadnych *nowych* podatków nakładać nie będzie. Temi listami zasłonili się teraz wszyscy solidarnie, pomimo, że dobrze wiedziano, że poradlne nie było nowym podatkiem dla tych, którzy zeń wyraźnie zwolnieni nie byli. Zanim duchowieństwo i szlachta sprowadzeni zostali do tego wspólnego oporu, trzeba było dokładnie obliczyć wszystkie mogące ztąd wyniknąć straty i dowieść, że nawet ci, którzy wspomniane przywileja posiadali, nic przez solidarność swoją stracić nie mogą; trzeba było doprowadzić wszystkich do zupełnéj świadomości następstw, jakie ich w przeciwnym razie czekały. Gdyby się bowiem duchowieństwo i pewna część szlachty która tego podatku nie płaciła na swoje przywileja powołali, kazanoby im te przywileja pokazać; pokazałoby się wówczas, że nawet ci, którzy szczęśliwym trafem listy te w archiwach swoich posiadali, nie byliby pewni czy płacić nie będą i ile im płacić wypadnie. Duchowieństwo które miało największą ilość dóbr z prawem książęcém nadanych, posiadało wiele nadań na prawie rycerskiém (1), wiele zapisów prywatnych, którzy legując kościołowi dobra ziemskie, natury ich przez to wcale nie zmieniali. Przywileja kościołów lub potwierdzenia tych przywilejów przez Władysława I, Bolesława Wstydliwego, Przemysława, Wacława i Kazimierza W. (1337 i 1354) nie obejmowały wcale wszystkich dóbr kościelnych; są nawet dowody, że Kazimierz nadając kościołom prawo książęce, wyraźnie sobie poradlne zastrzegał (2). Duchowieństwo więc

ubierał i wynosił do dziejowego wypadku. Ponieważ zaś do dziejów polskich za czasów Ludwika nic miał nic przed sobą prócz kroniki Czarnkowskiego, to ani jednego nowego faktu, prócz parafrazy tejże kroniki nie podaje; przeto powieść jego iżby się naród polski tém kłamstwem był zastawiał, tém tylko motywować można, że wyrażenie Czarnkowskiego, jakoby szlachta listami królewskiemi się broniła, odnosił do listów Kazimierza a o budzińskich zapomniał.

(1) Nadania na pełném prawie książęcém, dawały takie same prawa w dobrach uprzywilejowanego, jakie sam król miał w Polsce; wolność od wszelkich podatków i ciężarów, sąd najwyższy i prawo miecza, stanowienie podatków, myta, bicie pieniędzy a nawet układ z obcymi. Prawo rycerskie przeciwnie obowiązywało do wszystkich podatków i ciężarów a przedewszystkiém do służby wojskowéj, na każde zawołanie monarchy pod utratą nadania. Dobra takiém prawem nadane (jure militari) nie można było uważać własnością, ale raczéj dziedzicznem i to w linii męzkiéj, posiadaniem.

(2) Przytaczam tu jeden dany klasztorowi św. Maryi Magdaleny w Płocku 1361. Nos Casimirus... kmetones et incolas villarum Curowo, Dymcze et Ostrowons ipsius monasterii inhalitantes, ob salutem animo nostre, eximimus et perpetus liberamus ob omnibus angariis perangariis, la-

niewątpliwie w jakiejś części podatek ten płacić było obowiązane, bronić się zaś wolnością kanoniczną nie mogło, bo po zniesieniu konstytucyi *clericis laicos* przez Klemensa V i przy poniżeniu ówczesném władzy papiezkiéj, stolica apostolska zasłonić ich nie była w stanie i wiadomém było wszystkim, jak sobie ważył król Ludwik wolności kanoniczne i prawa kościelne w Węgrzech. Ze szlachtą było o tyle gorzéj, że dobra jéj z rąk do rąk kupnem i spadkami przechodząc, dostawały się właścicielom którzy praw książęcych nie mieli, i zmieniały przez to często swoją naturę, bo przywileja nie brzmiały: te i te dobra mają mieć takie prawa i wolności, ale Klemens z Raszczy n. p. i jego potomkowie mieli mieć w dobrach swych własnych i w tych, które spadkiem lub kupnem nabędą, prawa książęce. Należy przytém mieć na uwadze, że od czasów, kiedy takie przywileja nadawać zaczęto, upłynęło dwa wieki; że wielu szlachty przywilejów tych okazać nie było w stanie, i że przy poborze podatku, trzymano się tradycyi i zwyczaju, przyczém nie mało musiało się dziać nadużyć. To wszystko było powodem, że szlachta i duchowieństwo nie chcąc nic płacić, powołali się jedynie na układ budziński i nazwali poradlne podatkiem nowym, dla tego, że go za czasów Ludwika ani razu nie składali.

Łatwo sobie wyobrazić jakie wrażenie zrobiła na Ludwiku, regentce i kanclerzach opozycya w ten sposób postawiona. Cały plan polegał na tém, aby za zmniejszenie, lub zupełne zniesienie poradlnego wytargować od narodu następstwo dla córek; tymczasem cały ten podatek został w ogólności jako nieprawny zakwestyonowany. Upierać się przy nim, to było drażnić naród, który solidarnie z oporem swoim wystąpił; trzeba było szukać innych sposobów do przeprowadzenia gorących życzeń króla, i Ludwik zdecydował się znieść wszystkie istniejące podatki w zamian za następstwo swoich córek. To tylko jedynie mogło dawać rękojmię, że pakta ułożone z magnatami zostaną przez cały naród przyjęte, z wyjątkiem Wielkopolski, gniazda całéj opozycyi, która składając się z ogromnych dóbr kościelnych, najstarszych rodów i drobnéj licznie rozrodzonéj szlachty, żadnych podatków nie płaciła, a Ludwika i rządów jego nie cierpiała. Obliczywszy zatém z kanclerzami swymi wszystkie możliwe korzyści i straty, i powziąwszy wspomniane postanowienie, kazał oświadczyć Polakom, że w każdym razie jakąś daninę na znak najwyższéj zwierzchności płacić będą musieli (1), sam zaś powołał życzliwych sobie magnatów do Koszyc.

boribus, solutionibusque universis singulis *excepta universali collecta terre que poradlne* nuncupatur; liberamus dictos emetones a jurisdictione... a wreszcie nadaje proboszczowi prawo kary i miecza nad nimi. Rzyszcz. et Mucz. Cod. Dipl. Pol. I, CXXIII.

(1) Kron. nr. 23 — Ipse nihilo-minus in signem dominii tributum aliquod inquirebat. Sommersb. II 112.

W tym czasie uwięziono w Polsce Czarnkowskiego i rozpoczęto proces (1). Osobistość starego wicekanclerza Kazimierza W., jego znaczenie i wpływ u szlachty i duchowieństwa, znajomość spraw i stosunków krajowych, długie doświadczenie i nieprzyjazny stosunek z dworem, czyniły go naturalną głową opozycyi, która się legalnie podnosiła, jedynym obrońcą praw szlachty i duchowieństwa, w ogóle człowiekiem który obudzał najwięcéj zaufania. Oppozycya, jak to uwidoczniłem, była najwyraźniéj obmyślaną i miała kierunek; a prócz dawnego kanclerza Kazimierza W., arcybiskupa Suchywilka, podającego się zupełnie dworowi, nie było w całéj Wielkopolsce człowieka, któryby był zdolny i możebny do prowadzenia szlachty i duchowieństwa, okrom Czarnkowskiego. Jeśli postępowanie jego już raz wszystkie plany dworu w niwecz obróciło, należało się obawiać, że pomimo wszelkich ofiar jakiemi Ludwik miał zamiar w Koszycach zastępstwo swoich córek okupić, Wielkopolska układu tego nie przyjmie, i opozycyę swą z taką energią rozwinie, że Polska ani podatków płacić nie będzie, ani córek królewskich za dziedziców i panów nie przyjmie. Z tego powodu obaj kanclerze powzięli postanowienie usunąć wszelkiemi sposobami tego człowieka, którego znaczenie napełniało ich obawą, uwięzić go na długie czasy, lub zniszczyć w opinii kraju.

Tymczasem panowie zgromadzeni w Koszycach pokrewieństwem, pieniędzmi i obietnicami ujęci, zezwolili na złamanie listów budzińskich (2). Król Ludwik nowemi listami uwolnił wszystkich mieszkańców Królestwa od wszelkich podatków, wymawiając sobie jedynie tylko dwa grosze (3) z każdego łanu ziemi uprawnéj (4) dla

(1) Czarnkowski nie podaje daty swego uwięzienia, ale można ją wynaleźć. Wzięto go w Uniejowie na dworze Jana Suchywilka, wypuszczono 23 września, proces i wygnanie jego przypada za czasów królowéj Elżbiety w Polsce. (Kronika). Ponieważ zaś Suchywilk przybył z Awinionu do Gniezna 3 lipca 1374 (Kron. nr. 18) a królowa w r. 1375 z Polski wyjechała (Kr. nr. 31), przeto uwięzienie Czarnkowskiego mogło nastąpić tylko w r. 1374 lub 1375. Czarnkowski wyjechał, jak sam pisze, w pierwszych dniach listopada z Krakowa; proces jego z czterema terminami i wygnanie dłużéj trwało jak półtora miesiąca; królowa zaś w 1375 r. Polskę opuściła a w końcu 1376 tylko cztery miesiące w Krakowie przepędziwszy, w grudniu na zawsze z Polski wyjechała; w tym zaś czasie Mikołaj z Kurnika był już biskupem poznańskim, przeto w 1375, Czarnkowski nie mógł być więziony. Uwięziono go za tém w lecie w 1374, wypuszczono na wolność 23 września podczas zjazdu szlachty całego Królestwa w Krakowie. Przywiléj koszycki wydanym został 17 września r. 1374.

(2) Kron. nr. 56—factumque est quod proceres Regni sanguine, pecunia ac promissionibus diversis attracti ad confractionem priorum literarum contenterunt. Somersb. II 133.

(3) Kron. nr. 23—solum duos grossos de quodlibet manso singulis annis,.. reservavit. Sommersb II 112.

(4) Kron. na. 56—Tributa duorum grossorum bona quoque predialia de quolibet manso submittentes. Sommersb. II, 133.

siebie i dla swoich następców. W ten sposób złamawszy poprzednie listy, nowe dane zostały, w których Polacy hołd wierności córkom królewskim złożyli (1), i pierworodnéj córce Katarzynie, jako wyznaczonéj dziedziczce tronu polskiego wierność poprzysięgli (2). Tak powstał pakt koszycki, który zrównał szlachtę polską w prawach i obowiązkach, uczynił z niéj stan, który się w sobie rozwijać począł, z wykluczeniem innych, uczynił dóbr dziedzicznego posiadania własność, i nadał wszystkim niejako prawa książęce zwalniając ich na wzór Wielkopolski od służby wojskowéj, naturalnie z zastrzeżeniami. Całą tę stratę obiecywał sobie Ludwik wynagrodzić tém, że nałożył na ogromne dobra kościelne i wszystkie dobra szlacheckie podatek dwugroszowy.

Odebrawszy w imieniu całego narodu listy królewskie wydane 17 września 1374, wracali panowie do Polski. Szlachta całego Królestwa zjechała się tłumnie na dzień Śgo Stanisława (23 września) (3) do Krakowa. Na zamku krakowskim poruszono niewątpliwie wszystkie sprężyny, aby powracającym przygotować jak najlepsze przyjęcie, i tegoż dnia Czarnkowski z więzienia został wypuszczony. Protestu żadnego przeciwko układom koszyckim niezałożono, dawał on za wiele korzyści Małopolsce aby Wielkopolanie mogli byli protestować. Skończyło się na demonstracyjném przyjęciu Czarnkowskiego przez całą szlachtę. Dopiéro w jakiś czas po odjeździe Czarnkowskiego, arcybiskup, sufragani jego i wszystkich kościołów bez wyjątku reklamowali (4) nie chcąc żadną miarą przystać na dwugroszową opłatę ani odstąpić od przywilejów kościoła (5). Że i tu głównym motorem był Czarnkowski, poznać z kroniki jego jeśli je uważnie czytać zechcemy (6).

Wkrótce po układzie koszyckim umarła królewna Katarzyna. Po śmierci jéj król Ludwik złożył znów konwokacyę w Koszycach. Tą razą zawezwał panów i biskupów całego Królestwa i żądał od nich, aby drugiéj córce jego Maryi hołd złożyli, i tęż za króle-

(1) Kron. nr. 56—ac primogenite Regine homagiena facientes. Sommersb. II. 133.

(2) Kron. nr. 23 nove (listy) sucrunt concesse, in quibus Poloni fidelitatis homagien siliatus Regis prestiterunt. Sommersb. II. 112.

(3) In festo sancti Stanislai in autumpus. Sommersb. II 130.

(4) Kron. nr. 56. Clero totius provincie reclamete. Sommersb. II, 133.

(5) Kron. nr. 23.

(6) Kron. nr. 58 pisząc o arcybiskupie Janie: instabilitatem vagabundam pudore objecto in dictis et factis sectabatur. Sepissime enim convocato Capitulo... se firmum pro Ecclesia sive jurium defensione... promittendo, mox aliquo Laicorum sibi de contrario susturanta statim mutabatur quedam in lesione Ecclesie revocando, a qua instabilitata frequenter licet per aliquos de suo Capitulo fecisset caritativa monitione correptus, diceretque se amplius facere nolle hoc tamen minime implevit. Sommers. II. 134.

wę polską przyjęli. Panowie wielkopolscy wraz z Janem arcybiskupem hołdu królewnie odmówili, król zaś mając za sobą wszystkich Małopolan z ojcem Zawiszy Dobiesławem, wojewodą krakowskim na czele, rozkazał zamknąć bramy miasta i panom wielkopolskim ani arcybiskupowi wyjechać nie pozwolił. Widząc się w ten sposób przyparci, złożyli hołd i królewnę za pana przyjęli (1).

Z tym faktem łączę niespodziewane wygnanie Czarnkowskiego i konfiskatę jego majątku z obawy, aby do papieża ze skargą nie wyjechał. Nie wiadomo, o ile to mogło być niedogodném dworo-

(1) Naruszewicz zrobił poradlnie błędnie sprawą obydwóch zjazdów, datując pierwszy 17 września 1374 r. i łącząc z nim jak należy, wydanie przywileju koszyckiego. Szajnocha (Jadwiga i Jagiełło I) przyjmuje dwa zjazdy, ale pisze, że ten drugi, na którym Maryi przysięgano, odbył się 17 września 1374 i że przy przysiędze Maryi, ułożono przywiléj koszycki; twierdzi przytem, że idzie za *Opowiadaniem Czarnkowskiego*. Tymczasem w kronice nie podobnego nie ma; pisze ona o tym zjeździe tak: Post mortem itaque primo genite, iterum Dominus Rex convocatione in Coszice facta et habita peciit a procer: Regni Pol. filie sue secunde nate homagium prestori ipsamque in Reginum Polonie assummi. (Sommersb. II. 133).

Jak widzimy nieszło wcale na tym zjeździe o to, czy córki Ludwika mają być przyjęte, czy nie, bo Polacy już poprzednio córki jego przyjęli i przysięgę Katarzynie złożyli; ale jedynie o to, aby po śmierci téjże na mocy układu koszyckiego, drugiéj wierność przysięgli. Do przyjęcia przywileju król nie mógł zmuszać, ale po wydaniu tegoż i zaprzysiężeniu poprzednio wierności Katarzynie, mógł sprzeciwiających się teraz Wielkopolan uważać za buntowników. Na zjeździe drugim znajdował się arcybiskup; gdyby ten zjazd odbywał się 17 września, arcybiskup znajdowaćby się na nim nie mógł, bo był w Uniejowie. Kiedy królewna umarła, nie wiadomo, ale Katona X. 567 i Pray. Ann. II 136 donoszą, że Ludwik, 10 kwietnia 1374 roku wysłał posłów do Francyi, w celu ułożenia małżeństwa pomiędzy jedną z trzech córek swoich a następcą tronu francuzkiego, ofiarując w posagu Sycylią, Apulią i t. d. Catarinam—dodaje Katona—tamen Ludowico re ipsa desponsatam fuisse, colligimus ex his Laurentii de Monacis verbis: „Moritur primogenita desponsata filio regis franciae. Cron. Lib. VI. p. 116". Jeżeli król z takiemi ofiarami dobywał dla niéj Królestwo Polskie i przysięgę panów 17 września, to gdyby jak chce Szajnocha, przyjęcie jéj odbyło się wcześniéj, to jakże mógłby król Ludwik mając tak wyraźne zamiary ofiarować ją królewiczowi francuzkiemu wraz z Sycylią? Mogło się to dziać tylko tym sposobem, że dopiéro po wysłaniu posłów rozpoczęto działania w Polsce.

Opowiadanie moje co do przebiegu układów w Koszycach, różni się nieco od innych a mianowicie od trzech głównych wersyj Długosza, Naruszewicza i Szajnochy, które się również z sobą nie zgadzają. Obstaję przy swojém opierając się na kronice Czarnkowskiego, pewny, że ją więcéj razy od innych czytałem.

wi, to jednak pewna, że po przedstawieniu téj sprawy ani Zawisza, ani Mikołaj z Kurnika nigdyby byli biskupami nie zostali.

VI.

Powróciwszy do kraju, oddał się Czarnkowski zupełnie swoim obowiązkom. Sprawa za którą walczył i cierpiał, upadła; dziedziczność domu Anjou stała się faktem dokonanym; kto tego nie uznawał, miał do wyboru między buntem a rezygnacyą, legalna opozycya nie miała racyi bytu. Nie widzimy téż aby Czarnkowski brał w późniejszych latach jakikolwiek udział w działaniu politycznem, okrom spraw tyczących się kościoła, jak np. poselstwo do Władysława ks. opolskiego, a sądząc po obojętności, z jaką sprawy świeckie w swojéj kronice traktuje, możnaby mniemać, że gdyby nie pamięć krzywdy, jaką mu wyrządzono, kronika jego z owych czasów byłaby bardzo krótką.

Kiedy do Gniezna powrócił, nie wiadomo. Szczegóły opisu drugiéj wyprawy Białego księcia każą się domyślać, że już 25 lipca 1375 w Gnieznie się znajdował. 14 lutego 1375 r. kierował obiorem kapituły poznańskiéj po śmierci biskupa Jana. Wybór nie poszedł mu po myśli i przygnębił go do reszty. Przejęty zgrozą powrócił do Gniezna, a Mikołaj z Kurnika został biskupem poznańskim. W istocie jeśli zważymy, że kanclerz wielkopolski miał wszystko przeciw sobie, i przeszłość swoją, gorszące życie, szkody jakie kościołowi wyrządził, hańbiący proces jaki nad nim wisiał, cały dwór, króla, arcybiskupa i całą kapitułę; i jeśli pomimo tego i pomimo wszelkiéj pracy i zabiegów samego Czarnkowskiego zupełnie legalnie jak zobaczymy biskupem obrany został: niepodobna nie podziwiać jego bezczelnéj przebiegłości, ani się dziwić zgrozie i osłupieniu Czarnkowskiego, któremu się ta cała sprawa igraszką piekła wydaje.

Ścigany przez biskupa krakowskiego za przeniewierzenie 10,000 florenów kollekty dla stolicy apostolskiéj, uciekł był Mikołaj z Kurnika do Wielkopolski i wybierał się właśnie na dwór papiezki, kiedy go doszła wiadomość o śmierci biskupa poznańskiego. Zjeżdża natychmiast do Poznania z postanowieniem, że bądź co bądź biskupem zostać musi. Nie troszcząc się o nikogo mianuje sam na swoją rękę administratorów, aby przynajmniéj tych mieć po swojéj stronie i zwołuje kanoników w sam dzień pogrzebu biskupa na obiór nowego. Pomimo oburzenia kapituły, nikt nie wystąpił przeciw zuchwałym roszczeniom tego księdza, który każdą nadarzającą się mu sposobność chwytał w lot, aby ją nieodwołalnie na swoją korzyść obrócić. Bezczelna pewność z jaką występował zdolną była zachwiać najpotężniejszych przeciwników. Administratorów, z których mianowaniem kapituła się spóźniła, niepodobna już było usunąć; nie można téż było nie stawić się na wezwanie Mikołaja, bo któż mógł zaręczyć, czy w takim razie przez swoich przyjaciół obrany nie zostanie. Czarnkowski, który na wybór ten przyjechał do Poznania, zaproponował,

być może że z zaparciem własnéj osoby swojéj, proboszcza Trajana, człowieka, który nie miał nieprzyjaciół. Wybór tego zdawał się już nie ulegać wątpliwości, kiedy Mikołaj z Kurnika mając pomiędzy 24 kanonikami tylko dwóch jawnych a dwóch tajnych sprzymierzeńców, chwycił się podstępu i kazał tym dwom ostatnim udawać najżarliwszych stronników Trajana. Jeden z nich zaręcza Czarnkowskiemu słowem kapłańskiém, że tylko na Trajana głosować będzie, a drugi występuje w obec zgromadzonéj kapituły i sam go na biskupa proponuje. Cała kapituła popiera jego wniosek z wyjątkiem samego Mikołaja z Kurnika, który oświadcza, że się na to nie zgadza i prosi Czarnkowskiego aby według formy kompromisu obrał 7 kanoników, którzy większością głosów biskupa obierać będą. Forma ta była konieczną, skoro się jeden z kanoników na jednomyślność nie zgadzał. Czarnkowski wybrał siebie samego i czterech najgorętszych stronników Trajana. Wybrał więc i tego, co przysiągł, że za Trajanem głosować będzie i tego, co się tak jawnie za nim oświadczył proponując go zebranéj kapitule. Do tych pięciu dodał Mikołaj z Kurnika dwóch znanych swoich przyjaciół, i tym sposobem gdy przyszło do głosowania: został czterema głosami biskupem poznańskim obrany „z dopustu boskiego raczéj“ — mówi Czarnkowski,— „jak przez obiór kanoniczny.“

W pięć lat później, zeszli się jeszcze raz obaj nieprzyjaciele w Głogowie. Scenę tę, jako ustęp swego życia opowiada nasz kronikarz bardzo szczegółowo: „Biskup był dobrze podpity i rozwodząc się długo i szeroko, jak to było jego zwyczajem, nie mógł wytrzymać, aby nie dociąć Czarnkowskiemu; zwrócił się więc do Strosberga proboszcza gnieznieńskiego, i tak mówić zaczął: „Patrz, panie proboszczu gnieznieński! my, których za czasów króla Kaźmierza miano na dworze za ostatnich, jesteśmy dziś pierwszymi. Oto Zawisza, którego sobie zmarły król za nic ważył, jest dzisiaj wielkim biskupem w Krakowie, za co nikomu, ino panu Bogu i mnie może podziękować; ja jestem biskupem poznańskim, ty proboszczem wielkiego kościoła gnieznieńskiego. Jakim to się stało sposobem? zaiste, tylko ręką Najwyższego!“ Na to bluźnierstwo odwrócił się Czarnkowski do reszty obecnych i rzekł głośno: „dyabolska to ręka była, ale nie ręka Najwyższego.“ I stało się — dodaje — jakby cudem, że tejże nocy zapadł biskup w chorobę; umarł na nią w istocie w kilka miesięcy później, a zaciekłość, mściwość i zadowolenie z jakiém Czarnkowski jego cierpienia i śmierć opisuje, dowodzi, że ewangelią naszego kronikarza był tylko Stary testament. „O grzechach jego (pisze Nr. 56 kroniki) i niegodnych uczynkach dużo i długo trzebaby opowiadać, gdyż żadnéj wady mu nie brakło. Ale ponieważ dwoma członkami ciała swego najwięcéj grzeszył, przeto na tychże dwóch członkach pomsta Boska tego nędzarza srodze ukarała. Nie wstydził się przestawać z nierządnicami, a cnotę dziewczętom odbierał, za to dotknięty został rakiem; a ponieważ był bardzo wymowny do złego, dostał na języku i w gardle takie wrzody, że ani mówić, ani połykać, ani ust domknąć nie zdołał: tak po śmierci z otwartą szczęką pozostał. Dlu-

go się męczył, aby lepiéj mógł odpokutować za swoje grzechy; prawy bok jego dziurami sie już rozpadał, kiedy się wynosił z tego świata.“

To są wszystkie szczegóły wiadome z życia Czarnkowskiego od r. 1376—1382. Cały ten okres o tyle jest dla nas ważnym, że w tych właśnie latach, Czarnkowski pisał swą kronikę, mianowicie zaś w latach 1377 i 1378. Można to widzieć mało nie z każdego rozdziału (1). Niepodobna niedostrzedz, że cała praca jego, miejscami bardzo starannie i bardzo szczegółowo obrobiona, miejscami zaś w surowym szkicu notatki pozostawiona, nie odpowiada pierwotnym zamiarom autora. Z niektórych bardziéj wykończonych ustępów możnaby wnosić, że Czarnkowski zamierzał nam zostawić obszerną historyę swego czasu, ale zniechęcenie jakie nim po owym czasie owładnęło, nie pozwoliło mu doprowadzić tego zamiaru do skutku. Zebrał więc w tych dwóch wspomnianych latach to co miał i to co pamiętał w całość, a tak mało troszczył się o dalszy ciąg swojéj kroniki, że z lat następnych t. j. 1379 i 1380 prawie żadnych zapisków nie zostawił, i te dwa lata stanowią niezapełnioną lukę w naszéj historyi. W roku 1381 zapisał kilka bieżących wypadków, a opisawszy życiorysy swoich głównych nieprzyjaciół, którzy w r. 1382 pomarli, miał widocznie zamiar niepisać już więcéj kroniki, to pisząc o śmierci arcybiskupa Jana Suchywilka i o dwóch Nałęczach obranych na biskupstwo poznańskie i arcybiskupstwo gnieznieńskie, zniechęcony dodaje: „groźne skutki jakie z tego powodu dla duchowieństwa wynikną, mogą późniejsi opisać jeśli zechcą.“

(1) I tak: pod r. 1370, pisząc o odjeździe króla Ludwika z Polski, dodaje: „Pod rządami jego kochanéj matki gorzéj się jeszcze w Polsce działo; nie było żadnego porządku w Królestwie tak jak go i dzisiaj niema“ (Kr. Nr. 14). Ustęp ten widocznie był pisany po odjeździe królowéj Elżbiety, a zatém 1377 r. Pisząc o podziale skarbów Kazimierza w r. 1370, dodaje: „Skarby te wraz z córkami króla, Elżbieta ze sobą do Węgier uprowadziła.“ (Kr. Nr. 15).

Pod r. 1372 pisząc o ślepocie Jarosława arcybiskupa, opisuje zarazem objęcie arcybiskupstwa przez Suchywilka r. 1374 i mówi o dwuletnim pobycie Jarosława w klasztorze łendzkim r. 1376.

Pod r. 1370 opisuje obie wyprawy Władysława Gniewkowskiego, do r. 1376 mówi o jego przybyciu do Węgier, o sprzedaży księztwa i o wstąpieniu do klasztoru Benedyktynów w Węgrzech r. 1377, gdzie do dziś dnia pozostaje (Kr. Nr. 20). Pod r. 1374, pisze o poborze poradlnego i dodaje: że biskupi, chociaż za panowania Ludwika do płacenia tego podatku często byli napominani, w żaden sposób dozwolić nie chcieli, aby ich kmiecie ten podatek płacili. Ustęp ten (Kr. Nr. 23) zdaje się był po śmierci Ludwika wtrącony.

Pod r. 1375, nie pamięta, czy w 1376 czy 1378 założono biskupstwo na Rusi.

Pod r. 1376 pisząc o śmierci biskupa wrocławskiego, wspomina o śmierci Grzegorza XI w roku 1378 i przeniesieniu się Klemensa do Awenionu.

LITERATURA ANGIELSKA.

Z H. Taina.

PRZEZ Ed. L....

(Ciąg dalszy).

Wpływ Reformy na Anglię—wpływ ówczesnego usposobienia na literaturę.— Jan Milton jako człowiek i pisarz. — Zepsucie moralne po purytanizmie.— Sheridan. — Epoka klasyczna — ważność r. 1688 jako punktu przemiany politycznéj, społecznéj i obyczajowéj — literatura i literaci tego czasu.— Jonathan Swift.

VI.

.....Ówczesnéj epoki obyczajowéj i społecznéj włoskiéj, ówczesnéj kultury wspaniałéj a przewrotnéj, dwa są znamiona charakterystyczne: rozwój wszystkich skłonności i chciwości ludzkich, i zburzenie zupełne wszelkiego poczucia wstydu, zerwanie wszelkiego moralnego wędzidła. Zadaniem tego społeczeństwa było, wytworzyć człowieka jako istotę silną, zuchwałą, czasem genjalną, obdarzoną przytomnością umysłu, obłudą, cierpliwością, a te właściwości skierować na wyzyskanie rozkoszy cielesnych, przyjemności zbytku, sztuk pięknych, czyli jednem słowem: wytresować zwierzę straszne, wygłodzone i uzbrojone, któreby z drugiém szło w zapasy, jak dwa lwy piękne lub dwie pantery. W takiém społeczeństwie które się przerodziło w cyrk, pomiędzy tyloma nienawiściami, gdy się zaczyna przesyt i znużenie, zjawia się obcy żywioł, a wtedy ugina wszystko przed nim karku. Despotyzm, inkwizycya, ciemnota i oszustwo, bezczelność i arlekinady, nędza i błoto, stały się następstwem epoki Odrodzenia we Włoszech. Nosiła ona w sobie tak jak wszystkie cywilizacye południowe, zaród zepsucia nie dającego się poprawić: to jest złe i fałszywe wyobrażenie o człowieku. Osądzili to trafnie Niemcy XVI wieku, tak jak niegdyś Germanie z w. IV, i przyłożyli palec do rany. Społeczeństwo stać nie może na czci

rozkoszy i siły, lecz tylko na uszanowaniu wolności i sprawiedliwości. Ażeby wielkie odrodzenie ludzkości podjęte w XVI wieku mogło się ustalić w Europie, potrzeba było zetknięcia z inną rasą, któraby wytworzyła inną kulturę, inne zdrowsze mając o życiu pojęcie, a więc przygotowując lepszą formę cywilizacyi.

* * *

W ten sposób powstała Reforma, obok Odrodzenia. Jest ona także odrodzeniem, zastosowaném do ludów germańskich. Co odróżnia tę rasę od innych, to zajęcie się moralnym swym stanem. Mimo nałogów pospolitych, skłonni oni przecież więcéj do poświęceń i abnegacyi. Takiémi urobił ich klimat, niezmiennie od Tacyta do Lutra, od Knoxa do Kanta. Wpływ wieków wycisnął swe piętno, nerwy zmiękły, życie złagodniało, dusza stała się obojętniejszą dla przygód ziemskich. W ciągłéj utarczce z żywiołami, zawodami i bolesnemi przejściami, człowiek przybrał *postawę walczącą*. Model ideału ukształtował się odmienniéj, oderwał od rozkoszy, a przywiązał do obowiązku, reguły i uczuć wewnętrznych. Dość porównać *Condottieria* włoskiego z partyzantem Lutra, lub malarstwo melancholijne Albrechta Dürera z Rafaelem. Kwestya sumienia zaczęła zajmować najżywiéj umysły, Luter rzekł: „Czułem w sobie sumienie zaniepokojone grzesznika, a nie wiedziałem jak je zadowolnić w obec Boga." W odnowieniu serca mieści się cała religia, a z nią nowy kościół i nowa cześć i nowe obrządki. Znaczenie dawnego duchowieństwa zmniejszone. Nowa religia staje się czystą, wewnętrzną i osobistą, bo każdy nabrał przekonania że jest odpowiedzialnym za swe czyny.

Autor podniósłszy znaczenie reformy do wysokiego stopnia, z napiętnowaniem cokolwiek przesadzoném nadużyć kościoła katolickiego, powiada: że ta reforma wdarła się furtą podrzędną do Anglii, gdzie przeszedłszy rozmaite rewolucye ludowe, parlamentarne i prowadzone z góry (przez Henryka VIII i Elżbietę) osiedliła się ostatecznie. Chce raczéj przypatrzyć się narodowi samemu i jego duchowi. W tym celu opisuje, jak 150 lat przedtém, z ukazaniem się Wicleffa, protestantyzm po raz pierwszy zaświtał, ale przez kościół, królestwo i złączonych lordów rychło zgnieciony został. Zgniecenie było gwałtownem, prześladowanie dokuczliwém i drobiazgowém; wezwano naprzykład krewnego królewskiego, hrabiego Surrcey, przed trybunał duchowny za niedochowanie postu. Wtedy już zaczęto się zastanawiać pocichu, czy ci, którzy tak tyrańsko uczą wychowywania cnót, sami je dopełniają. I dowiedziano się najhaniebniejszych faktów, świadczących o zgniliźnie, zepsuciu głęboko zakorzenionem między duchowieństwem Anglii. Obudzone sumienie ludu, zaczęło wyrzekać gotując się do przewrotu religijnego. Uciemiężeni i prześladowani zaczynają czytać potajemnie księgi Wicleffa i Lutra.... aż i Henryk VIII pozwolił wydrukować Biblię w angielskim języku, która obudziła niezmierne zajęcie. Późniéj

w roku 1549 czytano dzieła Melanchtona. We wszystkich przebijała się idea grzechu, skruchy i odrodzenia moralnego. Rozbudzona wolność sumienia, wolność komentowania Pisma Ś-go przysposobiła umysły do przyjęcia z radością reformy, ze wstąpieniem na tron Elżbiety.

Odtąd formują się dwie odnogi: anglikańska i purytańska. Wielu poetów jak Drayton, Fletcher, Cowley pisało wiersze nabożne; stance o nieśmiertelności duszy, o ułomności spraw ludzkich i o Najwyższéj Opatrzności. Bacon, Raleigh, Burton, zajmowali się ideą poza grobową. Nowa religia nie razi rygoryzmem, nieprzytłumia piękna, zachowuje szlachetne formy dawnéj czci zewnętrznéj.... pod sklepieniem wspaniałych katedr, rozlega się śpiew melodyjny z towarzyszeniem organów. Z téj strony reforma nie zaszkodzi naukom, poezyi, szerokim pomysłom Odrodzenia. Przeciwnie za Jakóba I, Karola I, wspiera ona artystów, filozofów i w ogóle uczucie piękna. Przymierze między kościołem i rządem jest tak ścisłe, że wielu duchownych zrzekło się swych funkcyi za Crommwella dla tronu, a wielu rycerzy dało się zabić za kościół. Jeżeli niektórzy poeci są pobożni, niektórzy duchowni są poetami. I nagle tworzy się literatura nowa, wzniosła i oryginalna, uzbrojona zarówno przeciw purytanom, poświęcającym dla litery tekstu wolność inteligencyi, jako i przeciw katolikom, nakazującym poświęcić dla tradycyi niezależność wolnego sądu. Swieci tu między innémi genjalny pisarz Jeremiasz Taylor, który jest jakby przedstawicielem przymierza Odrodzenia z Reformą.

Atoli Reforma okazała się w skutkach tylko pół-reformą: przytłumiała występki, ale nie zatykała źródła, tak że poganizm epoki Odrodzenia dochodził już za Jakóba I do zepsucia, orgii, zmysłowości bezwstydnéj, która późniéj za Restauracyi, nie kryła nic przed światłem bożém. Lecz pod protestantyzmem ustanowionym, krył się i rozszerzał protestantyzm zakazany, a purytanie wyzierali z pod anglikanów. Purytanie nie chcieli znać filozofii, uczucia piękności, kultury, tylko krzyk sumienia, który przechodził w przerażenie. Syn kupca czytający po całych dniach Biblię inaczéj się patrzał na rzeczy, jak piękny kawaler wykarmiony w mitologii i eleganckim obyczaju włoskim. Patrzał się na nie tragicznie, przestraszał się skrupułami, wyobraźnię przejętą mając zemstą Boga. Purytanie sądzili że ludzie przeznaczeni są na potępienie wieczne, od którego tylko zbawić ich może łaska Boga, udzielona wybranym tylko i to nie według zasług, ale według Jego dowolnego wyboru. Jakżeż w obec takich poglądów ostać się mogło życie prywatne, jego rozrywki i w ogóle to, co nazywamy szczęściem? Czyż ludzi takich mogły zajmować sprawy codzienne, kwestye wieku? Ani słońce ich nie ogrzewa, ani śmiech nęci, oni jedną tylko dyszą myślą: „Czy Sędzia użyczy im łaski?" Każdą też rozrywkę, zabawę umysłu zwią poganizmem, a ztąd surowość ich obyczajów. Purytanin potępia teatr, dworskość, nuty, odgłos dzwonów, słowem wszystko czego szuka natura zmysłowa. Ucieka od świata, strzyże sobie krótko

włosy, nosi ubiór ciemny, mówi przez nos, chodzi z okiem utkwioném w niebo, zatopiony, obojętny na przedmioty widzialne. Żyje w nim tylko człowiek wewnętrzny i duchowy. Energia stoicka, uczciwość skrupulatna, oto hasło tych ścisłych zwolenników najsurowszéj cnoty. Krok tylko, a ruch ten przeniesie się z obyczajów prywatnych w instytucye publiczne, A gdy się raz tam przeniósł, gdy poczęto purytanów karać i prześladować, znosili cierpienia heroicznie, gotowi porzucić ojczyznę, wolność, majątek, za to naprzykład, że komunii nie chcieli przyjmować na klęczkach, ale siedząc. Niektórzy dobrowolnie palą się na stosie, dowodząc zadziwiającéj energii i wytrwania w męczeństwie—prawda, że nie długo z męczenników mieli się przerodzić w tyranów. Kromwel znajdzie późniéj w Biblii przepowiednie, rady, usprawiedliwienia swéj polityki. Komentując psalm 113, jest jednak surowym fanatykiem.

Zrodziło się mnóstwo sekt, jako to: anabaptystów, kwakrów, libertynów, perfekcistów, socynianów, antytrynitarzy, sceptyków, familistów i t. d. Kobiéty, żołnierze, kazali z mównic, najdziwaczniejsze ceremonie weszły w zwyczaj. W roku 1664, anabaptyści ochrzcili 100 kobiét i mężczyzn w strumyku, zanurzając ich po uszy w wodzie. Fox rozmawiał się z Bogiem, kobieta jakaś weszła cała naga podczas nabożeństwa do kościoła, kwakier znowu jeden poranił w parlamencie kilka osób, mówiąc że mu tak Duch Śty uczynić nakazał. Niejakiego Jana Naylor czczono jak Boga. Był to czysty dom waryatów. Jednakże mimo tego zewnętrznego nieładu, zdrowe życie narodu zaczęło się ustalać, i obok reformy niemieckiéj kończącéj się na scholastyce, reforma angielska stworzyła czyny i instytucye. Powstała kwestya praw i przywilejów. Żołnierze Kromwella zdobyli ostatecznie tolerancyą prawa i podnieśli moralność publiczną, tak jak ocalili wolność narodową. Inni sekciarze przenieśli idee swoje do Ameryki, gdzie użyźnili stepy, wypędzili Indyan i sformowali państwo.

Lecz z takiego pojęcia życia, trudno żeby się wyłoniła prawdziwa literatura. Brak tu idei piękna, a czémże jest literatura bez téj idei? Wzbroniono uczuć serca, a czém jest literatura bez uczuć? Zakazano jako bezbożność, dramata i bogatą poezyą z czasów Odrodzenia, styl zdobny i wymowę którą Włochy naniosły, naśladując starożytność. Między temi sekciarzami i reformatorami, sami tylko teologowie zapaleni, i ludzie czynów energicznych, ale ogołoceni ze wszystkich idei powszechnych i wzniosłych. Poetyczne pokolenie z czasów Elżbiety niknie, zostawując za sobą ludzi praktycznych, suchych i chłodnych. Pamiętniki z tych czasów nudne, rozwlekłe, księgi tylko nabożne dobre, ścisłe i metodyczne. Purytanin zabił artystę, stłumił pisarza i człowieka. Jeżeli pośród tego napotykamy takiego Miltona, to dlatego, że Milton przewyższył wiek swój z pomocą odbytych podróży, edukacyi encyklopedycznéj, głównie zaś dlatego, że młodość swą skąpał w wielkiéj poezyi wieku poprzedniego, i że umiał zachować swą niepodległość nawet w obec sekciarzy.

VII.

Tak więc na pograniczu dogorywającéj epoki Odrodzenia i zaczynającéj się poezyi regularnéj, zjawia się umysł potężny i pyszny, przygotowany logiką i entuzyazmem dla epopei i wymowy, liberalny protestant, moralista i poeta, łączący z natchnieniem Sbensera i Szekspira logikę Lockego; pionier wieku surowego, stojący wzniośle pomiędzy wiekiem bezinteresownego marzenia z wiekiem praktycznego czynu. *Jan Milton* nie jest bynajmniéj duszą gorączkową, bezsilną, wstrząsaną chorobliwie radością i boleścią, ani tak giętką iżby zdolną była odtwarzać charaktery rozmaite, lub malować sprzeczne namiętności. Niezmierna nauka, logika ścisła i namiętność wspaniała, oto jego głębia. Obejmuje on jednę z najwznioślejszych piękności idealnych, ale obejmuje tylko jednę. Stworzony dla ody nie dla dramatu. Wzruszenia i rozumowania, wszystkie siły i czyny duszy porządkuje pod uczucie jedyne, uczucie wzniosłości, które oblewa szerokim strumieniem lirycznym, gwałtownym i świetlistym.

* * *

Taki przerażający kierunek stanowi wielkość Miltona i moc jego charakteru. Przeciw napływom zewnętrznym znajdywał ucieczkę w samym sobie, tak że idealny gmach, który w duszy swéj wystawił, oparł się wszelkim szturmom i napaściom. Wierzył we wzniosłość całym zapałem swéj natury i całą potęgą swéj logiki, rozum zaś kształcony ciągle, wzmacniał w nim natchnienie pierwotnego instynktu. Pod taką podwojoną zbroją, człowiek może posuwać się naprzód po przez życie krokiem pewnym. Człowiek taki zdolny przywiązać się do sprawy, mimo największych przeszkód i trudów. Ani pokusa, ani przypadek, ani żadna zmiana nie przekształci jego przekonań, nie zaćmi jasnéj świadomości. Do ostatniego dnia życia, zachowa nienaruszony system swych idei, a dzielność logiki podtrzyma dzielność serca. A gdy logika ta ma iść w usługę idei szlachetnych, entuzyazm łączy się ze stałością. Człowiek walczy wtedy za swe zasady nie jak żołnierz, ale jak kapłan. Staje się heroicznym. To pomięszanie pierwiastków ukazuje Miltona w całéj pełni.

Pochodził z familii, w któréj odwaga, czystość moralna i poczucie sztuk pięknych, były wrodzone. Ojciec jego doskonały muzyk, najlepszy kompozytor swego czasu, zamiłowany w literaturze, doskonale umiał kształcić syna. Wyobrazić sobie trzeba dzieciaka, w pośrodku rodziny pracowitéj, ukształconéj, religijnéj, w któréj śpiew, malarstwo, zdobiły powagę, uczciwość i chrystyanizm Reformy głęboki. Geniusz Miltona czerpał z tych źródeł. Ztąd też Milton stanął późniéj na przełomie dwóch cywilizacyj, które umiał zjednoczyć.

Od 19 roku życia pracował aż do północy, mimo słabego wzroku. Na uniwersytecie w Cambridge, studyował literaturę klas-

syczną i spółczesną a zarazem literatury: hebrajską, syryjską, francuzką, hiszpańską, staro-angielską, włoską, nadto muzykę, matematykę, teologią i wiele innych przedmiotów. Powziął myśl zostania kapłanem i puścił się w podróż. We Włoszech poznał Galileusza, Grotiusa, podziwiał arcydzieła we Florencyi i w Rzymie. Wszędzie zaprzyjaźniał się z humanistami, którzy go szanowali dla jego erudycyi i pięknego stylu: „Biorę Boga na świadka —pisał później—żem wszędzie strzegł się nałogów i występków, żywiąc bezprzestannie myśl, że choć uniknę wzroku ludzi, nie uniknę wzroku Boga". Z pomiędzy poetów, czcił najbardziéj Dantego i Petrarkę dla ich czystości. Unikał sporów religijnych, ale gdy go zaczepiono, bronił się ostro nawet w Rzymie, na krok od inkwizycyi i Watykanu. Gdy rewolucya wybuchła w kraju, powrócił narażając się na najsroższe ciosy. We wszystkiém jednak, w myślach, czynach i w pracach, starał się rozwinąć w sobie człowieka idealnego.

* * *

Z powrotem do Anglii powrócił do książek, do życia samotnego. Nagle przyjechawszy ze wsi, ożenił się. W kilka tygodni potém, żona jego wróciła pod dach rodzicielski, nie chcąc znać męża, nie odpisując na jego listy. Były to dwa charaktery przeciwne. W obec powagi męża czuła się podrzędną istotą, w obec jego surowości pozbawioną miłości. Do tego przyłączyła się jéj mierność umysłowa. Dzień przepędzał na czytaniu, a resztę czasu przebywał w świecie marzeń, który takiéj kobiecie jaką była jego żona, musiał być wstrętnym. Rozgniewany jéj ucieczką, pisał traktaty o rozwodzie, podał je parlamentowi, poczém jednak dał się żonie przebłagać, przyjął ją napowrót niezrażony doświadczeniem, później jeszcze przybrał sobie za towarzyszkę, kobietę o 30 lat młodszą. Córki przerobił na sekretarzy, każąc im czytać w językach, których nie rozumiały, a na co się gorzko skarżyły. On wzajemnie oskarżał je, że go okradają, że mu sprzedają książki. Gdy jedna z córek dowiedziała się, że ojciec ma się żenić powtórnie, rzekła: „Małżeństwo nie jest dla mnie nowiną, ale byłaby nią śmierć jego". Te słowa ukazują w całéj nędzy życie domowe. Okoliczności i natura nie przysposobiły go do szczęścia, ale do walki, do któréj się uzbroił logiką, gniewem, erudycyą wzmocnioną przekonaniem. Napisał traktakt „O reformie w Anglii", atakując episkopat i jego obrońców. Doprowadzony do ostateczności zaczepił króla, a w miesiąc po ścięciu Karola I, usprawiedliwił królobójstwo.

Zwichnięty w swych ideach, nie zna świata, jego form, wymagań i łagodzących okoliczności. Działa jakby z rozkazu Boga, ze świętego obowiązku. Depcze przesądy, zwyczaje, skłonności ludzkie, z ślepą wiarą w swe doktryny. Nieugięty, nienauczony doświadczeniem, znosi ciosy i nie żałuje ich. Utracił wzrok dobro-

wolnie, nie słuchając lekarzy. Wśród czego nastał nowy porządek rzeczy, nowe służalstwo dla Karola II; naczelnicy purytańscy prześladowani rozprysnęli się w ucieczce lub w więzieniach, inni się sprzedali, on sam musiał się ukrywać, dzieła jego spalono na stosie. Uwięziony, wypuszczony, żył ciągle w obawie morderstwa z ręki fanatyka. Pożar Londynu zniszczył większą część jego fortuny, córki poniewierały nim, a on przecież pozostał spokojny i nieustraszony.

* * *

W małym domku w Londynie mieszkał, wydając swą: „Historyą Anglii", „Logikę", „Traktat o herezyi i o prawdziwéj religii" i „Traktat o doktrynie chrześciańskiéj". Praca była dlań jedyną pociechą zbawienną. Nie możemy rozbierać szczegółowo tych dzieł wielkiego w swoim czasie znaczenia, zastanówmy się nad Miltonem jako poetą.

Miał on mistrzów w Szekspirze, Ben Johnsonie, w całéj epoce Odrodzenia. Wziął od nich allegoryą, mitologią, naturę i koloryt, ale zmienił dykcyą, a z poezyi nowy zrobił użytek. Nie pisał z natchnienia ale uczenie, dobierając do obrazów własnych, obrazy innych, doskonaląc pomysły obce, na wzór artysty lubującego się w tysiącznych ozdobach. Dlatego wytworzył styl mniéj świetny jak tamtych, mniéj zdolny do wynurzeń, ale jedyny w skupieniu myśli, w jasności i porządkowaniu. Nie czuł on *życia* jak poeci odrodzenia, ale *wspaniałość* na wzór Eschylesa i proroków izraelskich. Nie przestawał na obrazach, na poezyi uderzającéj oczy malowaniem, ale potrzeba mu było dźwięków, tonów wzruszających duszę. Był przecież muzykiem i artystą. Wraz ze stylem zmienił i przedmioty, a raczéj ich zakres. Wszędzie opiewał miłość czystą, szlachetność, pobożność i siłę bohatérską. Tworzył jak Szekspir, niszczył jak Swift, walczył jak Bayron, marzył jak Spenser. Poemat jego p. t. *Camus* będący pochwałą cnoty, jest jego arcydziełem. Inne jak: *Samson* jest tragedyą chłodną, *Raj odzyskany* epopeją szlachetną, lecz zimną, a *Raj utracony* poematem niewykończonym, lecz wzniosłym. Wielka szkoda że go nie pisał jak usiłował, w formie dramatu, każde dzieło wymaga odpowiedniéj formy. Ażeby przedstawić rzeczy nadprzyrodzone, potrzeba do tego formy niezwykłéj i stylu niezwykłego. Tymczasem erudycya i refleksya, popchnęły Miltona na drogę poematu metafizycznego, którego wiek spółczesny już zrozumiéć nie mógł. Poeta z umysłu zaniechał w nim illuzyi lirycznéj, zostawiając furtkę, przez którą przecisnąć się może analiza krytyczna. Dziś możemy sądzić bez entuzyazmu, więc i wymagać ażeby charaktery były żywe, rzeczywiste, skończone, w zgodzie ze sobą, tak jak to bywa w dramacie lub romansie. Nie chcemy ód, ale przedmioty i duszę; żądamy aby Adam i Ewa działali i czuli odpowiednio swéj pierwotnéj naturze, ażeby Bóg, szatan i Messyasz, działali i czuli odpowie-

dnio swéj naturze nadludzkiéj. Takiemu zadaniu podołałby zaledwie Szekspir: Milton, logik tylko rozumujący, upada. Daje rozmowy uroczyste, nic więcéj; osoby jego to istne kazania, a uczucia złożone z dziecinnych sprzeczności. Przypatrzmy się pierwszéj parze: Adamowi i Ewie. Zdawałoby się że przystępujemy do Adama i Ewy Rafaela, naśladowanych przez Miltona, jak chcą niektórzy biografowie. Gdzie tam! para ta zwodzi ze sobą dysertacye kończące się grzecznościami. „Czuję — powiada Ewa — jak dalece wdzięk męzki i mądrość przewyższają piękność“. A daléj znowu jakby sceny wzięte z małżeńskiego domowego pożycia samego poety, wszędzie zaś przebija przyzwoitość, tak, że przypuścić trzeba, iż Adam zwiedził Anglią, zanim się dostał do raju. Jakim np. rozsądkiem i uczonością nacechowane rozmowy Adama—zdawałoby się że to mówi bakałarz. Oto między innemi: „Człowiek stworzony na pracę dzienną ciała i myśli, ustanowioną z góry, praca ta stanowi godność jego, gdy przeciwnie inne stworzenia błądzą niezatrudnione, a Bóg nie każe im składać sprawy z ich postępków“. Adam to prawdziwy szef rodziny, wyborca, deputowany Izby niższéj, dawny student oxfordzki, naradzający się z małżonką i udzielający jéj rad zbawiennych. Anioł ma odwiedzić małżonków, Adam każe Ewie przygotować żywność: żona dumna ze swéj kuchni, układa potrawy. Nareszcie odchodzi za żywnością pośpiesznie. „Jakiby tu wybór najdelikatniejszy uczynić! Jak przemyślnie uporządkować, ażeby się smaki nie pomięszały?“ Fabrykuje słodkie wino, śmietanę, układa liście na stole i kwiaty. Jaka z niéj wyborna kucharka! Adam wychodzi na przyjęcie anioła bez żadnego orszaku, prócz własnych doskonałości..... Często znów poemat epicki zmienia się w polityczny, a napstrzony epigramatami przeciw władzy. Przywitanie z aniołem i ukłony trwają długo, na szczęście że potrawy są surowe, bo niema niebezpieczeństwa ażeby obiad ostygnął? Anioł eteryczny, zajada za czterech z prawdziwym apetytem. Przy stole Ewa słucha opowiadań anioła i odchodzi dyskretnie przy deserze, to jest w chwili gdy zaczynają mówić o polityce. Po odejściu anioła, Ewa nie zadowolona ze swego ogrodu, proponuje mężowi ulepszenia radząc mu ażeby pracował z jednéj strony a ona z drugiéj. Ale Adam obawia się o nią, i chce ją mieć przy sobie. Ewa wszakże przemaga, odchodzi i zjada jabłko. Tutaj dopiéro czytelnik wysłuchać musi tyrad garść pełną i nieskończoną, a wszystkie one zimniejsze od śniegu. Dysertacye ściągają czytelnika z ziemi do nieba, z nieba do piekła.

Jehowa Miltona jest królem poważnym, dosyć podobnym do Karola I. Poraz pierwszy gdy się z nim czytelnik zapoznaje (księga III) zasiada w radzie. Rzecz chodzi o to: Adam zjadł jabłko, poco było Adama wystawiać na pokusę? Król (Jehowa) zaczyna dowodzić: „Adam zdolny jest nieupaść, chociaż mu upaść wolno. W ten sposób stworzyłem wszystkie duchy eteryczne, te, które nie upadły i te które upadły. Z dobréj woli jedne się utrzymały,

drugie upadły. Bez téj wolności jakżeby mogli byli dać dowód szczery prawdziwego posłuszeństwa, stałéj wiary, miłości? Jakążbym miał przyjemność z ich posłuszeństwa, gdyby wola i rozum pozbawione wolności, poszły na usługę konieczności a nie uczuć?.. Tak więc bez najmniejszego popędu, bez najmniejszego pozoru fatalności, bez wpływu mojego, zgrzeszyli oni, sprawcy sami w sądzeniu o rzeczy i w wyborze". To zaledwie cząstka mowy króla, z czego poznać łatwo, że Jehowa Miltona jest synem teologicznego Jakóba I, doskonale znającym się na *distinguo* i niezmiernie nudnym. Syn Jehowy odpowiada mu podobnie rozwlekłą tyradą. Dla rozerwania się, koronuje Bóg Miltona, syna swego. Wszystkie wojska stanęły pod bronią, każdy według rangi, „na sztandarach mając wycięte znamiona wiary i gorliwości". Król przedstawia syna swego, wybrańca: „swego wice-regenta". „Niechaj każdy przed nim uklęknie." Potém następuje opis potraw, wina, tańców i znowu uczty. Tymczasem szatan staje z myślami swemi na drugim końcu królestwa, i razem z oficerami złorzeczy królestwu; poczém zamyśla oblegać siedlisko Boga. Wszystko tu odnaleźć można, co niesmak sprawia na ziemi; hierarchię, ceremoniał, etykietę, arsenały, składy amunicyi, artyleryę i administracyę. Czyżto są przedmioty: „których oko nie widziało, ucho nie słyszało, serce nie marzyło?" Jakże daleko do obrazów Danta, do owych dusz błąkających się w śpiewach jak gwiazdy, do owych róż mistycznych, błyszczących i znikających w lazurze, do całego długo niewidzialnego świata, w którym nikną wszystkie prawa ziemskie, a w którym wizye podobne złocistym pszczołom, prześlizgują się w głębokiém słońcu.

Znać w tym utworze Miltona, zgasłą wyobraźnię, zaczątek prozy, geniusz praktyczny zastępujący metafizykę morałem. Co za odskok daleki od prawdziwego poematu chrześciańskiego, jakim jest Apokalipsa! Dość kilka tu przytoczyć wierszy dla porównania: „Odwróciłem się ażeby dostrzedz, zkąd mnie dochodzi głos, a odwróciwszy się, ujrzałem siedm świeczników złoconych. A w pośród tych siedmiu świeczników, kogoś co był podobien synowi, ubranego w długą szatę, przepasanego na piersi pasem ze złota. Głowa jego i włosy białe były jak wełna biała i jak śnieg, a oczy jak promienie ognia; nogi jego podobne były do spiżu w piecu ognistym, a głos jego był jak szum wód wielkich; w prawéj ręce trzymał siedm gwiazd, miecz ostry obosieczny tkwił mu w ustach, a oblicze jaśniało jak słońce w pełnym blasku. Gdym go ujrzał, padłem u nóg jego jak nieżywy". Lecz Milton nie padł nieżywy.

Atoli jeżeli argumentacya logiczna i teologiczna nazwyczajenia, przeszkodziły mu w dosięgnięciu liryzmu, w stworzeniu dusz żywych, to jednak wspaniała jego wyobraźnia w połączeniu z namiętnością purytańską, złożyły się na utworzenie kilku wzniosłych hymnów i krajobrazów, w nakreśleniu których nikt go nie przewyższył. Co najpiękniejsze w tym raju, to piekło, a w téj historyi

o Bogu, postać szatana. Dyabeł, ten w średnich wiekach śmieszny kulawy błazen, koryfeusz czarownic, wyrósł tu na olbrzyma i bohatéra. Zwyciężonego i wygnanego, słuchają i podziwiają ci, których wtrącił w przepaść. Jest zawsze panem dzielnym i przedsiębiorczym, pełnym rad głębokich i czynów zuchwałych. Onto wynalazł w niebie broń piorunującą, którą wywalczył zwycięztwo drugiego dnia, onto obmyślił w piekle zgubę człowieka, on nareszcie przebrnąwszy chaos niebezpieczeństw tylu i przeszkód, podżegnął człowieka przeciw Bogu, pozyskawszy dla piekła tłum cały nowych żyjących. Pobity wykrada niebu trzecią część aniołów i prawie wszystkich synów Adama; raniony tryumfuje, bo piorun który rozbił głowę jego, serce zostawił nietknięte; słabszy w sile pozostaje dumniejszy, bo przekłada niepodległość nad służalstwo, bo poślubia męki jako chwałę, jako wolność i jako szczęście. Są to ponure namiętności purytanów pobitych: Milton je odczuł i wyraził.

Taki heroizm posępny, zaciętość, gryząca ironia, duma bratająca się z boleścią, takie skupienie odwagi, potęga, namiętność i opanowanie jéj, stanowią rys wybitny charakteru angielskiego i literatury angielskiéj, i znajdziemy je późniéj w Learze i Konradzie Bayrona. Piekło Dantego jest tylko pracownią, gdzie się wyrabiają tortury; piekło Miltona niezmierne i jest płomieniste jak kuźnia, ale w tych płomieniach nie ma światła, lecz raczéj zmrok widzialny, odkrywający nędzę, żałobę „morze ognia“, lodowiska.

Milton czuje zawsze potrzebę wspaniałości i nieskończoności, oczy jego obracają się swobodnie tylko w przestrzeniach bez granic, które zaludnia kolosami.

Takim jest szatan:

„Tak wielki jak stworzenie oceanu: Lewiatan, którego Bóg największym stworzył ze wszystkiego co pływa na falach; często, gdy drzymie na pianie Norwegii—sternik małego czółna zgubionego pośród cieni nocnych, myśli że to wyspa, zatapia kotwicę w jego muszlowéj powierzchni“... Przepyszne krajobrazy Miltona podnoszą ducha. Siła przedmiotów przezeń opisywanych przechodzi w nas, stajemy się wielkimi przez współczucie dla wielkości. Takie robi wrażenie jego opis stworzenia. Siłą intelligencyi, zdolnym jest Milton tak jak nikt posłużyć się dla swych celów nauką: siłą entuzyazmu, zdolnym jest odczuć, tak jak nikt, nienawiść. Przepyszna jego logika podtrzymuje obrazy w majestacie niezwykłym, a wyobraźnia podniesiona pędzi go w wir namiętności, od ody wściekłéj lub wzniosłéj, aż do śpiewu archanioła wielbiciela lub mściciela. Wypadki rewolucyjne natchnęły go z razu poezyą pogańską i moralną, po rewolucyi: poezyą chrześciańską i moralną. W jednéj i drugiéj stara się o wzniosłość i wzbudza podziw, w jednéj i drugiéj dochodzi do entuzyazmu drogą wspaniałych allegoryj, wysokością uczuć, obrazowaniem przedmiotów niezmierzonych i uczuć bohaterskich. W epoce pierwszéj jest lirykiem i filozofem, tworzy ody i chóry doskonałe; w drugiéj jest epikiem i protestantem,

obarczonym teologicznym ciężarem, pozbawionym czucia dramatycznego, stwarzającego istoty żywe: jest wreszcie chłodnym dysertatorem, a odzyskuje dopiéro wtedy swój geniusz, gdy użycza szatanowi duszę swą republikańską, i gdy się otacza krajobrazami wzniosłemi, biorąc poczyą na usługi religii i obowiązku. Styl jego i idea pozostaną pomnikami historyi, bo skupiają i przypominają przeszłość i przyszłość, tak, że w jednem dziele jego odczytać można wypadki i uczucia kilku wieków jednego narodu.

VIII.

Purytanizm sprowadził orgię, fanatycy zaszkodzili cnocie. Przez długie lata, ponura imaginacya angielska zapełniona postrachami religijnemi, przedstawiała życie rozpaczliwie. Sumienie na myśl śmierci i wiecznéj ciemności wzdrygnęło się, a serce zachorzałe zbrzydziło sobie wszelkie rozrywki. Ztąd uczucie sprawiedliwości zatrute u źródła, przemieniło się w szał. Człowiek uznany za przewrotnego i potępionego uważał się za więźnia, gdzie nie przenika żaden promyk łaski, przepędzał noce zaludnione krwawemi widziadłami Boga strasznego i groźnego. Tak przekształcony widział we wszystkiém działanie potęgi nadludzkiéj, któréj się poddawał z entuzyazmem obłędu. Nadto fanatyzm zamienił się w instytucyą, przyczynili się do tego sekciarze i ich prozelici. Niepokoje sumienia skrystalizowały się w pracach państwowych: parlament zamknął teatr, smagał aktorów, zakazał widowisk, obalał rzeźby. Damom nawet zakazano tańców, zabaw i dzwonów. Obrazy zdzierano ze ścian kościołów. W Szkocyi, nietolerancya doszła do dzikości i prześladowań srogich. Zdawało się że czarna zasłona pokryła życie ludzkie i wszelką piękność.

Z przywróceniem królestwa, (za Karola II) nastąpiło oswobodzenie. Zapał pozrywał tamy. Nagły powrót do zmysłowości zastąpił moralność. Cnota uchodziła za purytanizm. Obowiązek i fanatyzm brano za jedno i to samo. W takim potopie człowiek zagrzęznął w błocie, została z niego tylko strona zwierzęca, nie hamowana żadnémi pęty. Obelga, krew, orgia, oto przymiot nowy ludu i panów. *Hudibras* Butlera jest zbiorem płaskości, brudu, obrzydłego stylu i obrzydłych dowcipów, a przecież utwór ten miał niezmierne powodzenie.

Dworacy Karola II-go byli podłymi, bez czci służalcami, Za najhaniebniejsze przysługi wynagradzano ich sowicie. Król sam stoi na żołdzie u Ludwika XVI-go, ministrowie członkowie parlamentu biorą jurgielty od Francyi. Zaraza ogarnia najlepszych patryotów.

Coventry, członek Izby niższéj, uczynił zarzut postępkom króla; przyjaciel jego książe de Monmouth z pomocą sług królewskich przeciął mu za to nos aż do kości. Zbrodniarz jeden chciał skraść

brylanty korony, Karol II-gi za zręczne usiłowanie wynagrodził go ziemią w Irlandyi, i przyjął do swego boku. Książe de Buckingham zabija hrabiego Shrewsbury, i wraca z żoną w tryumfie do domu zamordowanego.

Lordowie skazywali na śmierć republikanów z niesłychaném okrucieństwem. Zwłoki Kromwela wygrzebane, powieszono, a piękne damy patrzały na to ciekawie.

Stracono nawet wstręt fizyczny, zmysły przytępiały tak jak serce.

Brocząc we krwi pędzono na bezwstydne uczty. Król bezwstydnemi, haniebnémi i trudnémi do opisania czynami przypomniał Heliogabalów i Neronów, a dwór prześcigał króla. Stracono poczucie dobrych obyczajów, skromności i godności ludzkiéj.

Przy tém wszystkiém ludzie ci są mizantropami, a filozofia Hobbesa ostatnim ich wyrazem.

Czy podobna mówić w takich okolicznościach o literaturze, o teatrze? Wszakże mimo tego upadku i spodlenia, kilka kiełków wychyla się z pod ziemi: komedya wegetuje, bo ludzie zawsze bawić się lubią, a teatr jest miejscem zabawy. Mimo posuszy, zniknięcia wielkich pomysłów, istnieją pomysły udatne czy szczęśliwe. Autor dowcipny pochwyci pewne znamiona życia, a publiczność przybiegnie pośmiać się. *Gay* naprzykład w swéj „Operze Żebraków" wystawił łotrostwo wielkiego świata. Komedya pospolita może istnieć bezprzestannie. Blizkie jéj ognisko z pamfletem, ze satyrą, z romansem. Nieprzyjaciela składniéj zaczepić na deskach teatralnych, aniżeli w broszurze. Styl, pożyczona sytuacya, wynalezion dowcipek, podsłuchany fakt, zręczna faktura, zastępują często prawdziwy komizm i prawdziwą sztukę. Takiémi są źródła *Szkoły obmowy* a zarazem źródła talentu i powodzenia *Sheridana*.

Współczesny z Beaumarchais'em, i do niego z talentu i życia podobny. Jestto awanturnik zręczny, szlachetny; dochodzący do powodzenia przez skandale i do sławy, a gdy się chce w niéj utrwalić, znika nagle bez śladu. Wszystko co nazywa się szczęściem, sławą, zaszczytami, zyskał odrazu. Uwiódł sławną piękność, pojedynkował się i wzbudził rozgłos. Odtąd rzucał na scenę sztuki najrozmaitsze, uwielbiane, oklaskiwane: komedye, farsy, opery; nabył nie mając grosza wielki teatr, i prowadził życie zbytkowne w pośród pierwszego eleganckiego świata. Poczém zdobył potęgę, wszedł do Izby niższéj, okazał się jednym z pierwszych mówców, zwalczał Pitta, popierał Foxa, szydził z Burkego, podtrzymywał rolę najliberalniejszego, aż stał się jedną z czterech najwydatniejszych osobistości Anglii, na równi z pierwszymi panami, przyjacielem królewicza, na ostatku wielkim dygnitarzem. „Napisał—powiada o nim Bajron—najlepszą komedyę: *Szkołę obmowy*, najlepszą operę: *Duennę*, najlepszą farsę: *Krytykę*; najlepszy list, *Monolog o Garricku*, a nareszcie wypowiedział najlepszą mowę (o Hastingsie), jaką kiedy słyszano w tym kraju."

Wszystkich czarował, kobiéty i ludzi wpływowych, wszyscy jakby zaklęci naginali się do jego woli i kaprysów; interesa nawet garnęły się same do niego. Będąc brzydki oczarował bardzo piękną dziewczynę, którą poślubił. Nie było człowieka, któryby tak umiał wzbudzić zaufanie, tak zachęcić naturalném swém usposobieniem, darem wymowy, perswazyą. Co rano wierzyciele zapełniali jego pokoje. Przychodził uśmiechnięty i rozmawiał z takiém wdziękiem, że wierzyciele odchodzili upojeni, zapominając o celu przybycia. Werwa jego była nie wyczerpaną, dowcip olśniewający, rozmowa porywającą. Słuchano go nocami całémi. Umiał się wynurzać tak serdecznie, że wzruszał słuchających, robiąc ich od razu swymi przyjaciołmi.

Nareszcie długi się wzmogły, żołądek nie trawił. Stracił miejsce w parlamencie, teatr się spalił, umierającego chciał gwałtem woźny zabrać do więzienia za długi. Na pogrzebie bracia królewscy, książęta i lordowie, pierwsze figury w kraju, szły za trumną. Lecz co za smutny kontrast, książęta na pogrzebie i woźny u łoża umierającego! Sztuki podobne do człowieka. Błyszczą, ale metal nie najczystszy i nie najlepszego gatunku. Są to komedye wielce zabawne, ale tylko komedye salonowe (konwersacyjne) Pierwsza jego sztuka p. t. *Rywale* późniéj *Krytyka* i *Duenna* widocznym tego dowodem. Intryga, dyalogi zdarzają się bez porządku, bez przewodnictwa i idei głównéj. Ale śmiać się trzeba szczerze, scena porywa. Smak, finezya stylu, pomysły dowcipne, talent dyalogowania i wzbudzania ciągłéj uwagi, gryzący humor w wyszydzaniu głupstwa... to już niepoślednie zalety. Od pierwszéj sztuki nabrawszy doświadczenia scenicznego, poprawia, przekreśla, starając się o jedność machiny komicznéj. Wrażenie jednak ostateczne, pism tych sztucznych i skupionych jak satyry la Bruyéra, nasuwa na myśl zamkniętą flaszkę, w którą autor przedystylował całą swoję refleksyę, cały swój dowcip i ukształcenie. Pytanie dlaczego tak się wsławiła *Szkoła obmowy*? Oto Sheridan wziął z Fieldinga dwa charaktery i wziął dwie sztuki Moliera: Mizantropa i Świętoszka..... z tych dwóch potężnych substancyj sfabrykował jednę nadzwyczaj zręczną, którą upstrzył bardzo świetnym fajerwerkiem. W Molierze jedna jest tylko złośliwa: Celimena, a i ta spotwarza przyzwoicie, salonowo. Sheridan nie maluje, ale potwarze i złośliwości doprowadza do stopnia zaciekłości i przesady. Najbardzéj elegancka dama z całéj sztuki: lady Teazle, dla wyszydzenia innéj kobiéty śmiesznéj, wyszczerza zęby i wykrzywia się najokropniéj. Autor dał wszystkim jednę i tę samą ironię i zaciętość, czyli dał im swoją, bez względu czy to są stare panny czy młodzi fanfaroni. Świętoszek też Sheridana odmiennny cokolwiek. Nie kramarzy się religią ale moralnością, grzeczny jest i słodki, w intrygę zawikłany trochę mimo woli, gentleman to z pięknémi frazesami na ustach. Dla tego też wielkie sytuacye odpożyczone z Moliera, nie mają się na czém oprzéć, bo świętoszek ten zbyt małą dla nich figurą. Ale za

to naturalny przebieg wypadków, zręczność, obfitość zastępują prawie geniusz, a widz śmieje się szczerze z Świętoszka zmuszonego ukrywać żonę i męża, jednego za parawanem, drugą w swym gabinecie, zmuszonego usprawiedliwiać tych, których chciał potępić, a zgubić jedyną osobę, którą chciał ocalić, to jest siebie. Kończy odchodząc jak lis ze spuszczonym ogonem, wyśmiany, znienawidzony, wypędzony. A obok tego rozwijają się inne sytuacye, które są jakby komedyą w komedyi. Widz uniesiony żywością akcyi i dyalogów. Lecz po Sheridanie komedya niknie i umiera, pozostaje zaledwie farsa, gdzie karykatura zastępuje malowanie, a dzis niéma w Europie niwy tak opustoszałéj, tak nieurodzajnéj jak scena angielska. Z upadkiem albowiem dworu i ustaniem inwencyi mimicznéj, zniknęły prawdziwy dramat i prawdziwa komedya... przeszły one w książkę. Bo dzisiaj wreszcie nie ma książek z czasów Karola II-go, pracują one przy stole wspólnym w domu, a romans wyrugował teatr, tak jak życie mieszczańskie wyrugowało życie dworskie.

IX.

Ostateczne głupstwo w poezyi sprowadza rewolucyę. Epoka Odrodzenia rozpasana ale pełna pomysłów, dała popęd wyobraźni, tak że choć zgasła genialność, pozostał szał. Późniéj w naturalném następstwie naśladowano formę, bo na pomysły nie stać już było nikogo. Forma naśladowana, to epoka klassyczna w Anglii, któréj najgłówniejszym i najznakomitszym przedstawicielem jest *Dryden*.

Nie mogąc ogółowo przechodzić życiorysu tego pisarza zaznaczającego nową epokę, uważamy za godne wspomnieć o drugim młodym autorze, żyjącym obok Drydena. Żył w nędzy, w nieszczęściu, umarł w 34 roku życia, podobno gdy zbyt nagle połknął kawał świéżego chleba, podany mu z jałmużny. Nazywa się *Tomasz Otway*. Z poza retoryki ówczesnéj, umiał on wrócić do namiętności ubiegłego wieku. W dramacie *Sierota* a mianowicie *Ocalona Wenecja*, odnajduje się ponurą wyobraźnią Webstera i Szekspira, ich sposób malowania niepowstrzymanych namiętności, pozostawiających za sobą tylko trupy i zniszczenie, lecz zarazem potęgę słowa Szekspirowską, ukazującą głębię człowieka, siłę woli, pęd wściekłych namiętności. Tak jak Szekspir, umiał on stworzyć prawdziwe dusze kobiece i humor wpośród najtragiczniejszych wydarzeń. Gorycz pomieszana z prawdą! Inne utwory Otwaya skażone duchem czasu.

* * *

Z pamiętnym r. 1688, nowy porządek rzeczy, nowy duch ustala się w Anglii. Zwolna stopniowa rewolucya moralna, towarzyszy rewolucyi społecznéj; człowiek zmienia się tak samo jak

państwo, z tych samych przyczyn charakter wyrabia się odpowiedni społecznemu, tak, iż w obyczajach zarówno jak i w literaturze przeważa kierunek spokojny, moralny, niepodległy, a karny; jedyny jaki utrwalić może konstytucya. Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że Anglia nic na téj rewolucyi którą się tak chlubi, nie zyskała. Stan rzeczy albowiem pod panowaniem Wilhelma, Anny i dwóch pierwszych Jerzych, jest odstręczający. Zepsucie u góry, brutalność na spodzie, kilku intrygantów prowadzi na sznurku trzodę, a nie lud. Zwierzę ludzkości roznamiętnione sporami politycznemi, dopuszcza się gwałtów, daje się powodować każdemu stronnictwu i gotowe zbużyć społeczność. Kiedy lord Bute zajął miejsce Pitta wbrew opinii publicznéj, kamienują go. Każdy wypadek polityczny, wywołuje ruchy. Gorzéj jeszcze, gdy jaka sprawa dotyczyła ludu osobiście.. W r. 1687 wynaleziono *gin*, napój obrzydły, którego gdy się nędzarz napił za kilka groszy, miał dosyć aby się upić na śmierć. Na ulicach Londynu, nędznicy ci leżeli bez życia. Chciano powstrzymać konsumcyą nałożeniem podatku: na darmo, sędziowie nie śmieli skazywać na śmierć, bo donosicieli zabijano. Walpole bojąc się rewolucyi, cofnął swój bil w tym względzie. Wszyscy ci legiści w perukach i gronostajach i ci lordowie uszamerowani i biskupi w koronkach, słowem cały rząd zręcznie trzymający się w równowadze, jeździ na grzbiecie zwierza, które lada potrąceniem może go zrzucić i zgnieść. Przy wzburzeniu r. 1780 okazało się to jasno. Bez wyraźnego kierunku lud z okrzykiem: „precz z papistami", zburzył więzienia, palił i rabował miasto; przez trzy dni kobiety i dzieci piły z kadzi *gin* aż do upicia się na śmierć, lub do spalenia się w otaczających płomieniach. W jedenaście lat potém w Birmingham, zburzyli domy dyssydentów, a nazajutrz leżeli w błocie pijani. Klassy wyższe mniéj były warte od niższych. Jeżeli nie było rewolucyi doskonalszéj w skutkach, to téż i nie było rewolucyi utrzymywanéj brudniejszemi pobudkami. Wszędzie potrójna zdrada. Za Wilhelma i Anny, admirałowie, ministrowie, szlachta konspirują ze Sztuartami, których już nieraz sprzedali, targują się, krzywoprzysięgają do tego stopnia, że sami w końcu nie wiedzą czyją trzymać stronę. Sławny wódz, książe Malborough, to największy łotr, jakiego znała historya, okradający swych żołnierzy, handlujący tajemnicami państwa, zdradzający Jakóba, Wilhelma i Anglią; gotów narazić życie ażeby zaoszczędzić parę butów. Po nim przychodzi Bolingbrocke, cynik i sceptyk, minister królowéj i pretendenta, sprzedający jedną i drugiego, marnujący geniusz swój, aż dopóki nie zeszedł w ogólną pogardę. Potém Walpole wypędzony z Izby niższéj za przedajność, minister przez lat 20, chełpiący się że zna taryfę każdego sumienia. Zepsucie leżało tak dalece w obyczajach publicznych i w stanie politycznym, że lord Bute następca Walpola, który go o przekupstwo oskarżył, tegoż wyrzec się nie mógł. Kolega jego Fox, zamienił bióra bankowe (pay office) w proste bióra wypłaty żołdu za głowy,

a naczelnicy stronnictw sprzedawali się za pieniądze, za synekury i honory. Pitt najuczciwszy z ludzi politycznych, szef tych co się zwali patryotami, nie przebiera w środkach byle się utrzymać przy władzy. Upadek Stuartów oddał rządy w ręce kilku wielkich rodzin, które za pomocą kupionych deputowanych, mów pięknie brzmiących uciskały króla, kierując namiętnościami ludowemi, intrygując i kłamiąc byle się utrzymać przy władzy.

Obyczaje prywatne równie piękne jak publiczne. Zazwyczaj panujący król nienawidzi syna, syn robi długi, żąda od parlamentu zwiększenia swéj pensyi i wiąże się z wrogami ojca. Jerzy I trzyma żonę swoją w więzieniu przez 32 lat, upijając się co wieczór u dwóch swoich kochanic. Jerzy II kochający swą żonę, ma jednak metresy dla mody, cieszy się ze śmierci swego syna. Syn jego starszy szachruje w karty, a pewnego dnia król w Kensington pożyczywszy od Dadingtona 5,000 f. szt., gdy ujrzał syna przechodzącego pod oknami rzekł: „Ten człowiek uchodzi za najlepszą głowę w Anglii, a przecież mimo jego rozumu, obrałem go z 5,000 f. szt.“. Jerzy IV jest furmanem, graczem, birbantem skandalicznym, krzywoprzysiężcą, tak, że za obejście, Jockey-Club o mało go z grona swego nie wykluczył. Jedynym poczciwcem był Jerzy III ograniczony, późniéj waryat, którego matka trzymała podczas młodości w ścisłém zamknięciu. „Pieniądz, powiada Montesquieu —jest tu głównie w estymie, honor i cnota bardzo mało. Anglikowi potrzeba dobrego obiadu, towarzyszki i zbytku. Gdy mu tego zbraknie, zabija się lub zostaje złodziejem.“ Młodzież przywykła uważać brutalność jako przyjemność. Najsławniejsi nazywali się *Mohikanami*, tyranizując Londyn po nocach. Zatrzymywali ludzi na ulicach, zmuszając ich kłóciem szpady do tańca; często znowu kładli kobietę w beczkę, którą taczali z góry, albo ją ustawiali głową na dół, przypłaszczali nosy, lub palcami wygniatali oczy. Swift i romansopisarze opisali podłość tych rozrywek, dochodzących do okrucieństwa, a kończących się ateizmem. Temperamenta takie czują rozkosz w niszczeniu tego, co ludzie szanują i czém się instytucye opiekują. Zaczepiają duchownego dla téj saméj pobudki dla jakiéj biją konia, a naczelnicy ich zwą się: Collinis, Tindal, Bolingbrocke; zepsucie obyczajów, przyzwyczajenie do zdrady, ścieranie się sekt, postęp nauk i zamieszanie idei, zdaje się że zatarły chrystyanizm.

Najgłówniejsza rzecz zależała na „dobrym tonie,“ który tak skreśla lord Chesterfield w liście do swego syna: „Przedewszystkiem miéj dobre maniery.“ Ciągle nastaje na te maniery. „Mój synu, czyniszże postępy w tych drobnych a koniecznych szczegółach, które człowieka robią miłym? Twój metr tańca jest teraz najważniejszy... podobno pani P... trzyma się skrupulatnie męża, mimo że już rok z nim żyje. Trzeba to wyperswadować téj kobiecie. Wyperswadujcie sobie nawzajem... Bądź zręczny, giętki, grzeczny, podobaj się kobietom, kobiety robią mężczyznę modnym...

podobaj się mężczyznom. Giętkość dworaka rozstrzygnie twą fortunę.“ I dopiéro stawia mu za przykład dwóch najpierwszych urwisów w całém stuleciu: Bolingbrocka i Marlborugha.

Słowa te pisze człowiek poważny, dawny minister. Każe być synowi „politurowanym.“ Ale ta politura, która we Francyi była tak naturalną, tu staje się rażącą i ciężką, staje się kłamstwem, ta zaś fałszywa edukacya, środkiem do wyrobienia łotrów i komedyantów. *Gay* w swéj „Operze Żebraków“ dał wyborny obraz tego społeczeństwa, a publiczność śmiała się do rozpuku. Sztukę tę grano 63 nocy jedna po drugiéj, damy wypisywały sobie śpiewki na wachlarzach, a aktorka główna w téj sztuce, poszła za księcia. Złodzieje tak zaludniali Londyn, że w roku 1728 o mało nie zrabowali do szczętu krolowéj; poformowali się w bandy, mające oficerów, skarb i naczelnika. Warstwa spodnia podobna górnéj; dobrze téż *Gay* powiada: „W nałogach niewiadomo czy rycerze gościńców, naśladują rycerzy mody, czy téż rycerze mody, rycerzy gościńców. Czémże różni się naprzykład *Peachum* od wielkiego ministra? Jest tak samo jak tamten naczelnikiem złodziei, prowadzi porządny rejestr rabunków, wiesza tak samo swych przyjaciół gdy mu zawadzają, posługuje się równie językiem parlamentarnym i porównaniami klasycznemi, i tak samo oburza się gdy podejrzywają honor jego... A rady, jakie Peachum daje swéj córce, czyż nie podobne do maxym wielkiego świata: „Miéj panno kochanków; kobieta powinna umiéć się sprzedać, choćby nie bywała u dworu ani na zebraniach... Jakto? chcesz zaślubić p. Macheati, dla tego, że go kochasz? Piękna mi wymówka: miłość! Zdawało mi się, że panna zanadto dobrze wychowana, ażeby wierzyć w takie głupstwa. Córka moja musi być dla mnie tém, czém jest dama dworska dla ministra stanu, to jest kluczem całéj bandy.“ Zięć p. Macheati rozbija po gościńcach, i dlatego zwie się walecznym; dzieli się łupem z przyjaciołmi, i dlatego zwie się szlachetnym.

„Widzicie panowie — sam opowiada,— że nie jestem zwykłym dworakiem, któryby obiecywał wszystko, a nic nie dotrzymywał... Niechaj się dworacy wzajemnie oszukują, zachowaliśmy dosyć honoru, ażeby pozostać czystymi pośród ogólnego zepsucia.“ Brudne dowcipy, ton ordynarny i pijacki, maniery zbrodniarza, nie czynią wstrętu damom dającym oklaski z loży. Nerwy tych pań nie ustraszą się żadnego szczegółku, oddychały one już wyziewami błotnemi. Śmieją się z tego, gdy Lucy pokazuje stan swój odmienny kochankowi, znają się na wszystkich dowcipach szubienicznych i na wszelkich środeczkach medycyny.

Ironia gryząca, werwa najeżona zatrutém ostrzem, cieką po przez to dzieło, niby jeden z tych rynsztoków londyńskich, które opisali Gay i Swift z taką trafnością, że po stu przeszło latach świat ówczesny odstręcza hańbą nikczemną.

* * *

Wszakże pomiędzy dnem a szumowinami powierzchni płynął wielki strumień narodowy, który oczyszczając się własnym ruchem ukazywał już teraz zbawienną jasność swéj wody. Płynął ku łożysku narodowemu po wygięciach i spadkach. Te wygięcia nadają każdéj cywilizacyi jéj formę i stopień. Ich opis téż głównie obchodzi.

Nigdy bardziéj nie naśladowała Anglia Francyi, a Francya Anglii. Jakże jednak odmiennemi były dwa te prądy.

Tu autor charakteryzuje ducha, dowcip i obyczaj francuzki w sztukach, naukach, w towarzystwie, w obyczajach u dworu, w literaturze i wszędzie, kończąc ten ustęp mniéj więcéj temi słowy:

„We Francyi myślą dla tego ażeby myśleć, teorye mogą się dowolnie rozwijać. W ten to sposób rozmawiano zawsze we Francyi. Bawiono się prawdami powszechnemi, wydobywając je z kawałka faktu, na ziemi zaś wydawało się źle dotąd, dopóki umysł nie dosięgnął krainy czystych pojęć. XVIII wiek jest pod tym względem ciągiem dalszym XVII: Opisano i obmówiono pochlebstwo, mizantropię, chciwość, umiejętność życia; poczęto badać wolność, tyranię, religię, człowieka w abstrakcyi. Pisarze religijni i monarchiczni pochodzą z téj saméj rodziny, co pisarze bezbożni i rewolucyjni. Boileau prowadzi do Rousseau, a Rassyn do Robespierra. Rozum oratorski wytworzył teatr regularny i kazania klasyczne, a zarazem deklaracyę praw człowieka i *kontrakt socyalny*. Zaczyna kiełkować idea o człowieku, jego skłonnościach i obowiązkach, idea skawałkowana, ale która z arystokratycznéj staje się ludową, z rozrywki staje się wiarą, z rąk delikatnych przechodzi w ręce grube i entuzyastyczne, z ozdoby salonu staje się pochodnią żarzącą i ścierką. Takim to prądem płynął duch francuzki przez dwa wieki, głaskany wyrafinowanym wykwintem grzeczności, upstrzony celem idei świetnych, zakołysany obietnicami teoryi sławnych, dopóki w chwili gdy mu się zdawało, że dotyka obłocznego pałacu, nie stracił nagle gruntu pod nogami i nie stoczył się w przepaść rewolucyi.“

Całkiem inną jest droga jaką szła cywilizacya angielska. Nie duch społeczeński ją wytworzył, ale zmysł moralny. „Anglicy żyją bardzo sami w sobie — powiada Montesquieu — i myślą samotnie. Mając w obrzydzeniu wszystko, są nieszczęśliwi.“ Wolter tak samo jak Montesquieu powraca nieustannie do przypomnienia energii ponuréj ich charakteru: zdziwiony jest „tyloma Tymonami.“

Anglik z natury poważny, zamyślony i smutny, nie patrzy na życie jak na rozrywkę, ale obserwuje duszę, bada siebie samego, i kończy na uwielbieniu jedynéj piękności: piękności moralnéj, skutkiem czego wszystkie swe czyny układa według surowego kodeksu sprawiedliwości. Wybrawszy raz taką drogę, wstydziłby się cofnąć, odpycha pokusy, walczy i zwycięża, czuje że jest człowiekiem. Z drugiéj znów strony zaspakaja żądze czynne, przez wywołanie spółek fundacyi, a ponieważ ma do czynienia z ludźmi zahartowanymi, więc puszcza się z nimi śmiało w długie i niebezpieczne walki. Rozmysł przeto naturalny podyktował mu sposób postępowania moralny, a naturalna chęć walki dała mu siłę moralną.

Inteligencya w ten sposób wzmocniona łacniéj pojmuje obowiązek, wola tak uzbrojona łacniéj go spełni. Otóż właściwość tę fundamentalną, odnajdziemy zawsze w życiu publicznêm Anglików.

* * *

Przypatrując się konstytucyi angielskiéj, wydaje się ona zbiorem przywilejów, czyli uświęconych niesprawiedliwości; po prawdzie zaś jest ona zbiorem kontraktów czyli praw uznanych. Każdy maleńki czyli możny ma swój własny, który broni całemi siłami. Nikt nie śmié naruszyć, ani król, ani lordowie, ani Izby mojéj ziemi, mego prawa zagwarantowanego kartą, choćby było przedawnione, nieużyteczne, prywatne czy publiczne; choćby chodziło o talara, bronić go będę jak gdyby to był milion, bo zaczepiając talara, zaczepiają moją osobę. Porzucę zatrudnienie, stracę czas i pieniądze, zapłacę kary, pójdę do więzienia, zginę, ale nie będę tak podłym żebym się ugiął przed niesprawiedliwością, żebym odstąpił cząsteczki mego prawa.

Takiém to poczuciem, zdobywa się i zachowuje wolność polityczną. Takie to poczucie obaliwszy Karola I i Jakóba II, sformułowało się zasadami w deklaracyi z r. 1688, a rozwinęło u Lockego w dowodach i przykładach. Z powstaniem każdego społeczeństwa— powiada on,—potrzeba położyć zasadę niepodległości człowieka. Każdy z natury i pierwotnie ma prawo nabywać, sądzić i karać, wojnę toczyć i rządzić rodziną i swymi ludźmi. Społeczeństwo jest niczém innêm, tylko kontraktem późniejszym między małymi monarchami, którzy ułożywszy się między sobą, zgadzają się na utworzenie wspólności dla pożycia bezpiecznego, zgodnego i dobrego z innymi, dla używania bezpiecznego dóbr i dla lepszéj ochrony przeciw tym, którzy nie są w spółce z nimi. Ci, którzy są złączeni w jedno ciało, którzy mają prawo wspólne, do którego się odwołać mogą, a nadto władzę na ukaranie przestępców, znajdują się w społeczeństwie cywilnêm jedni względem drugich. Ich stowarzyszenie nie stanowi praw ale je zabezpiecza; akta zaś urzędowe podtrzymują teoryę abstrakcyjną. Kiedy parlament ogłasza tron wakujący, to pierwszym jego argumentem jest: że król pogwałcił „kontrakt pierwotny“ mocą którego został królem. Kiedy Izby wytaczając proces Sachevrellowi, to dla stwierdzenia publicznego, że konstytucya angielska ufundowana na kontrakcie, i że poddani królestwa mają tytuł równie słuszny do posiadania praw im zabezpieczonych, jak i król do posiadania korony.“ Kiedy lord Chatam broni wyboru Wilkesa, to dla stwierdzenia, że „prawa najniższych poddanych zarówno jak i najwyższych opierają się na téj saméj podstawie: na niewzruszoności prawa wspólnego, i że jeżeli lud utraci te prawa, to już i prawa panów nic nieznaczącemi będą.“ Filozofia stworzyła wielką kartę, petycyę do praw: *habeas corpus*, i wszystkie inne uchwalone w parlamencie. Prawa te spisane na

pargaminach, zregestrowane w archiwach, podpisane, opieczętowane, są autentyczne; prawo rolnika jak i księcia zarówno spisane na téj saméj karcie, tym samym atramentem, przez tego samego pisarza. Rolnik jest zarówno panem w swéj chacie, jak książę w swym pałacu.

Takiemi są ludzie gotowi do obrony. Ciekawém jest to poczucie prawa w szczegółach życia politycznego, gdzie temperament brutalny i namiętności silne nastręczają sposobność burzenia się. Przy wyborach pierwszą rzeczą, którą się spostrzega, są stoły zastawione, wódka i gin odchodzące suto, a przy każdym toaście wzburzenie wzrasta. Dyskusya przemienia się w walkę, kandydaci biją się, tłuszcza klaska i krzyczy, gniew i namiętności wzbudzone, zajmują się sprawami kraju, nie oszczędzą ani króla ani Izb, a gdyby rząd chciał wywierać nacisk, zmuszą go do zmiany prawa. Pycha swobody, podżega instynkt obrony onych praw. Każdy czuje, że jest nienaruszalny, że umié oddać pięścią za pięść, że będzie sądzony przez niepodległy sąd przysięgłych, według praw wspólnych: „Członkowie społeczeństwa angielskiego— powiada Montesquieu— czują się monarchami, a są raczéj skonfederowanymi niż współobywatelami. Wszyscy oni pewni siebie, chełpiący się z siły pięści, z mięsa, które jedzą, i piwa, ze wszystkiego co podtrzymuje siłę i ogień woli męzkiéj: łatwo więc entuzyazmować się mogą dla spraw publicznych, bo to są ich sprawy. Życie polityczne i religijne rozlewa się w całéj pełni, zaciętość stronnictw świadczy o gorliwości. Kiedy rząd przedsiębierze krok jaki, publiczność wié że tu chodzi o jéj interesa, więc niech się rząd strzeże! Raz podnoszą w obłoki Pitta, potém znów napadają pałac księcia de Bedford. Co rano dzienniki i pamflety rozbierają sprawy publiczne, sądzą dygnitarzy, atakują króla i lordów. W téj wrzawie zdań, opinia publiczna rośnie, aż uderzy na parlament lub dwór, które się przed tą wolą ogółu ugiąć muszą lub runąć. Ztąd łatwo zrozumieć wpływ wymowy w takim kraju. Po *forum romanum* jedyne to miejsce, gdzie trybuna stała się potęgą. Z Addissonem, Steel'em i Swiftem, smak i geniusz odznacza polemikę. Mówcy przemawiają jak gdyby walczyli, nie oszczędzając nic i nikogo, uderzają wprost z całą siłą. Młody Pitt przygnębił i zgniótł pierwszą swoją mową pełną sarkazmu i obelg, Walpolego. W ponurym tym i namiętnym stylu, drga coś z Miltona i Szekspira. Ale jeżeli Pitt czuje się w prawie, rozumié także prawa innych, i dlatego ma całą Anglią na swe usługi.

* * *

Zjawiła się nareszcie moralność, a z nią poczucie domu i rodziny. Yong poprawia rolnictwo, Howard więzienia, Adam Smith ekonomię polityczną, Bentham prawo karne, Loke, Ferguson, Stewart psychologię i moralność. Oczyścili oni obyczaje prywatne i publiczne. Rewolucya francuzka zastała Anglików jako konserwa-

tystów i chrześcian. Sto pięćdziesiąt lat refleksyi moralnych i walk politycznych, doprowadziły Anglików do religii pozytywnéj i do konstytucyi. Burke najsławniejszy mówca Anglii, żądał wypowiedzenia wojny ówczesnéj Francyi, nie jako wojny ludu przeciw ludowi, ale jako wojny „własności z siłą". Miały się zetknąć nie dwa rządy, ale dwie doktryny, dwie cywilizacye, ze zrządzenia fatalności. Cały wiek literarury i filozofii przygotował to zdarzenie, w którém po stronie Angli niepodobna nie dopatrzéć wielkiego nagromadzenia siły i zapału.

X.

Pominiemy tu w dalszym ciągu Epoki klasycznéj wydatną osobistość *Addisona*, zastanawiając się tylko nad Swiftem.

Całe życie *Jonathana Swifta*, było pasmem boleści i nienawiści. Będąc niezmiernéj pychy poniewierał pierwszymi magnatami. Arogancyą swoją zmuszał dygnitarzy do uprzedzającego obejścia. Uważał się za istotę wyższą, któréj się należy cześć, bez względu na płeć, stopień i sławę innych. Sztukę pisarską traktował tak jak ludzi. Pisał nie odczytując, nie podpisując swém nazwiskiem; nie dbając o niczyje pochwały lub opiekę. Spragniony potęgi, postępował tak jakby ją już miał. Nienawiść i nieszczęście, zamieszkują w tego rodzaju ludziach despotycznych. Swift żył jak król upadły, obrażający i obrażony, nie zdolny żyć w towarzystwie, ani w samotności, za dumny by się posługiwać ludźmi, ciągle zbuntowany i jakby stworzony dla rozpaczy i dla talentu. Pod flegmą oblicza i stylu, gotowały się wściekłe namiętności. Wrzała w nim burza gniewów i pragnień. Zemsta sprawiała mu rozkosz. Oto jak oddycha radośnie, gniotąc stopą swych wrogów: „Whigowie uradowali się widząc mnie, chcieliby się mnie uczepić jak gałęzi, a magnaci pletli mi niezgrabne pochwały. Jak to miło słyszéć opłakane wyznanie głupstw," a potém: „Zanim ztąd odjadę, pożałują mnie.... zyskuję dwadziestu nieprzyjaciół, alem się przynajmniéj zemścił."

Jego: *Listy Sukiennika*, podburzyły Irlandyę przeciw rządowi; tak, że rząd ogłosił nagrodę za wydanie Sukiennika. Na to Swift wchodzi do sali, gdzie zasiadali lordowie i głosem grzmiącym woła: „Pięknym czynem jest twoje obwieszczenie lordzie (lord-lieutnant) wymierzone przeciw biédnemu kramarzowi, który chciał kraj uratować!" I dopiéro pośród milczenia lżyć począł lorda, na co tenże łagodnie odpowiedział. Ale łagodność i rezygnacya obrażały gwałtownego nawet w żartach, nawet ze swémi przyjaciołmi i z obcémi. Ludzie oburzali się szorstkiém, gwałtowném i sarkastyczném obejściem Swifta, kto wié jednak czy to nie było łkanie bolesne zgoryczonéj, niemogącéj się powściągnąć duszy. Skończył téż w obłąkaniu które przeczuwał, które straszliwemi farby

opisał, a obłąkanie to miał wyryte na obliczu tragiczném, w oczach strasznych i błędnych. Potężny geniusz, który natura wypuściła na pastwę społeczeństwu i życiu, a społeczeństwo i życie lało mu z pełnéj czary truciznę. Znosił ubóstwo i pogardę od lat dziecięcych, zaledwie utrzymywany z jałmużny rodziny, znający już siłę swą i jéj niebezpieczeństwa. Mając lat 21, był sekretarzem lorda Temple, jadał przy stole służących, pisał ody pindaryczne na cześć swego pana, przez lat dziesięć cierpiąc upokorzenia i poufałość lokai, zmuszony pochlebiać schorzałemu panu, na widok którego drżał, ile razy ten był w złym humorze. Mając lat 31, mając nadzieję otrzymania posady od Wilhelma III-go, wydał dzieła swojego patrona dedykując je królowi. Patron otrzymał nagrodę, a on miał na nowo zostać sekretarzem u lorda Berkeley, a zarazem kapelanem. Był to inny rodzaj lokaja, co człowieka z sercem głęboko zrazić musiało. „Chcę być żoną proboszcza—prosiła służąca Harris—niech więc państwo dadzą rozkaz kapelanowi". Państwo obiecali Swiftowi dziekanat, a dali go komu innemu. Rzucony w politykę, napisał pamflet *Niezgody Aten i Rzymu*, za co od lorda Halifaxa i innych, otrzymał tysiące przyrzeczeń, na czém się jednak skończyło. Dwadzieścia lat obelg niepomszczonych, upokorzeń nieustannych, tyle nadziei żywionych a potém zawiedzionych, tyle marzeń splamionych służalstwem, konieczność ukrywania swéj nienawiści i swych cierpień, świadomość swéj wyższości, usamotnienie geniuszu i pychy, nagromadzony gniéw gryzący, za niejednę zniesioną pogardę: oto bodźce, które go wypychały naprzód, niby zwierzę kłute w cyrku ostrzem żelaza. Przeszło tysiąc pamfletów, które w ciągu czterech lat lżyły go ustawicznie: *zdrajcą, ateuszem, renegatem*, rozdrażniły go bardziéj jeszcze. Zmógł tych wrogów, przydeptał i rozkoszował się tryumfem. Nadmiar pogardy, nielitościwa ironia, zabijająca logika, okrutny uśmiech zwycięzcy kroczącego po trupie wroga z radością, były jedynémi ożywiającémi go uczuciami, a wybuchały one z taką gwałtownością, iż mu musiały zamknąć wszelką karyerę. Ze wszystkich téż wysokich posad po które wyciągał rękę, został mu tylko nędzny dziekanat w Irlandyi. Wstąpienie na tron Jerzego I-go wygnało go tam, wstąpienie na tron Jerzego II-go na którém budował, tam go przykuło. Walczył z razu przeciw nienawiści ogólnéj, potém przeciw tryumfującemu ministrowi, potém przeciw całéj ludzkości, a walczył pamfletami krwią pisanemi, rozpaczliwą satyrą, aż z upływem wieku, z nadejściem nędzy i ucisku, z poczuciem swéj niemocy, doszedł do szału nienawiści, „Co dzień się czuję bardziéj uniesiony—pisał—ku zemście i nienawiści, a wściekłość moja dochodzi do szału na widok niewolniczego ludu, pośród którego żyję." Krzyk ten jest skróconym wyrazem jego życia publicznego, a uczucia te materyałem, którego dostarczyło życie publiczne jego talentowi.

Uczucia te same odnalazł w życiu prywatném, tylko jeszcze gwałtowniejsze.

Wychował on i ukochał czystą miłością, młodą, ładną dziewczynę Esterę Johnston, która go również czciła. Dla niéj spisywał dziennik czynów swych i myśli z wynurzeniem najczulszém. Tymczasem druga dziewica piękna, bogata, zakochała się w nim; pojechała za nim do Irlandyi, cierpiąc niesłychanie skutkiem jego obejścia i słów przykrych. Z rozpaczy umarła. Estera wiedząc o tém niemniéj była nieszczęśliwą. Łzy, nieufność, gniéw, chłodne milczenie zastąpiły w domu dawną poufałość i czułość. Zaślubił ją potajemnie i pod warunkiem, że będzie żoną jego tylko z nazwiska. Dwanaście lat znosiła męki, Swift uciekał jak mógł najczęściéj do Anglii. Dom stał się dlań piekłem, zdaje się, że niedołęztwo fizyczne było przyczyną nieszczęść jego miłosnych i małżeńskich. Arcybiskup King, raz po rozmowie z Swiftem, zalany łzami wyraził się: „*to najnieszczęśliwszy człowiek na ziemi*; ale nie pytajcie o przyczynę jego nieszczęścia." Estera umarła. „Czas na mnie—pisze w szale rozpaczy Swift—skończyć z tym światem, bo umrę z wściekłości jak szczur zatruty w swéj dziurze." Nadmiar pracy i wzruszeń przyprawiał go o zawrót głowy od młodości, teraz czuł że go rozum opuszcza. Ujrzawszy raz drzewo opadłe z korony liści, zawołał patrząc nań długo: „Stanę się jak to drzewo, umrę najprzód głową...." Opuściła go pamięć, żył samotny, ponury, nie mogąc już czytać; rok cały nie przemówił słowa, nie mogąc znieść ludzkiéj twarzy, manijak i idyota; ostatnie jego słowo było: „oszalałem". Gdy otwarto testament, przeczytano że cały majątek zapisał na wybudowanie domu waryatów.

* * *

Potrzeba było takich namiętności i takiéj nędzy, ażeby natchnąć dzieła: „*Podróż Guliwera i opowiadanie Beczki.*" Styl Swifta jest stylem chirurga i sędziego, chłodny, poważny, bez ozdób, ale męzki i praktyczny. Nie chce się podobać, ani porwać, wyraża myśl dobitnie: zniżając najwyższe idee do swéj potrzeby, z flegmą brutalną i pyszną. Każdy przedmiot obejmuje potężnie, rozkłada go, dając inwentarz jego szczegółów. Z każdego zdarzenia sporządza protokół okoliczności suchych, ale tak dobrze powiązanych i prawdopodobnych, że wywoła złudzenie. *Podróże Guliwera*, mogą się wydawać dziennikiem spisanym w podróży, opowiadanie p. *du Baudrier* przekładem autentycznym. Umié nadać romansowi przesadzonemu, pozór historyi prawdziwéj. Przez taką umiejętność opisu szczegółów, wprowadził w literaturę kierunek pozytywny. Nie ma wielkości prawdziwéj czy fałszywéj, któraby się w obec niego utrzymała, rzecz przezeń zbadana traci natychmiast swój urok. Rozkładowém badaniem ukazuje jéj brzydotę rzeczywistą, a odejmuje piękność pozorną. Szczegółki fizyczne umiejętności, religii, państwa, sprowadza do płytkiego poziomu wydarzeń codziennych. Niéma tutaj strony życia ludzkiego czy natury, któraby się

ostać mogła piękną i wielką przed tego rodzaju umysłem, który wyższe czyny człowieka zniża do czynów pospolitych i trywialnych. Swift nie chce admirować, natura jest dlań garnkiem, w którym się gotują wiadome mu dobrze ingredyencye. W téj właśnie sile i słabości Swifta, dostrzedz już można mizantropię jego a zarazem talent.

* * *

W téjto epoce, dosięgnął przez niego dziennik w Anglii najwyższego znaczenia. Literatura wkradła się w politykę. Ażeby zrozumieć czém się stała pierwsza, trzeba zrozumieć czém była druga: sztuka zależną była od interesów, a duch stronnictwa wyrabiał ducha pisarza. Stronnictwo albowiem w Anglii było zawsze massą ludzi, związaną interesem pieniędzy, znaczenia lub sumienia, biorącą teoryę jako sztandar lub punkt oparcia; był to rodzaj państwa podrzędnego, które usiłowało legalnie zdobyć ster władzy, kiedy więc gdzieindziéj, np. we Francyi, polityka zajmuje żywo umysł, tu jest sprawą domową, z któréj Anglicy robią po prostu interes. Dla tego ich pamflety, a szczególniéj Swifta, wydają nam się tylko na pół-literackie, i bardzo słusznie, bo ażeby jakieś rozumowanie wydać się mogło literackiém, potrzeba iżby się odnosiło nie do jakiegoś stronnictwa lub interesu, ale wprost do czystego rozumu, żeby się opierało na prawdach powszechnych i obchodzić mogło każdy rozum ludzki: inaczéj zaś będzie lokalném, lecz pięknem nie będzie. Co jest piękne, musi być powszechném. Dalszy warunek dzieła literackiego jest, iżby każdy z niego mógł nabrać zupełnego przekonania, iżby namiętność dowodzenia poparta była sztuką dowodzenia; iżby rozumowanie jaśniało żywością, szlachetnością i ogniem odpowiednim przedmiotowi, i zdolnym przeniknąć słuchaczy wszelkiego rodzaju.

Takiéj filozofii i gustu brak umysłom pozytywnym, które zwykły osięgać powodzenie, ale nie piękność wieczną. Swift też nie zwraca się do człowieka w ogólności ale do pewnych ludzi, nie chodzi mu o nauczanie prawdy ale o zrobienie wrażenia; nie dba o oświecenie ducha człowieka, ale o poruszenie massy uczuć i przesądów. Kiedy pisze, ma swą publikę przed oczami: grubego *squira* przyzwyczajonego po najedzeniu się wykrzykiwać na cześć Kościoła i króla,—szlachcica ziemskiego, brzydzącego się zbytkiem Londynu i powagą kupców,—duchownych, nienawidzących dyssydentów i papistów. Z tymi ludźmi trzeba dobrze obrachować pojęcia które zrozumieć mogą i interesa, które ich dotykają: piękna dedukcya, zasadą abstrakcyjna, nie dla nich.

W ten sposób przemawia Swift, bez efektów stylowych, ale z siłą przekonania, które przenikało spółczesnych, wyrażając im głośno to, o czém myśleli po cichu. Taką była potęga Egzaminera, co w jednym roku przekształciła opinię trzech królestw, taką zwłaszcza: *Listy sukiennika*, które obaliły rząd.

Zbrakło drobnéj monety w Irlandyi, więc ministrowie angielscy dali Wiliamowi Wood patent na wybicie 108 tysięcy funt. szt. z miedzi. Kommissya pod przewodnictwem Newtona, sprawdziła monetę jako była dobrą i rzetelną. Swift podburza lud, mówiąc do niego jego językiem i tryumfuje nad rządem. Swift tonem niezmiernie zręcznie budzącym uwagę i namiętności ludu, oskarża Wooda, że moneta którą wybić kazał nie ma ósméj części rzeczywistéj wartości, dowodów nie daje żadnych; dowodów téż nie trzeba: ażeby lud przekonać, dość powtarzać obelgę i rozbudzić wyobraźnię. Cała piękność w tych pamfletach, polega na akcencie. Drga w nich jakaś wyższość przygniatająca i zaciętość straszliwa. Dość przeczytać pamflet jego przeciw *Steele'mu*, gdzie kartka po kartce dobija Steele'go z flegmą i pogardą, jakiéj nikt jeszcze nie dorównał. Zadaje ranę po ranie, pewny swych ciosów i ich głębokości. Gdy zaś sądzi, gorszym jest jeszcze jak gdy dowodzi; świadczy o tém jego: *Krótki portret lorda Whartona.* Zatrzymując formę grzeczności urzędowéj, zabija go z pogardą.

„Miałem sposobność— powiada,— rozmawiać nie mało z Jego Wielmożnością, i jestem przekonany o jego zupełnéj obojętności na pochwały i na nagany. Pozbawiony on zmysłu sławy i wstydu, tak jak pewni ludzie pozbawieni są zmysłu powonienia, dlatego téż dobra sława jest dlań tak samo nic nieznaczącą rzeczą jak pachnidła dla tamtych. Jeżeli ktoś w interesie dobra ogólnego, podejmuje się opisu węża, wilka, krokodyla lub lisa, trzeba przecież zrozumieć, że robi to bez szczególnéj miłości lub nienawiści osobistéj przeciw tym zwierzętom. Również Jego Ekscellencya należy do tych, których ani kocham, ani nienawidzę osobiście. Widuję go u dworu, u niego, a czasami i u mnie, bo bywam zaszczycony Jego wizytami, i gdy pismo to wyjdzie na widok publiczny, zapewne mi powie tak jak już mi to przy podobnéj okazyi powiedział: „żem go diablo obłożył," poczém ze zwykłą mu elegancyą, zapyta mnie się o godzinę lub o pogodę. Zaczynam więc tę robotę z najlepszą otuchą, będąc pewny, że go ani rozgniewam, ani urażę w jakibądź sposób jego reputacyę, będącą zbiorem szczęścia i pewności należącéj do Jego Ekscellencyi, i któréjby téż żaden filozof dosięgnąć nie zdołał. Tomasz hrabia Wharton, lord lieutnant Irlandyi, zadziwiającą siłą swéj budowy ciała, przeszedł od kilku lat wiek krytyczny, a starość nie pozostawiła widocznych śladów na jego ciele lub umyśle, mimo że się oddawał całe życie nałogom, zużywającym zazwyczaj jedno i drugie. Czy się przechadza, gwiżdże lub przysięga, czy plecie obrzydłe dowcipy, lub klnie, zawsze wywiązuje się z tego wszystkiego lepiéj od ucznia z trzeciéj klassy. Z równym wdziękiem i stylem, wściekać się będzie na ulicy na swego furmana, jak i w królestwie którego jest gubernatorem, i to jedynie dla tego, że rzecz ta leży w jego naturze. Gdy mu się coś udało, stało się to nie tyle sztucznością ile liczbą kłamstw, a kłamstwa te odkrywano czasem w jednéj godzinie, często w jednym dniu, zawsze w jednym tygo-

dniu. Przysięga ci uroczyście że cię kocha i chce ci usłużyć, a gdy się odwrócisz, powiada innym żeś pies i głupiec... W polityce jest prezbyteryanem; w religii ateuszem, ale obecnie uważa za stosowne mieć kochankę papistkę."

W dalszym ciągu wylicza piękne czyny lorda: żałuje że ich nie może ułożyć w tak pięknym porządku jakby pragnął.

W całym tym ustępie Swift mówi z powagą. Ani gniew, ani przymus nie zmienia jego głosu. Dla tego styl jego zwykły jest ironią poważną, a ironia to broń pychy, siły i namysłu. Człowiek posługujący się ironią, strzeże się wybuchnąć, wziąść publiczność za powiernika; przeto cierpi więcéj, bo zgłębia przedmiot w szczegółach a nie ulży sobie uniesieniem.

Potrzeba czytać niektóre jego pamflety, np. *przeciw zniesieniu chrystyanizmu*, żeby się przekonać jak umié walczyć, i z jaką nienawiścią wytrwałą, a przytém z jakiém zapanowaniem nad sobą. Nazwać go można *pamflecistą* w tém znaczeniu, jak Hannibala nazywają *condottierem*.

* * *

Swift kiedy żartuje: rozdziera dla zabawki, ukazuje czytelnikowi śmierć i choroby. Chcąc dokuczyć swemu nieprzyjacielowi księgarzowi Curt, przypuszcza, że go zatruto i opowiada jego konanie. Szczegółki nakreślone Hogartowskim pędzlem, ale okrutne. Śmiać się trzeba śmiechem waryatów. Swift w swéj wesołości nawet, jest tragiczny, lub przykry i szorstki. Poezyi, któraby była może jedyną pocieszycielką, nie szukać w wierszach Swifta,—umysł tak pozytywny nie może jéj znosić. Najlepszy jego poemat p. t. *Caenus i Vanessa*, zszywaną jest alegoryą. Ale za to proza jego, zostawia daleko za sobą wyszukaną eleganeyę Addissona i Popego. Oryginalnością twórczą przechodzi on swój wiek klasyczny i bojaźliwy, zniewala sobie formę, śmié powiedzieć wszystko. Wielkość jego tkwi właśnie w téj zuchwałości i w pomysłach. Albo ileż komiki w jego „*Wielkiéj kwestyi rozstrzygniętéj*." Chodzi tu o odmalowanie pyszałki kapitana, wchodzącego do zamku z miną wojowniczą i zuchwalstwem głupiém. Takąż komicznością odznaczają się: *Dziennik damy modnéj*, *Umeblowanie umysłu pewnéj damy*, które zdają się być dyalogami spisanemi żywcem po wyjściu z salonu.

* * *

Opowiadanie beczki, napisał będąc w domu Sir Wiliama Temple. Jest ono satyrą z wszelkiéj nauki i prawdy. Najprzód religii; kwestye dogmatów porównane ze sukniami: „Suknia stwarza człowieka i daje mu piękność, dowcip i znaczenie. Jeżeli pewną liczbę gronostajów ustawi się w pewném miejscu, nazywamy to sędziami; podobnież zgromadzenie odpowiednie koronek i czarnego

jedwabiu nazywa się: „biskupem.“ Nie przebierając w energicznych wyrażeniach,— w porównaniach wstrętnych, często obrzydliwych realizmem, topi religię zwracając się do nauki, którą w przedstawicielach jéj rozmaitych nielitościwie rozśmiesza. Samemi dedykacyami, wstępami i dodatkami, które umyślnie parodyuje, napada próżność i gadulstwo autorów. Jużto w ogóle Swift genialnie lży i ironizuje. Po nauce przychodzi koléj na rozum konkludując, że ponieważ szaleństwo jest źródłem geniuszów, przeto zamknięci w Bedlam (szpitalu waryatów) zdolni byliby zająć pierwszorzędne posady, w państwie, w kościele i w armii.

Jeżeli bolesném jest ukazać szaleństwo ludzkie, to stokroć boleśniejsze ukazać przewrotność ludzką, dla tego Swift wydaje się łagodniejszy w „Opowiadaniu beczki“ niż w Guliwerze. Cały jego talent i wszystkie namiętności, skupił w tém dziele. A przecież nic niema przyjemnego w tym dzienniku, nigdzie poczucia piękna. Sztuka cała polega tu na tém, że z przypuszczenia dziwacznego wyciąga wnioski poważne. Mimo to wyjąwszy autora *Robinsona*, nie ma on tu równego. Są ustępy w „Guliwerze,“ które łudzą prawdopodobieństwem, bo może żaden pisarz nie znał tak doskonale praw zwykłych natury i życia ludzkiego. Pod pozornym wszakże chłodem, ileż tu gwałtowności! Jakże sprawy nasze porównane do Liliputskich, wydają się śmieszne! Czémże nasza potęga, nasze uczucia, kiedy racya bytu większéj ich części miłości naprzykład, lub szacunku wytłómaczyć się dadzą jedynie niedołęztwem naszych organów. A społeczeństwo odstręcza więcéj jeszcze niżeli człowiek. W Lapucie (w Lilipucyi) u koni olbrzymów wszędzie Swift z zaciekłością przeciw niemu występuje, i nigdy nie ma dosyć szyderstwa i poniżenia. Według niego nieuctwo, próżniactwo i występek są jedynemi zasługami prawodawcy. Ażeby wytłumaczyć i zastosować prawa, wyszukuje się talent, którzy mają talent i są interesowani w tém, iżby je przekręcić, obejść i zagmatwać.“ Szlachcic jest nędznikiem zepsutym na ciele i duszy, a zarazem dziedzicem chorób i występków, które mu przekazało 10 generacyj birbantów. Prawnik jest kłamcą płatnym, przyzwyczajonym przez 20 lat szykany, do przekręcania prawdy jeśli jest adwokatem, do sprzedawania jéj, jeśli jest sędzią.

Minister jest faktorem, który ażeby lepiéj kraść pieniądze narodu, kupuje deputowanych pieniędzmi tego narodu.

Wszystkie fikcye olbrzymow, pigmejczyków, wysp latających, są u Swifta środkami do odarcia natury ludzkiéj z zasłon, któremi ją przykryła wyobraźnia i obyczaj, do ukazania jéj w całéj brzydocie.

W pięć lat potém, napisał na korzyść nieszczęśliwéj Irlandyi pamflet, będący jakby najwyższém streszczeniem jego rozpaczy i jego geniuszu. W żadnéj literaturze niema nic podobnego i zasługującego na podziw. Żałujemy, że nam miejsce nie pozwala przytoczyć go w całości.

Cierpienia Pascala wydają się łagodnemi w porównaniu z cierpieniami Swifta.

Takim był najwyższy z całéj epoki klasycznéj, najnieszczęśliwszy o jakim wié historya. Skazany on był z natury i z otoczenia, ażeby walczyć bezustanku, ażeby pisać nie zachwycając się sztuką, ażeby myśléć bez wytworzenia sobie dogmatu. Był condottierem względem stronnictwa, mizantropem względem ludzkości, sceptykiem względem piękna i prawdy! Lecz przez oryginalność i potęgę inwencyi, stanął na równi z Bayronem, Miltonem i Szekspirem, i odbija tak jak oni, stronę charakteru swego narodu. Wrażliwość, umysł pozytywny i pycha wyrobiły mu styl jedyny w swoim rodzaju: gwałtowności strasznéj, zimnéj krwi przygniatającéj, zaprawiony pogardą, prawdą i nienawiścią. Styl jego to sztylet, mordujący nieprzyjaciół zatrutém ostrzem.

(Dokończenie nastąpi.)

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Kilka słów odpowiedzi na zarzuty czynione nam w *Revista Europea* i w przeglądzie berlińskim: *Magazin für die litteratur des Auslandes*.—Przegląd florencki *Revista*.—Praca Dory d'Istrya *Gli Albanesi in Rumenia*.—Hołdy składane autorce w Grecyi.—Wspomnienie księżnéj Belgioso.—Nowe pamiętniki Lamartina.—Lata dziecinne i pierwszéj młodości.—Literatura francuzka podczas wojny 1870—1871 drukowana w Berlinie.—Pociski Berlińczyka na poetów.—Amerykanin Delpit. Pieśń jego nad kołyską dziewczynki.—Rapsod rycerski Bergereta: „Kirassyery z Reischhoffen."—Professor berliński Bois Reimond.—Jego akademicka mowa.—Nowe publikacye o Alzacyi.—Protestacye Alzatczyków pisane po niemiecku.—Pieśni nienawiści. (Lieder des Hasses)—Zgorzały pałac w Nancy.—Muzeum Lotaryngskie.—Pamiętniki po Stanisławie Leszczyńskim.—Auber i jego dzieła.

Zaczynamy dzisiejszą korrespondencyą od wytłumaczenia się z uczynionych nam świeżo zarzutów. *La Revista Europea* wychodząca we Florencyi, w zeszycie wrześniowym, obok słów nader pochlebnych dla nas, wymawia nam dosyć ostro, że pod tytułem Kroniki Zagranicznéj, zdajemy wyłącznie sprawę z publikacyj francuzkich (1). Z drugiéj znów strony, *Magazin für die Litteratur des Auslandes*, przegląd naukowo-literacki berliński, w Nr. 23, w ogólném ocenieniu prac naszych, przedstawia nas jako *niewdzięcznego wychowanka intelligencyi niemieckiéj*. „Niechęć ku Niemcom—mówi krytyk—nie jest widoczna, ale wyczytać ją można pomiędzy liniami."

(1) Nella *Cronaca Estera* si relevano molti interessanti detagli della literatura francese, tramezzati da bellisimi versi, ma pero non possiamo fare a meno di nofare *un rimprovero del esclusivismo* de la redazione incompatibile col titolo della rubrica, perché non crediamo che né oggi, né mai, la Francia constituisca per i redattori della *Biblioteca* l'estero intiero.

Na pierwszy zarzut odpowiemy, że gdyby kronika nasza nosiła tytuł *Revista Europea*, czytelnicy mieliby prawo żądać od nas sprawozdań z ruchu wszystkich literatur europejskich; my tymczasem przyjęliśmy tytuł *Kroniki Zagranicznéj* i temu tytułowi staramy się w miarę sił naszych odpowiedzieć. Że publikacye francuzkie, lub dotyczące bezpośrednio Francyi najwięcéj nas zajmują, rzecz to bardzo prosta. I któż dziś nie zajmuje się Francyą? Alboż i w przeglądach włoskich sprawa Francyi nie stoi na pierwszém miejscu? Czyż i paryzki korrespondent *Revisty*, nie rozpoczął swéj ostatniéj kroniki z 16 sierpnia wyrazami: „*La Francia renasce! ecco il primo fatto, che sono felice di accenare in capo a questa cronaca...* (Francya odradza się, oto pierwszy fakt, który z radością zapisuję na czele méj kroniki!)" A jestże widok silniéj pociągający oczy, serce i wyobraźnią, nad widok odradzającego się społeczeństwa.

Co do zarzutu jaki nam czyni Przegląd Berliński, przedstawiając nas jako niewdzięcznego wychowanka intelligencyi niemieckiéj, zmuszeni jesteśmy odwołać się do sprawiedliwszego w tym względzie zdania p. Pollack, który w broszurze o naszych pracach literackich tylko co wydanéj w Wiedniu, wykazuje że lubo nie jesteśmy wychowańcami szkoły niemieckiéj, szanujemy przecież geniusz ludów germańskich w jego objawach tak na polu nauki jak i sztuki. Przekład nasz dzieła Eichhofa: *O literaturze północnych ludów* i późniejsze sprawozdanie z literatur skandynawskich, wymownie świadczą o téj prawdzie. Świeżo zaś wykonane tłumaczenie *Rozamundy* z *Wejlena*, które ukaże się wkrótce w Bibliotece Warszawskiéj, niechaj będzie nowym dowodem tego szacunku i uznania. Czytelnicy sami przekonają się o zupełnéj bezstronności naszéj z obszernego zdania sprawy, jakie przysposabiamy właśnie do jednéj z przyszłych kronik, biorąc za przewodnika professora Heinrich, autora znakomitego dzieła o literaturze niemieckiéj.

Kończymy te uwagi nasze przypomnieniem, że kiedy przeglądy florencki i berliński zarzucają nam jakoby niechęć, lub przynajmniéj obojętność ku wszystkiemu co nie jest francuzkiém, Słoweńcy dziękują nam za słowa uznania dla ich poetów i uczonych: Preszerna, Wodnika i t. p. Madiary zaś za przekłady z Garraya i Poetoefiego. Miłą właśnie otrzymaliśmy niespodziankę z Pesztu, gdzie wszystkie dzienniki powtórzyły artykuł Reform'y z 19 lipca, o pracach naszych poświęconych literaturze madiarskiéj.

Przepraszamy czytelników, żeśmy tak długo zajmowali ich sobą. Uważaliśmy za powinność odeprzéć czynione nam zarzuty; pozostawione bowiem bez odpowiedzi, mogłyby wprowadzić w błąd tych, którzy poddają się zbytecznie wpływom obcego sądu. Może też te krótkie wyjaśnienia pobudzą sędziów naszych z Ber-

lina i Florencyi do sprostowania swych wyroków o *Kronice Zagranicznéj* zamieszczanéj w Bibliotece.

Pomiędzy przeglądami naukowo-literacko-artystycznemi, ważne dziś miejsce zajmuje powyżéj wspomniona *Revista Europea*, wydawana we Florencyi przez p. de Gubernatoris, znanego pisarza i poetę włoskiego. Pismo to rozpoczęło już czwarte półrocze, i coraz szerzéj rozwija kolo swéj działalności, tak że wydawnictwo *Revista* można uważać jako instytucyą mającą byt ustalony na przyszłość. Co do przedmiotów zaleca się większą rozmaitością niżli *Revue de deux Mondes*. Wynika to już z samego jeograficzno-etnograficznego położenia Włoch i rozwoju państwa Włoskiego pod względem politycznym i handlowym.

Wyznajemy szczerze iż nie zgadzamy się niekiedy ze sposobem widzenia Revisty, mimoto przyznać jéj musimy wysoki talent i nadzwyczajną skrzętność w zbieraniu wiadomości literackich, objawiających umysłowy ruch w całéj Europie. Oprócz literatury włoskiéj, któréj pismo głównie poświęcone, ciekawe czytamy korrespondencye o literaturach: francuzkiéj, angielskiéj, niemieckiéj, hiszpańskiéj, portugalskiéj, madiarskiéj, rumuńskiéj, greckiéj a nawet Stanów Zjednoczonych; zajmuje się niemniéj rzeczami słowiańskiemi.

Warto aby wszystkie przeglądy nasze starały się wejść w stosunki z redakcyą *Revista*, ponieważ jak widzimy przegląd ten zbiera chętnie wiadomości dotyczące publikacyj polskich.

W ciągu pięciu ostatnich zeszytów, *Revista* ogłasza obszerną pracę Dory d'Istria p. t.: *Gli Albanesi in Rumenia*. Są to badania historyczne nad Rumunią ojczyzną autorki, z domu księżniczki *Ghika*. Ród Ghika wywodzi się z Albanii.

Uderza nas w téj nowéj pracy Dory d'Istrya bardzo wiele szczegółów, połączonych ściśle z naszą historyą; nic w tém dziwnego: wiadome wszystkim odwieczne stosunki nasze z Wołoszą i Multanami. Kraje te mało posiadają w domu źródeł tyczących się własnéj ich przeszłości, co wypływa z samego ich położenia. Były one przez wieki szerokiém obozowiskiem, na którém rozstrzygały się losy wschodniéj Europy. Ale z tego właśnie powodu dwory zagraniczne utrzymywały tu licznych ajentów, którzy donosili im szczegółowo o stanie rzeczy. Autorka czerpała najwięcéj w bogatych archiwach weneckich, wiedeńskich, berlińskich, paryzkich i t. p. Z tych źródeł utworzyła całość pełną życia i wdzięku obok nauki. Ważna ta i zajmująca rozprawa zasługuje na przekład polski: zajmujemy się właśnie tym przedmiotem.

Revista donosi o wielkiéj owacyi wyprawionéj trzy miesiące temu w Smyrnie na cześć Dory d'Istrya. Powtarzamy ten ustęp:

„W dziennikach greckich Smyrna i Amaltea czytamy, iż 21 maja (2 czerwca), Towarzystwo literackie *Helicon*, obchodziło świetnie dzień imienin swéj prezydentki honorowéj, księżnéj Heleny z Ghików Massalskiéj (Dory d'Istria). Od rana dom Towarzystwa przystrojony był w mirty, wieczorem zaś wspaniale uilluminowany. W sali posiedzeń odbyło się uroczyste zebranie członków; wzięli w nim udział pierwsi dostojnicy miejscowi: biskup Cyrille, generalny konsul grecki i inni. Członek Towarzystwa Smitopulos odczytał mowę na cześć prezydentki, inny członek Paraschos przemówił o patronce jéj S-téj Helenie.

Oprócz tytułu prezydentki Towarzystwa, Dora d'Istria dostąpiła w Grecyi świetniejszego jeszcze zaszczytu. Parlament ateński ogłosił ją dobrze zasłużoną obywatelką (megali politissa) Grecyi. Podobny zaszczyt spotkał dotąd jedynie dwóch rodowitych Greków: Aleksandra Maurocordato i Konstantyna Canari; z cudzoziemców dostąpił go tylko Lord Byron.

Dora d'Istrya zapracowała na te hołdy znakomitém dziełem o narodowości helleńskiéj, w którém występuje z gorącą obroną praw, charakteru narodowego i przyszłości Hellenów. W ciągu długiego, przed kilkoma laty, pobytu w Grecyi, odbierała na każdym kroku dowody czci i serdecznego uznania.

Wspomnienie Dory d'Istria nasuwa nam imię innéj kobiety, równie jak ona słynnéj w świecie, należącéj zarówno do Towarzystwa jeograficznego Paryzkiego. Mówimy tu o zmarłéj świéżo księżnéj Belgioso, z domu Trivulce, urodzonéj w Medyolanie w r. 1808.

Imie księżnéj pełne niezwykłych przygód, dostarczy przyszłemu jéj biografowi wątku do ciekawego dzieła. Bohatérka wystąpi tu w blasku niewieścich wdzięków, opromieniona poetyczną aureolą, pełna szlachetnych uczuć, z młodu chciwa wrażeń, w późnym zaś wieku zagrzebana w benedyktyńskiéj pracy.

Młodsze lata księżna Belgioso przepędziła na dalekich podróżach. Długo przebywała na Wschodzie; tam napisała ważne dzieło: *Badania nad Azyą Mniejszą i Turkami*, drukowane w wielkich ustępach w Przeglądzie Dwóch Światów, późniéj zaś wydane osobno. Polowania na tygrysy po szerokich stepach Azyi, były najulubieńszą rozrywką téj szczególnéj kobiety, co dostatecznie określa jéj charakter. W kraju własnym rzuciła się w inne zapasy. Roku 1848 wystąpiła na czele czterechset ochotników w wojnie o niepodległość włoską. Zmuszona późniéj schronić się do Paryża, pozbawiona dochodów z ogromnego majątku, z wesołém sercem znosiła zmianę losu. Mieszkała w skromnym domu na szóstém piętrze, w jednéj z ubocznych ulic, mimo to, najświe-

tniejsze grono uczonych, literatów i artystów, tłumnie ją odwiedzało. Do zwykłych jéj gości należeli znakomici mężowie stanu i uczeni, jak Thiers, St. Marc Girardin, Mignet, Augustyn Thierry, Guizot, St. Beuve; wielcy malarze jak Delaroche i Jerome, słowem najpierwsze gwiazdy błyszczące na widnokręgu paryzkim.

Oprócz pełnéj zalet podróży po Wschodzie, księżna Belgioso pisała niezliczoną moc artykułów politycznych i literackich, głoszonych po francuzkich i włoskich czasopismach. Zasługują szczególniéj na uwagę *Pamiętniki z wygnania* wydawane w odcinku National'a r. 1850. Ułożyła także wyborną historyą, dziełko elementarne dla młodzieży.

Do jéj dzieł filozoficznéj treści należy przekład na francuzki język *La Scienza Nuova*, *Vico*. Od filozofii postąpiła wyżéj o szczebel i zakończyła zawód swój pracą teologiczną. Biegła w języku łacińskim, czerpała do niéj materyały w źródłach Ojców kościoła. Ważna ta praca w części tylko została wykonaną.

Księżna Belgioso prowadziła nadzwyczaj rozgałęzioną korrespondencyą z uczonymi całéj Europy. Zbiór listów przechowany w jéj domowych archiwach, ważnym będzie materyałem do dziejów téj epoki. Do stałych jéj korrespondentów liczył się między innymi i Napoleon III, znany jéj od młodu we Włoszech.

Z pomiędzy najnowszych publikacyj paryzkich, zwracają szczególną uwagę Pamiętniki Lamartina, wydane świeżo u Hachetta w jednym tomie; obejmują one lata dzieciństwa i pierwszéj młodości poety. Posłyszawszy o téj publikacyi sądziliśmy, że to jest po prostu eksploatacya księgarska, jakieś że tak powiemy pokłosie, zebrane z licznych pism ogłoszonych oddawna drukiem. Lamartine jak wiadomo, często pisał o sobie, a to z dwojakich pobudek: pierwszą z nich była próżność, drugą chęć a raczéj potrzeba zarobku. Przez próżność pozował otaczając się aureolą poetyczną tak świetną, że z pod jéj promieni trudno było dopatrzéć prawdy. Przez potrzebę zarobku otwierał przed oczyma obojętnych, najskrytsze tajniki serca i złotą przędzę pamiątek, przekuwał prozaicznie na dukaty. Dwie serye *Zwierzeń*, *Graziella*, *Rafael*, *Antoniella*, te wymowne karty wyrwane z życia poety, nie zadowoliły bynajmniéj czytelników, mimo że kreślone mistrzowskiém piórem, mimo że tryskające poezyą. Im bardziéj autor stawiał się sam na świeczniku, tém bardziéj postać jego malała i bladła. Do tego rozczarowania publiczności, przyczyniła się też wiele, polityczna rola odegrana przez Lamartina w roku 1848, rola, która przyniosła nowy dowód, że poeci nie stworzeni na mężów stanu. Uznanie téj prawdy odnosi się niewątpliwie do pierwotnéj formacyi społeczeństw, skoro już starożytny filozof Platon, uważał za rzecz potrzebną, wydalić poetów z doskonałéj rzeczypospolitéj jaką wymarzył w ideale.

Śmierć rozbudziła przecież zgasły urok nad imieniem Lamartina. Kiedy trzy lata temu, wielki poeta zamknął oczy, wszystkie dzienniki zabrzmiały pochwalnym chórem, nad otwartą jeszcze jego trumną. Ogół przepomniał drobnych słabostek, właściwych sercu ludzkiemu, a uczcił blask geniuszu, który przyczynił się tyle do chwały narodowéj, nadając nowy kierunek literaturze francuzkiéj w czasach romantycznego jéj odrodzenia.

Świeżo wydane pamiętniki stały się tak dla nas, jak w ogólności dla czytelników francuzkich prawdziwą a miłą niespodzianką. Nie żadna to kompillacya znanych rzeczy, nie pusta frazeologia poetyczna: to wspomnienia zaczerpnięte prosto z duszy, oddane z najszczerszą prostotą. Znać kreślił je w ostatnich latach życia, siedmdziesięcioletni starzec, usunięty od zgiełku zewnętrznego, wytrzeźwiony z próżności ziemskich, z okiem wlepioném w grób i w po zagrobową wieczność; kreślił je, nie tyle dla świata, jak raczéj sam dla siebie, zbierając z miłością złote strzępki wplecione tu i owdzie w szarą tkankę dni zaprawionych zgryzotą i żałobą. Niezmącony spokój, zgoda z Bogiem i z życiem, pogoda ducha, oto główne zalety pamiętników.

Autor sięga myślą, w lata szczęśliwego dzieciństwa, gdy rozwijał się jak polny kwiat pod okiem najlepszéj matki. Rósł on na pięknéj dolinie Milty pod Macon, uczczonéj przezeń tylokrotnie pieśnią lub rzewném wspomnieniem. W towarzystwie chłopiąt wiejskich biegał po lesie i okolicznych wzgórzach; tu pasał trzody z pastuszkami, tam obrywał winne jagody w porze winobrania, tam znów dosiadał źrebca i cwałował oklep po łące. Piérwsze rozdziały pamiętników, całe tchną urokiem tych wspomnień, urokiem rzewnym, pełnym prostoty i prawdy. Myśl starca kołysała się niemi z niepojętą miłością. Zobaczmy jeden z tych obrazków:

„Zbliża się oto pora winobrania; w dziedzińcu ruch, gwar, życie tryska podwójnym prądem. Wieśniacy przynoszą wodę w kubłach, opłókują prassy; tymczasem woły zaprzężone parami do wozów, wyciągają rogate głowy z pod jarzma i przeżuwają wonne sianko które im podajemy. Kobiety podnoszą nas w górę, sadzają szeregiem w wielkiéj kadzi owalnéj; ruszamy na wzgórza zasłane winogradem. Jakież tam życie! jaka wrzawa! Chmary dorodnych dziewcząt, najemnic z okolicznych gór, z koszykiem na głowie albo w ręku, rozbiegają się po krętych ścieszkach winnic; każda staje pod krzewem, obrywa zielone lub granatowe grona, chłopcy odbierają od nich pełne kosze, zanoszą je do kadzi. Pieśń rozlega się po przestrzeni, jedna winnica odpowiada drugiéj, niby dalekie echo. Wozy wracają do wsi, w kadziach piętrzą się winne grona. My dzieci biegniem za wozami, w długich fartuchach białych poplamionych czerwonym sokiem jagód. Na dziedzińcu nowa robota: wrzucamy grona w kadzie, podsuwamy wołkom po garstce trawy, zdajemy sprawę ojcu z obliczonych mniéj

więcéj koszów, zkąd on wnosi o plonach i oblicza w myśli ilość beczek, które stanowią całoroczny nasz dochód.

„Przez ośm dni z rzędu, powtarza się toż samo; w końcu winnica odarta z jagód smutny przedstawia obraz. Kozy ogryzają szczątki żółknących liści. W dziedzińcu głucho, pusto; zmilkły wesołe śpiewy dziewcząt; ustał ruch, umilkła wrzawa; ale za to piwnica pełna beczek."

W ciągu długiego życia, Lamartine nie przepomniał dziecięcych lat spędzonych wśród wiejskiéj swobody. Kochał téż całém sercem wieś i prace rolnicze; dowodem tego sielskie obrazy, rozsiewane szczodrze we wszystkich jego pracach. Przywiązany do ziemi jak prosty kmieć, nie mało przebolał, zmuszony będąc sprzedać swą ojcowiznę: duszą przyrosł niejako do niéj.

Z równym urokiem poeta wspomina inne zajęcia domowe podczas zimy. Opowiada jak nieraz wieczorem, w około stołu kuchennego przy kagańcu, zebrała się cała czeladka, jak przynoszono z piwnicy wory pełne orzechów, jak młotkiem rozbijano łupinę i dobywano z niéj ziarno przeznaczone na olej. Opowiada jak dziewczęta miądliły konopie w stajni, jak czesały włókno na szczotkach. A ileż to było śmiechu i gwaru przy téj pracy! ile wesołych piosenek, ile cudownych legend i powieści.

Niedaleko skromnego dworku rodziców, wznosił się na skale stary gotycki zamek, rozsypujący się w gruzy. Mieszkał w nim stary hrabia Pierreclos zubożały pan, pełen staroszlacheckich wyobrażeń. Siostra jego, typ podeszłéj arystokratki wiejskiéj, przepędzała dnie całe w altanie, grając w karty z odwiedzającymi ją sąsiadami. Niemniéj ciekawym typem był kawaler Berze rodzony brat hrabiego. Strwoniwszy całą schedę powrócił do zamku i zajmował się ogrodnictwem. Gdy zimą robota ustała, siadał przy kominie i dokładał drzewa na ogień. Był to żywy sprzęt w domu. Zagadniony przez brata odpowiadał zawsze *tak*, „nigdy — mówi Lamartine—inny wyraz nie wychodził z ust jego!"

Gdy poeta zaczął rok jedenasty, opuścił po raz pierwszy progi rodzicielskiego domu. Ojciec pomieścił go w Lyonie, pod okiem zimnego i nieznośnego pedagoga. Przywykły do swobody wiejskiéj, stęskniony bez matki i rodziny, młody uczeń uprzykrzył sobie nie naukę lecz mistrza i szkoły. Nie wiele myśląc uciekł do domu potajemnie. Na prośbę matki zawieziono go już nie do Lyonu lecz do Belly, gdzie było kollegium pod dozorem księży tak zwanych *ojców wiary*.

Atmosfera domu tego przystała do duszy młodego Lamartina. W sześćdziesiąt lat potém, z uczuciem wspomina czasy spędzone w onéj szkole, pod czujném okiem ojców, którzy umieli rozbudzić w uczniach wielką miłość nauki, dać im uczuć całą słodycz spełnionéj powinności, a obok tego urozmaicić im chwile spoczynku odpowiednią rozrywką.

Skończywszy nauki szkolne, młody uczeń obdarzony książkami i wieńcami, powrócił w tryumfie do domu. Odjeżdżając, napisał klassyczny wiersz na podziękowanie mistrzom swoim.

Młodzian przepędził zimę w Macon. Tu na balu poznał młodziuchną panienkę, córkę zamożnego mieszczanina. Urok jéj przemówił do serca poety. Z wiosną kwiat uczucia bujniéj jeszcze rozkwitnął. Starzec poświęca rzewny ustęp téj młodzieńczéj idylli, która niestety miała przebrzmieć z pieśnią ptasząt z wonią wiosennych kwiatów.

W mieście zaczęto mówić o zakochanéj parze. Rodzice zatrwożyli się o syna, raz że związki te nie były wcale po ich myśli, powtóre że ośmnastoletni chłopiec nie mógł jeszcze myśléć o małżeństwie. Matka licząc na wpływ czasu i oddalenia, wyprawiła go do Włoch; syn uległ chętnie jéj woli, pewien z swéj strony że ani oddalenie, ani czas nie zachwieje uczuć w jego sercu.

Włochy oczarowały młodego marzyciela; świat poezyi otworzył się przed nim: „Placencya, Ferrara, Parma, Bolonia—mówi on—pojawiły się w oczach moich jakby przedsionki raju; Florencya była samymże rajem: przebyłem tu kilka dni prawdziwie upojony.“

Drogę z Florencyi do Rzymu odbył Lamartine dyliżansem, w towarzystwie starego śpiewaka Dawida i pięknego młodziana z czarném ognistém okiem, z długim włosem spływającym w kruczych pierścieniach na czoło i ramiona. Dwaj rówiennicy zaznajomili się w jednéj chwili. Jakież było zdziwienie poety, gdy nazajutrz po przyjeździe do Rzymu, spostrzegł swoją omyłkę. Chłopiec zmienił się w cudną kobietę. Była to młoda śpiewaczka, uczennica Dawida; opiekun obwoził ją po wielkich miastach włoskich. Kamilla—tak jéj było na imie—przewodniczyła młodzieńcowi w przechadzkach wśród zwalisk i pamiątek starożytnego Rzymu. „Podczas gdy dumałem siedząc na płycie marmurowéj —mówi Lamartine—ona obiegała w pląsach grobowiec Cecylii Metelli, lub głos jéj srebrny rozlegał się o ciemne sklepienia pałacu Dyoklecyana.“

Czarodziejka nie urzekła jednak poety; pierwsza miłość niezapomniana jeszcze, stała niby anioł opiekuńczy na straży jego serca.

Po kilkomiesięcznym pobycie w Rzymie, Lamartine udał się do Neapolu, gdzie krewny jego matki p. Chavanne, dyrektor administracyi tabacznéj, gościnnie go przyjął w domu swoim. Tu poeta poznał Graziellę. Była to uboga dziewczyna z Procidy, wyrobnica w rękodzielni cygar. Ujrzała młodziana, pokochała go za pierwszym rzutem oka. Cała we łzach uciekła na swoją wyspę, sądząc że Lamartine opuścił potajemnie Neapol; on tymczasem zwiedzał Wezuwiusz, niedomyślając się nawet jéj rozpaczy. Taki był początek téj sielskiéj elegii, opowiedzianéj fantastycznie w *Zwierzeniach*. Starzec w pamiętnikach wyjaśnia rzecz

po prostu, w całéj prawdzie. Przeprasza czytelnika za romantyczne dodatki któremi ozdobił swą opowieść. Woń tytuniu psuła mu poezyą, trzeba ją było usunąć. Sielskim Galateom wolno piec chléb, lub nawet prać chusty w potoku, ale któraż z nich kręciła tabakę lub zwijała cygara?

„Opowiedziałem w innéj książce — mówi Lamartine, — jak udałem się na wyspę Procidę w ślady Grazielli. Wszystko tam rzeczywiste, jedynie z tą różnicą, że pomieściłem bohaterkę w fabryce korali a nie cygar. Próżność moja czuła się zbyt upokorzoną tym nieszczęśliwym tytuniem! Graziella równie była młoda, równie naiwna, pobożna i pełna naiwnego uroku, jak ją opisałem w romansie. Wszystko tam prawdą, powtarzam: i ta barka którą kupiłem w porcie dla jéj ubogiéj rodziny, i radość starój babki, i wesołe okrzyki dziatek; prawdą gorąca miłość dwojga naszych serc młodych, prawdą i rozłączenie, i boleść i śmierć uróczéj Grazielli!“

List matki powołał do Macon młodego Lamartina. Cesarstwo upadło; przyszłość otworzyła się dla poety. Rodzina jego przywiązana do tronu, pozostała wierną tradycyjnéj czci ku Burbonom. Późniéj poeta zharmonizował uczucia swoje z potrzebami wieku, nigdy jednak nie wypiera się młodzieńczych wyobrażeń. Ojciec zawiózł go do Paryża i pomieścił go w przybocznéj gwardyi królewskiéj. Jako gwardzista towarzyszył młodzian królowi, gdy go toczono w krześle po galeryach Luwru.

Zobaczmy jak Lamartine mistrzowskiém piórem skreślił w pamiętnikach obraz Ludwika XVIII:

„Zwano go starcem lecz nim nie był. Otoczony gronem ministrów, marszałków, artystów, mówił do nich z przejęciem o sztuce nie narzucając nikomu własnego zdania. Miał na sobie prosty mundur szafirowy ze złotemi szlifami; chciał tym sposobem uczcić wojsko i zachować rycerskie tradycye domu swego. Wstęga błękitna przeciągnięta na białéj kamizeli była jakoby węzłem łączącym go ze szlachtą. Chore kolana i nogi obwinięte miał bogatym czaprakiem. Co do głowy: tysiące ich widziałem w życiu, lecz śmiało wyznać mogę, żadne oblicze ludzkie nie odpowiadało według mnie lepiéj, trudnéj roli monarchy, który po długich zapasach wojennych, przynosił upragniony pokój. W rysach jego nie było pychy, ani zuchwałego wyrazu. Panował, bo sam tylko mógł panować w tym czasie, bo był żywém uosobieniem legalności. Słyszał jak Europa i Francya powoływały go jednomyślnie i odrzekł: „oto jestem!“ i przyszedł nie dobywszy oręża z pochwy. Słowa: zapominam! przebaczam! oto rycerskie jego hasło. Te słowa przyrosły mu do ust, odbijały w każdym ruchu, w każdém spojrzeniu. Oczy jego dziwnie piękno, błękitne, czyste i wilgotne, jakby lazur nieba po burzy, wyrażały słodką powagę człowieka zrodzonego w purpurze i spokój męża doświadczonego długoletniém cierpieniem. Nieśmiałość nie mąciła nigdy tego wzroku,

gniew nigdy go nie zapalał. Byłto wzrok króla, który wszystko rozumié„ wszystko waży i sądzi.“

Za powrotem Napoleona z wyspy Elby, Lamartine z oddziałem gwardyi odprowadził do granicy rodzinę królewską. W ciągu stu dni, nie chcąc występować zbrojno przeciw Burbonom, schronił się do Szwajcaryi nad brzeg jeziora genewskiego, aby uniknąć wojskowego poboru. Opisuje w pamiętnikach przygody tego dobrowolnego tułactwa.

Znalazł poeta w zamku Vincy najgościnniejsze przyjęcie; uważano go jak syna. Tam dnia jednego ukryty w rowie nad gościńcem prowadzonym z Corpet do Genewy, czekał na przejazd pani de Stael, któréj nie śmiał odwiedzić. Autorka Korynny przejechała w otwartym powozie z panią Recamier, nie domyślając się nawet, że z głębi rowu śledzi ją wzrok wielkiego poety, którego sława nie ustąpi kiedyś jéj sławie.

Z zamku Vincy młody tułacz przeniósł się do wsi Narnier nad brzeg jeziora; tam zamieszkał w ubogiéj chacie rybackiéj. Cały miesiąc przeżył w zupełnéj samotności, nie widując nikogo prócz wieśniaków, którzy dostarczali mu pożywienia. Była to ustroń godna poety. Starzec przypomina z rzewném uczuciem, chwile spędzone w głębokiém skupieniu ducha, na téj czarodziejskiéj pustyni.

„Dni moje— mówi— upływały słodko i rozkosznie, podczas gdy świat szamotał się w burzach i nawałnicach; żyłem zdala od niego dotykając ledwie stopą ziemi. Zdałem na wolę Opatrzności bieg i rozwiązanie wypadków, a sam z książką w ręku i psem nieodstępnym towarzyszem, błądziłem nad brzegami jeziora i słuchałem szumu fal rozbijających się o skały. Tak przeżyłem miesiąc w najzupełniejszéj ciszy i samotności nie zamąconéj nawet ludzkiém tchnieniem.

Bieg wypadków wyrwał poetę z tego raju. Po stu dniach powrócił do Francyi, uwolnił się od służby wojskowéj!

Tu właśnie u progu nowego żywota, w pierwszym przedświcie poetycznéj chwały, kończą się pamiętniki Lamartina. Jeszcze lat kilka, a geniusz poety wykarmiony wpływem domowych tradycyj, w szczęśliwych lotach dzieciństwa ogrzany miłością dobréj matki, skąpany w zdroju przyrody, gdy godzina jego wybiła, umiał rozwinąć szerokie skrzydła do lotu, i objawić się w całéj potędze. Pierwsze *medytacye* oczarowały wszystkich. Byłoto w czasach skwarnéj posuchy poetycznéj; hymny Lamartina spłynęły na serca niby rosa ożywcza, zwiastunka rychłéj zorzy, co wnet miała zaświecić nad Francyą. Lamartine i Wiktor Hugo acz odrębni od siebie geniuszem, oto dwaj przewodnicy nowéj szkoły.

Pamiętniki poety mają ztąd wielką wagę, że ogarniając lata dzieciństwa i pierwszéj młodości, są jakoby genezą jego pieśni, tak uroczéj, a tak wpływowéj.

W Berlinie wyszła świeżo książka w języku francuzkim, p. t. *Literatura francuzku podczas wojny 1870—71 r.* Dzieło to nie jest czém innem, jak urągowiskiem w obec nieszczęścia. *Vae victis!* Trudno doprawdy pojąć to gorączkowe pragnienie zemsty palące od pół wieku pierś Niemców; pragnienie, którego nie zaspokoiły ani potoki krwi francuzkiéj, ani niepamiętne w dziejach tryumfy Sedanu, ani miliardy wyciśnięte na pokonanych.

Autor przebiega wszystko co Francya wydała podczas wojny na polu publicystyki, literatury i sztuki. Żniwo to jak się łatwo domyśleć, nie bogate; wszakże i Niemcy, lubo nie mieli wojny w domu własnym, ani oblężonéj żadnéj ze stolic swoich, a przecież w ciągu 1870 roku, wydali o 1200 dzieł mniéj niżeli w roku zeszłym (1).

Nie oblicza autor francuzkich publikacyj, nie ocenia ich ze stanowiska literackiego; dosyć na tém, że tego szarpnie, tamtego dobodzie w samo serce, trzeciemu plunie w oczy, słowem, na nikim nie zostawi nic poczciwego; dodatnią zaś stronę pozostawia zupełnie w cieniu. W samym już tytule widzimy niewłaściwość: zamiast ogólnego napisu: *literatura*, należałoby lepiéj dać tytuł: *szumowiny literatury francuzkiéj podczas wojny.*

A i cóż dziwnego, że w tym stanie fermentacyi i kipienia było tych szumowin bardzo wiele; czyż mogło być inaczéj? Wątpimy, żeby Francuzi, tak dziś szczerze zajęci organizacyjną pracą około podźwignięcia się zarówno w literaturze, jak na każdém innem polu, mieli czas i chęć zbierania szumowin z piśmiennictwa niemieckiego tych czasów; a małożby ich to zebrali!

Głównym celem pocisków berlińczyka, jest ma się rozumieć sam cesarz Napoleon, który „w ciągu lat ośmnastu, rozpostarł nad umysłami grobowy kir, i wprowadził je w jakiś chaotyczny odmęt. W tym odmęcie utonęły najznakomitsze intelligencye, niewyłączając— mówi autor— jasnéj niegdyś intelligencyi Thiersa. Wszystkie mowy tego znakomitego oratora, w ciągu ostatnich lat czterech, całkiem niezrozumiałe. Przedstawiciel opozycyi tak dzielnie służył cezaryzmowi, że można go było śmiało nazwać *ministrem cesarstwa in partibus infidelium.*“

(1) Tegoroczne publikacye niemieckie wynoszą dzieł 10,108. Teologicznych 1470; z wydziału prawa, polityki i statystyki 1014; wychowania 997; romansów, teatru, poezyi 735; sztuk pięknych 346; historyi, pamiętników, życiorysów 692; z wydziału nauk przyrodzonych 535; medycyny 412; technologii i handlu 411; studyów nad językami klasycznemi i wschodniemi 399; ekonomii domowéj 351; filologii 297; historyi literatury 271; wojskowości 242; dla młodzieży 235; poświęconych jeografii 234; architekturze i marynarce 152; matematyce i astronomii 114; filozofii 103; leśnictwu i górnictwu 91; wolno-mularstwu 11; dzieł dla ludu 271; w rozmaitych przedmiotach 389; badań nad literaturami słowiańskiemi i madziarską 50; map jeograficznych 242.

Najostrzejsze jednak strzały z kołczanu swego, rzuca autor w Wiktora Hugo. Nie dziwmy się temu. Nadęte i ekscentryczne odezwy poety, o których mówić nie potrzebujemy, gdyż dzienniki rozniosły je po świecie, owe pretensyonalne aforyzmy i antithezy, podawały same przez się broń w rękę nieprzyjaciela. Na każdéj téż stronnicy czytamy powtarzane z urąganiem imię Wiktora Hugo.

Równa chłosta spotyka co krok Emila Girardin. Niewczesném hasłem *à Berlin*, kole berlińczyk bez miłosierdzia oczy sławnemu publicyście francuzkiemu. „A co?— pyta z szyderstwem— alboż nie bliżéj z Berlina do Paryża?“

Micheletowi poświęca osobny rozdział nicując go na wszystkie strony.

Krytyk nie podnosi bynajmniéj tego, co historyk powiedział o głębokiéj uczoności Niemców, o mistrzu swoim Grimmie, wyśmiewa tylko styl „aforytyczny, siekany, kipiący, pryskający sztuczną młodością;“ chwyta każdą retoryczną przenośnię, obraca ją w śmieszność, postępuje do olbrzymich rozmiarów, a co najlepsza, zarzuca Micheletowi, że wieszczym duchem nie przeczuł panowania komuny.

Przepominając nawet prawa grzeczności względem kobiét, autor zaostrza żądło, aby w najdotkliwszy sposób drasnąć miłość własną niewieścią. Mimochodem przypomina pani Georges Sand, że w tych czasach została babką, jak gdyby autorka Indyanny wypierała się kiedykolwiek lat i wnuków swoich; jak gdyby o wieku jéj nie świadczyły wymownie same daty wypisane na okładkach jéj książek! I zkądże ten gniew? Oto pani Sand *w dzienniku z podróży* (drukowanéj w Przeglądzie dwóch światów) obraziła godność wojskową prawnuków Genzeryka!

Berlińczyk wyśmiewa się z przechwałek generała Palikao, zwie go mandarynem; utrzymuje, że generał na zapadłym Wschodzie, nauczył się rzucać ludziom w oczy tumany, czyli okłamywać ich mówiąc po prostu. Przypomina słowa, dość już i tak wyszydzone przez Francuzów: „Gdyby Paryż wiedział co ja wiem, zapaliłby illuminacyę!“

Jeżeli kłamstwa generała Palikao, miały niezaprzeczenie śmieszną stronę, za to łzy Favra w Ferrières, te łzy które Michelet tak wysoko podnosi, nie miały w sobie nic śmiesznego. Nie przebacza ich jednak autor: „Łzy te— mówi—pociągnęły za sobą wiele innych.“

Gambetta jak łatwo zgadnąć nie uszedł także chłosty: „Paryż oblężony! w Tours niesłychany popłoch—mówi berlińczyk,— tysiące głosów powtarza chórem: „Dajcie nam człowieka! bodajby niebo zesłało nam człowieka!“

„I oto jakby na wezwanie spada im z nieba adwokat-bellator, nowy Horacyusz Kokles, z workiem pełnym retorycznych

frazesów, zebranych z repertuaru wielkiej rewolucyi, frazesów, których dziś nikt zrozumieć już nie może!“

Juliusz Janin otrzymał także osobny rozdział. Za co? za wydobycie z pod stuletniéj kurzawy *Brewiarza króla pruskiego*; a raczéj, jak utrzymuje berlińczyk, ramoty jakiegoś pismaka, rzuconéj przez jednych na karb Woltera, przez drugich na karb *króla filozofa*. „Feuilletonista debatów, który pióro zużył na fraszkach — mówi autor — podczas gdy drudzy rąbali słowami nieprzyjaciela, aby téż nie zostać bezczynnym, bryznął atramentem na posąg Fryderyka Wielkiego.“

Inni akademicy i członkowie instytutu odebrali niemniéj za swoje. Listy Vitet'a do Przeglądu dwóch światów, artykuły professora Caro, doprowadzają do wściekłości berlińczyka. Nie może przebaczyć tym dwom uczonym, że w dalszym ciągu wojny, od klęski Sedańskiéj, stawiają prawo po stronie Francyi. „Dość jest— mówi on — odetchnąć atmosferą akademicką, aby nauczyć się przekręcać historyą, i zaćmiewać prawo sofizmatami jak Vitet, aby maczać we łzach dyplomacyę i politykę jak Favre, aby miotać na nieprzyjaciela tytaniczne opoki wymowy jak Hugo, aby rekrutować dla Francyi milicye niebieskie jak biskup Dupanloup, aby jak starozakonny Frank rzucać w oczy klątwy zwycięzcom, i grozić im karą Bożą, jaka spotkała Ananiasza i Safirę.“

Nie przepomniał berlińczyk Sarcey'a i jego wspomnień z czasów oblężenia paryzkiego, (znanych w Warszawie z wydania Ungra). Zacięty w gniewie na Francuzów, zżyma się nawet na te połyski wesołego humoru, któremi kronikarz rozjaśnia smutne karty pamiętników swoich. Przytacza całe ustępy na dowód, że Paryż uczto wał swobodnie, popijając winem Bordeaux, potrawkę ze szczurów, albo pieczoną trąbę słonia, że żołnierze tańcowali po kazamatach, że kalembury sypały się z ust przy pocisku pruskich granatów.

Dla Sarcey'a przecież berlińczyk okazuje się stosunkowo dosyć względnym, a to z powodu kilku ostrych prawd, jakie kronikarz rzuca w oczy rodakom własnym; zjadliwiéj za to szydzi z Dumasa syna, autora *Damy kameliowéj*, gdy ten wzywa naród do pracy i odrodzenia w duchu. Z większą jeszcze zapalczywością gromi powieściopisarzy alzackich: Erkman-Chatryan'a, twórców *literatury sabotowéj* jak się wyraża pogardliwie. W ostatniéj ich powieści: *Histoire d'un sous* drukowanéj w Przeglądzie dwóch światów w ciągu zimy, znajduje się w końcu krótka rozprawa o potrzebie zreformowania nauk elementarnych we Francyi. Przytaczamy ten ustęp.

„Jest wychowanie i wychowanie. Można być bardzo uczonym, a przecież bardzo głupim (*très bête*). Czyż naprzykład Niemcy, którzy umieją wszyscy czytać i pisać, którzy są ludem najuczeńszym w Europie, nie prowadzą wojny na śmierć z Rzeczpospolitą francuzką. I zkądże to pochodzi? ze złego kierunku udziela-

nych im nauk. Zamiast szczepić w serca miłość ludzkości i sprawiedliwości, napchano im głowę ideami zemsty i panowania. Z całą swoją nauką ci ludzie bardzo są ograniczeni, gdyż nadstawiają karku za idee z czasów króla Klowiza. Wybierając z dwojga: wolę ja głupstwo francuzkie!"

„Takie to rzeczy— woła z gniewem berlińczyk,— drukuje dziś najpierwszy Przegląd we Francyi! Autor ustępu tak mało zna instrukcyę niemiecką, że kiedy kreśli w marzeniu programat dla przyszłych szkół francuzkich, tworzy go jota w jotę takim samym, jaki od stu lat przyjęty już w elementarnych pruskich szkołach. Nie można złapać się lepiéj we własne sieci."

Ten zarzut nie jestże najwyższą pochwałą Erkman-Chatriana? W rzeczy saméj trzeba na to prawdziwego geniuszu, aby nie znając zasad instrukcyi niemieckiéj, stworzyć odrazu w myśli teoryę naukową taką samą jota w jotę, na jakiej sformułowanie składało się całe grono professorów i myślicieli niemieckich!

Pomijamy cały grad kul i kartaczy rzucanych na dziennikarstwo, na prassę belgijską i szwajcarską, na dowcip francuzki, na sztuki piękne wyrażone w karykaturach, na publicystykę, powieściopisarstwo i poezyę. Krytyk berliński wszystko zarówno siecze i mięsza z błotem. Pomiata nie samą teraźniejszością, lecz niemniéj i dwuwiekową przeszłością Francyi. Przypomina okrucieństwo Melaka, generała z czasów Ludwika XIV, który tak krwawo dał się we znaki mieszkańcom palatynatu, iż wszystkie psy rzeźnicze zowią się tam po dziś dzień Melakami.

Jedyny tylko francuz znalazł mir u krytyka berlińskiego; na tym opiera głównie sąd o Francyi. Tym wybranym nie kto inny jak Wolter. Smutny to zaszczyt dla filozofa z Ferney!

„Wolter— mówi autor — znał doskonale ziomków swoich, zobaczmy jak ich określa w *Dykcyonarzu filozoficznym:*

„Cudzoziemcy sadzą Francyę z widowisk, z romansów, z gładkich wierszy, z tancerek opery, z artystek dramatycznych sławnych deklamacyą. Ale cudzoziemcy nie wiedzą, *że nie ma w gruncie* narodu okrutniejszego nad Francuzów."

Przytacza niemniéj autor kilka wyjątków z listu Woltera do d'Alamberta (z r. 1766):

„*18 lipca.* Nie rozumiem doprawdy jakim sposobem istoty myślące mogą mieszkać we Francyi, w tym kraju małp, które tak łatwo zmieniają się w tygrysów."

„*23 lipca.* Proszę cię poślij relacyę bratu Fryderykowi, aby osłonił opieką swoją królewską, pięciu lub sześciu zasłużonych ludzi, którzy pragną zamieszkać w jego państwach, i spokojnie wykształcać tam swój rozum."

„*25 sierpnia.* Potrzeba nam obrócić oczy na Północ, na Południu bowiem nie znajdziesz nic, tylko barbarzyńskie jasełka."

Obluzgawszy błotem żywych, autor zanurza w niém tradycye drogie narodowi francuzkiemu.

„Są— mówi on— we Francyi dwie historye: jedna, która śpi w książkach, druga, biegająca wciąż po ulicy. Z téj to ostatniéj dziennikarze i adwokaci polityczni biorą zwykle swoje temata.

„Takim to rokiem legendycznym dla Francyi rok 1792!

„Jest on dla niéj jakoby świętém palladium; wszyscy wzrok ku niemu obrócili, a popychając naród naprzód, chcą go cofnąć o lat ośmdziesiąt.

„Rozbudźcie się Rzymianie staréj Romy!— wołają publicyści— potrzeba nam ochotników *dziewięćdziesiątego drugiego roku!*

„Potrzeba nam Francyi *dziewięćdziesiątego drugiego!*

„Ludu *dziewięćdziesiątego drugiego!*

„Generałów *dziewięćdziesiąt drugiego roku!*

„A jacyż to byli ci generałowie — pyta z urąganiem berlińczyk. — Oto: Dumourier, Kellermann, Luchner, Castine i t. p. kreatury staréj monarchii!"

Krytyk berliński gardzi tą historyą co biega po ulicach; szpera w téj co śpi na półkach bibliotek, a któréj Francuzi czytać nie chcą, stosując do niéj przysłowie: niech umarli grzebią umarłych. Berlińczyk rozgrzebuje tę historyczną kostnicę, znajduje to jakieś kwilenie jakiegoś cmentarnego puszczyka, to skargę jakiegoś szermierza pozostałego w tyle, gdy inny szczęśliwszy uprzedził go do mety, i na tych danych buduje swój system, stwierdzając go jasnemi jak słońce dowodami, że Francuzi r. 1792, nie mieli w sercu najmniejszéj żyłki wojowniczéj, że czarne widmo klęski pod Rosbach, kiedy Fryderyk Wielki rozpędził Soubis'a z armią, siedziało im na piersi jak zmora; że szlachta opuściwszy ogniska, zabrała z sobą rycerskie tradycye: że wojsko głodne i bose, buntowało się przeciw oficerom, lub też piło po szynkach z nimi razem.

„Takichto bohaterów— dodaje autor— Wiktor Hugo stawia za przykład w onéj odezwie do narodu:" „Niechaj lew dziewięćdziesiątego drugiego roku powstanie co żywo na nogi, a stada czarnych sępów rozlecą się pod zamachem jego potężnéj grzywy!"

Hugo należy do tych którzy badali historyę 92go roku biegającą po ulicach, nie tę co śpi na pułkach bibliotek. A która z nich prawdziwsza? Niech autor zapyta Renu, niech zapyta mogił na polach Jeny.

Krytyk berliński w przeglądzie literatury z r. 1870—71 nie pominął *poezyi rycerskiéj:* „Żuaw jeden— mówi on— nosił na ramieniu papugę, która wołała: „do Berlina!" Cała poezya francuzka tego okresu, zacząwszy od ody i kantaty do prostéj piosneczki ludowéj, zlewa się w jeden chór z głosem owéj papugi.

Nie będziemy tu powtarzać wszystkich niesmacznych dowcipów autora. Wybiera on z ulicznych śmieci, jakieś wierszydła

wyśpiewane w szynku i puszczone w niepamięć. Z ulatniejszych nawet utworów, wyrywa tu i owdzie jakiś wiersz chybiony, który obok innych miałby może znaczenie, luźnie zaś przedstawia się bez rymu i bez sensu. Z więcéj znanych poetów, amerykanin Delpit, autor zbioru p. t. *l'Invasion*, stał się szczególnym celem pocisków berlińczyka.

Delpit w dwudziestu sześciu osobnych pieśniach i obrazkach poetycznych, maluje tę smutną epokę, opiewa: Strasburg, Chateaudun i inne alzackie twierdze, ich opór i skon bohaterski. Wiersz jego rzewny, prosty, wyraża głębokie uczucie. Wiele z tych poetycznych urywków, powtarzano na scenie teatru francuzkiego podczas oblężenia.

Przytaczamy tu na próbę jeden z drobnych utworów amerykańskiego poety:

NAD KOŁYSKĄ DZIEWCZYNKI.

Patrzałam na maleńką gdy w kołysce spała,

Śpi niewinne dzieciątko jak ptaszyna mała
Na gałązce, gdy główkę pod skrzydełko złoży,
Z czoła sennéj dzieciny bije promień Boży!
Śpi, odblask zorzy rannéj jagody jéj pali,
Niewinny uśmiech przyrosł do ustek z korali;
Zda się brzęku grzechotki rada we śnie słucha,
A mnie piorun ognisty przemknął koło ucha.
Z fortu Walerjańskiego działo grzmi z łoskotem,
Dziewczynka śpi spokojnie, ona nie wié o tém.

Jakże ona szczęśliwa! jak coś marzy słodko!
I czemuż ja nie jestem tą drobną istotką?
Swobodna, ani zgadnie co się w czasie waży,
Nie widzi łez co strugą płyną mi po twarzy.
Śpi, pochyliła główkę, gdy szaleje burza,
Uśmiecha się nadobnie do Anioła Stróża,
Ilekroć nad kołyską skrzydłem zaszeleśnie,

A ja patrzę na śpiącą i płaczę boleśnie.

Kiedy za lat dwadzieścia z ojców naszych domu
Czas zagładzi na wieki plamy krwi i sromu,
Ta uśpiona dziecinka, wtedy już niewiasta,
Gdy spojrzy w księgę dziejów, oh! czyż sercem drżącém
Odczuje ból co wstrząsa dziś tych serc tysiącem,
Pobłogosławi-ż pamięć tych obrońców miasta,
Co konali na szańcach, gdy przy huku działa
Ona snem niemowlęcym w swéj kolébce spała.

Z innych mniéj więcéj znanych poetów, krytyk berliński żadnego nie wspomina, jakby o nich nie wiedział. Znamy przecież piękne poezye z téj epoki. Lecomte de Lille, Manuela Coopégo; znamy poemaciki narodowe Desgrange'a, tworzące tomik i obrazki Bic'a z Ariége, zaprawione solą attycką i wojenne rapsody Bergerata nacechowane niepospolitym talentem. Niektóre z tych obrazków dawaliśmy już w przekładzie, inne zachowujemy na późniéj, a są ich całe tomy. Kto pisze o literaturze z téj epoki, kto—jak mówi—chce ukazać serce narodu francuzkiego, powinienby przecież wsłuchać się w tętno tego serca, a nie szukać na niém samych plam i niedostatków.

Naszydziwszy do woli z pseudo-poezyi francuzkiéj, krytyk zwraca pyszny wzrok na własną ojczyznę.

„Kiedy—mówi—w r. 1813, Niemcy powstawały do walki z obcym najazdem; pod cieniem ich sztandaru rodziły się najcudniejsze pieśni i hymny rycerskie *animae bellorum*, nieśmiertelne jak imiona Körnera, Uhlanda, Maurycego Arndta. Poezya tryumfowała także w téj walce narodowéj. W roku 1870 Francya powstaje z kolei. A gdzież to jéj poeci? Niestety! cała jéj rycerska poezya tych czasów zamyka się w piosence Garde-Mobila o karabinie tabakierowym:

Oj dobra tabaka, w tabakierze mojéj
Oj dobra tabaka, Prusak jéj się boi,
Prawdziwa to rapa, a spora jéj miarka:
Wystarczy téj rapy, na niuch dla Bismarka.

Wspomnieliśmy powyżéj imię młodego poety Bergerata, nie znane wcale autorowi literatury. W jego rapsodach z téj epoki kryją się prawdziwe perły poezyi; przytaczamy na próbę poemacik, opisujący pamiętny odwrót Mac-Machona.

KIRASSYERY Z REICHSHOFFEN.

I.

Nas ledwie mała garstka, ich dziesięćkroć tyle,
Trzebaż było z leśnego wyprzeć ich parowu.
Nasze działa czyż starczą przeciw takiéj sile?
Odparci, do ataku szykują się znowu;
Pchają naprzód, wciąż naprzód... brną przez krwi kałuże,
I szczerby w tym żelaznym nie dopatrzysz murze.

Turkosy w rączych strzałach wyćwiczone chwaty,
Co z lwami puszcz staczały zapasy olbrzymie,

Jak niegdyś tropy zwierza wietrzą ich armaty,
Po ciepłym, nad chróstami bielejącym dymie,
Czają się i kociemi rzucają podskoki
Na działa, gdy grom bije z ich paszczy szerokiéj.

Pra-ojce lasu dęby piorunem rażone,
Na ziemię w krwi skąpaną walą się z łoskotem;
Szeroko rozpostarły konary zielone,
I obszar gęstym liści pokryły namiotem,
By słońce, co tak jasnym świat złoci połyskiem,
Nie zgasło nad tym strasznym ziemi cmentarzyskiem.

Przez te zgliszcza tlejące, przez te trupów zwały,
Szczelnie zwarta pierś z piersią, z ramiony ramiona,
Na siarczysty grad iglic, na armatnie strzały
Nasza dzielna piechota szła nieustraszona.
Ludu mój! wielki duchem, wiarą tak podniosły,
Cześć tobie! losy kraju do twych stóp przyrosły.

II.

Mac-Mahon stoi druhów otoczony gronem,
Żartko się rwie do boju koń pod Mac-Mahonem.
Z jego czarnéj źrenicy jasny płomień bucha,
Raz po raz wzrok badawczy zatoczy ku drodze.
O niechybnym odwrocie prawią starzy wodze,
Wśród młodzieży o zdradzie przebiega wieść głucha.

Kogo czeka Mac-Mahon? czeka on niestety,
Tego, co w złą godzinę nie zdąży do mety,
O! wydrzećby nam kartę potarzaną w błocie,
Potargaćby na szmaty plan bitwy przebrzydły,
Dzielny orzeł powstrzyman w zwycięzkim polocie:
Na złamanym proporcu już trzepocze skrzydły!

Nagle zamilkły działa, zmilkł ogień rotowy...
— Gdy to wspomnę włos dębem powstaje mi z głowy—
Słońce zgasło na chwilę za dymu obłokiem,
Ujrzano, czego dawne lata nie widziały:
Cofa się.., kto? nasz zastęp... jakby w blasku chwały
Chciał skonać, idzie wolno, stąpa krok za krokiem.

III.

Zabrakło nam kartaczy! i bitwa skończona
I któżby śmiał powiedzieć że zmógł Mac-Mahona?

Czy wielka sił przewaga? co mu liczba znaczy?
On ją znał, on policzył i ludzi i działa.
Za liczbę starczy dzielność i wola wytrwała.
Czyby las pokrył wroga? nie!... zbrakło kartaczy!

Mrok zapadł, niby kula zbłąkana ku górze
Błysnął ognisty księżyc na ciemnym lazurze,
Piechota sformowała czworobok w pomroczy,
Stal szczęka w dłoni dzielnych, żarem lica płoną,
Gdy wróg zgromadza siły pod nocy zasłoną
Wojsko z wiarą na wodza obróciło oczy.

Mac-Mahon z cicha skinął na pancerną rotę;
(Zdołam-że godnie trącić w struny liry złote
By ku czci bohaterów wydobyć z nich tony?)
—Czy widzicie te –rzecze—pagorki nad strugą?
Tam oni spoczywają, zabawcież ich długo.
—A gdzie droga?—zapyta półkownik zdumiony?

—Tędy!—rzecze Mac-Mahon i dał znak w pomroku.
Półkownik ją zobaczył...ściemniało mu w oku,
—Rozumiem!—szepnie z cicha—uczynię co mogę,
Ileż ich tam?—zapyta—bez liku! bez liku!
—Więc to śmierć! —Śmierć niechybna... idź mój półkowniku.
—Idę panie.... jam ojcem... daj rękę na drogę.

A bohater Magenty nie podał mu dłoni,
Lecz poniósł ją do czoła, włos siwy odsłoni,
Temu co idzie na śmierć zazdrości on skrycie,
Krzepkiemi go ramiony z zapałem pochwyca,
Bratni mu pocałunek wycisnął na lica,
Taki skon... oh czyż stokroć nie droższy nad życie?

IV.

Szczęśliwi których lotne unoszą bieguny!
Pędzone wichrem nocnym przez zgliszcza i łuny,
Gdzie chwała czeka ich blizka;
Jak słońce o las jodeł gdy szron go uśnieży
Tak o hełmy walecznych, o stal ich pancerzy
Promień miesięczny połyska.

O! piękni ci rycerze.. mkną szybko jak burza,
Przebiegają w lot strzały parowy i wzgórza,
Czarny cień pląsa w ich ślady;
Wróg patrzy, mgłaż to senna na oczy mu padła?
Przeciera wzrok i pyta:—Nocneż to widziadła?
Czy bohatery ballady?

Otóż oni pod obóz podstąpili głucho,
Jak olbrzymi kłęb śniegu party zawieruchą
Ściele łożysko potoku;
Tak ściśniętym szeregiem w lot, na wodza słowo,
Sypnie grad kul ognistych i w ścianę spiżową
Wrąbie się hufiec w pomroku.

Nie zgonić go oczyma i tylko wiatr niesie
Huk strzałów, poszczęk stali, po wzgórzach, po lesie;
Lecz Bóg nie spuszcza ich z oka:
Tak szamocze się okręt porwan skrzydłem burzy,
To prąd wypchnie go w górę, to w falach zanurzy,
Aż toń go schłonie głęboka.

Miesiącu! kiedy oni snem śmierci uśpieni,
Srebrzyste im całuny utkaj z twych promieni,
Bo słońce może o świcie
Zblednie, że gdy walczyły bohaterskie roty
Nie wstrzymało nad nimi swojéj tarczy złotéj
Na lazurowym błękicie.

Długo tam Mac-Mahonie zostali oh! długo!
Gdy swit odsłonił wzgórek oblany krwi strugą,
Zawalon ludzkiemi ciały;
Wróg zwiedziony zobaczył przez mgłę rannéj rosy,
Jak na czele zastępu nasz wódz siwo-włosy
Przeszedł bezpieczny i cały!

W roku zeszłym.... któż o tém nie wié? podczas kiedy bomby pruskie biły w forty Paryża, słowa zniewagi na Francyę sypały się z katedry professorów berlińskich, z ubliżeniem godności nauki, która przecież powinna być bezstronną. Do najzaciętszych należał uczony Bois-Reymond. Onto rozpoczynając zeszłoroczny kurs, przeprosił auditoryum że śmie nosić nazwisko francuzkie. Wprzód jeszcze w miesiącu sierpniu, w chwilę rozpoczynających się działań wojennych, ten uczony matematyk, w mowie uniwersyteckiéj wystąpił tak gwałtownie, że z przepomnieniem wszelkich praw przyzwoitości przezwał Francuzów dzikimi Indyanami Europy (*Peaux Rouges*). Francuzi wiedzieli o tém, było to bowiem przed zamknięciem Paryża. Prassa dziennikarska powstała silnie przeciw pamfletowi, gdyż ta mowa nie była czém innem: przegląd kursów naukowych pomieścił ją całą w swych kolumnach.

W ostatnim numerze tegoż przeglądu, czytamy znów wyjątki z innéj mowy professora. z mowy którą miał 20 stycznia r. b. w Berlinie na zebraniu Akademii Nauk, jako jéj stały sekretarz. Tu professor zaczyna z innego tonu: zamiast ostrych pocisków sztyletu, rzuca słowa miodowe, słowa politowania.

W owéj mowie wyrzeczonéj na cześć Fryderyka II założyciela akademii, orator przypomina, ile Prusy zawdzięczają w XVIII wieku, wpływowi francuzkiemu. Wyżéj przecież nad zasługi Francyi, podnosi zasługi Fryderyka, położone względem francuzkich filozofów, których własny kraj zrozumieć i ocenić nie umiał.

„Encyklopedya—mówi—zakazaną była we Francyi i ściganą niemiłosiernie, kiedy Fryderyk II obsypywał d'Alembert'a oznakami najwyższéj czci i kiedy mu ofiarował prezydencyę téj akademii; autor Emilla, owéj księgi z któréj wyszła reforma w wychowaniu naszém, wygnany z Francyi z powodu zasad deistycznych, znalazł przytułek w państwie Fryderyka, gdzie przebywał póki trwało prześladowanie.

Przy zakończeniu mówca szczodrym potokiem słów wylewa sentymentalną litość, nad dzisiejszą dolą Paryża, tego powszechnego ogniska, téj *Alma mater* cywilizacyi europejskiéj. Przytaczamy tu zakończenie, *nec plus ultra* hipokryzyi.

„Jakaż byłaby—mówi—boleść Fryderyka II, gdyby słyszał z ust jeńców zabranych przez armię pruską, ten język który był jakoby macierzystym wyrazem jego ducha, ten język którego arcydzieła tak silnie go ujarzmiały, w którym usiłował odznaczyć się sam jako pisarz.

„Któryżby światły Niemiec, dziś w obec upadku Francyi, nie uczuł głębokiego bólu i szczerego politowania! Ja sam najsilniéj czuję tę boleść. Powodem jéj nie tylko sympatya dla Fryderyka II, dla Francyi literackiéj, nie ten jedynie węzeł ściśle łączący dzieje akademii naszéj od pierwszego jéj zawiązku z historyą życia umysłowego naszych sąsiadów. Z tych bogatych skarbów wiedzy, które obfitym strumieniem spływały z Francyi na świat, ażaliż nie my korzystaliśmy najwięcéj? Wszystkie sfery działalności ludzkiéj, odżywiały się w tém jedynóm źródle zwaném Paryżem. My ludzie nauki, czerpaliśmy tam nieśmiertelne zasoby! każdy z nas wrósł niejako w to miasto, każdy brał udział w życiu potężnych i szlachetnych umysłów, które tam świeciły po wszystkie czasy. Jedna jest bowiém nauka, lubo środki jéj uprawy i uczucia jéj różnią się według usposobienia ludów. Co do nas nie chcemy bynajmniéj oddzielać naszych własnych odkryć od tych jakie dokonali cudzoziemcy; stawiamy téż na równi z naszymi bohaterów nauki francuzkiéj: Lavoisierów, Laplaców, Cuvierów, Fresnelów, Letronów i Sacych. W dzisiejszém spustoszeniu Paryża, ilużto ubolewa nad gruzami przybytków, poświęconych uciechom światowym! ilużto oblicza z boleścią klęski tego olbrzymiego warsztatu, kędy pracowano g'woli zaspokojenia zbytkowych potrzeb, częstokroć z pogwałceniem smaku. Ależ te świątynie nauk, nad któremi przebiegają dziś niemieckie bomby; kollegium francuzkie, Sorbona, Obserwatoryum i Ogród Botaniczny jakże dla nas pełne świętych pamiątek. Centralizacya francuzka spra-

wiła, że na téj kilkomilowéj przestrzeni, spełniło się mnóstwo wielkich wypadków w dziedzinie nauk; są tam nagromadzone skarby tysiąc razy cenniejsze nad wszystkie diamenty z ulicy la Paix, nad wszystkie bogactwa bulwarów. Mówię tu o narzędziach i zbiorach, które służyły do najśmielszych poszukiwań, do najcudowniejszych odkryć. Długotrwała przyjaźń Franciszka Arago z Aleksandrem Humboldtem, przyjaźń odpowiednia co do czasu ścisłym stosunkom Akademii paryzkiéj z naszą, zawiązaną była w epoce, kiedy Prusy dźwigały głowę z upadku, pokonane przez Francyą i nielitościwie zdeptane stopami zwycięzców. Ta przyjaźń okazuje wielką siłę pojednawczą, jaką nauka wywiera na umysły, sprowadzając je do harmonii. Nauka bowiém żartuje sobie z granic i loty orlemi wzbija się nad pobojowiska zlane krwią w nienawistnych poswarach plemion i narodów. Taka jest potęga téj harmonii, że nie możemy patrzéć bez głębokiego bólu, na wyrok sprawiedliwości i pomsty, spełniający się dziś pod Paryżem; w obec takiéj wielkości rozsypanéj w gruzy, serce nasze *rozczula się*, jak niegdyś rozczulało się serce Lacedemończyków, w obec upadłych Aten!

„Pragniemy téż gorąco, aby geniusz francuzki powstał oczyszczony z popiołów własnych i rozwinął nowy lot w górę. Bodajby odtąd Francya, gardząc wawrzynem wojennym, chciała szukać prawdziwéj chwały, tam gdzie ją znajdzie niewątpliwie, w dziełach swych myślicieli i poetów, swych artystów i wynalazców."

Francuzi zdając sprawę z téj mowy, zakończają uwagą:

„Pan Bois-Reymond zanadto dobrze zna historyę literatury niemieckiéj, abyśmy potrzebowali przypominać mu o ile zwycięztwa Fryderyka II podniosły upadłego ducha w narodzie a tém samém wywołały tę pełną chwały generacyę poetów i myślicieli, których Lessing tak szczytnie ocenił. Chwała literacka idzie u nas obok chwały oręża, świadkiem wiek Ludwika XIV. Wybije godzina że i Rzeczpospolita zaświeci tym podwójnym blaskiem, jakim tryumfująca monarchia świeciła w swoim czasie."

W ostatnim miesiącu pojawiło się znowu mnóstwo książek, broszur i artykułow określających znaczenie Alzacyi, pod względem jéj tradycyj historycznych. Nie wdając się bynajmniéj w stanowczy sąd o przedmiocie tak wielkiéj wagi, ograniczymy się przedstawieniem zdań różnostronnych. Posłuchajmy najprzód co mówi *Revista Europea*; znajdujemy tu bowiem bardzo ciekawe wspomnienia naukowe.

Alzacya była od najdawniejszych czasow, jednem z głównych ognisk literatury niemieckiéj.

W Weissenburgu mnich Benedyktyn Otfried, napisał około r. 870 dzieło: *Harmonię Ewangeliczną* w staro-niemieckim języku.

Małe miasteczko Hagenau, prowadziło na wielką skalę handel książkami. Mieszkali tam sławni kopiści i handlarze rękopismów. Nawet po wynalezieniu druku handel ten długo nie ustawał. Najsławniejszy kopista z Hagenau, Diebold Lauber, żył w połowie XV wieku. Druk jak ogólnie utrzymują wynaleziony był w Strasburgu między 1426—40 rokiem; lubo Guttenberg nie był alzatczykiem, powstał tu przecież najpierwszy cech drukarski pod kierunkiem Mentelina z Schlettstadt. Z owéj to szkoły nowa sztuka przeszła do Włoch i Francyi.

Jakób Twinger z Königshofen położył kamień węgielny historyi, sławną swoją kroniką Strasburga. Majster Gottfried poematem Tristan i Izelda doprowadził do najwyższéj doskonałości poezyę średnich wieków. Znakomici krasomówcy: Tauler z XIV wieku i Geiler z Keiserberga z XV wieku, słynny satyryk średniowieczny, Sebastyan Brant autor poematu *Łódź*, Tomasz Murner franciszkanin antagonista Lutra, Jan Fischart Rabelais niemiecki, urodzili się w Alzacyi a pisali w Strasburgu.

Uczeni starożytnicy Wimpheling i Beato Renano, którzy zastosowali pierwsi rezultaty nauk klasycznych do badań nad starożytną historyą Niemiec, byli urodzeni w Alzacyi w mieście Schlettstadt. Pierwszy z nich Wimpheling w dziele *Epitorum Germanicorum rerum* 1502, bierze Tacyta za podstawę i opierając się na nim pisze historyę, którą dociąga do czasów swoich. Dzieło Beata Renana, *Rerum Germanicorum* w trzech księgach, wyszło z druku w r. 1531. Fragment z *Harmonii Ewangelicznéj* Otfrieda drukowany przy tém dziele.

Pierwsza Gramatyka naukowa napisaną była w Strasburgu przez Alberta Ochlingera „*ad usum juventutis maximae Gallicae*" wyszła z druku r. 1573.

W czasach zupełnego upadku politycznego, społecznego i umysłowego w Niemczech, alzatczyk Hanz Michel Moscherosch napisał między r. 1600 a 1660, sławną w swoim czasie nowellę romantyczną *Filander*, a Kacper Greifenson z Grimmelshausen, romans *Simplicissimus*. W końcu XVII i początku XVIII wieku, kiedy nastąpiło odrodzenie umysłowe, Schilter uczynił znów Strasburg ogniskiem nauk, osiadłszy tu w r. 1686. Przykład jego silnie oddziałał na współczesnych; po śmierci Schiltera, Scherz wydał wielkie jego dzieło: *Thesaurus antiquitatum Teutonicarum, ecclesiasticarum, civilium, literariarum*, w trzech voluminach, w Ulmie 1726 r.. Z tego to dzieła najwięcéj czerpał Grimm do swojéj gramatyki. Uczony Schöpflin, godny następca Schiltera,—ten sam który darował bogaty księgozbiór i muzeum miastu Strasburgowi—ogłosił tu swoją *Alzacyę illustrowaną* między 1756 a 1761 r. wspólnie ze znanym lingwistą Oberlinem. Obaj pracowali niezmordowanie nad filologią, badali starych poetów i pisarzy praw i ułożyli znakomitą rozprawę nad staro-niemieckim językiem do dykcyonarza Schertza r. 1784.

Z nowszych pisarzy znany Engelhardt, Walter Strōbel: później jeszcze Ludwig Spach i Karol Schmidt, sławny Hauser professor historyi w Heidelbergu, rodem jest z Alzacyi. Z pomiędzy żyjących poetów zasługują też na wspomnienie: Jerzy Zetter z Mulhuzy i Fryderyk Otte. Sonety ostatniego wyszły z druku r. 1862 w St Gall w Szwajcaryi.

Tym to długim szeregiem znakomitych imion, usprawiedliwia Revista prawa Niemiec do Alzacyi.

Posłuchajmy teraz drugiéj strony.

Pan Gardoz Sekretarz Towarzystwa Lingwistycznego paryzkiego, w *Revue des Cours litteraires*, krótko przedstawia rzecz w ten sposób:

Wiadomo na jakich dowodach opierają się Niemcy uspradliwiając zabór Alzacyi i Lotaryngii. „Mieszkańcy tych prowincyi—mówią oni—pochodzą ze krwi naszéj, używają naszego języka, są więc niezaprzeczenie *nasi*."

Na tych to prawach Niemcy zmuszają *zgubionych braci* (verlorene Brüder) do zajęcia należnego im miejsca w nowém cesarstwie niemieckiém. Od Alp do Baltyku rozlega się radosny okrzyk na cześć powrotu marnotrawnego syna, w progi rodzicielskiego domu. Syn marnotrawny nie wraca przecież z woli własnéj: polubił on dom cudzy, rad przejął jego nałogi, zeszpecił mowę ojców; ale miłością i surową powagą, mówią Niemcy, wprowadzim go na dobrą drogę. „Alzacya powinna się stać wielkim domem poprawy—rzekł niedawno jeden z zarenskich dzienników. Inne pisma wyrażają najgorętszą miłość ku zatraconym braciom. Przytaczamy tu jako próbkę pieśń przypisywaną sławnemu Auerbachowi: Oto dosłowny przekład:

„W Alzacyi po za Renem, mieszka jeden z moich braci:—Jakże serce me boleje!—Bo przepomniał on od dawna, czém byliśmy sobie wzajem.

„Bracie biédny! bracie miły! przerodziłżeś się w Francuza! przez Francuzów nam porwany—ty czerwone nosisz spodnie! czyż i serce twe skrzywiono?

„Słuchaj bracie: oto nadszedł dzień od dawna pożądany! Już ojczyznę mamy całą; Zjednoczony kraj niemiecki! Czas zaniechać dawnych sporów.

„Ciebie także mamy bracie; śpieszże do nas druhu miły! Ty krwią naszą okupiony, pozostańże z nami razem: nic nas odtąd nie rozdzieli!"

„I cóż mówią na to Alzatczycy? — pyta p. Gardoz. Od czasu wielkiéj rewolucyi francuzkiéj, Alzacya przyrosła do Francyi całem sercem; nie zna innéj nad nią ojczyzny, mimo że zachowała język niemiecki w kościele, w szkole i przy ognisku domowém. Ztąd też protestacye Alzacyi przeciwko podbojowi niemieckiemu, tém są charakterystyczniejsze, że głoszone językiem zwycięzców. Widzimy w tém niezaprze-

czony dowód, iż narodowość nie polega na wspólności języka, jak utrzymują obrońcy pangermanizmu. Z pomiędzy licznych publikacyj alzackich, przytoczymy tu dwie broszury pisane w języku niemieckim. Jedna pod tytułem *Protestacya Alzacka* (1), jest wymowną odpowiedzią na dowodzenia professora Treitschke, który z pomiędzy pisarzy niemieckich, najzacięciéj obstawał za anneksią Alzacyi i Lotaryngii. Drugą publikacyą jest zbiór poezyi p. t.: *Pieśni nienawiści* (2). Autor nie podpisał na książce nazwiska swego. Owe bezimienne pieśni, zdają się téż jakoby głosem wyrwanym z serca całéj Alzacyi.

W zbiorze tym na szczególną zasługują uwagę: *Odpowiedź Alzatczyka na pamflet professora Treitschke; Wiersz do Gambetty; Wiersz do przyjaciela; Przysięga; Odpowiedź zwycięzcom.*

Oprócz tego wyszła w Genewie broszura p. Schurre pisana w francuzkim języku p. t: *L'Alzace et les pretensions prussiennes.* Zasługują nie mniéj na uwagę *Listy alzackie* p. Alexandra Weill, w których charakter narodu niemieckiego, określony z wielkim talentem i głęboką znajomością rzeczy.

Jeszcze się nie dotliły zgliszcza pałaców paryzkich, kiedy nowa klęska dotknęła Francyą na ostatnim jéj krańcu wschodnim według nowego odgraniczenia. Starożytny pałac książąt Lotaryngskich zgorzał w Nancy. Pożar szerzył się tak gwałtownie, że niepodobna było uratować skarbów archeologicznych przechowywanych w muzeum. Skarby te ważne pod względem historyi i sztuki dla całego świata naukowego, miały jeszcze dla mieszkańców Nancy osobne znaczenie, przypominały im bowiem wiele rycerskiéj chwały udzielnego ich księztwa.

Lotaryngia postawiona na rozdrożu pomiędzy Francyą a Niemcami, przechodziła koleje nadzwyczaj burzliwe. Kiedy po śmierci Karola Wielkiego, synowie olbrzyma podzielili się szeroką puścizną ojcowską, Ludwik objął spadkiem państwo Franków, Karol Łysy państwo Rzymsko-Niemieckie, Lotaryusz zaś upośledzony w działach otrzymał maleńkie księztwo nad Mozellą, zwane późniéj jego imieniem. Następcy Lotaryusza zbyt słabi aby utrzymać niepodległość, chronili się to pod płaszcz Francyi, to znów pod płaszcz cesarzów niemieckich, a pełni ducha rycerskiego, zaprawni w harcach z sąsiednimi Burgundy, szukali obszerniejszego pola do rozwinięcia swéj działalności. Chorągiew ich powiewała téż we wszystkich krucyatach, tak w Palestynie, jak za Pirenejami, tak w Sycylii jak nad Niemnem i nad Dunajem.

(1) Ein elsoesischer protest; Offenes Schreiben an Herrn professor von Treitschke, von Anton Schweidnitz. Geneve.

(2) Lieder das Hasses. Politische gedichte von einem Elsoesser. Geneve.

Łatwo też pojąć że muzeum książąt Lotaryngskich, wzbogacane w długiéj kolei wieków, musiało posiadać nieocenione skarby. Widzieliśmy je nie dawno; przypominamy sobie te zbroje i rynsztunki z różnych wieków, te wizerunki panujących książąt, między któremi zwrócił uwagę naszą portret Eleonory żony Michała Korybuta, w powtórnym zaś związku księcia Lotaryngii Karola V; pamiętamy owe pyszne kominy z epoki odrodzenia, przy których spoczywało rycerstwo po walkach lub łowach w głębokich parowach Wogezów; pamiętamy niemniéj bogatą bibliotekę pełną ksiąg i rękopismów odnoszących się wyłącznie do historyi miejscowéj.

Największe jednak znaczenie w czasach naszych miały drogocenne a liczne pamiątki po dobrym królu Stanisławie Leszczyńskim. Przed pięcią laty oglądaliśmy szczegółowo te pamiątki, zamienione dziś w garść popiołu. Uderzył nas tu szereg portretów Leszczyńskiego w rozmaitych fazach długiego żywota. Na jednym widzieliśmy go maleńkiem dzieciątkiem, siedzącém na ziemi, obok równie maleńkiego murzynka. Na innym ukazywał się znów jako dorodny młodzian, w stalowéj zbroicy; tak on zapewne walczył pod chorągwią bohatéra wieku, Karola XII. Daléj już jako książę Lotaryngii i Baru, poważnie zasiadał na tronie przybrany w złotogłów krojem francuzkim, w peruce upiętrzonéj. Na ostatnim portrecie zupełnie był odmienny: dziewięćdziesięcioletni starzec zamiast peruki miał głowę podgoloną, zamiast złotogłowiu, ciemny kontusz na karmazynowym żupanie.

Ksiądz Connard, kapelan szkoły normalnéj w Nancy, ofiarował do tego muzeum przepyszny portret Rafała Leszczyńskiego w dziecinnym wieku, wykonany pastelami przed dwustu przeszło laty, a zachowany przewybornie. Był on niegdyś własnością króla Stanisława. Nie widzieliśmy wcale tego portretu, ofiarowany bowiem został w roku 1869. Znawcy uważali w nim prawdziwe arcydzieło; szczerze też ubolewają nad jego stratą. Oto napis francuzki, jaki umieszczony był pod obrazem:

„To arcydzieło pastelowe przedstawia Rafała Leszczyńskiego, ojca króla Polskiego a naszego księcia. Malowany był siedmioletniém dzieckiem. Urodził się w r. 1640; pastel więc wykonany w roku 1647, zachował się lat 135, do dnia dzisiejszego 1 lipca 1782 roku. Zważmy że Rafał Leszczyński umarł w sto czwartym roku życia.“

Zgorzały pałac w Nancy należał do najpiękniejszych zabytków architektury z czasów odrodzenia. Zbudowany pierwotnie w XIV wieku, odnowiony został w XVI wieku. Główną ozdobę jego stanowił przepyszny fronton, z konnym posągiem Antoniego z domu Gwizyuszów, księcia Lotaryngii. Od roku 1852, pałac ten zamieniono w muzeum.

Z tym gmachem łączy się nowy pałac zwany *Palais du Gouvernement*, budowy Stanisława Leszczyńskiego: ten ostatni ocalał od pożaru.

Z pomiędzy dawnych zabytków pozostała tylko grobowa kaplica książąt Lotaryngskich; tu w marmurowych sarkofagach pięknego dłuta, spoczywają liczni książęta tego domu.

Uchroniono także od pożaru sławne gobeliny, koronę zbiorów lotaryngskich. Mieszkańcy Nancy szczególną wagę przywiązują do téj pamiątki, przypomina im bowiem wielkie zwycięztwo odniesione w roku 1477, nad Karolem Zuchwałym księciem Burgundyi, który jak wiadomo poległ pod Nancy. Gobeliny te w liczbie sześciu, tworzyły namiot Karola Zuchwałego. Od dnia tryumfu, przez lat trzysta z górą, Nancyjczycy obnosili je z niesłychaną paradą po mieście, w pamiętną rocznicę zwycięztwa. Rewolucya 1789 roku, wziąwszy sobie za cel silne scentralizowanie prowincyj francuzkich, dla wzmocnienia państwa, zabroniła téj manifestacyi, przypominającéj Lotaryngczykom ich wiekową udzielność.

Pyszne te gobeliny należą do najciekawszych zabytków archeologicznych we Francyi. Przedstawione są na nich sceny z symbolicznego dramatu, który w XII czy XIII wieku odgrywano w Halach paryzkich, w miejscu gdzie również przedstawiano *Taniec śmierci.* Autorem sztuki był poeta Nikol de la Chesnaraye; treścią jéj: *Historya obiądu, bankietu i wieczerzy.*

Ciekawy ten zabytek średniowieczny, pokazuje nam życie tych czasów, schwycone na gorącym uczynku.

Pierwszy obraz przedstawia liczną drużynę przy bankiecie. Stół pysznie zastawiony; na srebrnych misach widać pawie i indory przystrojone w barwiste pióra: wkoło stołu krzątają się pachołcy w kostiumach malowniczych, z halabardą w ręku, istne walety w kartach.

Z krużganku przygrywa kapela, na instrumentach dawno już zapomnianych. Jestto jakoby prolog.

Na drugim obrazie, przez drzwi szeroko rozwarte, wchodzą do sali biesiadniczéj uosobione choroby: gorączka, kamień, kolka, puchlina, apopleksya, z licznym orszakiem sług i dworzan.

Na trzecim zaczyna się właściwy dramat. Rozgniewani biesiadnicy, stawają przed sądem. Oskarżają Bankiet, który ich oddał na łup zażartych chorób; sędzia nakazuje pochwycić winowajcę. Bankiet okuty w więzy wchodzi pod strażą do sali sądowéj; pisarz w okularach spisuje protokół. Dwaj rzecznicy przemawiają w imieniu obu stron, poczém sędzia ogłasza wyrok: skazuje Bankiet na wygnanie o mil dziesięć, to jest o dziesięć godzin od obiadu i wieczerzy; jeżeli przekroczy zakaz, powieszony będzie na stryczku.

Jak gdyby obraz nie dość jasno przemawiał do oczów, z ust osób wychodzą tak zwane *plalaktery*, to jest wstęgi białe z napisem gotyckim, wijące się ponad głowami.

Ciekawy ten zabytek, wybornie dochowany, ocalał dzięki gorliwości mieszkańców, którym udało się zachować narodową pamiątkę.

Jestto robota turecka, ale wykonana według francuzkiego rysunku.

Téj wiosny umarł w Paryżu znakomity kompozytor francuzki Auber; sławny w świecie muzycznym twórca „Niemój z Portici," „Fra Diavola" i mnóstwa innych oper, znanych zarówno w Warszawie jak i w Paryżu.

Urodzony w roku 1788, Auber w ciągu dziewięćdziesięciu lat był świadkiem niezliczonych przewrotów politycznych we Francyi. Dzieckiem widział czasy Ludwika XVI i pompy wersalskiego dworu; podrostkiem patrzał na gilotynę Robespierra; młodzianem na tryumfalne orły Napoleońskie, dojrzałym mężem na powrót i upadek Burbonów, na początek i koniec konstytucyjnéj monarchii Ludwika Filipa; siwym już starcem patrzał na chwałę i klęski drugiego cesarstwa, na krwawe zapasy z obcym nieprzyjacielem i na krwawsze gwałty komuny.

Świadek tylu wstrząśnień i przewrotów Auber od najmłodszych lat nie brał w nich czynnego udziału. Przeżył on długi żywot w zaklętym świecie sztuki; wolny od wszelkich węzłów, któreby mogły skrępować polot jego ducha, nie zstępował nigdy z tych wyżyn; czasami tylko skłaniał ucho na przelotne dźwięki, płynące z ziemi w górę, i przerabiając je twórczą siłą geniuszu swego, oddawał je światu zidealizowane w postaci Mazaniella i innych bohatérów.

Od młodości Auber nie opuszczał nigdy drogiego mu Paryża. Przechadzka po bulwarach i po lasku Bulońskim była mu najmilszym wypoczynkiem po pracy.

— Na co mi szukać Włoch? — mawiał zwykle — alboż nie mam tu swoich bulwarów włoskich?

— Patrz! oto wszystko co znam z cudów przyrody — rzekł raz do przyjaciela ukazując mu piękne krajobrazy Szwajcaryi, zawieszone w ramach na ścianie. Dość moje opery Skribe nawłóczył po świecie; niechże one za mnie podróżują: ja wolę siedzieć w domu!"

Ojciec jego właściciel sklepu z obrazami, przeznaczał go z młodu na kupca i wychowywał w tym kierunku. Młodzian lubo chętnie oddawał się muzyce, nie przypuszczał jednak, żeby sztuka miała stać się kiedyś głównym jego zawodem. Występował on po salonach raczéj jako amator niż artysta. Zachęcony odbieranemi pochwałami, napisał r. 1805, maleńką operétkę *Julię:* cała orkiestra składała się z sześciu osób.

Podczas próby spostrzegł Auber, że piérwszy skrzypek więcéj patrzy na prima donnę, niżeli zajmuje się muzyką: wymówił mu to w sposób delikatny.

— Przebacz pan— odparł skrzypek — ale ja jestem przedewszystkiém malarzem: forma silniéj przemawia do oka mego, niżeli muzyka do ucha.

Tym roztargnionym skrzypkiem był nie kto inny jak sławny Ingres. Dwaj artyści poznali się i odrazu pokochali; przyjaźń ich miała przetrwać z górą lat sześćdziesiąt.

Ojciec Aubera stracił na handlu. Wówczasto syn zabrał się gorliwie do muzyki: pracował w Konserwatoryum pod dyrekcyą Cherubiniego: postępy czynił spieszne.

„Temu to mistrzowi zawdzięczam— mawiał często— że mogę myśl moją rzucać prędko na papier. Dziś znajduję w jednę godzinę to, czego dawniéj szukałbym cały miesiąc.

W roku 1813 przedstawił w teatrze Feydeau operę p. t.: *Le sejour militaire*; lecz ta nie przypadła do smaku publiczności. Nie zrażony tém kompozytor, szukał nowego libretta pragnąc rychło podźwignąć się z upadku. Naprożno! poeci odmawiali uporczywie, zapewne w obawie nowego *fiasco*. Za usilném staraniem Cherubiniego, otrzymał wreszcie trzy libretta od Plararda. Skomponował niebawem trzy opery; z tych dwie przeszły niepostrzeżone; trzecia dopiéro *la Bergére Chatelaine* przyjęta z gorącym poklaskiem, dała mu zakosztować słodyczy piérwszego tryumfu. Auber miał wtedy lat trzydzieści ośm: w tym wieku Rossini przestał tworzyć.

Odtąd datuje się sława Aubera. Wystawił on z kolei czterdzieści przeszło oper; wiele z nich do dziś dnia zachowało cały swój urok.

Stanowisko Aubera w muzyce od dawna ocenione. Jestto jeden z pierwszorzędnych mistrzów, w oddaniu charakteru narodowego. Wprowadził on do oper styl łatwy, jakby konwersacyjny, nie ubliżający przecież prawom melodyi, ani godności artystycznéj. W obec przewagi Rossiniego, Auber reprezentował narodowość francuzką, tak samo jak Weber niemiecką. Muzyka Aubera odbija wiernie żywą stronę francuzkiéj fantazyi. Nie mówiąc już o pierwszorzędnych arcydziełach tego mistrza, które otrzymały uznanie europejskie, najsłabsze nawet z jego utworów odznaczają się nieporównanym wdziękiem i prawdziwą oryginalnością: we wszystkich pulsuje silne tętno. Sława téż Aubera nie przebrzmi razem z życiem, lecz urośnie jeszcze w przyszłości. Opera komiczna, ten samodzielny objaw geniuszu francuzkiego, utworzona przez Gratrego, Philidora i Monsiniego, dzięki Boieldieu'mu a po nim Auberowi, zajęła wysokie stanowisko, jakie jéj dziś przyznał świat cały.

Kto chce śledzić rozwój talentu Aubera, niech się nie trzyma chronologicznego porządku; pomiędzy najznakomitszemi utworami jego, stoją tuż obok najsłabsze. Nie rozwija on skrzydeł stopniowo, nie ulata systematycznie coraz wyżéj a wyżéj. Lot jego fantastyczny: to jednym rzutem wzbija się w słoneczny świat ideału, to znów jakby mu zabrakło tchu i sił, spuszcza się nagle i upada napół omdlały. Łatwo to przecież wytłumaczyć. Geniusz drugich porywał go silnie, i mimowoli odbijał niekiedy w jego pra-

cach. Ilekroć Auber naśladuje, trudno mu utrzymać się na wyżynach, gdy zaś przeciwnie słucha tylko własnego natchnienia, wtedy rozwija potężny lot i tworzy arcydzieła.

W początkach zawodu ulegał on wpływom Boieldieu'go, później zawładnął nim Rossini. W roku 1823, w czasach kiedy włoski maestro panował tak świetnie w Paryżu, Auber utworzył operę *Śnieg*. Jest to jakby parafraza Rossiniego. Wkrótce jednak otrząsnął się z obcego wpływu i wystąpił samodzielnie z *Leokadyą*, a następnie z *Mularzem i Ślusarzem* w r. 1827. Tu już nie dostrzedz cieniu naśladownictwa, tu pojawia się Auber tém czém jest: genialnym twórcą rodzajowéj opery. Odrzuca precz konwencyonalne typy, a podnosi do ideału rzeczywistą postać rzemieślników paryzkich. Odtąd staje się prawdziwym ulubieńcem paryzkiéj publiczności

Wkrótce świetniejsze czekały go jeszcze tryumfy, W rok po Mularzu i Ślusarzu (1828) przedstawił *Niemą z Portici*. Była to dla Paryżan zupełna niespodzianka. Nikt nie sądził aby talent tak doskonały w rodzajowych operetkach, mógł rozwinąć w ramach wielkiéj opery taką potężną twórczość. Paryż zatrząsł się od oklasków, a rozgłos ich znalazł oddźwięk po wszystkich krajach. Niema z Portici obiegła Europę: geniusz Aubera zajaśniał w pełnym blasku.

Świetne to były czasy dla opery francuzkiéj. W rok po Niemej z Portici (w r. 1829) przedstawia Rossini *Wilhelma Tella*, ów cudny śpiew łabędzi, którym zakończył słynny zawód; w lat parę Meyerbeer występuje z *Robertem dyablem*. Niema z Portici wychodzi przecież zwycięzko, nie przyćmiona blaskiem nowych słońc, publiczność wita ją zawsze z nieporównanym zapałem.

Od dwóch lat blisko Niema z Portici zapalała umysły, kiedy nastąpił we Francyi pamiętny przewrot 1830 roku. Ludwik Filip ledwie co objął władzę, obsypał Aubera zaszczytami; mianował go dyrektorem dworskich koncertów; ale odtąd Niema z Portici coraz to rzadziéj pojawiała się na afiszu!

Jakkolwiek wielki kompozytor dowiódł w Niemej, że potrafi wzbić się w najwyższe sfery sztuki, opera komiczna była jednak odpowiedniejszém polem dla jego geniuszu. Pole to uprawiał on wytrwale. W czterdziestu trzech jego operach, zaledwie kilka nakreślonych na wielki rozmiar. Żaden z tych utworów nie dorównał Niemej, ani *Syn marnotrawny*, ani *Gustaw*, tém mniéj *Bożek i Bajaderka*. Przeciwnie zaś, opery rodzajowe, pełne twórczéj samodzielności, wysnute z ducha narodu, zapewniły mistrzowi sławę która nigdy nie przebrzmi. Do najudatniejszych należą *Narzeczona* i *Fra Diavolo*: obie przedstawione w 1830 roku.

W siedmiu następnych latach pojawiają się z kolei: *Fiorella*, *Bożek i Bajaderka*, *Jezioro wieszczek*, *Filtr*, *Syrena*, *Bal nocny* (*Gustaw III*), *Lestock*, *Koń śpiżowy*, *Posłowa*, *Czarne Domino*. Twórczy

talent Aubera zachował w tych utworach cały urok świeżości. Dziesięcioletni okres od *Mularza i Ślusarza* do *Czarnego Domina*, jest dla mistrza epoką prawdziwego rozkwitu. Oprócz *Fiorelli*, w której znów odbija żywcem Rossini, wszystkie utwory tego okresu mają wysoką wartość.

Czarne Domino przedstawione w r. 1837 stanowi jakby przełom w zawodzie mistrza. Talent jego daleki jeszcze upadku, pełen życia i barwy, ale czuć w nim niejakie już znużenie. Autor ucieka się do powierzchownych błyskotek, do obmyślanych efektów. *Spółka z Szatanem*, *Dyamenty korony*, *Heidea*, lubo jeszcze wywołują współczucie, nie mogą już wytrzymać porównania z Fra Diavolem i Niemą.

Skribe, czterdziestoletni współpracownik Aubera, silnie wpłynął na nowy kierunek, jaki się czuć daje w tych utworach. W czasach pełnéj twórczości, kompozytor panował nad librettem; późniéj przeciwnie, libretto sprowadza kompozytora z wyżyn ideału, a plącze go w skomplikowaną sieć intryg i podrzędnych efektów. Do oper pisanych pod tym wpływem należą głównie: Żanetta, Barcarolla, Książe Olonu. Znać tu jeszcze Aubera, paryżanie jeszcze im przyklaskują, ale oklaski te coraz słabsze, zmierzch talentu coraz widoczniejszy.

Od roku 1850, to jest od *Marnotrawnego Syna* Auber pracuje wytrwale, ale oprócz ślicznéj opery *Marco Spada*, żadna z prac jego, nie znalazła silnego oddźwięku we Francyi, nie wiele z nich przeszło za granicę. Świecą one słabém odbiciem, jak ta zorza wieczorna, co w noc letnią przypomina południowe słońca połysk. Długi szereg tych oper przesuwa się prawie niepostrzeżony; należą tu: *Zerlina*, *Joanna Bell*, *Manon Lescaut*, *Narzeczoną króla Garby* i inne. Przez szacunek tylko dla starca, krytyka okazywała się jeszcze dosyć względną.

Aż oto nagle po przerwie kilkoletniéj (w r. 1868), ośmdziesięciosześcio-letni Auber występuje z nową operą. Paryż zdumiony czyta ogłoszenie jéj na afiszu. Uśmiech powątpiewania przebiega po ustach. Tłumy śpieszą jednak na widowisko, aby uczcić dawne zasługi mistrza, i widokiem próżnéj sali nie dotknąć go boleśnie. Jak słodka dla nich niespodzianka: *Pierwszy dzień szczęścia* wywołał grzmot oklasków, w teatrze Opery komicznéj.

Tu już nie względy dla siwych włosów starca wywołały ów poklask; wywołał je mistrzowski utwór, pełen świéżego, jakby wiosennego tchnienia; porwała słuchaczów muzyka lekka, swobodna, nacechowana duchem czysto narodowym. Brak tu zapewne owéj potęgi twórczéj jaką Auber okazał w Niemój i Fradiawolu. *Pierwszy dzień szczęścia* to urocza *fata morgana*, odbijająca we mgle wspomnień promienie dawnéj chwały.

Ta opera przeszła niebawem i do Niemiec, gdzie mimo uprzedzenia i niechęci do francuzkich utworów, znalazła prawdziwe uznanie.

Publiczność paryzka po pierwszém przedstawieniu wywołała z zapałem Aubera; gdy starzec ukazać się nie chciał, wyprawiono mu na ulicy serdeczną owacyę.

Nie był to jeszcze ostatni jego tryumf. W roku 1870 wystąpił znów ze *Snem miłości*, śliczną operą z życia wiejskiego ludu, godną autora tylu nie zapomnianych arcydzieł. Mówiliśmy obszernie o tym utworze, w jednéj z naszych kronik zeszłorocznych.

Nie mamy bynajmniéj pretensyi do ocenienia geniuszu Aubera; potrzeba na to wytrawniejszego od nas znawcy; mieliśmy jednak sposobność zasięgnąć w tym względzie poważnego zdania wielkiego artysty, ktory w rolach Maziela, Fra Diawola i innych, przez długie lata czarował warszawską publiczność. Któż nie zgadnie że mówimy tu o panu Julianie Dobrskim? Otóż znakomity artysta utrzymuje że w instrumentacyi żaden z najsłynniejszych mistrzów nie prześcignął Aubera, a mało ktory dorównał mu w tym względzie. „Jeśli weźmiemy jego partyturę fortepianową—mówił nasz wielki śpiewak—probując jéj nie widzimy nic szczególnego, w orkiestrze dopiéro poznajemy cały jéj urok. Tajemnicę orkiestrowania posiadał Auber w najwyższym stopniu."

Niezmordowaną pracą doszedł mistrz do zbadania téj tajemnicy. Praca była dlań konieczną życia potrzebą: pracował on zawsze i wszędzie. Nie obchodziła go zewnętrzna wrzawa, nie zważał na dziennikarskie kłótnie i polemiki; surowy wszędzie o własnych utworach, wstrzymywał się od sądzenia drugich; łagodny i słodki w obejściu okazywał ku wszystkim dobrą wolę: w sercu jego nie było niechęci ani zawiści.

Długie życie Aubera upłynęło spokojnie, osłodzone uznaniem ziomków. Zaszczyty i godności nagradzały mu hojnie trud podjęty. Od r. 1829 był członkiem Akademii Sztuk Pięknych; w r. 1842 nastąpił po mistrzu swoim Cherubinim jako dyrektor paryzkiego Konserwatoryum. Za cesarstwa otrzymał wielki krzyż Legii Honorowéj, a nakoniec krzesło w Senacie.

Zdawało się że ten żywot cichy i skupiony, dopłynie do przystani bez nadzwyczajnych wstrząśnień. Inaczéj się stało. W ostatnim roku przebolał starzec ciężkie próby. Mimo nalegania przyjaciół nie opuścił drogiego mu Paryża. Przebył pięciomiesięczne oblężenie w domu własnym, przy ulicy St. Geórges, o kilka kroków od domu Thiersa, przyjaciela swego od lat najdawniejszych. Jakaż musiała być jego boleść, gdy patrzał na rozwalone gruzy tego domu! Bóg oszczędził mu większych cierpień. Nie widział już płomieni pożaru pochłaniających ten Paryż, tak gorąco przez niego ukochany: umarł na kilka dni przed katastrofą.

Zwłoki złożono tymczasem w sklepieniach kościoła Stéj Trójcy; w kilka tygodni dopiéro, 16 lipca, Paryż uspokojony po gwałtach komuny przystąpił do pogrzebu ulubionego mistrza. W obec pierwszych znakomitości świata artystycznego i naukowe-

go, śpiewacy opery wykonali w kościele, *Benedictus* utworu samego Aubera, *Requiem* i *Dies Irae* Cherubiniego.

Orszak pociągnął ulicą Auber i placem wielkiéj Opery ku cmentarzowi Montmartre: tam młodzi Orfeoniści wykonali chórem sławną modlitwę z *Niemėj*.

Z pomiędzy siedmiu mów wyrzeczonych na grobie w imieniu instytutu, opery francuzkiéj i innych stowarzyszeń artystycznych, zajęła szczególniéj uwagę powszechną mowa Aleksandra Dumasa, nacechowana tym metalicznym dźwiękiem, jaki odtętnia dziś w każdém jego słowie do ziomków.

„W obec śmierci, w obec grobu, w obec gruzów i nieszczęść —mówi Dumas—nie patrzę ja na umarłego; widok śmierci zwraca myśl moją do nadziei; do życia.

„Odradzanie ciągłe w tym niemal stóletnim starcu, niechaj będzie i dla nas przykładem odrodzenia, dowodem nieśmiertelności!

„Jego pieśń przebiega przez pół wieku między nami, jakby strumień, jakby rosa Boża. Ileżto się przy niej przepomniało!

„On zwyciężył śmierć—i my uczyńmy jak i on! Niéma śmierci, skoro jéj nie chcemy. Człowiek może ją zwalczyć, niechaj tylko zamknie się w pracy, uspokoi w sumieniu własném. Geniusz Aubera nie był samém natchnieniem, ale był owocem pracy i wytrwałości. Naśladujmy go! a uczcimy najlepiéj drogą nam jego pamięć!“



PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Prace Wojciecha Jastrzębowskiego.

W kraju naszym dobrze jest znane imię Wojciecha Jastrzębowskiego, b. professora w Marymoncie, później komisarza leśnego w leśnictwie Brok, w osadzie Feliksów nad Bugiem, gdzie z całą energią i zamiłowaniem pracował nad uczynieniem itego miejsca o ile być może, pięknem i pożytecznem. Kilkanaście lat wielkiéj, pracy, z niezwykłą umiejętnością prowadzonéj, wydało najlepsze owoce. Szczególnie tam są bogate plantacye drzew leśnych wszelkiego gatunku, a między niemi tych, które prawie zupełnie zostały wyniszczone: drzew modrzewiowych, będących niezawodnie jednemi z najpożyteczniejszych.

Dziś szanowny starzec zmuszony opuścić swoją dotychczasową zagrodę, a że praca jest jego żywiołem, więc na inném miejscu rozpocznie na nowo usiłowania nad utworzeniem podobnéj jak w Feliksowie siedziby.

Na ten cel, obywatele okolic Częstochowy, pomni jego zasług, ofiarowali trzy włóki ziemi.

Niegdyś od uczniów Marymontu można było słyszeć wiele o ukochanym ich professorze Wojciechu Jastrzębowskim, który w młodzieży tego zakładu zostawił po sobie niezatarty głęboki szacunek i miłość.

Redakcya Gazety Rolniczéj ozdabiała listy wysyłane do swoich współpracowników portretem szanownego professora, co także jest dowodem uznania i szacunku jednego z wychowańców Marymontu, redaktora pomienionéj gazety.

Professor Jastrzębowski z garstką uczniów swoich, odbywał co rok wędrówki po kraju, wskazując na każdem miejscu te bogactwa przyrody, z jakich przemysł rolniczy korzystać powinien. Tym więc sposobem poznał sam kraj cały, a owocem tego jest „Historya Naturalna," zwłaszcza mineralogia, dość obszerną całość

stanowiąca i zajmująca wyłączne stanowisko w literaturze z tego względu, że tam szczególną zwrócono uwagę na wykazanie i opisanie zasobów przyrodzonych kraju. Professor Jastrzębowski pracował także nad wykazaniem meteorologicznych warunków, zwłaszcza Warszawy, jako środkowego punktu; jest wynalazcą głęboko pomyślanego przyrządu do kreślenia kompasów, opisanego w książce pod tytułem „Kompas polski."

Przed 25-u laty wydał dzieło: „Układ świata zastosowany do potrzeb powszechnych," które nazwał Anankonomiją (od ananke potrzeba), a przed dwoma laty tejże treści dziełko pod tytułem: „*Która nauka najpotrzebniejsza jest dla człowieka i najwięcéj go ubogacająca*" Całe to dzieło poświęcone jest klassyfikacyi wszech rzeczy, stanowiących świat materyi i ducha. Klassyfikacya ta oparta na osobistém widzeniu rzeczy, nie przyjęta przez naukę, i nie poparta dowodami, których w tak małéj książce pomieścić nie można było. W tém dziełku autor wspomina, że to jest tylko naprędce skreślony przypominek z kilkuset arkuszowego dzieła, które się spaliło roku 1863. Nie możemy więc wiedzieć jakie dowody przedstawia autor na poparcie swojéj klassyfikacyi; sądząc zaś z samego tylko podziału rzeczy zdaje się, że ten utrzymać się nie może.

Najprzód wyróżniają się tam trzy potrzeby główne, mianowicie: do utrzymania bytu, udoskonalenia i uszczęśliwienia. Te główne dzielą się z kolei na szczególne, których jest szesnaście: ochrona, podpora, podnieta, pożywienie, są to rzeczy utrzymujące. Do doskonalących ciało należą rzeczy: upożyteczniające, upiększające, udoskonalające, używotniające. Do doskonalących duszę: rzeczy ukrzepiające, ułagodniające, uzdatniające, uzacniające. Nakoniec do uszczęśliwiających: rzeczy uweselające, urozkoszniające, ucieszające i uradowujące.

W każdym z 16-u działów wyliczone są rzeczy do działu należące, z wykazaniem niektórych przymiotów tych rzeczy, i to stanowi treść całego dzieła. I tak np. do podniet naturalnych dla roślin należą: potaż, wapno, gips, amonia i woda.

Ale te wszystkie rzeczy można umieścić jeszcze lepiéj w dziale pod tytułem: *Pożywienie*, bo one wszystkie stanowią część składową roślin, i bez nich organizm żyć nie może.

Podnieta od pożywienia różni się tém,—mówi autor,—że pierwsze zwykle nie pozostaje w niém, ale się z niego po sprawieniu właściwego sobie pobudzającego skutku oddala (jak sól); pożywienie zaś przykłada się do pomnożenia tegoż ciała i odnowienia.

Sól wszakże przykłada się téż do pomnożenia i odnowienia, jest konieczną składową częścią krwi, a odchodzi z organizmu zarówno jak i wszystkie do pożywienia potrzebne rzeczy, które się w organizmie przetwarzają a na to miejsce nieustannie przychodzą inne z pokarmem i napojem.

Do potrzeb tyczących się udoskonalenia duszy zalicza autor wszystkie żyjące, t. j. rośliny, żyjątka, zwierzęta i ludzie, i powiada np. że rośliny dają się doskonalić przez siłę ruchową.

Jest to jedno z sił najmniéj podlegających wpływowi człowieka na rośliny, i w takim razie można byłoby wyliczyć tu wszystkie prawie siły przyrodzenia.

W każdym z działów autor wylicza kilka tylko rzeczy i przed ostatnią z wymienionych dodaje samogłoskę *i* mającą znaczyć, naturalnie, że to już jest ostatni. do tego działu należący przedmiot. Np. za główne podniety dla zwierząt i roślin autor uważa sól i wodę. Dlaczego te dwie tylko? Do podniecających życie, albo posilających, lub téż żywiących, można tak dobrze jak sól i wodę zaliczyć wapno, fosfor, żelazo etc. Każda ze składowych części stanowiących organizm może się stać główną podnietą do życia, jeżeli będzie tą częścią, któréj braknie organizmowi w skutek niedostatku jéj w pożywieniu, lub téż w skutek nienormalnego stanu organizmu.

Autor powiada, że nauka ta, (anankonomja) potrzebuje jeszcze czasu ażeby spoważniała. Autor na str. 121 sam wspomina „że to jest tylko naprędce dokonanym, i na kolanie wśród pustyni Czerwonoborskiéj skreślonym przypominkiem; nic więc dziwnego że się tam znajdują ważne niedokładności.

Przewiduje (118), że wydając na świat dzieło wyrażające nową naukę, może się narazić na szyderstwa i prześladowania nawet (zapewne od tych tylko którzy go nie poznali), wierzy jednak że ona się rozwinie i będzie bardzo pożyteczną, co się nam zdaje wątpliwém.

Kończąc tę krótką wzmiankę o Anankonomii, przechodzim do innego, daleko ważniejszego przedmiotu.

Główną myślą zajmującą autora, pochłaniającą najgoręt̨sze jego uczucia i pracę lat ostatnich, jest żądanie, ażeby dla pomnożenia prawdziwego szczęścia między ludźmi, namnożyła się u nas jak największa liczba wzorowych małych gospodarstw, 1—2 włókowych np. A chcąc z siebie dać dobry przykład, kilkanaście lat pracował nad utworzeniem podobnego wzoru nad Bugiem, w miejscowości o któréj już wspominaliśmy, i opisał w ciągu kilku lat ostatnich w książkach wydanych pod tytułem: „*Raj odzyskany czyli szczęśliwa siedziba wiejska,*" i „*Zagroda ochronna dla ludzi i pielęgnowanych przez nie istot.*" W książeczce zaś pod tytułem: „*Cudowna potęga rydla i pługa, płużycy i sochy, skierowana do pręta, morgi i włóki ziemi,*" uczy jak mamy sobie postąpić na jednym pręcie ziemi, ażeby wyhodować około 30,000 drzewek owocowych i leśnych, które późniéj mają być przesadzone na jednomorgowéj, a następnie na jednowłókowéj przestrzeni. Dla zachęcenia przypomina, że po przesadzeniu ich na morgową przestrzeń, po dwóch latach (jeżeli to są drzewka owocowe), mogą przedstawiać kapitał 30,000 złotych, a jeżeliby to były drzewka leśne, modrzewiowe np., to po przyjściu do zupełnego wzrostu, na przestrzeni sto razy większéj, mogłyby

przy najpomyślniejszych okolicznościach, w rękach następnego pokolenia, reprezentować kapitał sto razy większy.

Wszystkie te książeczki przepełnione są najwznioślejszemi myślami, wszędzie przebija się wielka miłość Boga, ludzkości, przyrodzenia i pracy. Te cztery najwyższe przymioty, złączone w osobie sędziwego starca, stanowią najpiękniejszą całość.

Ażeby zachęcić do życia jakie sam, w utworzonéj własną pracą zagrodzie, szanowny starzec prowadził, przemawia do nas prawie w ten sposób: Patrzajcie na mnie, który w téj małéj zagrodzie pracuję: jam wesół i szczęśliwy, zdrów i krzepki pomimo lat 70-iu, a wszystko to zawdzięczam życiu jakie prowadzę i rodzajowi pracy jaki sobie wybrałem. Utrzymuję, że kto oddany jednemu tylko rodzajowi pracy, ten prowadzi życie *ułomkowe* czyli ułomne. Kto miłość swoją skupia na jednym tylko lub kilku przedmiotach a nie kocha wszystkiego i wszystkich, ten jest człowiekiem ułomnym. Kto zamyka oczy na cuda przyrodzenia i nie chce żyć z niém bliżéj a otacza się życiem sztucznem, które utworzyły zwyczaje cywilizacyi, ten prowadzi życie ułomne, niewłaściwe, nie naturalne, i takie życie nie może dać prawdziwego szczęścia.

Jest mocno przekonanym, że człowiek, ażeby był prawdziwie szczęśliwym, powinien posiadać *wszystkie* warunki potrzebne do fizycznego i moralnego zdrowia, i że te warunki najłatwiéj znajdzie ten, kto w małéj zagrodzie, kierując się rozumném doświadczeniem i nauką, oddał się pracy nad pielęgnowaniem tworów boskich, nad stosowaniem bogactw przyrodzenia do potrzeb ludzkich. Praca taka uspokoi, rozweseli serce, da zdrowie, da siłę i dostatek.

Wszystko to jest niezawodną prawdą, i żaden z największych przyjaciół ludzkości nic nad to lepszego poradzić nie może.

Ta okoliczność mianowicie, że jedna włóka może wystarczyć na najwygodniejsze życie, mogłaby zapewne pozyskać najwięcéj zwolenników, potrzebaby tylko ażeby temu uwierzyć. Niech więc ten co zechce doświadczyć téj prawdy na praktyce nie oszczędza własnéj pracy która prędko stanie się przyjemną; niech się stara poznać specyalnie ten przedmiot z którym jako ziemianin będzie miał do czynienia, a przekona się że tak jest w istocie.

Do specyalnego przysposobienia się na to, literatura rolnicza powinna dopomódz wydaniem treściwego podręcznika uczącego jak urządzić i prowadzić małe gospodarstwo. Musiałyby tam być rozmaite plany do zakładania siedzib, plan zabudowań, ogrodu i pola. Nadto niezbędny byłby treściwy opis materyałów budowlanych i nauka budowania sposobem tanim i dogodnie. Powinno być krótko, systematycznie i dokładnie wykazane jak się brać do rzeczy przy uprawie każdéj z osobna rośliny i hodowania każdego ze zwierząt, jak się wpatrywać w miejscowe warunki ażeby w urządzeniu gospodarstwa do nich się zastosować i pielęgnować tylko to, co największe w danéj miejscowości zapewni korzyści.

Wszystko to powinnoby być zawarte w małéj książce, wypowiedziane stylem prostym i zwięzłym, a zastosowane do małego 1—2 włókowego gospodarstwa.

Dla zachęcenia i dokładnego przedstawienia rzeczy należałoby wykazać koszta uprawy roślin, ilość jaką można zebrać z pewnéj przestrzeni, cenę produktu i czysty dochód.

W takich gospodarstwach jedwabnictwo, pszczolnictwo, uprawa kosztowniejszych roślin przemysłowych, farbierskich i lekarskich, uprawa drzew owocowych i wszelkich roślin ogrodowych najbardziéj kwitnąć może i powinna.

Napisanie takiéj książki, która mogłaby być zarówno w ręku każdego, czy z wielkiém czy z małém wykształceniem człowieka, jest rzeczą bardzo trudną. Na dowód powtórzę przytoczone niedawno w Bibliotece Warszawskiéj (Styczeń 1870) te słowa Micheleta: „Gdyby mi serce po śmierci otwarto, toby w niem wyczytano zapytanie z którém się nosiłem przez całe życie: „W jaki sposób należałoby pisać książki dla ludu i kto takowe książki napisze?" Nie znam trudniejszego zadania. To się w znacznéj części może stosować i do książki specyalnéj, która nas obecnie zajmuje.

Człowiek mistrzowsko władający piórem, pełen talentu i nauki, zeznaje, że książki dla ludu napisać nie może. Godne to jest głębokiego zastanowienia tych, którzy prace swoje piśmienne pragną ludowi poświęcić.

Wszystkie tego rodzaju piśmienne prace szanownego, zajmującego nas obecnie autora są niewystarczające, bo „*Cudowna potęga rydla i pługa*" uczy tylko jak uprawiać drzewka owocowe a bardziéj jeszcze leśne; zaś „*Raj odzyskany* i *Zagroda ochronna*," opisują tylko plan podług którego wykonana została zagroda ochronna i uczelnia życia ziemiańskiego nad Bugiem. Nadto wszystkie dziełka w większéj części zapełnione są temi samemi wywodami i klassyfikacyą co i w nauce Anankonomii, etymologicznemi objaśnieniami etc., które nadzwyczaj utrudniają pojęcie rzeczy tym, którzy potrzebują prawdziwie popularnego wykładu i odprowadzają od głównego celu, jakim jest nauczenie urządzenia i prowadzenia małéj zagrody ziemiańskiéj.

Szanownemu autorowi tych dzieł idzie o treść rzeczy głównie, a formę w jakiéj się treść przedstawia uważa za rzecz podrzędną, (a i z tego już widać, o czém nieraz wspomina, że pisze naprędce na kolanie i t. d.). Tymczasem dla ludu szczególniéj, forma w któréj się rzecz przedstawia jest tak wielkiéj wagi, że ta, jeżeli nie jest prosta i powabna, to prawda chociażby najwznioślejsza i najzbawienniejsza, zaszczepić się nie da.

Gdyby układ i forma tych dziełek, i innych któremi nieustannie zasila się „Zorza" były tak piękne jak uczucia, myśli i całożyciowa praca szanownego autora, dokonane za pomocą rydla i pługa, kierowanego wielkim zasobem nauki, mielibyśmy dla ludu rzeczy tak piękne, jakich może żadna literatura cywilizowanéj Europy nie posiada.

Ostatniemi czasy wyszła na świat jeszcze inna praca tegoż autora, pod tytułem: „*Klucz do układu przyrodzonego roślin, rosnących na przestrzeni ziemi rozciągającéj się między Karpatami i morzem Bałtyckiem, ułożony na wzór klucza La Marcka i De-Candolla.*" Jest to rodzaj pracy, potrzebujący bardzo długich i ścisłych badań: jest nadto jedną z rzeczy najtrudniejszych, bo wymagających nie tylko głębokiéj znajomości przedmiotu, ale jeszcze jakiegoś mniéj lub więcéj szczęśliwego pomysłu, który że się przytrafia bardzo rzadko, już z tego widzimy, iż z pomiędzy bardzo wielu znakomitych naturalistów, zaledwie kilku zdołało w części zadowolnić potrzeby nauki, nikt zaś jeszcze zupełnie zadowalniająco układu znaleźć nie mógł, i prawdopodobnie nie znajdzie. Bo jakże w nieskończonéj rozmaitości form organicznych wynaleźć zupełne różnice albo zupełne podobieństwo, kiedy ich niema w naturze? Na granicy każdego działu muszą być tak nieznaczne różnice, że nie pozwolą nigdy oddzielać się linią zupełnie wyraźną. Wszelki podział przyrodzony musi być zatém mniéj lub więcéj sztucznym. Ale że pewne cechy, bardzo wyraźne, wspólne są wielu roślinom, zatém biorąc je jako podstawę do klassyfikacyi, układa się świat roślinny w pewne gruppy; i tak: każdy widzi pokrewieństwo między grochem, bobem i soczewicą, np. między żytem, pszenicą, jęczmieniem i owsem. Te rośliny naturaliści łączą w jednę familię. Wszystkie lilie, biała, zawojek, żółta, stanowią jeden rodzaj, a każda z nich stanowi gatunek. Gatunki jeszcze się dzielą na odmiany, ale te nie wchodzą do klassyfikacyi, jako niestałe, i przedstawiające mało charakteryzujące się różnice.

Professor Jastrzębowski trzymając się systemu La Marcka i De Candolla, chciał uprościć i ułatwić jeszcze bardziéj układ przyrodzony nazwanych tu uczonych, przez powiększenie liczby niektórych działów i klassyfikowanie za pomocą oznak najprostszych, i tak: rośliny wodożywne, sokożywne, powietrzne, liściowe, łodygowe, drobnolistne, sporolistne, drobne, spore, ubogo-kwiatowe, bogato-kwiatowe, stanowią osobne rzędy. Bardziéj prosty podział być nie może. Już jedno słowo daje każdemu pewne wyobrażenie o kształcie, albo naturze rośliny.

Byłoby wielką dogodnością dla uczących się, jeżeliby się udało w tak prosty sposób przeprowadzić klassyfikacyą. O ile to się uda, z jednego tylko „*Klucza*" sądzić nie można.

Prostota w podziale niektórych rzędów miałaby jeszcze większe znaczenie, jeżeliby z pomiędzy nich wykluczyć rzędy roślin z takiemi tytułami jak rośliny bezpokrywko-owocowe, pokrywko-owocowe, górno-zawiązkowe, dolno-zawiązkowe i t. d.,—bo te wymagają już od uczących się gruntownego poznania budowy, owocu i kwiatu, a dla specyalistów, większa prostota w układzie innych rzędów już niema tyle znaczenia co dla początkujących.

Wszakże bardzo być może, że usunięcie z układu tych ostatnich rzędów i zamienienie innemi, chociaż pożądane, jednak nie możebne.

Zdaje się nadto, że tytuły niektórych rzędów, chociaż odznaczające się prostotą, zupełnie niezgodne z opisem własności roślin należących do tego rzędu, np. do roślin *powietrznych* mają należeć rośliny „na kamieniu, na ziemi, na korze, na murze, na drewnie," zatém wszędzie rosnące, więc dlaczego nazwane powietrznemi? Tytuł ten zresztą nie zgadza się z fizyologiczną naturą porostowatych (Lichones), których ten rzęd ma przedstawiać. Niewiadomo o ile się uda ułożyć świat roślinny podług tego klucza.

Ażeby wydać zupełnie dokładny sąd o téj długoletniéj pracy naszego naturalisty, potrzeba dla jéj sprawdzenia dość długich praktycznych badań.

Do „*Układu przyrodzonego roślin*," bardzoby się przydało poprzedzające objaśnienie autora o powodach zmienienia systemów La Marcka i De Candolla, i przyczynach które spowodowały do takiego a nie innego układu. Podobne wyłuszczenie rzeczy mogłoby wiele kwestyj wyjaśnić nie tylko uczącym się, ale i specyalnie ten przedmiot znającym.

W pracach więc naszego uczonego Wojciecha Jastrzębowskiego widzimy wielką rozmaitość, a w niéj dwie cechy wybitniejsze: jedną jest dążność do systematyzowania, która się datuje oddawna, bo pierwszy tom „Historyi naturalnéj ogólnéj" przed 25-iu laty wydanéj, jest tą samą, tylko obszernie wyłożoną nauką, która jest zawarta w niedawno ogłoszonéj książeczce pod tytułem: „*Która nauka najpotrzebniejsza jest dla człowieka;*" drugą zachęcenie do bliższego obcowania z przyrodzeniem, poznania i zamiłowania go, dla tém lepszego korzystania z jego zasobów, a za pomocą stosownéj pracy na małym kawałku ziemi, znalezienia najlepszego środka do uprzyjemnienia życia i zaspokojenia duchowych i materyalnych potrzeb. Pierwsze mniéj ważne, bo mające tylko teoretyczne znaczenie, drugie praktyczne, stosujące się wprost do życia i mogące dać najpiękniejsze owoce.

Z dobrze myślących któżby nie pragnął, ażeby ten piękny wzór pracy najpożyteczniejszéj, znalazł jak największe rozpowszechnienie. *B. S.*

Odgłosy z gór, poezye Felicyana. *1871, Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa.*

Mirosława Dobrzańskiego wstępne akkordy. *1871, Warszawa.*

Maryana Korwina Kochanowskiego ostatnie poezye *(wydanie pośmiertne). 1870, Kraków.*

To, cośmy tu uważali rok temu, iż lubo już oddawna nie przybywają do poezyi naszéj utwory większe, życie jednak u nas fan-

tazyi, i nawet twórczéj, daje zawsze swe znaki, powtórzyć się może i teraz. W tych kilku czy kilkunastu czasopismach, które się ukazują koło nas, spotykają się nieraz i nawet nierzadko utworki poetyczne wartości istotnéj, i otrzymujemy nawet jeżeli nie zbiory, to zbiorki i oddzielnych poezyi. Do takich należą właśnie i te których napisy przywiedliśmy i powiemy o każdym słów kilka.

Zbiór pod napisem: *Odgłosy z gór* jest pięknym lubo nieobszernym podarunkiem naszéj poczyi. Zbiorek ten już samym napisem uprzedza o poetyczności swéj treści. Jest to opis tych wrażeń, (wrażeń zewnętrznych i wrażeń wewnętrznych), które uczuwał autor zwiedzając góry Karpackie. Przyroda gór jest, jak wiadomo, malowną, zbiór to i wyjątkowych widoków i zbiór kontrastów: tam słońce człowieka bliższe, wody bystrzejsze, wiatry silniejsze, obok wyniosłości przepaście, obok zieleni śniegi i t. p., tu więc żywiéj zadawalnia się oko, żywiéj uderza serce, myśl głębiéj myśli. Z takich też właśnie pierwiastków powstała i złożyła się treść obecnych *Odgłosów*. Odgłosy te są to fantazye krótkie, przez różne miejscowoście gór, lub różne pory czasu przy zwiedzaniu gór natchnięte. Fantazyj tych jest 30 a każda nosi napis od téj miejscowości lub czasu, które były źródłem natchnienia jéj. Są tu więc między innemi fantazye: *Z rana*, *Na łące*, *W lesie*, *W Zakopanem*, *U Jaszczurowie*, *Na Gubałowce*, *Małołąka*, *Kalatówka*, *Jaworzynka* i t. p. Każda zaś z takich fantazyj ma za przedmiot najprzód pewien obrazek, a następnie pewną myśl która była natchniętą tym obrazkiem; myśl ta bywa tu raz *spekulacyą*, jak np. w fantazyi *Kościelisko*, gdy autor po okazaniu oryginalnéj i uroczystéj natury tego miejsca kładzie w końcu to zapytanie tak stare ale zarazem i tak zawsze nowe: jaka jest przyczyna bytu natury? jaka jéj trwałość?— już znowu *moralem*, np. gdy w fantazyi mającéj napis *W niepogodę* po określeniu jak w czasie burzy sierota straciła owieczkę, biédna wdowa rozesłane płótna, a matka zamożna syna, autor zwraca w końcu uwagę: iż z woli niebios w ten sposób najzamożniejsza najwięcéj ucierpiała.—Odgłosy słowem są to obrazki, już opisowo-spekulacyjne, już opisowo moralne.

Taka treść jest téż odzianą w szatę, która wcale nie jest próżną poetyczności. Od początku do końca zbiorku, nie spotka tu nas nigdzie jak myśl trywialna tak i tok trywialny. I owszem, rzec można, że te odgłosy z gór jest to muzyka z gór, taka tu rozmaitość nuty i bogactwo harmonii w rytmach fantazyi.

Czy jednak wpływ i wrażenie tych kartek będą tegoż znaczenia jak te ich pierwiastki? czy te odgłosy z gór znajdą odgłos silny i stały w sercach słuchaczy? Nie wiemy. I w sztuce jak we wszystkiém wyrokuje dopiero czas („kriterium *następstw*"). Co do nas pozwolimy sobie zrobić uwagę, iż mamy niejaką wątpliwość co do téj trwałości.

Jest przymiot którym zwykli nieraz gardzić poeci, zwłaszcza młodzi, mając go za podrzędny, a który jednak uważać można był i jest zawsze przymiotem poetów 1-go rzędu we wszystkich czasach

i krajach, a tym jest: *ścisłość loiczna*. Otóż na przymiot ten, zdaje się nam iż nieraz za nazbyt z góry spogląda autor Odgłosów. W szczegółach drobnych produkcyi, w wyrażeniach i porównaniach nieraz nas spotykają tu takie, iż w nich cechy jednéj klassy utworów, przypisywane są cechom drugiéj klassy utworów, jak to np. „niebo szumi jak *liść*" str. 33, „wicher *bladolicy*," *str. 67* „*struchlałe rzesze* gór" *str. 41* i t. p., a porównania takie muszą nas razić loicznie. W fantazyi znowu np. *Małołąka*, autor określiwszy jak potok z czarnych przerażających jarów wychodzi na łąkę rozkoszną i tu odbija tak pięknie białe obłoki i złote słońce,

Iż się tobie zdaje że anieli,
Srebrne puchy pławią w téj kąpieli
Płynącego złota;

obraz ten kończy porównaniem, iż właśnie jak ten potok tak i kruszec złoty zostaje najprzód brudny w czarnych górach;

... lecz gdy będzie
Wzięty ztamtąd w świat—*straszliwe* wszędzie
Szerzy *spustoszenie.*

Jakież jest podobieństwo między obrazami *srebrne puchy* oraz *straszliwe spustoszenie?* wnioski loiczne wyraźnie tu skrzyżowane zostały.—Takich wprawdzie nieloiczności jawnych jest nader mało w Odgłosach, należą do wyjątków; lecz do podobnéj kategoryi należy to, iż w większéj części fantazyi znajdujemy albo tylko wnioski dwuznaczne albo brak wniosków, że słowem słabą stroną fantazyi tych uważanych jako oddzielne całostki jest *wnioskowanie.*

Weźmy tu dla przykładu parę z tych, które zkądinąd należą do najpoetyczniejszych, jak np. fantazye: *U Zawratu*, oraz *Na Łące.*

Przedmiotem fantazyi u *Zawratu* jest kreślenie przez poetę obrazu gór z tego miejsca, oraz milczenia w górach. Tu nad nim czyli przed nim góry, na czołach których śnieg;—pod nim cedry i dołem płynący strumień, który odbija szafir i słońce,—śród téj natury kontrastów wzniosłych, malownych, grobowa cisza;—poeta zwraca mowę do cedru, do orłów: te go zbywają sucho, i wszędzie cisza.—Piękności i malowniczości jak obrazom tak słowom, i téj fantazyi jak innych nie może zaprzeczyć;—oto jest w swéj całości:

W krąg granitowe stojąc olbrzymy
Milczącą zgrają,
Na barkach nagich śród wiecznéj zimy
Niebo dźwigają.
Po wodociągach z brył lodowiska
Dętych w arkady.
W martwe się sople krusząc przełyska
Wodospad blady.

Aż się w kotlinie szklannemi szyby
W śpiący staw zmieni,
Mchy tam zakrzepłe udają niby
Życie zieleni.
W tém dreszczu państwie, śnieg mi na czoło
Płonące pruszy;
Dumam, prócz mnie tu nigdzie w około
Żyjącéj duszy!
Orzeł się tylko na wichrach waży
W przestrzeni sinéj,
I cedr gdzieś w dole, król, pośród straży
Kosodrzewiny.
Patrzę—u stóp mych w głębokiéj dali,
Między parowy,
Gra sobie w słońca promiennéj fali
Płat szafirowy.

— Cedrze! czy nieba strop się tam chyli
Z gór zawieruchą?
A on mi na to:— Nie wiem. W téj chwili
Dumałem głucho.—
— Orle! czy wiosna zbiegła tam, czyli
Snów rajskich gońce?—
A on mi na to:—Nie wiem. W téj chwili
Patrzałem w słońce.—
I dłużéj, głos w te *czczości grobowe* (?)
Słać, *próżna praca!*
Echo mi tylko własną mą mowę
Grzmiąc, nazad wraca.

Celem wewnętrznym fantazyi téj, powtórzmy, było opisanie milczenia natury,—zewnętrznym oryginalnéj jéj malowności. Treść podobna przypomina nam niektóre z *Sonetów Krymskich* Mickiewicza (których przedmiotem była także podobna opisowość i które były może i bezwiednie prototypem niektórych kreśleń autora). Obraz milczenia jest właśnie treścią 1-go sonetu p. n. *Stepy Akermańskie*. Autor Sonetów określiwszy tu z właściwą sobie poetycznością tę wielką ciszę, śród któréj słychać było „jak się kołysze motyl," „jak się prześlizga wąż," mówi kończąc, iż cisza była taka: iż mógłby usłyszeć głos o mil kilkaset ze stron które opuścił, ale dodaje „jedźmy, *nikt mnie nie przywołuje*." Tu ten opis cichości łączy się niespodzianie z człowiekiem, z historyą serca, uczucia, i całemu sonetowi nadaje tak zwaną, ostrość:—ostrości fantazyi którą widzieliśmy, nie nadają owe wnioskowe jéj słowa *próżna praca* czytelnik bowiem nie rozumie dlaczego autor *pracował* nad zniesieniem cichości i dlaczego użala się na tę cichość, któréj sam szukał. Kreślenie w téj fantazyi wysokości i głębokości wznosi tu autor pierwiastkiem dramatycznym, t. j. przez zapytania, kreśle-

nia takie dzieją się też w podobny sposób w Sonetach przez rozmowę poety (*Pielgrzyma*) z *Mirzą* miejscowym, (w Sonecie np. XV Mirza ostrzega Pielgrzyma aby nie patrzył w przepaść „bo oko i pojęcie lecąc bez dna mogą go i samego pociągnąć," (na co Pielgrzym „Mirzo! a ja spojrzałem" etc.). W fantazyi obecnéj w braku ludzi poeta zapytuje orła i cedru, odpowiedzi ich niczego z obrazu nie objaśniają, gdy zaś przytém orły i cedry jak wiadomo nie rozmawiają, skutek więc téj figuryczności jest tylko ten, iż czytelnik wątpić musi w prawdę i reszty opisu.

Fantazya położona obok *Na Łące* jest pewnym kontrastem z poprzednią, i tu jest sam poeta w obec natury, ale tu już nie on ale natura go zaczepia. Widzi on tu lecący obłok a ten woła do niego: „powierz mi loty swéj myśli, skąpię je w niebie i znowu ci je wrócę." Zawiał wicher i woła: „powierz mi swoje wspomnienia a jak powracająca wiosna ożywi mój oddech, tak ci je ożywione wrócę," spotyka go wreszcie potok; ten nie wraca jak obłok, jak wichry, woła więc do poety iżby weń wrzucił swe boleści, tęsknoty, smutki a uniesie je z sobą na wieczne czasy. Na te propozycye natury a propozycye tak przychylne (z równém prawem bowiem mógł proponować obłok wziąć z sobą smutki autora aby je *podnieść*, a potok wziąść radoście aby je *unieść*) aut. nie daje jednak wcale odpowiedzi. W fantazyi poprzedniéj orzeł i cedr dali wprawdzie odpowiedź suchą ale przynajmniéj jakąś, tu zaś nie mamy żadnéj i fantazya zostaje *bez wniosku*. W najlepszym razie fantazya ta mogłaby tylko stawać za dowód szczególnie szczęśliwego usposobienia duszy autora, które kazało mu losy wszelkich zjawisk natury na swoją korzyść tłumaczyć; lecz w tym razie jest to w sprzeczności z ogólném założeniem Odgłosów, iż miały być one tylko odbiciem tęsknoty duszy. Autor bowiem w fantazyi *Jaworzynka* tak mówi wyraźnie:

W tobiem ja jednéj ani *tęsknił*, ani
Wspomniał że kiedyś....

W taki sposób już silniéj, już słabiéj przebija się od czasu do czasu pewna ujemność w stronie wewnętrznéj Odgłosów,—lecz mówiąc to być może iż przesadzamy w wymaganiach. Utwór każdy być winien głównie sądzony ze stanowiska celu jaki sobie sam autor zakłada; a celem tym jak wyraża autor w zaczęciu było tylko zbliżenie i określenie drobnych faktów natury otaczającéj. Poezye te są przypisane „Smutnemu Autorowi Lirenki," a przypisanie to od takich się mianowicie słów i strofek zaczyna:

Co ma kwiatu woń, łzy rosy,
Co grzmi burzą, śniegiem pruszy,
Co mi szeptał w lasów głuszy
Anioł pieśni złotowłosy,

Pod obcemi gdzieś niebiosy:
Niech ci bracie mojéj duszy,
Zlane *w jeden śpiew pastuszy*
Brzmi w rodzinnych gór odgłosy.

Celem autora właściwym była więc tylko skromna przedmiotowa sielanka. W uwagach naszych wyszliśmy jednak z zasady:„ iż im więcéj komu jest dane, tém więcéj od niego wymagać jest powinnością,"—i dlatego więc obok przyczyn i cech *wrażenia* danych poczyj, szukaliśmy téż przyczyn i cech możliwéj *jego* trwałości.

Poezye p. Mirosława Dobrzańskiego „*Wstępne Akkordy*" są nader odmiennéj istoty. Jeżeli celem autora *Odgłosów z gór* według własnego jego zapowiedzenia było tylko pochwytywanie i kreślenie wrażeń natury zewnętrznéj, p. Dobrzański opowiada przeciwnie jasno o wyższych i określonych celach założonych swoim poezyom, do których te obecnie wydane liryki są dopiero *Wstępne akkordy*. Cele te jakież są?—Autor wychodzi tu jawnie w swych założeniach z tych zasad i celów, których podstawą są trzy główne chrzescijańskie cnoty: wiara, nadzieja i miłość, a mianowicie: z *nadziei* iż kiedyś pośród ludzkości całéj zamieszka *miłość*, i z *wiary*, iż najlepszą ku temu drogą jest droga chrześcijańska. Są to zapewne piękne i wypróbowanéj już żywotności cele. Celom takim czyliż odpowiedziało tu jednak i wykonanie?

Zdaniem naszém jeżeli określony cel w obecnych poczyach jest w odniesieniu do poprzednich o stopień wyższy, wykonanie czyli poetyczność w utworach tych jest o stopień niższą.

Przez poczyą w jéj znaczeniu najprostszém rozumiemy utwór czegoś nowego (grec. *pojesis*, utwór), więc czyli to w stronie zewnętrznéj czy wewnętrznéj danéj kompozycyi pewną *nowość*.

Pod względem *wewnętrznym* ów cel z którego wychodzi autor akkordów jest jednym z tych właśnie, który odznaczył nowością i dał wybitny charakter ostatniéj epoce naszéj poezyi;—lecz już sama ta okoliczność, ten fakt, że go uprawiało u nas i tyle i takiéj świetności piór, sprawia: iż nie łatwo jest być nowym, więc poetycznym w takim zawodzie; pod względem *zewnętrznym* rytmy autora są wprawdzie gładkie i wdzięczne, ale z wyjątkiem tych miejsc które są prawie literalném przeniesieniem ze wzorów (jako z poematu *Brzask* Krasińskiego, dramatu *Wieszcz kapłan* Słowackiego) i kilku własnych, w toku i wyrażeniach nie widzimy tu w ogóle nigdzie szczególnéj nowości.

Poezye p. Dobrzańskiego co do swego rodzaju są wszystkie barwy lirycznéj. Zbiorek obecny obejmuje Liryk 18, wszystkie treści niedługiéj i po największéj części zwracające się do jakichś pobieżnych uczuć lub zdarzeń które spotykają każdego. Najobszerniejsze stosunkowie są *Świat i Życie* fragment, w którym autor opiewa to piękne zdanie: iż wsparcie drugiego

„To nie jałmużna, ni cień jałmużny,"

lecz cząstka obowiązku człowieka dla społeczności,—oraz *Z Księgi Pamiątek* powieść o młodo zmarłéj kochance. Do obszerniejszych następnie i poważniejszéj treści należą: *Prorocy*, *Dziewiczy Przybytek*, *Ideał* i *Do Muzyki*.

We wszystkich tych lirykach w różnych stopniach, różnych odcieniach jest pamięć ua ów spólny cel, o którym mówiliśmy i to jest ich stroną dodatnią. W dobrym celu lepiéj jest zapewne czynić chociażby coś, aniżeli nic, na obranéj raz dobrze drodze lepiéj jest dawać krok, a chociażby i kroczek, niżeli stać. Tu te kroki tém mniéj są próżne, iż jak rzekliśmy przyozdabia je wszędzie gładki i wdzięczny rytm.

Ale oprócz owego braku nowości który im odejmuje znaczenie poezyi wyższéj, dodajmy że zdaniem naszém jest tu niejednokrotnie skazą i sposób którym autor stara się podnieść do téj poezyi. Autor *Akkordów* czuje oczywiście dobrze co jest poezya, i usiłuje ją tworzyć, stawać się nowym; lecz w tych razach mniéj się nieraz troszczy o ścisłość prawdy i tworzy raczéj *przesadę* niż piękność wyższą. Dzieje się to równie w stronie zewnętrznéj jak i wewnętrznéj. Jakoż kiedy np. czytamy pośród wyrażeń: „Wiatr dął jak *trąba* skonu *tajemna*" „Przyjaciel... *wybiegł jak burza!* wyrażeń takich nie możemy uznać za piękność, jakoż bowiem *trąba* może być tajemną? burzą zowiemy to co na nas nachodzi, nie co od nas ucieka. Przesady w stronie wewnętrznéj najpiękniejszym téż miejscom jego poezyi psują effekt.

Tak np. w Liryce *Przybytek Dziewiczy*, autor określa komnatę dziewicy, w któréj na ścianie obraz N. Panny z lampką, na oknie kwiaty, na stoliku poezye, w jéj duszy myśl idealna, i ten obraz tak kończy:

O! jeśliby na tym progu
Zbrodzień stanął, wrazby czysty,
Święty wyszedł—wiekuisty
Ślub poprawy czyniąc Bogu.
Tuby nawet *zimne bryły*
Popod ciepłem uczuć tchnienia,
Wnet się w ciche rozrzewnienia
Łzy zmieniły.

Czytelnik zaczyna już wierzyć iż zbrodniarz stanąwszy na tym progu stałby się świętym,—lecz widząc iż i kwiaty i ciepłe ściany próżne są łez, wątpić musi dlaczegoby je miały ukazać *zimne bryły*, i effekt musi się kończyć sceptycznie.

W wierszu *Z księgi pamiątek* poświęconym pamięci młodo zmarłéj kochanki, którą autor poczytuje za wieczne źródło swych natchnień, przy końcu między innemi mówi:

Ja po jéj grobie stąpam tak trwożnie,
Z taką miłością, tak pełen cześci,
Że bywa, skoro z tamtego świata
W poselstwie czasem anioł przelata,
To mi *zazdrości* takiéj boleści.

Jest to pięknie ale tylko napozór,—cóż to bowiem za anioł który zazdrości? i co za chwała kochance, iż boleść po niéj ma taką wysoką słodycz?

Takie wprawdzie zapominania się i zboczenia są może małe, lecz te małe prowadzą stopniowie do zapomnień się, zboczeń wyższych, i wreszcie do najwyższych. Autor np. który tak jest wszędzie chrześcijańskim, w jednéj z swych liryk końcowych p. n. *Ideał*, dochodzi do wniosku czyli do wykładu: iż jak Bóg stworzył człowieka, tak człowiek nawzajem może tworzyć Boga t. j. *Ideał*:

„Oto (mówi) człowiek twórcą Boga,
Człowiek twórcą Ideału."

Taka allegoryczność (jeżeli to jest allegoryczność) zmienia w końcu znaczenie znanych wyrazów, cały szyk pojęć, i w Liryce obecnéj w najpiękniejszym może ustępie śród zbiorku, którym jest zakończenie téj liryki, kazi dźwiękiem fałszywym. Zakończenie to tak bowiem brzmi:

O wy wszyscy! którzy po to
Zstępujecie na tę ziemię,
By pobratać świat ten z cnotą,
By uświęcić ludzkie plemie;
Wy świetlani! wy przeczyści!
Twórcy Bogów, (?) wy *Anieli!*
(więc i Anioł twórcą Boga? czyimże będzie aniołem?)
Niech myśl wasza wciąż się iści,
Zanim ludzkość w Bóstwo *wcieli.*
(chyba bóstwo w ludzkość?).

Chcemy wierzyć iż te *Akkordy Wstępne* zamieni z czasem autor na *postępne*, życzylibyśmy jednak aby wtedy i w tych fałszywych zadźwiękach nie zjawił się postęp.

Zbiorek wreszcie p. n. *Maryana Korwina Kochanowskiego Poezye ostatnie* jest znowu właściwego sobie znaczenia. Miał lat dopiero 20 młody autor tych pieśni, kiedy mu żywe ich pasmo przerwała śmierć. Pieśni te były to rzetelne poezye, i cały ten śpiew mógł się nazwać istotnie śpiewem łabędzia. Krwi autora nie była też obcą poezya, przodek jego (*Jan* z Czarnolesia) nazywanym był jak wiadomo lat więcéj 200 Księciem Krajowéj poezyi, i przodek ten nie mógłby się wcale powstydzić swego potomka.

Poezye młodego Maryana były to naturalnie pierwsze dopiéro kroki na drodze autorstwa, a jednak widne już w nich były od razu nietylko wewnętrznie ale i zewnętrznie podloty na większą skalę. W zbiorku obecnym prócz Fantazyi i Liryk krótkich mamy téż trzy dramata wierszem i powieść historyczną,—to na czém zwykli dopiero kończyć pocci, młody Maryan od tego zaczynał.

Liryk tu mamy 14-cie już krótszych już dłuższych, pisanych już w kraju, już na południu Europy;—dramata są następne: *Władysław Korwin* (Huniad) w 5-ciu aktach z dziejów węgierskich. *Disław* w 3-ch aktach z dziejów polskich pogańskich: *Adryan Broor* w kilku ustępach. Powieść jest z czasu wojen szwedzkich, jest prozą i bez napisu a tylko z godłem: „Ludzkości! przynoszę tobie koronę i nic; nic ze złota, korona z niczego: bierz co chcesz."

O charakterze ogólnym tych wszystkich utworów, to najprzód powiedzieć t. j. powtórzyć musimy, iż wszystkie one były dziełem lubo młodego poety, ale poety. W treści ich można widzieć nieraz młodzieństwo, niedoświadczenie, zapominanie się, ale od początku do końca nie znajdujemy tu nigdzie myśli powszedniéj, wyrażeń powszednich, i owszem, to co niegdyś Feliński rzekł o Trembeckim, iż nie on rymu, ale rym jego szukał, możnaby lekko zmieniając rzec: iż nie młodzieńczy ten autor poezyi ale jego szukała poezya, pisał on zwykle najprościéj, najnaturalniéj, bez wysilania się wcale na sztukę i myśl, a mimo to, w każdym jego obrazku, pomyśle, wierszu, widzimy poezyą.

Co do szczegółów, dodać to można, iż wszystkie te poezye mają kilka cech stale sobie właściwych, więc swoję oryginalność.

Pierwsza z tych cech jest ogólna barwa smutku, żałoby. Pocci nazywani są wieszczami i słusznie, bo natchnienie, ten dobrowolny dar jakiegoś wszechrządzącego ducha, musi, a przynajmniéj może mieścić, już w większym już w mniejszym stopniu przymiot wprzódwiedzy. Młody Maryan nie z powolnéj i świadomej już sobie w czasie śpiewania choroby (jak niegdyś młody śpiewak nasz *Roxolanek)* zakończył życie ale niespodzianie i nagle (z choroby *typhus*), a jednak te wszystkie liryki i poezye które zostawił są jakby w wigiliją śmierci pisane, myśl o porannym zgonie, grobach, żałobach, to jest przedmiot, to są co chwila prawie natrącające się pod jego pióro obrazy i myśli. Cecha ta nietylko jest barwą liryk jego dłuższych w obecnym zbiorze, z samego przedmiotu swego smutnych, jak np. *Pogrzeb poety*, *Wspomnienia grobów* i t. p. ale téż wciska się wszędzie i do jego liryk weselszych, do dramatów i powieści. Drugą i stałą cechą jest to: iż lubo młodemu śpiewakowi temu natchnienie dawały pierwsze najżywsze uczucia, i lubo ma w nich nie małą rolę cześć dla płci pięknéj, wszakże uczuciem przemagającém tę cześć równie w lirykach jak i w treści dramatów jest cześć dla *przyjaźni*, uczucia pojmowanego tu już ściśléj, już szerzéj, ale zawsze przyjaźni. Trzecią wreszcie (lubo może należało rzec najpierwszą) wszędzie obecną tu cechą jest silne uczucie pierwiastków składających żywioł poezyi, uczucie powodów na-

tchnień, śpiewania, i uważanie tego śpiewania za rodzaj męki koniecznéj.

Tę przyczynę i tę istotę poezyi wyraził np. dobrze autor w swéj liryce *Ideały*, któréj pozostał fragment. Przedmiot swój wykłada tu autor na swój sposób nie przez ideały spekulacyjne ale praktyczne, i zaczęcie tego fragmentu brzmi jak następuje:

Ideały.

W dzień biały ze świecą szło dziecię maleńkie,
Wiatr rozwiał włos bujny na skronie,
I kroplę dżdżu rzucił na białą sukienkę,
Krwi krople *zostawiał* na łonie.

„Gdzie bieżysz dziecino ze światłem w dzień biały,
I czegoto szukasz po świecie?
Wróć lepiéj do chaty chłopczyno mój mały."

Nie mogę, mój ojciec już mieszka na niebie
A matka umarła choć żywa,
Bóg wszystko co kocham powołał do siebie.

A miłość wlał wielką co piersi *rozżarza*,
I *świeci* jak próchno skieleta,
I dziwne pragnienie *żądz roje* mi stwarza:
Mój Panie! *ja jestem poeta!*

Wyśpiewaniu tego uczucia męki, którą tworzy konieczność śpiewu, konieczność tworzenia i razem trudność tworzenia, autor poświęcił nawet cały dramat, który ma napis *Adryan Boor* (Szkic historyczny).

Jak powieść tak i dramata znajdujące się tu w zbiorku wcale nie są bez zalet, i nawet licznych. W układzie ich spotka się nieraz zapewne nieprawdopodobność, jakieś zapomnienie się historyczne (np. gdy w powieści z początku XVIII-go wieku generał Karola Gustawa (Wittemberg) postawiony jest w wojsku Karola XII-go, gdy w dramacie *Korwin*, między godziną poranną i godziną wieczorną tegoż dnia (powrót Władysława do uśpionéj przez wróżkę Zofii) upływa wypadków na kilka tygodni, i t. p.), a jednak z drugiéj strony pojedyncze sceny tak w dramatach jak w powieści tak tu są wyrobione i rozwinięte, tak pełne nawet poezyi, iż rzecby można iż raczéj były kreślone ręką starego artysty, i nawet w samym układzie, i dramata tu umieszczone i powieść mają przymiot o który najczęściéj potykają się u nas i dramata i powieści, t. j. lekkość i naturalność mechanizmu;—akcya we wszystkich tych utworach zaraz od pierwszych słów rozwija się tu tak jasno, żywo i z interesem, a zarazem tak prosto i naturalnie, iż czytelnik nie postrzega się nawet że jednak są to ramy sztucznych węzłów. Zdaje się nam iż w kompozycyach tych przebija się tu wpływ dra-

matów autora Króla Ducha, Mazeppy i Balladyny, śmiało jednak zarazem rzec można, że ani Mazeppa, ani Balladyna nie powstydziłyby się żadnéj ze scen *Korwina* albo *Disława*.

Dramat *Adryan Broor* chociaż ma kilka ustępów, kilka interlokutorów, i nawet przeciąga się kilka lat, jest raczéj liryką jak dramatem, t. j. rozwinieniem samego charakteru *Adryana Broor*. Ten Adryan Broor (uczeń Rubensa) był to artysta który nie mogąc doścignąć swych ideałów takich i innych, wpadł w rozpacz i rozpił się; autor charakterystycznie odkreśla tu przejścia téj duszy i pięknéj i razem upadłéj, kiedy np. w końcu zostając już pod wrażeniem sztucznego humoru i sądząc że się stał twórcą arcydzieł woła zrazu ohydnie pijano:

...gorzałki jeszcze!
A nowy obraz myślą wypieszczę!

po chwili zaś, gdy wróciła przytomność, z uczuciem i rozżaleniem:

Już się nie wyrwiesz ty myśli złota
W anielskiéj szacie cudu spowita,
Pokrytaś warstwą ziemskiego błota,
A z błota żaden kwiat nie wykwita!

Opowiedziana tu w zaczęciu dramatu historya uczuć Adryana, staje się mianowicie dla nas zajmującą przez to, iż jest jakby objaśnieniem tego własnego uczucia albo przeczucia autora, iż mu nie będzie dano w żadnym utworze zrównać z tą skalą doskonałości o jakiéj marzył; artysta pocieszał tu siebie tém, iż to jest niepodobna, iż natchnienie jest to duch Boży, a gdyby utwór dorównał swemu źródłu, podbiłby ziemię, ale człowiek przestałby być tylko narzędziem a więc człowiekiem.

„Jam prosił (Ducha Stwórcę, woła tu Adryan) o natchnienie,
czyż mi brak natchnienia?
Ono piersi rozrywa, mózg przewraca w głowie;
Serce dziwnym urokiem chwały opromienia,
A oddać go nie mogę w czynie ani słowie!
Ono śpi w głębi piersi!.. ztąd, ztąd się wyrywa,
A gdy chwytam za pędzel, chcę wylać na płótno,
Te postacie co tu śpią (*pokazuje na serce*), myśl co tu
spoczywa,
Jakaś spaczona, dziwna, wygląda tak smutno
Jak nagi, suchy skielet...
(*Kładzie rękę na jeden obraz*)
O! gdzież twoje ciało?
Gdzie wy duchy pieszczone wyobraźni mojéj?
W drodze z piersi na płótno wszystko z was zleciało.
. . . . . .

A! gdybym mógł was dobyć z piersi nieskalane...
Gdybym mógł was tak czarem zatrzymać na płótnie...
Tobym pokruszył pędzel jak śpiewak swą lutnię
I umarł.. bo już więcéj nie umiałbym zgrzeszyć!

Pocoś mię stworzył Panie, kiedy duch mój cały
Obdarzony wielkością, chryzmem namaszczony,
Zamknąłeś w piersi tylko...
Gdyby z piersi progu
Ten duch wylał się na świat, światyby zadrżały,
I człowiek, proch, nicestwo, byłby równy Bogu.
. . . . . .
Czemu wlałeś go w piersi?.. gdzie jak serce w dzwonie
Uderza wielkim głosem—pierś mu odpowiada,
Bo pusta, echo tętni,
A téj dzwonu skorupy przebić nie jest w stanie.

Ta rozpacz niemożności doścignienia ideałów, wewnętrznie,—przyjaźń nad miłość, przedmiotowie czyli zewnętrznie,—z przeczucia blizkiéj śmierci kolor żałoby—a wszędzie poezya pióra,—to więc są cechy stałe wszystkich utworów młodo zmarłego Maryana Kochanowskiego.

Powiedzieliśmy, iż jedną z cech tych poezyj jest przyjaźń nad miłość, na cechę tę tak oryginalną w młodym śpiewaku, jeszcze raz w zakończeniu zwrócimy bliższą uwagę; przenoszenie to jest nietylko w teoryi ale dobitne i stałe w treści każdego prawie, i mniejszego i większego utworu.

W dramatach np. *Korwin* i *Disław* pierwiastek erotyczny ma swoję zwykłą rolę i znaczenie, ale pierwiastek przyjaźni przenosi go i staje się następnie źródłem wszystkich głównych katastrof.

W dramacie *Korwin*, przyjaciel *Franko* przebiera się w suknie Korwina, aby na miejscu jego być straconym w skutek wyroku, w dramacie *Disław* podobnie wstępuje na stos za Disława jego przyjaciel *Marsz*; w liryce *Wspomnienia grobów* jest powieść o młodzieńcu, który skonał dowiedziawszy się iż mu się okazał niewdzięcznym jego przyjaciel (1) i t. p. Nie mamy tu miejsca, dla bliższego zapoznania czytelnika z rodzajem talentu autora, na przytaczanie scen z jego dramatów albo ustępów z powieści, przytoczymy więc chociaż jeszcze małą piosnkę. W piosenkach wiejskich autor tak umiał być wiejskim jak w dramatach mówiąc o sprawach rycerskich, rycerskim. Piosnka poniższa jest zakończeniem fantazyi *Pogrzeb poety:*

Wita pola kochane
Słowik piosenką,
Wita chaty drewniane
Dziadek lirenką.

(1) Wydawca S. K. (jeżeli się nie mylimy matka autora), nadmienia iż powodem napisania téj liryki był rzeczywisty wypadek z życia poety.

Wędrowali z daleka
Starzy oboje;
Słowik liczy półwieka,
Dziadek tyle dwoje.

Na zielonym jaworze
Słowiczek śpiewa,
Dobrześ trafił nieboże:
To twoja dziewa.

Ona ciebie czekała
W gaiku,
Bo ci serce oddała
Słowiku.

A dziad? szuka kochanki,
Ale znaleźć nie może;
Na progu swéj lepianki
Z lutnią skonał nieboże.

W duchu poezyj autora, przez tę kochankę rozumieć tu oczywiście należy przyjaciela albo przyjaciół.

Czy te młode poezye Maryana zyskają i zyskiwać będą stałe, spółczucia? upodobania? czy ich wydania, lub w całości lub w części powtarzać się będą? nie wiemy, lecz w razie nawet gdyby uznane być miały tylko jako ćwiczenia, ćwiczenia te musiałyby przybrać nazwisko ćwiczeń genjalnych. Rok jeszcze a młody ich autor byłby to rzeczywisty (że się wyrazimy przez jasne porównanie) *Justyn Körner* naszéj poezyi.

X.

Rys historyi włościan w Polsce, przez J. L. Goremykina. (Petersburg 1869.)

Historya stanu rolniczego w Polsce, niezmiernie ważném byłaby dziełem, wyświecającém całą przeszłość jéj dziejową, jéj prawodawstwo i cały ustrój społeczny. Tymczasem w całém piśmiennictwie naszém, oprócz jednego znanego dotąd dzieła Ks. Lubomirskiegó (*Rolnicza ludność w Polsce. Warszawa 1862.*) nie posiadamy nic więcéj w tym zakresie, wyjąwszy chyba cząstkowe studya Czackiego, Lelewela, Maciejowskiego, Bandtkiego i kilku innych pisarzy naszych; te atoli, są to dopiéro prace przygotowawcze, systematycznego zaś i dokładnego zdziejowania stanowiska, jakie zajmowała nasza ludność rolnicza w obec praw polskich, w ciągu

całéj historycznéj przeszłości naszego narodu, dotąd jeszcze nie posiadamy.

Z wielką zatém ciekawością wzięliśmy do ręki dzieło rossyjskiego autora, obejmujące przedmiot tak dla nas ważny, a mimo to dotąd tak mało znany, i podajemy tu o niém kilka uwag i spostrzeżeń.

W pierwszym zaraz rozdziale, autor rozpatruje pochodzenie włościan w Polsce i wytworzenie się nierówności stanów. „Pierwotnie w Polsce—powiada pan G.—zjawienie się wyższego stanu było skutkiem nierówności sił i usposobień. Ludzie którzy dzięki swym przymiotom, lub w skutek innych jakich przyczyn, zdołali zagarnąć bogactwa i znaczniejszą od innych własność ziemską, rychło wyróżnili się od swoich towarzyszy, tworząc odrębną klassę, która rozmaite potém przybrała nazwy. A jednocześnie z ukształtowaniem się téj klassy, objawiać się poczęła w niektórych jéj członkach dążność do władania nad słabszémi i uboższémi sąsiadami i w skutek tego w późniejszych czasach wynikły spory między niémi i gminą."

W dalszym ciągu swojéj pracy, pan G. upatruje ogromnie silny wpływ żywiołu germańskiego, na rozwój społecznego ustroju Polski i wpływowi temu przypisuje:

1) Podział narodu polskiego na dwie klassy, a to wprowadzając obce słowiańskim gminom pojęcia o podległości klass niższych klassom wyższym, i

2) Wprowadzenie do Polski chrześcianizmu w formie rzymskiego katolicyzmu.

Co się tyczy owéj siły wpływów germańskich na Polskę, zgadzamy się z autorem, ale przypisać im nie możemy wytworzenia nierówności stanów, gdyż od chwili gdy ów wpływ niemiecki oddziaływać zaczyna na Polskę, zastaje on już podział stanów, który jedynie tylko z wewnętrznych i lokalnych powstał przyczyn. Dalszy rozwój hierarchii narodowéj i ukształtowanie jéj w formach mniéj więcéj zachodniego feudalizmu, bez wątpienia zasadzał się na wzorach niemieckich, piérwotny jednakże objaw różnicy stanów, był czysto narodowym. Co więcéj, germanizm wprowadzając do Polski, cokolwiek późniéj prawo Magdeburskie i tworząc pośredni stan trzeci, nie wpływał bynajmniéj w ten sposób na powiększenie powagi szlachty; przeciwnie nawet, określał jéj prawa i ścieśniał w pewnym zakresie. Że zaś zarzuca Polsce Chrześcianizm w formie rzymskiego katolicyzmu, to przyczyną tego jest to, że ów katolicyzm przynosi Polsce cywilizacyę i oświatę, których Wschód w owéj epoce dać jéj nie mógł i nadto, co najważniejsza, ratuje Polskę od zaborów niemieckich, które dokonywały się pod pozorem rozszerzenia wiary Chrystusowéj.

W następnych rozdziałach, autor rozpatruje stosunek włodo władz świeckich i duchownych pod względem administra-
ścian i ekonomicznym, oraz podatki i powinności jakie wypłacali
cyjnym biali w epoce Piastów; ustęp zaś o podatkach na korzyść
lub odra twa i o dziesięcinach kościelnych opracowany jest po-
duchowień

dług Czackiego i Miączyńskiego (1), poczém wielce zajmujący następuje rozdział o stosunkach włościan i szlachty.

Pod względem gospodarskim, włościanie dzielili się wówczas na następujące klassy:

1) *Rolnicy*, nazywani także *kmieciami* (*cmethones*), mający zwykle 1 łan ziemi (ówczesny łan równa się 60 dzisiejszym morgom), dwie pary wołów lub koni i wszystkie przybory gospodarcze.

2) *Półrolnicy*, t. j. mający nadział gruntu o połowę mniejszy od piérwszych.

3) *Ogrodnicy* (*hortulani*) lub tak zwani *ćwierćrolnicy*, mający 12—14 morgów ziemi.

4) *Chałupnicy* (*tabernatores*), mający 5—8 morgów ziemi i wreszcie

5) *Komornicy*, którzy ziemi nie mieli, ale żyli z zarobków (2).

Taki podział włościan niezmiernie jest dawny. Długosz już cytuje wszystkie te klassy rolników.

Co się zaś tyczy wszelkiego rodzaju podatków i powinności włościan, to pan G. w następny sposob je określa: w posiadłościach królewskich podatki większe były od podatków lub powinności odrabianych na korzyść starostów lub dzierżawców; w majątkach znów szlacheckich podatki na korzyść właściciela daleko były większe od podatków rządowych; w majątkach wreszcie duchowieństwa oba te rodzaje podatków w jednakim były stosunku.

Określić jednakże dokładnie jakie były wszystkie te powinności i podatki, nie sposób jest prawie — powiada autor,— gdyż zależały one bądź od zwyczajów z dawna przyjętych a różnych w rozmaitych miejscowościach, bądź téż wyłącznie tylko od właściciela. Dla tego więc jednéj stałéj normy, chociażby przybliżonéj tylko, a wedle któréj uregulowaneby były wszystkie czynsze, podatki i powinności nie znajdujemy w owéj epoce, poczém autor przytacza kilkanaście przywilejów z lat 1265—1369, dotyczących tego przedmiotu.

W następującym rozdziale znajdujemy rozbiór praw polskich cywilnych i kościelnych, tych szczególniéj, które włościan dotyczyły, oraz Statutu wiślickiego, przyczém powiada autor: w jurydycznym bycie Polski złączyły się trzy rodzaje różnych między sobą praw:

1) Prawo narodowe polskie, prawo ziemskie, którego zasady były słowiańskie.

2) Prawo rzymskie i kanoniczne, przyniesione do Polski przez rzymskie duchowieństwo razem z katolicyzmem, i

(1) *Czacki*. O dziesięcinach (*Warszawa 1801*).
Miączyński. Rozprawa o dziesięcinach (*Kraków 1816*).

(2) Tych komorników nazywano późniéj w niektórych okolicach na Rusi *podsusidkami*. Bliższe ich określenie podaliśmy w zeszycie lipcowym Biblioteki. Ich to może (jeśli nie ogrodników), Długosz nazywa *tabernatores*, *agros non habentes*.

3) Prawo niemieckie, przyniesione przez kolonistów osiadających tłumnie w miastach polskich. W epoce Piastów wszystkie te trzy rodzaje praw wpływały już na społeczny i państwowy układ w Polsce.“

Zupełnie trafne jest to określenie części składowych ówczesnego prawodawstwa polskiego.

Następnie autor wykazuje dalszy rozwój wszechwładzy szlachty, i zależne wskutek tego stanowisko władzy królewskiéj, oraz położenie stanu miejskiego i przyczyny jego upadku (podług dzieła *Surowieckiego: O upadku przemysłu i miast polskich*).

Téj to wszechwładzy szlachty, która sama dla siebie prawa stanowiła, słusznie przypisuje autor w dalszym ciągu swojéj pracy, upadek ludu i jego materyalnego bytu. W ciągu XV i na początku XVI wieku, wszystkie prawa przyznane włościanom przez Statut wiślicki ulegają ciągłym ograniczeniom, aż wreszcie zmienione zostają innémi wręcz tamtym przeciwnemi.

Te ograniczania dotychczasowych praw włościan, dotykają głównie prawa przesiedlania się, które pierwéj im służyło, prawa regulującego ich warunkową posiadłość ziemską i wreszcie ich praw sądowniczych.

W statucie Władysława Jagiełły (z 1420 r.) znajdujemy już ślady poddania włościan juryzdykcyi panów ich. Co się zaś tyczy włościan nie kmieci, których swoboda pierwéj już znacznie ograniczoną była, to wspomniany statut uważa ich za przywiązanych do ziemi, zabraniając im opuszczać swych panów, na przyjmujących zaś ich i ukrywających, surowe wyznacza kary.

Do XV wieku włościanie władają ziemią jakby swoją własnością. A chociaż włościan właścicieli nie było, to również nie było prawnych przeszkód aby takowemi stać się mogli. Co się zaś dotyczy ziem szlacheckich, które im rozdane były, to prawo przyznawało im dziedziczność używalności onych. W wielu ówczesnych aktach, włościanie są nazywani *haeredes* i nikt nie miał prawa wygnać ich z téj ziemi, którą uprawiali, jeśli tylko wykonywali swe powinności. Włościanin zaś miał pełne prawo opuścić ją jeśli wypełnił rożne zobowiązania.

Od XV znów wieku, wszystkie te prawa tracą już włościanie a przywiązani do ziemi, ulegać zaczynają wyłącznéj tylko juryzdykcyi swych panów.

W XVI wieku zaciera się już wszelka różnica między swobodnymi i nie swobodnymi rolnikami. Swobodnych *kmieci* nazwa tylko została, a stawszy się *glebae adscripti*, stają się *poddanymi* swych panów. Statut 1543 roku daje szlachcie prawo rozporządzać się *swemi chłopami* jakby swoją własnością, sprzedawać ich razem z ziemią lub oddzielnie, tak całémi rodzinami, jak też i pojedyńczo; jednocześnie czynsze i podatki włościan zamieniają się na robociznę. Wprowadzenie takich ustaw nie mogło nie wpłynąć na materyalny byt ludu, który odtąd wedle świadectw współczesnych, stracił zupełnie dawną swą zamożność.

Dalsze rozdziały obejmują epokę od końca XVI wieku aż do ostatnich lat XVIII stulecia. Jestto najsmutniejsza epoka dla ludności rolniczéj w Polsce, która, jak powiada pan G., cały ten czas w zupełném była niewolnictwie. W ciągu tych dwóch wieków włościanie znoszą cały ciężar niewoli, a częściowe i chwilowe bunty w różnych miejscowościach, wywoływane są przez nadużycia właścicieli lub ich dzierżawców i starostów, to jednakże nie miały nigdy ogólnego charakteru.

Następnie w krótkich także słowach wspomina o usiłowaniach niektórych panów polskich ulepszenia stanu włościan, przytacza ustawy ks. Jabłonowskiéj (z 1761 r.) dla jéj poddanych, projekta Andrzeja Zamoyskiego, kanclerza koronnego (na sejmach 1778 i 1780) i tym podobne objawy dążące już do reform na korzyść ludu.

W ostatnich rozdziałach autor kolejno przechodzi bliższą już epokę, rozpatruje wpływ jaki wywarło na ludność rolniczą wprowadzenie statutu Napoleona; daléj opisuje reformy 1846 r., oczynszowanie 1858 r. i wreszcie ostateczne uwłaszczenie włościan.

Zawadyńce, 31 lipca 1870 r.

K. P.

Dwa sonety Jana Kochanowskiego.

Dotąd we wszystkich prawie podręcznikach historyi literatury polskiéj (1) utrzymuje się mniemanie, że formę sonetu, powstałą, wykształconą i ulubioną we Włoszech, do literatury naszéj przeniósł wcześnie zmarły (1581 r.) poeta XVI wieku: *Mikołaj Sęp Szarzyński.* Tymczasem p. Aleksander Tyszyński w wykładach swoich historyi literatury w b. Szkole Głównéj wskazał już jedną pieśń (do *Stanisława*) w zbiorze dzieł Jana Kochanowskiego, która ma również formę sonetu. Czytając raz jeszcze pieśni J. Kochanowskiego znalazłem drugą takiéjże saméj budowy. Daty ich napisania niepodobna oznaczyć, bo obie odnoszą się do osób mało znanych i mówią o rzeczach, nie dających najmniejszego pola do jakichkolwiek domysłów. A ukazały się one w druku, jak prawie wszystkie zresztą *pieśni* J. Kochanowskiego, dopiéro w ogólnym zbiorze pism jego w 1585 a właściwie 1589, bo druk pieśni ciągnął się przez lat cztery z powodu rozmaitych zewnętrznych okoliczności. W każdym razie napisane one zostały przed rokiem 1584, bo wtedy Kochano-

(1) Ś. p. *J. Bartoszewicz*: str. 238 Hist. Lit. pols. (1861): „Sęp do naszéj literatury wprowadził sonety i lubo miał wzór przed sobą u Petrarki, nie naśladował go jednak, ale sam z siebie wydobywał serdeczne tony uczucia." *Adam Kuliczkowski* r. 1868. *Zarys dziejów literatury polskiéj* str. 87: „Formę *sonetu* wprowadził Szarzyński pierwszy do literatury polskiéj i przez długi czas, bo aż do Andrzeja Morsztyna, nie miał naśladowcy."

wski umarł i wyszły na widok publiczny wcześniéj, niż sonety Mikołaja Szarzyńskiego (1601 r.).

Musimy więc zrobić wniosek, że w tym samym niemal czasie dwóch poetów naszych, samodzielnie i niezależnie uprawiało formę sonetu. Prędzéjby się można zgodzić na zdanie, że Jan Kochanowski który w poezyi stworzył formy, co dwa przeszło wieki przetrwały, pierwszy na nasz grunt przeszczepił dźwięczne zwrotki włoskie, które kiedyś pod piórem Mickiewicza miały doścignąć największego szczytu swojego. Zauważyć jednak potrzeba, że co do długości wierszy, sonety Kochanowskiego jak niemniéj i Szarzyńskiego nie odpowiadają znanym nam powszechnie formom. Są one nie 13o-zgłoskowe, jak Petrarki i Mickiewicza, ale 11-o-zgłoskowe (1). Przytaczamy tu oba te sonety, jak również dla porównania i jeden Starzyńskiego.

I.

DO FRANCISZKA (Księga IV pieśń XXII.)

Ani Ulisses ani Jason młody,
Choć o nich siła starzy nabajali,
Tak wiele ziemie, snać nie objechali
Jak ty, który od tybrowéj wody

Szedłeś, Franciszku! przez różne narody
Aż tam, gdzie nigdy lata nie uznali
I ogniów palić ludzie nie przestali,
Prze mróz gwałtowny i prze wieczne lody.

Więc i w to nie wierz, aby w tej krainie
Medea jaka i Circe nie była,
Któraby ludzi obracała w świnie;

Tak się tu dobrze druga wyćwiczyła,
Żeby tę samę, co tak barzo słynie,
W niedźwiedzia Circę łatwie obróciła.

II.

DO STANISŁAWA. (Ks. IV p. XXXII.)

Nie przez pochlebstwo ani złote dary,
Jako te lata zwykły teraźniejsze,
Ale przez cnotę na miejsce ważniejsze
Godzisz Wapowski! jako zwyczaj stary.

(1) Wiersz 13-o-zgłoskowy nie jest jednak koniecznym. Są sonety 10-o a nawet 8-o-zgłoskowe.

Szczęśliwe czasy, kiedy giermek (1) szary
Był tak poczciwy, jako te dzisiejsze
Jedwabne bramy (2), coraz kosztowniejsze;
Wprawdzie-ć nie było kosztu na maszkary,

Ale był zawżdy koń na staniu rzeźwy,
Drzewo, tarcz pewna i pancerz na ścianie,
Szabla przy boku, sam pachołek trzeźwy

Nie szukał piérza: wyspał się na sianie, ...

A teraz sonet Szarzyńskiego, téj saméj zupełnie formy, co i pieśń do Stanisława:

SONET V, *Szarzyńskiego.*

I nie miłować ciężko i miłować:
Nędzna pociecha! gdy żądzą zwiedzione
Myśli cukrują nazbyt rzeczy one,
Które i zmieniać i muszą się psować.

Komu tak będzie dostatkiem smakować
Złoto, sceptr, sława, rozkosz i stworzone
Piękne oblicze.., by tém nasycone
I mógł miéć serce i trwóg się warować?

Miłość jest własny bieg życia naszego;
Ale z żywiołów utworzone ciało,
To chwaląc, co zna początku równego,

Zawodzi duszę, któréj wszystko mało,
Gdy ciebie, wiecznéj i prawéj piękności,
Saméj, nie widzi, celu swéj miłości.

Oprócz długością wiersza, niczém się zresztą wiersze te nie różnią pod względem formy zewnętrznéj od powszechnie przyjętych wzorów sonetu.

P. Ch.

(1) Siermięga. (2) Wyłogi.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Październik 1871 r. — Po świetném powodzeniu, jakiego doznało wydawnictwo zbioru całkowitego pism Józefa Korzeniowskiego, które prowadzi Redakcya *Kłosów*, odbijając obecnie 7500 egzemplarzy, J. Unger ogłosił prospekt na *poezye Ludwika Kondratowicza* znanego pod pseudonymem Władysława Syrokomli. Wydanie to ma być zupełne, na rzecz rodziny autora, w X tomach w 8-ce z portretem na stali. Redakcyą tego wydawnictwa objął Wincenty Korotyński, przyjaciel i towarzysz długoletni zmarłego poety. Wiadomo że księgarz poznański M. Jagielski, wydał przed kilką laty zbiór poezyj Syrokomli, jako zupełny prac jego, nie pytając o pozwolenie nawet pozostałéj wdowy i sierot. Przeciw takiéj pirateryi księgarskiéj, wymownie występował kilkakrotnie W. Korotyński. Kroki nawet jakie przedsiębrał, dla dochodzenia prawnego, okazały się daremne, gdyż prawo miejscowe, gdzie spełniono tę łupież, dozwala w ciągu lat dziesięciu po śmierci autora, na podejmowanie wydawnictwa prac już raz drukowanych. Szlachetny głos wszakże przyjaciela Syrokomli napróżno nie przebrzmiał: tak księgarze nasi, jak i publika, ze wstrętem się odwrócili od téj tandetnéj publikacyi, i nie wątpimy że obecne wydawnictwo, staraniem Korotyńskiego uzupełnione, gorąco popartém zostanie. W ostatnim tomie pomieszczone być mają pisma Kondratowicza prozą, odnoszące się do jego życiorysu, oraz rozległą jego korrespondencyą, o ile pewne światło na życie publiczne i prywatne autora rzucić może. Tu ujrzéć mamy pamiętnik osobisty poety, z którego tylko cząstka drukiem była ogłoszona. Cena prenumeracyjna za 10 tomów wynosi rsr. 7, z przesyłką pocztową rsr. 8. Prenumeratorowie Tygodnika Illustrowanego, mają tę cenę obniżoną na rsr. pięć. Publikacya ta w zeszytach zacznie wychodzić od 7 października b. r. Równocześnie ma się ukazać: „*Wydanie zbiorowe powieści J. I. Kraszewskiego*" na które ogłoszonym został już prospekt. We Lwowie pp. Rogosz, Piller, Gubrynowicz i Schmidt, wydawcy i księgarze, podjęli tę publikacyą, a księgarz warszawski Michał Glücksberg, połączył ją z wydawnictwami swémi *Bluszczu* i *Muzeum Sztuki europejskiéj*, obniżając dla swoich prenumeratorów, cenę zbiorowego wydania powieści J. I. Kraszewskiego. Wielokrotnie już była myśl podnoszona wydawnictwa ich zupełnego zbioru. Henryk Natanson księgarz, rozpoczął je nawet z illustracyami w formacie wielkiéj czwórki, ale po wydaniu kilku utworów, z niewiadomych nam przyczyn zaniechał tego zamiaru. Wydanie nowe zaczyna się od pierwszéj powieści w młodzieńczych latach naszego autora napisanéj: „*Świat i Poeta*" która mu dała chlubny rozgłos; po niéj pójdą:

„*Chata za wsią*", pierwszy raz drukowana w Bibliotece Warszawskiéj i inne. Publikacya także zeszytowa w ciągu roku ma wyjść od 18—20 tomów pierwotnéj edycyi.

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa tyle już mająca wziętości przez ciągłe dostarczanie dzieł we wszystkich gałęziach nauk i to na obszerniejszą skalę, a wydaniami własnemi zajmująca się użytecznie upowszechnianiem nauk ścisłych i literatury, obecnie podejmuje bardzo ważne i użyteczne przedsięwzięcie. W tych dniach księgarnia ta wydaje wszystkie komedye Aleksandra hr. Fredry (ojca). Jestto wydanie czwarte poprawione, w formacie 16-ki z wizerunkiem autora na stali rytym, z życiorysem przez L. Siemieńskiego skreślonym i to za cenę tak nizką, o jakiéj dotąd w księgarstwie nikt pomyśléć nie mógł. Egzemplarz bowiem kompletny z pięciu tomów złożony sprzedawać będzie za rs. 1 kop. 50 (złp. 10) czyli po kop 30 (złp. 2) za tom. Tom pierwszy obejmie komedye: Pan Geldhab, Cudzoziemczyzna, Damy i Huzary, Zrzędność i Przekora. Tom drugi: Maż i żona, List, Nowy don Kiszot, Pierwsza lepsza, Odludki i poeta. Tom trzeci: Przyjaciele, Gwałtu co się dzieje, Nikt mnie nie zna. Tom czwarty: Śluby Panieńskie, Pan Jowialski, Nocleg w Apeninach. Tom piąty: Ciotunia, Zemsta za mur graniczny, Dożywocie.

Jedyny to pisarz który jako autor dramatyczny, jako nasza własność istnieje w literaturze naszéj. Nie pożyczał natchnienia z utworów francuzkich i innych, nie tworzył książki z książek, nie zbierał upodobań i dowcipów salonowych. Chwytał życie nasze w szczęśliwém uniesieniu z całą prawdą i tworzył obrazy i sceny żywe. Silna Loika i znajomość głęboka ludzi, odznaczają Fredrę który humorem przypomina Paska, Benedykta Winnickiego i Wilkońskiego. A kiedy tylu dzisiejszych dorywczych pisarzy dramatycznych po motylowém życiu zniknie w niepamięci, utwory Fredry przejdą do przyszłości jako żywe rysy charakteru naszego.

Równocześnie taż księgarnia wydaje we dwoch tomach J. A. Fredry (syna) utwory dramatyczne, znane i nieznane na naszéj scenie.

— J. I. Kraszewski ogłosił prospekt na nowe a zupełne wydanie pism Kazimierza Brodzińskiego w Dreźnie. Jestto mozolna praca kilku lat ostatnich sędziwego F. S. Dmochowskiego, który pozostałe rękopisma po autorze *Wiesława* i professorze b. Uniwersytetu Warszawskiego, zebrał, starannie przepisał i ułożył w całość. Jako przyjaciel zgasłego Kazimierza Brodzińskiego i wielbiciel jego talentu i zasług, z całą gorliwą sumiennością wykonał swoje zadanie i uratował od zatraty prace jednego z najzasłużeńszych pisarzy naszych.

— Pismo miesięczne włoskie wychodzące we Florencyi: „*La Revista Europea*" (zeszyt lipcowy r. b.), wspominając o Bibliotece Warszawskiéj, przywodzi ważniejsze artykuły z zeszytu lipcowego 1871 naszego pisma, a między tymi wyszczególnia rozprawę A. Tyszyńskiego: „*Wiek Jana Kazimierza w głównych przedstawicach*

piśmiennych": przytém zwraca uwagę na podaną przez nasze pismo wiadomość, że w r. 1870 w saméj Warszawie wyszło 16 powieści oryginalnych a 24 tłumaczonych z różnych języków.

— Wiadomo że w roku 1829 Mickiewicz podróżował po Niemczech. Otóż w ciągu miesięcy lipca i sierpnia tegoż roku wieszcz nasz przebywał w Karlsbadzie. Na domie w którym on podówczas mieszkał a który dotąd egzystuje i nosi nazwę „zum pfeil" (pod strzałą) znajduje się tablica pamiątkowa z odpowiednim napisem. Prócz téj tablicy znajduje się u właściciela domu książka, w której zwiedzający dom wpisywać mogą swoje nazwiska i jak dotąd nie wiadomo z jakiéj przyczyny zaledwie wpisanych kilka. Album to rozpoczyna spisanie aktu założenia, nazwiska dawców i następujący wiersz Odyńca:

Mistrzu mój, przyjacielu! w lat młodzieńczych kwiecie,
Kochając cię i wielbiąc najwyżéj na świecie,
Tu się złączyłem z tobą po rozstaniu długiém.
Dziś jam stary, tyś w grobie; lecz w méj głębi ducha
Cześć i miłość ta sama i w nich mi otucha,
Że Bóg mię znów tam z tobą złączy w życiu drugiém.

Jest tam i drugi wiersz J. N. Jaskowskiego do A. hr. Przezdzieckiego który przytaczamy:

Na tych skałach, wśród tych wzgórzy
Spoczął orzeł w swéj podróży,
W jasne słońce wlepił oko
I uleciał gdzieś wysoko.
Tyś odszukał jego ślady,
Ty uchronił od zagłady
A mnie rzekłeś: podnieś ramię
I daj nam pieśń o Adamie.
Chwytam lutnię. Mnie się zdało,
Że w błękitach, że na niebie
Królu ptaków, ścignę ciebie.
I w méj piersi skołatanéj,
Czuję jakiś żar nieznany;
Już me oczy łzą brzemienne,
Już lat młodszych mary senne
Zmartwychwstają, wschodzą, rosną,
Jak na łące kwiaty wiosną,
Jak ongi—gdym z sobą szlochał,
Bolał, szalał, marzył, kochał.
Głucho jękły lutni strony,
Przebóg! widzę rozbudzony:
Że kto z orły chce pod nieba,
Temu orlich skrzydeł trzeba;
Mistrzu... żalu-ś mnie nabawił,
Żeś mi piór swych nie zostawił..

— Z drukarni Józefa Bergera nakładem autora, wyszły pod ogólnym nadpisem: „Studya nad literaturą Polską XVII i XVIII wieku z czasów panowania Stanisława Augusta“. Pierwsza monografia: *Hieronim Wespazyan Nieczuja z Kochowa Kochowski.* Przez Adama Rzążewskiego. Magistra nauk hist. filolog. b. Szkoły Głównéj Warszawskiéj. (w 8-ce str. 148).

— Gustaw Roszkowski Magister prawa i administracyi b. Szkoły Głównéj Warszawskiéj, Dr. filozofii, a obecnie Docent Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, wydał w drukarni S. Orgelbranda, rozprawę pod napisem: „Stanowisko szkoły historycznéj w nauce prawa“. (Warszawa 1871 r. w 8-ce str. 11).

— Jedna z najpiękniejszych powieści T. T. Jeża: *Uskoki*, która drukowaną była w czasopiśmie illustrowaném *Kłosy*, przetłumaczoną została na język rossyjski.

— Z drukarni J. Goldmana wyszło dziełko p. n.: *Jedwabnictwo nasze i obce.* Opisane przez Adolfa Boguckiego, członka rady nadzorczéj spółki jedwabniczéj w Warszawie, (w 12-ce str. 61. Warszawa 1871). Są to dwa odczyty, jakie miał p. Adolf Bogucki na rzecz Towarzystwa Dobroczynności, a przy nich praktycznie i zajmująco przedstawił, rozwijanie kokonów i przygotowanie przędzy jedwabników. Rzecz godna uwagi i jak największego upowszechnienia. Autor jasno i przekonywająco dowodzi niezbitemi cyframi, jakie bogactwo każdemu krajowi przynosi chów morwy i jedwabników, który może się u nas jak najpomyślniéj rozwijać, gdyż klimat jest po temu, potrzeba tylko zajęcia się tém szczerze, i dołożenia pracy, daleko lżejszéj od wielu innych zajęć. Gdyby odczyty te p. A. Boguckiego, i po innych miastach Królestwa, podobnie jak u nas w Warszawie, były połączone z praktycznem rozwijaniem przędzy jedwabniczéj, nie powątpiewamy, że zamiłowanie w tym przedmiocie, w niedługim przeciągu czasu, znacznieby się rozszerzyło i pozyskało niemałą liczbę zwolenników, szczególniéj pomiędzy naszemi niewiastami. Byłby to środek najlepszy propagandy rzeczy, dającéj pewną rękojmię godziwego a hojnego zarobku.

— W Wilnie, drukiem Józefa Zawadzkiego wyszło dzieło p. n.: „Dubissa, główna rzeka w dawném księstwie Żmujdzkiém, dziś w gubernii Kowieńskiéj, opisana przez J. B. z mappą téj rzeki.

— Wspominaliśmy w naszém piśmie, że Towarzystwo Naukowe krakowskie, ma być zamienione w *Akademią umiejętności.* Otrzymujemy obecnie bliższą wiadomość, że sprawa ta, niemałéj ulegnie zwłoce, pomimo listu cesarskiego, albowiem dotąd stanowczy projekt w łonie samegoż Towarzystwa, ostatecznie nie przeszedł. Pierwotny projekt, ułożony przez prezesa i professora Józefa Majera, jest téj treści, że ma być wybranym z grona Towarzystwa Naukowego, a prócz tego i z nienależących do niego 42 akademików podzielonych na trzy klassy, to jest przyrodniczo-lekarską, filologiczną i nauk moralnych; reszta zaś obecnych członków To-

warzystwa naukowego, stanowiłaby Towarzystwo Przyjaciół Nauk, mające za zadanie, już nie prace badawcze, ale reprodukcyą naukową. Drudzy są zdania, że pewna tylko liczba członków Towarzystwa Naukowego, stanie się członkami Akademii, albowiem ich liczba musi być ograniczoną. Walne zebranie Towarzystwa, ma powziąć ostateczne postanowienie, które znowu może uledz zmianom, przez ministra oświecenia poczynionym, i ograniczeniom, gdy zostanie stały fundusz na ten cel zapewniony.

W ciągu pierwszego półrocza na zebraniach Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, z ważniejszych rozpraw jakie były odczytane, wspomnieć musimy Wincentego Pola: „Północny Wschód Europy pod względem natury. Hydrografia," i professora Brandowskiego: „O założeniu Uniwersytetu Krakowskiego w r. 1364." Ostatnia praca wywołaną została przygotowanym dyplomataryuszem uniwersytetu. Autor w niéj dowodzi, że Uniwersytet Krakowski przez Kazimierza Wielkiego, nie na Bawole, ale w samém mieście Krakowie był założony.

Niegodzi się pominąć wytrwałéj pracy na polu pedagogicznem członka tegoż Towarzyst. Stanisława Zarańskiego. Na jednem z zebrań, odczytał: *Wstęp do wykładów elementarza rolniczego, rzemieślniczego i kupieckiego.* Ogłoszone drukiem poprzednio rozprawy tegoż autora w tym zakresie, zasługują na głębsze zbadanie, tak ważnego przedmiotu, tak swoją wartością jak i wykładem.

Z nowszych dzieł godnych uwagi, wymienić należy Oskara Kolberga *Lud polski*, badania etnograficzne, obejmujące lud z okolic Krakowa. Jest to dalszy ciąg wydawnictwa, jakie ten zasłużony badacz i niezmordowany trudami, daléj prowadzi, dążąc do zamierzonego celu, ażeby je uzupełnić. Całą pracę ma prawie ukończoną, ale środków ogłaszania drukiem niema. Wydanie obecne poparte zostało zasiłkiem Towarzystwa Naukowego Krakowskiego z fundacyi księcia J. R. Lubomirskiego. Z tegoż funduszu wyszło w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego (1871 r. w 8-ce str. 276) dzieło p. n.: „ *Wykład bajek Krasickiego*, wraz *z tekstem tychże, przez Gustawa Ehrenberga. Do tego dołączony przedruk łacińskiego przekładu bajek i przypowieści przez Markwarta.* Próbka z tego dzieła była podaną w *Książce zbiorowéj* K. Wł. Wójcickiego.

— Szacowne archiwum akt dawnych miasta Krakowa otrzymało nadzór z kilku światłych obywateli pod przewodnictwem prof. Karola Mecherzyńskiego. Archiwaryuszem mianowanym został znany archeolog i pisarz Dr. Teofil Żebrawski.

— Z drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, w ozdobnéj edycyi wyszło dzieło p. n.: „Przegląd ogólny swojego zawodu lekarskiego i nauczycielskiego", spisał Maciéj Józef Brodowicz Dr. med. i wysłużony professor praktyki lekarskiéj w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

— Księgarz krakowski J. M. Himmelblau, wydał część drugą gramatyki języka niemieckiego, przez E. Rebena.

— (Z listu. Poznań.) Mamy tu widowisko ze świata przed-Kopernikowego.

Odkryte w r. 1865 przez prof. Łepkowskiego ślady nawodnych mieszkań w Wielkopolsce, w jeziorze czeszewskiém, opisane przez ich znalazcę w *Czasie* z t. r. (nr. 246—247), dały obecnie powód do sporów między Karolem Libeltem, X. S. Pawlickim i innymi, z uwagi na kwestye zasadnicze pierwo-stanu człowieka, których to polemik podobne odkrycie staje się dzisiaj przyczyną. *Tygodnik Wielkopolski* (z r. b. nr. 1—5, 8, 30—32), *Tygodnik katolicki poznański* (z r. b. 12—16 i dalsze), *Przegląd lwowski* (z r. b. zeszyt 16) wreszcie *Przegląd katolicki* warszawski (z r. b. nr. 28), oraz inne czasopisma, nawet polityczne, przeważnie z werwą i namiętnością obrabiają kwestye: czy mieszkania nawodne świadczą przeciw chronologii biblijnéj? Grad pocisków sypie się na Libelta. Jawnie on wyznawał i wyznaje za nic tykalne w biblii: dogmata, tajemnice Boskie, moralność, obrzędy święte. Uważa przecież że ta księga święta nie tamuje badań w naukach przyrodniczych, w dziejach chronologii oraz w naukach społecznych. Za takie zdania, jak gdyby w imię miłości bliźniego, wyuzdanie przeciwników Libelta przechodzi wszelkie granice. Nie powtarzam tych obelg. Lecz ktoby nie widział tych ludzi, ktoby nie czytał drukowanych ich miotań, a słyszał tylko głos ich i wyrazy, tenby był pewny że to albo gawiedź ordynaryjna lub chorzy którzy dla odzyskania zdrowia koniecznie przez taką operacyą żółci się pozbyć muszą. Wśród tych ulicznych pocisków stoi Libelt spokojnie i z całą siłą loiki i nauki odpiéra napady. Obecnie na arenę zapasów wystąpi zapewne hr. Aleksander Przezdziecki, jeśli się nie opatrzy że bojujący kamieniami rzucają ze swawoli.

Hr. Przezdziecki podróżując teraz w celach naukowych po Wielkiém Księztwie Poznańskiém i Prusach Wschodnich zajął się (z pomocą pp. Libeltów Karola i Pantaleona) rozkopaniem brzegów jeziora czeszewskiego, o ile je odsłoniły wody kanałami spuszczone. Zbadał kierunki ostrokołów i układ podłóg owych mieszkań nadwodnych, oraz studyował ślady nadbrzeżnego grodziska. Zabytków których ztamtąd tak znaczną ilość posiada gabinet archeologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego, nie wiele w czasie obecnego kopania znaleziono: zaledwie część czaszki ludzkiéj, czerepy naczyń glinianych, kości zwierzęce, zgliszcza i ułamek obręczy spiżowéj pozłacanéj.

W celu dalszych śledzeń archeologicznych wyjechał hr. Przezdziecki obecnie do Zakrzewa, zkąd uda się do Bnina a wreszcie na zjazd archeologiczny do Bononii, gdzie będzie reprezentował Towarzystwo Naukowe krakowskie. Na ów kongres zaproszony też był prof. Łepkowski; gdy jednak nie pojedzie, oddał (jak nam donoszą) Przezdzieckiemu wszystko co się tyczy nawodzisk czeszewskich; jak: zrobioną przez siebie mappę jeziora i okolicy, znalezione na pobrzeżu: siekierki kamienne, strzały i młoty z kości, naczynia gliniane, kości zwierząt zdeterminowane, przez. p. Dr. A. Altha prof. Uniw. Jag. oraz,

część czaszki ludzkiéj z dna jeziora, oznaczone przez prof. Dra. Majera. Więc obok polemiki toczonéj na ochotnika z Libeltem, będziemy słyszeli zdania jakie uczeni objawią o tém odkryciu na kongresie w Bononii.

— PP. Karol Beyer i Dutkiewicz ukończyli w Krakowie zdejmowanie fotografii do Albumu zabytków krakowskich. Piérwszy zeszyt z 5-ciu albertotypiami, wyjdzie téj jesieni. Towarzystwo Naukowe Krakowskie ma naznaczyć najniższą cenę, dla większego rozpowszechnienia téj publikacyi.

— W Krakowie w drukarni W. Kirchmayera (1871 r.), nakładem autora wyszło dzieło p. n. „*Panowanie Jana Olbrachta i Aleksandra Jagiellończyków*" (1492—1506) spisał na podstawie źródeł dr. *Franciszek Czerny*. W *słowie wstępném* autor pisze:

„Do działów bardzo mało jeszcze u nas opracowanych, należy epoka, do któréj sięgają prace Naruszewicza, Gołębiowskiego, Roepella, Caro i Szajnochy, poczynająca się od Unii horodelskiéj a kończąca się wstąpieniem na tron Zygmunta I-go, niespełna więc cały wiek XV. Pochlebiałem sobie od lat kilku, że peryod ten będzie kiedyś przedmiotem mych badań. Dziś postanowiłem choć w części temu odpowiedzieć zadaniu i spisałem polityczne dzieje Polski pod berłem dwóch Jagiellończyków: Jana Olbrachta i Aleksandra. Nie tuszę sobie, iż w zupełności uczyniłem zadość wymogom tego tematu; wszelako w znacznéj części znajdę może w tém wytłumaczenie, że czasy te najmniéj obfitują w źródła. Naiwni bowiem nasi kronikarze, pilniejsi w opowiadaniu przeróżnych cudowności lub przesądném tłumaczeniu meteorologicznych zjawisk, są nader ubogimi w przedstawianiu pojedyńczych faktów, a i te nie umiejąc ich ocenić, zbywają częstokroć kilku tylko słowy, lub co gorsza, nie zupełnie w wiernem malują świetle. Z tych powodów musiałem się w wielu względach zapożyczać od obcych historyków, a nawet w braku dokumentów, jakie mieli przed sobą, wierzyć im nieraz dosłownie. Pozbawiony wyczerpujących archiwalnych zbiorów krajowych, udawałem się do wszystkich sąsiednich narodów i śledziłem w ich historyi choćby najmniejszéj wzmianki o stosunkach ich z dawną Polską, aby tylko o ile można jak najwięcéj rozjaśniać te oba mało znane panowania. Wypada mi jeszcze uprzedzić, iż głównie i jedynie celem niniejszéj pracy, była historya czysto pragmatyczna, polityczna. Jeżeli czytelnicy zatém nie znajdą osobnych rozdziałów, dotyczących życia domowego, wychowania, nauk i sztuk, jednem słowem: oświaty ówczesnéj, niechaj mi wybaczą, uwzględniając, iż jakiekolwiek w téj mierze sprawozdanie byłoby ze względu na czasie, ramy tego czternastolecia zanadto oderwane i w każdym razie niedokładne!"

— W gronie komissyi zarządzającéj odbudową Sukiennic krakowskich, przeważył kierunek utilitarny, i jak największe zużytkowanie na korzyść miasta z téj wielkiéj budowli; wskutek tego: pp. prof. J. Łepkowski, prof. malar. Wł. Łuszczkiewicz i budowniczowie Dr. Zebrawski i F. Księżarski reprezentujący myśl zachowawczéj

tylko, konserwatorskiéj restauracyi, wystąpili z pomienionéj komissyi usunąwszy się od téj sprawy.

— *We Lwowie* wydany został „*Przewodnik po mieście Lwowie*", ułożony z materyałów dostarczonych przez pana Sznajdera.

— W Wrocławiu u J. Maxa wyszła wspaniała publikacya Alwina Schultza: „*Die Schlesischen Siegel, bis 1250.* Na dziewięciu tablicach przedstawił autor w chromolitografiach, 70 co najstarszych pieczęci szlązkich.

— *Z Wenecyi* (wyjątek z listu 4 września 1871 r.).

„Zabawiłem dłużéj w Tryeście: miasto zajmujące z powodu swego ruchu handlowego prawie z całą Europą i Azyą, bądźto lądem, bądź morzem. Czarujące są tu okolice, osobliwie słynny w nowszych czasach pałac *Miramare*, smutna pamiątka po cesarzu Maksymilianie. Ztąd udałem się koleją do Wenecyi. Pałac Dożów dziwi ogromem swoim. Dziś mieszczą się w nim rozmaite zbiory starożytności i biblioteka królewska. Z dawnych książek nic nie zdarzyło mi się nabyć, taki tu brak tych zabytków wszędzie. W Wenecyi nie ma nawet żadnéj księgarni antykwaryusza. Włochy nie poszukują starych pamiątek: za to sklepy przepełnione tylko ozdobami kobiecemi i świecidłami jubilerskiemi, których tu bez końca. W jakąkolwiek ruszysz się stronę, wszędzie spotykasz się z niemi, a obok tego, ubóstwa przerażająca mnogość: na każdym kroku czy na ulicy czy w kościele, napastują i domagają się jałmużny. Lud tu strasznie leniwy, niechętnie biorący się do pracy, tylko lekko żyć pragnie, i wierzy ogólnie że Bóg sam o jego jutrze przemyśliwa: żyje rybami i owocami które są bardzo tanie".

— *Kobiety w ostatniéj wojnie* (wyjątki w tłumaczeniu z rosyjskiego Ot. Zap. za marzec r. b.).

W początkach minionéj wojny, kobiety pojęły zupełnie swój obowiązek; strona bezpośrednio zainteresowana i neutralna zaprotestowała przeciwko wojnie; a gdy się ta rozpoczęła, usłyszano prawie we wszystkich krajach wezwania, aby kobiety organizowały towarzystwa dla pielęgnowania rannych. W wezwaniach tych uwydatniono myśl, że praca kobiét przyda się nie tylko dla ich rodaków, ale i dla rannych nieprzyjaciół. Inaczéj odzywali się mężczyźni, a przynajmniéj niemieccy. Gazety niemieckie, a więc klassa intelligencyi powstały z wielkim hałasem, kiedy przy pierwszym transporcie jeńców wojennych do Berlina, kobiety niemieckie na jakiéjś stacyi kolei żelaznéj objawiły swe współczucie dla nich. Kobiety przycichły nie chcąc może albo się bronić, a może nie wiedząc, jak się wziąć do tego. W obronie ich stanął jeden z przyjaciół, człowiek powszechnego zachowania, professor berliński Holtzendorf. Ale dolał on tylko oliwy do odgnia. W artykule swym uznając kobiety niemieckie winnemi, jeżeli okazywały więcéj współczucia nieprzyjacielowi upadłemu, aniżeli zwycięzkim rodakom, tłumaczy zjawisko takie niedojrzałością niemieckich dobroduszności, zbyteczną żywością współczucia, ciekawością... a gło-

wnie tém, że sami mężczyźni broniąc kobietom wszystkiego, co wychodziło po za próg domowy, dozwalali wprowadzać w domowe ognisko obyczaje, mody, romanse i śpiewki francuzkie. Dla zaradzenia temu, professor proponuje, aby zarzucono w Niemczech zwyczaj uczenia dzieci francuzkiego języka, jako nie dającego żadnego materyału do wykształcenia umysłu i serca; jeżeli zaś koniecznie kobiety mają się uczyć jakiego cudzoziemskiego języka, to należy zastąpić francuzczyznę angielszczyzną.

„Kobiety niemieckie—mówi on w zakończeniu—ze swych nawyknień, mowy, powierzchowności, poloru i półwykształcenia same się stały niewolnicami francuzkiemi".

Obrona podobna dążąca do usunięcia kobiety od zajęć społecznych, dopuszczalnąby jeszcze była w czasie pokoju, ale w obecnéj chwili była grubą pomyłką professora Holtzendorfa. Owocem téj pomyłki było najprzód nieprzyzwoite napadanie na to wszystko, co było francuzkiego w życiu niemieckiém, a nadto i fakt, że kobiety ogłuszone tą obroną i zbite z tropu, lekkomyślnie uznały się za winne i pośpieszyły się poprawić. Obok tego, jak to zwykle bywa, przemieniwszy się z istot obdarzonych uczuciami ludzkości, w zawzięte patryotki, nie spostrzegły się że ich podszczuwano, nie przeciwko tryumfującemu nieprzyjacielowi, ale przeciwko nieszczęśliwym i kalekom. Dzienniki kobiece zaczęły się przepełniać artykułami o demoralizacyi francuzkiéj, o konieczności działania przeciwko niéj, o wysokiém posłannictwie narodu niemieckiego, aby zepsucie to naprawić cnotami niemieckiemi. Artykuły te pisane były po większéj części ręką męzką, zakładały towarzystwa działania przeciwko modom francuzkim, obejmowały wezwania do siostr alzackich, aby się oczyszczały z zarazy francuzkiéj; potępiały za nią Francyę, zapominając, że naród przejmujący dobrowolnie ujemne strony zdemoralizowanéj podług nich Francyi, może być tak samo obwinionym o zepsucie, jak i ona. Dzienniki te usiłowały odwrócić kobiety od zamawiania u modniarek francuzkich, radząc, aby się upiększały nie pięknym kostiumem, ale „cnotami zdobiącemi kobiety niemieckie". Widocznie w rzędzie tych cnót brak wspaniałomyślności, inaczéj kobiety niemieckie zrozumiałyby, że dziś mianowicie kiedy Francya wyniszczona, pracownice jéj potrzebują bardziéj niż kiedykolwiek zamówień i zajęcia.

Takie stanowisko kobiét niemieckich pobudziło kobiéty innych narodowości do tego, że stanęły w pośrodku stron nieprzyjaznych. Oprócz protestów przeciwko wojnie w ogólności, zaczęły nadchodzić odezwy z Anglii, Wiednia, Szwajcaryi i Ameryki do kobiét francuzkich i niemieckich. Ciekawą jest odpowiedź w tym względzie na protestacyę towarzystwa międzynarodowego kobiét, wysłaną jednocześnie z protestacyą ligi pokojowéj.

Gdyby kobiéty niemieckie przeniosły do czynów ten zapał, jakim tchną ich słowa i na stacyach kolei oraz w lazaretach, zaczęły odróżniać przyjaciół od wrogów, to skutki ich szowinizmu

okazałyby się takiémi, jakich one same nie pragnęły. Byłoby tém więcéj godném pożałowania, że czynność kobiét w pielęgnowaniu rannych okazała się w obecnéj wojnie rzeczywiście znakomitą.

Szkoda, że o téj działalności francuzek mamy wiadomości tylko ze źródeł zagranicznych. Zwalić odpowiedzialność i klęski, jakie dotknęły Francyą, na kobiéty, usuwane w czasie zwyczajnym od życia publicznego, wymagać od nich męztwa i ograniczać ich działalność do kuchni, dzieciarni i gospodarstwa, byłoby to taką niedorzecznością, że na nią odpowiadać nie warto.

W Anglii dotąd nie było uorganizowanego towarzystwa dla pielęgnowania rannych i wojna zastała angielskie kobiéty nie przygotowanémi. Dla tego obecnie poruszono na mitingach myśl, aby stowarzyszenia tego rodzaju zatrzymać i na czasy pokoju. Na jednem z tych zebrań odczytano odezwę Miss Neytyngel, znanéj z wojny krymskiéj, do kobiét pragnących poświęcić się pielęgnowaniu rannych.

„Przekonałam się z doświadczenia—pisze ona—że przystępując do tego dzieła, porzucić trzeba wszelki entuzyazm uczuciowy i przygotować się do ciężkiéj rzeczywiście pracy. Staranie i pieczа nad choremi i rannemi, spełnianie drobnych a ważnych zajęć, od których często zależy życie albo śmierć chorego, jestto ważny i nieubłagany obowiązek. Przyjdzie tu dokonywać i widziéć rzeczy, które cię zmuszą odrazu do odróżnienia czystego metalu od dziecinnych brzęczydeł, przeżyć cały szereg długich męczących dni ustawicznéj pracy, wzruszeń i poczucia odpowiedzialności na każdym kroku. Ten tylko może spełnić taki obowiązek, kto się go podejmuje z natchnienia własnego."

Trzeba oddać sprawiedliwość kobiétom niemieckim, że pod względem pielęgnowania chorych stoją wyżéj od innych, nie tylko pod względem działalności ale i organizacyi. Stowarzyszenia takie liczą się w Niemczech na setki, oprócz korporacyj zostających pod kierownictwem duchowieństwa. Chorzy niechętnie zwracają się do tych ostatnich, zarzucając im, że więcéj troszczą się o duszę niżeli o ciało, często działając wbrew przepisom doktora, używając środków własnych.

Stowarzyszenia kobiéce dla pielęgnowania chorych jeszcze przed wojną miały swoje szkoły dla przygotowania tych, które się temu poświęcić chciały. Z rozpoczęciem wojny, przyjmowano tu każdą, która ofiarowała swe usługi. Kobiéty troszczą się nie tylko o czystość i wygodę pomieszczenia w szpitalach, ale i o ich upiększenie. Ściany mają zielonością, stoły zastawiają kwieciem, wykonywają wszelkie żądania chorych, piszą im listy, czytają i. t. p. Zarządzają kuchniami szpitalnemi, a żony i córki professorów i innych osób wykształconych same gotują i wykonywają czynności nawet posługaczek.

Kobiéty tego stowarzyszenia stosownie do stopnia swéj kwalifikacyi, udają się albo prosto na pole wojny, albo do szpitali, albo na stacye transportowe. Pierwszym przychodzi często poma-

gać mężczyznom w zbieraniu rannych z pola walki i przenoszeniu do lazaretu. Nie mniéj są trudne zajęcia zostających po stacyach kolei żelaznych. Spieszą tu one do wagonów, aby przewiązać ranę i napoić tych, co jadą w dalszą drogę; zostających zaś przenoszą do lazaretów, gdzie obmywają im rany i lokują opatrzonych w stałym szpitalu. Często przychodzi tu oczekiwać całe godziny, smutne i ciągle zmienne wieści z pola bitwy nadchodzące, zwiększają rozdrażnienie i tak już rozdrażnionych nerwów. Dodać tu należy jeszcze nieustające krzyki na platformach i nadchodzące co 50 minut transporty prowiantów i żołnierzy, których trzeba nakarmić. Ileż to trzeba mieć prawdziwego męztwa, aby patrzeć na porąbanych i postrzelanych i opatrywać ich wśrod jęków i złorzeczeń. Jeżeli kobiéty szczęśliwsze od mężczyzn w tém, że nie idą na wojnę i nie biorą odpowiedzialności za nią, to okupują one ten przywiléj ciężką pracą, jakiéj się poświęcają z własnego natchnienia.

---

† Dnia 13 września r. b. w Warszawie zakończył życie Franciszek Kuszel professor języka angielskiego, w b. Instytucie politechnicznym w Nowéj Aleksandryi, a następnie lektor tegoż języka w Szkole Głównéj, i w Uniwersytecie Warszawskim. Uczeń Instytutu politechnicznego z przed roku 1830, długi czas przebywał w Anglii, tam się wydoskonalił w języku angielskim, którego początki miał od Krystyna Lacha Szyrmy, poznał dokładnie całą Anglią, a za powrotem zajął się dawaniem lekcyj języka angielskiego. Z wielu prac które przygotował, ogłosił drukiem „Rozmowy angielskie“, dla użytku pragnących mówić tym językiem. Przygotował do druku, co pozostało w rękopiśmie, grammatykę języka angielskiego dla Polaków i słownik.

† Dnia 16 września r. b., w Pradze Czeskiéj umarł w 68 roku życia znakomity pisarz i uczony czeski, Jan Erazm Vocel. Jako historyk i archeolog w literaturze czeskiéj położył niemałe zasługi. W czterdziestym roku życia wyuczył się dokładnie języka polskiego, mówił nim i pisał, i znał skarby nasze duchowe, tak w dziedzinie historyi jak poezyi i literatury pięknéj i umiejętnie umiał z nich korzystać.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger.*

ROZAMUNDA.

DRAMAT

Józefa Weilen'a (*).

PRZEKŁAD **S. D.**

OSOBY.

ROZAMUNDA, córka Kunemunda króla Gepidów.
ALBOIN, król Longobardów.
KLEPH, stary wódz Longobardów przyjaciel Alboina.
GRIMOALD, Longobarda.
LUPOLD, rycerz ze straży Kunemunda.
ROMILDA, niewolnica Rozamundy.
GEPIDA.
LONGOBARDY, GEPIDY, kobiety Rozamundy.

Rzecz dzieje się w r. 572, częścią w Karnuntum, starém rzymskiém mieście nad Dunajem, częścią w bliskości miasta.

---

(1) Józef Weilen urodził się w Morawii r. 1825. Wzięty do wojska w bardzo młodym wieku, dosłużył się stopnia porucznika; mianowany został professorem literatury niemieckiéj w wojskowéj instytucyi w Znaimie. Ztąd pisywał do dzienników wiedeńskich wiersze okolicznościowe, które zwróciły nań uwagę dworu. W r. 1858 napisał dramat „*Tristan i Izolda*", odegrany w teatrze wiedeńskim i przyjęty z wielkiémi poklaskami. Skutkiem tego otrzymał Weilen posadę *skryptora* przy bibliotece nadwornéj, aby mógł oddać się wyłącznie pracom literackim. Odtąd niemal co rok wzbogaca repertuar wiedeński nowémi utworami. Po Tristanie napisał wkrótce mały wyborny dramat w jednym akcie p. t. „*Dzień Oudenaidy*", na cześć księcia Eugeniusza Sabaudzkiego; następnie *Eddę* z czasów wojny trzydziesto-letniéj, tragedyę w 4-ch aktach, w r. 1863, dramat *Drahomirę*, z dziejów czeskich; w r. 1869 *Rozamundę*, a w r. 1870 *Hrabiego Horna*. *Drahomirę* przełożył Wład. Anczyc, a *Hrabiego Horna* Edward Lubowski.

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

AKT I.

Bujna kwiecista dolina. W głębi, skały średniéj wysokości, zarosłe krzewiną. Z wierzchołków tych skał widok rozciąga się na okolicę. W pośrodku skała tworzy naturalną bramę, pokrytą zwojami bluszczu. Wkoło na ziemi leżą wielkie złomy kamieni, porosłe mchem i murawą, służące do siedzenia. Z rozmaitych stron słychać odgłos rogów bojowych, coraz bliżéj i głośniéj, w miarę jak sceny następują po sobie.

SCENA I.

ROZAMUNDA otoczona dworskiemi niewiastami: pomiędzy temi Romilda. Trzymają w ręku koszyczki pełne polnych kwiatów. Nieco daléj GEPIDA uzbrojony, z oszczepem w ręku.

ROZAMUNDA (*oglądając się wkoło*).

Ciche gniazdeczko mamy w skał tych cieniu.

(*Do Gepida wskazując skałę*)

Wstąp na ten odłam; mów..., co się tam dzieje!

(*Do niewiast*)

My jak ptaszyny czuwajmy w milczeniu,
Gdy krwawa burza nad krajem przewieje
Ztąd ku zwycięzcom wyleciéć nam chmarą!

(*Do Gepida*)

Jesteś już w górze; co widzisz z téj skały?

GEPIDA.

Cała dolina pokryta mgłą szarą,
Z przed oczu nawet znikł mi Dunaj biały;
Karnunt za nami, nie sięgnąć go wzrokiem,
Tylko na wzgórzach, nad ciemnym pomrokiem
Połyska światło.

ROZAMUNDA (*z dumą*).

Nam słońce połyska:
Noc Longobardom!

(*Oglądając się swobodnie na strony*).

Ha! mnieżby w téj dobie
Wśród zimnych murów pustego zamczyska,
Rzymską przed wieki dźwigniętych prawicą,
Mnieżby przystało czekać tam jak w grobie
Rychło-li goniec przymknie błyskawicą,

Z wieścią tryumfu! Ależ ojciec tknięty
Mémi pieszczoty i łzą moją rzewną,
Tu, blizko pola gdzie wre bój zacięty
Dał nam się ukryć.

ROMILDA.

Bodajby królewno
Zabronił lepiéj!

ROZAMUNDA (*z powagą*).

Tak, prośba szalona!
Zdrażał się zrazu, lecz błagalne słowo
Złamało opór!

ROMILDA (*niespokojnie*).

A gdy nam nad głową
Niebezpieczeństwo przemknie gromem z nieba,
Kto nas obroni? w kim nasza obrona?

ROZAMUNDA (*dumnie*).

Niebezpieczeństwo? mnież myśléć potrzeba
O próżnéj trwodze?... mnie! (*do niewiast*).
Rozbierzcie kwiaty.
(*do Gepida*).
Niczе nie widzisz?

GEPIDA.

Nie, prócz ćmy skrzydlatéj
Kawek, i kruków i orłów.

ROZAMUNDA (*Rozpromieniona wskazując ręką w górę*).

Tam w górze
Leci król orzeł po modrym lazurze,
Chyżemi pióry, on na krańce świata
Roznosi promień ojca mego chwały.
(*Do niewiast ukazując im kwiaty wybrane*).
Zwijmy dwa wieńce: ten będzie dla brata,
Młodzieńczej skroni te barwy przystały.

(*Siada na najwyższym odłamie, niewiasty gruppują się wkoło niéj, siadając na niższych kamieniach. Romilda sama stoi po prawéj stronie, bliżéj sceny, Rozamunda bierze gałązkę bluszczu w rękę*).

Z bluszczowych liści uwijmy ten drugi,
Niechże zwycięzki miecz ojca oplecie.
Miecz co krwi wroga wnet wytoczy strugi!
(*do Romildy*).
A ty piosenkę zaśpiewaj nam przecie.

ROMILDA (*posępnie*).

Żadnéj nie pomnę!

ROZAMUNDA (*surowo*).

Co mówisz zuchwała?

ROMILDA.

Z tych jakie lubisz...

ROZAMUNDA (*z pogardą*).

Jakto? tyżbyś znała
Miłe mi pieśni!

ROMILDA.

Jak niegdyś pół-bogi
Promieniem sławy świecili na ziemi,
Jak wstępowali w dumne królów progi,
Jak się żenili z córy królewskiemi.

ROZAMUNDA

(*Wypuszcza z rąk kwiaty i patrzy przed siebie smutno zadumana*).

Słodkie sny moje! wiosenne marzenia!
Snić-że mi długo wasz wątek uroczy?
Dziwnoż, mój Boże, wszystko czas przemienia!
Teraz jam wolna, a jeden błysk oka,
Świat nowych czarów przedemną roztoczy;
W sercu się próżnia wypełni głęboka,
Rozpłonie ogień ukryty w iskierce,
I znów błysk oka.... a zdobyć mi serce
Nowe, silniejsze.... na tę myśl drżę cała!

GEPIDA (*z góry*).

Słońce zabłysło, wiatr spędza mgły sine,
Królewskie hufce zaległy dolinę,
Niby mur żywy.

ROZAMUNDA (*z zapałem*).

Mów raczéj jak skała!
Skruszą się o nią dzikie Longobardy,
Gdy skała runie przywali kark hardy
Ohydnéj tłuszczy.

(*podnosząc uwity wieniec*)

Korona gotowa.

(*do Romildy*)

Śpiéwaj-że teraz!

ROMILDA (*stanowczo*).

Nie mogę królewno!
Nie żądaj pieśni!

ROZAMUNDA (*z gniewem*).

Co znaczą te słowa?
Z ust niewolnicy te słowa szalone!
Czémżeś ty dla mnie? czém ten kwiat.... nic więcéj...

Jeżeli zechcę wplotę go w koronę,
Lub na proch marny zdepczę stopą gniewną.

ROMILDA.

Błagam cię pani... oh!... nie dręcz mnie dłużéj,
Jam tobie równa.... jam ze krwi książęcéj;
Na te zniewagi krew we mnie się burzy:
Twe serce dobre, przeczyste jak złoto,
Aleś zbyteczną zepsuta pieszczotą.

ROZAMUNDA (*z gniewem coraz żywiéj*).

Co? jam zepsuta?... tobież to przystoi
Nikczemna branko ubliżać czci mojéj?
Mnie! potężnego Kunemunda córze,
Władcy Gepidów, zwieńczonego sławą,
Co mnogie ludy garnie pod swe prawo.
Twoj ojciec z tronu powalon ze sromem,
Władztw jego kresy dziś zawiały burze,
Mech nad królewskim porasta twym domem!
Takiéj sromoty sam czas nie zamaże,
Tyś z rąk ojcowskich przypadła mi w darze;
O życie tylko pokornémi słowy
Biédna ty branko błagałaś nikczemnie,
I kark pod twarde poddałaś okowy.
O! gdyby taki grom uderzył we mnie,
Jabym mu czoło stawiła inaczéj..,
Niżeli dźwigać niewolnicze pęta,
Niż żyć w ohydzie... oh! umrzéćby raczéj!

GEPIDA (*z góry*).

Ściana się oto porusza ściśnięta,
Na słońcu jasno migocze błysk stali:
Chmary tam wrogów!

ROZAMUNDA (*z radością*).

Im więcéj łuczywa,
Témci weseléj ognisko się pali:
(*do Romildy*).
Niechże Romilda piosenkę zaśpiéwa.

ROMILDA.

W takiéj mi chwili śpiéwać nie przystało.

ROZAMUNDA.

Zkądże ten opór?

ROMILDA.

Posłuchaj na Boga!
Do ciebie duszą przyrosłam ja całą,
Drogi mi lud twój i ojciec twój stary,

A tam wróg ostrzy żelazo na wroga,
Dwa bitne ludy zaległy obszary,
Gdy ja to mówię—może niedaleko
Padają trupy jak na łanie kłosy,
Wrzące krwi strugi bruzdami tam cieką,
A sam Bóg w ręku trzyma przyszłe losy!
Powstań krolewno!... wy Gepidów córy
Czołem o ziemię... tu... w proch, na kolana,
Błagalnie ręce podnieśmy do góry,
W duchu modlitwę zaślijmy do Pana,
Niechaj zwycięzką przechyli wam szalę!

ROZAMUNDA.

Że duch twój upadł, nie dziwię się wcale:
Z młodu smutnemi doświadczona próby,
Patrzysz na walkę ze wstrętem i trwogą,
Nic w niéj nie widzisz krom hańby i zguby!
Klęsk i niewoli!... Mnież zatrwożyć mogą
Te czarne widma? inaczéj ja tuszę
O losach bitwy!... wzrok mój dumą błyska,
Pewność zwycięztwa przepełnia mą duszę!
Ten wróg co nasze pustoszy ogniska,
Godzien nie trwogi a raczéj pogardy,
W obec Gepidów czémże Longobardy?
Niesforny motłoch, bez ziemi, bez dachu,
Co na szczęk miecza cały mrze z przestrachu,
A na przeciwko téj ohydnéj tłuszczy,
Mój lud w stu walkach zaprawion na boje;
I któż rycerskie wiedzie hufce swoje,
Ten, który tyle dni tryumfu liczy,
Ile walk stoczył... mój ojciec zwycięzki!
A przy nim brat mój, pisklę z orłów rodu;
Mnieżby nikczemnie bać się krwawéj klęski,
Z obrazą ojca, brata, i narodu?
Mnież to gdy bojów uderza godzina,
Mnie błagać cudu?... skoro chyba cudem
Wielki Kunemund z bohaterskim ludem
Mógłby dziś upaść!

GEPIDA (*woła z góry*).

Walka się zaczyna!

ROZAMUNDA (*z naleganiem*).

Śpiéwaj Romildo!

ROMILDA.

Twéj woli gorącej
Uczynię zadość; w téj strasznéj godzinie
Tę pieśń powtarzać przystało jedynie,
Któréj mnie uczył ojciec konający.

(*Mówi głosem stłumionym, tymczasem co chwila dają się słyszeć rogi bojowe*).

Syn szczęścia! on wierzy
Zwodniczym snom!
Nim z góry uderzy
Palący grom!
Mądrością ułata
Nadziemski krąg,
Godziny i lata
W swe jarzmo wprzągł.

ROZAMUNDA
(*spoglądając na bluszczowy wieniec, który w téj chwili doplotła.*)

Ojcowski wieniec! bluszcz przy miecza stali
Cudownież odbije... Romildo... mów daléj.

ROMILDA (*z coraz wyższém uniesieniem*).

Ach! wszystko niesyty
Rwie czasu ząb!
Drżą opok granity,
Wali się dąb;
Schną łoża strumieni,
Z miast gruzów stos,
Lecz hyżéj się mieni
Człowieczy los!

GEPIDA (*z góry*).

Pędzi tu rycerz: poznaję z daleka;
To mężny Lupold od królewskiéj straży,
Nagania włócznią obcego człowieka.
Ha! Longobarda! znać z ruchu i z twarzy:
Są tu już oba.

SCENA II.

Ciż sami. *Na środek sceny wchodzi Lupold pędząc przed sobą rozbrojonego Grimoalda.*

LUPOLD.

Mój pan mi powierza
Miłe zlecenia, królewskiémi słowy
Witam cię pani i dzikiego zwierza
Do stóp twych wiodę.

ROZAMUNDA.

Otóż dowód nowy
Dobrego ojca bezcennéj pamięci.
(*Przygląda się Grimoaldowi*)
Zwierz to ciekawy! jam tylko widziała
W krwi potarzane Longobardów trupy,
Albo na haku między dwoma słupy
Miotane wiatrem ohydne ich ciała:
Dziś po raz pierwszy spełnione me chęci.

GRIMOALD (*na stronie*).

Przeklęty kamień co mi zranił nogę,
Jeden na pięciu: za ciężka to sprawa,
Przecież ja długo jeńcem być nie mogę.

ROZAMUNDA (*do Lupolda*).

Jak tam walka stoi?

LUPOLD.

Rozkoszna obława!
Wróg strzał tysiącom posypnął nam w oczy,
Furknęły proce, my uderzym śmiało;
Tłuszcza w popłochu w strony się rozskoczy:
Nasi pomknęli trop w trop za nawałą.

GRIMOALD (*na stronie*).

Skok to rozkoszny!—krzyknął lis w radości,
Krótka uciecha—pogruchotał kości!

LUPOLD (*do Rozamundy*).

Spełniłem rozkaz... czas mi już z powrotem.

ROZAMUNDA.

Przyjmij rycerzu ową spinkę w darze,
A po zwycięztwie obsypię cię złotem;
Ojcu odemnie powiedz: że ja marzę
O słodkiéj chwili, kiedy w bluszcz zielony
Oplotę jego stary miecz w około,
I z pełném sercem oplotę ramiony
Jego tryumfem promieniste czoło. (*Lupold odchodzi.*)

SCENA III.

Poprzedzający oprócz LUPOLDA.

ROZAMUNDA (*patrząc na stojącego Grimoalda*)

Ohydny potwór!... czém zamiast pancerza
Osłonił barki przed mieczem i strzałą?

GRIMOALD.

Skórą niedźwiedzia na słońcu stwardniałą.

ROZAMUNDA.

Drobny, koszlawy, podobien do zwierza.

(*Do Grimoalda*).

Wamże z Gepidy mierzyć się zuchwale?

(*Do Romildy*).

Twojéj piosenki nie żądam już wcale:
Chwile czekania skróci ten zwierz dziki.

(*Do Grimoalda*).

Możesz tu usiąść, nie boisz się przecie?

GRIMOALD.

Wiem jak na harce wyzywać łuczniki,
Lecz mi rzecz obca siedzieć przy kobiecie;
Zresztą jam siadać zwykł na gołéj ziemi:
(*Siada na ziemi u stóp Rozamundy, a potém przygląda się dworskim niewiastom*).
Z wami tu jakoś lepiéj niż z tamtemi!

ROZAMUNDA.

Jak ty się zowiesz?

GRIMOALD.

Grimoald!..

ROZAMUNDA.

Gdzie leży

Ojczyzna twoja?

GRIMOALD (*Ukazując na Wschód*).

Tam od wschodniéj strony,
Gdzie biały Dunaj siedmioma ramiony
Wartko do morskich podąża wybrzeży.

ROZAMUNDA.

Któż z domowego wyparł was ogniska?

GRIMOALD (*dziko*).

Co? my wyparci? jestże lud tak hardy
Coby z gniazd wyparł dzielne Longobardy?
O waszych skarbach dziwy ludzie plotą,
Mówią że słońce i zimą połyska
Nad waszym krajem... przychodzim po złoto!

ROZAMUNDA.

Któż was prowadzi?.. Alboin?

GRIMOALD.

Tak właśnie
Zowie się król nasz.

ROZAMUNDA (*szyderczo*).

Czy takiéj urody
Jak ty?

GRIMOALD.

Nie takiéj.

ROZAMUNDA.

Piękność jego zgaśnie
Pewno przy twojéj. A czy król wasz młody?
Czy on ma żonę?

GRIMOALD (*na stronie*).

Ba! zawsze i wszędzie
O to kobieta naprzód cię zagadnie!
(*Do Rozamundy*).
Król nie ma żony, kto wié, może będzie
Kiedyś twym mężem, gdy mu w oko wpadnie
Lic twoich krasa!

ROZAMUNDA (*z gniewem*).

Co ta śmiałość znaczy?
Milcz nikczemniku!

GRIMOALD.

Ha! może się mylę.
Wartoż się gniewać?

ROZAMUNDA (*łagodniéj*).

No, powiédz mi raczéj,
W jakim porządku walczy horda wasza?

GRIMOALD.

Jak to powiedzieć? mnie bój nie ustrasza,
Ale mój język nie zaprawion tyle
W szermierce słowa, jak ręka do procy.

ROZAMUNDA (*żywo*).

Mów! rozkazuję!..

GRIMOALD.

Mnie stawać oporem
Dziś nie na dobie, jam jeszcze w twéj mocy.

(*Zaczyna mówić klęcząc na jednem kolanie; potém ożywiając się coraz bardziéj powstaje: niewiasty otaczają go wkoło*).

GRIMOALD.

Gdy pieśń bojowa zabrzmi nad taborem,
Kto żyw orężem w krzyż powietrze zatnie,
A król w trzy hufce dzieli zastęp skory;
Silniejsi zbrojni w miecze i topory:
Tym zuchom straże powierza ostatnie.
Bliżéj przed nimi ściśnięci w rzęd długi
Męże w oszczepy zbrojni i w maczugi,
Na czele szyku rój młodzi wesoły
Z procą i łukiem leci do szeregu;
Obuci lekko w lipowe postoły
Zaledwie ziemi dotkną w rączym biegu:
I jam się liczył w tę gawiedź ochoczą.
Gdy hasło króla pomknie na obszary,
Wichrem na wroga uderzą te chmary,
Zagwizną strzały, proce zafurkoczą;
Jak z głowni silnie o ziemię rzuconéj
Tysiące iskier gdy w górę wytryska,
Jak te ogniki co z nad trzęsawiska
Łudzą połyskiem wzrok otumaniony;
Tak ćmy te wroga wywodzą w bezdroże,
Radby je schwycił, już w garści je trzyma,
Ba! wiatr na stepie niech schwyci kto może,
W lot mu jak tuman znikły przed oczyma;
Ledwie odetchnął, nowa czerń przyskoczy,
Nowym strzał gradem sypnie mu przed oczy,
Nad uchem procą zawarczy tak blisko,
Że wściekły gniewem ostro w miecz zadzwoni:
Wyłaman z karbów rzuca stanowisko,
Na karku śmiałków mknie w hyżéj pogoni.

GEPIDA (*z góry*).

Co widzę! nagle pogoń zatrzymana!

GRIMOALD.

Pędzi na oślep wróg wywiedzion w pole,
Aż drogę twarda zastąpi mu ściana.
Szerokim wałem stoją tam w półkole
Męże w oszczepy zbrojni i w maczugi,
Jak mur ściśnięci, a szereg ich długi;
Strasznego muru pięść ludzka nie złamie:

Wszyscy żelazny mają pancerz twardy,
I pierś żelazną i żelazne ramię.

GEPIDA (*z góry*).

Szalony zamęt! dzikie Longobardy
W szeregi nasze biją siłą wściekłą,
Jakby z pod ziemi wyrosły te chmary!

GRIMOALD.

Gdy w pierwszém starciu dość już krwi pociekło,
Gdy z sił wyczerpan, z omdlałemi bary,
Wróg tym szalonym wysiłkiem zziajany
By tchu pochwycić, chwilę krok powstrzyma,
Jak dwa potężne ramiona olbrzyma,
Suną dwa hufce od żelaznéj ściany;
Uderzą młoty, topory zabrzęczą
O blachy zbroic, przy iskier połysku,
Już wróg ogarnion żelazną obręczą:
Już go w śmiertelnym trzymamy uścisku.

GEPIDA (*z góry*).

W krąg otoczeni!.. ratunku!.. o nieba!

GRIMOALD.

Rychło się krwawa zakończy potrzeba,
Wróg w kłąb zwinięty, nie stąpić mu kroku:
Coraz to silniéj ściskamy go w kleszcze,
Stopy mu grzęzną w lipkim krwi potoku,
W śmiertelnéj matni szamocze się jeszcze;
Aż coraz szczelniéj naparty obławą,
Nie rąbnie mieczem ni w lewo ni w prawo;
Zbrakło już miejsca na zamach toporu,
Miejsca na ziemi zabrakło na trupy;
Rąbiem siekierą niby sągi w boru:
Ubite ciała zwalamy na kupy,
Zgiełk, wrzawa, zamęt! na całéj przestrzeni,
Tylko zwał trupów i tylko krwi rzeka.

GEPIDA (*rozpaczliwie*).

Ha! my pobici! na miazgę zgnieceni,
Gwałtu! kto może niech z miejsc tych ucieka!
Biédny mój ludu!.. przepadłeś!...

ROZAMUNDA (*z gwałtownem uniesieniem*).

Milcz ślepy!
Szalony obłęd stumanił ci oko,
W nich biły nasze miecze i oszczepy;
Ich trupy ziemię zasłały szeroko,
Naszym zwycięztwo! Longobardom klęska!

GEPIDA (*ukazując ręką z góry*).

Ha! garstka naszych w cwał pędzi w te strony.

ROZAMUNDA.

Wraca w tryumfie drużyna zwycięzka!
To ojciec z bratem!

(*Do Gepida*).

Bluźnierco szalony!
Komuż dziś tryumf a komu zatrata?

(*Do niewiast*).

Dajcież mi wieńce, niech oplotę w bluszcze,
Ojca miecz stary, i młodą skroń brata!

(*porywa wieńce i trzymając w obu rękach po jednym wybiega z dumną postawą na środek sceny*).

SCENA IV.

Poprzedzający, LUPOLD, GEPIDY.

LUPOLD (*z rozpaczą*).

Biada nam! hańba! przemogły nas tłuszcze!

ROZAMUNDA.

My pokonani! a brat mój?

LUPOLD.

Zabity!

ROZAMUNDA (*wypuszczając z ręki jeden wieniec*).

Brat mój zabity!.. a ojciec?..

LUPOLD.

Morderca
Tenże sam oszczep z krwi syna niezmyty,
Alboin ojcu zanurzył w głąb serca.

ROZAMUNDA.

(*puszczając drugi wieniec i patrząc wkoło półobłąkanym wzrokiem*).

Ojciec!.. o nieba!.. ziemia drży podemną,
Walą się skały i niebo upada,
W mój głowie zamęt... wir... w oczach mi ciemno...

(*pada w objęcia Romildy*).

ROMILDA.

Boże! ratunku!

LUPOLD.

Co począć?

ROMILDA.

Jak blada!

LUPOLD.

Trop w trop za nami pędzi wróg zuchwały.
(*Do Gepidów*):
Wam czas się ukryć w tę jaskinię czarną,
A ja do zamku podążę w lot strzały,
Zachowam skarby, zaczém je zagarną
Chciwi łupieżce... czyż nieba ustrzegą
Nasze świętości od zniewag i wzgardy?
(*Lupold odchodzi, Gepidy ukrywają się*).

ROMILDA (*pochylona nad Rozamundą*)

O! Rozamundo!

ROZAMUNDA (*otwierając oczy*).

Gdzie jestem? dlaczego
Wieńce na ziemi?

GRIMOALD (*ze środka sceny patrząc na zewnątrz*).

Bracia Longobardy!
Do mnie!.. te skały otoczyć wokoło.

ROZAMUNDA

(*rzuca wzrok w tymże kierunku i spostrzega z daleka Longobardów*).

Potworne dziecz!.. sen-że to czy mary?
Więc my pobici?.. wstyd pali mi czoło!
Zabity brat mój!.. poległ ojciec stary!
A Ty o Boże! spokojny w Twém niebie!
Ty się nie troszczysz o Twych ludów losy,
Cześć bohatérów niech hańba pogrzebie;
Niech ziemia schłonie ciał ludzkich pokosy,
Tchórzliwa gawiedź niech kark dzielnych złamie,
Prawdę niech kłamstwem zagłuszą niegodni;
Ty na to patrzysz i Twe mocne ramie,
Karcącym gromem nie dosięże zbrodni?
Przed okiem Twojém zgniotła stopa twarda,
Ledwie rozwinion kwiat rycerskiéj młodzi;
Tyś na to patrzał jak miecz Longobarda
Srebrny włos starca tarzał w krwi powodzi!

GRIMOALD (*porywa oszczep leżący na ziemi*).

Jam teraz panem, a wy branki moje!

ROMILDA (*zasłaniając sobą Rozamundę*).

Precz! nie przystępuj do niéj!

GRIMOALD.

Zuch dziewczyna!
Lubię ją za to!

ROZAMUNDA (*do Grimoalda*).

Chodź tu... jaż się boję
Oszczepu twego? ugodź nim tu... w serce,
Ojca i brata zabili morderce,
Mnie umrzéć z nimi...

GRIMOALD.

W mocy Alboina
Twe przyszłe losy... on tylko ma prawo
Nad życiem twojém... on jeden, nikt więcéj.

ROZAMUNDA.

Prawda, oh prawda! Jemu ręką krwawą
Zszarpać to serce. Nie dość krwi książęcéj
Z pod jego miecza na ziemię tę ściekło!
Niechże i moja strumieniem się stoczy;
Tego tygrysa wyrzuciło piekło
Na zgubę naszą! Ha! spojrzę ci w oczy!
W twarz tobię plunę szyderstwem i wzgardą.
Gromem przekleństwa rzucę ci w oblicze,
I pierś twa zadrgnie dziki Longobardo,
I miecz pochwycisz w twe ręce zbrodnicze,
I zerwiesz dębu latorośl ostatnią,
Skoro pień runął pod twoim toporem!

ROMILDA

(*patrząc na Rozamundę z tkliwém współczuciem i podając jéj rękę*).

O Rozamundo! weź tę rękę bratnią,
Smutne dni nasze jednym poszły torem,
I ty królewno poznałaś w téj dobie
Jak blizką tronu boleść i sromota,
Jam jak ty biédna! jam jak ty sierota!
Do kresu życia będę wierną tobie!

ROZAMUNDA (*z dumą*).

Równać się ze mną?.. tobież to przystoi?
Twa siła mojéj sprostać-że podoła?
Może grom z nieba utkwić w piersi mojéj;
Lecz srom niewoli nie zbrudzi mi czoła!

KONIEC AKTU I-GO.

AKT II.

Sala w pałacu Karnuntum; znać w niéj ślady staro-rzymskiego przepychu. Wkoło arkady. Drzwi w głębi i po bokach.

SCENA I.

ALBOIN, KLEPH.

KLEPH (*klękając przed Alboinem*).

Królu mój, panie!

ALBOIN.

Tobież to przystało
Drogi piastunie, przyjacielu stary
Przedemną korzyć głowę posiwiałą?

KLEPH.

Jam lennym sługą; w znak niezłomnéj wiary,
Niech przed mym wodzem z czcią zegnę kolano! (*wstaje*).
Szczęśliwe oczy moje! bo wam dano
Dzień ten oglądać! bo wam światła starczy,
By widzieć zorzę wschodzącéj nam chwały;
Szczęśliwe oczy! bo wyście patrzały
Na owo dziecko, gdym je podjął starszy,
Na tego chłopca gdy tryumfu chciwy
Z dumą wyrzucił pierwszy grot z cięciwy;
Pod moim bokiem wyćwiczon, jak potém
Junak rycersko rwał się do oręża,
Wywijał mieczem, potrząsał brzeszczotem,
Dziś mam oglądać pierwszy tryumf męża:
Szczęśliwe oczy!

ALBOIN (*radośnie*).

Przyjacielu... dzięki!
Za to świadectwo, tak chlubne, gdy płynie
Z twych ust poważnych. Prawdaż to, na Boga
Więc jam zwyciężył?

KLEPH.

Tak mój Albolnie.
Ten miecz, przez ciebie wyrwan z trupiéj ręki
Powalonego twym orężem wroga,
Twéj czci rycerskiéj niechybne to znamie.

ALBOIN.

Żal mi go było, chłopiec jeszcze mały,
A bił się mężnie, wstecz nie cofnął kroku;
W nierównym boju sprostaż wątłe ramie?
Wstyd tę szabelkę nosić mi przy boku!
Ale gdy runął ten starzec wspaniały,
Z piersią mym twardym oszczepem rozdartą,
Wtedym pomyślał w mego ducha głębi:
Gdy mi usrebrzy czoło włos gołębi,
Tak zacnym skonem umrzéćby mi warto.
Poledz z młodzieńca bohaterskiéj dłoni,
Gdy po raz pierwszy pobieży na boje,
I starą sławę i zasługi moje,
I wszystkie bluszcze co mi czoło wieńczą
Na głowę jego przekazać młodzieńczą;
Być tą pochodnią co zgaśnięcia bliska,
Płomieniem nową zapala pochodnię!

KLEPH.

Piękne to słowo, prawda w niém połyska,
W pasmie żywota odpowiesz mu godnie!

ALBOIN.

O! przyjacielu! byle pomknąć daléj!
Przez krew i zgliszcza wśród pożarów dymu,
Duch płomienisty moją pierś rozsadza,
Szarpie mi serce, i lica mi pali,
Tyś go tu zaklął! straszliwa to władza,
On woła: naprzód! do Rzymu! do Rzymu!

KLEPH.

Musisz tu zostać, twą skroń wprzód wypada
Zwieńczyć królewską Giepidów koroną.

ALBOIN.

Czyż to konieczném?

KLEPH.

Taka moja rada,
Ową drużynę przez ciebie zwalczoną
Trzeba ci powieść na pole zapasów;
Tyś bezpieczniejszy gdy masz ją na oku
Niż po za sobą...

ALBOIN.

A jeśli włączona
W szeregi nasze, stary ład rozprzęże?

KLEPH.

Musisz zapobiedz. Jam za dawnych czasów
Widział dąb wielki, rosł w puszczy pomroku;
Szeroko krzepkie rozpostarł ramiona,
Silni jak dęby rąbali go męże.
Było ich pięciu, a zapał ich szczery,
Długo twardymi rąbali siekiery;
Daremny mozół, próżno się szamocą;
Mimo pocisków dąb krzepko się trzyma,
Aż kiedy runął obalon przemocą,
Cóżem zobaczył? oto w rdzeń olbrzyma
Wszczepiony granit wrosł weń siłą cudu:
On zabezpiecza od razów dąb stary,
I pień rozsadza w olbrzymie rozmiary!
Tak ty masz wszczepić w rdzeń twojego ludu
Naród zwyciężon, i on granit twardy
Korą dębową obcisnąć dokoła,
Gdy tak w moc nową wzrosną Longobardy...

ALBOIN(*z zapałem*).

Wspolnemi siły pomkniem wichru lotem
W kraj, kędy Alpy z chmur dźwigają czoła,
Cudnie zachodu ustrzępione złotem!
I po chropawéj onych Alp krawędzi,
Dotrzem do szczytu: ohl siły nam starczą!

KLEPH (*żywo*).

Tam rozpostarty, niby puch łabędzi
Ujrzysz śnieg wieczny!

ALBOIN (*radośnie*)

Z uśnieżoną tarczą
Jak nawałnica zbiegniem po gór stoku.
Cudneż tam gaje kwitną za górami,
Nęcą tam srebrne pogwary potoku
Jakby mówiły: pozostań tu z nami!

KLEPH (*z naleganiem*).

Tobie nie zostać! daléj pomkniesz jeszcze!

ALBOIN (*z uniesieniem*).

Naprzód, wciąż naprzód, bom celu świadomy.

KLEPH (*uroczyście*).

Słuchaj co mówią nasze runy wieszcze:
Troje sokołów poleci do Romy,
Z nich trzeci gniazdo uściele tam sobie.
Poleciał pierwszy: wstrząsł posady miasta,

Zdruzgotał skrzydło, dziś trawa porasta
Na zwycięzkiegoAllaryka grobie.
Pomknął na Romę drugi ptak Attyla,
Lecz u bram grodu skrzydła mu zadrżały:
Odskoczył z trwogą. Dziś nadeszła chwila,
Rwie się do lotu znów sokół wspaniały,
Sława na czole połyska mu gwiazdą,
Skroń jego młoda zwieńczona wawrzynem,
Na zgliszczach Romy on uściele gniazdo.
Któż on... ten sokół...

ALBOIN (*dumnie*).

Zwie się Alboinem!
Widzę przed sobą Romę panią świata,
Łupami ludu tuczoną do sytu;
Jeszcze te łuki, te wieże z granitu
Piętrzą się w niebo, lecz widzę na spodzie
Próchno i męty! W wiekuistym grodzie
Wiatr żebraczemi łachmany pomiata,
Niewolnik twardym potrząsa łańcuchem,
W stęchłéj kałuży rozpusta się lęże!
Pysznisz się Romo! a gdzie twoi mężе
Z żelazna wolą i żelaznym duchem?
Takich ja mężów przywodzę tysiące,
Twe bramy stopą przekroczym zuchwałą,
I krwi młodzieńczéj strumienie gorące
Wtoczymy szczodrze w twoją pierś strupiałą;
A ja na zgliszczu twéj chwały minionéj,
Tron mój zbuduję i zawładnę światem:
Rychłoż to będzie?

SCENA II.

Ciż sami. LUPOLD, GRIMOALD, żołnierze Longobardcy, niewolnicy. (*Żołnierze przynoszą dwie wielkie urny*).

GRIMOALD.

Przynosim tu plony
W gnieździe Gepidów zdobyte bogatém.

ALBOIN (*spoglądając w urnę*).

Ileż tu złota i cennych klejnotów!

KLEPH.

Przezorny starzec lubił kruszec złoty,
Siłaż go zgarnąć!

ALBOIN.

Mnie brakło téj cnoty,
Jam za to raczéj do szafunku gotów.
(*do Longobardów*).
Weźcie te skarby, tak zawsze i wszędzie
Z zdobytym łupem mnie czynić przystało;
Niechże z was każdy jak król możnym będzie.
Wasza pomyślność jedyną mi chwałą,
Waleczne druchy! to méj czci nie splami,
Że sam ubogim będę między wami!

ŻOŁNIERZE (*odchodząc wołają w głębi sceny*).

Niech żyje wódz nasz! cześć mu!

GRIMOALD (*ukazując drugą urnę*).

W urnie drugiéj
Koronacyjne ozdoby złożone.

KLEPH (*zaglądając w głąb urny*),

Widzę tu berło, pierścień i koronę;
Lecz nie dość na tém... kędyż puhar święty?

GRIMOALD.

Nic nie zostało.

KLEPH.

Pytać dworskie sługi,
Kędy ów puhar, w którym raz jedyny
Maczali usta króle i królowe,
W dniu gdy korona padła im na głowę.
A potém w skarbcu spoczywał nietknięty,
Nim z ojców przeszedł puścizną na syny.
(*do Lupolda*).
Ty, coś sprawował przy twym królu straże,
Mów kędy puhar?

LUPOLD.

Przecz on mi nie znany!

KLEPH.

Tobie-ż o świętym nie wiedzieć puharze?
Gdym ja na wschodzie, patrz, ja starzec siwy
Małém chłopięciem słyszał o nim dziwy,
Jako przez bogów Gepidom nadany,
Dla nich świętością stał się narodową.

ALBOIN (*do Klepha*).

Dałbyś mu pokój!

KLEPH (*do Lupolda*).

Ja go dostać muszę.
Czy słyszysz?

LUPOLD (*odchodząc*),

Choćbym przypłacił to głową,
Miéć go nie będziesz, przysięgam na duszę!

SCENA III.

ALBOIN, KLEPH.

ALBOIN.

Cóż cię obchodzi ten puhar? rzecz pusta!

KLEPH.

On tu potęgą... słuchaj Alboinie:
Mąż co do niego raz przyłożył usta,
U tego ludu on królem jedynie.

ALBOIN.

Czcza to ułuda!

KLEPH.

Szanuj ludu wiarę,
Depcze pierś ludu król co nią pomiata;
Oto trzy prawdy, prawdy jak świat stare:
Ceń wiarę ludu, ona tarczą świata;
Pilnuj przysięgi, bo kto złamie słowo,
Jakby do gruntu wstrząsł świata budową:
Strzeż się niewiasty, bo przy niéj to synu,
Na czole dzielnych schną liście wawrzynu.

ALBOIN.

Cóż mi niewiasta, co urok jéj znaczy?
Kłamstwem wcieloném zwiesz ją mistrzu drogi,
Niedość że sama wiecznie drży od trwogi,
Jeszcze odbiera moc piersi junaczéj;
Ja przecież myślę że przed laty wielu,
Nie tak bywało!

KLEPH (*zdziwiony*).

I jakież powody
Domysłu twego?

ALBOIN.

Oto przyjacielu,
Gdyśmy ciągnęli tym rozległym krajem,
Kędy Rzymianin nad białym Dunajem
Niegdyś budował świątynie i grody,
Których zwaliska głoszą jeszcze sławę
Potężnéj Romy! spostrzegłem z daleka
Nie wielki wzgórek porosły w murawę,
Widocznie ręką usypan człowieka;
Żołnierze moi w pogoni za złotem,
Zdarli murawę mieczem i brzeszczotem;
Już się wkopali w głąb ziemi jak krety,
Wtém głośny okrzyk wybiegł z ust tysiąca,
Pomknę co żywo, dopędzam do mety;
Cóżem zobaczył!

(*w coraz większém uniesieniu*)

Bieluchna, błyszcząca,
Jak śnieg na wzgórzach, oh! jeszcze wspanialéj,
Jak błysk słoneczny w miecza mego stali,
Postać niewieścia uderza mnie w oczy,
Cudownem mistrza dłutem wyrzeźbiona
Zdaje się żywa, jakby sen uroczy
Kołysał z lekka pierś jéj marmurową;
Czekam, rychło-li z ust wybieży słowo,
Rychło westchnienie wybieży z jéj łona.
Jakąż powagą tchnie cudne oblicze,
Z gładkiego czoła jakaż bije siła;
Jak pełne prawdy jéj usta dziewicze:
Tę cudną postać, mędrsi między nami
Zwali Dyanną. Oh ta gdyby żyła,
Kłamstwem ni trwogą swojéj czci nie splami!

SCENA IV.

Ciż sami. GRIMOALD.

KLEPH (*do Grimoalda*).

Cóż? święty puhar!

GRIMOALD.

Daremne szukanie!

KLEPH.

Ten rycerz stary wié o nim, rzecz pewna:
Miéj go na oku.

GRIMOALD (*do Albvina*).

Królu mój a panie!
Spieszy tu młoda Gepidów królewna.

ALBOIN (*do Klepha*).

Tobie samemu rostrzygnąć jéj losy,
Nieznośne dla mnie te jęki niewieście;
Będzież mi płakać, wyzywać niebosy:
Daruj ją komu, sprzedaj, zabij wreszcie,
Uczyń co zechcesz!
(*staje po lewéj stronie na przodzie sceny*).

SCENA V.

Ciż sami. ROZAMUNDA, ROMILDA, dwie niewiasty.

KLEPH (*do Rozamundy*)

Królewska dziewico
Przystąp tu bliżéj....

ALBOIN (*patrząc na Rozamundę*).

Co to jest? na Boga!

ROZAMUNDA *wpatrując się w Klepha (na stronie)*:

To on! zgaduję... ha! postać złowroga!
Jam ją przeczuła!... z tą krwawą źrenicą
Czarną jak piekło, z tém czołem zuchwałem,
Z twardémi usty, z których słowo łaski
Nigdy nie zbiegło!

ALBOIN (*na stronie po długiém wpatrzeniu w Rozamundę*).

Ciebiéż to widziałem?
Żyjesz Dyanno! te oka odblaski
Snem-że czy prawdą?

KLEPH (*surowo do Rozamundy*).

Królewno, w téj dobie
Roztrzygniem los twój...

ROZAMUNDA.

Człowieku, nie tobie
Rządzić mym losem! ja byłażbym jedną
Z tych nędznych niewiast, co bez czci, bez sromu
Umieją przeżyć hańbę swego domu?
Co u nóg wroga korzą się i bledną,
Dopóki życia nie wyżebrzą łzami!

Nie! taka prośba ust moich nie splami!
Nie mnie to spotka co moich spotkało.
Mnież to wlec żywot po méj czci zatracie?
Patrz!... oto sztylet... tu ręka twa kacie,
A tu pierś moja... uderz.... uderz śmiało!
Uderz głęboko, znasz drogę do serca.

ALBOIN (*przybiega nagle i wyrywa sztylet*).

Precz z nim.... oh! tobie nie umrzéć królewno!

ROZAMUNDA
(*która dopiéro spostrzegła Alboina, patrząc na niego*).

Ktoś ty młodzianie z szlachetném obliczem?
Tyś całkiem inny niż ten kat, morderca!
Jasno połyska twe oko sokole,
Tamten pogląda tak straszno, tak gniewno?
Jutrzenka chwały świéci na twém czole,
Na jego licu piętnem tajemniczem
Wyryte mordy! Zkąd związek wasz bratni?
Strzeż się, on jadem zatruje ci ducha,
Daj mi ten sztylet w nim cała otucha:
Śmierć upragniona wyrwie mnie z téj matni.

ALBOIN (*z zapałem*).

Śmierć! ja ją zduszę nim w ciebie uderzy!

ROZAMUNDA (*do Alboina z rzewném współczuciem*).

O! bo ty nie znasz moich klęsk ogromu!
On mi drogiego zamordował brata,
Z pnia królewskiego odrąbał szczep świéży,
I on pień sławny, co we czci u świata
Wieńczył koroną węgły swego domu,
Powalon przezeń!... a mnie w całe wiano
Przypadły pęta i ten srom na czole.
Zacny młodzianie! oh! gdyby ci dano
Zmierzyć oczyma tę wielką niedolę
Co mi sieroctwem krwawo pierś przygniata;
Zamiast żelazo wytrącać z rąk kata,
Tybyś wraz zemną wzniósł ku niemu ręce,
Niechby co rychléj spełnił sąd nademną,
Niechby raz koniec położył téj męce!

ALBOIN (*z królewską powagą*).

Ciebież to sądzić? oh! żądasz daremno!
Któż cię oskarżać śmié? jaka twa wina?
Tobie-to raczéj wystąpić z żałobą.
Twoi polegli z ręki Alboina,
Niech winowajca stanie sam przed tobą,
Nie on zawinił... lecz ja!

ROZAMUNDA.

Ty! o nieba!
Ty!

KLEPH (*do Alboina żywo*).

Co zamierzasz mój królu a Panie?

ROZAMUNDA.

Król!...

KLEPH (*stanowczo*).

Co się stało, już się nie odstanie,
Rychło jéj losem rozrządzić mi trzeba.

ALBOIN.

Nie mnie rozrządzać jéj losem, ni tobie;
Odejdźcie wszyscy.., gdy królewska córa
Oskarża króla, świadki nie na dobie.

ROZAMUNDA (*na stronie*).

To on! on!

ALBOIN.

Idźcie!

KLEPH.

Rozważ Alboinie!

ALBOIN.

Jużem rozważył!...

KLEPH.

Jakto?

ALBOIN.

Wiém co czynię.
(*wszyscy odchodzą, Kleph zabiera się do wyjścia*).

ROZAMUNDA (*tuląc się do Klepha*).

I ty odchodzisz? oh! zostań tu jeszcze,
Nie tak mnie trwoży twa postać ponura
I twego oka te błyski złowieszcze:
Wolę je stokroć, niż słodycz kłamliwą
Na jego czole!

ALBOIN (*do Klepha stanowczym głosem*).

Odejdź ztąd co żywo (*Kleph odchodzi*).

SCENA VI.

ALBOIN, ROZAMUNDA.

ALBOIN.

A teraz wyrok niechże sąd wyrzecze.
Ty zbrodnię moją nazwij bez obawy...

ROZAMUNDA (*gwałtownie*).

Mnież nazwać czyn twój, bez serca człowiecze!
O! w mowie ludzkiéj gdzież pocisk dość ostry,
Gotów uderzyć z ust córki, z ust siostry
W twoje oblicze, morderco ty krwawy!
Zrazu nienawiść tyś wzbudził swym czynem,
A teraz gardzę tobą... słyszysz, gardzę.

ALBOIN (*z gwałtownym wybuchem*).

Gardzisz? co słyszę?.. gardzisz Alboinem!
(*powściągając się*)
Czekajmy sądu, szał mówi w twéj skardze;
Więc jam mordercą? me czyny zbrodnicze?
Wszak zwiesz się sama bohatera dzieckiem?
Siostrą rycerza... i śmiesz mi w oblicze
Rzucać obelgi; zwać czyn mój zbójeckiém?
Zaliż twój ojciec nie zszczerbił oręża
Na karku wrogów? nie staczał krwi strugą?
Zwiesz-li mordercą tego kto zwycięża?
Śmiesz-li rycerską pomiatać zasługą?
Pamięci ojca ubliżasz tém srodze,
Promienie sławy odzierasz mu z czoła;
Długo on chadzał po téj krwawéj drodze,
Na którą teraz powinność mnie woła,
Na grobie jego sto wawrzynów kwitnie,
Gdym ja liść pierwszy dziś uszczknął zaszczytnie.

ROZAMUNDA (*nie patrząc na niego*).

Mądremi słowy nie złapiesz mnie w sidła,
I ojciec walczył i ubijał wrogi,
Lecz w słusznym boju... tak... nigdy inaczéj.

ALBOIN.

A mnie czyż wiodła chęć łupów obrzydła?
Czyżem z nienacka uderzył w ich progi?
Oni do boju zmusili mnie raczéj.
Ojczyzna moja daleko na Wschodzie,

Nagle, wojenne zaszumią pogwary;
Przybyli posły... chmar dzikich powodzie,
Wyległy z ludów téj kolebki staréj,
Od nas odciętéj olbrzymim gór zwałem,
A tu, brzmią wieści o krainie cudu
Co za Alp grzbietem roztacza się białem:
Tam nowe gniazdo usłać mi dla ludu,
On kraj w bezładzie, czeka tam na króla.
Palimy strzechy, istne pszczoły z ula
W lot po nad białym ciągniemy Dunajem,
Aż tu potrącim o graniczne kopce
Ojca twojego: z czcią wyprawiam posły,
Niech nam nie wzbrania przejść Gepidów krajem:
Stanął oporem Kunemund wyniosły,
Miałyż mu ziemię deptać ludy obce?
Smutna nieufność! w tobie nieszczęść ziarno!
Ty chwiejesz trony, walisz bohatery,
Zabijasz wiarę, tchniesz nienawiść czarną!
Nie dopuść Boże, by w méj duszy szczeréj,
Miał w kłos wybujać ten posiéw złowrogi.
Wszak iść musiałem, nie cofnąć wstecz kroku:
Przyszło do walki... oh!... do walki srogiéj!
Przebrnąłem wreszcie lecz po krwi potoku.
Mojaż w tém wina? w tém li zbrodnia cała!
Gdyby zwycięztwo com je odniósł z trudem
Na stronę twoich przeważył los ślepy,
Gdybym się znalazł opasan z mym ludem,
Na ich wystawion miecze i oszczepy,
Oniby rwali kęsy z mego ciała.
Inne w téj dobie byłyby twe losy,
Tybyś witała zwycięzców królewno,
Błogosławiła szczęśliwy miecz brata,
Coby siekł krwawe z naszych ciał pokosy.
Ty, pocałunkiem uczciłabyś pewno
Starą dłoń ojca, którąby maczugą
Tę pierś rozbiła! Oh! po naszéj klęsce
Mordy Gepidów zwałabyś zasługą.
Chwałą rycerską godną czci u świata,
Tybyś patrzała bez żalu, bez trwogi,
Gdyby tryumfem pijani zwycięzce,
Mego ci trupa rzucili pod nogi!

ROZAMUNDA (*z silném poruszeniem*).

Twojego trupa!... u nóg mych!... dlaczego
Ten dreszcz!... O zmarli wystąpcież z mogiły,
Niech mnie potężne wasze skrzydła strzegą;
Stańcie tu wkoło... dodajcie mi siły!..

ALBOIN (*rzewnie*).

Jam cię pokrzywdził, zabrałem ci tyle;
Wszak-żem cię nie znał, nie widział na oczy!

(*Po chwili z wzrastającym zapałem*).

Lecz jam przeczuwał twój obraz uroczy,
Tyś już na ziemi przebywała chwilę,
Przed laty wielu z niebiosów zesłana,
A gdyś odeszła na cześć bogów córze,
Mistrz twoje rysy odtworzył w marmurze;
Znów-li ty żyjesz? mnież-to łaska dana,
Że dwakroć twoje podziwiam oblicze?
Zkąd mi to szczęście? przed moją źrenicą
Ziemia rozwarła łono tajemnicze;
Tyś mi przemknęła jasną błyskawicą
Twarda i zimna, z marmuru niestety!
Błagałem Boga i oto cud czyni,
Ona z pod ziemi urocza bogini
Odżyła dla mnie w postaci kobiéty,
Z bijącą piersią, płomienistém okiem,
Lecz dla mnie zimną i jak marmur twardą.

ROZAMUNDA.

Dość już tych pochlebstw dziki Longobardo!
Znałam ja miecz twój, miecz nieprzebłagany;
Gdy tnie, krew z serca wytryska potokiem.
Sroższe od miecza twe słowo złowieszcze,
Bo do dna serca wślizga się jak żmija,
I tych umarłych co w niém żyli jeszcze
Zatrutym jadem raz drugi zabija!

ALBOIN (*z coraz wyższym zapałem*),

Chciałbym w nich raczéj zbudzić nowe życie,
Czém brat był tobie radością i sławą,
Promienną gwiazdą na dni twych błękicie,
Niech ja tym będę! to święte me prawo;
Dłoń ojca wiodła bezpiecznie twe kroki,
Pochwyć tę rękę, oh! siły jéj starczą,
Spocznij pod sercem téj piersi szerokiéj,
Ona ci będzie otuchą i tarczą.
Jam nie znał ojca, ni matki.... sierota!
Z bratnićm się sercem nie zrosło me serce.
Z dziecka w rycerskiéj zaprawion szermierce,
Wczas się chwyciłem miecza i brzeszczota,
Rwałem się z gniazda skrzydły sokolemi;
Chwytałem uchem co prawili starce,

Innéj ponęty nie znałem na ziemi,
Nad szczęk oręża, nad wojenne harce,
Nad promień sławy, nad wawrzyn zielony,
Co upowija czoło bohatera.
Ujrzałem ciebie.. jam inny, zmieniony,
Świat nowych pragnień dla mnie się otwiera;
Zaklętém kołem jam ogarnion cały,
Niech te pragnienia w jedném słowie streszczę,
Usta go moje nie wyrzekły jeszcze,
Jak woda żywa niech trysnie ze skały,
Tak... ja cię kocham... bądź moją... oh droga!

ROZAMUNDA (*z przerażeniem*).

Co? ty mnie kochasz! a ja... mówię tobie...
Czemuż na ustach zamarło mi słowo!
Twój wzrok morderczy!... litości!... na Boga!...
Zaczém ty w przepaść pogrążysz mnie nową,
Zabij mnie... błagam! oh! lepiéj być w grobie.

ALBOIN.

Ja! ciebie zabić?... co rzekłaś szalona!
Kiedym w posągu twe ujrzał oblicze,
O! byłbym oddał wszystkie skarby świata,
Bym skaleczone te rysy dziewicze
Mógł był podziwiać w ich pełnym uroku.
Dziś gdy przedemną stoisz odrodzona,
Z bijącém sercem, z błyskawicą w oku,
Kwitnąca krasą i życiem bogata,
Ujrzéć mi raczéj w zwaliskach świat cały,
Gwiazdzisty błękit rozdarty na niebie;
Niż dłoń zbrodniczą, niźli miecz zuchwały,
Coby morderczo śmiał ugodzić w ciebie
O Rozamundo!!...

ROZAMUNDA (*gwałtownie*).

Odstąp, z twojéj dłoni
Wybucha płomień! oh! biada mi, biada!,
Mnie ztąd uciekać... co tchu!
(*chce odejść*)

ALBOIN (*z naleganiem*).

Zostań chwilę!
Wiém co mi teraz uczynić wypada,
Tyle mówiłem... przekładałem tyle...
Prawo-ż rycerskie méj czci nie obroni
Przed twoim sądem kobiéto bez serca?

Błagałem łaski niby żebrak lichy,
W odwet za straty niosłem życie w darze,
Nic-że szalonéj nie skruszy twéj pychy?
Nic na méj dłoni plam krwi nie zamaże?
Dla ciebie zawsze jam kat i morderca,
Wart nienawiści tylko i pogardy!

(*wychodzi na środek sceny i woła*).

Chodźcie tu wszyscy!

SCENA VII.

Ciż sami. KLEPH, LUPOLD, GRIMOALD, ROMILDA, LONGOBARDY, GIEPIDY.

ALBOIN.

Wierne Longobardy!
Ktokolwiek zdobył jakiś łup w tym kraju,
Wielki czy mały, choćby rzecz ubogą,
Którąby żebrak precz odtrącił nogą,
Niech go powróci lub śmierć go nie minie!

KLEPH.

Co? po zwycięztwie! chcesz wbrew obyczaju
Odbierać łupy! prawdaż Alboinie?

ALBOIN.

Nasze zwycięztwo to obłęd... nic więcéj!
Chcieliśmy zgodnie przejść przez kraj książęcy.
Spotkał nas opór... my, z sercem zbyt skorem
Do walk i mordów, zmogliśmy go siłą;
Teraz nam droga stanęła otworem:
Wszystko za nami ma zostać jak było.

KLEPH (*z zapałem*).

Królu! co słyszę?... naszą krwią i trudem
Zdobyte ziemie i włości i grody,
Nam-że odtrącać jak dziecko odtrąca
Zużyte cacko? nićma! nićma zgody!
Prawem zdobyczy ta ziemia z tym ludem
Twoją własnością!

ALBOIN (*stanowczo*).

Milcz starcze zuchwały!

(*Przystępując do Gepidów i ukazując im Rozamundę*).

Giepidy, patrzcie! to odrośl kwitnąca
Pnia królewskiego... niechże naród cały
Czołem przed swoją uderzy królową.

LUPOLD (*z radością do Rozamundy*)

Prawdaż to pani?

ROZAMUNDA (*z wewnętrzną walką na stronie*).

Ściśnijcież się usta,
Żelazną wolą powstrzymać wam słowo!

ALBOIN (*stawając przed Rozamundą*)

Pyszna kobiéto! za umarłych głowy
Jam ci oddawał miłość swą i życie,
Ha! moja miłość bańka czcza i pusta!
Ty ją odtrącasz... zapłacę inaczéj,
Zapłacę szczodrzéj!... niech płaszcz purpurowy
Twoje królewskie osłoni ramiona,
Twe młode czoło w piękności rozkwicie,
Złota praojców niech zwieńczy korona;
Taka zapłata, nie więcéj ci znaczy,
Niż moje serce zdeptane z pogardą?
Ty siądź na tronie, mnie w świat iść szeroki,
A kiedy pójdę na białe Alp stoki,
Gromem przekleństwa rzuć za Longobardą!
Czekaj... ha czekaj... może niezadługo
Dobieży głucha wieść do twego proga,
Żem działał, walczył, żem oblan krwi strugą
Poległ w zapasach, że ostry miecz wroga
Przeszył to serce twoje.... tak... jedynie
Twoje! a teraz mnie tryumf.. mnie chwała...
Jak król, jak rycerz idę!...

(*zabiera się do wyjścia*)

ROZAMUNDA (*półgłosem jakby zapominając się*).

Alboinie!

ALBOIN (*zatrzymując się w miejscu*).

Ty wołasz?

ROZAMUNDA (*gwałtownie*).

Nie!... nie!...

ALBOIN (*rzewnie*).

O! tyś mnie wołała!

LUPOLD (*do Rozamundy*).

Każ mu precz odejść.... okrutnika noga
W progu twych ojców, ubliża ich sławie,
Wróg nienawistny.

ROZAMUNDA (*żywo*).

Mnie widzieć w nim wroga?

LUPOLD.

Wieczna mu klątwa.

ROZAMUNDA (*zwalczona uczuciem*).

Ja mu błogosławię!
Przebaczcie zmarli... O! przebacz mi Boże,
Siostra i córka walczyć już nie zdolna;
Porwane serce oprzéć się nie może:
Stój Alboinie!... stój!... tobie nie wolno
Tak mnie porzucać w méj doli sierocéj!

ALBOIN (*w najwyższém uniesieniu*)

Tyżeś to rzekła? co słyszę!... O nieba!

LUPOLD (*ponuro*).

Ha! nieszczęśliwa!

KLEPH (*gwałtownie*)

Byłożby w jéj mocy
Ukochać wroga?... czuwać mi potrzeba!

ALBOIN (*ściskając rękę Rozamundy*).

Chcesz więc być moją!

ROZAMUNDA (*w zapomnieniu o sobie*).

Jak po dniu boleści,
Kiedy sen błogi na oczy nam padnie,
Póty myśl tęskną czaruje i pieści,
Aż ją promienna pokryje zasłona,
I w śnie uroczym rzeczywistość skona!
Tak ja dziś pragnę w mojéj duszy na dnie
Zagrzebać żal mój, łzy i smutek blady,
Na twém ramieniu pragnę wesprzéć głowę,
Zatrzéć ból w sercu, a w oku łez ślady,
I sennych marzeń snuć rąbki tęczowe,
O! snu błogiego świat nam pozazdrości!
On ziemię w niebo śmiertelnym przemienia;
Ze snu takiego niéma przebudzenia
Nawet w wieczności!...

ALBOIN (*ściskając ją*).

Tak, nawet w wieczności!

KONIEC AKTU II-GO.

(Dokończenie nastąpi).

PODANIA I PIEŚNI NARODOWE.

(Przekład z rossyjskiego dzieła: *Kritika* Bielińskiego).

Narodowość, to alfa i omega estetyka naszych czasów, jak *nadobne naśladownictwo natury* było alfą i omegą estetyków zeszłego stulecia. W wyrażeniu *poeta narodowy* zamyka się najwyższa pochwała, jaką w naszych czasach zaszczycano poetę, najrozgłośniejsze miano, jakiém go uczcić mogą współcześni i potomność. Wyrazów: *poemat narodowy*, *utwór narodowy*; często dziś używają jako równoznaczników z wyrazem: doskonały, wielki, nieśmiertelny utwór. *Narodowość*, słowo czarodziejskie, tajemniczy symbol, poświęcony hieroglif jakiéjś głębokiéj i wielkiéj idei... zajmowała miejsce i twórczości i natchnienia i romantyczności, obejmując w sobie i estetykę i krytykę. Jaśniéj mówiąc, *narodowość* stała się najwyższém *criterium*, probierczym kamieniem wartości każdego poetycznego utworu i niespożytości każdéj poetyckiéj sławy. Ale czyż wszyscy mówiąc o narodowości, mówią o jednym i tym samym przedmiocie? czy nie nadużywają tego wyrazu? czy pojmują jego rzeczywiste znaczenie?. Niestety! narodowość podległa tym samym losom, jak romantyczność i wiele innych wyrażeń, które właściwie dlatego utraciły wszelką wartość, że zanadto rozciągały swoje znaczenia, które się stały niezrozumiałemi dla nikogo, dlatego właśnie, że się zdawały zrozumiałemi dla wszystkich...

Był jednak czas, kiedy wszystkie literatury skierowały się do tego, aby wyjść z narodowości i być naśladowniczémi. Naśladownictwo to wyrodziło się w literaturze Rzymian. Przejście Francuzów do naśladownictwa starożytnych, prócz innych przyczyn, miało źródło w odrazie ku sentymentalno-allegorycznemu kierunkowi ich piśmiennictwa, jakiém się odznaczyła epoka dzieląca wieki średnie od nowszych dziejów. Nic dziwnego, że wpływowi francuzkiego smaku uległy Niemcy, nie mające wcale literatury, kiedy ta już istniała we Francyi; ale to jest uderzającém,

dlaczego poddała mu się Anglia, która już miała Szekspira, wtedy, kiedy we Francyi nie było jeszcze Kornela. Przyczyny tego szukać należy bez wątpienia w ogólnym wpływie Francyi na Europę, który się dotąd przeciąga i zawsze istnieć będzie. Pod względem literatury powszechnéj Francuzi przewodniczyli i przewodniczyć będą wszystkim. Nawet w niewolniczém naśladownictwie literatur starożytnych Francuzi zostawali wiernymi sobie; byli narodowymi w duchu, będąc naśladowniczymi w słowie i formie zewnętrznéj—ale Anglicy wyrzekli się siebie, a ich naśladownictwo było kwiatem nie wydającym owocu, w całém znaczeniu tego wyrazu. Nagle, wszystko się zmieniło: z apatycznego uśpienia obudził się duch niemiecki. Szkoła romantyczna wystąpiła krzyżową wojną przeciwko klassycznemu islamizmowi....

Walka klassycyzmu z romantyzmem powstała w literaturach europejskich w końcu XVIII i na początku XIX wieku, odbiła się i w literaturze rossyjskiéj. Wiadomo, że z wyjątkiem Kryłowa, do czasów Żukowskiego i Batiuszkowa, poezya rossyjska była niezręcznem naśladownictwem francuzkiéj; mówimy niezręcznem, gdyż zapożyczając wszystkie ujemności wzoru, nie przyswoiła sobie ani gładkości i dźwięczności wiersza, ani wyrobienia językowego, ani zewnętrznego artyzmu. Żukowski obeznał nas z literaturą niemiecką, ale ponieważ w jego czasach nie było jeszcze w Rossyi dziennikarstwa w rodzaju przewodnika nowszych pojęć w społeczeństwie, innowacye jego zostały bezowocnemi, z wyjątkiem chyba tego, że nasi poeci nie przestając po dawnemu grzmieć tryumfalnémi odami i barbarzyńskim wierszem, oraz zabijać Atrydów i Brutusów, śpiewali cmentarne ballady. Co do Batiuszkowa, panujący naówczas duch naśladownictwa dotknął niemocą samodzielne jego i piękne zdolności, rozkwitłe nie na narodowym gruncie. Od roku 1820 t. j. od czasu ukazania się Puszkina, wypowiedziano i u nas wojnę klassycyzmowi. Lubo Puszkin był ogłoszony za głowę i przywódzcę chóru naszych romantyków, ale na wzór Bajrona, Walter-Skotta, Getego i Szyllera, jako prawdziwy geniusz, poszedł inną drogą, na któréj było niemożliwém podążyć naszym romantykom; czerpali oni z niego dla swych utworów rossyjskie nazwy: sztylety, kindżały, truciznę, zewnętrzną gładkość i lekkość wiersza, ale nie dosięgali nawet jego poezyi i idei. I dla téjto przyczyny, oprócz Grybojedowa, zdolności samodzielnéj i oryginalnéj, nic nie można stawić obok jego imienia, jako rzeczy nie mającéj z nim nic wspólnego. Krytycy téj epoki zachwycali się bezwarunkowo utworami Puszkina do chwili, kiedy duch jego zmężniał; nie dostrzegając, że im już zanadto był nie na rękę, z wrodzonéj ludziom słabości samolubstwa wyrzekli, że Puszkin upadł. Otóż tu dowód jasny, że albo Puszkin nie był głową naszych romantyków, albo że ci nie mieli z nim nic wspólnego. I w jednem i w drugiém zdaje się być prawda, ale nie mniéj jest widocznem, że Puszkin dokonał reformy literackiéj i pociągnął massy, lubo go te nie pojmowały. W r. 1830 liczba prozaików przewyższyła zastęp poetów.

Wszyscy rzucili się na prozę i stali się romansopisarzami i nowelistami. Zaczątek zresztą tego ruchu prozaicznego sięga epoki przed rokiem trzydziestym. Powieść nowa ukazała się ze świetnym Marlińskim i zaraz powstała pretensya do *romantyzmu i narodowości*. Ale wtedy cały romantyzm leżał w zamienianiu gminnéj sentymentalności retorycznych powieści klassycznego okresu naszéj literatury, na jakąś powieść zamaszystą co do języka i uczuć, a cała jéj narodowość zasadzała się na tém, że zaczęto czerpać treść z życia rossyjskiego historycznego i współczesnego. Napuszystość romantyczna nie była prawdziwszą od wodnistéj czułości *Biédnéj Lizy* i *Gaju Maryllі;* obie były mocno naciągane i nienaturalne, a narodowość zostawała w samych tylko nazwach; i w tym ostatnim względzie nowa powieść rossyjska tyle miała w sobie rossyjskiéj treści, o ile tragedya francuzka przedstawiała w sobie treść życia greckiego i rzymskiego. To kropla w kroplę zapomniany obecnie dramat Chomiakowa *Jermak;* imiona w nim nie tylko rossyjskie, ale historyczne rossyjskie, a duch i istota rzeczy należy do idealnych burszów niemieckich uniwersytetów, ducha zaś rossyjskiego ani tu słychać ani widać. Zapewne, że nowa powieść rossyjska niekiedy zręcznie przedrzeźniała mowę rossyjską nie tłocząc się w przysłowia i przypowieści, ani czasem w wyrażenia kronikarskie, brane z historyi Karamzina; mowa ta jednak wcale nie odbiła ducha rossyjskiego i tylko drażniła ucho podobnie do dźwięczącéj miedzi i brzęczących cymbałów, tak samo jak i w drugim dramacie tegoż autora: *Dymitr Samozwaniec*. Niemniéj przecież nowa powieść zasługiwała na uznanie z powodu chwalebnego, lubo nie wystarczającego dążenia do narodowości. Nie doprowadziła ona naszéj poezyi do rzeczywistéj poezyi rossyjskiéj, ale przygotowała massy do jéj zrozumienia. Jeszcze Marliński nie był skończył swojego zawodu, kiedy się na scenie literackiéj ukazał romans mający pretensyę do narodowości, moralizowania, moralności i do wielu rzeczy innych, których w nim wcale nie było; ale niższe sfoje mass dostrzegłszy, że bohaterowie romansu noszą imiona Piotrów i Iwanów i tytułują się narodowo, łatwo uwierzyły w rossyjskie pochodzenie utworu i rozkupiły go. Zaraz téż potém nie omieszkał ukazać się i historyczny romans rossyjski téj saméj fabryki i próby; los jego był ten sam: z początku przyjęto go z nazwiska a potém postąpiono z nim jak.... z samozwańcem.

W tém miejscu musimy się cofnąć nieco na powrót. Powieść i romans siliły się na to, aby być narodowemi, nie poniżając się do gminności. Razem z Marlińskim ukazały się i powieści Polewoja. Publiczność je zauważyła; nie miały jednak tak świetnego przyjęcia jak powieści Marlińskiego, lubo od nich gorszémi nie były. Nie odznaczały się fantazyą, ale odznaczały się rozumem, a nie były bez uczucia; język miały prosty, nie naciągany a wykończenie literackie. Ale wtedy pisał powieści i Pogodin. Chciał on sobie wytknąć własną drogę i koniecznie powieść uczynić rossyjską do skrajności. I należy mu oddać sprawiedliwość, że zdołał dla po-

wieści zrobić więcéj, niż Izmaiłow dla bajki. Odtąd w literaturze naszéj zaczyna się nowa dążność do owéj narodowości, któréj ojcem był Zagorkin. Utwór jego *Juryj Mirosławskij* mimowolnie wzmocnił ten godzien pożałowania kierunek. Złudzeni nadzwykłém powodzeniem tego romansu, niezręczne pismaki sądzili, że wszystko tu zasadza się na łyczkowych kurpiach, siermiędze, brodzie i płaskich konceptach bohatérów. Z chwilą tą zaczyna się jakby nowa epoka literatury i ukazują się prawdziwie narodowe i poetyczne powieści Gogola; sam Puszkin zaczyna się zwracać ku prozie i pisze: *Damę Pikową*, *Córkę Kapitana* i *Dąbrowskiego*; daléj pojawia się romans Łażecznikowa, Weltmana, utwory dziwaczne w całości, ale w szczegółach przebłyskiwujące jaskrawémi światełkami poezyi narodowéj. Z drugiéj strony fałszywie pojmowana narodowość rozlewa się w wielkie błoto za sprawą i gorliwością piszącéj braci niższego rzędu. Chłopy i baby, woźnice i kupcy brodaci nietylko osiągnęli prawo obywatelstwa w powieściach i romansach tych panów, ale stali się ich wyłącznymi uprzywilejowanymi bohatérami. Zręczne naśladownictwo języka tłumu, stylu ulicznego i karczemnego, stały się cechami narodowości, a narodowość została równorzędném pojęciem wielkiego talentu, poezyi, *romantyzmu*. Kierunek ten okazał się panującym mianowicie w Moskwie. *Hulanki synów kupieckich w gaju Marylli* zyskały tu idealną godność epopei narodowéj... *Wańki* i *Stefki* z porozcinanemi twarzami i sińcami pod sokolém okiem wywożono na pokaz nawet do Londynu i Madrytu, aby tam *tęskniły do rodziny* t. j. do solonych ogórków i *siwuchy*.

Ale teraz zaczęto pojmować wartość podobnéj narodowości; teraz ją nazywają już prostactwem i ulicznikowstwem. Jednak i taki kierunek narodowy był koniecznym i przyniósł wielkie korzyści. Każde żywotne pojęcie odsłania się ludziom naprzód w swoich skrajnościach, które są prawdziwe jako treść pojęcia, a fałszywe jako jednostronność.... a organiczna żywotna pełność sztuki leży w ustosunkowaniu dwóch ostateczności: artyzmu i naturalności. Każda z tych skrajności sama w sobie jest fałszem, ale przenikając się nawzajem, wyradzają prawdę. Sztukmistrzostwo jako jednostronność i skrajność wytworzyły martwy pseudoklassycyzm; naturalność jako jednostronność i ostateczność wyrodziła literaturę ulic, szynków, więzień, zabijatyk i domów nierządu. Lecz jedna i druga były koniecznémi w procesie historycznego rozwoju pojęć o sztuce....

Zwykle narodowość miesza się z naturalnością, choć są to dwa odrębne wyobrażenia; choć istotnie to co jest narodowém, nie może nie być naturalném, ale to co jest istotnie naturalném, może być wcale nie narodowém. Oprócz tego niektórzy z naszych pisarzy uważając, że oświata europejska równa wielokątność narodowości i mięszając formę z ideą, zwrócili się wyłącznie do niższych warstw narodu. Istotny artysta jest narodowym bez usiłowania; czuje on narodowość przedewszystkiém w samym sobie i bezwiednie wyciska jéj piętno na swych utworach. Lubo Tacyanna Puszkina

czyta francuzkie książki i ubiéra się podług mód europejskich, jest ona przecież istotą w najwyższym stopniu rossyjską i wtedy kiedy ją zobaczymy *panną powiatową* i wtenczas kiedy nam się ukaże księżniczką i damą światową. Ale do utworzenia takich szlachetnych typów trzeba genialności, lub wielkiego talentu, dla małych zdolności lub miernoty podręczniejszémi są chłopy, baby, lokaje—niech tylko będą zmuszone przemówić swym językiem, a narodowość już gotowa. Za to chłopi i baby poetów genialnych wyglądają szlachetniéj od panów i dygnitarzy małych talentów i miernoty; niańka Tacyanny Puszkina przy swéj prostocie i ograniczoności, jako pojęcie, tchnie artystycznym wdziękiem i sympatyą.. śmiejem się z niéj, ale ją szanujemy; miłość jéj prostoduszna i bezwiedna dla Tacyanny, sprawia nam rozkosz i razem z nią wzdychamy nad mogiłą jéj po śmierci.

Gdzie życie, tam poezya, a życie tam, gdzie idea; ująć grę życia jest to uchwycić niewidzialny i błogi powiew idei. Dla sztuki niéma szlachetniejszego i wznioślejszego przedmiotu nad człowieka, a aby mieć prawo do wyrażenia się w sztuce, człowiek winien być człowiekiem, nietylko urzędnikiem lub szlachcicem. I wieśniak ma duszę, serce, pragnienia i namiętności, miłość i nienawiść; jedném słowem życie. Ale aby odmalować życie wieśniaka, trzeba jakeśmy wspomnieli, ująć ideę tego życia, a wtedy w niém nie będzie nic pospolitego, gminnego, płaskiego ani gładkiego. Dlatego *wieczory na futorze* Gogola, malujące prostobyt Mało-rossyi tchną taką pełnią artyzmu, czarują taką niepojętą rozkoszą i taką dziwną poezyą... Pamiętajmy, że bohatérem sztuki i literatury jest *człowiek* a nie *pan* lub *chłop*... Dalecy jesteśmy od tego, abyśmy utalentowanemu pisarzowi odejmowali pewne tykania się życia ludowego, chcemy tylko, aby to czynił nie z miłości dla chłopskiego języka, nie ze skłonności do łachmanów i błota, ale dla jakiegoś celu, któremuby przewodniczyła myśl ludzka. Pogodin np. napisał powieść: *Czarna Słabość*, która w swym czasie zajęła publikę, podobnie jak wiele teraz zapomnianych już utworów. Kupcy, księże żony, robotnicy i t. d. grają główną rolę w powieści, język odbłyska wszystkiémi zaletami mowy podobnego towarzystwa, ale powieść godna uznania tylko co do celu. To samo można powiedzieć o jego powiastce „*Nędzarz*" ale kiedy p. Pogodin zaczął rozpowiadać, jak córka kupiecka zadusiła pod pierzyną chłopczyka, albo jak chłopi rżną innych i sami się duszą i t. d., to wyznać muszę, że to już szczyt romantyzmu narodowości, który jest gorszy od wszelkiego klassycyzmu. Cenimy *Jurka Miłosławskiego* Zagorkina, ale wyznajemy, że w innych jego romansach nie pojmujemy przyjemności scen jarmarcznych i języka ich bohatérów. Oddajemy również sprawiedliwość humorystycznemu talentowi p. Osnowiancńka w jego *Panu Chalawskim*, jeszcze bardziéj uznajemy piękny cel, w jakim napisana ta zabawna satyra; ale nie możemy się zachwycać wielu innémi utworami tego autora, za to tylko, że w nich chłopi mówią czystym językiem chłopskim i nie wychodzą wcale z ograniczonéj sfery

swych pojęć... Ale Bogu dzięki zaczęto już pojmować wartość podobnéj narodowości... Puszkin wykarmił swą muzę nie u macierzystego łona poezyi narodowéj, ale na glebie europejskiéj; był przygotowany nie przez *Słowo o pułku Igora*, nie przez ludowe pieśni ale przez Łomonosowa, Dierżawina, Wizina, Bogdanowicza, Kozłowa, Ozierowa, Karamzina, Dmitrieva, Żukowskiego i Batiuszkowa, pisarzy i poetów naśladowniczych i wcale nie narodowych, z wyjątkiem Kozłowa, którego bajki lubo nie narodowe, nie są zupełnie zjawiskiem samodzielném, bo wzory ich czerpał nie w poezyi narodowéj ale we francuzkim Lafontenie. Taką jest poezya przyrodzona wszystkich szczepów słowiańskich, bogata w uczucia i wyrażenia, uboga w treść, bez pierwiastków powszechności... i dlatego nie mogła się rozwinąć w poezyę artystyczną...

Poematy epiczne są trojakiego rodzaju: kosmograficzne, mitologiczne i podaniowe. Piérwszych i drugich niema u nas prawie zupełnie, a jeśliby się coś znaleść mogło w tym rodzaju, to zaledwie zasługuje na wspomnienie. Mitologia bowiem wszystkich Słowian, a głównie północno-wschodnich odgrywała bardzo małą rolę... *Słowo o pułku Igora* jest bezwątpienia najdawniejszym pomnikiem ruskiéj poezyi narodowéj w rodzaju epicznym, nosi na sobie piętno poetycznego i humanitarnego ducha południowéj Rusi. Niektórzy widzieli w nim wielki poemat, dla którego możemy niezazdrościć Illiady Grekom. Lecz słowo o pułku Igora tak podobne do Illiady, jak Słowianie jego czasów podobni byli do Greków, a Igor i Wsiewołod do Achillesa i Patrokla.

Literaci i poeci zrobili z Bojana symboliczne imię w rodzaju minstrella, trubadura, barda, ucieszyli się z tego i zaczęli wysławiać kwitnienie bogatéj literatury rossyjskiéj do XII wieku.

Ale Bojan było to imie własne, należące do jednéj osoby, żyjącéj w czasie pogaństwa.

Podania o najściu Batego na ziemię ruską i *podania o pobojowisku Mamaja*, oba te pomniki nie należą do poezyi, bo jéj śladu ani cienia w nich nie ma. Pamiętniki to nie wymowy nawet, ale retoryki swojego czasu. Ciekawszém tu daleko jest *Słowo Daniela wygnańca*, jako obraz filozofii praktycznéj i wymowy XIV wieku. Pisał w nim wygnaniec do księcia, u którego miał nadzieję wybłagać sobie przebaczenie i wolność...

Co do poematów osnutych na podaniu, zdarzało się nam słyszéć dziwne zdanie, jakoby z nich można złożyć jeden wielki poemat, jak złożono z rapsodów Iliadę. Z treści jednak tych poematów przekonamy się, że szukać w nich myśli ogólnéj, byłoby to szukać w studni muszel perłowych. Utwory te niczém nie są powiązane między sobą; treść ich wszystkich jednakowa: obfitą w słowa, uboga w zdarzenia, a próżna myśli. Poezya do prozy ma się u nich jak łyżka miodu do beczki dziegciu. Niema w nich żadnéj konsekwencyi, nawet zewnętrznéj; żadna z nich sama przez się nie wypływa z poprzedniego, ani nie obejmuje początku następnéj. W ra-

psodach tych niema ogólnego wydarzenia, ani jednego bohatéra. Włodzimierz nie ukazuje się téż ani osobą rzeczywistą, ani charakterem określonym, ale jakimś mitycznym półcieniem, bajecznym półobrazem, więcéj jako imię, ale nie jako człowiek. Tak to zawsze poezya wierna historyi: czego nie przechowała historya, tego nie przekaże poezya; a historya nie przechowała obrazu Włodzimierza bałwochwalcy, więc poezya nie ośmieliła się dotknąć Włodzimierza chrześcianina.

Jeden z bohatérów podania o „*łaskawym księciu Włodzimierzu piękném słoneczku.*" Alesza Popowicz jest więcéj przebiegłym, niż mężnym, więcéj zręcznym, niż silnym. Idzie on do walki z Tugarynym przebrany, pod cudzém mianem— ujrzawszy nieprzyjaciela, *zaledwie oddycha* (z tchórzostwa). Na wyzwanie jego udaje głuchego, i kiedy ten do niego się zbliża, aby z nim mówić a nie walczyć, on nagle uderza go maczugą w głowę... Gotując się do drugiego natarcia w skromném wyobrażeniu o swéj sile rycerskiéj, modli się o deszcz, aby zmoczył papierowe skrzydła przeciwnika, a gdy ten rzuca się na niego, używa znowu podstępu. Ty— mówi on, — wyzwałeś mnie do walki sam jeden, a za tobą stoi zastęp przeciwko mnie. Przeciwnik ogląda się za siebie, a wtedy Alesza tnie go w głowę...

Tugaryn ów, to chwalca, zuchwalec i gbur; nie arcy po rycersku kocha się w księżniczce Apraksiejewnie; w domu księcia jest jak u siebie... Ideał to dawnego zalotnika, któremu nie dosyć uciechy, musi się jeszcze pastwić i szydzić z biédnego męża. W postaci téj niekształtnéj i niewykształconéj, uosobione jest pojęcie o miłości, i jeżeli ten ruski Donżuan, ten Romeo, wyda się nie zupełnie estetycznym, przyczyna tego leży w dziwném pojęciu miłości.

Miłość tak dalece była wygnaną u nas z ciasnego kółka narodowego pojęcia o życiu, że nawet w samym ślubie zdawała się dziwnym pierwiastkiem, nieprzyjaznym pojęciu związku małżeńskiego uświęconego przez religię; poza związkami zaś ślubnemi, była szatańską rozkoszą i pokusą... Czyż się więc dziwić należy, że miłość ta ukazuje się w podobnych poematach tak prostaczo-nieestetyczną, tak cynicznie zmysłową, tak obrażającą uczucie i w tak nienadobnéj formie? Czyż zadziwiać powinno, że zalotnik w takich poematach ukazuje się jak wąż, z charakterem chwalca; natrętnika i tchórza, oblubienica zaś występuje w kształcie zmysłowéj i bezwstydnéj, z manierami ulicznéj przedajnicy, a nawet czarownicy i heretyczki. Rozpusta nawet, jakkolwiek godna sądu moralnego, może mieć jeszcze swoję poezyę, jeżeli jest owocem ognistego wybuchu namiętności i nieobuzdanego pragnienia uciechy... W naszych zaś *zalotnicach*, niema ani cienia poezyi lub wdzięku. Tu znowu ta sama przyczyna: miłość podług naszego wyobrażenia narodowego nie jest uczuciem, ale namiętnością, jakiémś zimném, cynicznem zepsuciem. Księżniczka Apraksiejewna jest ideałem oblubienicy; i dziwno, dlaczego narodowa fantazya, uosobiwszy ideał narodowy w księżniczce, która zrzucającéj z siebie więzy moralno-

ści społecznéj i przyzwoitości kobiecéj, związała ją węzłem małżeńskim z ulubieńcem podania, słońcem dawnego jéj życia i poezyi, księciem Włodzimierzem?... Nie ulega wątpliwości, że *mityczny* Włodzimierz, to poganin... poezya narodowa nie ośmieliła się dotknąć Włodzimierza *historycznego*, dlatego nie podała ani wyprawy jego na Korsuń, ani stosunków z Bizancyum, ani następujących potém jego rządów, które podają kościół i dzieje. Jeżeli zaś w tych poematach niema ani pogańskich imion osób działających, ani pogańskich bogów, ale przeciwnie częste są wzmianki o kościołach, obrazach, zaślubinach, to jestto anachronizmem, tak samo, jak, że bohaterowie Włodzimierowscy nieustannie potykają się z hanami tatarskimi, mirzami i jeżdżą do „Złotéj hordy.“ Nowy tu dowód, że poematy te powstały w czasach tatarszczyzny, jeżeli nie po niéj, a ze starożytności wzięły tylko bajeczne, mętne podania i nazwy, lub téż były poprzerabiane i poprzeinaczane w epoce tatarszczyzny, albo późniéj nieco....

Ilja Muromiec odróżnia się od wszystkich innych rycerzy. Człowiek stary, podczas biesiad nie przechwala się; do lat 30 nie chodził, resztę zaś życia poświęcił na oczyszczanie dróg publicznych od rozbójników i różnych potworów. To ruski Herkules. Piérwszy raz ukazuje się na uczcie Włodzimierzowi. Podano mu czarę zielonego wina na półtora wiadra: podjął ją jedną ręką i wypił jednym łykiem.

(Tu następuje dalszy opis pochodzenia i czynów Muromca, jak schwytał sławnego rozbójnika i przywiódł przed księcia; jak potém rozbił Kalina cara Złotéj hordy i rozpędził tatarów oblegających Kijów).

Ilja Muromiec poszedł szukać swego towarzysza Waśkę-Opoja i gdy go znalazł, przyprowadził do księcia Włodzimierza — a pił dosyć wina z owym Wasilem-Opojem i nazywał go bratem swoim... Przybrany ten Waśko, to ukochane dziecko wyobraźni i fantazyi narodowéj; uosobienie to nie słabości lub występku dla nauki i zbudowania innych, przeciwnie, jestto przechwałka słabości, jako śmiałkostwa i zuchowatości, apoteoza wady, o któréj mowa.

Społeczna moralność dawnéj Rusi wyjęła pijaństwo z rzędu występków; pojęcie całego narodu nadało cechę niewątpliwéj legalności téj uciesze. Pije się tu ze smutku i radości, i przed działaniem, aby się udało, i po niém, aby lżéj odetchnąć, i przed niebezpieczeństwem, *aby się morze stało po kolana*, i po niebezpieczeństwie, aby się głośniéj niém pochwalić. Ztąd wiele przysłów np.: pijany się ocknie, a głupiec nigdy; pijanemu morze po kolano i t. p. Wielki Książe Włodzimierz jak podanie niesie, dlatego odrzucił wiarę żydowską i mahometańską, „*że pić, to wesele na Rusi.*“ Prosty lud i teraz w ogólności pije... starzy i młodzi, kobiety i dzieci. Postęp cywilizacyi wykorzenia już tę wadę, zastępując wódkę herbatą, zawsze jednak nałóg ten ciekawy, bo oddający mu się, nie zawsze odsłania w nim ujemną tylko stronę.

„Po ogrodzie, po zielonym chodziła młoda księżniczka Marta Wiesławowna, z kamyka skoczyła na dzikiego węża; wąż się obwinął około obuwia z zielonego safianu, koło pończoszki jedwabnéj, ogonem bije po białém biodrze. Wtedyto księżna doznała wzruszenia i porodziła dziecię. Na niebie zaświecił jasny księżyc, a w Kijowie narodził się wielki bohatér, jakby młody czarnoksiężnik Wiesławowicz; zadrżała ziemia, wstrzęsło się sławetne carstwo indyjskie, a modre morze wzburzyło się z powodu narodzenia bohatéra, młodego czarnoksiężnika. Skryła się ryba w morską głębinę, ptak uleciał na wysokie nieba, tury i jelenie uciekły w góry, lisy i zające w kotliny, a wilki i niedźwiedzie w jedliny, sobole zaś i kuny pouciekały na wyspy.“

W ogólności więc ideałem bohatéra rossyjskiego jest siła fizyczna, tryumfująca nad wszelkiemi przeszkodami, nawet nad zdrowym rozsądkiem. Dla bohatéra wszystko jest możliwém, nic się przed nim nie ostoi; jeżeli się głową o mur uderzy, mur pada, a na czole żadnego guza. Bohateryzm jest pierwszym momentem budzącego się życia w narodzie, a dzika zwierzęca siła, siła żelaznéj dłoni i czaszki, jest owym pierwszym momentem narodowego pojęcia o bohatérstwie. Nasze pieśni narodowe stanęły na takim momencie i daléj nie poszły. Dlatego bohatérowie nasi, to cienie i pozory widzenia, ale nie obrazy, nie charaktery i nie ideały określone. Nie mają oni żadnego pojęcia o męztwie i obowiązku. Każda służba dla nich dobra, każde zuchwalstwo zwycięztwem, i całe wojsko pobić i koniem stratować, i jednym łykiem wypić półtora wiadra zielonego wina i cały róg turzy miodu słodkiego na półtrzecia wiadra, nastrzelać do książęcego stołu gęsi, białych łabędzi, przelotnych szarych kaczek, i służyć do stołu i wieszać się u klamek pańskich. A jednak w tych obrazach nieokreślonych, dzikich, nieprawidłowych tkwi już pierwiastek duchowości, któremu brakło tylko życia historycznego, aby się podnieść do idei, podnieść do obrazów, i przezroczystości ideału...

Co do podań i klechd, treść ich uboga, a ztąd męcząca i jednostajna. Brak pierwiastku mistycznego, jako ziarna rozwoju wewnętrznego i obywatelskiego, ograniczona sfera bytu narodowego, zastałość życia obracającego się około siebie bez ruchu postępowego... oto przyczyna ubóstwa i jednostajności tych poematów. W Nowogrodzie tylko, gdzie wskutek handlu, ogólnego bogactwa i dostatku życie rozwinęło się szerzéj, zamaszyściéj, a duch śmiałości i odwagi znalazł dla siebie szerszą sferę, tam tylko poezya narodowa mogła się ukazać w jaskrawych przebłyskach. Piętno nowogrodzkie wycisnęło się na całym bycie rossyjskim a więc i na poezyi narodowéj; nawet sam Włodzimierz Wielki Książe kijowski, stołeczny i wszyscy jego bohatérowie mówią, działają i bankietują niejako po nowogrodzku, i jakby po kupiecku...

Cykl poematów nowogrodzkich bardzo jest szczupły. Wnikając w ich ducha i treść, przekonywamy się, że wobec nich ubogą jest cała legendowa poezya; widzimy owszem w poematach tych

świat nowy, odrębny, jako źródło kształtu, a nawet ducha życia ruskiego, a więc i poezyi. Nowogród był prototypem cywilizacyi i w ogóle formy społecznego i rodzinnego życia dawnéj Rusi...

Poemat *Busłaj* uważać należy jako mistyczny wyraz dziejowego znaczenia i społeczności Nowogrodu. Historya jego nie mogła dać treści dla poematu czysto-historycznego, albo jaśniéj mówiąc, państwowa idea Nowogrodu nie mogła się wyrazić w historyczno-poetyckiéj formie, i musiała się ograniczyć do pomięszanych, nieokreślonych i dzikich półobrazów, rysów i wzmianek mistycznych. Ścisłość i określenie się należą do kardynalnych warunków prawdziwéj poezyi, ale przymioty te zależą od treści. Im ta jest rzeczywistszą, istotniejszą i bardziéj substancyonalną, tém i forma staje się ściślejszą, bardziéj określną, obrazy jaśniejszemi, żywotniejszemi i zupełniejszemi... Życie Nowogrodu było *jakimś* zarodem *czegoś* napozór poważnego, ale też zostało tylko zarodem tego *czegoś* bez ruchu i rozwoju... Nowogród był zapewne osadą południowéj Rusi, która była pierwotną i rdzenną Rusią... Osada składała się z najbardziéj przedsiębiorczéj części narodu, która przesiedliwszy się na nową glebę i pod nowe niebo, oddzielała się mimowolnie od ograniczeń dawnego bytu, stawiała nowe źródła życia podług warunków nowéj okolicy, a zatrzymywała wiele ducha dawnéj rodziny, zmieniając też wiele we własnym charakterze. Gleba Nowogrodu uboga, błotnista, klimat zimny skierowały mimowolnie działalność mieszkańców do handlu. Nie mogąc być rolnikami, oderwali się od ogółu słowiańskiego bytu i stali się kupcami. Sąsiedztwo niemców jeszcze bardziéj sprzyjało rozwojowi ich przedsiębiorczości. Stawszy się jednak miastem kupieckiém, Nowogród nie został Wenecyą, ani Amsterdamem, ani też żadném z miast hanzeatyckich, z któremi handlował. Tak samo Nowogrodzianie zostawszy kupcami, nie stali się obywatelstwem prawidłowo uorganizowanéj Republiki. Wszyscy też byli kupcami przypadkowo, a handel odbywał się po azyatycku. Duch europejski określał znaczenie wszystkiego, wskazywał dla wszystkiego miejsce, usiłował wszystko oczyścić z przypadkowości i podciągnąć pod ogólne, stałe i oznaczone warunki konieczności,—wszystko systematyzował: rzemiosło podnosząc do sztuki, a tę czyniąc nauką. Nic z tego nie było w zasadach obywatelskości nowogrodzkiéj. Wpływy zewnętrzne były przyczyną jéj powstania, zewnętrzne też okoliczności dokończyły jéj formacyi. Niemoc rozdzielonéj Rusi dozwoliła rozwinąć się Nowogrodowi tak, jak połączenie jéj odebrało mu stanowisko. Co się tylko nie rozwija, to nie żyje, a co nie żyje, to umiéra; takiém jest ogólne prawo wszystkich ciał społecznych... Handel wyrodził w Nowogrodzie bogactwo, bogactwo stworzyło ducha pewnego używania, śmiałkowstwa, odwagi i awanturniczości. Wskutek tego wytworzył się tu rodzaj dziwnéj i oryginalnéj obywatelskości; powstała arystokracya pieniężna z odrębnemi formami życia, ceremoniałem, prawami społecznemi i obyczajami, ze swą towarzyskością i moralnością rodziny. Wszystko to razem wzięte, stało się

typem życia ruskiego. Bogatym był i potężnym Nowogród wówczas, kiedy Ruś była ubogą i słabą, kiedy w niéj nie było żadnéj społeczności, ani obywatelskości; wstrząsały ją najprzód wojny domowe, a potém Tatarzy. Dlategoto Nowogród dla ówczesnéj Rusi był tém, czém dziś Paryż dla Europy. Był miastem arystokracyi w znaczeniu stanu, który mając pieniędzy podostatkiem, wiele ich tracił na swe przyjemności... Bogactwo rodzi wiele potrzeb i zachceń, żądzę wygody i cenienia przyzwoitości, a jeżeli nie jest zdolném podnieść duszę, zawsze jednak może zmiękczyć zewnętrzną nieogładę i dać duchowi większy przestwór i polot w sferze wykształcenia życiowego i społecznego, lecz uwalnia człowieka od potrzeb niskich, trosk i trudu życia. Dlatego sądzimy, że rossyjska etykieta, weselne i inne obrzędy formowały się pierwiastkowo w Nowogrodzie, zkąd razem z weneckiemi i niemieckiemi towarami rozlewały się i upowszechniały po całéj Rusi. Rozumiemy tu głównie Ruś północną, ubogą i nieoświeconą, któréj sercem był najprzód Włodzimierz nad Klaźmą, a potém Moskwa. Ruś północna wyraźnie się oddzieliła od południowéj, która się potém stała Małorossyą. Ruś Czerwona, zbliżona więcéj do Kijowsko-Czernichowskiéj, także nic wspólnego nie miała z północną. Widocznie więc pierwotny typ społecznego bytu téj ostatniéj począł się w Nowogrodzie. Najlepszym tego dowodem wszystkie poematy, w których jest mowa o W. K. Włodzimierzu, niema nic wspólnego ani w istocie, ni w kolorycie ze „*Słowem o pułku Igora.*“ Przeciwnie wszystko tu nowogrodzkie: i pomysły, i wyrażenia, i ton i koloryt... i wreszcie owi rycerze, bohaterowie kupieccy.

Wasili Buślajew, to poemat nowogrodzki, a bohaterskie podania o Włodzimierzu są tylko wspomnieniami Nowogrodzianina o dawnéj jego rodzinie; wyrodziwszy się z rolnika lub żołnierza południowéj Rusi i stawszy się kupcem, wskrzeszał on ciemne podania o pierwotnéj rodzinie, podług ideału bytu ówczesnego i nowéj swéj teraz ojczyzny. Dla téj przyczyny brał on z podania samo tylko nazwy i niektóre obrazy pomięszane. Włodzimierz więc *jasne-słoneczko* okaże mu się podobném wspomnieniem, tak samo jak *Dunaj* syn Iwana, którego brzegi były niegdyś jego ojczyzną. Ale *Dunaj* stał się dlań w pieśniach i-mistycznym, Włodzimierz zaś W. Ks. stołeczny kijowski przemienił mu się w poematach na jakiegoś kupca, bogatego gościa tak pod względem mowy, jak zasad i pojęć. Ztąd to i księżna Apraxiejewna i wszystkie heroiny tak są podobne do kupcowych, a nie wolno ich inaczéj przedstawiać tylko w perłach z owiązywanemi głowami, wybielone i wyróżowane, z czarnemi zębami i czarami zielonego wina w ręku: „*chodzą one po dziedzińcu pływając jak kaczki, leciutko stąpając, mięciutko siadając, kolanka ściskając... a rączki bielutkie, paluszki delikatne i t. d.*“

Niczém lepiéj nie można scharakteryzować Nowogrodu, jak jego własną nazwą, dobroduszną i bezwiedną ale wierną: *nowogrodzka swawola* (wolnica)... Gdzie niema prawa, instytucyj państwowych czerpanych z życia, tam niema wolności, obywateli, jest

tylko samowolność i swawola, które dla osobistego bezpieczeństwa i niezawisłości członków społeczeństwa, są nie lepsze od despotyzmu azyatyckiego, jeżeli nie gorzéj jeszcze. Wiadomo, że *wiece wielkiego władcy Nowogrodu* kończyły się często krwawém nadużyciem motłochu... Nowogrodzianie byli odważni i zuchwali. Wiecowy dzwon, godło ich politycznego stanu był dla nich drogim i przewożąc go do Moskwy, zanosili się od płaczu. Taką była rzeczywistość historyczna Nowogrodu, taką była i poezya. *Basłajew*, to apoteoza jego: przedstawiciel partyi arystokratycznéj, człowiek pięknie wykształcony, bo umiał czytać, pisać i śpiewać. *Sadko* zaś to nie bojar, ani szlachcic; to siła, śmiałość i heroizm pieniężny; to arystokracya bogactwa, nabytego przez handel, to kupiec... apoteoza stanu kupieckiego.

Forma poematów narodowych odpowiada ich treści... ta sama w nich siła i to samo ubóstwo, ta sama nieokreślność i ta sama jednostajność w wyrazach i obrazach. Jeżeli u księcia albo bogacza uczta... to wszędzie zupełnie jednakowe jéj opisy... Jednem słowem wszystkie źródła naszéj narodowéj poezyi, tak nieliczne, że prawie są zliczone i wyszczególnione w wyrażeniach ogólnych, jakich się używa podług potrzeby. Forma poezyi narodowéj rossyjskiéj w ogóle jest oryginalną w najwyższym stopniu. Do głównych jéj cech należy muzykalność i pewna śpiewność. Między pieśniami są takie, w których słowa nagromadzone nie dla jakiegoś oznaczonego sensu, lecz dla szeregu dźwięków, potrzebnych dla *głosu*. Człowiek tu dla ucha zrobił ofiarę ze wszystkiego, nawet poświęcił mu i myśl. Artysta uwzględnia oba wymogi, ale śpiewak narodowy musi się uciekać do powtarzań wyrazów, a nawet całych wierszy, aby nie obrazić warunków rytmiczności. Prócz tego większą w nich rolę gra rytmiczność nie wyrazów, ale sensu: śpiewak tu nie ugania się za rytmem, składa go nie w harmonii, ale w kadencyi, i wybiera rytm mniéj bogaty, ale rzeczywistą dlań rytmicznością jest rytmiczność myśli. Rozumiemy tu dwoistość wierszów, z których drugi rymuje z pierwszym podług sensu. Ztądto owe zbyteczne napozór powtarzania wyrazów, wyrażeń i całych wierszy, ztąd i owe negacyjne podobieństwa, któremi się cieniuje rzeczywisty przedmiot pieśni: „Nie groźna to burza zrywa się w polu, nie wezbrana woda wylewa na brzegi, ale młody to książe wywodzi na wojnę zastępy“...

Od poematów bohaterskich naturalném jest przejście do podań... Poemat chwyta jakiś jeden moment z życia bohatéra; klechda obejmie cały jego żywot. Ton poematu brzmi poważniéj i poetyczniéj, ton podania bardziéj ludowo i prozaicznie. Baśnie te i podania dzielą się na dwa rodzaje: bohaterskie i satyryczne. Piérwsze odznaczają się cudzoziemskiém pochodzeniem; naleciały do nas ze Wschodu i Zachodu. Klechdy wschodnie odznaczają się pochodzeniem tatarskiém; w klechdach pochodzenia zachodniego odbija się duch rycerskości, w powstałych ze źródła wschodniego, fantastyczności...

Ale uprzywilejowani piśmiennicy popsuli w końcu rossyjskie klechdy. Czułkow wydawszy ich 10 tomów, uznał za właściwe popoprawiać je i poprzerabiać.

Od poematów i podań należałoby przejść do pieśni historycznych. Ten rodzaj poezyi narodowéj ubogi pod każdym względem, tak co do liczby, treści jak i poezyi. Trudne i ciężkie rozwijanie się Rossyi do Piotra W. zanadto było bezpłodną glebą dla poezyi. Jest kilka takich pieśni o Iwanie Groźnym i odnoszących się do epoki samozwańców, oraz wojny Rossyi z Polską o niepodległość; nie ma ich jednak więcéj nad 10 i wszystkie one nieznaczące tak co do treści, formy i historycznéj wartości. Narodowość rossyjska jeszcze się uznawała w podaniach.

Pieśni *żołnierskie* składają oddzielny cykl poezyi narodowéj; co do formy swojéj nie odrożniają się one od innych; treść ich jednak oryginalna podług pojęcia ludowego rossyjskiego rzeczy europejskich, i po mięszaninie czysto-rossyjskich wyrażeń z terminami i wyrazami sfery wojskowéj. Rodzaj ten pieśni nie dosyć znany drukowi, trudno więc o nim wyrzec coś stanowczego...

Nie taką jest poezya historyczna Małorossyi. Historya Małorossyi nie należy do historyi wszechświatowo-ludzkiéj; zakres jéj ciasny, znaczenie jéj polityczne i państwowe jest tém, czém w sztuce groteska. Mimo to jednak Małorossya była ciałem organicznie politycznem, w którém każda indywidualność uznawała siebie, żyła i oddychała w swym powszechnym żywiole; dlatego znała dobrze sprawy swéj rodziny, tak bliskie jéj sercu i duszy. Poezya narodowa Małorusi była wiernem zwierciadłem jéj dziejowego życia. I ileżto poezyi w téj poezyi! Duma o *Samku Muszkiecie* mająca tyle analogii ze *Słowem o pułku Igora*, to istny dytyramb historycznéj poezyi, to patos patryotycznego samopoznania.

Kozackie pieśni duńskie można zaliczyć do cyklu historycznych, i rzeczywiście zasługują one na to miano, niż właściwie tak nazwane historyczne ruskie pieśni narodowe. Tkwi w nich cały byt i całe dzieje tego wojennego społeczeństwa. Nawet i liczbą przewyższają pieśni historyczne; więcéj w nich i historycznéj rzeczywistości, i rozlewa się w nich obszerniéj i śmieléj poezya.

Terazby należało przejść do poezyi właściwie-lirycznéj, aleby to wymagało oddzielnéj rozprawy. Ograniczymy się przeto do tych pieśni, które głównie charakteryzują ducha narodowego. Dlatego musimy mówić o pieśniach treści epicznéj, w których przeważa żywioł liryczny, i które mogą być odbiciem rodzinnego bytu dawnéj Rusi. Jak duch śmiałkowstwa, odwagi i zuchowatości jest cechą poezyi epicznéj, tak znowu żałosność, tęsknota i smętność silnéj i potężnéj duszy, jest cechą charakterystyczną poezyi lirycznéj. Klimat i jeograficzne położenie narodu wpływają mocno na wyrobienie jego charakteru. Płaszczyste, stepowe położenie Rossyi, klimat średni, ów rok złożony z krótkiego lata a długiéj zimy,

wszystko to musiało wyrobić w narodzie uczucie nieskończonéj i głębokiéj smętności, jako zasadniczego motywum jego poezyi i muzykalności. Długa rossyjska zima z trzaskającemi mrozami, z niebem zasianém gwiazdami, ze śnieżnemi zawiejami zasypującemi oko wędrowca, i ponuremi wiatry bujającemi po nieprzejrzanéj śniegowéj równinie, któréj ponurą jednostajność przerwie to smutno zieleniejąca się jedlina, to las z pobielanemi od szronu szyszkami! Dodajcie do tego wszystkiego powolne, ciężkie, bolesne rozwijanie się dziejowe Rossyi, wojny cywilne i ciemne panowanie tatarskie, które przyzwyczaiło wieśniaka rossyjskiego uważać swe życie, pole, żonę i córkę i cały swój dobytek za cudzą własność, co chwila zdolną przejść w ręce pierwszego, któremu z żelazem w dłoni spodoba się oznajmić do niéj prawo. Daléj krwawe rządy Groźnego, zamieszki bezkrólewia... wszystko to tak harmonizowało i z surową zimą i ołowianém niebem zimnéj wiosny a ponuréj jesieni, oraz z nieskończonością płaskich i monotonnych stepów; dodajcie ówczesny byt rossyjskiego włościanina: dymną i niepokrytą chatę podobną do chlewa, pole zroszone krwawym jego potem, to puste i niezasiane, albo stratowane tatarskiemi zagonami, a niekiedy i psiemi łowami bojara; dodajcie w końcu i zwyczaj jego chowania pieniędzy w ziemię, chodzenia w łachmanach, jedząc chleb czerstwy napół z ościami, jęcząc i żaląc się na nędzę... a zrozumiecie i powód tego zwyczaju!...

Ale jeografia i historya jeszcze są niczém w porównaniu z rodzinnym bytem starożytnéj Rusi... Byt rodzinny, to pierwsze i bezpośrednie źródło poezyi narodowéj. Epiczna rossyjska narodowa poezya zdaje się, jakby nie przejęła sercowéj troski i serdecznéj smętności stanowiącéj zasadniczy pierwiastek poezyi lirycznéj. I to naturalne: rossyjska poezya epiczna prawie zupełnie obeszła i minęła życie rodziny, poświęciwszy się przedewszystkiem idei swéj narodowości w znaczeniu powszechném. Ztąd to w poezyi epicznéj uczucie odwagi, śmiałkostwa i zawadyactwa stanowi przeważny żywioł. Przeciwnie poezya liryczna poświęciła się cała życiu rodzinnemu, wszystka wychodzi z niego... i dlatego tak jest smętną, żałosną, i niekiedy tchnie tak wzruszającém uczuciem rozpaczy i zakamieniałości...

Znakomitą część pieśni familijnych stanowią pieśni tak zwane *swadziebne*. Dzielą się na wesołe i smutne: w piérwszych opiewa się szczęście zaręczonych, a głównie zaręczonéj. W pieśniach tych osobiste uczucie kobiét nie przyjmowało żadnego udziału. Pieśni smętnych daleko tu więcéj, i pełniejszych poezyi. Wszystkie zaś malują jedno uczucie: bojaźń niewiasty przyszłego nieograniczonego pana jéj losów; strach na myśl o świekrze, i żal przy rozstaniu się z domem rodziców. I wszystkie pieśni, malujące obraz małżeństwa, są potwierdzeniem złowieszczych przeczuć. I ani jednéj jedynéj, gdzieby żona nie była ofiarą przymusowego związku, srogości męża i jego rodziny...

Śmiesznémby było dowodzić, że miłość i u dawnych Rossyan stanowiła jeden z żywiołów życia. Różnica leży w objawie i rozwoju uczucia. Co do stosunku zaś do społeczeństwa, ważném jest, jak na uczucie patrzy toż społeczeństwo. Dawna Ruś pod tym względem przedstawia obraz nie arcy pocieszający; im naród bogatszy w uczucia, tém przykrzéj widzieć te uczucia dławione przez nieprawidłowo rozwijającą się społeczność. Kontrast jéj z rozsądnemi wymogami i dążnościami ludzkiéj natury stawia społeczeństwo w położeniu tragicznem; w naszéj poezyi narodowéj jest ogrom tragicznych żywiołów, świadczących o głębokości i sile ducha, który wpadłszy w sprzeczności, mścił się nad sobą i wszystkiém, co go otaczało.

Że miłość na Rusi mogła być nietylko poetyczną ale i nadobnie-poetyczną, dowodem jest ta piękna piosenka:

Tam na górze jodła,
A pod górą chatka;
W chatce Marysieńka.
Przychodzi doń ojciec,
I budzi ją budząc:
„Maryś, pójdziem do dom.“
—„Nie pójdę, nie słucham,
Noc jest bez księżyca,
Rzeki bez przewozów,
Lasy bez strażnika.‘

(Tu powtarza się strofka piérwszą i druga).

Tam na górze jodła,
A pod górą chatka;
W chatce Marysieńka.
Przyszedł do niéj Piotruś,
Piotruś pan Piotrowicz,
I budził ją budząc:
„Maryś, pójdziem do dom etc.“
—„Idę panie, słucham,
Noc jasna, miesięczna,
Rzeki z przewozami,
Lasy ze strażami....“

WIEK JANA KAZIMIERZA

w głównych przedstawcach piśmiennych.

I.

SZYMON STAROWOLSKI.

PRZEZ

A. Tyszyńskiego.

(Dokończenie).

W pismach tych był Starowolski zupełnie oryginalnym. Z tych licznych które napisał następnie najobszerniejszemi były: *Polonia*, *Institutiones rei militaris*, *Vitae Antistitum Cracoviensium* i *Monumenta*;—pisma te najwięcéj podobno zjednały autorowi głośności, i niektóre z nich najwięcéj miały przedruków, w układzie ich nie był już jednak bez poprzedników.

Dzieło *Polonia sive status regni Polonicae* obejmujące opisanie geograficzne, statystyczne kraju było podobne z treści do tych, jakie pisali już między innemi *Kromer*, *Krasiński* (dla informacyi przybywającego do kraju Henryka Walezyusza), *Sarnicki* i *Gwagnin*. Opis Starowolskiego wszakże nietylko tym dawniejszym co do wierności i szczegółowości nie ustępował, ale o ile późniejszy był nawet co do wielu szczegółów dokładniejszym, zwłaszcza od pierwszych dwóch. Ztąd też dziełko to miało następnie w niedługim czasie pięć wydań; przekład polski ogłoszony w r. 1765 jest lichy i niedokładny.

Teoryą sztuki wojskowéj (którą jako przewodnik młodzieży rycerskiéj zajął się był Starowolski), już od połowy XVI-go wieku zajmowano się w kraju. W roku 1555, na polecenie Zygmunta

Augusta (jak się to okazuje z przedmowy), *Albert* książe pruski napisał wysoko spółcześnie ceniony traktat o sztuce wojennéj i królowi go przypisał; jednocześnie prawie pisali: Jan Tarnowski *Consilium rationis bellicae*, Bartłomiéj Paprocki *Hetmana*, Marcin Bielski *Sprawę Rycerską* (i skrócenie jéj wierszem w poważném zakończeniu satyrycznego utworu *Sejm Niewieści*), przy końcu wieku XVI-go Sarnicki *Księgi Hetmańskie* i t. p.

Dzieło Starowolskiego *Institutiones rei militaris* ksiąg VIII, wydane w r. 1640, jakkolwiek według własnego objaśnienia autora złożone przeważnie ze zbioru przepisów obcych, uznane snać jednak było za pożyteczne i pożądane, gdy w krótkim czasie miało wydań trzy, a Braun w swojém *Judicium*, pomimo mniéj przychylne zdania o innych Starowolskiego pismach, o tém tak się wyraził: „wyznać należy iż z powodu zebrania w niém przepisów wojskowych najpotrzebniejszych i użytecznych, oraz dodania przykładów z dziejów dawnych i polskich, jest ono *refertissimum*, i dla tych którzy zasady rzeczy wojskowych dokładnie poznać pragną, czytania *dignissimum*."

Vitae antistitum Cracoviensium (żywoty Biskupów krakowskich), praca Starowolskiego ostatnia, była po większéj części wyciągiem z prac w tym przedmiocie Długosza, Miechowity i Kątskiego, pomnożonym wiadomościami z akt kapituły.

Dzieło olbrzymiego rozmiaru *Monumenta*, o treści i użyteczności którego mówiliśmy wyżéj, nie było wprawdzie naśladowaniem albo przedrukiem innych podobnéj treści pism, jako zbiór jednak i wypis gotowych materyałów pod względem autorskim ma tylko zasługę niezwykłéj pracowitości i wytrwałości.

Styl łaciński Starowolskiego tak w tych, jak i we wszystkich innych pismach jego, językiem tym pisanych, nie był wolny od tak nazywanych barbaryzmów, to jest wyrazów i zwrotów nieznanych klassycznym pisarzom rzymskim; wyliczają niektóre Braun, Mitzler de Koloff i inni, mimo to jednak ciż przyznawali zarazem iż w ogóle wysłowienie Starowolskiego łacińskie było jasne, poważne, najczęściéj czyste a niekiedy nawet nader ozdobne („elegantissimum"); jako na jeden z wzorów pod tym względem wskazać tu można na dziełko Starowolskiego, stosunkowie mniéj obszernego zawarcia, lecz które z natury przedmiotu wymagało więcéj niż inne wydobywania myśli własnéj, dowcipu i wymowy: *Declaratio contra obtrectatores Poloniae*. Była to odpowiedź na nader upowszechnione w Niemczech przy końcu wieku XVI-go (t. j. po niedojściu elekcyi arcyksiążąt) i początku XVII-go paszkwile na kraj polski, zawarte mianowicie w pismach i artykułach *Scopiusza*, *Gotfrieda* a zwłaszcza Tomasza *Lansiusz*. W piśmie tém obok trafności odpowiedzi zasługuje mianowicie na uwagę ta powaga i zimna krew, które umiał autor zachować, w obec ostrych, grubych i zbyt jawnie przesadnych zarzutów swych przeciwników które szczegółowie przytacza.

Pisma polskie.

Pobudka, 1616.

Uważaliśmy już, iż prawie przez cały przeciąg życia Starowolskiego, sprawy tureckie i sprawy tatarskie należały do kwestyj najwięcéj kraj obchodzących; jakoż mimo całą rozmaitość przedmiotów i zajęć którym poświęcał swe pióro, kwestye te zajmowały je prawie najczęściéj. Prócz dotykania ich w dziełach ogólnych widzieliśmy już jak traktował je i w szczególnych. Jego najpierwszém podobno pismem był *Dyskurs o wojnie tureckiéj*, jednem z ostatnich *wezwanie do koalicyi przeciwko Turcyi*; wydawał przytém *Wielkiego Turka listy*, *Dwór Cesarza Tureckiego* (pismo które miało następnie kilka wydań i przełożone było spółcześnie w Moskwie na język ruski), *Wyjazd Amurata na wojnę* i t. p. Do tejże kwestyi odnoszącém się, jakkolwiek napozór mówiącém tylko o Tatarach, jest i powyższe pismo, także jedno z najpierwszych Starowolskiego, a którego całkowity napis brzmiał: *Pobudka albo rada na zniesienie Tatarów perekopskich*. Z Tatarami, przypomnieć można, jeszcze za Zygmunta I-go stanął był układ, iż Rzeczpospolita będzie im dostarczać pewną summę na nabycie broni, a oni obowiązani będą za to służyć pomocą Rzeczypospolitéj na każde wezwanie; u nas umowa ta uważała się jako przyjęcie przez Tatarów rodzaju lenności, Tatarzy zaś uważali, iż Rzeczpospolita opłaca im haracz; praktycznym skutkiem umowy téj stało się więc nieporozumienie. Mniemana pomoc zamieniała się najczęściéj w najazd, i jednym z najobfitszych przedmiotów troski, rozmyślań, a ztąd i ukazujących się w kraju broszurek przy końcu XVI i początku XVII-go wieku było obmyślanie i drukowanie projektów w celu położenia wreszcie tamy tym najazdom. Sam np. biskup Wereszczyński jako rządca dyecezyi najbliżéj na napady te wystawionéj, nie ustawał tak w drukowanych pismach, jak w podawanych reklamach na sejm, a nawet w odezwach do obcych dworów, domagać się zwracania czynnéj uwagi na klęski te, i przedsiębrania kroków dla ich ukrócenia. Do pism jego takich np. należały *Droga pewna* do zaludnienia południowych pustyń rycerstwem z kraju (1590), *Excytarz* do podniesienia wojny świętéj (przeciwko Turkom); *Publika na sejmiki*, w któréj doradzał założenie Szkoły Rycerskiéj i Zakonu Krzyżackiego na południu na wzór Kawalerów Maltańskich, *Votum na sejm* (1597), w którém obszerniéj rozwijał podawane projekta i zaklinał o ich przyjęcie i egzekucyą. Podobnież, lubo z odcieniami w szczegółach, podawał i wymownie rozwijał porady w tym celu inny ówczesny pisarz, lubo mieszkaniec innéj strony kraju, proboszcz parnawski ks. Piotr *Grabowski* w broszurkach *Zdanie syna koronnego* etc. 1595, oraz *Polska niżna* czyli *Osada polska*, w których zamiast zakonu Krzyżaków doradzał zakładanie osad ku morzu,

z pewnego procentu włościan wsi królewskich. W podobnejże treści pisali i przemawiali między innemi niejaki J. S. w broszurze *Votum szlachcica kraj miłującego* 1595. Kicki Wojciech w wierszu *Pobudka z przestrogą* etc. 1615; w tymże więc czasie właśnie i Starowolski (wziąwszy za pióro, jak sam objaśnia, z powodu dyskursu Krysztofa *Palczewskiego* o Kozakach), wydał owe pierwsze nam znane pismo polskie *Pobudka albo rada.* W pomyśle swym co do ukrócenia najazdów tatarskich tém tu odróżnił się Starowolski od swych poprzedników, iż jak to już objaśnia sam napis, nietyle myślał albo raczéj nietylko myślał o obronie, ale raczéj o stanowczém wyparciu Tatarów z półwyspu Krymskiego. Spisane i podawane w pisemku tém zajmujące rady i projekta, wykazują też między innémi jak przyszły autor *Polonii* znał już dobrze i w owym czasie geograficzne i statystyczne szczegóły najdalszych ku południowi okolic kraju.

Wiersz: Votum, 1625.

Drugie pisemko politycznéj treści, w dziewięć lat potém wydane, którego tytuł całkowity jest: *Votum o naprawie rzeczypospolitéj*, i również mające za przedmiot porady i rady krajowi dawane, miało treść ogólniejszą; te porady i rady ściągały się tu nie do jednéj kwestyi tatarskiéj, ale do różnostronnych krajowych, ekonomicznych, obronnych, administracyjnych i t. p. O kwestyach tych wnet szczegółowiéj wspomnimy niżéj, bo powtórzeniem i rozszerzeniem ich były późniejsze Starowolskiego pisma; tu zaś wypada tylko to wspomnieć, że pismo to poważnego autora pisane jest wierszem, i że było pierwszém i ostatniém pismem jego rytmicznem. Starowolski nie tylko poetą nie był, lecz ani też był przyjacielem poezyi; widzieliśmy to i w Hekatontas, gdzie znakomitsi poeci krajowi, albo wcale nie byli wzmiankowani, albo na szary koniec usuwani. Widział snać jednak, że poezya nie jest bez zwolenników i licznych, więc dla powszechniejszego i prędszego skutku swych porad wydał je w szacie poezyi. Skutek ten nie nastąpił, bo za poezyę miał tylko Starowolski rymy i nic więcéj. Tok prozy, rymy albo kalekie albo nader łatwe, wstawki myśli dla rymów, to jest charakter téj jego poezyi dydaktycznéj od początku do końca. Sam też uczuł zapewne że forma ta nie jest pióru jego właściwa, i do formy téj stanowczo więcéj nie wrócił (1).

(1) Odnośnie do piśmiennictwa zastanawia w tym wierszu wyliczenie przez autora w zaczęciu nazwisk poetów których miał naśladować i ta szczególność iż ich tu wielbi, chociaż oprócz *Kochanowskiego*, *Grochowskiego* i *Szymonowicza* żadnego w jednoczesnie wydanem *Hecatontas* nawet nie wymienił. W zaczęciu tém tak bowiem mówi:

Prawy rycerz, 1636.

Dziełko to wydane w lat dziesięć po *Votum*, jest to zbiór jasno i rozsądnie pisanych przestróg zwróconych do głównéj klassy krajowéj (stanu rycerskiego), i dziś zajmującém jest dla nas nie tylko jako zabytek pióra polskiego takiego pisarza jak Starowolski, ale téż jako świadectwo, jaka ówcześnie przez umysły rozsądne i kraj miłujące wymaganą była poprawa obyczajów w téj klassie, więc zarazem jaki téż był szczegółowszy ich obraz.

Dziełko to niema więcéj jak IX rozdziałów. Treścią jego jest określanie jakim powinien być prawy rycerz, to jest każdy szlachcic a mianowicie w czasie pełnienia przezeń obowiązków wojskowych (1). Ideałem prawego rycerza, według autora jest: być rycerzem chrześcijańskim; jakim zaś powinien być rycerz chrześcijański to wykazuje właśnie, rozwijając mianowicie w różne odcienia ów odnoszący się do żołnierzy werset Ewangelijny: „żadnego nie bijcie ani potwarzajcie, ale na żołdziech waszych przestawajcie." Autor między innemi czyni tu uwagę, iż prawy rycerz nie powinien zaczynać wojny z siebie, ale kiedy król każe i patrzeć na cel wojny; w czasie wojny ma się głównie wystrzegać, aby nie czynić krzywdy niewinnym: winien być posłusznym wodzom, trzeźwy, roztropny, mężny, a przedewszystkiém i ostatecznie pobożnym, to jest mającym za przewodnika w czynach i myślach

Wiem, szlachetne rycerstwo! że moje Kameny
Nie będą miały u was nigdy takiéj ceny
Jakiéj są fraszki tylko poety wielkiego. (Koch. Jana).

Wdzierają się tuż za nim wdzięczni *Morsztynowie*,
Grochowscy, *Lubomirscy* *Symonidesowie*,
Toż Kochanowscy drudzy, *Andrzej z Mikołajem*,
Piotra nie opuszczając...,

Nuż *Paszkowscy*, *Paproccy* i cni *Herburtowie*,
Gruszczyńscy z Bączalskimi i przy nich *Sępiowie*;
Tych ja przykładem idąc...

(1) Każdy szlachcic a zwłaszcza posesyonat obowiązanym był w Polsce do służby wojskowéj i ztąd téż stan szlachecki nazywanym był i stanem rycerskim. W tém téż wyraźnie znaczeniu wyraził Starowolski o sobie w zaczęciu téj broszurki czyli w *przypisaniu* jéj szlachcie krajowéj, iż sam jest „*kołem tegoż płotu*". Niektórzy biorą to wyrażenie właśnie za dowód iż służył wojskowo, nam się zdaje iż przeciwnie, jest tu ono dowodem, iż nie służył wojskowo a tylko iż był zawsze *gotów* do téj służby. Oto jest bowiem dosłownie to wyrażenie: „Dla tego cni rycerze mnie mi za złe nie będziecie, iż was tym skryptem moim do dawnych praw, obyczajów, religii i męztwa napominam, bom téż sam *tego płotu kół*, i brat wasz na usługę wszelką *gotowy*."

miłość Boga i kraju. I w tém piśmie jak innych Starowolskiego styl jest prosty, jasny i zwięzły a przeto silny; w przestrogach i poradach jest praktyczny, najczęściéj przez przykłady uczącym, więc historycznym. Dla bliższego obeznania tak ze sposobem tego wykładu jak zasadami pisemka przytoczymy tu kilka wyimków.

Z rozdziału III: „Trzecia i ostatnia myśl albo intencya prawego rycerza ma być: aby na wojnie *sławy* dobréj używał. Autor objawia zdanie, które wyrażali i inni spółcześni (np. *Karnkowski* w witaniu Zygmunta III w roku 1593), że nazwanie ludów słowiańskich jest od sławy, ztąd i imiona: *Władysław*, *Bolesław*, *Mieczysław*, *Bogusław*, *Dobrysław*, *Stanisław*, *Strzeżysław*, *Janisław*, *Przecisław*, *Zdzisław* i t. p.

W rozdziale III i IV mówiąc o celu wojny, między innemi tak pisze:

„Rycerz tedy chrześcijański ma mieć oko pilne na to: aby wojna w któréj udział bierze nie była niesprawiedliwą."

Przez cel sprawiedliwy rozumiał Starowolski cel religijny, prowadzenie wojny w celu takim uznawał za słuszne.

„Gdy tedy—mówi objaśniając—wojny z Turkami nastały, poczęto u nas do Węgier syny swoje na służbę wyprawiać, aby i ćwiczenie w dziele rycerskiém brali, i jako prawi rycerze *pro gloria crucis* pogany wojowali."

Ale najwymowniéj i najobszerniéj pisał tu autor przeciw uciskowi kmiotków i do przedmiotu tego nieraz wraca; (o przedmiocie tym pisał nawet następnie oddzielną broszurkę pod napisem: *Zguba ojczyzny* Stacye): i wyraziwszy np. z żalem jak ginie zachowywana niegdyś dyscyplina, między innemi tak miał odwagę przemawiać: „Lecz od rokoszu (za Zygmunta III) wyuzdaliśmy się na wszelką swawolę i łupieztwo, że już teraz powiadamy że człowiek bez *stacyi* (kwaterunku z wygodą) służyć nie może. Za króla Stefana po 8 złotych husarzowi na ćwierć płacono a stacyj nie było. Za Zamoyskiego hetmana do Inflant po złotych 15-tu na koń dawano, gdy Białego Kamienia dobywał a stacyj nie było. A póki jeno stacye wybierać będziemy, póty na wojnach i w domu szczęścić się nam nie będzie dla łez ludzi ubogich... gdyż to wielka niesprawiedliwość jest i panu robić, czynsz i podatki powinne oddawać, i pobór Rzeczypospolitéj płacić, a jeszcze okrutnego żołnierza karmić, który bez wszelkiego miłosierdzia wszystko co jeno chłop w domu ma, gwałtownie bierze, nietylko te rzeczy które do jedzenia należą, ale i kożuch i sukmanę, wóz, sierp, siekierę, kosę, wołu, krowę, konia, cielę i cokolwiek w chałupie jego znaleźć może. A co najgorsza żonę i córkę gwałtem bierze, zbiwszy gospodarza i zraniwszy." W innem miejscu wracając do tego przedmiotu, dodaje uwagę, iż rekwizycye te pomnaża będący w modzie zbytek u szlachty żołnierzy. „Wielka to bowiem niesprawiedliwość — mówi — iż żołnierz na parę koni służąc, rydwan sześcią koni ma, w którym się jego nierządnica wozi, i pacholików kilku z myślistwem, którym żywność ubogi chłopek dawać musi, sam

od głodu z dziatkami swemi umierając. Potkałem pod Rzeszowem roku przeszłego pana jednego chorągiew, która tylko 60 usarza miała a wozów przy niéj naliczyłem 220 i pięć, z których niemal połowa poczwórnych i poszóstnych była, nuż koni luźnych, psów, białogłów i chłopiąt pieszo co niemiara. Trzy albo cztery chorągwie w dobrym rządzie témby wyżywił, co ta zgraja na jednem stanowisku zjadła. Obaczcie się one rycerstwo, a pomnijcie na straszny sąd Pański".

W rozdziale VIII wspominając o témże nadużyciu, przypisuje go mianowicie zaniedbywaniu w czasie wypraw obowiązków chrześciańskich; i między innemi mówi tu: „Teraz jeno żołnierz z domu wyjedzie, to zaraz do księżéj wsi (przypominamy iż pisząc to, Starowolski nie był jeszcze duchownym), kędy miasto jałmużny ludzi ubogich tak zedrze, że go przeklęctwo i łzy krwawe aż do piekła zaprowadzą. A skoro jeno pod chorągiew podjedzie, miasto ugody z sąsiadem, z towarzystwem swojém, albo ich pacholikami natychmiast go najedzie, porani, poszkodzi w domu, alboli téż zabije. A miasto spowiedzi i Sakramentów ŚŚ, łotrostwem wszelakiém a pijaństwem najpierwéj się bawi i coby się idąc na bitwę, miał Panu Bogu polecać i Bogarodzicę nabożnie śpiewać, to sobie jeszcze żart z Pana Boga czyni i mówi (jako był zwykł mawiać jeden niezbożny żołnierz czasu wojny Chocimskiéj za grzecznego dworzanina od wszystkich miany) „wszyscy djabli! wam się polecam, strzeżcież mię w bitwie niecnotowie, bo jako mię stracicie, będziecie się Panu Bogu za mię rachować."— W rozdziale VI mówiąc o zbytkach żołnierzy dostarcza tu Starowolski obficie materyału dla badaczy wewnętrznych krajowych szczegółów owego czasu; wyrzuty te czynili od połowy XVI wieku i inni pisarze, były one jednak zawsze jak to widać i z tego pisma Starowolskiego grochem o ścianę i owszem, zdaje się iż na wywrot skutek wywierały, sam bowiem zwracając między innemi rzecz do ubiorów, przypomina te skargi jakie wyrażał w téj rzeczy Warszewicki w dziele *De optimo Senatore* i dodaje: „A kiedy to on pisał, jeszcze się były koła nie rozbiegały, jeszcze żołnierze nie chadzali w bławatach i sobolach, jeno w karazyowych kurtach białych a czerwonych delurach; sam tylko rotmistrz w palandysie i lisiém futrze był, albo egipskich barankach... spodnich rzeczy aksamitnych albo atłasowych, bawełną przeszywanych, żaden pułkownik ani sam hetman nie miał. Wielka była ozdoba, gdy kto hamelijkę miał aksamitną albo wyłożki u rękawa".

Reformacya 1645.

Owe porady i przestrogi które Starowolski podawał i rozwijał w powyższych pismach, a mianowicie w dziełkach: *Votum*, *Prawy rycerz*, *Pobudka*,—także w piśmie które było wydane w tymże roku w którym i Votum, p. n. *Poprawa niektórych obyczajów pol-*

skich i t. p; przy schyłku życia, będąc już duchownym, jeszcze raz zebrał, powtórzył i obszerniéj w nowy sposób rozwinął w dziełku p. n. *Reformacya obyczajów polskich.* Z wyjątkiem *Monumentów* jest to jedno z najdłuższych, najwięcéj wypracowanych, i najzasłużeńszych pism Starowolskiego.—Wydane w r. 1645 (1) miało ono następnie kilka wydań i było przełożone na język łaciński (przez *Załuskiego*). — Wydane w czasie kiedy moda długich, rozumowanych tytułów książek, była w swoim rozkwicie, całkowity napis ma taki:

Reformacya obyczajów, wszystkim stanom teraźniejszych czasów zepsowanych bardzo potrzebna, tym zwłaszcza, w których jest biało czarném, dobre złem, potęga sprawiedliwością, wola prawem, upor słusznością, krzywda odpustem, niewstyd świątobliwością, utrata pochwałą, obżarstwo grzecznością, a jedném słowem quorum Deus venter est.

Traktat ten obejmuje rozdziałów 22, a napisy czyli przedmioty ich są mianowicie następne: *O pysze. O wierze. O miłości kraju. O zgodzie. O wolności i swéj woli. O szlachectwie rzetelném. O naukach. O mierności. O zbytkach. O pijaństwie. O zdz erstwach, łakomstwie, biesiadach, szczodrobliwości* i t. p. *O dobrach duchownych. O stosunkach panów do sług. O poprawie ustaw. O senatorach. O rządzie ogólnym kraju.*

Co do ogólnych zasad, a przestróg, około których ten cały wywód obraca się:—są to właśnie też same, w różnych formach i szczegółach, z których i sam Starowolski w innych swych pismach wychodził, i które w ogóle wszyscy prawie spółcześnie moraliści kraju powtarzali, t. j. narzekanie na marnotrawstwo, zbytki, swawolę możnych, bezsilność praw, brak obrony krajowéj, porządku w skarbowości, w wykonywaniu urzędów i t. p.—Te zaś szczególne wnioski do których dochodzi i któremi swe pismo kończy, są tu właśnie prawie te same jakie były i w wierszu *Votum* a mianowicie: dopominanie się pomiaru łanów, uregulowania podatków, handlu, kursu monet, ćwiczenia żołnierza, porządnego żywienia go, wznoszenia fortec na granicy i t. p. Porady i przestrogi Starowolskiego widzimy, nie były czynione z przypadku, z osobistości w widokach karyery i t. p.; lecz musiały iść z przekonania, bezstronnéj miłości kraju, gorliwéj czynności, też były bowiem za lat jego młodych jakie przy schyłku życia, też gdy pisał śród świata jak i śród murów klasztornych. Z własnych jego wzmianek w tém piśmie widać, że te porady jego wprawdzie nie były odrzucane, ale nie miały skutku, mówiąc tu bowiem o swojém dawném *Votum* i tych poradach jakie w niém dawał dodaje: „o tém wszystkiém poczęli też

(1) Pierwsze wydanie Reformacyi jest wprawdzie bez oznaczenia roku,—ale w rozdziale XXII tego pisma mówi autor wyraźnie, iż przed laty *dwudziestą* wydał był *wiersz* „o naprawie Rzeczypospolitéj,"—wiersz zaś ten jak widzieliśmy był z r. 1625.

ludzie zaraz mówić i podawali mędrsi w konsyderacyę na sejmach, ale *non secundum Reipublice utilitatem*, bo i szkoła rycerska na którą naznaczone było starostwo Murachowskie i cekhauzy które wznowiono i Kudak.. nie przyszło wszystko do swojéj doskonałości, gdyż my w żadnéj rzeczy perseverantiam nie mamy,"—mimo to jednak, te niepowodzenia porad i bezskuteczność ich, nie odstręczały go wcale od tychże wołań i pracy. Co do szczegółów wykonania: odznaczają to pismo też cechy, jakie są przymiotem i innych Starowolskiego, a mianowicie powaga, praktyczność, jasność, a nadto, dodać wypada, naukowość i doświadczenie więcéj wzniesione. Starowolski który w czasie nie krótkiego swojego życia, wszystkie prawie stany krajowe (jako rolniczy, akademicki, wojskowy, polityczny i t. p). lub sam praktykował, lub je zblizka dotykał i w rozważaniu każdego do pewnych własnych wniosków doszedł, tu je właśnie w zbliżeniu kommunikuje. Przykłady z dziejów dawnych i nowych, ze sfery obyczajowéj, któremi zwykle przeplatał i objaśniał czynione uwagi i przestrogi, w piśmie tém bogatsze jeszcze niż w dawnych;—cytacye obcych i krajowych autorow częstsze, a przytém zachowanie ścisłości za czasów Starowolskiego w literaturze naszéj prawie jeszcze nieznanéj t. j. cytacye z oznaczeniem i nazwiska i rozdziałów miejsc cytowanych (przytaczani tu są najczęściéj w ten sposób, między innemi: *Modrzewski*, *Goślicki*, *Zamoyski*, i t. p). Styl polski w piśmie tém jak i w poprzednich prosty, zwięzły i jasny, makaronizmy właściwe nader rzadkie.

To dziełko o *Reformacyi* jest można rzec, kwiatem dziełek Starowolskiego do poprawy obyczajów zwróconych, kwiatem jego polityczno-moralnéj myśli,—i dlatego (nie można tego nie wspomnieć) ile w kwiecie, dobitniéj się też w niém wyrazić musiały wszelkie cechy téj myśli, ujemne jak i dodatnie: Starowolski był szczerém dzieckiem swojego wieku, a ten wiek miał nie jedną swą wadę, u nas zwłaszcza, gdzie te ujemności, z lat dawnych, nieszczęściem i przez pióra talentu (*Orzechowski*, *Górnicki* i inni) bywały poparte,—do takich zaś należały zwłaszcza: przesada w nietolerancyi, pogarda klass, uznawanie za hańbę szlachecką zajęcie się handlem, rzemiosłem i t. p. Tych przekonań i nauk odbiciem jest w niejednem miejscu i *Reformacya* (1), wszakże strony dodatnie bez porównania liczniejsze tu, i te więc stanowią charakter główny tego traktatu.

(1) W rozdziale np. II *O wierze*, narzekając autor na upadek gorliwości w religii, dodaje między innemi: „Nie usłyszysz teraz kogoby o bluźnierstwo i niewiarę na ogień skazano, kogoby o czary publice spalono (przypomina to użalanie się Górnickiego w jego *Dyalogu*: iż od czasu spalenia za Zygmunta I-go *Malcherowéj*, nie widział już podobnéj exekucyi za kacerstwo). Przyczyny dla których niewypadało szlacheicowi trudnić się handlem i w ogóle przemysłem, Starowolski po kilka razy objaśnia, i liczy tu między innemi następne: iż zajęcia te przeszkadzałyby zajęciom rycer-

Dla bliższego wreszcie ujrzenia tak różnostronnych zasad autora w tém piśmie jak i sposobu jego wykładu, przytoczymy tu je jego własnemi słowami w kilku wyjątkach.

Z Rozdziału VII.

Co należy rozumieć przez Filozofję? (Autor widzimy nie był bynajmniéj *quietistą*). „Człowieka szlachetnym i zacnym czyni cnota. Do cnoty zaś i mądrości nie inaczéj, jeno przez ćwiczenie i nauki wyzwolone przychodzimy, dlatego w nich i w filozofii kochać się nieustawajmy i przez nie rozumu nabywając, zacność naszą zbudzić i szlachectwo utwierdzać nie zapominajmy, albowiem *virtus ipsa sine litterario cultu rudis est et invenusta. Quint.* — Lecz my filozofię błazeństwem a wszystkie ludzie uczone *żąkami* (1), *bikami*, *dominami*, *rybałtami* zowiemy. Wiedźcież iż to słowo *Philosophia* powszechnie mówiąc, wszystkie w sobie nauki świeckie i duchowne zamyka, która téż nas informuje jako z Bogiem, jako z ludźmi poczynać sobie mamy, i ztąd to Św. *Justinus* powiedział: *est revera philosophia maximum bonum et possesio et apud Deum venerabilis que ducit nos ad eum...* ale rokuby na to całego potrzeba, abym mógł wam pokazać wszystkie pożytki filozofii... póki tedy uczyć się filozofii prawdziwéj nie będziemy, i w niéj się ćwiczyć i obierać nie zechcemy, póty żadnym obyczajem drogi do szczęśliwego i spokojnego żywota nie potrafimy."

Z Rozdziału I. O Pysze.

Chociaż w piśmie *contra obtrectatores*, autor zwracał uwagę, iż Polacy nie są dumni i pogardliwi na zewnątrz, w przestrogach jednak bezpośrednio do nich zwróconych wskazywał: iż ten pierwiastek (pycha) nader szeroko rozrosł się w ich umysłach i sercach i że jest jednym z głównych przyczyn ich wad wewnętrznych. Po ogólnych uwagach o mylności sądu i rzeczywistéj nizkości ludzi pysznych, autor dodaje tu:

„A jeśli kędy pycha bardziéj i wyniosłość panuje, jako w narodzie naszym, którzy dla wysokiéj dumy naszéj i najmędrszych siebie być nad wszystkie narody rozumiemy i najmężniejszych

skim, które są obowiązkiem szlachcica,—iż szlachectwo zasadza się na cnocie, handel wymaga wybiegów;—iż to przywileje jakie ma szlachcic a które między innemi mogą go czynić swobodnym od rewizyi celnéj, ułatwiałyby kontrabandę i t. p.—Wiele tu jest myśli w téj rzeczy jakby wziętych z *Policyi* Orzechowskiego, o piśmie tém nic wspomina jednak Starowolski w swém *Hekatontas*.

(1) Starowolski mówiąc o sobie „gdym był *żakiem* w Lowanium" nie używał tu oczywiście tego wyrazu w znaczeniu ironicznem, t. j. że jakoby natenczas był już filozofem.

w dziele rycerskiém, i dla swéj woli zbytniéj którą wolnością zowiemy, zacniejszych nad króle i książęta wszystkiego świata."— „Chlubimy się dostatkami przed postronnemi, rozrzutnością popisujemy się. A oto defektów gdzie jeno spojrzysz pełno, osobliwie gdy na rozrządzenie państwa pójrzymy,—nigdy za dawniejszych wieków tak częstych i długich sejmów, albo konwokacyi, tak mądrych dyskursów i wotowania, tak wielkich kontrybucyi i podatków w historyach nie znajdujemy, jako tych wieków naszych. A przecie i konsylia nam niewychodzą dobrze, i pieniędzy w skarbie nie mamy i z długów nigdy wypłacić się nie możemy i mądremi głowami naszemi trudności powstających uspokoić nie potrafimy. Iż tedy takowe mądre a usilne rady nasze codzień ku gorszemu nam wychodzą, dzieje się to bez pochyby dla grzechów naszych a osobliwie dla wyniosłości i pychy haniebnéj."

Z Rozdziału X. (Przeciw pijaństwu i zbytkom).

„A to jest rzecz prawdziwa, że nigdy do Polski więcéj pieniędzy z postronnych krajów nie przychodziło jako teraźniejszych wieków, gdyśmy do wyniosłego (?) gospodarstwa, inne kupieckie zarobki przyłączyli, godności stanu szlacheckiego nieprzestrzegając. I ztąd to ludzie postronni tak o nas rozumieli, żeby się wielkie skarby w Polsce zostać miały,—tak wiele *dzięg*, (pieniędzy) pereł, srebra i złota.—A ono pojrzawszy po sobie przyznać to musimy, iż jako żywa Polska uboższa jako teraz nie była, częścią dla ostatecznego zniszczenia ludzi *wiejskich* i *miejskich* (1), częścią dla zbytecznego opilstwa wszystkich stanów którzy na obżarstwo i napoje drogie, co jeno mają ważą. I tak, co jeno wezmą za zboża, woły, konie i leśne towary, to wszystko wydadzą na wina, petercymenty, małmazye, miody siedmiogrodzkie, wołoskie i tabakę nieszczęsną" i t. p.

Kazania. 1645—1649.

Zostawszy duchownym, Starowolski mógł już przemawiać do ludu nietylko przez pośrednictwo broszurek, ale téż ustnie z kazalnicy,—zwłaszcza że jak wspominaliśmy otrzymał był wkrótce

(1) W sprzeczności z sobą Starowolski zdaje się być, gdy obok tego poświadczenia o zupełném zniszczeniu ludzi *wiejskich* i *miejskich*, w innem swém piśmie z r. 1655 *Lament korony*, wyrzucając przeciwnie *zbytki* wszystkim stanom krajowym mówi między innemi: „*chłopek* przeciwi się dziś mieszczankowi *i równa mu się suknią i sprzętem domowym*, żona i córki jego chustami białemi, czapeczkami, pasami i wętkami jedwabnemi,—*mieszczanie* zasię bławatami, bankietami, winami, *równają się szlachcie* i t. p.; lecz mowa tu była wyraźnie o wyjątkach, nie o ogólnym stanie klass.

obowiązek i urząd kaznodziei przy katedrze krakowskiéj. Przywykłszy zawsze myśleć i mówić myślą i słowem własném, miewał też i do ludu nauki oryginalne, gorliwe, wymowne, i te następnie i oddzielnie drukiem ogłaszał.—Wydana w r. 1640 *Świątynia Pańska* obejmuje jego kazania świąteczne z całego roku.—*Arka Testamentu* (1648) w 2-ch tomach, kazania na wszystkie niedziele;—*Wieniec niewiędniejący* (1649) kazania na wszystkie uroczystości N. Panny.

Kiedy Starowolski rozpoczął był urząd swój kaznodziejski, był to już czas w którym smak powszechny zaczął był uznawać za piękność dowcipki i zabawki z brzmień i wyrazów, porównania przesadne, wyrażenia szumne i t. p., do wymagań tych musiał się więc w części stosować, lubo zkądinąd w stylu swym był jeszcze najczęściéj czystym, wymownym i jasnym.—Większą jednak wadą, (i wadą ze względu na główny cel istotną), tych kazań przeznaczonych do nauczania ludu, było to, iż kolorem ich były zawilsze rozumowania, uczoność szkolna i t. p. cechy, które nie mogły zaręczać skutecznego wpływu przemawianiom dla ludu.—Tak np. w kazaniu na dzień Św. *Marcina* uczyniwszy Starowolski założenie, iż ten święty był podobny do *lilii polnéj*, w całéj prawie pierwszéj części kazania, rozwija przymioty lilii, wyliczając między innemi jak ją uważał Pliniusz, jak Egipcyanie, do jakich użytków posługują jéj kwiat i korzonki na Wschodzie i t. p.—W kazaniu o Św. *Franciszku* mówiąc o téj tradycyi, iż na ciele jego miały się wybić *pięć ran* Pana Jezusowych, wywód faktu tego czyni między innemi w tych słowach: „Filozofowie mają jedno axioma swoje takie: *quod est causa causae est causa causati*, np. strzeli kto z łuku do celu i trafi w cel, dobrze, nie strzałę tu chwalimy że ona w cel trafiła, ale strzelca samego który tę strzałę tak dobrze wypuścił. Przetoż, gdy mówimy że Franciszek Św. był podobien Chrystusowi Panu i jest jakby rytraktem jego, odmalowanym na duszy świątobliwością a bliznami na ciele—nie Franciszkowi to świętemu przyczytamy (lubo Arystoteles napisał: *quod est causa aliorum ut sint talia, est maxime tale*), ale to przypisujemy miłości Bożéj osobliwéj." Nieraz też w innych jego kazaniach znajdujemy: „A za niewiemy, co Cycero powiedział?.. a za niewiemy co Valerius Maximus? i t. p.

Takim jest Szymon Starowolski w swojéj zasłudze, w jego własnych myślach i słowach. Nie dodajemy tu wniosków długich o téj zasłudze, tych myślach,—bo chcieliśmy aby sam już powyższy wywód stał za nie. Najogólniejszym a nader jasnym wnioskiem tu jest: iż autor ten (jak to już powiedzieliśmy z góry) był jednym z najrozmaitszych i jednym z najzasłużeńszych pisarzy naszych swojego wieku. Przeznaczeniem jego było mieć żywot długi, a przez żywot ten stać się świadkiem najpomyślniejszych i najsmutniejszych szczegółów w dziejach krajowych. Pisma jego były więc

odbiciem jednych i drugich, cała ich treść i kierunek były owszem wyrazem tego odbicia. Połowa ich była czysto pochwalnych i szeroko pochwalnych; druga połowa przeciwnie z samych przestróg i bolesnych przestróg złożona. Jako umysł ruchliwszy i czulszy, a tém samém ściślejszy reprezentant ducha swojego wieku, Starowolski był wprawdzie przedstawicielem zarówno stron tego ducha dodatnich, jak stron ujemnych; lecz jawnie przemagającą w nim była strona dodatnia. Przedmioty które uprawiał przedstawiały dziwną wszechstronność, napozór nawet sprzeczność, od poezyi do ekonomii, od muzyki do prawnictwa, od strategii do teologii. Nie było prawie gałęzi w literaturze, którejby pracy swéj nie poświęcił, kroku w niéj nie postawił, niektóre nawet (jak np. Historya literatury), sam pierwszy stworzył;—a jednak w téj pozornéj różności była i jedność, tkwiła wewnętrzna łączność, a tą było: dobro krajowe. Co do cech tych utworów jako utworów, piśmiennym charakterem ich była być może pewna pośredniość, ale też przez to samo większa praktyczność. Myśl Szymona Starowolskiego w rozumowaniach, uwagach, nie zapuszczała się zwykle w spekulacye głębsze, wyobraźnia w loty ognistsze, nauka w przedmiotach danych nie była erudycyi wyczerpującéj; a jednak każde z pism jego odznaczała nauka istotna, dokładność od wielu wyższa, wykład loiczny, a przytém wprawa i ozdobność pióra w obu językach. Patrząc na tę szykowność, loiczność w jego utworach, na piękność słowa, nie możemy zaprzeczyć iżby cechą umysłowości tego pisarza nie był (nie tylko sama prosta zdolność ale i) *talent*;— a w téj jego gorliwości wytrwałéj, w téj szczególnéj i wyjątkowéj rzutności i wszechstronności, tkwił nawet rzec można i *geniusz*.

LITERATURA ANGIELSKA.

Z H. Taina.

PRZEZ Ed. L. ....

(Dokończenie).

Romanso-pisarze: Daniel de Foe, Richardson, Fielding, Smollet, Sterne, Goldsmith, (Robert Burns, Wiliam Cowper). — Walter-Scott. — Bajron. — Zakończenie.

XI.

Pojawiła się teraz nowa forma pisarska, odpowiednia okolicznościom i skłonnościom publicznym; romans nieromantyczny, jako lektura ludzi pozytywnych, obserwatorów i moralistów, przeznaczony nie do rozbudzania wyobraźni, jak romanse hiszpańskie i średniowieczne, nie do upiększenia rozmowy jak romanse francuzkie XVII wieku, ale do odmalowania życia rzeczywistego, do skreślenia charakterów i do sądzenia pobudek czynów. Jakby jakieś zjawisko dziwne, ukazał się nagle głos ten surowy, mieszczański w pośród zepsucia wyższego świata. Pierwsze miejsce zajmuje tu *Daniel de Foë* autor *Robinsona*. Umarł w nędzy napisawszy 210 dzieł. Nie możemy tu szczegółowo rozszerzać się nad jego niezmierną i niezmiernie pożyteczną działalnością, dość powiedzieć że dzisiejsi realiści, malarze, anatomi i t. p., ani równać się mogą z jego naturalnością; dzieła jego tak dalece sprawiały złudzenie, że lord Chatam, *Pamiętniki kawalera* uważał za historyę najrzeczywistszą. Tak samo „Przygody Robinsona" brano za najdobitniejszą prawdę. Daniela de Foe tak jak Swifta nie obchodzi wrzawa jaką dzieła jego sprawią, ale cel: napisał *Robinsona* dla przestrogi bezbożnych. Nigdy ta sztuka nie posługiwała moralniejszego i bardziéj w charakterze angielskim leżącego zadania.

Wszystkie romanse tego czasu mają tę wspólność, że im chodzi o charaktery. Są wynikiem obserwacyi i położyły sobie moralne zadanie.

„*Pamela czyli cnota wynagrodzona*", ciąg listów poufałych pisanych przez młodą osobę do swych rodziców, a wydanych dla pielęgnowania zasad cnoty w umysłach młodych ludzi płci obojga, dzieło które się opiera na prawdzie i które zaburzając umysł rozmaitością wypadków ciekawych i wzruszających, oczyszczone jest zarazem ze wszystkich obrazów usiłujących rozpłomienić serce zamiast je oświecić." Tytuł jasny, kaznodzieje zachwalali dzieło z mównic. Dowiadywano się o autora. Był nim drukarz, syn stolarza, który mając lat pięćdziesiąt, pisał w sklepiku swoim w wolnych chwilach od pracy. Był to człowiek pracowity, łagodny, często zapadający na zdrowiu, lubiący towarzystwo kobiét, trochę tylko próżny. Był zarazem surowych zasad, a przez rygoryzm przenikliwym.

Istotnie, sumienie jest światłem, moralista jest psychologiem. Ten, kto zaniepokojony przez sumienie, zajmuje się wykryciem pobudek złych i dobrych swych czynów, kto dostrzega cnoty i występki w zarodzie, kto śledzi postęp niewidzialny grzesznych myśli i uczciwych, kto jest w stanie zaznaczyć siłę, rozmiar i chwilę, pokus i oporów, ten dzierży w swéj ręce wszystkie prawie struny ludzkie, i potrzebuje tylko potrząść, ażeby wydobyć z nich najpotężniejsze akordy. W tém też polega sztuka *Richardsona*, kombinuje on równocześnie gdy bada. Nikt w tym wieku, nie dorównał mu koncepcyami szczegółowemi, porządkującémi i wikłającémi namiętności trzydziestu osób w taki sposób, iżby się z nich odsłoniła doskonale jedna postać, jeden czyn i jedna nauka.

Pierwszy ten romans jest kwiatkiem, wykwitłym w wyobraźni dziewiczéj, którego świeżości nie dorówna późniejsza dojrzałość talentu.

Jeżeli *Pamela* przedstawiała dziewicę walczącą energicznie o cześć swą i czystość religijną, to *Klaryssa Harlowe* przedstawia walkę daleko potężniejszą. Cnota, jak każda siła, mierzy się oporem, tak że im na większe narażona jest próby, tém się staje hartowniejszą i wyższą. Otóż złe i dobre w charakterze angielskim, tkwi właśnie w zbyt silnéj woli, bo gdy jéj nie wspiera czułość lub wysoki rozum, przemienia się w srogość, w upór, w tyranię, a serce staje się jaskinią najgorszych namiętności. Przeciwko takiéj rodzinie walczyć musi Klaryssa Harlowe. Ojciec jej był nieugięty we wszystkiém, co raz postanowił. Złamał wolę żony, zniżając ją do stanowiska służącéj, chce więc złamać i wolę córki, narzucając jéj za męża głupca bez czci i wiary. Oprócz piorunów ojca, spadają jeszcze na Klaryssę krzyki wściekłe brata, podobnego ze skromności do buldoga, i dokuczania starszéj siostry, brzydkiéj zazdrośnicy, która pogardzona przez Lowelasa niemoże siostrze przebaczyć jéj piękności; nareszcie gderania dwóch stryjów, starych ograniczonych kawalerów, daléj prośby

bolesne matki i ciotki, dwóch biédnych istot, zgiętych w długiéj niewoli i ślepo posłusznych. Wszyscy utworzyli ligę dla przeprowadzenia zamiarów ojca, chcącego córkę wydać za pana Solmes. „Nas jest siedmioro a tyś jedna, któż powinien ustąpić?" mówią jéj. Klaryssa obowiązuje się nie pójść nigdy za mąż. „Nie, my chcemy żebyś poszła za p. Solmes" Młoda dziewczyna tak doświadczana opiera się przecież doświadczonym i zaciętym, którzy ją chcą doprowadzić do szaleństwa, śmierci lub upadku. Błaga ich na kolanach, mdleje, wyciska im łzy. Nic nie pomaga.

Prześladowcy oburzeni że im tak tępo idzie, nie chcą jej widzieć na oczy, boją się jéj łez. Arabella jéj siostra zwłaszcza, jako obrażona w swéj brzydocie kobiéta, obmyśla udręczenia. W ostatniéj chwili nareszcie kiedy jéj dają cokolwiek odetchnąć, zaczyna się probowanie innego rodzaju, niebezpieczniejsze. Lowelas do wysokich namiętności rodziny Harlowe, dołącza odrębny talent zaostrzania tychże. Lowelas to charakter czysto angielski, a jakże odrębny od Don Juana Mozarta, lub Molieral Przedewszystkiém odróżnia go pycha nieznośna, chęć ugięcia każdego, duch walczący, potrzeba tryumfów, zmysły przychodzą późniéj dopiéro. Dał pokój skromnéj dziewczynie, dlatego że to tryumf łatwy, a dewizą jego „gnębić pyszne". Jedyną a przynajmniéj najgłówniejszą sprężyną jego czynów, jest pycha szalona i nienasycona. Uważa się na równi z Cezarem mówiąc w jednem miejscu: „Bodajem tak był potępiony, jeśli chciałbym zaślubić najpierwszą księżniczkę świata, gdybym wiedział że ona chwilkę wahać się mogła w wyborze pomiędzy mną a jakim cesarzem". Żartuje on w straszliwy sposób, na chłodno rozmawiając o złém które zrobił lub zrobić zamyśla. Oto jak zaspakaja służącego swego: „Drogi Józefie, nie trap się. Nie słusznie osławiono mię. Nie mam sobie nic do zarzucenia względem panny Betterten. Chociaż byłem zagranicą, przywdziałem po niéj żałobę, gdyż zwykłem uszanować godne istoty, które dla mnie zmarły w połogu". Już to rozpustnicy w Anglii są czémś więcéj jak lekkomyślnymi, bo są zbrodniarzami, złośliwość zaprawia ich miłostki. Lowelas, więcéj jeszcze nienawidzi niż kocha Klaryssę. W osobnéj książce, notuje sobie wszystkie obrazy wyrządzone mu przez Klaryssę i jéj rodzinę. Kiedy jest blizki rozczulenia, zagląda w książkę, oburzony gdy się Klaryssa broni. Zaczyna oblężenie, po całych nocach krąży koło domu, wprowadza lokai ze swéj ręki, podrabia listy, nie szczędzi trudu, kosztów i machinacyi; zakłada tysiące min podziemnych prowadzących do jednego celu, zuchwale czépia się najniegodziwszych środków mimo łez Klaryssy i próśb przyjaciół, mimo upomnień własnego serca. Wola żelazna każe mu stąpać po ruinach, choćby na nich sam miał paść ruiną. Przeciw wszystkim tym groźnym napadom, Klaryssa ma tylko wolę spokojną i wytrwałą, nie bez téj dumy że się stanie przykładem dla swéj płci. Widzi ona doskonale niebezpieczeństwa, czuje jak ni-

kogo niéma za sobą, jak blizką jest upadku a przecież trzyma się nieugięcie. Jakaż to zmiana od czasów Szekspira! zkąd się wzięła taka idea oryginalna i nowa u kobiéty! Kto opancerzył bohaterstwem tak czułą istotę? Przytomna Klaryssa zastawiła się zasadami niby murem, którego przebić nikt nie potrafi, chyba burząc jéj przeszłość całą i jej ducha; lecz te zasady właśnie są sidłami, a cnota ją zgubi. Zanadto dbając o *decorum*, zanadto boi się iżby świat nie dowiedział się o rozterkach rodzinnych; Solmesa nie wypędza tak jak na to zasługuje, przez kobiécą delikatność. Lowelasa gdy przysięga, upomina jako dobra chrześcianka obawiająca się skandalu! Ale z tém wszystkiem pedantką jest i cokolwiek nudną, i z całą swą wzniosłością cokolwiek do dzisiejszych dewotek podobną. Nie pociąga za sobą czytelników, ciągle się ją widzi z kodeksem przyzwoitości w ręku, ma dużo sumienia ale nic entuzyazmu. Takiémi bywają niedogodności morału posuniętego do ostatecznych granic, jakiéjbądź szkoły i jakiegobądź celu. Chcąc koniecznie człowieka uporządkować według reguł, ścieśnia się jego naturę.

Richardson dowiódł tego najzupełniej w stworzeniu *Sir Karola Grandisson* modelu „*gentlemanów* chrześciańskich". Gentleman ten jest automatem, całe życie rozważającym obowiązki. Kiedy chce odwiedzić chorego, oburza się że to niedziela, ale zaspakaja swe sumienie tém że spełnia dobry uczynek. Kocha się mimo wszelkich praw towarzyskiego konwenansu, z czułością tkliwego trubadura, słowem jest nieskazitelny i godzien kanonizacyi.

Wszakże w ten sposób nie oddaje się przysługi moralności, bo człowiek gwałtem do niéj zmuszony buntuje się; a czytając tego rodzaju książki poziewnie lub rozśmieje się szyderczo. Sztuką osięga się moralne wpływy, nie ośmiona tomami najwierniejszéj stenografii. Richardsona talent czuł się krępowany sumieniem, i tylko w gwałtownych chwilach znajdywał szczere słowo. Nie można u niego dojrzéć natury, którą przeciwnie *Fielding* chce zjednać dla siebie. Naturalność trochę gruba ale bogata, przeważa w tym człowieku, pełnym werwy, ochoty, życia i humoru. Nie hamuje on się nigdy, ale płynie naprzód całym nurtem, a młodość bujna wre w nim, nawet gdy już jest w podeszłym wieku. Wesołym jest i lubi się rozweselać, nie trwoży się o nic, niéma nawet próżności literackiéj. Pewnego dnia Garrick radził mu wykreślić jedną scenę, gdyż inaczéj publiczność ją wygwiżdże. „Pal djabli, niech ją znajdą"—odpowiada. Podczas przedstawienia gwiżdżą, artysta zawiadamia o tém Fielfdinga pijącego najspokojniej i palącego fajkę. „Patrzaj, znaleźli ją? niech ich kaci porwą". Takim szczerym śmiechem, witał najgorsze przygody. Skoro odziedziczył, hulał, sprawił liberyą, pił z sąsiadami, tak że po trzech latach był bez grosza, ale pozostała mu odwaga: kończy studya prawne, pisze dwie księgi in folio o prawach korony, i zyskuje pieniądze. Niesmak i znudzenie z daleka od niego, niéma

on nerwów kobiécych, przelewa się w nim siła, czynność, pomysły i czułość. Ubóstwia swe dzieci, kocha żonę, a gdy ją traci, o mało nie szaleje z bólu; żeni się powtórnie z poczciwą swą służącą, co charakteryzuje życie jego demokratyczne. Najlepszy téżto człowiek w świecie, choć nie obdarzony delikatnością uczuć. Czyta się jego książki, jakby się piło dobre wino które wzmacnia, ale któremu brak bukietu.

Z natury więc już swojéj nie mógł on lubić Richardsona. Zaczął téż od obrócenia w karykaturę tego autora. Piérwszy jego bohatér Józef jest bratem Pameli, i opiéra się tak samo pokusom swéj kochanki. Opór ten wydaje się tu śmiesznym ze strony młodego człowieka, śmieje się więc Fielding całém gardłem jak Rabelais. Naśladuje styl emfatyczny Richardsona, i drwi z konwenansów. Prowadzi czytelnika po szynkach, więzieniach, publicznych gościńcach, ukazuje wesołość, skandale i awantury ludowe. Józef bohatér zostaje zbity i porzucony w fosie, na to nadjeżdżają damy i gentlemany, którzy się wstydzą podjąć do powozu nagiego. To dopiéro początek, a w dalszym ciągu bójki, grube sceny lubo rażą niedelikatnością, sprawiają jednak w ostatku dźwięk wesołéj muzyki. Lecz nie sam tylko śmiech spotyka się po drodze; poczucie natury, owéj natury będącéj zbiorem namiętnostek skrytych, źle osłonionych płaszczykiem przyzwoitości i rozsądku, kierujących nami ślepo wtedy gdy nam się zdaje że my niémi kierujemy, właściwém jest Fieldingowi. Sztuka jego i przyjemność tak jak Moliera, polega na odsłonięciu jednéj poły płaszczyka. Osoby jego rozmawiają rozsądnie, aż nagle przez maleńki otwór spostrzega czytelnik próżność, głupstwo, chciwość i złostki. Instynkta rozebrane do naga przybiérają dziwaczną postać, ludzie przechadzają się z powagą, z laską w ręku, a dla nas nagimi są.

Dzielny i zdrowy talent Fieldinga, lubuje się tak samo jak talent Rembrandta w jarmarkach, w twarzach błyszczących dobrym humorem, energią i zmysłowością. Otwarta nie powściągniona natura, buja sobie z całą swobodą rozhukanéj krwi gorącéj. Nie znaczy to iżby nie był moralistą; przeciwnie jest nim, satyrą smaga występek, a będąc malarzem jest zarazem sędzią. Psychologia łączy się u niego z moralnością. Cnotę jednak uważa za instynkt, tak samo szlachetność jest dlań skłonnością wrodzoną, płynie ona jak wszystkie źródła uczynków, często zbyt szybko i zbyt obficie, Nie godzi się jéj ścieśniać rozumowaniem lub regułą. Cnota również leży we krwi i w temperamencie, wychowanie gadatliwe i rygoryzm klasztorny nie powiększają jéj. Bohatér mój—powiada Fielding—rodzi się szlachetnym, tak jak pies rodzi się przywiązanym, lub rumak ognistym. Ognisty temperament mego bohatéra może go unieść za daleko, może lubić podpijać, dziewicę uwieść, pobić się, może przyjmie pieniądze od wielkiéj damy, któréj się spodoba, może zepsuje swą reputacyę i narobi długów.

Przebaczcie mu, nerwy jego, muskuły, zmysły i nadmiar ognia, ale za to da on się wybić do krwi, a nie pozwoli ażeby w jego obecności skrzywdzono biédaka, ale cel jego będzie szczery, ale serce jego złote i mimo wszystkich szaleństw i zbytków, wart on więcéj od wszystkich wystrojonych pobożnisiów.

Trzeba atoli powiedzieć że brak jednéj ważnéj rzeczy temu autorowi, oto: finezyi, marzeń, wzniosłości entuzyastycznéj, które tak dobrze zaliczyć się mogą do właściwości natury, jak hałaśliwa wesołość i otwarta dobroć. Poezya jest tak samo prawdziwą jak i praca, o czém dobrze wiedzieli Cerwantes i Szekspir, których Fielding naśladuje. Nie dosyć jest dać obraz popędu zmysłów, gorącości krwi i wybuchu czułości, trzeba jeszcze zostawić miejsce i na zachwyt poetyczny i na rozbudzony polot duszy.

* * *

Smolleta poczucie kopjowane prozaicznie, nie opromienione geniuszem, ani jowialnością Fieldinga, nie przedstawia nic szlachetnego ani nic wesołego w obrazach. Równie zmysłowy jak Fielding, nie ma jego szczerego humoru, a jest często pospolity i odrażający. Bohatérowie jego to egoiści brutalni; przesadza w karykaturze, przesadza w zastosowaniu kontrastów, obciąża akcyę szczegółkami przykremi i niesmacznemi. Jednakże jedna zdolność tu widoczna: refleksya w rozbiorze charakterów i spostrzeganie szczegółków tak charakterystycznych, że stwarzają typy. Wszyscy autorowie téj epoki są psychologami.

Studyum tych szczegółków charakterystycznych posunięte do najwyższego stopnia, stanowi talent *Sternego*.

Talent dziwny *Sternego*, złożony z jasności i ślepoty, niezdolny dojrzéć tego, co widzą zwyczajne oczy, a zarazem dostrzegający rzeczy zakryte przed oczami najbystrzejszych. Sterne jest humorystą chorobliwym i excentrycznym, książka jego zaś magazynem ciekawostek z różnych stuleci, wszelkiego rodzaju i wszelkiego kraju. Nieład umyślny w planie i w prowadzeniu tonu, zmienia się co słowo. Skandal nęci go dlatego że zakazany, czułość jego nerwowa, a nie pochodząca z serca. Czytać go można w dniach mianowicie *splenu*, rozstrojenia nerwowego, niepogodzenia się z rozumem. Sterne sądzi, że każdy człowiek podległym jest jakiéjś manii, a w obserwowaniu téj nikt mu nie dorównał. Dochodzimy do Wikarego Wakefieldskiego, *Goldsmitha*, do idylli napisanéj prozą.

Z tym kierunkiem zaszczepienia wysokiéj moralności w sposób obrażający smak dobry, w sposób często barbarzyński, łączy się wówczas malarstwo Hogartha. Odrzuciwszy wstręt jaki budzi przedstawienie realizmu ohydnego, w sposób ile można najdrastyczniejszy, popatrzéć trzeba oczami Anglików, na cały ten szereg hogartowskich obrazów. Ówczesna myśl publiczna zwróconą była na duszę, dlatego malarstwo zarówno jak literatura jednym

płyną kanałem. Formy zbrzydzone, gesta zwierzęce, służą umyślnie na to, ażeby zbrzydzić zatrudnienia, naturę i obyczaje. Hogarth nie ukazuje nam głów i członków, ale rozpustę, nienawiść, rozpacz, brutalność, czyli wszystkie choroby i przekrzywienia woli zaciętéj Anglików, słowem, całą menażeryę namiętności. U spodu każdéj klatki, w któréj malarz zamknął jakiś występek, podpisane jest nazwisko, a zarazem potępienie ewangeliczne. Obrazy te są lekcyami. Oto naprzykład jedna przeciw piciu *ginu*: Na schodach, na ulicy, leży pijana kobieta, napół naga i skrofuliczna, uśmiecha się idyotycznie, a dziecię jéj które wypuściła z ręki, rozbija sobie głowę o bruk. Nad nią blady szkielet z zamkniętemi jamami ocznemi, trzymający kieliszek w ręku, zapada na kolanach. W około orgia i szał, podżegają widma łachmanami okryte, jedne przeciw drugim. Nędznik który się powiesił, kołysze się w szynku. Grabarze wkładają do trumny trupa nagiego kobiety. Wygłodniały gryzie, kłócąc się z psem, kość porzuconą na ziemi. Obok niego małe dziewczynki piją, a młoda kobieta daje pić gin dziecku u piersi. Waryat szpikuje dziecię swe na rożen tańcząc, a matka patrzy na to.

Lekcye te nie najlepszego gustu jakeśmy rzekli, lecz bądź cobądź tacy moraliści jak Foe, Smolett, Richardson, Johnson i Hogarth potrzebnymi są, właśnie dlatego, że mięszają barbarzyństwo z cywilizacyą.

XII.

Pomijamy poetów klassycznego wieku i najwydatniejszego między nimi, jakim jest *Pope*, a dochodzimy do wieku najnowszego i do owéj szkoły romantycznéj, na czele któréj świecą dwa niezapomniane nazwiska: *Walter-Scott* i *Bayron*.

* * *

Ze zbliżeniem się XIX wieku, zaczyna się w Europie wielka rewolucya społeczna. Publiczność myśląca i duch ludzkości zmieniają się, a skutkiem tego budzi się do życia nowa literatura. Wiek poprzedni spełnił swoje zadanie. Wyborna proza i styl klassyczny, obznajomiły najcięższe umysły z opiniami literackiemi i z odkryciami na polu nauk. Umiarkowane monarchie i regularne administracye, pozwoliły rozszerzyć się klassie średniéj, która wzrosła, spotężniała, dając świat nowy mieszczański, plebejuszowski. Świat ten zaczyna zwracać na siebie oczy, wyciskać piętno na obyczajach, aż z końcem wieku, przez zbieg nadzwyczajnych okoliczności, dochodzi do świetlanéj wysokości, nieznanéj w przeszłych stuleciach. Wielkie wynalazki zrodziły demokracyą. Maszyny parowe zaludniły w Anglii miasta mieszkańcami od 300,000—500,000. W pięćdziesięciu latach ludność się zdwoiła, a rolnictwo do takiéj doszło doskonałości, że mimo nadzwyczajnie

powiększonéj liczby ludzi potrzebujących wyżywienia, szósta część mieszkańców dostarcza im na tym samym obszarze ziemi żywności; dowóz się potroił, wywóz sześć razy zwiększył. Dobrobyt, oświata, wygody, podróże, zamiłowanie w czytaniu, czyli wszystko co było dawniéj przywilejem wybranych, stało się teraz ogólną własnością. Fale bogactwa dopomagają ubogim do pewnego stanu wygody, a dobrze się mającym do bogactwa; fale cywilizacyi wznoszą massy ludowe do pierwszych początków wychowania, a massę mieszczańską do kompletnego wykształcenia. W roku 1709 ukazał się pierwszy dziennik codzienny, téj wielkości co dłoń, który wydawca nie wiedział czém zapełnić i który przez rok rozszedł się zaledwie w 3,000 egzemplarzy. W roku 1844 stemplowano 80 milionów numerów, z których niektóre miały grubość tomu. Robotnicy i mieszczanie wzbogaceni i parweniusze, wydostają się z ciemnoty, występują na senę. Z roli komparsów przechodzą do ról pierwszorzędnych, skutkiem postępu rewolucyi, a zawsze z zasobem pracy i geniuszu, pośród wojen olbrzymich toczonych w Ameryce, we Francyi i w całéj Europie. Występują na scenę jako wynalazcy i odnowiciele nauk, jako zdobywcy praw politycznych, uszlachetniają się wielkiemi dziełami, stają się rywalami, równymi zwycięzcami swych dawnych panów; nie potrzebują ich kopjować, mogą tak jak oni poszczycić się wojnami krzyżowemi i tak jak oni mają prawo mieć swoją poezyą. Trzeba się we Francyi przypatrzyć plebejuszom, dochodzącym do znaczenia. Augereau był synem owocarki, Marceau synem prokuratora, Murat synem oberżysty, Ney synem kołodzieja, Hoche dawnym sierżantem, a przedewszystkiem ten młody człowiek, który rozbudził tyle wyobraźni romantycznéj, wywołał tyle ambicyi, rozwinął tyle wspaniałych idei, który we Włoszech zniszczył pięć armij z napół nagimi żołnierzami. Panem zostaje, ogłasza się przedstawicielem rewolucyi, oświadcza: że, „pole dla talentów otwarte" i tłumy idą za nim, a idą dlatego, bo mogą zdobyć sławę i stanowisko. „Dwóch oficerów, opowiada Stendhal—dowodziło bateryą w Talavera; kula wywraca kapitana. Dobrze—zawołał porucznik, jeden Francuz zabity, ja zostanę kapitanem. „Niekoniecznie—odrzekł podnosząc się tamten—którego strzał ogłuszył tylko." Ci dwaj ludzie nie byli bynajmniéj wrogami, ale porucznik chciał się dobić wyżéj. Takie uczucie i pojmowanie dostarczyło ludzi na rzecz cesarstwa, na rewolucye późniejsze i w dzisiejszym ścisku demokratycznym, na pracę, trudy, intrygi i podłości, wszystko dlatego żeby wyjść z pierwotnego stanu, i wznieść się na szczyty obiecane pracy i usilnym zabiegom. Osobą panującą dzisiaj nie jest bogaty elegant, król salonów, ale człowiek pracujący w swym pokoju, niespokojny, często upośledzony przez naturę, czasem zrezygnowany, nigdy niezadowolony, ale zarazem płodny w pomysły, nieszczędzący krwawego trudu.

Równocześnie ze stanem społeczeństw, zmieniła się i forma ducha ludzkiego. Rozwijała się ona pośród oczyszczonego powie-

trza, postępu ulepszającego się społeczeństwa, uszlachetnienia ogólnego ludzi, podniesionych własną pracą i jasnością nauk eksperymentalnych. Inteligencya zdolna wznieść się wysoko, i objąć jednym rzutem poglądy ogólne. Narody żyjące dawniéj osobno, skutkiem wojen za cesarstwa zapoznając się ze sobą, łączą idee własne z ideami innych. Historya i krytyka powstaje jak za Ptolomeuszów wszędzie w całym świecie, wszędzie téż starają się one wskrzesić literatury, religie, obyczaje, społeczeństwa, filozofie, tak że odtąd intelligencya zwolniona ze wspomnień cywilizacyi przeszłości, zdolną jest oczyścić się z przesądów swego wieku, tak jak się oczyściła z przesądów swego kraju. Niemcy dają hasło przeobrażenia idei, tak jak Francya dała hasło do przeobrażenia obyczajów. Niemiecki język, obleka w formę, wysoką spekulacyę filozoficzną. Niemcy szukają uczucia religijnego po za dogmatem, piękności poetycznéj po za regułą, prawdy krytycznéj po za mytem. Pochwycić chcą potęgi moralne i naturalne same w sobie, a wszystkie fikcye fluidy i monady, wszystkie reguły piękna i symbole religijne, wszystkie klassyfikacye rzeczy naturalnych, ludzkich i boskich, nikną. Odtąd stają się tylko oznaczeniami, figurami. Na całéj linii ludzkiéj myśli, cofają *przyczyny* w krainę abstrakcyj, gdzie ich przez 1800 lat filozofia nie szukała. I wtedy zjawia się choroba wieku, niepokój Werthera i Fausta, czyli niezadowolenia ze stanu obecnego, pragnienie nieokreślone szczęścia idealnego, i dążenie naccchowane boleścią ku nieskończoności. Człowiek cierpi dlatego że wątpi, ale wątpi, usiłuje zebrać wiarę, a wiara go opuszcza, usiłuje spocząć i odetchnąć doktrynami swych poprzedników, ale go już te doktryny zadowolnić nie mogą. Rozprasza się więc na poszukiwania, jak Faust w naukach i historyi, i znajduje je czczemi, wątpliwemi, dobremi chyba dla pedantów. To za czém wzdycha, czego pożąda, leży *po za tym światem*.

W ten sposób powstaje człowiek nowy, poruszany dwoma poczuciami: demokratyczném i filozoficznem, dlatego skłonnym jest do reformy i do burzenia, szlachetnym jest i buntującym się. Dwa te prądy demokracyi i filozofii, dostały się z Francyi i Niemiec do Anglii, co prawda że nie odrazu. Dokonywają one tam powolnego przekształcenia, które się i dziś jeszcze odbywa.

* * *

Nadzwyczajnie ciekawém zjawiskiem jest *Robert Burns*. Walcząc z największą nędzą od lat dziecinnych wespół z rodziną, któréj komornik co dzień zagrażał pożarciem ostatniej chudoby, doszedł do lat 23. Idąc za pługiem, trzymał książkę w ręku i czytał pieśń za pieśnią. Wznosił i kształcił się sam, studyował ballady szkockie, wieczorem w zimnéj izdebce; w dzień zaś przeprzęgając konie obmyślał formy swym ideom. Potrzeba zrozumieć ten stan jego bolesny, aby ocenić jego usiłowania, potrzeba

mieć żywo w pamięci, że człowiek ten, w którym grały wielkie idee, młócił w stodole, czyścił bydło, brodził po śniegu, a gdy wracał do domu, patrzał z trwogą czy nie czeka komornik z zajęciem. A przecież z ideami myśliciela, łączy on delikatne marzenia poety i świadomość swéj wartości. Znać téż dlatego w każdéj jego poezyi gorycz człowieka z gminu, który się czuje przygniecionym. Gotów walczyć ze społeczeństwem całém, z kościołem i państwem, ażeby wyjść z podległości nędzarza. Chce równości naturalnéj i swobody. Arcydziełem jego jest poemat p. t.: *Żebracy*, w którym przebija się chęć powrotu do stanu natury. W ogóle w poezyach jego świta nowy ideał, stary morał ustępuje miejsca człowiekowi nowoczesnemu, który kocha piękno wszędzie gdzie je znajduje, a niechcąc ograniczać natury ludzkiéj, staje się często poganinem i chrześcianinem naprzemian. Oryginalność tę znać w stylu Burnsa i w jego ideach. Pierwszy on wprowadza w literaturę uczucie szczere i prawdziwe, dlatego téż jest wskrzesicielem języka.

Puściwszy pierwszy tom w świat, stał się odrazu sławnym. Przybywszy do Edymburga, natrafił na same hołdy. Pokochano go i szanowano. Po roku dobrobytu, znów pracować musiał jak wyrobnik w zawodach, które musiały być męką dla każdego człowieka wyższego. Był raz strażnikiem celnym, potém w handlu korzennym. To téż wstręt do życia, ponury smutek rozstroił do reszty i tak już wiecznie zdenerwowanego poetę. Nadto rok hołdów w Edymburgu popsuł go, rozbudził w nim pragnienia zmysłowe, skaził czystą wyobraźnię, tak że niedostatek późniejszy czuł tém srożéj. W 37 roku życia, nie miało już dlań życie żadnego uroku. W kilka miesięcy potem zaziębiwszy się umarł, pozostawiwszy żonę z pięciorgiem dzieci w nędzy.

Burns wyprzedził o lat 40 swoją epokę, bo kraj był naówczas najkonserwatywniejszy i najzacięciéj broniący ustalonego porządku, ustalonych opinii. Atoli przeobrażenie wdarło się i tutaj, tylko nie w formie idei filozoficznych lub spółczesnych, ale literackich. Z początku przeobrażenie to zmieniło tylko styl i smak, atoli w ślad za nimi idzie przeobrażenie myśli, która znowu inne wywoła.

Pierwszy który wprowadził reformę w stylu, był poeta *Wiliam Cowper*.

W tym czasie więc pojawia się szkoła romantyczna angielska objawiająca prawdy i doktryny, ale zarazem skażona przesadą i obudzająca skandal. Romantycy tworzyli sektę „dyssydentów w poezyi," oburzającą umysły zuchwałością i nowością teoryi. Southey, naczelnik szkoły, w pierwszym swym poemacie p. t.: *Wat Tyler* sławił Jacquerją chłopską jako poparcie rewolucyi francuzkiéj, Woodsworth najumiarkowańszy, rozpoczął wierszem wymierzonym przeciw władzy królewskiéj. Lecz obaj pensyonowani później przez rząd, zmienili swe poglądy. Atoli w rzeczy smaku, szli śmiało naprzód: pominęli kulturę klassyczną, biorąc wzory w epoce Odrodzenia i w średnich wiekach. Jeden z nich

Karol Lamb, podniósł w znaczeniu wiek XVI. Zaczęła się odtąd grzebanina w starych balladach narodowych i dawnych poczyach. Postanowiono wprowadzić do poczyi język zwykły, konwersacyjny, używany w klassie średniéj i niższéj, a odrzucić styl dawny, artysto-kratyczny. Sonet, ballada i wiersz, miały zastąpić dotychczasowe formy. Sonthey i Coleridge, fabrykowali rytmy nowe, często udatne a często tak nieszczęśliwe jak rytmy W. Huga.

W takim chaosie dwie idee wychodzą jasno. Pierwsza z nich dała początek poezyi historycznéj, druga poczyi filozoficznéj; pierwsza widoczna w *Southeyu* i *Walter Scocie*, druga mianowicie w *Schelleyu* i *Woodsworcie*. Obie idee europejskie, reprezentowane we Francyi przez *W. Hugo*, *Lamartina* i *Musseta*, z większym jeszcze blaskiem w Niemczech przez *Getego*, *Szillera*, *Rückerta* i *Heinego*, obie tak głębokie, że żaden z przedstawicieli z wyjątkiem Getego nie objął ich doniosłości, i że zaledwie dzisiaj po upływie lat sześćdziesięciu, możemy określić ich naturę i przepowiedzieć rezultaty.

Pierwsza polega na przeczuciu, że nasz ideał nie jest ideałem, a raczéj że jest *jednym* z ideałów, lecz że ich jest więcéj.

Barbarzyniec człowiek feudalny, rycerz z epoki Odrodzenia, Muzułmanin, Indyanin, każdy wiek i każda rassa mieli pojęcie piękności, które bądź cobądź jest pięknością. Podziwiajmy tę piękność, a w tym celu wstawimy się w miejsce tych, którzy ją pojęli, którzy ją odkryli; nie dosyć jest bowiem przedstawiać na sposób poprzednich dramaturgów i romansopisarzy, obyczaje nowe i narodowe pod nazwiskami obcemi i starożytnemi; ale potrzeba malować uczucia innych wieków i innych ras ich własną charakterystyką, choćby ona była niezmiernie różną od naszéj, i smakowi naszemu nie miłą.

Ukażmy charakter takim jakim był, dziwacznym lub nie, w jego kostiumie i z jego mową; dzikim i ząbobonnym gdy trzeba, nie żałujmy krwi barbarzyńcowi, w któréj się nurzać lubi.

Otóż jedna po drugiéj ukazują się na scenie literackiéj, cywilizacye zamierzchłe lub dalekie, najprzód wieki średnie i Epoka Odrodzenia, potém Arabia, Hindostan i Persya, potém wiek klassyczny i XVIII wiek, a wkrótce zamiłowanie historyczne tak się rozpowszechniło, że wdarło się i w inne sztuki. Teatr zmienił swe konwencyonalne kostiumy dla kostiumów rzeczywistych; architektura pobudowała wille rzymskie w naszych klimatach północnych, i wieżyczki feudalne w pośród nowoczesnych gmachów. Malarze podróżowali dla naśladownictwa kolorytu miejscowego, każdy stał się turystą i archeologiem; duch ludzki wyszedłszy ze swych uczuć szczególnych, doświadczać się poczuł we wszelkich uczuciach możebnych, znalazł modłę swą z wielkim Getem, który swoim *Tassem*, *Ifigenią*, *Faustą* częścią drugą stawszy się spółobywatelem wszystkich narodów i spółczesnym wszystkich wieków, żył według woli w każdym wieku i w każdéj przestrzeni, dając przezto ideę ducha wszechświata. Atoli ta literatura zbliżając się do

doskonałości, zbliżała się do swego kresu i rozwijała się na to, ażeby skończyć. Przekonano się, że wszelkie naśladownictwo jest niedoskonałém, że duch nowoczesny mimowoli przebija się w słowach, które każemy mówić osobom starożytnym, że wszelki obraz obyczajów powinien być krajowym i współczesnym, że nareszcie literatura archeologiczna należy do fałszywych rodzajów. Zrozumiano, że portretów przeszłości szukać trzeba w pisarzach przeszłości, że nie ma innych tragedyj greckich, prócz właśnie tragedyj greckich, że ballada zfabrykowana ustąpić musi balladzie natchnionéj; krótko mówiąc, że literatura historyczna zniknąć powinna i przemienić się w krytykę i w historyą, czyli w komentarz dokumentów.

Lecz kogóżby tu wymienić w pośród tych historyków, przebranych za poetów? *Tomasza Moore*, najweselszego, najwdzięczniejszego, który napisał romans poetyczny, egipski, poemat romantyczny perski i indyjski? *Lamba* odnowiciela starego dramatu? *Coleridge*, myśliciela krytyka, który odnalazł nadnaturalność. *Southeya*, niewyczerpanego pisarza, erudytę pełnego wyobraźni sławnego jak W. Hugo swemi pomysły, tonem wojowniczym swych przedmiotów, obejmującego piórem swym Joannę d'Arc, tradycye celtyckie i meksykańskie, legendy arabskie i indyjskie? Po za tym jest jeszcze trzydziestu innych;—szkoda wszakże że tę fantasmagoryę czuć podrobieniem, sztucznością, bo i uczucia tu sztuczne. Są to uczucia opery, autorowie są tylko zręcznemi dostarczycielami tekstów i płócien malowanych; mają talent, nie mają geniuszu, idee zaś wyciągają nie z serca, ale z głowy. Takie wrażenie robią *Lalla-Rookh* Southeya, Roderyk i inne poemata. Bo nareszcie każdy woli widzieć Wschód u wschodnich mieszkańców Wschodu, aniżeli u wschodnich mieszkających w Anglii, u Firdussiego raczéj niż u Southeya.

Daléj naśladownictwo to jest ściśle literalne... autorowie ci znają przeszłość i kraje dalekie, tylko jako antykwaryusze i podróżnicy;—kiedy występują przed publicznością świadczą się certyfikatami i powagami, że nie popełnili błędu typograficznego albo omyłki co do kostiumu. Staranie o tego rodzaju, sumienność posuwają do drobiazgów, ale owéj wielkiej prawdy szukać nadarmo, uczucia te za nadto są odległe i niemoralne. Ażeby jednak napisać poemat indyjski, potrzeba być panteistą sercem, trochę szalonym i wizyonerem;—ażeby napisać poemat grecki, potrzeba być politeistą sercem, poganinem w głębi, a naturalistą z rzemiosła. Dlatego to Heine tak dobrze mówił o Indyach, a Gethe o Grecyi. Anglicy, w których jedna jest tylko cywilizacya, to jest ich własna, jedna moralność i jedna religia, czyż są w stanie odtworzyć moralność i religie odmienne? Sympatya tylko zdolną jest odnaleźć obyczaje zaginione lub obce, a tutaj sympatya jest niemożebną. Tak więc i poezya historyczna, która sama z siebie już niema warunków życia, przyduszoną została jak gdyby ciężarem ołowiu.

Jeden z pomiędzy nich romansopisarz, krytyk, historyk i poeta, ulubieniec swego wieku, czytany w całéj Europie, porównywany i prawie na równi stawiany z Szekspirem, popularniejszy od Woltera, rozczulał magazynierki i księżniczki, i zarobił sześć milionów. „Przysięgam—pisał mu jego wydawca kończąc druk jednéj z jego książek —żem nigdy w życiu podobnéj jeszcze nie doznał przyjemności; lord Holland gdym się go spytał o zdanie rzekł:

„Moje zdanie? Nikt z nas nie położył się téj nocy do łóżka, nikt nie spał prócz méj podagry." We Francyi saméj sprzedano tych romansów milion cztery kroć sto tysięcy tomów, a jeszcze je ciągle sprzedają.

Autor urodzony w Edymburgu, syn adwokata i sam adwokat, był wielkim amatorem starożytności narodowych, tak że już we własnéj rodzinie i przez wychowanie i we własném zamiłowaniu, znajdywał materyały do swych dzieł i badań swego talentu. Pierwsze wrażenia wypiętnowały się na nim, gdy miał lat trzy, w domku wiejskim, gdzie go zaniesiono dla wyleczenia sparaliżowanéj nogi. Zawijano go w ciepłą skórę zabitego świéżo barana, a on pełzał nią odziany. Pozostał kulejącym ale nauczył się czytać. Od lat dziecęcych słuchał opowiadań o czynach, bataliach i okrucieństwach, wywieranych przeciw *highlanderom*. Ktokolwiek raz mu tylko przepowiedział balladę, zaraz ja zapamiętał. Nauk innych pozytywnych uczył się źle. Mając lat trzynaście, gdy po raz pierwszy przeczytał *Percy'ego* stare poezye, zapomniał o obiedzie i odtąd tworzył massę wierszy, którą recytował każdemu kto chciał słuchać i nie chciał. Zachorowawszy leżał długo w łóżku mając zakazane mówić, czytał więc wtedy poetów romansopisarzy, historyków i geografów, zajmował się wyjaśnieniem opisów batalii przez ustawianie kamyków. Wyzdrowiawszy odbywał długie spacery tam zwłaszcza, gdzie mógł dostrzedz krajobraz historyczny. Przez siedm lat podróżował po okolicy dzikiéj Liddesdale, badając każdy strumyk i każdy kamień, sypiając w chatach pastuszych, zbierając legendy i ballady. Łatwo ztąd zrozumiéć jego zamiłowanie i zapał antykwarski. Czytywał najgorsze wiersze łacińskie średniowieczne, archiwa parafii, kontrakta i testamenta. Żelaziwo zardzewiałe i pargamina nęciły go, zaprzątały głowę jego wspomnieniami i poezyą. Zaiste miał on duszę feudalną. „Przez całe życie—powiada zięć jego—pychę zasadzał głównie na tém, ażeby być uznanym jako członek rodziny historycznéj. Piérwszą i ostatnią ambicyą światową jego było, zostać założycielem rodziny znakomitéj." Sława literacka szła dopiéro późniéj, talent był dlań tylko narzędziem. Niezmierne summy zyskane za prozę i wiersze, obrócił na wybudowanie zamku na wzór dawnych, z wieżyczkami, bastyonami, herbownémi oknami i t. p. Przez długie lata trzymał tamże stół otwarty, czyniąc honory „każdemu obcemu," usiłując rozbudzić dawne życie feudalne ze wszystkiemi zwyczajami i z całym przepychem. Sam zaś otwarty, szczęśliwy, w pośrodku czter-

dziestu biesiadników, bawił ich opowiadaniami, wydobywanemi z szuflady nadzwyczajnéj pamięci, prowadził ich pod drzewa, których cień osłaniać miał rassę jego, przyczém z uśmiechem poety dumał o przywileju i pokoleniu, które jako przodka swego wspominać będzie: *Sir Walter-Scotta, pierwszego baroneta z Abbotsfard.*

Kto nie zna na pamięć tych tytułów: *Pani Jeziora, Pan Wysp, Purytanie szkoccy, Iwanhoe, Quentin Durward, Piękna dziewica z Perth?* Od Walter-Scotta nauczyliśmy się historyi, a przecież nie jest to historya. Wielkie obrazy przeszłości dalekiéj, są fałszywe, tylko kostiumy, krajobrazy, cała strona zewnętrzna uderza prawdą. Czyny, uczucia, rozmowy cywilizacyą przyprawne i na sposób nowy przyrządzone. Autor w historyi zajęty jest tak, jak u siebie w zamku, rozporządzeniem widoków i sal gotyckich. Księżyc między wieżyczkami, zbroja oświecona, suknie feodalne, uczty, damy i panny tak są ugrupowane, iżby nie obrazić surowéj ich moralności i uczuć delikatnych, iżby nie ujawnić namiętności silnych, bo ci państwo nie zrozumieliby ich; przeciwnie trzeba wybrać heroiny poprawne i zawsze rozczulające młodych gentlemanów, jak Iwanhoe, Morton, doskonale wychowanych, trochę melancholijnych. Nikt od autora nie może być na to stosowniejszym. Jest on bowiem dobrym protestantem, dobrym mężem i ojcem, bardzo moralnym, a torysem zagorzałym. Potém nie ma on ani talentu ani ochoty, zajrzéć w głąb duszy tych figur. Zewnętrzna tylko zajmuje go strona. Nareszcie ducha swego uważa jako kopalnię, jeden tom napisany w miesiąc a czasem w dwa tygodnie, przynosi mu 25,000 fr.

Jakżeżby mógł w takich okolicznościach zdobyć się na ukazanie dusz tych barbarzyńców? Co 200 lat zmieniają się u ludzi wyobrażenia, rodzaj namiętności, stopień refleksyi i skłonności, któż dziś nieprzygotowany długo przedtém, zasmakowałby w Dantem, Rubensem lub Rabelaisem?. Jakżeby więc owe wielkie marzenia mistyczne i katolickie, owe zuchwałe i olbrzymie nieczystości sztuki cielesnéj, pomieścić się mogły w głowie gentlemana mieszczańskiego? Walter-Scott zatrzymuje się na progu duszy i w przedsionku historyi, wybiera z epoki Odrodzenia i średnich wieków to tylko co jest przyjemném i przyzwoitém, unika starannie zmysłowości rozpasanéj lub dzikości. Bo zresztą figury jego przecie, to są jego sąsiedzi, gentlemany wystrojone, panny na wydaniu wielce rozsądne i godne. Mając wielki zapas kostiumów pod ręką, manewruje bardzo uprzejmie całym tym światem, który prawdę mówiąc ma tylko zasługę mody, co nie przeszkadza iżby ta moda trwała jeszcze sto lat. Ażeby utrzymać się w książęcéj kościnności feodalnych blasków, związał się z wydawcami spółką nie bardzo ich kontrolującą. Przyszło bankructwo. Mając lat 55, ujrzał się zrujnowanym i zadłużonym na 170,000 funt. szt. Wtedy to z odwagą i zacnością zabrał się do roboty, prosząc tylko o czas. Pracował niezmordowanie, zapłacił w 4 latach 70,000 funt.

szterling., wyczerpał mózg swój do tego stopnia, że został sparaliżowany, aż i umarł z trudu. Gusta jego feudalne nie udały mu się ani w życiu ani w literaturze, a pańskość jego średniowieczna pokazała się tak kruchą jak i wyobraźnia gotycka. Oparł się na imitacyi, a utrzymać się tylko można na prawdzie.

Wszakże dar widzenia wszystkiego, pamięć ogromna, badania ciągłe po całéj Szkocyi, złożyły się na jego talent prawdziwy, talent przyjemny, bujny, łatwy, nacechowany obserwacyą drobiazgową i lekką ironią, a przypominający Teniersa i Addisona. Prawda że pisze źle, czasem nawet bardzo źle (Ivanhoe str. I), znać że dyktuje, nie odczytując późniéj i że wpada w styl emfatyczny, który codzień czytamy w prospektach i dzienikach; co gorzéj, strasznie jest rozwlekły i rozproszony, rozmowy jego i opisy prawie się skończyć nie chcą, bo autor chce koniecznie zapełnić trzy tomy,. ale nadał Szkocyi prawo obywatelstwa w literaturze i to Szkocyi całéj. Na jedno jego skinienie zjawia się: antykwaryusz Sampson, baron de Bradwardine, oberżyści, kupcy, kumoszki i lud cały.

Nie brak tam żadnego szczegółu szkockiego.

Lekka złośliwość uwesela te obrazy rodzajowe i wewnętrzne, lokalne i drobiazgowe, które na wzór flamandzkich, zdają się zapowiadać rozwój mieszczaństwa. Po większéj części są to figury komiczne. Autor bawi się ich kosztem, wyjawia ich drobne kłamstwa, oszczędność, pretensye i tysiąc śmiesznostek, które są w ich skromném stanowisku nieuniknione. Perukarz naprzykład utrzymuje, że jeśli się rewolucya francuzka rozszerza, to dlatego, że urzędnicy nie noszą już peruk: „Strzeż się Monkbarus—powiada żałośnie—zatrzymując za poły jednego z trzech ostatnich swych gości, jacy mu pozostali,—Sir Arthur już się utopił, a jeśli jeszcze ty zginiesz, nie pozostanie jak tylko jedna peruka w całéj parafii, peruka ministra."

Walter-Scott nie jest nigdy zgryźliwym, w gruncie kocha on ludzi, uniewinnia ich, błędów nie chłoszcze, ale je odkrywa i to łagodnie. Największą jego przyjemnością jest śledzić nie błąd, nie nałóg, ale manję, np.: antykwarstwa, próżność archeologiczną, barona de Bradwardine lub gadulstwo szlacheckie, ale bez gniewu, boć ci ludzie choć śmieszni, godni są jednak szacunku. Nawet charakterom takich łotrów jak Dicka Hatteraicke lub awanturników jak Bothwella, daje coś dobrego, nawet nikczemność majora Dalgetty, pojedynkarza z professyi, najemnika z 30 letniéj wojny, łagodzi śmiesznością. Taką finezyą krytyczną i filozofią życzliwą, podobien do Addissona. Podobien mu również czystością intencyj moralnych. Na łożu śmierci rzekł do swego zięcia: „Lockharcie, mam jeszcze minutę życia. Bądź cnotliwym, religijnym i dobrym. Żadna inna rzecz nie da ci pociechy gdy będziesz tam, gdzie ja się już znajduję." Były to jego ostatnie słowa. Ta głęboka zacność i szeroka ludzkość, zrobiły go Homerem mie-

szczaństwa nowych czasów. Wokoło niego i po nim, romans obyczajowy bez przymieszki historyi, zachował charaktery, którym on nadał piętno. Mistress Gaskell, Mistress Elliot, Thackeray, Dickens, Bulwer i tylu innych maluje życie spółczesne, takie, jakie jest bez upiększeń, wybierają wzory u ludzi, częściéj jeszcze w klassie mieszczańskiéj. Przyczyny zaś, które skrzywiły romans historyczny u niego i u innych, dopomagały jeszcze innym w romansie obyczajowym. Wszyscy oni byli kopistami zbyt drobiazgowymi i moralistami zbyt stanowczymi, a więc niezdolnymi do wielkich natchnień i szerokich sympatyj, do jakich pobudza historya, a i wyobraźnia ich była za nadto ograniczoną i sąd za nadto w pewnym zakresie ustalony. Lecz te właściwości stworzyły rodzaj nowy, który w tysiącznych odnogach dziś jeszcze kwitnie i tak bujnie, że talentów narachować można setkami; a talenta te przez swą oryginalność i narodowość, przypominają malarstwo wielkiego stulecia flamandzkiego. Realizm i moralność, oto dwa rysy charakterystyczne. Wszyscy ci pisarze malują niezmiernie szczegółowo kostjumy i miejsca bez zmiany, nie brzydzą się pospolitością ani płaskością. Ich objaśnienia są dokładne i wierne, krótko mówiąc, piszą jak mieszczanie i dla mieszczan, czyli dla ludzi porządnych, ustalonych, których wyobraźnia nie sięga daleko. Atoli prócz tego kierunku, który dziś stał się europejskim, powodowani są wymogiem narodowym; to jest, chcą ażeby romans przyczynił się do wielkiego dzieła, do ulepszenia człowieka i społeczeństwa. Chcą przezeń wielbić cnotę i chłostać występek. Nurtują we wszystkich zakątkach społeczności cywilnéj i we wszystkich wydarzeniach historyi prywatnéj, wyszukują dokumenta, ażeby tylko zapobiedz nadużyciom, ulżyć nędzy i przytłumić pokusy. Z romansu zrobili środek edukacyjny i moralny. Objaw to szczególny, nie mający w historyi równego, bo w całéj historyi nie było takiego społeczeństwa, któreby będąc obojętniejsze dla piękna, zapalone dla pożytku, przedstawiało w różnobarwnéj rozmaitości obraz jedynéj demokracyi, umiejącéj się rządzić i poprawiać.

* * *

Równocześnie z historyą, weszła w literaturę i filozofia i ażeby ją wspaniałéj przystroić a zarazem skrzywić, stworzyła ona estetykę, lubo metafizyki wpływ stał się przeważniejszy. Popęd poetom dał i tutaj Goethe, ten wielki promotor idei nowych, który w Fauście skreślił epopeę wieku i historyi dzieła ludzkiego. Heine, Szíller, Bethowen, Hugo i Musset objawiają również dziełami swemi jakąś wielką ideę metafizyczną i socyalną. Wpływ Niemiec na Anglią był długi czas żaden, bo zamiast uznać Goethego lub Szillera, wydał Bayrona i Schelleya. Przeczucia i natchnienia charakteryzujące poezyą nowoczesną, wyrodziły się w medytacye chrześciańskie u Campbella i Wordswortha i w wizye pogańskie, jak u Schelleya. Słyszą oni uderzenia serca natury,

chcą się do niéj zbliżyć, probują wszelkich dróg duchowych i zmysłowych, Judei i Grecyi, dogmatu uświęconego i doktryn zakazanych, a w tém usiłowaniu wspaniałém i szaloném, najwięksi z wyczerpania giną. Poezya ich którą ciągną za sobą po tych wspaniałych drogach, rozdziera się wraz z nimi. Jedyny z nich Bayron dochodzi do szczytu, a przecież i z tych wszystkich draperyj poetycznych, które powiewając jak sztandary, zdawały się wzywać wszystkich ludzi na zdobycie prawdy, zostały się dziś zaledwie tu i owdzie szmaty. Lecz wszyscy ci poeci spełnili swoje dzieło. Ich wspólnym wysileniom udało się zmienić idee piękna, a przez tę zmianę inne też przemienić idee. Duch wiary przebija się zarówno z poematów, które błogosławią państwo i kościół, jak i z tych które je przeklinają. Od jednych i drugich dowiedziano się, że prócz urzędowych dogmatów są jeszcze inne prawdy, że prócz stanowisk uznanych w społeczeństwie są jeszcze wielkości, i że wielkość tkwi w sercu i w geniuszu. Dowiedziano się że po za konwenansową literaturą jest jeszcze poezya, po za przepisami wiara, po za instytucyami społecznemi: sprawiedliwość. Mur nietolerancyi zwalił się, stare instytucye stworzone dla korzyści jednéj rasy lub klassy, muszą teraz służyć dla pożytku wszystkich, średnia klassa tryumfuje, nauki i odkrycia wywierają właściwy wpływ, a krytyka przybywa z Niemiec. Od pięćdziesięciu lat wszyscy pisarze Anglii czerpią w filozofii stałego lądu, *Sidney Smith*, *Arnold*, *Macaulay*, *Thackeray*, napadając arystokracyą w obronie klassy średniéj, *Dickens* napadający bogatych i dygnitarzy w imie ubogich i maluczkich, *Currer Bel* i mistress Browning broniąc niepodległości kobiet, *Carlyle* wprowadzając w formie angielskiéj metafizykę niemiecką, *Stuart Mill* wprowadzając w formie angielskiéj pozytywizm francuzki, *Tennyson* nawet rozszerzając sympatye swe poetyczne na wszystkie kraje i na wszystkie wieki. Wszyscy ci, każdy w swoim zakresie i kierunku, z mniejszym lub większym zapałem, pozwalają napłynąć falom demokracyi i filozofii nowoczesnéj, dać i n wsiąknąć w państwo i kościół.

XIII.

Jeżeli kiedy istniała na świecie dusza gwałtowna i niezmiernie wrażliwa, nie umiejąca się powściągnąć, przeznaczona przez swą gwałtowność dla poezyi, ale ograniczona naturalnemi przeszkodami do jednego rodzaju poezyi, to była nią dusza Bayrona.

Ta niesłychanie szybka gotowość do wrażeń ostatecznych, przekazaną była dziedzictwem i trybem wychowania. Dziad jego zabił swego krewniaka w pojedynku, przy blasku kagańca; ojciec wykradł żonę lorda Carmarthen i najgorzéj się obchodził z drugą swą żoną. Matka jego w chwilach wściekłości darła suknie na sobie. Lata dziecięce przepędzone w jaskini takiéj lwicy, przeplatane naprzemian obelgami i rozczuleniem, namiętnością i goryczą, potrzebowałyby długiego opisu. Klęła go „kulawym,“ rzu-

cała za nim pogrzebaczem, on milczał, ale obelgę pamiętał. Pewnego razu, gdy był trawiony „ową milczącą wściekłością" potrzeba mu było gwałtem wyrwać nóż z ręki, bo się chciał zabić. Innym razem tak się pokłócił z matką, że każde z osobna poszło do aptekarza, ostrzedz go ażeby nie sprzedawał trucizny." Gdy był w szkołach, przyjaźnie jego były namiętnościami. Dla przyjaciół poświęcał pióro, czas i pieniądze. Ubogiego nigdy nie porzucił bez wsparcia, a później we Włoszech na 100,000 franków które wydawał, 25,000 dostawało się ubogim. Źródło żywe tego serca zawsze przepełnione, przelewało gwałtownie złe i dobre. Mając lat 8 zakochał się w dziewczątku, w Mary Duff. W 17 lat potém dziwił się jeszcze temu, że kochał tak szalenie wtedy, kiedy jeszcze wiedzieć nie mógł, co to jest miłość, ani rozumieć znaczenia tego słowa. „A gdym się dowiedział że poszła zamąż, jakby piorun uderzył we mnie, wpadłem w konwulsye—pisze sam. —Mając lat 12 kochał swą kuzynkę Małgorzatę Parker równie gwałtownie. Skarżąc się że rozsądnym być nie może, skarżył się słusznie. W kollegium czytywał nad miarę, w Cambridge ćwiczył się fizycznie również bez zachowania granic, w Newstead i Londynie szalał po całych nocach wyczerpując się do ostateczności. W czasie gdy uchodził za najświetniejszego eleganta, głodził się ażeby nie utyć, poczém pił i jadł bez upamiętania. W Wenecyi będąc, pisze: „Zużyję młodość moją do ostatniéj żyłki jéj metalu, a potém dobranoc. „Żyłem, jestem zadowolony". Przy takiém życiu organa się zużywają, a krótkie chwile wstrzemięźliwości nie wiele pomagają. Żołądek się psuje, nerwy rozstrajają, dusza zużywa maszynę, maszyna nawzajem duszę. „Budzę się—pisze we Włoszech— w prawdziwym napadzie rozpaczy i wstrętu do wszystkiego, nawet do tego, co mi się wczoraj podobało. W Anglii 5 lat temu miałem takąż hipokondryą z dodatkiem pragnienia tak wielkiego, że piłem po 15 butelek wody salcerskiéj przez noc"...

Ciało i ducha niszczy się przy takiém życiu. Tak zaś żyją te dusze gwałtowne, ciągle rozkołysane i gruchotane same przez się.

Bayron miał dnie w których był szalony, tak jak w obec piękna stawał się wzniosły. Słysząc muzykę płakał.

W pogmatwaniu rozlicznych właściwości Bayrona, jedna była dlań murem, o który się miał rozbić. Biédny Bayron—rzekł o nim Walter-Scott—zgubił się pogardą opinii. Opozycya publiczna zamiast go ostrzedz, podżegała go jeszcze gorzéj. Zdawał się mówić: Nie podoba się wam, to dobrze, zrobię tysiąc razy gorzéj." Ten instynkt buntu i oburzenia tkwi w rasie i we krwi, człowiek rodzi się z nim. Prócz niego miał nadto Bayron pychę niezmierną. W szkołach już znieść nie mógł w niczém drugiego miejsca. Mając lat 10, przez pychę był już stoikiem. Wprawiano mu bowiem nogę w maszynę, on zaś bólu nie dał poznać ani śladu. Od lat dziecięcych pycha ta rośnie, do walki się gotuje. Co dzień strzela, boksuje się, rąbie szablą, jéżdzi konno, gimnastykuje, wzmacniając

muszkuły, lecz potrzeba mu nieprzyjaciół. W braku tychże, rzuca się na społeczeństwo i wypowiada mu wojnę. Anglia będąca wówczas w wojnie z Francyą, była w najwyższym stopniu nietolerancką. Kościół i konstytucye były święte, ktoby się ich dotknął, wrogiem jest publicznym; ktoby objawił idee lub obyczaje swobodniejsze, wrogiem jest oburzającym przeciw sobie właścicieli, moralistów, polityków i przesądy ludu. Bayron właśnie wtedy chwali Woltera, Rousseau i uwielbia Napoleona, oświadcza że społeczność angielska fabrykuje frazesy i pozwala zabijać ludzi dla zachowania synekur. Niedość mu nieprzyjaciół politycznych, stara się jeszcze o literackich, atakuje całe ciało krytyków, wyszydza poezyę nową, a między innymi zawziętego Southeya. Maluje siebie jako bohatéra na czarno w taki sposób, że go każdy mógł poznać i to nabierając czarniejszego jeszcze o nim wyobrażenia. Walter-Scott po ukazaniu się Childe-Herolda pisze: „Poemat ogromnéj wartości, ale dający złe wyobrażenie o sercu i moralności pisarza“. Też same uczucia wzbudzał we wszystkich warstwach, co go podżegło bardziéj, bo dał do zrozumienia, że od swojéj wschodniéj podróży, odważał się na coś więcéj jeszcze. Raz nawet rzekł: „Ciekawy byłbym doświadczyć uczuć, jakie ma człowiek po spełnieniu morderstwa.“ Innym razem napisał w swym dzienniku: „Mówią że to ja jestem prawdziwym Konradem,... czasem ludzie są blisko prawdy, ale nigdy nie wiedzą całéj... nie lubię tych kłamstw, ktore się zbliżają do prawdy“. Słowa niebezpieczne, które się zwróciły jak ostrze sztyletu przeciw niemu. Sam jeden przeciw wszystkim, przeciw całemu społeczeństwu uzbrojonemu, niezwyciężony, uczuwał w całéj pełni wrażenie wspaniałe, straszliwe, do którego dążyła cała jego istota.

Małżeństwo go dobiło. Żona jego była modelem cnoty, kobietą chłodną, niezdolną zbłądzić i przebaczyć. Ona uznała go waryatem, każąc go badać przez lekarzy, potém go porzuciła, powróciła do rodziny, niechcąc go nigdy widzieć. Odtąd uchodził za potwora. Dzienniki go łżyły, przyjaciele ostrzegali żeby się nie ukazywał w parlamencie ani w teatrze. Dusza tak gwałtowna cierpiała męki, a zarazem zadrżała wściekłością widoczną w jego wierszach. W Wenecyi utonął w życiu miękkiém, w rozpuście, ażeby jeszcze lepiéj opluć purytanizm angielski, nadto zawiązał tu miłostkę z hrabiną Guiccioli. W Rawennie dom jego był miejscem spiskowców, a osoba jego narażoną była na morderstwo, z czego drwił jeżdżąc codziennie sam konno do pobliskiego lasu.

Nawet w tak wielkich wzruszeniach które wyzywał, czuł się zapewne nieszczęśliwym; „Zdaje mi się – pisze w dzienniku— że umrę jak Swift, najprzód głową“. Na łożu téż śmierci w Grecyi, nie pozwolił sobie krwi puścić, chciał skończyć zaraz.

Cierpienia, niebezpieczeństwa, rozpacze, walka ciągła, oto były obrazy, których potrzebował. W braku czynów, miał podobne marzenia. Za nic miał poezyę swego wieku, mówiąc że gdyby pożył 10 lat jeszcze, widzianoby że co innego robi niż wiersze.

* * *

Był poetą takim jak jego życie. Nosił w sobie burze, huragany, które wylewał w pismach. Pisze z uniesienia, z namiętności, nigdy przez rozmysł, a zawsze z niezmierną szybkością. Korsarza w 10 dniach, Narzeczoną z Abydos w czterech. Podczas druku, poprawiał, dodawał, ale nie kreślił. Marzy on zawsze o sobie, nie ma drugiego poety tak wielkiego z wyobraźnią tak ograniczoną, nie umiał bowiem nigdy przemienić się w drugiego. Nie tworzy on, ale obserwuje, kopjuje siebie we wszystkiém. „Nie umiałbym pisać, nie mając o przedmiocie osobistego doświadczenia.“ Uczucie bohaterstwa, to jego uczucia własne. Childe Herold, Lara, Giaur, Korsarz, Manfred, Sardanapal, Kain, Tasso, Dante są zawsze jednym i tym samym człowiekiem w różnym kostiumie, w rozmaitych pejzażach, z odmiennem wyrażeniem, ale na sposób malarzy, którzy z jednego modelu malują 50 portretów. Siła jego i kontemplacya, doprowadziły go do epopei własnego serca.

Z takiém usposobieniem tragiczném, miał przecież zmysł klassyczny. Książki najbardziéj przezeń ulubione były: najprzód Biblia, potém Pope. Wszystkich innych, nawet siebie nazywa psującymi język. Poleca regułę jedności w tragedyi, lubi formę oratorską, styl skupiony.

Z ukazaniem się Childe-Herolda, wszyscy stanęli zdziwieni. Wszyscy poznali w bohatérze samego autora. Własnemi uczuciami przebiegał naturę i historyą na to, ażeby w nich odcisnąć obraz własnych namiętności. Nie każe on mówić przedmiotom, ale je zmusza do odpowiedzi sobie. Przedmioty nastraja do usposobienia swéj duszy, nakazując im odpowiedzieć krzykiem własnéj piersi. Daklamacya tu potężnieje z czasem tak wzniośle, że obok niego Wordsworth i Walter-Scott wydają się ubogimi. Od czasu Eschylesa nie spotkano nigdy nastroju tak tragicznego: styl przepysznie wyrażał to usposobienie duszy.

* * *

Bayronowi nie dość opisu i monologu, dla wyrażenia osoby idealnéj, potrzeba mu akcyi i wypadków. Pomiędzy wydarzeniami poszukał najpotężniejszych, pomiędzy czynami najdzielniejszych. *Narzeczona z Abydos*, *Lara*, *Parisina*, *Giaur*, *Korsarz*, *Oblężenie Koryntu*, *Mazeppa* i *Więzień z Chillon*, ukazały się tuż jedne po drugich. Prawda że wiele z tych smutnych poematów, zblakło w ciągu lat pięćdziesięciu i że ustępy które Bayron najwyżéj cenił (bo temi dziełami pogardzał) są najsłabsze. W Korsarzu np. pieśń Piratów umieszczona na początku, nie ma w sobie prawdy, pojęcia też abstrakcyjne jak: Sława, Zazdrość i Rozpacz, wdzierają się niepotrzebnie w namiętności prawdziwe; nadto, jest tu usiłowanie wydobycia efektu, ale w całéj fantastycznéj sceneryi, w całym tym wschodnim blasku, jest to, co tłumy zawsze pociąga,

a co ważniejsza, prawda wydobycia się z pod spodu. Znać że autor nie jest frazeologiem, że żył w tych widowiskach które opisuje, że czuł wzruszenia które skreśla.

Taki też tylko człowiek mógł odmalować sytuacye i uczucia ostateczne. Bayron maluje przedewszystkiem uczucia smutne i czułe. Childe-Herold w więzieniu ze swymi braćmi, trzej inni i ojciec spaleni za wiarę. Jeden po drugim w oczach najstarszego brata konają. Oprawcy śmieją się. Tam znowu związany na koniu dzikim pędzi po stepie Mazepa. Członki jego zakrwawione, wilki pędzą za nim wyjąc. A Hugo, Parisina, Foscarowie, Giaur, Korsarz? Zawsze bohatér w walce z okropnością, w zapasach z burzą, z torturą, ze śmiercią, z własną śmiercią pełną boleści, ze śmiercią najukochańszych, z wyrzutami sumienia, z przestrachem groźnéj wieczności, a bez innéj podpory prócz wrodzonéj energii i zahartowanéj pychy. Wszyscy ci bohatérowie chcieli za wiele, więc pędzą w przepaść, któréj uniknąć nie mogą. Jakaż noc Alpa przed Koryntem. Jako renegat przybywa z Muzułmanami oblegać dawnych przyjaciół, ojca kobiety, którą kocha. Jutro wypadnie szturm, rozmyśla o śmierci swojéj którą przeczuwa, o rzezi współbraci. Żadnéj pomocy wewnętrznéj, prócz upornéj woli. Muzułmanie nim gardzą, chrześcianie przeklinają, a sławą jego będzie odtąd zdrada.

A któżby mógł zapomnieć śmierć Lary! Niema nigdzie wyjąwszy w Szekspirze, bardziéj ponurego obrazu przeznaczenia człowieka, nadarmo szarpiącego się z niém.

* * *

Z pomiędzy wszystkich tych szalonych i pogrzebnych poematów, obracających się uparcie około jednego przedmiotu, *Manfred* młodszy brat *Fausta*, najwspanialszym jest i najwyższym.

„Bayron wziął mi Fausta—pisze Goćthe,—Motywa urządził na swój sposób i dla tego nie dosyć mam słow na jego uwielbienie.” Istotnie, dzieło było oryginalném. „Nie czytałem nigdy Fausta Goethego—pisze Bayron— bo nie umiałem po niemiecku, ale Mathew Monk Lewis przełożył mi w r. 1816 w Coligny większą część głośno, i naturalnie byłem zdziwiony. Wszakżeż co innego nie to co Fausta, spowodowało mnie do napisania Manfreda.”

Co Goethego sławę stanowi, to to, że mógł w XIX wieku stworzyć poemat epicki, to jest poemat, w którym działają i mówią istotni bogowie. Zdawało się to niepodobieństwem w tym wieku. Z dwóch rodzin boskich, ani grecka ani chrześciańska nie zdawały się zdolne wéjść w świat eposu. Literatura klassyczna pociągnęła w upadek za sobą manekiny mitologiczne, a bogowie starożytni spali w starym Olimpie, gdzie ich zaledwie zbudzić mogła archeologia i historya. Święci i aniołowie średnich wieków, uśpieni w katedrach. Wiara mityczna zniknęła z nabytém doświadczeniem,

wiara mistyczna z nastaniem dobrobytu. Poganizm w zetknięciu z nauką, stał się tylko uznaniem sił przyrody, chrystyanizm w zetknięciu z moralnością uwielbił ideał. Ażeby ubóstwić na nowo potęgi fizyczne, potrzebaby żeby człowiek stał się znowu dziecięciem, jak za Homera. Ażeby ubóstwić potęgi duchowe, potrzeba żeby człowiek stał się dzieckiem chorém jak za Dantego. Jakże tu ukazać bogi nowe, jak przywdziać je w formę osobistą i wyraźną, kiedy człowiek właśnie nad tém pracował, żeby je téj formy pozbawić. Otóż zamiast odsunąć legendę, Goethe wziął ją. Wybrał sobie średni wiek za temat. Skrupulatnie idzie trop w trop za starą wiarą i starémi obyczajami. Laboratoryum alchemisty, czarownice, studenci, sabbat na Brockenie, kościół, wszystko jest, niczego nie brak ze spółczesnego obrazu. Osoby niebiańskie ukazują się na wzór dawnych misteryów. Bóg z aniołami, potém z djabłem, kusi Fausta. Goethe posuwa orthodoxię do drobiazgów, lecz właśnie ta drobiazgowość zdradza go jako sceptyka. Pisze jak historyk, nie jak wierzący. Chrześcianinem jest tylko przez wspomnienie i przez poezyą. Bóg, Mefisto i aniołowie ukazują skryte po za niémi idee filozoficzne. Nie są to osoby ale abstrakcye. Każda rzecz tutaj, myśląca czy nie myśląca, fantastyczna czy dotykalna jest gruppą potęg, której żywioły duch nasz przez sympatyę i naukę przerobić może w sobie. Przeróbmy ją i dajmy jéj w naszej myśli nowe istnienie. Kumoszka Marta i pijak Frosz są równie godni stanąć w obrazie, równie godni ażeby je sztuka ożywiła. Wszędzie bowiem gdzie jest życie najnędzniejsze choćby, jest i piękność. Im się więcéj patrzéć na naturę, tém się ją znajduje bardziéj boską w roślinach nawet i w skałach. Serce poety powinno tylko słuchać i patrzéć, ażeby odnaleźć drogę. Dzieło jakie stworzy będzie echem ponętnéj natury, olbrzymim chórem w którym bogowie, ludzie, przeszłość, teraźniejszość, wszystkie momenta historyi, wszystkie warunki życia zleją się razem i pogodzą, a w którym geniusz gętki, muzyka tłumaczącego to wszystko, objawi myśl własną o tyle tylko, o ile ukaże z poza niezmierzonéj harmonii gruppę praw idealnych, z których właśnie ta harmonia pochodzi.

W obec tak wysokiego pomysłu, czémże jest nadnaturalny Manfred? Niezawodnie że Bayron wzruszony jest wielkiémi zjawiskami natury, wyszedł z lodowisk Alp, lecz nic z nich nie wyniósł tylko obrazy. Czarownica jego, duchy, Ahriman są bogami teatralnemi. Nie wierzy w nich tak jak i czytelnik. Potrzeba było tak jak Goethe patrzéć się długo jak filozof i jak uczony na urodziny tych bogów, i potrzeba było widziéć w nich co innego jeszcze prócz zewnętrznéj strony, ażeby w nie uwierzyć. Lecz praca ta niemożebną prawie jest dla Anglika. Schelley *zaledwie* się do niéj zbliżył. U Anglika wolność metafizyczna zniknęła pod utilitarnością a marzenie panteistyczne pod troską moralną; płynąca woda, która u Goethego rozpływa się urabiając kształty rozmaite, a którą się widzi w dali połyskującą w mgle złocistéj, przemienia się u Bajrona w massę lodowiska, w bryłę sztywną kryształową. Tu

jak i wszędzie jedna jest tylko osobistość: ludzie, bogowie, natura i świat cały różnorodny i zmieniający się Goethego, znikł tutaj. Sam tylko poeta zostaje i to w osobie swego bohatéra. Widzi tylko siebie, a jeśli dozwala zbliżyć się innym istotom, to tylko na to, ażeby mu dali odpowiedź i ażeby po przez tę pozorną epopeję, utrzymać się mógł w swym wiecznie trwającym monologu.

Lecz za to, jakże wszystkie te potęgi zebrane razem, czynią go wielkim, jakże miernym i płytkim wydaje się obok niego Faust Goethowski! Jak tylko przestajemy widzieć w Fauście ludzkość całą, czémże się staje? Jestże-to bohatér? Smutny bohatér, który ciągle rozprawia, studyuje swe wrażenia i przechadza się z miejsca na miejsce. Najwyższym jego czynem jest uwiedzenie gryzetki, ideami jego są same aspiracye i mrzonki. Jest to dusza poety w głowie doktora, a obie niezdolne do czynu, w niezgodzie ze sobą; krótko mówiąc brak Faustowi charakteru, czyli jest to charakter niemiecki. Obok niego, jakże rośnie Manfred! to *człowiek:* nie ma wyrazu, któryby go piękniéj i trafniéj odmalował. On się nie boi duchów, nie żałuje niczego, nie da się jak dzieciak prowadzić djabłu na pasku. Żył jako pan feudalny, nie jako uczony ze stopniem naukowym, walczył, władał innymi: umié i sobą zawładnąć. Jeśli się zatopił w magicznéj sztuce, to nie przez ciekawość alchimisty, ale przez zuchwałość buntowniczą. „Od młodości... nie patrzałem na ziemię oczami człowieka. Jak cel życia nie jest moim... nie mogłem uczcić méj natury.... Rodziną moją była samotność." Żyje samotny a nie może żyć samotny. Głębokie źródło miłości wyszło ze swego łożyska, rozlewa się niszcząc serce, które nie chciało zaznać wynurzenia. Kochał wiele, za wiele, siostrę może, ona umarła z tego, a wyrzuty sumienia zapełniły tę duszę, która się dotąd niczém ludzkiém zająć nie mogła. „Samotność moja zaludniła się furyami... błagałem o szał jak o dobrodziejstwo: unikał mnie; o śmierć... zimna ręka nielitościwego demona, trzymała mnie za jeden włosek, który się zerwać nie chciał. Fantazyi, wyobraźni we wszystkich zbytkach duszy czerpałem do głębi: lecz ona jak falę pobieżną odrzuciła mnie precz w przepaść myśli moich bezdennych. Mieszkam w mojéj rozpaczy, a mieszkam w niéj na zawsze." Raz chce jeszcze zobaczyć tę ukochaną, to najwielmożniejsze jego marzenie. Jakże ją błaga czule i namiętnie! Z jakiémże uniesieniem wyciąga drgające ramiona ku téj wiotkiéj postaci, która drżąc wychodzi z grobu. „Astarte, ukochana, posłuchaj mnie; kochałaś mnie za nadto, tak jak ja ciebie. Nie byliśmy stworzeni dla siebie, ażeby się wzajemnie dręczyć..., powiédz że się mnie nie boisz, że znoszę tę karę za nas oboje, powiedz że będziesz szczęśliwą, a umrę..., wymów słowo niech cię raz jeszcze usłyszę, raz jeszcze." Ona mówi, a dreszcz przenika kości Manfreda; znika, a duchy widzą jak Manfred mękę swoją poskramia. „Gdyby był jednym z naszych, byłby duchem strasznym." Wola, oto podstawa téj niezłomnéj duszy. Nie ugiął się przed monarchą duchów, stał prosto przed tronem piekieł, narażony na pastwę rozwścieczonych demonów. A teraz niechaj umrze

i niechaj się rzucą nań, jeszcze wtedy walczy i tryumfuje, jeszcze wtedy drwi i wypędza ich. „Nie posiędziesz mnie nigdy, wiém o tém. Noszę w piersiach taką mękę, że do niéj twe udręczenia nic dodać nie są w stanie. Dusza, która jest nieśmiertelną, daje sama sobie nagrodę lub karę, za swe złe lub dobre myśli, sama sobie jest początkiem i końcem własnego zła.... sam siebie zniszczyłem i będę niszczycielem jeszcze w życiu które się zbliża. Precz demony! ręka śmierci wisi nademną, ale nie wasza." „*Ja*" niezwyciężone *ja*, którego zmódz nie są w stanie ani ludzie, ani demoni, rodzaj boga cierpiącego i upadłego, zle zawsze boga mimo łachmanów cielesnych, oto bohatér, dzieło tego umysłu i ludzi jego rasy. Jeżeli Goethe był poetą *powszechności*, Bayron był poetą *osobistości*, i jak w jednym geniusz niemiecki, tak w tym geniusz angielski znalazł swego tłumacza.

* * *

Naturalnie. że Anglicy krzyczeli na ten potwór. Southey pisał że pochodzi od szatana, i żądał po koleżeńsku zwrócenia nań uwagi rządu. Całe dziennikarstwo spełniało w obec Bayrona rolę żandarmów. Opinia pomagała dziennikarstwu. Anglia konserwatywna i protestancka, posunęła surowość i nietolerancyę do najwyższego stopnia, przypominając nietolerancyę katolicką w Hiszpanii. Zawsze w następstwie tego wyradza się przymus i hipokryzya, dwie wady cywilizacyi angielskiéj, które Bayron jasnowidzeniem poety i instynktem walczącego, zgnębić zapragnął.

Najsamprzód widział je jako artysta, widział zepsucie obyczajów i nudę, która ogarnęła wszystkich, widział oligarchię zgniłą i napisał *Don Juana*. Wszystko w nim nowe, treść i forma.

Był wówczas w Wenecyi, gdzie żył miękko, wesoło, szczęśliwie, gdzie się bawił do przesytu, czytał satyry Burattiego i lubieżne sonety Buffa; gdzie nie było jeszcze nienawiści politycznych, gdzie niewierność małżeńska była regułą, a wierność kochanków świętym obowiązkiem, gdzie nareszcie po raz pierwszy prawdziwie się zakochał. Używał pełną piersią swobody, jakiéj mu dać nie mógł kraj jego pedancki. Improwizował *Beppo* w najpiękniejszym humorze, przeciwstawiając beztroskę i szczęście Włoch, nudnym zajęciom Anglii.

Don Juan Bayrona, nie jest bynajmniéj owym sławnym egoistą, złym i wstrętnym, nie jest uwodzicielem; tylko przy okazyi ma serce i zmysły. *Don Juan* przechadza się po różnych miejscach, a zawsze jest młodym i miłym; gdy powróci do Anglii ustali się, zesztywnieje, zostanie członkiem moralnego towarzystwa, i prawić będzie w parlamencie moralne mowy.

Djabelski poeta w tym dopiéro poemacie zaprawił jadem szpony swoje, a czytać go będą, niech się dzieje co chce. I prawdziwéj poezyi tu nie mało, lubo urazi ona wstydliwość purytańską. Bayron wypowiada wojnę łotrostwu ludzkiemu, i to jest właściwy

sens poematu, ku temu dążył charakter jego i geniusz. Poeta zna teraz człowieka doskonale, wić że zwierzęcość w nim przemaga, staje się sceptycznym i cynicznym, sceptycznym przez mizantropią, cynicznym przez zuchwałość, a zawsze z zamiarem wojowniczym, w czém go nie ugłaskało miękkie życie włoskie. Tak więc w *Don Juanie* bawi się okrutnie kosztem rzeczy godnych szacunku, zawsze gwałtowny, często dziki prawie, bo czarna jego imaginacya kreśli obrazy okropne (rozbicie okrętu i głód). Wszystkie one wysuwają w rezultacie tę myśl: „Że życie jest nicością, a ludzie gorsi od psów." (Śpiéw VII). Poetyczne nawet uniesienie karykaturuje, w pierwszym wierszu będąc Faustem, w drugim Mefistofelem. Pozostaje z tego on tylko jeden, on sam, oddala wszystkie osoby, sam tylko jeszcze mówi. Rozpościéra gniéwy swoje, wspomnienia, zasady i gusta, a poemat jego jest rozmową, zwierzeniem z wielkimi i maluczkimi. Lecz on może powiedzieć wszystko co chce, ma tyle dowcipu nowego, niespodziewanego, tyle idei obrazów, nauki: trudno mu się oprzéć.

W taki sposób żyjąc i pisząc jest się wielkim, ale w téj wielkości tkwi choroba, choroba serca i ducha w stylu *Don Juana*, śmiech szyderczy pośród łez, śmiech który jest spazmem. Ostatnie pieśni *Don Juana* słabną, wesołość staje się przymuszoną, czytelnik uczuwa nudę. Poeta znudzony wszystkiém idzie do Grecyi, gdzie znajduje śmierć.

Krytycy niektórzy są przeciwnego zdania z p. Taine, utrzymując że *Don Juan* od początku do końca ani na chwilę nie słabnie, tylko że gdy zaczepił *wprost* swych rodaków i kraj swój rodzinny, zakrzyczano: że poeta zmordowany, że mu brak oddechu. Wszakże sąd Taina, mimo że jest wydany z podwójnéj wysokości abstrakcyj i metody, przez co ludzie wydawać mu się mogą mali, w tym razie dosyć jest sprawiedliwym, ba! nawet wbrew naturze swéj, dla Bayrona entuzyazmuje się szczerze.

* * *

Tak żył i zginął nieszczęśliwy wielki poeta: choroba wieku pożarła najznakomitszą ofiarę. Odtąd zaczyna nabierać praw obywatelstwa choroba *nerwów*. Wokoło zwłok wielkiego poety, chór nieszczęśliwych chorych i złamanych ogromny wydaje lament, umysł zaś ludzki przejął się buntem a serce smutkiem. Nowo wyrosła demokracya podbudzała ambicyą niezadawalniając jéj, filozofia tak samo rozpalała naszą ciekawość nie zasycając jéj. Maluczki ucierpiał przez swe ubóstwo, sceptyk przez swe zwątpienie; – obaj powaleni melancholią i przed wczesném doświadczeniem, stosowali skargi swe do nastroju poetów śpiewających, że szczęście jest niemożebném, społeczeństwo źle urządzoném, człowiek zbakierowanym i zepsutym. Z téj zgody skarg, wypłynęła idea rozsiedlona w literaturze, sztukach i religii, ta mianowicie: że przeznaczenie człowieka zwich-

niętém zostało. Lecz czy dano nam na to jaką radę, jakie lekarstwo?

Rady wszystkie polecały zapomnienie, zwrot lub zbydlęcenie. Jedyną tylko dał Goethe w słowach: „Staraj się zrozumiéć siebie i zrozumiéć istotę rzeczy“. Przyjdzie czas, że ją zrozumieją wszyscy. Lecz aż dotąd, długo jeszcze oddadzą ludzie swe współczucie łkaniu wielkich poetów; dlatego jeszcze oburzać się będą na przeznaczenie otwierające szeroką przestrzeń na to, ażeby ich nie daléj jak o dwa kroki rozbić niemiłosiernie. Pokolenie nasze tak jak i poprzednie, dotknięte było chorobą wieku, z któréj się nigdy nie podniesie, tylko do połowy. *Dojdziemy do prawdy, lecz nigdy do spokoju.* Dzisiaj leczyć możemy tylko inteligencyę naszą, lecz nie uczucia. Nie mamy zresztą prawa przygotowywać naszym następcom szczęścia, któregośmy sami nie znali. Następcy nasi wychowani w zdrowszém powietrzu, może i duszę zdrowszą zdobędą. Reforma idei reformuje wszystkie inne, a ze światłem umysłu nastaje pogoda serca.

STULETNIA NA CZEŚĆ BEETHOWENA UROCZYSTOŚĆ W BONN.

PRZEZ

Bolesława Wilczyńskiego.

Obchód stuletniéj daty urodzin wielkiego człowieka, jest bezwątpienia najznakomitszą czcią, oddaną pamięci jego. Człowiek, którego promienie pomimo śmierci nie zgasły, ale całą rzeszę ludzką żywotném ciepłem wciąż ogrzewają, zasługuje na tę powszechnego uwielbienia owacyą. Takiém światłem żyje wśród nas duch Beethowena: jemu się też należy owo z ludzkich serc wypisane nieśmiertelności świadectwo.

Jeszcze w roku ubiegłym przypadająca stuletnia pamiątka urodzin Beethowena, z powodu wojny, nie mogła być we właściwym czasie obchodzoną. Odłożono ją do piérwszych chwil pokoju, a wybrano na to dobę lata, czas odpoczynku, ukończonych zatrudnień i owéj przez Niemców ulubionéj po kraju włóczęgi, którą każdy z nich z Baedekerem w ręku, na pożytek artystyczny obraca. Dawno już uorganizowany z mieszkańców miasta komitet, rozwinął swą czynność, a przez pisma ogłosił porządek i program trzydniowych uroczystości, których serya z 20 sierpnia rozpocząć się miała. Na jego wezwanie odpowiedział świat muzyczny skwapliwém żądaniem uczestniczenia. Zjechały się roje miłośników sztuki z rozlicznych krajów, a to tém chętniéj, że programy zapowiadały nadzwyczajne fakta pod względem wyboru dzieł mistrza i ich wykonania.

Miasto z uprzejmą wystąpiło gościnnością. Więc co ma osobliwości i czém bogate, tém uraczyć chciało dostojnych przybyszów. Wedle wskazówek wypisanych przez komitet na kartach koncertowych, odwiedziłeś najprzód dom, w którym na poddaszu mieści się mała izdebka, nizka, o jednem oknie. Tam mieszkała uboga rodzina Beethowenów i tam się Ludwik urodził. Stare portrety dziadka, proboszcza i kilka innych familijnych, są dziś całą

mieszkalną tego kącika illustracyą. Wszakże pomimo pustkę, dość już tych kilku szczegółów dla wyobraźni i serca. Same ściany szepczą o tém, czém była kolebka mistrza, czém był początek człowieka, tak wielmożnego duchem. Wpatrując się w szlachetną, a pracowitym wiekiem zoraną twarz starca, i w ową ojca duchownego i w inne domowego grona postacie, zdaje się że masz przed sobą źródłowy klucz do pojmowania charakteru poetycznéj Ludwika twórczości. Z tego ciasnego gniazdka wyglądają głębokie cnoty żywota: pokora i pobożność, hart duszy i spokój sumienia, przemawiają tą samą prostotą i głębokością, jaką Ludwik zwykł był w muzyce przemawiać. Z kolei wypadały odwiedziny do mieszkania, które Beethowen już jako świeży pomazaniec sztuki, od 21 roku życia swego zajmował. Lokal odnowiony, nie przechował nic z pamiątek, krom starego klawikordu w kształcie stolika, z dziwaczną mechaniką młotków i pojedyńczém strun wiązaniem. Ztąd, porządkiem wspomnień szła droga do domu owych Breuningów, przyjaciół i protektorów, z którymi tyle serdecznych węzłów wiązało mistrza aż po deskę grobową.

Tyle co do osobliwości, z samym festynem związek mających. Ale posiada Bonn i inne jeszcze, które również komitet do zwiedzenia zalecił, a o których pokrótce wspomnę.

Miasto Bonn było jednym z najstarszych kastelów rzymskich nad Renem. Od wielkich klęsk wojny i pożogi uwolniła mieszkańców, jak niesie podanie, matka Konstantyna W. Ś-ta Helena, która téż miała ufundować tu katedrę. Kościół dzisiejszy w stylu romańskim, ze statuą Ś-téj Heleny w środku nawy, nic ciekawego pod względem sztuki wewnątrz nie przedstawia. Za to sama budowa jest wspaniałym zabytkiem owéj epoki przejściowéj w architekturze, któréj styl tak charakterystycznie samą epokę określa. Znikł tu przepych gotyku, ale została jego wyniosłość i główne linije. Widzisz tu bliską chwilę odrodzenia, chwilę przejścia sztuki od swawolnéj fantazyi do poważnéj dojrzałości. Katedra w Bonn jest rzadkim pod względem czystości swego stylu zabytkiem, albowiem w większéj części architektonicznych pamiątek w Niemczech, uderza uwagę pomięszanie stylów, wynikające z heterogenicznych w różnych czasach dobudowań i dokładek.

Na placu katedralnym stoi pomnik Beethowena bronzowy, wzniesiony w 1845 r., podług modelu Hachnela z Drezna. Teraz z wieńcem na głowie i dokoła otoczony drzewami i festonami z liści, uroczyste wizyty przyjmuje.

Na cmentarzu miejskim wypadało kilka znakomitszych wspomnień zapisać. Tu grób Roberta Schumana, owego Rychterowskiego poety w muzyce, którego duch nie mógł nacisku poetycznéj myśli wytrzymać. Pomięszany na umyśle, umarł niedaleko Bonn w domu lekarza. Są tu pomniki: słynnego dziejopisarza Niebuhra, przyjaciela i przewodnika w młodym wieku Fryderyka-Wilhelma, IV, dalej wdowy Schillera i jego syna, Arudta, Schlegla poety i oryentalisty i wreszcie kilku uczonych niemieckich.

Ma Bonn swoją resursę, któréj wszystkie salony były dla gości przez cały czas ich pobytu otwarte.

Miasto Bonn słusznie jest dumne z posiadania dwóch rzeczy: uniwersytetu i kolebki Beethowena. Otóż teraz z pierwszym porankiem, rozpoczynającym dnie festynu, wszystkie domy i mieszkania wywiesiły wielkie chorągwie. Miasto w tym ubiorze weselnym przybrało widok niezmiernie uroczysty. Każdy z przybyszów, powstawszy ze snu, znalazł się odrazu niby w świątyni Appolina, gdzie cześć dla piękna pięknem i weselną objawia się radością. Sala koncertów: Beethovens-Halle, kosztem miasta wybudowana, pomieścić była w stanie razem z orkiestrą i chórami, dwa tysiące kilkaset osób. Salę otaczały galerye, z których frontowa, naprzeciwko głównego wejścia, mieściła organ, zaś ta nad wejściem pięknie była przybraną dla gości cudzoziemskich i dwie boczne. Mniejszą połowę sali zajmowała orkiestra z chórami, nad któremi dominował piękny organ z biustem Bethowena na froncie.

Po ukończonych przygotowawczych ćwiczeniach, rozpoczął korpus muzyczny swoje generalne próby. Wolne było na nie wejście mieszkańcom miasta za zmniejszoną opłatą, zapewne dlatego, że o ile prymicye festynu miastu się należały, o tyle znów chciano, ażeby na zapowiedzianéj uroczystości najwięcéj miejsca goście zająć mogli.

Ze znakomitości artystycznych zaproszonymi byli: sędziwy Ferdynand Hiller kapelmistrz z Kolonii na głównego dyrektora i Wasilewski przewodnik miejscowego Towarzystwa muzycznego na pomocnika; daléj soliści śpiewu: Vogl tenor z Monachium, Schultze bas z Hamburga; panie: Otto-Alvsleben sopran z Drezna i Amalia Joachim alt z Berlina; soliści instrumentalni: Józef Joachim professor skrzypiec z Berlina, Königslöw i Ludwik Strauss jako szefowie orkiestry, Grützmacher wiolloncelista z Drezna, Karol Halle pianista z Londynu i koloński mistrz organu Weber. Orkiestrę i chóry składały znane talenta z różnych miast niemieckich w ogólnéj liczbie 373 osób chóru i 111 orkiestry, co wespół z dyrygującymi i solistami wynosiło ogromną cyfrę 492 członków muzycznego korpusu.

Piérwszego wieczora słuchaliśmy Solenną Mszę i Piątą Symfonją.

Mszę napisał Beethoven w onym ostatnim swéj twórczéj karyery peryodzie, który najsilniéj wewnętrzną treść mistrza wyraził. Dwie nadzwyczajne uderzają tu strony estetyczne: Jedną jest zupełny z dotychczasową formą rozbrat, zupełne zniknięcie pięknych kształtów kompozycyi takiéj, jaką tradycya przyniosła. Widzimy mistrza w oderwanéj indywidualności, tworzącego dzieła, których z formy nie możemy pojmować, których doniosłości nie zdołamy samym artystycznym umysłom mierzyć. Nie wiemy czém one są w palladium sztuki, bo nie przynoszą na sobie nazwy stworzonéj,

artystycznéj, bo są wielką tajemnicą mistrza. Otóż drugą stroną jest właśnie ta tajemnica, która nas pociąga ku sobie, a zapala niepowściągnioną żądzą zajrzenia w głąb jéj, w ową poetyczną mysteryę ducha. Ale chcąc być téj mysteryi uczestnikami, musimy razem z mistrzem opuścić formułki naszéj wiedzy, a przenieść się w sferę czystego natchnienia; musimy przystęp zwyczajnym dźwiękom muzyki zamknąć, aby usłyszéć symfonię ducha, który nam powié co jest nim w głębi, co prawdy w cierpieniu i co szczytności w poetycznéj wizyi. Ztąd peryod ów nie ma i nie może miéć stanowczéj a jasnéj oceny estetycznéj. Jedni, zwolennicy szkoły, dopatrują tu wielkich wad i grzechów przeciwko sztuce; inni, wyznawcy indywidualizmu, widzą w tym peryodzie twórczą wielkość mistrza, oderwanego życiem od ziemi, a natchnionego nieznaną nam dotąd poezyą uczuć.

Czémże jest msza Bethowena? Napisana na uczczenie dostojnego przyjaciela, arcybiskupa ołomunieckiego arcyksięcia Rudolfa, opracowywana z nadzwyczajném staraniem i przysposobieniem ducha przez lat kilka, uważaną była przez samego mistrza za najdoskonalszy, najwykończeńszy z jego utworów. Tak jest w istocie: najdoskonalszy pod względem wartości wewnętrznéj, ale najniewykończeńszy pod względem formy. Kompozycya w istotném znaczeniu wcale mszą nie jest. W utworach tego rodzaju nawykliśmy widziéć tę całość, tę figuryczną doskonałość, które wraz z akcyą ofiarną przy ołtarzu, mają symbolizować nieskończoną prawdę przez skończony, cały w sobie obraz świętego dramatu. Utwór religijnéj muzyki wypowiada tonami spełniający się akt święty, tłumaczy jego stronę uczuciową, a płynie z przejęcia się serca wiarą, szczerém i prawdziwém duszy nabożeństwem. Więc musi się zamykać w pięknéj formie, jak się w niéj tajemnica ofiary świętéj zamknęła. Mistrz, jak drugi Rafael lub Palestryna, powinien zapomnieć siebie, aby stworzonéj przez kościół mysteryi całą artystyczną swą wiarę oddał. Inaczéj Beethowen swoje zadanie pojął. Lubo się duchem do dzieła przygotował, ale wiarą nie stanął przy owéj stworzonéj dla świata mysteryi, jeno zapuścił ducha w niewyczerpaną, pełną bezcielesnych ideałów poezyę ewangeliczną. Ztąd kompozycya urosła w wielki poemat, w którym mistrz nie wciska modlitwy w serce słuchacza, nie do religijnego nabożeństwa lirę jego stroi, ale tworzy poezyę gloryi i cierpień Chrystusa i poezyę stosunku człowieka do Boga. Jest tedy kompozycya raczéj wspaniałą oratoryą, gdzie niknie modlący się człowiek, gdzie słuchacz w przepaście niezmierzonego dramatu widzi się wprowadzonym.

Otóż z tego punktu wglądając w kompozycyę, odkrywa słuchacz piękności niewyczerpane; jego wykształconą i podniosłą uwagę darzy mistrz pełną upojeń czarą. Samo *Kyrie* już jest apoteozą modlitwy. Poznajesz tu duszę ludzką, niosącą przed Majestat Najwyższy swój ciężar, iżby słodyczami nieograniczonego miłosierdzia odetchnąć mogła. Słyszysz jéj spowiedź i wołanie, jéj skargę i nadzieję. To poezya duszy wołającéj, poezya, która w jednym

natchnionym wykrzykniku „wysłuchaj nas!“ całą treść stosunków ludzkich do Boga opowiada. Wstęp ten jasny, pełen słodyczy w melodyach, zaleca się tém samém duszy wołającéj przeczystém pięknem.

Glorye rozpoczyna pojedyńczy głos, przechodzący kolejnie w powszechną głosów chwalbę. Wybuch się kończy i błoga cisza harmonii wślad następuje. Tam na wysokościach błyszcząca chwała Pana Niebios— tu, na ziemi pokój ludziom dobréj woli—te dwie krańcowe myśli, dwa najszczytniejsze upragnień człowieka ideały, wypowiedział mistrz tém wszystkiém, co najświetniejszego dla jednéj i najspokojniejszego dla drugiéj mógł w harmonii znaleźć. Słowa: „chwalimy Cię, błogosławimy Cię“ i cały ów czci serdecznéj dar, całą prostracyę korzącego się przed gloryą ducha, a zwłaszcza *miserere*, wypowiedział mistrz tak głęboko, takie zestroił w nich tony, że już te same tony byłyby najgorętszą modlitwą, gdyby nie ginęły w oceanie poematu i gdyby nie urywały się z żalem słuchacza, pośród kroczącéj ciągle naprzód symfonii. Nadzwyczajnie piękném pod względem nietylko muzycznym, ale i poetycznym, jest wprowadzanie głosów, raz pojedyńczych, raz kwartetu śpiewackiego, raz całéj massy chórów. Ta mnogość ról, ta różność psychologicznéj akcyi, powinna być przedewszystkiém przez słuchacza obserwowaną, skoro chce w wielkość pomysłu Beethowenowskiego być wtajemniczonym. Tu człowiek jako jednostka, tam ludzkość występuje. Gloryę zakończa fuga kunsztowna, ale długa, zbytkowna, nużąca, która aż nadto o nadużyciu formy i o mystycznéj kompozytora egzaltacyi świadczy.

Credo w pierwszéj swéj części śpiewa wyznanie wiary z nadzwyczajną prostotą uczucia. Główna melodya, skupiająca w sobie treść, niby wiary pochodnia, w tysiącznych się odbija symfonicznych kształtach. Co chwila widzisz nowy, z tego samego słońca tryskający promień. Dopiéro w miejscu, gdzie tekst o inkarnacyi Chrystusa mówi, wstępuje mistrz w szranki wyższego natchnienia. „I stał się człowiekiem“, wyrzeczone tenorowym głosem, chór wzniosłą i szczytną harmonią ogłasza. Następuje pełne żalu Adagio, opłakując ukrzyżowanie i cierpienia Zbawiciela. Dziwnie piękne niknięcie głosów w pianissimie i spoczynek na fermacie wyczerpanego z boleści chorowodu, dają temu ustępowi kolor tak rozdzierającego smutku, że rozbolałe w słuchaczu uczucie pragnęłoby również spocząć, a tęsknéj zadumie wodze puścić. Ale otóż mistrz uderza w nie całą siłą ataku. „I zmartwychpowstał!“ zagrzmiały gwałtownie męzkie, a w ślad za niemi wszystkie głosy. Za tym okrzykiem powszechnéj radości, wstępuje chorowód w Allegro, przedstawiające Wniebowstąpienia i sądu ostatecznego obrazy. I znów mistrz zapada w długą mystyczną fugę, okupując teraz swą niemą egzaltacyę prześlicznym końcem, który, na leciuchném passażowaniu orkiestry, przeciągła i niknąca kadencya śpiewu prowadzi. *Credo* jest z tego względu niezrównaném arcydziełem, że Bethowen przedstawił w niém najszczytniejszą ze wszystkich świętego dramatu akcyę, a odmalował obrazy téj akcyi z tak głęboką

prawdą, wyśpiewał jéj wielkość tak piękną mową, że nigdy zapewne słuchacz nie pojmował swego religijnego wyznania lepiéj, jak przez tę muzyczną poezyę.

Otóż skończył się dramat wielki i światła zstąpiły w człowieka. Teraz cisza dokoła, a dusza ze skruchą potrzykroć „Święty“ wewnątrz siebie szepcze. Dopiéro świetna chwała Hosanny wyprowadza ją z téj nabożnéj zadumy. Obraz czci i wdzięczności, jaką odrodzony naraz człowiek swemu Zbawicielowi składa, jako téż słowa błogosławieństwa ewangelicznego, traktował Beethowen już zupełnie w odmienny sposób, pełen nowych pomysłów w fakturze i najdelikatniejszych melodyjnych odcieni w akcyi. Po pierwszém obwołaniu Hosanny, głosy wszystkie umilkły. Teraz orkiestra sama prowadzi preludyę, niby harmonię z nieba, niby pocieszające echo błogosławieństw, tam, u wyżyn tronu dla człowieka postanowionych. Jakoż istotnie wywięzuje się z téj preludyi błogosławieństwo tym „którzy w Imię Pana przychodzą,“ prowadzone solową melodyą skrzypcową. Wkrótce do niéj łączą się solowe głosy śpiewu, a wspaniałość melodyj do samego końca w swym charakterze zostaje, panując wtórującemu, niby w słowo Pańskie wsłuchanemu chórowi.

Agnus Dei jest głębokiém wezwaniem łaski. Tu znowu nawrót człowieka do siebie, do swego wnętrza, wspomnienie niemocy, w jaką się czuje pogrążonym bez łaski. Pieśń wyraża trwogę i błaganie. Minorowe Adagio, rozpoczęte solowym basem i chórem utrzymane, do głębi wzrusza słuchacza. Po tém wywnętrzeniu się i wezwaniach do miłosierdzia w imię Baranka Bożego, następuje sama treść prośby. Pokoju nam przedewszystkiem trzeba—więc „daj nam pokój“ wołamy. Tu poetycka fantazya Beethowena, skrzydłami orléj myśli nad poziom zwyczajnéj formy tekstu się wznosi. Napis na partycyi opiewa: *Prośba o wewnętrzny i zewnętrzny pokój.* Więc w swéj wyobraźni szeroko mistrz pojął znaczenie pokoju dla człowieka. Pokój wewnętrzny w obec sumienia i prawd wieczystych i pokój zewnętrzny, wobec żywota doczesnego i jego prawomocności cielesnéj. Takie są dwie strony ideału pokoju, bez których nie ma równowagi, bez których sam ideał istnieć nie może. Aby go osiągnąć, człowiek usilną walkę stacza, a zawsze w tryumfach swych szalę przechyli i znowu walczyć musi. Toż końcem ostatecznym tych walk jest zawsze wyznanie słabości i ucieczka człowieka do prośby. Zdaje się że tak Beethowen ów ideał pokoju sobie obrazował, bo tuż po pierwszém *dona nobis pacem*, promiennem słodyczą, zbierają się naraz chmury w harmonii. Poczyna się w orkiestrze marszowy rytm, niby kroczenie do walki, a wkrótce na ten sam rytm, wchodzą niespokojne chórów motywa. Cały chorowód wstrząśniony, rozpoczyna to samo *Agnus* i nie wychodzi z charakteru trwogi, a przy powtórnéj prośbie o pokój, *Agnus Dei, qui tollis peccata mundi, dona nobis pacem!*

Chcąc wykonać tak olbrzymie pomysłem i poetycką myślą dzieło, trzeba było dobrze rachować się z siłami; trzeba było prze-

dewszystkiém, iżby przewodnik nie uląkł się zadania, a był swéj intuicyi i artystycznéj energii pewnym. Najlżejsza niemoc okazana w opanowaniu trudności, najdrobniejsze zapoznanie skomplikowanych kompozycyi planów, zwichnąćby mogły jéj wartość w obec dwugodzinnie wytężonéj uwagi słuchaczy. Zapewne, niepodobna wymagać bezwarunkowéj doskonałości od tak wielkiéj massy wykonawczéj. Dla wymagających wiele od akustyki, mogły się znaleźć niedostatki co do spływania głosów, co do równoważenia się partyj i tym podobne techniczne usterki. Zanadto silnie obsadzoną była partya sopranów, ze szkodą innych głosów, ile że kobiety w Niemczech, nie zalecając się tém samém co mężczyźni wykształceniem muzycznem, tém samém rozumieniem piękna harmonicznego, są przyczyną, że chóry mięszane nigdy tu nie mają téj dokładności co męzkie. Atoli zewnętrzny brak ów całkiem malał w obec téj dzielnéj dyspozycyi, w obec tego szczytnego pomyślenia dzieła, jakiém się Ferdynand Hiller natchnął i jakiém potrafił całą swą muzyczną armię przejąć. Niemcy, twórcy nowoczesnéj poezyi muzycznéj, niezmiernie wiele o każdéj piękniejszéj kompozycyi piszą. Każdy takt partycyi jest rozważony i z symbolicznéj intencyi kompozytora wytłumaczony. Ztąd się téż u nich wyrobił ów wzrok estetyczny, owa rozsądkowa działalność w rozwiązywaniu najzawilszych trudności muzycznych, które wysoką kwalifikacyę niemieckiego kapelmistrza stanowią. Ale krom téj kwalifikacyi, trzeba jeszcze mieć talent i czynną energię artystyczną. Hiller godnie i zaszczytnie położonemu w nim zaufaniu odpowiedział. W egzekucyi mszy znać było niezaprzeczenie rozumną pracę, odpowiedni nastrój fantazyi, wielkie poczucie i wgłębienie się w ducha Beethowenowskiego.

Owóż, jeśli to najtrudniejsze w świecie muzycznym dzieło, już było tak dobrze wykonaném, to egzekucya symfonii mogłaby podać temat, jak w orfejskich czasach półbogów, do pieśni o bohatérstwie tego który dźwiękami muzyki czarować umie. Ale téż w piątéj symfonii już się ma do czynienia z arcydziełem skończoném, z kreacyą pięknéj formy, wśród któréj myśl nie ginie, w któréj nie trzeba ognisk szukać, bo sama tryska brylantową wiązanką natchnień, bo sama przez się jest czémś co się podoba. Piąta symfonia nie jest testamentem pieśniarza, ale jest oddźwiękiem młodzieńczéj wibracyi duszy, jest dzieckiem owéj przelotnéj w życiu sztukmistrza doby, która mu pozwala być na chwilkę bogiem i stworzyć rzecz doskonałą. Nigdy nie słyszałem tak czarująco wyśpiewanéj melodyi Adagio, ani tak charakterystycznie oddanéj owéj tajemniczéj biesiady w Scherzo. A to przejście od Scherza, z którego niby z mgły obłoków, świetny, błyszczący hufiec wypada? To finał, któremu estetycy gwałtem takie lub inne znaczenie narzucają. A ów zwrot nagły w finale do tajemniczych nutek Scherza, niby wspomnienie dawno przebrzmiałéj biesiady? Jakąż to wszystko ma nazwę? Oto żadnéj innéj, jeno nazwę muzycznéj fantazyi mistrza, owéj fantazyi, która w upojeniu, sama nie umié swojéj kre-

acyi imienia nadać. Finał piątéj symfonii — to epopea tryumfów sztukmistrza, wyraz bohatérstwa Beethowena w sztuce. Tak musiał pojąć Hiller całe dzieło i dlatego nie zamącił go, nie wykrzywił, ale z nadzwyczajną sztuką grę motywów i niezrównane piękno fantazyi uwydatnił.

Drugiego wieczora słuchaliśmy Uwerturę do Eleonory, Marsz i Chór z Ruin Ateńskich, Koncert na skrzypce z orkiestrą, Fantazyę orkiestralno-chóralną i na końcu Symfonię heroiczną.

Uwertura jest mistrzowskiém streszczeniem dramatu, który Beethowen p. t.: Fidelio, muzyką opery wypowiedział. Ukochany małżeńską miłością Eleonory Florestan, wrzucony za polityczny czyn w ciemną otchłań więzienia, oplątany zawiścią człowieka, który jako naczelnik więzień, potajemnie zabić go postanowił, widzi się otoczonym niewidzialną opieką, słodzącą męczarnie życia jego. Tą niewidzialną opieką jest żona Eleonora, która pod przybraną suknią i nazwą, jako posługacz Fidelio, w obrębie więziennym służbę przyjęła. Fidelio udaje miłość dla córki dozorcy więziennego i otrzymuje przyrzeczenie jéj ręki, a filuterya ta służy do pozyskania przychylności starego strażnika, od którego różnemi podejściami uzyskać się stara wiadomość o mężu i jego losu ułagodzenie. Na téj rozrzewniającéj prawdzie małżeńskiego uczucia, osnowany jest cały dramat ofiar, wzniosłych czynów i rozdzierających serce wypadków. To jeden z owych szlachetnych dramatów, wyższych nad wszelkie tworzydła wyobraźni, które z całém swém pięknem na naszéj ziemi, tuż obok nas wyrastają, a których ogół nie umie widzieć inaczéj, tylko przez pryzmę sztuki. Otóż, jak George-Sand nie jeden z takich obrazków z ziemi podjęła, tak téż Bethowen podjął ów najpiękniejszém życiem drgający małżeństwa obrazek. W uwerturze Eleonory, zupełnie różnéj od tamtéj pod tytułem: Fidelio do téj saméj opery napisanéj, jest cała akcya dramatu przedstawioną. Ztąd to jéj bogactwo gry, ta jéj sceniczność i żywość obrazowa. Trzeba to wszystko wiedzieć, trzeba znać treść dramatu, aby tę niezwyczajną rozmiarami i treścią uwerturę rozumieć i dobrze oddać. Powszechne produkowanie jéj przez wszystkie zgromadzenia muzyczne ustaliło tradycyę. Wszędzie ją mniéj lub więcéj dobrze grają, wyjąwszy owe wykonastwa szczegóły, które z artystycznéj dzielności dyrektora wynikają, a są nieskończone w porównawczéj progressyi. Cień cieniowi nie równa się w malarstwie; to samo w sztuce produkowania muzyki. Pięknie była w Bonn uwertura wykonaną, ale jeszcze piękniéj słyszałem ją prowadzoną w Berlinie.

Marsz i Chór z Ruin Ateńskich, kompozycya mała ale znacząca, jak wszystkie Beethowena pomysły. Zostawię ją nateraz, aby czemprędzéj przyjść do złożenia hołdu mistrzowi sztuki wykonawczéj, nieporównanemu wirtuozowi i królowi tonów. Joachim grał skrzypcowy koncert Beethowena. Kompozycya ta nie jest wcale popisową; nie daje pola artyście do przedstawienia błyszczących gry przymiotów. Jest tedy z tego względu niewdzięczną dla

wirtuoza, ile że napisał ją Beethowen dla swego przyjaciela Clément,bardzo biegłego skrzypka, a zastosował do jego wyjątkowéj we władaniu smyczkiem dzielności. Dla téj natury swojéj, kompozycya zarzuconą i za niewykonalną uznaną była. Rozumiem wszakże, że prawdziwemu artyście nigdy nie może iść o błahy popis, a tem mniéj, skoro nań zaszczyt wykonania arcydzieła spada. Wybitną treścią koncertu jest śpiewność, a melodye są proste. Aby oddać taką kompozycyę, trzeba czuć i rozumieć prostotę w sztuce, trzeba wiedzieć co z téj krynicy płynie piękna dla myśli i uczuć, trzeba umieć odszukać te bogate zdroje, w których pić ma słuchacz nie zmysłową sensacyą, ale poetyczną swą intelligencyą. Ale jakichże to środków technicznych trzeba być panem, aby takiemu zadaniu podołać. Joachim jest bezzaprzeczenia tym w sztuce panem. Instrument w jego ręku przestaje być materyą; dźwięk jego skrzypiec i ton jego smyczka są czémś idealném, czémś zupełnie oczyszczoném z niedostrojów narzędzia. Ta pełność dźwięku, ta naturalność tonów w gamie nigdy nie chybiona; to rodzenie się tonu czarujące, bezcielesne, niby powietrzna emanacya; to bogactwo dotknięcia, w którém tyle męzkiéj mocy i tyle niewieściéj słodyczy; ten smak wytworny w kojarzeniu tonów: wszystkie te przymioty, czarem oczyniając sensacyę słuchacza, sposobią go do przenikania duchem już w poetyczne gry piękności. Dlatego, że wstrzymanym oddechem w piersiach, słuchaliśmy w koncercie Bethowena nie popisu, ale niezrównanych trzech pieśni, w których każdy ton był słowem. Słyszeliśmy jakoby trzy pieśni o trzech błogosławionych stanach duszy artysty: więc pieśń swobody, niby owéj nieznającéj żadnych ciężarów i tryskającéj w fantazyi wszystkiemi czarodziejstwy prostéj a niewymęczonéj myśli; potém pieśń marzenia i ciążących sercu ideałów, i w końcu pieśń biesiadującéj duszy wśród radości i wesela. Tak umiał rządzić wyobraźnią i sercem słuchaczy wirtuoz, któremu dopomagało znakomicie wyćwiczone Beethowenowskie orkiestrowanie.

Orkiestralno-chóralna fantazya jest kompozycyą, któréj nie można inaczéj rozumieć, jak przez jéj poetyczny pomysł. To scena z życia, któréj właściwą illustracyą mógłby być tytuł: marzenie i ideał. Rozpoczyna sztukę pianista szerokiémi passażami, rzucając się w rożne barwy modulacyi, bez zatrzymania się, bez wyrażenia swéj myśli w melodyi. Więc szuka czegoś niespokojnie; może w snach swoich widział czarowne światy i chciałby je pieśnią wyśpiéwać. Ale napróżno; żaden ton nie odpowiada wibracyom jego marzenia. Wyczerpany, słabnie na duchu, upada. Wówczas orkiestra rozwija prześliczny temat, pełen prostoty, wdzięku i dziwnego spokoju w melodyi. Następują na ten sam temat waryacye, w czasie których pianista chwyta niektóre nutki melodyi, jak gdyby rozpoznawał ów ideał za którym w dalekie kraje gonił, a który mu sztuka tu na ziemi, w postaci piękna ukazuje. Widzenie ideału kończy się; sztuka przebrzmiała, a marzyciel znowu sam z sobą pozostał. Więc znów się rzuca w odmęt marzenia, w improwizacyę

mglistą a niespokojną, podczas której orkiestra, lekkiémi tematycznéj melodyi konturami, przypomina mu rysy ideału, niby nawraca rozbujałą i niepłodną wyobraźnię do właściwéj drogi. Stój, wszak piękno tam gdzie spokój i trzeźwość ducha! Teraz przychodzi męzki chór, świetny, radośny, panujący całemu obrazowi niezrównanym blaskiem natchnienia. To hymn i apologia sztuki, pieśń o harmonijach życia, o owych słonecznych promieniach piękna, które z duszy wychodzą, a oblewają wszystkie wiosny, wszystkie szczęścia i wesela ludzkie swą złocistą powodzią. Wiersz jest Chrystyana Kuffnera. Pomijając treść fantazyi, któréj myśl podał Beethowenowi śliczny ów wiersz, co jest muzycznego wdzięku w temie i waryacyach i co harmonicznego światła w chóralnéj pieśni, to stworzyć jest w stanie tylko taki geniusz prawdy w sztuce jak Bethowen.

Któż nie zna heroicznéj symfonii? Kto nie słyszał w niéj wielkiego bohaterstwa, nie widział obrazów walk i tryumfów, epopei walecznego życia i walecznéj śmierci? Ale niezależnie od znanéj wszystkim myśli, z któréj Beethowen swoje natchnienie zaczerpnął, kompozycya pod względem muzycznym ogromnéj jest wartości. Tu Beethowen piérwszy raz tchnął owym olbrzymim geniuszem twórczym, samoistnym i poetycznym, który cały środkowy peryod jego artystycznéj karyery zapełnił. Porównywając pierwszą i drugą symfonię do téj trzeciéj, rzekłbyś: próbki szkolne w obec mistrzowskiego dzieła. Wszystko tu odrazu w wielkość arcytworu urosło: styl, forma, owe rytmy nieporównane w wymowie, owa siła tytaniczna w harmonii, owo muzyczne rojenie się myśli i mądrość wykładu. Trzecia symfonia zaleca się przed innémi bogactwem motywów i nadzwyczajną grą ekspressyi. Ramy jéj są wielkie, plany nader złożone i wspaniałe, fantazya pełna poezyi. Przez muzykę téj symfonii, słuchacz ogląda owe szlachetne promienie duszy, które jedynie poeta odtworzyć potrafi. Ztąd niezwykła trudność jéj wykonania, wymagająca od przewodnika baczenia na plany i role, a przedewszystkiém przejęcia się szczytnością przedmiotu. O wykonaniu jéj przez Hillera nie jeden słuchacz mógł powiedzieć, że mu się trzecia symfonia w innych jak dotąd pięknościach ukazała; że wiele szczegółów i wszystką całość dopiéro dzisiaj oglądał. Nie jeden zapewne pierwszy raz poczuł sprawiedliwą w krytyce ocenę dzieła, którego wartości nie mógł dotąd własném artystyczném uczuciem sprawdzić.

Na program trzeciego wieczora złożyły się następujące utwory: Uwertura do Koriolana, Elegia czterogłosowa z towarzyszeniem kwartetu smyczkowego, Koncert es dur fortepianowy, Aria „perfido", Uwertura do Egmonta i Dziewiąta Symfonia z chórem.

Pomijając rzecz o znanych powszechnie uwerturach i o koncercie fortepianowym, który więcéj niż miernie był przez p. Halle przedstawionym, wspomnę kilka słów o śpiéwach, a potém o symfonii. Elegia śpiéwa zagrobową pamięć małżonki przyjaciela Bethowena, Pasqualati. Głęboko jéj śmiercią wzruszony, wypowie-

dział mistrz muzyką uczucie swoje, a z uczucia myśl wzniosła wyszła. „Słodyczą życie, słodyczą twój koniec" śpiéwa miękka, pełna skargi melodya. Ów bolesny nastrój tonów rozjaśnia się powoli; poeta wznosi się do wyżyn myśli i w niéj ukojenia smutku szuka. „Za świętą jesteś, by cię sercem żałować." W ślad zatém następuje szerokie, promieniste wzmaganie się czterogłosu, niby w nieskończoną przestrzeń wstępowanie; „bo żadne oko nie płacze powrotu ducha do ojczyzny". Śpiew się kończy nawrotem do elegijnéj molodyi i daje tém samém utworowi dziwnie rozrzewniającą cechę. Uczucie jest na początku i na końcu wszystkich wzniosłych myśli naszych.

Aria „perfido" napisana w stylu włoskim dla jakiéjś śpiéwaczki w Pradze, powszechnie uważaną jest za jeden z najsłabszych utworów mistrza.

Zauważyć wypada, że staraniem komitetu było przedstawienie największéj liczby dzieł Beethowena z jego środkowéj epoki. Wybór ten obejmują sobą tylko dwa wielkie dzieła z ostatniéj, a mianowicie Msza na początku i dziewiąta Symfonia na końcu. Otóż dziewiąta symfonia—ten kończący karyerę artystyczną Beethowena wielki utwór—jest jakoby testamentem, pamiętnikiem mistrza. Widzimy w nim artystę, który duchem już żegnał świat, dla którego znikł urok śmiejących się wdzięków i form powabnych, którego serce goryczą napojone. Olbrzymia fantazya, z usługi swobodom ducha przeszła teraz na usługę wewnętrznego cierpienia i niespokojnych wizyi swojego pana. W piérwszéj części dzieła widzisz przedewszystkiem niepohamowany pociąg do barw ciemnych i cierpkich tonów. Uprzywilejowana maniera tworzenia gry motywów, kontrastów i wspaniałych światło-cieniów, ustępuje teraz miejsca ciążącéj potrzebie zostawania blizko przy wypowiedzianéj myśli. Ta myśl jest głębokim jękiem duszy. Za każdą razą poprzedza ją pewien niepokój tonów, szeroko po skali drżących, niby nabieranie serca do płaczu. Toż ów wybuch płaczu jest pierwszéj części osnową; przezeń cała spowiedź płynie, na nim się też kończy ów do żywego dojmujący epizod cierpienia.

Zkąd to wielkie cierpienie Beethowena? Historya życia jego podaje mnóstwo szczegółów, określających tę wyjątkową naturę w zapasach ze światem. Miał Beethowen swoje miłości i nadzieje, miał swoje ideały, ktorych zrealizowania nieraz pomiędzy ludźmi szukał. Ile razy go one zawiodły, tyle razy zstępował wewnątrz siebie, a zwracał się do sztuki, znajdując w niéj niezawodnego przyjaciela, nie wyczerpaną pociechę. Ale ideały ziemskie coraz bardziéj oszukiwały. Przyszła niemoc ciała, głuchota, przyszły i inne kolce—owe niewdzięczności i opuszczenia od swoich—które w głąb szlachetnéj i czułéj duszy jadem się wcisnęły. Zaiste, są to wielkie ciosy. Sądzę wszakże, że nie w samych tych zewnętrznych wypadkach szukać trzeba źródła cierpień Bethowena. Nieszczęścia jakkolwiek wielkie, nie są w stanie, same przez się dotknąć siłę,

możnego duchem człowieka. Ale Beethowen był wyłącznie człowiekiem ideałów. Cała siła jego wytężoną była nie w stronę, gdzie się wyrabiają kriteria żywotą, gdzie się słabość ludzka zaprawia, lecz w tę, gdzie same szczytne gmachy myśli i uczuć stoją. Widział on przez całe życie te złociste gmachy przed sobą, tęsknił do nich, pracował dla nich, wierzył w nie, bo je nieraz własną ręką w sztuce dotykał. Ale przyszła chwila, że mistrz zobaczył w nich swoje własne tworzydła. Z jednéj strony ukazał mu się grobowy koniec żywota, zimny, nieubłagany, z drugiéj szydząca ironia świata, który zdawał mu się naigrawać i tysiącem kolców dokuczać. Nieprzygotowany, nie mógł nieprzyjaciela odeprzeć; więc się zamknął jeszcze bardziéj w sobie, a tam już rozpacz i zwątpienie znalazł. Została mu w cierpieniu ta wielka siła czucia, jaka całe jego życie artystyczne cechowała. Ztąd dziewiąta symfonia, a zwłaszcza pierwsza jéj część, jest potężnym rykiem człowieka, który przez całe swe życie potężnym był poetą.

Aż nadto dobrze czuł Beethowen stan swój; bronił się przeciw niemu, wiązał rwącą się nić swobody i chciał być zawsze orłem. Dlatego wołał na pomoc milknącą fantazyę, ową niegdyś tak niezależną a życiem wibrującą. Widoczne są w dziewiątéj symfonii tego ratowania się ślady. Patrzmy na tę forsowną lekkość humoru, wychodzącą nagle z ponurych tonów scherza. Wraca mistrz do niéj, jakby się chciał maskować i znów gwałtownie w bolesną skargę zapada. Najwidoczniejszym jednak owocem tego usiłowania jest finał chóralny symfonii. To hymn do radości. Jakaż sprzeczność! Schillerowska ta poezya dawno już zajęła była umysł Beethowena, bo od młodzieńczego wieku muzyką w jego duszy grała. Marzył o téj pieśni i czepiał ją do różnych utworów. Teraz właśnie najlepsza nastręczyła się po temu sposobność. Tyle młodzieńczego natchnienia, tyle uroku, taki blask szczęścia, taki jasny, barwisty potok harmonii; wszystko to, obok saméj oryginalnéj myśli kończenia symfonii chórem, przyszło w porę, aby mistrz mógł ze skarbnicy natchnień coś jeszcze wielkiego dać dla sztuki.

I w istocie finał jest wielkim, jak jest wielkiém całe to nadzwyczajne dzieło. Muzycznie go biorąc, nie znaleźć tu pięknéj formy; są sprzeczności, a niéma owego z ducha wykwitu, który słoneczną całość utworowi daje. Ale téż muzycznie nie można go oceniać. Przez dźwięki dziewiątéj symfonii dochodzą duszy słuchacza tak pociągające tajemnice, taka z nich wieje moc olbrzyma, takie przepaście uczuć, że w obec nich milknie artystyczny umysł, maleje powaga krytyki estetycznéj. To nie piękny utwór, ale głos wewnętrzny ducha, który swą ziemską obłoczę rozdziéra.

Teraz jeszcze słów kilka o egzekucyi orkiestralnych numerów w ogóle. Do pięknego produkowania Beethowenowskich kompozycyj, krom studyów i poetycznego przygotowania się, potrzebną jest jeszcze ważna techniczna kompetencya. Beethowen był niezrównanym mistrzem instrumentacyi. Symfoniczny styl jego odznacza się nadzwyczajną pod tym względem złożonością, a w rodzinie instru-

mentów, kwartet smyczkowy był jego uprzywilejowanem narzędziem muzycznem. Ztąd egzekucya dzieł jego wymaga nader starannego, wyjątkowego urządzenia orkiestry. Beethowen sam przepisywał taką lub inną liczbę przodujących w rozlicznych utworach swoich instrumentów. Nie potrzebowałbym mówić, że wielką pod tym względem rozwinięto w Bonn staranność. Kwartet był potężnie reprezentowanym. Dwanaście kontrabasów dzielnie wspierało ogromną śpiewającą rzeszę strunową. Ztąd wynikała doskonała plastyka gry, uwydatniająca owe piękności kompozycyi, które w niejednéj tegoczesnéj orkiestrze zupełnie giną.

Ale to przymiot systematyczności niemieckiéj. Nierównie ważniejszą jest do zanotowania ta artystyczna inteligencya, z jaką każdy członek orkiestry swą czynną rólę pojmował i spełniał. Niemcy są narodem harmonii w muzyce. Jak łatwo każdy z nich wyrzeka się własnéj indywidualności na rzecz piękna harmonicznego, widzieć się daje w niepohamowanym pociągu do chóralnego jednoczenia się, który to pociąg jest jedyną przyczyną śpiewającéj po całym kraju polifonii. Każdy z sobą do téj polifonii przynosi nie swą osobistość, nie swój organ tylko, ale swą intuicyę harmoniczną, ów zmysł wsłuchany w kombinacye i ruchy partyi, które to przymioty czynią go rozumną jednostką w zbiorowym organizmie muzycznym. Widziałem z jakiém zaparciem się swéj aureoli, wpatrzony w ruch dyrektora i jego skinieniom posłuszny, stał przy orkiestralnym pulpicie sławny Joachim. Gra jego niknęła w gronie kolegów, ale na takiéj religijnéj czci dla sztuki, sama wielkość sztuki zyskuje. Otóż przy takich warunkach, dość jest przewodnikowi być istotnym artystą, poetą, aby każde uderzenie czucia, każdy promyk natchnienia, piękném w grze się odbił. Owszem, wrodzona intuicya, z jaką każdy grajek do spełniania swéj roli przystępuje, sama, niejako potajemnie, do wzorowéj egzekucyi się przyczynia. Frazowanie, wymowa i niezliczone harmonicznego cieniowania tajemnice, wymagają inteligencyi grajka, bo ton muzyczny i rodzaje jego emissyi są nieskończone. Dość powiedzieć że orkiestra w Bonn składała się z artystów w całych niemczech wybranych. Dlatego uczestnicy Beethowenowskiéj uroczystości znaleźli tu sposobność do smakowania takich gry przymiotów, jakie rzadko smakować się dają. Było tam tyle wykończenia, tyle jędrności i siły dźwięków, był taki czarowny, dostrojny chór głosów, taka barwista mowa tonów w melodyach, że słuchacz już nie pod urokiem wrażeń sensualnych, ale się znajdował w obec najszczytniejszych ideałów muzycznych, właśnie tak jak Beethowen chciał, jak swoją muzykę tworzył.

Czwartego dnia jeszcze ucztowaliśmy. Mieliśmy poranek z programem kameralnéj muzyki. To był przyczynek do miniony wielkich wrażeń, niby poufne wspomnienia a przyjacielskie pożegnanie uczestników, w imię sztuki przybyłych. Dwa kwartety smyczkowe, prowadzone przez Joachima; Sonata na fortepian z wiolonczelą; Adelajda śpiewana przez Vogla i dwie piosnki przez

panią Joachim. Piękny i sympatyczny głos Vogla umiał z takiém uczuciem nieśmiertelną Adelajdę wypowiedzieć, tyle wlał w pieśń czaru miłości, że jego śpiéw stał się w istocie pożegnalną pamiątką. Taka pieśń w sercu niezapominajką wyrasta.

Na zakończenie uroczystości zapowiedzianą była wielka przejażdżka, Festfahrt. Zaproszeni na nią byli wszyscy artyści, biorący pracowity udział w wykonywaniu, ale do wspólnego towarzystwa wszyscy za biletem należéć mogli. Kilko-godzinna ta dwoma statkami przejażdżka, miała na celu już samą rozkoszną dolinę Renu, już jedną z najpiękniejszych pod względem widoków miejscowość Rolandseck, gdzie wylądować postanowiono. Wśród salw działowych wsiadało zbratane grono miłośników sztuki; kapele grały, stoły do uczty zastawione były. Na dany znak, ruszyły wzdłuż Renu świątecznie strojne nawy, prowadząc upojoną drużynę od ołtarzów sztuki w kraj piękniéj natury.

Dnia 3 września 1871 r.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Dzieło professora Franka: Komunizm osądzony przez historyą. Teorye socyalne Tomasza Morus, Campanelli, Fenelona, J. J. Rousseau, Mably, Morellego.— Robespierre i Babeuf. — Szkoła Louis Blanc. Uwagi nad dziełem Franka. Komunizm przejściowy u ludów europejskich; stały u ludów arabskich.— Arcybiskup Darbois; jego prace naukowe.— Poeta Jakób Normand. *Tablettes d'un Mobile.* *Wystrzał*, opowieść wiarusa. Piosneczka Prusaka.— Paul de Kock; jego powieści.— Wystawa obrazów Holbeina w Dreznie. Spór o dwie Madony. — Kongres malarzy i archeologów. Dzieła o Holbeinie. Pożyteczność pedantyzmu niemieckiego.

Jeżeli wszystkie wyższe umysły w Europie zwróciły się dziś głównie do rozstrzygnięcia ważnych pytań społeczno-ekonomicznych, kierunek ten najsilniéj objawia się we Francyi. Nic w tém dziwnego! Czyż gruzy tylu powalonych gmachów nie stoją tu jak widma cmentarne? czyż nie dają pobudek do badania przyczyn wzrostu i upadku społeczeństw. Wolnej nie potrzebowałby dziś szukać takich pobudek na gruzach dalekiéj Palmiry!

Szczęściem dla francuzów, że takich Wolnej'ów nie brak i dziś pomiędzy nimi. Ta sama Francya która w ostatnich czasach wydała wielkich burzycieli, wydała też i wydaje wielkich budowników. Ona nie pyta, co świat mówi o niéj, ale idzie daléj a daléj, zadziwiając ludy wielkością ofiar, sypanych szczodrze a wytrwale dla naprawienia złego.

Kiedy jedni pełnemi garściami sypią złoto, kiedy drudzy oddają własne zbiory i biblioteki dla zastąpienia tych, które pożar pochłonął; inni znów składają na ofiarę skarby wiedzy i myśli, drogie owoce długoletnich prac naukowych. Te ostatnie najwięcéj nas zajmują.

Z pomiędzy mnóstwa publikacyj poświęconych wyjaśnieniu ostatnich wypadków, uderzyło nas szczególniéj dziełko o stu stronicach professora A. Franka, p. t. *Komunizm oceniony przez historyą*, od początku swego do roku 1871. Ciekawi byliśmy wiedzieć

w jaki sposób znakomity moralista francuzki zapatruje się na przedmiot tak niesłychanie wielkiéj wagi.

Dziełko to pojawia się dziś w trzeciém wydaniu. Piérwszy raz wyszło w roku 1848 wskutek czerwcowych wypadków. Nowość jego stanowi przedmowa, napisana obecnie pod wpływem świeżych wrażeń i nowo nabytego doświadczenia. Autor oznajmia w téj przedmowie, że ponieważ stan dzisiejszy nie zmienił się w niczém od ówczesnego, i on również nie potrzebuje zmieniać nic w swojéj pracy. Dowiadujemy się niemniéj z tych słów wstępnych, że przyjaciele autora uprosili u niego pozwolenie na oddruk, widząc, że dziełko odpowiada potrzebom dzisiejszym. Ta wielka waga jaką przyjaciele professora i on sam, przywiązują do téj publikacyi, zmusza nas do zwrócenia na nią szczególnéj uwagi czytelników naszych; wyznajemy jednak najprzód, że niepodobna nam zgodzić się z szanownym professorem, w jednéj z kardynalnych podstaw jego pracy; mianowicie w jakiéj, okażemy z kolei.

Autor wychodzi z zasady, że komunizm i socyalizm, to dwa nazwiska téjże saméj rzeczy. „Dzisiejsi komuniści — mówi on— pokrywają się nazwą socyalistów jedynie dlatego, że to ostatnie wyrażenie ma na celu samą tylko teoryę; kiedy wyraz komunizm przedstawia teoryę już urzeczywistnioną. Nazywa autor takie pomięszanie prostém oszukaństwem ze strony komunistów.

„Socyalizm — dodaje — jestto pretensya nie do naprawienia ale do przerobienia z gruntu zasad społecznych. Zadaniem jego oprzeć społeczeństwo na nowych podwalinach, przeistoczyć warunki jego bytu, zastąpić dawne prawa nowemi prawami, stworzyć nową moralność w miejsce dawnéj, jak gdyby zbrodnia i szaleństwo rządziły dotąd społeczeństwem!“

Autor rozdziela socyalistów na trzy szkoły: „Jedni—mówi— biją szczególniéj na własność, są to komuniści; drudzy uderzają na związki rodzinne, to falansteryanie; inni nakoniec, sięgają jeszcze daléj: nie przyznają jednostce żadnych praw osobistych, żadnych zobowiązań moralnych: to filozofowie tak zwani humanitarni, ludzkościowi, głosiciele starożytnych idei pogańskich, ubóstwiających ciało, uświęcających namiętności... Wszyscy socyaliści z wiedzą lub bezwiednie, jawnie czy skrycie, i falansteryanie, i filozofowie humanitarni, i tak zwani organizatorowie kredytu i pracy, są z konieczności komunistami.“

Autor zwraca następnie uwagę na komunizm, jak się objawiał w starożytnych społeczeństwach: w Indyi, w Egipcie, w Judei i w Grecyi. Z tego poglądu na dzieje, przychodzi do następnego wniosku:

„Powszechne prawo panujące nad wypadkami, i przewodniczące pochodowi społeczeństw ludzkich, okazuje się w tém, że własność i jednostka oswobodzają się stopniowo z węzłów wspólności, czy to państwowéj, czy rodzinnéj, czy też jakiejś kasty uprzywilejowanéj, a przybierają charakter osobisty; inaczéj mówiąc, że wspólność i niewola, własność i wolność, istniały zawsze

w jednakim do siebie stosunku. Gdziekolwiek widzimy jednę, spostrzegamy zarazem i drugą; w miarę jak jedna upadała i druga przestawała też istnieć: słowem można powiedzieć, że stopień rozwoju własności u danego ludu, okazuje nam miarę jego cywilizacyi, a szczególniéj wychowania moralnego."

Konkluzyę tę stara się udowodnić professor, przechodząc urządzenia komunistyczne utworzone pod wpływem chrześciaństwa: braci morawskich, kwakrów, anabaptystów i t. p. Dowody w tymże kierunku czerpie i z komunizmu jaki się utworzył pod wpływem teoryj filozoficznych: Tomasza Morus, Campanelli, Fenelona, J. Jakóba Rousseau, Mably, Morellego. Kończy na komunizmie wyrobionym na zasadach czysto-rewolucyjnych Robespierra i Babeufa.

Nie zatrzymujemy się nad komunizmem u ludów starożytnych, wskazanych przez professora, ani też nad komunizmem braci morawskich, kwakrów i t. p. Rzecz ta w ogólności dosyć znana. Mniéj zdają nam się znane teorye filozofów, zatrzymamy się chwilę nad niemi. Występuje tu najprzód Tomasz Morus. On to utorował drogę utopistom XVIII wieku, którzy wskutek czasowych okoliczności, wielki a smutny wpływ wywarli na społeczeństwo.

W idealnéj rzeczypospolitéj Tomasza Morus, ludzie powinni pracować dziennie po sześć godzin. Pracują jedni dla drugich, bo własność indywidualna nie znana im wcale, a jednak z tak małém wysileniem, bez bodźców jakie daje pycha i miłość rodziny, dochodzą do wielkich bogactw i zadziwiającéj zamożności. Wyspa ich posiada pyszne miasta, pola wzorowo uprawne, wsie ludne i kwitnące. Mają publiczne śpichlerze i targowiska, zkąd każdy czerpie według woli. Zgromadzają się co wieczór w około wspólnéj uczty, gdzie panuje wyrafinowany zbytek. Bez handlu, bez pieniędzy, wszyscy zmuszeni uprawiać rolę i umieć jakieś rzemiosło, używają kornie wszelkich owoców cywilizacyi. Bystry umysł Tomasza Morus przewidział trudności i zaradził mu na sposób Platona, to jest przyjął zasadę niewolnictwa dla jednéj części mieszkańców.

Campanella nie wprowadza niewolnictwa do idealnego społeczeństwa swego, ale znosi wolność powszechną. Wszystkie czynności, uczucia i myśli jego poddanych, podlegają władzy absolutnéj jednego. Naczelnik ludu jest czémciś podobném, jak ojciec najwyższy w systemacie Saint-Symonistów, to jest monarchą i arcykapłanem nieomylnym, człowiekiem z attrybucyą Bożą. Ma on przy sobie trzech ministrów: mądrości, władzy i miłości. Pod rozkazami tych trzech ministrów zostają urzędnicy, których obowiązkiem jest czuwać nad wrodzonemi zdolnościami mieszkańców. Do nich należy oznaczyć każdemu stanowisko i obowiązki, a w miarę jak kto dopełnia tych obowiązków, wydzielać mu część w dochodach publicznych. Wspólność w tym systemacie nie wymaga bynajmniéj równości. Kobiety należą do wszystkich; mał-

żeństwo nie istnieje. Minister miłości dobiéra pary, i zawiązuje czasowe stadła.

Campanella wybornie zrozumiał, że wolność, własność i rodzina połączone są najściślej. Jeżeli zniszczą się zasady jednéj, tém samém niszczą się i drugie.

Cóż teraz powiedzieć o rzeczypospolitéj Salońskiéj Fenelona? „Jedyny wniosek jaki da się z niéj wyciągnąć — mówi Frank — nie jestże ten, że wspólność i równość majątków, może tylko istniec w dziecinnym stanie społeczeństw, dopóki rozum słaby, wyobraźnia uśpiona, dopóki nieznane potrzeby jakie rozwija postęp cywilizacyi.“

Co do J. J. Rousseau któż nie zna tych jego tak pożytecznie wymownych słów: „Pierwszy kto zagrodził kawał ziemi i śmiał wyrzec: *to moje!* był prawdziwym założycielem społeczeństwa cywilnego. Od iluż to zbrodni, wojen, rozbojów, od iluż nieszczęść i okropności, uchroniłby społeczeństwo ten, ktoby wówczas wyrwał te słupy, i zawołał do podobnych sobie: Nie słuchajcie tego oszusta! biada wam jeśli przepomnicie, że owoce należą do wszystkich, ziemia zaś do nikogo!“

Ale Russeau był paradoksistą, w innóm bowiem miejscu pisze: „Własność jest prawdziwą podstawą społeczeństw cywilnych, i prawdziwą rękojmią zobowiązań obywateli; bo jeśliby prawa nie odpowiadały za osoby, łatwo byłoby uchylić się od pełnienia powinności i żartować z praw. Silniéj jeszcze wyraża tę myśl oświadczając, że prawo własności jest najświętszém ze wszystkich praw obywatelskich, daleko ważniejszém z wielu względów niż sama nawet wolność!“

Paradoksa filozofa genewskiego tłumaczą się tém, że warunki w jakich istnieje własność w czasach nowych, uświęcają same przez się nierówność, a nierówność jest w jego oczach, największym wrogiem wolności. Nieszczęścia wydziedziczonych braci, które on maluje w najczarniejszych barwach sprawiły, że filozof woli raczéj samotność, głupotę, wszelkie nędze życia w stanie dzikim, nad cenione powszechnie owoce cywilizacyi.

Komuż nieznany sławny *Contrat social*? Trzeba jednak przyznać, że Rousseau przyjmuje komunizm jako teoryą, ale nie śmié domagać się jego realizacyi, mówi nawet, że łatwe przechodzenie majątków z rąk do rąk jest najszkodliwszém dla obyczajów, i burzy ład w państwie.

Mably nie poprzestaje na przyjęciu samój teoryi; bierze on cały system zasad komunistycznych i chce go zaraz wprowadzać w wykonanie. Wiadomo, że Mably bronił najprzód władzy absolutnéj, następnie bronił wolności, w końcu uważał wolność jako rzecz podrzędną, a równość za główny cel ucywilizowanych społeczeństw. Komunizm jest według niego gwarancyą lekkiéj wolności. Oto niektóre jego zdania:

„Równość i wspólność są stanem naturalnym, stanem prawowitym rodzaju ludzkiego. Sztuki piękne szkodliwy wpływ wy-

wierają na społeczeństwo. Nierówność tak fizyczna jak intellektualna pochodzi tylko z odosobnionego wychowywania jednostek: urządzenia komunistyczne mogą zagładzić te różnice."

Mably zyskał chwałę, o ile to jest chwałą tém, że nadał komunizmowi dokładne, logiczne formy; następca jego Morelly ułożył je w system prawny, to jest nadał im cechę rozkazodawczą: Babeuf naostatek wprowadził w rzeczywistość ów nowy kodeks. Podług tego kodeksu wszystkie urzęda są wypełniane z kolei przez każdego obywatela; wyborów niema wcale; każda za to jednostka ma prawo domagać się, aby była karmioną i ogólnie utrzymywaną kosztem publicznym. Widoczna tu, że Morelly i Babeuf utworzyli słynną formułę *prawa do pracy*. W kodeksie ich o wolności niema ani słowa. Każdy obywatel żenić się musi; nikt niema prawa wybierać sobie zajęcia. Liczba obywateli którym dozwolono zajmować się literaturą i sztukami pięknemi jest ograniczoną; każdy jednak może domagać się tego prawa, lecz nie wcześniéj jak po latach trzydziestu i to z warunkiem, że nie opuści zajęcia głównego, jakie mu rząd przeznaczył. Taką to konstytucyę postanowił zrealizować Babeuf.

Wielka zachodzi różnica między Robespierrem a Babeufem. Robespierre miał za główny cel zabezpieczenie wolności, gdy tymczasem Babeuf, równość jedynie miał na celu. Obaj przecież używali tychże samych środków, niwelując przeszkody toporem.

Professor Frank zwraca szczególną uwagę na nowych pseudo-ekonomistów, uczniów Morellego i Babeufa, u których komunizm jest podstawą systemu zwanego *prawem do pracy, do kredytu* i t. p. Wiadomo, że głównym ich przedstawicielem w czasach naszych jest Louis Blanc, twórca warsztatów narodowych (ateliers nationnaux), które jak niemniéj wiadomo, sprowadziły gwałty czerwcowe w r. 1848; z nichto w dalszym rozwoju wyniknął i dzisiejszy straszny kataklizm.

Rzecz godna uwagi, że nowa szkoła komunistów, utworzona przez Louis Blanca, uderza najgwałtowniéj na wszelkie wolności wywalczone w r. 1789, a szczególniéj na wolność osobistą, którą piętnuje nazwą *osobistego samolubstwa*; widzi w niéj źródło wszelkich plag społecznych; uderza niemniéj na wolność handlu i przemysłu, na wolność nauczania i głoszenia osobistych opinij, naostatek na wolność sumienia. Louis Blanc poświęcił wielkie dzieło: *Historyą lat dziesięciu*, na udowodnienie zasady, jako społeczeństwo dla zapewnienia sobie szczęścia, powinno zrzec się na rzecz państwa, wszelkich wolności osobistych.

Według autora dwa objawy charakteryzują życie człowieka: potrzeby i zdolności. Potrzeby czynią go biernym, zdolności czynnym. Dla zaspokojenia potrzeb, powołuje drugich na pomoc, zdolności zaś oddaje na usługę drugim. Potrzeby są skazówką dla społeczeństwa ile winno jednostkom; zdolności wykazują jednostkom ile to winny społeczeństwu. *Ztąd wynika, że więcéj należy się temu, kto ma więcéj potrzeb, a wolno więcéj wymagać od tego, kto ma*

więcéj zdolności. Tę samą myśl wyraził Louis Blanc w formie dobitniejszéj, w swéj *Historyi Rewolucyi roku 1848:* „*Od każdego w miarę zdolności, każdemu w miarę potrzeb.*“

Łatwo było professorowi Frankowi wykazać całą nieloiczność téj zasady. „Weźmy oto—mówi on—dwóch mularzy, dwóch szewców, dwóch krawców; jeden drugiemu nie równy ani zdolnością, ani pracowitością, jednak odbierają równą zapłatę, a nawet leniwiec i niedołęga, jeśli ma więcéj potrzeb, więcéj czerpie ze skarbu publicznego. Co odpowiesz na to drugiemu jeżeli się poskarży? że zdobędzie większą sławę, budując mocniejsze mury, lub robiąc lepsze buty, że w sumieniu znajdzie zapłatę! Zapomniałem... dodaje złośliwie Frank; w każdéj pracowni ma być napis na tablicy przybity do słupa: *leniuch jest złodziejem.* Taką to radę dawał Louis Blanc na konferencyach w pałacu Luksemburskim 1848 r.“

Jak widzimy maluczka książeczka professora Franka, dotyka najważniejszych zagadnień dzisiejszych. Nie pojmujemy tylko jakim sposobem znakomity professor, tak w roku 1848, przy pierwszém wydaniu dziełka, a témbardziéj dziś, przy jego nowém dokładném rozpatrzeniu i wzbogaceniu ważną przedmową, nie zwrócił uwagi na fakt najwyższego znaczenia w historyi ludów, na fakt tak ściśle złączony z przedmiotem przezeń traktowanym. Jakże tu przypuścić, aby professor Frank nie wiedział, że nie szukając daléj, część mieszkańców państwa francuzkiego, złożona z kilku milionów jednostek, żyje na prawach komunizmu, a żyje tak od wieków, nie w sposób rewolucyjny ani przejściowy, lecz stały i naturalny, że lubo ta massa jednostek straciła swój byt polityczny, nie przestaje zachowywać własnych cech plemiennych i narodowych opartych na komunizmie? Mówimy tu o Arabach w Algeryi, którzy jak wiadomo mieli epokę wielkiego życia historycznego.

Przy głębokiém uszanowaniu dla olbrzymiéj wiedzy i najlepszych chęci ludzkościowych professora, musimy widzieć w broszurze jego, raczéj obronę założonego przedmiotu, aniżeli uczoną rozprawę.

Rzecz godna uwagi, że i ci uczeni, którzy potępiają bezwarunkowo komunizm, widząc w nim zasadę niemoralną, niszczącą wolność człowieka, jak niemniéj i ci, którzy dopatrują w nim dodatnią stronę, utrzymując jakoby stanowił zasadę moralną w przeszłości ludów galskich, germańskich i słowiańskich, nie chcą wiedzieć, że właśnie takie instytucye komunistyczne, do dziś dnia praktykują się przed oczyma naszemi u plemion arabskich, tureckich i t. d. Zkądże pochodzi milczenie tych uczonych? Dlaczego, pytamy, i ci którzy widzą w komunizmie stan społeczeństwa dziecinny, niedojrzały lub zdemoralizowany, i ci którzy upatrują w nim jakoby tarczę, co sama jedna zasłoni ludzkość od klęsk pauperyzmu, i uszlachetni człowieka; dlaczego, pytamy, obie te szkoły myślicieli europejskich, unikają wzmianki nawet o komunizmie, jako instytucyi prawowitéj, moralnéj u Arabów i tylu a tylu

milionow różnych ludów Azyi, które przecież nie były jakiemiś hordami, żyjącemi z dnia na dzień gwałtem jedynie i grabieżą? Któż nie wié, że te miliony potworzyły wielkie i silne państwa, wielkie systemata filozoficzne, religijne, ekonomiczne, że się pokazały wielkiemi w poezyi, w budownictwie i t. p.?

I otóż owi uczeni nie chcą widzieć tych państw, tych systemów filozoficznych, religijnych, społecznych! Dlaczego? bo te im psują ich własne systema, postawione *a priori*, w celu obrony ich idei!

Nauka dążąca do wyjaśnienia praw powszechnych, bez względu na potrzeby czasowe i polityczne, uczy że istnieją ludy, dla których instytucye komunistyczne, nie tylko że nie są szkodliwe, ale i owszém są podstawą ich bytu, ich rozwoju i bogactwa. Ci uczeni nie mówią o nich, bo wykazanie komunizmu w życiu społeczeństw, arabskich, tureckich i t. p. osłabiłoby ich teorye, zastosowane do ludów europejskich.

Co do nas, jesteśmy silnie przekonani, że śmiałe postawienie pytania, najlepiéj odpowié celowi. Niechaj obrońcy praw własności osobistéj, praw dziedzictwa i wolności, mówią jasno, że komunizm nie jest *absolutném złém* dla wszystkich ludów, ale niech udowodnią faktami zaczerpniętémi z dziejów kilku tysięcy lat: że komunizm aby był moralnym, to jest aby był podstawą rozwoju społeczeństw, powinien być w ścisłéj harmonii, nie tylko z klimatem, z położeniem jeograficznem, z hydrografią i geologią danéj ziemi, ale co ważniejsza z usposobieniem fizyologiczno-psychicznem jéj mieszkańców, z ich plemiennémi cechami, nakoniec z ich tradycyą patryarchalną.

Komunizm, powtarzamy, nie jest złem absolutném, ale geniusz ludów europejskich, wyrobiony pod innémi warunkami, niż geniusz ludów arabskich, tureckich i t. p., nie może go brać za podstawę rozwoju swego. W tym punkcie zgadzają się instynkta wszystkich warstw społecznych. Jakoż w rzeczy saméj, tylko po wielkich miastach zachodniéj Europy, w obec anormalnego stanu, spowodowanego wielką aglomeracyą ludności, i ztąd wytworzonego proletaryatu, idee komunistyczne mogły znaleźć zwolenników i obrońców, którzy korzystając z zażartych walk stronnictw politycznych, wykonali krwawe gwałty czerwcowe i straszniejsze jeszcze zbrodnie dzisiejszéj komuny.

Teorya professora Franka, że *stopień rozwoju własności u danego ludu, wykazuje nam miarę jego cywilizacyi, a szczególniéj wychowania moralnego*, teorya ta powtarzamy nie może służyć za obronę własności osobistéj, ponieważ znajduje zaprzeczenie w łańcuchu zdarzeń historycznych całéj ludzkości. Rzecz pewna że komunizm istniał w czasach starożytnych u ludów zwanych dawniéj indogermańskiémi, dziś słuszniéj aryo-europejskiémi, ale istniał on tylko w stanie przejściowym, jako wypływ czasowéj konieczności. Kiedy owe ludy aryjskie (oracze) napływały do Europy mniejszémi lub większémi gruppami, zmuszone były w czasach pochodów

żyć na prawach komunizmu, co zresztą przeciągnąć się mogło przez czas długi, jak to widzimy u ludów galskich, germańskich i słowiańskich. A jednak już Cezar zapisał w komentarzach, że jeśli ludy germańskie praktykują komunizm, to jedynie z powodów czysto militarnych i politycznych. Wodzowie ich—mówi Cezar—utrzymują instytucye komunistyczne w massach, ażeby lud przywiązaniem się do ziemi nie osłabił w sobie ducha wojowniczego. Ci którzy zsyłając się na Tacyta mówiącego wiele o komunizmie praktykowanym przez Germanów zapominają że Cezar doskonale wyjaśnia pobudki tegoż komunizmu. Też same powody utrzymywały go i w Sparcie. Że to był stan wyjątkowy świadczą o tém całe dzieje Grecyi.

Tak jest, komunizm istniał u ludów europejskich, ale tylko przejściowo; przeciwnie zaś indywidualizm był podstawą ich bytu, jak to widzimy w samym charakterze ludów germańsko-normandzkich, w instytucyach feudalnych opartych na dziedziczeniu ziemi i instytucyach jakie te ludy potworzyły w Europie.

Na takichto jedynie zasadach, można i należy bronić osobistéj własności i osobistéj wolności ludów europejskich, o tyle o ile nauka historyi, oparta na tradycyach wiekowych nakazuje taką obronę. Wołajmy wraz z historyą, że instytucye ludów arabskich, tureckich i t. p. nie przystały nam, że szkodliwe i wstrętne geniuszowi dziejów naszych; ale z drugiéj strony nie mówmy że są absolutném złém; miliony bowiem ludów które rządzą się niémi przez długie wieki zadają kłam tak zuchwałemu twierdzeniu.

Instytucye oparte bądź na komunizmie, bądź na indywidualizmie, praktykowane przez tyle plemion, w ciągu tylu wieków, instytucye, ktore tak głęboko leżą w sumieniu i w uczuciu ludów, nie mogły być wynikiem tyranii jakiegoś człowieka lub jakiéjś kasty, jak mówi p. Frank; część zaledwie przyczyn które je wyrobiły znane dziś i określone: największa część ich spoczywa w tajemnicy. Antropologia, nowa nauka, dziś właśnie przychodząca tak na dobie, wyjaśniła już wiele z tych zagadnień; same buletyny Towarzystwa Antropologicznego Paryzkiego wymownie o tém świadczą. Rozprawy uczonych wykazały naprzykład, że ludy rozwijające się na prawach indywidualizmu, mają wielką rozmaitość w instytucyach prowincyonalnych, w narzeczach, w stopniowaniu władz inteligencyi; przeciwnie zaś: ludy komunistyczne, pasterskie, nie okazują takich różnic. Zostaje więc do roztrzygnięcia pytanie, czy instytucye indywidualne lub komunistyczne są wypływem tych usposobień; czy też są ich przyczyną?

Inną główną cechą ludów kumunistycznych jest wyrób życia patryarchalnego. Ten patryarchalizm nie podobny wcale do idei jaką sobie wyrobiły o nim ludy Europy, jaką rozumiemy mówiąc naprzykład o patryarchalném życiu naszych ojców i dziadów. Patryarchalizm Arabów i innych ludów téjże cywilizacyi, ogarnia nie jedną rodzinę ani wieś, ale miliony ludzi żyjących na wspólnéj własnośoi ziemskiéj. Przy takich to uczuciach, komu-

nizm może być i jest w rzeczy saméj instytucyą bardzo moralną, nie ubliżającą wcale godności pojedyńczych osób, bo wszak te miliony ludzi, stanowią rodzinę w pięknem i wielkiém znaczeniu tego słowa.

Czyżby tacy krwiożercy utopiści jak Robespierre i Babeuf, tacy marzyciele jak Rousseau i tacy ekonomiści jak Louis Blanc, tacy reformatorowie, jak twórcy niedawnéj komuny paryzkiéj, zdolni byli stworzyć ów potężny węzeł rodzinny, co połączył od wieków ludy arabskie, tureckie i inne. W samych gwałtach, jakich dopuszczali się nihiliści paryzcy, widzimy oczywisty dowód, że komunizm u ludów europejskich nie może istnieć inaczéj jak wskutek gwałtu i to tylko czasowo, jako wprost przeciwny geniuszowi i tradycyom tychże ludów.

Nie wyjdziemy po za obręb kroniki naszéj, poświęcając w niéj wspomnienie Jerzemu Darbois arcybiskupowi paryzkiemu. Ten bowiem pasterz, który do ostatka strzegł powierzonéj mu owczarni, był zarówno jednym z największych pisarzy i pedagogów tego czasu, jednym z najsilniejszych pracowników na polu teologii i filozofii chrześciańskiéj. *Księga* napisana przezeń za młodu, pełna głębokiéj erudycyi otworzyła mu drogę do przyszłych zaszczytów i dostojeństw. Trzej poprzednicy jego, arcybiskup d'Affre, który krwią męczeńską oblał paryzkie barykady w roku 1848; Sibour zamordowany u stopni ołtarza ręką szaleńca i Morlot sam jeden z czterech pasterzy któremu w ciągu ostatniéj ćwierci wieku, dano było umrzeć spokojnie na łożu śmiertelném: wszyscy ci poprzednicy wysoko oceniali naukę i charakter księdza Darbois. D'Affre powołał go do Paryża na profesorską katedrę, Sibour mianował go egzekutorem testamentu; Morlot zaś umierając, polecił go cesarzowi jako swego następcę. W skutek tego zalecenia, Napoleon powołał go z Nancy 10 stycznia 1863 roku na stolicę arcybiskupią.

Jerzy Darbois urodził się w Szampanii na pograniczu Lotaryngii, w miasteczku Fayl-Billot w r. 1813. Syn ubogiego mieszczanina, nie odebrał w spadku pargaminów szlacheckich, ale odebrał za to tradycye domowych cnót i pobożności, pielęgnowane gorliwie pod rodzicielską strzechą. Małym będąc chłopcem, służywał pilnie do mszy. Pierwsze nauki pobierał w rodzinném miasteczku, wyższe w mieście Langres. W roku 1831 wszedł do wielkiégo seminaryum w témże mieście. Postanowiwszy już wstąpić w stan duchowny, oddał się nauce filozofii i teologii z niesłychanym zapałem.

Po pięcioletniém przygotowaniu, wyświęcony w Langres r. 1836, został wikaryuszem w St. Disier w Lotaryngii. Na dwa miesiące przed ostatniém wyświęceniem, przemawiał z ambony w rodzinném miasteczku Fayl-Billot. Pierwsze to było ka-

zanie przyszłego kapłana, przygotował je zatem na piśmie i zachował jako pamiątkę. Ksiądz Perraud w mowie pogrzebowéj wyrzeczonéj w katedrze *Notre Dame*, przy trumnach dwódziestu i dwóch zamordowanych kapłanów, przytacza krótki ustęp z téj piérwszéj mowy przyszłego męczennika, nacechowany jakby duchem proroczym.

Młody dyakon, obrał za przedmiot tryumf religii chrześciańskiéj, i wielki udział jaki wzięli w nim męczennicy.

„Wierni ci naśladowcy Zbawiciela—mówił on—zstępowali wesoło do lochów więziennych, pochylali w milczeniu głowę pod mieczem kata, szlachetnie wystawiali pierś na pociski morderców. Sprawcież wy wielcy szermierze Chrystusowi—dodał w końcu—niechaj słuchacze moi zrozumieją wasze spokojne bohatérstwo, niech zrozumieją, że Bóg sam piastował na łonie swój kościół, wśród tych gwałtownych burz i nawałnic.“

W St. Dizier młody kapłan, zajmował się gorliwie szkołą parafialną. Piérwsze to było pole, jego pedagogicznéj pracy.

Pole to rozszerzyło się wkrótce: w roku 1840 powołany na professora filozofii do wielkiego seminaryum w Langres; w następnym roku postąpił o szczebel wyżéj; otrzymał katedrę Pisma Śgo, późniéj zaś ważniejszą jeszcze katedrę Teologii dogmatycznéj. Pięć lat znakomitego wykładu księdza Darbois, podniosło wysoko szkołę duchowną w Langres, nadało jéj wzorowy kierunek i rozgłosiło we Francyi imię uczonego professora.

Wówczasto, mimo trudów nauczycielskiego zawodu, przetłumaczył z oryginału dzieło Śgo Dyonizego areopagisty, (w roku 1845); poprzedził je rozprawą pełną erudycyi, w któréj wykazawszy autentyczność pracy greckiego pisarza, określił jego doktrynę. Dzieło to głęboko naukowe, napisane stylem jędrnym i ścisłym, nazwał uczony jeden bibliograf, najpiękniejszym kwiatem nowożytnéj erudycyi chrześciańskiéj.

Owa to księga otworzyła uczonemu teologowi drogę do przyszłych godności. Nieprzeparta siła pociągała go do Paryża, do tego wielkiego ogniska, do téj, że tak powiemy, olbrzymiéj kuźnicy, zkąd wychodzą i najcenniejsze kruszce i najobrzydliwsze szumowiny. Była to arena godna młodego a wytrawnego już zapaśnika. Przybył tu ksiądz Darbois w roku 1846; sława uczoności poprzedziła go i usunęła przed stopami jego te twarde zapory, jakie nowy przybysz napotyka zwykle w wielkiém mieście. Arcybiskup d'Affre czytał i ocenił jego dzieło, przyjął też autora najżyczliwiéj, rad że nowa gwiazda ozdobi paryzki widnokrąg.

Tu młody professor został nasamprzód kapelanem w Kollegium Henryka IV (późniejszym Liceum Napoleona). Miał on szczególny a tak niezwykły dar przywiązania do siebie młodzieży. „Kiedy wchodził na dziedziniec—mówi jeden z dawnych uczniów, znany publicysta Denain—my dzieci biegliśmy do niego jak jaskółki, okrążaliśmy go z okrzykiem, a on patrząc na nas uśmiechał się łagodnie. Postać jego przypadała wszystkim do

serca. Mały był i wątły; na obliczu jego panowała niezwykła słodycz; z oczu świeciła wielka dobroć; głos lubo słaby, mile wpadał do ucha i pociągał uwagę. Lubił naukę i pracę a tę miłość umiał przelewać w drugich."

W Paryżu coraz nowe spływały nań godności, coraz nowe obciążały go prace. Po przewrocie 1848 roku, i męczeńskim skonie arcybiskupa d'Affre, nowy pasterz Sibour nie mniejszemi względami otaczał znakomitego pracownika. Ksiądz Darbois mianowany wikaryuszem generalnym i redaktorem Katolickiego Monitora, powołany został do Rady wychowania publicznego. W roku 1854 odbył z arcybiskupem podróż do Rzymu; odtąd najściślejsze związki połączyły ich wzajem. Arcybiskup znalazł w wikaryuszu żarliwego przyjaciela i wytrawnego doradzcę; ten zaśpostępowaniem pełném taktu, zjednał sobie miłość całego duchowieństwa.

Sibour jakby przeczuwając zgon bliski, skreślił testament pod datą 10 października 1856 roku; księdza Darbois mianował egzekutorem tegoż testamentu, i w dowód przyjaźni zapisał mu pasterski pierścień. W trzy miesiące potém padł pod nożem mordercy Jana Verger, w kościele Śgo Stefana (St. Etienne du Mont).

Kardynał Morlot, który nastąpił po Siburze, równe względy okazywał księdzu Darbois. On to przedstawił go Napoleonowi III. Ocenił cesarz odrazu zasługi i zdolności uczonego kapłana. Bliżéj poznał go jeszcze, kiedy podczas postu roku 1859, słuchał co tydzień pasyjnych jego kazań, w kaplicy Tuilleryjskego pałacu.

Trudne to zadanie przemawiać w obec panujących; ksiądz Darbois wytrawny, pełen taktu, wywiązał się wybornie. Mówił z nadzwyczajną prostotą. unikał polityki, trzymał się ściśle prawd ewangelicznych, i te rozwijał w wymowny sposób, wykazując wielkie obowiązki życia chrześciańskiego. Po skończonych konferencyach, cesarz ofiarował mu swój portret, otoczony brylantami, cesarzowa zaprosiła go na dworskie zebrania.

W końcu tegoż roku, zawakowało biskupstwo w Nancy. Napoleon zwrócił oczy na księdza Darbois i przedstawił go papieżowi.

W katedrze Paryzkiéj Notre-Dame, nastąpiło wyświęcenie. Na tę uroczystość przybyła deputacya z Nancy, i milsza nowemu biskupowi deputacya z rodzinnego miasteczka, w osobie plebana z Fayl-Billot.

Za przybyciem do Nancy, pasterz pochwycił za serce wiernych serdecznem przemówieniem.

„Przynoszę wam miłość i dobrą wolę—rzekł głęboko wzruszony—bodajby obecność moja dała miastu szczęście i błogosławieństwo."

Silniéj jeszcze biskup zniewolił sobie Nancyjczyków, kiedy jął gorliwie zwiedzać szkoły, ochrony i szpitale; kiedy w szkółce

rzemieślniczéj przemówił do dziatek o godności pracy; kiedy w parę dni po installacyi, odwiedzał osierocone rodziny strażników ogniowych, poległych w czasie niedawnego pożaru i opatrzył je hojną ręką; kiedy zwiedzając więzienie i ujrzawszy w niém starą kobietę osadzoną za długi, wypłacił za nią należytość i dał odpowiednie środki do życia; kiedy nareszcie w obec zebranego ludu w kościele *Bon secours* (1), tém palladium miasta Nancy, oddał rządy swoje pod opiekę Bogarodzicy.

Krótko Nancy cieszyło się pasterzem swoim. W cztery lata potém umarł kardynał Marlot. Jerzy Darbois powołany na pierwszego dostojnika kościoła francuzkiego, zasiadł na téj przesławnéj stolicy, którą piętnaście wieków temu, zbroczył krwią męczeńską pierwszy pasterz Śty Dyonizy, a którą po tylu wiekach burz i przewrotów, miała oblać krew nowego jeszcze męczennika.

W ciągu ośmiu lat pasterskich rządów, arcybiskup Darbois był świadkiem dwóch potężnych a sprzecznych prądów wstrząsających Francyą. Przytaczamy tu słowa znakomitego mówcy, wyrzeczone przy jego zwłokach:

„Sądząc rzeczy tylko zewnętrznie, mówi ksiądz Perraud, nasze społeczeństwo szło z dnia na dzień drogą postępu; rząd rósł w coraz to większą siłę, a zespolenie powszechne interesów, dawało jakoby rękojmię przeciw pogróżkom ducha rewolucyjnego.

„Rok 1867 był najwyższym szczeblem potęgi tego cesarstwa, na którego korzyść Francya abdykowała niejako z praw swoich, w mniemaniu że przełamała wszelkie trudności, i zażegnała przyszłe niebezpieczeństwa w dniu, kiedy na jednego człowieka zlała myśl własną, wolę i moc działania w jéj imieniu.

„W tymże roku na wiosnę, świat cały powołan do téj stolicy przybył aby napaść oczy pomyślnością naszą, aby zamienić z nami płody swéj pracy i przemysłu, aby rzucić to spokojne zdobycze na pastwę owéj potrzebie zbytków i używania, która stała się powszechném hasłem, panującą namiętnością wszystkich warstw społeczeństwa.

„Świat cały odpowiedział na wezwanie. Stare i rodzące się cywilizacye; zgrzybiałe i barbarzyńskie jeszcze ludy; cesarstwa i republiki; narody i mocarze: wszystko to przyszło, wszystko podziwiało, wszystko czuło się olśnione nieznanym blaskiem i przyłożyło usta do czarodziejskiéj czary, którą podawała im Lutecya, zawiązując powszechne braterstwo rozkoszy.

„Wówczasto i Paryż i Francya, z mocarzem wybranym ich wolą, dopuściły do serca tę pychę, która niegdyś wspaniały Tyr panujący morzom, przywiodła do zatraty.

(1) W tym samym kościele du *Bon secours*, pochowany król Stanisław Leszczyński i małżonka jego Katarzyna z Opalińskich.

„Otóż stoimy na szczycie chwały! wybiegł okrzyk ze wszystkich ust, jak niegdyś z ust pysznych Tyryjczyków.

„Rzekłbyś że geniusz Francyi wzbił się pod obłoki na wozie tryumfalnym, a świat tworzy orszak w około tego wozu.

„I z owych tłumów olśnionych cudami pracy ludzkiéj, upojonych wszelkiemi uciechy, wymarzonemi w skażonéj wyobraźni, wybiegło to bluźnierstwo: „Nie ma innego Boga jedno człowiek! nową religią dla ludzkości wyzwolonéj przez pracę, ma być ubóstwienie siebie saméj!“

Ów bluźnierczy głos nie uszedł przed czujném uchem arcypasterza. Odpowiedzią nań były słowa jego, które nakreślił w liście pasterskim z tegoż roku.

„Tak jest—mówił on—kiedy pojęcia niemoralne i bezbożne rozgorączkują umysły i zaszczepią zepsucie w serca, kiedy sztucznemi potrzebami, szalonym zbytkiem i bezrządem zarażają obyczaje, przychodzi czas powszechnego obłędu, roztropność mędrców już nie wystarcza, ich siła złamie się o zapory. Dość wtedy jednego z owych tysiącznych wypadków, któremi życie ludów przeplatane, aby sztuczny gmach runął i rozsypał się w gruzy.“

Głos ten jak głos wołającego na puszczy przebrzmiał wśród powszechnego szału. W trzy lata potém spełniły się słowa proroctwa. Przyszedł jeden *z tych tysiącznych wypadków*, była nim wojna pruska. Gmach cesarstwa runął i pogrążył się w przepaść.

W obec tych dwóch prądów miotających Paryżem, o których wspomnieliśmy powyżej; między prądem sztucznego postępu a prądem gorączkowego szału rozprzęgającego tradycyjne węzły społeczne, arcybiskup Darbois stał dzielnie, nie porwany pierwszym, nie zatrwożony drugim. Ciągłemi odezwami a bardziéj jeszcze przykładem podniecał gorliwość duchowieństwa, zachęcał je do czuwania i pracy. Kiedy dzieło Renana rozrywane w krociach egzemplarzy, zatrwożyło umysły kapłanów, wyrzekł do nich pamiętne słowo: „Piszcie i wy wszyscy życie Chrystusowe, a piszcie je własném życiem waszém, to będzie najlepsza odpowiedź.“

Jeśli zalecał duchowieństwu życie wzorowe, zachęcał je niemniéj do nauki. Sam wysoko uczony, wiedział że ostre pociski należy odpierać wyostrzonym silnie mieczem rozumowania. Prace Renana i inne w tym rodzaju, okazały mu dążność współczesnych do rozwiązywania religijnych problematów za pomocą archeologicznych badań nad pomnikami wschodniémi. Niemcy pierwsi dali do tego popęd. Arcybiskup Darbois osądził, że w tómże samém źródle w którém jedni czerpią negacyą, potrzeba szukać żywiołów, któreby poświadczyły prawdę i broniły wiarę w obec pochłaniającego wszystko racyonalizmu. Postanowił zatém, że młodzi kapłani z jego dyecezyi, pierwsi pod względem talentu i nauki, wysyłani będą co rok do Niemiec i tam kształcić się mają

w językach wschodnich, mianowicie hebrajskim, aby za powrotem godnie zająć katedry w Sorbonie i innych wyższych naukowych zakładach. Mają oprócz tego wtajemniczyć się w systemata filozoficzne, bijące tak uporczywie w kościół, aby poznawszy je dokładnie, tém silniéj mogli wystąpić do walki i zbijać fałsz odpowiednim orężem. W maju 1870 r. wyprawiono w tym celu do Tubingi księdza Vollot laureata kilku wielkich konkursów.

W życiu domowém arcybiskup Darbois zachowywał nadzwyczajną prostotę. Wysokie stanowisko na jakiém się ujrzał, tak nagle, bynajmniéj go nie olśniewało. Kiedy w roku 1866 towarzyszył cesarzowej do Nancy, na stóletni obchód połączenia Lotaryngii z Francyą, widywano przy boku jego podeszłą niewiastę, w skromnej, wieśniaczéj niemal odzieży. Była to jego matka. Przybyła odwiedzić syna z miasteczka Tayl-Billot blizkiego Lotaryngii.

Przed dwoma laty wezwany przez Papieża do Rzymu, pośpieszył tam i wziął udział w pracach ekumenicznego konsylium na Watykanie. Należał on równie jak biskup Orleanu do mniejszości, która pragnęła odłożyć na dalszy czas ogłoszenie dogmatu.

Kiedy powrócił do Paryża w sierpniu r. 1870, Francya była już w wojnie z Prusami. Patrzał z boleścią na kraj zalany obcém wojskiem, na oblężoną metropolią. W dniu 16 września, na dzień przed oblężeniem napisał testament, w którym przeznaczył znaczne summy na różne pobożne fundacye.

W obec głodu i nędzy powszechnéj, niósł o ile mógł ulgę cierpiącym. Pilnował spraw kościoła nie mięszając się bynajmniéj do polityki.

Nastąpiła kapitulacya a po niéj wypadki marcowe. Gdy go uwiadomiono o zamordowaniu dwóch generałów, skinął boleśnie głową.

„Źle—wyrzekł—bardzo źle, a będzie jeszcze gorzéj.

Słowa te sprawdziły się zbyt rychło.

Uwięziono go w dniu 3 kwietnia, z rozkazu komuny i z innymi kapłanami powieziono do *Consergerie*. Tam smutnéj pamięci Raoul Rigault członek komuny z wydziału policyi rzucił mu w oczy w grubiański sposób zarzut o stosunki z Wersalem.

— Dzieci moje!—rzekł pasterz do młodych urzędników.

— Tu niéma dzieci, tylko obywatele—przerwał Rigault wściekły od gniéwu. Na jego rozkaz przewieziono arcybiskupa do Mazas.

W kilka dni po dokonanym gwałcie, przybył do Wersalu minister Stanów Zjednoczonych Washburne. Obecny tamże nuncyusz papiezki książe Chigi udał się do niego z prośbą o pośrednictwo. Za przybyciem do Paryża reprezentant amerykański żądał posłuchania u generała Cluzeret, naczelnika wydziału wojny. Ten pozwolił mu odwiedzić arcybiskupa. Opisał Washburne

to spotkanie, powtórzone przez wszystkie dzienniki. Zastał arcybiskupa złamanego cierpieniem, wychudłego, z długą, białą brodą. Odzież jego nadzwyczaj była nędzną. Przed nim na stoliku leżał czarny chléb, jedyny jego pokarm. Żalił się gorzko na sposób obchodzenia się z nim komuny.

Minister zapisał każde słowo, posłał notę do rządu swego, tę notę rząd amerykański wyprawił natychmiast do Rzymu.

Wypadki wojenne tymczasem spiesznie postępowały. W miarę klęsk sfederowanéj gwardyi, położenie zakładników stawało się coraz niebezpieczniejszém. Vermetsh w gazecie *Père Duchêre* i Rochefort w *Hasle* (Mot d'ordre) rzucili myśl morderstwa.

Wojska wersalskie weszły nakoniec do Paryża 22 maja. Nazajutrz potém z rozkazu komuny, przewieziono duchownych z Mazas do więzienia *la Roquette*. Z pomiędzy świeckich więźniów był z nimi czcigodny senator Bonjeau. Przewożono ich w dzień biały w oszklonym powozie, wśrod urągania pijanego motłochu.

„Śmierć im!—wołały tłumy—wytrząsając pięściami.

Dwa dni zostawiono ich w spokojności, 24 maja dopiéro podczas kiedy wojska wersalskie zdobywały jednę barykadę po drugiéj, kiedy pierwsze płomienie pożaru buchnęły nad stolicą, około ósméj wieczorem, wpadł do więzienia z oddziałem pięćdziesięciu federalistów, naczelny dozorca *Rokietty* Lefrancais dawny kryminalista i galernik. Brygadier otworzył celę arcybiskupa, przywołał go pocichu.

— Jestem—odrzekł nieszczęśliwy i bez oporu wyszedł z celi. Wszystkich więźniów wyprowadzono na dziedziniec.

Arcybiskup nie zadrżał w obec oprawców; spojrzał na nich łagodnie i wyrzekł słowa przebaczenia. Dwóch głęboko poruszonych upadło na kolana przed starcem. Inni przyskoczyli co żywo, odepchnęli ich, sypnęli słowami bluźnierstwa i zniewagi.

— Milczéć—zawołał oburzony brygadier—przyszliście po to aby rozstrzelać tych ludzi, nie po to aby im urągać.

Federaliści umilkli, nabili broń, na hasło dowódcy przystąpili do krwawéj egzekucyi.

Ksiądz Allard postawiony przy murze upadł pierwszy, po nim arcybiskup Darbois, nakoniec sześciu innych. Arcybiskup nie upadł zaraz: kapitan dobił go strzałem z rewolweru.

Po dokonanéj zbrodni, ciała ofiar zawieziono na cmentarz *Père la Chaise*. Posłużył do tego wielki powóz kompanii lyońskiéj, którym ta kompania w zwykłych czasach, rozsyłała po mieście sprzedane przedmioty mody i zbytku. Wszystkie ciała wrzucono do grobu wspólnego, gdzie zazwyczaj chowają najuboższą ludność. Nie było czasu pokryć ich nawet ziemią. Tak przeleżały przez dzień 28 maja, uroczysty dzień Zielonych Świątek.

Kiedy wojska wersalskie w krwawéj bitwie na cmentarzu pokonały ostatecznie federalistów, wydobyto pomordowanych z tymczasowego grobu. Ledwie że poznano arcybiskupa: biała broda dziwnie zmieniła jego rysy.

U prawéj ręki brakło dwoch palców: zdaje się że męczennik w chwili skonu błogosławił morderców swoich.

W niedzielę jeszcze przewieziono ciało do pałacu arcybiskupstwa: ustawiono je w wielkiéj sali, wraz z ciałem wikaryusza generalnego księdza Surut. Tłumy ludu odwiedzały zwłoki ofiar.

Pogrzeb odbył się w dniu 7 czerwca, w katedrze Notre-Dame. Nie będziemy opisywać smutnéj uroczystości, o któréj pisały szeroko dzienniki w swoim czasie.

Rzućmy jeszcze okiem na prace naukowe księdza Darbois. Prace te naznaczają mu znakomite miejsce pośród religijnych pisarzy współczesnych. Wyliczymy je tu w chronologicznym porządku.

Niewiasty Biblijne, wielkie dzieło w dwóch tomach, z czterdziestu portretami. Paryż 1846. Są to wspomnienia historyczne świętych niewiast Starego i Nowego Testamentu.

O wolności i o przyszłości Rzeczypospolitéj francuzkiéj, Paryż 1850. Broszura bezimienna odbita z czasopisma *Correspondent*.

Chrystus, *Apostołowie i Prorocy*, Paryż 1850, dopełnienie dzieła o Niewiastach biblijnych.

List do księdza Combalot. Odpowiedź na dwa listy tegoż księdza do arcybiskupa paryzkiego. Paryż 1851.

Nowy list do księdza Combalot, powtórna odpowiedź na zarzuty przeciw arcybiskupowi Sibour i biskupowi orleańskiemu, 1851.

Naśladowanie Jezusa Chrystusa, nowy przekład dopełniony uwagami. Paryż 1852, z dwonastu rycinami, według rysunków Owerbecka. Przekład księdza Darbois pod względem stylu nie ustępuje tłumaczeniu Lamenais'go. Uwagi jego proste, pobożne, głębokie, przewyższają pod każdym względem komentarze poprzedniego tłumacza, którego przezwano Tertulianem nowożytny m.

Jeruzalem, Ziemia Święta, Paryż 1852. Jeszcze dopełnienie dzieła o Niewiastach Biblijnych.

Statystyka religijna dyecezyi paryzkiéj. Paryż 1856; dzieło ułożone w czasie kiedy autor piastował godność wikaryusza generalnego.

Historya Ś-go Tomasza Becket. Paryż 1858. Pobudkę do téj pracy dało autorowi dzieło Augustyna Thierry, który w osobie prymasa z Kantorbery, przedstawił odwieczny antagonizm Saksonów i Normandów. Ksiądz Darbois odparł zwycięzko to twierdzenie, wykazawszy współczesnémi dokumentami Normandzki ród Becketów. Ojciec Śgo Tomasza urodzony był w Rouen. Udowodnił autor, że prymas z Kantorbery poniósł męczeńską śmierć nie z powodu Saksońskiéj narodowości, ale że stał uporczywie w obronie praw kościoła.

Oprócz tego ksiądz Darbois pisał wiele artykułów do Monitora katolickiego, do *Correspondent* i innych czasopismów. Między temi zasługuje na szczególną uwagę znakomity żywot Śgo Augustyna.

Listy pasterskie arcybiskupa paryzkiego pozostaną dla przyszłości, jako znakomite pomniki wymowy religijnéj. Strona wysoko praktyczna stanowi ich główną zaletę.

Bolesne wstrząśnienia przez jakie przeszła Francya, rozbudziły w wielu umysłach werwę poetyczną. Nie przyszedł czas jeszcze na wielkie poemata, ale drobne obrazki pojawiają się z dniem każdym. Zwróciła między innémi uwagę naszą książeczka Jakóba Normand p. t. *Tablets d'un Mobile.* Są to zapiski kreślone dorywczo na wałach przy ognisku obozowém w ciągu kilkomiesięcznych wypadków wojennych.

Z tych obrazków wybieramy opowieść żołnierza o bitwie pod Reichshoffen. Bitwa ta stanowiąca jeden z najznakomitszych epizodów ostatniéj wojny, silnie poruszyła serca i umysły francuzkie. W zeszłéj korrespondencyi daliśmy już rapsod młodego poety Bergerat'a, dziś podejmujemy znów tenże sam przedmiot, traktowany w całkiem odmiennéj formie żołnierskiéj pogadanki.

WYSTRZAŁ.

(*Opowieść*).

Szeroko jasny płomień w noc czarną połyska,
Wydobył krótką fajkę— zatlił u ogniska.

Jam, rzecze, stary żołnierz, rogatą mam duszę,
I skóra na mnie twarda, ale wyznać muszę,
Jakież to owéj nocy jam przetrwał męczarnie!
Tego język nie powié, i myśl nie ogarnie.
Było to pod Reichshoffen: od brzasku dzień cały
Nasze roty pancerne z Mac-Mahonem stały,
Wieczorem kiedy słońce za wzgórzami gasło,
Zagrzmią trąby do szarży. Złowrogie to hasło
Odtętniło nam w sercach, to hasło śmierć znaczy;
Aby ocalić wojsko, my umrzem! inaczéj
Rejterada w bezładny popłoch się przemieni:
Ruszamy, odgłos kopyt zatętnił w przestrzeni.
Pomnę lica téj młodzi tak krzepkiéj, tak gładkiéj,
Iluż z nich wyszło żywcem z téj rzeźniczéj jatki!
Pamięć o nich na sercu ciężą mi ołowiem,
Widma ich wciąż mi we śnie krążą nad wezgłowiem.
Prusacy chmarą leśne zalegli podgórza,
Stoją jak mur; my na nich pędzimy jak burza.
Trzysta kroków nas dzieli, aż oto w pomroczy
Dziesięć tysięcy strzałów wyrzucą nam w oczy;

Pierwszy pluton padł cały; trupy we krwi toną,
Ściskamy się w szeregi za trupów zasłoną.
Uderzymy znów naprzód: pada szereg nowy,
Pijani krwią i szałem, z pochyłemi głowy,
Koń z koniem, jeździec z jeźdźcem zbici coraz ściślój,
Bez nadziei zwycięztwa, na oślep, bez myśli
Pędzimy prosto w ogień, siedemkroć odparci
Rzucamy się na wroga, coraz to zażarciéj.
Do strzemion krwią zbroczone przyrosły nam nogi;
Brzuchy końskie porzemy twardemi ostrogi,
Trzy części naszych dzielnych w krwi starzanych leży,
W mym szwadronie zostało dwudziestu żołnierzy.
„Za mną dzieci— wódz rzecze— nie ujść nam z téj matni,
Jesteśmy tu by umrzéć, do kropli ostatniéj;
Stoczmy krew, naprzód dzieci! to powinność nasza!
Zrywamy się do lotu, śmierć nas nie ustrasza;
Zapał pierś nam rozsadza, żar lica czerwieni,
Rzucamy się jak wściekli w to piekło płomieni:
Honor woła, więc idziem na śmierć!

Jak się stało
Sam nie wiem, bój skończony a jam uszedł cało.
Nagle błysło mi w oczach i huk mnie zagłuszy,
Powaliłem się z konia, padłem jak bez duszy,
Gdzie i kiedy nie pomnę. Otrząsłem się rychło,
Patrzę w okół i słucham... strzelanie ucichło,
Jedna kula mi gardziel na wylot przebodła,
Druga tkwi mi w goleni; daremno z pod siodła
Radbym wydobył nogę, nie wytrwać mi dłużéj,
Ręka we krwi się ślizga wśród grzązkiéj kałuży;
Czuję, krew mi gorąca przez rany wybucha,
Pociemniało mi w oku, żaden dźwięk do ucha
Nie wnika już... omdlałem..

Nim rozwarłem oczy
Przyszła noc, i żałobne całuny roztoczy
Nad oném cmentarzyskiem, gdzie społem na kupy
Zwaleni obok żywych leżą martwe trupy.
Już zimni, wzrok mgłą zabiegł, lica sino-blade,
Ale ręka skurczona ściska jeszcze szpadę,
Przy żołnierzu druh wierny... koń wpół przestrzelony
Tarza się cały zgrzęzły w kałuży czerwonéj,
A oto czarni krucy nad martwemi ciały,
Ulatują z pokrakiem: wnet dziób krwi zgłodniały
Zanurzą w piersi ofiar— biesiada już bliska.
Tu, owdzie, ostrze szpady wśród błota połyska,
Tam lufa karabina, lub kirys stalowy,

Czasem coś się poruszy, jęk zbieży grobowy
Z piersi konającego nie ochłodłéj jeszcze;
Zerwie się, wtém śmiertelne powalą go dreszcze,
A potém cisza głucha, tylko miesiąc blady
Z za chmury srebrny promień wysyła na zwiady;
Tylko ziemia drgnie czasem hukiem dział wzruszona,
To wróg ściga napróżno hufce Mac-Mahona!

Teraz kiedy myśl moja te przygody goni,
Smutny ten obraz widzę żywo jak na dłoni;
Żadnego dziś szczegółu pamięć nie pominie,
Ale gdy się to działo, w téj strasznej godzinie
Byłem jak słup, z ust moich nie wybiegło słowo,
Przywalił mnie mój kary z roztrzaskaną głową:
Napróżno chcę z pod siodła chorą wywlec nogę,
Z piersi bólem ściśniętéj tchu dobyć nie mogę.
Krew z rozdartéj gardzieli wciąż strugą się toczy,
Straszne widziadło śmierci stanęło mi w oczy:
Za jednę kroplę wody oddałbym z ochotą
Wszystko com miał.

O wojnie dziwy ludzie plotą.
Prawda,— walka rzecz piękna, obraz to wspaniały,
Gdy hufce do zapasu wystąpią w dzień biały;
Gdy krew kipiącém tętnem drga w piersi junaczéj,
Niczém wtedy huk armat, grad kul i kartaczy:
Patrzysz w oblicze śmierci zuchwałą źrenicą;
Ale niech cię jéj szpony za gardziel pochwycą,
Leż we krwi wściekłym bólu opętany szałem,
Gdy dreszcz do szpiku kości potrząsa twém ciałem;
Sam, wśród tysiąca trupów powalon w noc czarną,
Gdy straszne skrzydła śmierci wkoło cię ogarną,
Gdy bicie serca twego wstrzyma śmierci ręka,
Wierzcie mi, jam to poznał... piekielna to męka!

Jak długie w takim stanie przebolałem chwile,
Bóg wié... lecz jam pomyślał: lepiéjby w mogile
Spocząć raz, niż w téj nędzy trwać biédnemu ciału.
Jak? palnąć w łeb i koniec... i sięgam pomału
Do siodła, chwytam w rękę pistolet z otuchą;
Przykładam go do czoła, biorę spust... wtém głucho
Coś w chrustach zaszeleści... słyszę ludzkie kroki,
Czy to sen? nie!... pochwycam wśród ciszy głębokiéj
Niewyraźne słów dźwięki, spostrzegam nareszcie:
To dwaj bracia zakonni, są o kroków dwieście.
Chcę wołać— oh napróżno!.. głos wybiedz nie może
Z przestrzelonéj gardzieli... co czynić mój Boże!
Chcę się zwlec... niepodobna.. ból piekielną siłą

Pochwycił nogę w kleszcze... serce uderzyło
Nowém tętnem, ja pragnę żyć!.. mnie żyć potrzeba!
Mnież umrzeć skoro zbawców zesłały mi nieba?
Jak rozbitek gdy słabéj deszczułki się czepi,
Oczyma ich się czepiam, widzę coraz lepiéj;
Idą, to znów przystaną... i trupom na serce
Kładą dłoń, acz nie tleje w ostatniéj iskierce
Słabiuchny płomyk życia, który miłość bratnia
Wskrzesi jeszcze... o! zgasła nadzieja ostatnia!
Gdy to mówię drżę cały jak liść... miesiąc błyska
Z za chmury, już mnie od nich dzieli przestrzeń bliska;
Wyciągam ku nim ręce... napróżno niestety!
Nie widzą mnie!... odeszli z pochyłemi grzbiety,
Z okiem wlepionóm w trupy brną przez krwi kałuże,
A miesiąc twarz srebrzystą utkwił w mętnéj chmurze;
Ich kroki coraz słabiéj tętnią... coraz daléj...
Odeszli! oni z sobą me życie zabrali!
Com ja przetrwał... włos dębem wstaje mi nad głową,
Tarzam się jak szalony, ręką gorączkową
Porywam znów pistolet... sam nie wiem co czynię,
Ściskam pięść... huk wystrzału rozgrzmiał po dolinie,
Słyszą go! drgnęli oba, zwrócili wstecz kroki,
Dobiegł mnie znów ich poszept wśród ciszy głębokiéj,
Zabłysły mi czerwone ambulansu krzyże;
Widzą mnie! zmysłom moim nie dotrwać w tym wirze,
Myśl wątku nie wysnuje wrażeniem splątana,
I upadłem omdlały w objęcia kapłana.

Dziś jam zdrów choć kaleka, noga jeszcze boli,
Przecież to, mówi major, ustąpi powoli;
Lecz ja nie ten czém byłem, określęż to słowy?
Jam się całkiem odrodził w téj próbie ogniowéj:
Dawniéj stary bezbożnik szydziłem zuchwale
Z Boga, z prawa i wiary, w bezrozumnym szale,
Klątem na czém świat stoi słowem rozpasanóm,
Uciekałem przed księdzem jakby przed szatanem:
Dziś jam inny, ta chwila nie przeszła snać marnie,
Gdym one łazarzowe przeciérpiał męczarnie;
Sam, wśród trupów, gdym śmierci spojrzał oko w oko,
Oh! ta noc w moją pamięć wryła się głęboko:
Od téj piekielnéj chwili, wyznaję wam szczerze,
Czczę kapłana, i w Boga całém sercem wierzę!

W trzydziestu poetycznych urywkach Jakóba Normand, wielka uderza nas rozmaitość. Nie jeden z nich nacechowany tym wesołym humorem, odziedziczonym po starych Gallach, który w najcięższéj doli nie opuszcza francuza, i stanowi główną jego charakterystykę; przytaczamy wierszyk w tym rodzaju:

PIOSNECZKA PRUSAKA.

Bije ósma, od stołu wstał nasz major syty,
Mnie w torbie jedna tylko kiełbaska została;
Bombardujmy co żywo ten gród niezdobyty:
Do działa! hejże do działa!

Paryżanie do puchu przytulili głowę,
Nam z wichrem prosto w oczy pruszy zamieć biała;
Poślijmy im w lot bomby szesnasto-funtowe:
Do działa! hejże do działa!

Pięć miesięcy jam z szynką nie spotkał się tłustą,
Ani mi szklanka piwa gardła nie spłókała;
Gdzież wy pola chmielowe? gdzieżeś ty kapusto?
Do działa! hejże do działa!

Patrz bracie, moja Gretchen jak kwiateczek świeża,
Ukradkiem ten maleńki liścik mi przysłała;
Muszę złoty pierścionek zawieść jéj z Paryża:
Do działa! hejże do działa!

Oprócz nieprzeliczonych ofiar na polu bitwy, Francya w tym roku straciła wielką moc pracowników, w rozmaitych wydziałach literatury i sztuk pięknych. Imiona niektorych jak Dumasa, Merimego, Aubera, zapisaliśmy już w naszéj kronice; wielu innych, byliśmy zmuszeni pominąć dla braku miejsca. Dziś jednak niepodobna nam przepomnieć o zmarłym świeżo Paul de Kocku, którego imię tak u nas popularne, a przecież sądzone przez ogół tak błędnie i tak lekko!

Paul de Kock należał do liczby najwięcéj utalentowanych powieściopisarzy francuzkich. Najznakomitszy to malarz rodzajowy swojego wieku. Znał do gruntu ludzkie serca, czytał w nich jakby w otwartéj księdze, wytykał ich skazy, wyśmiewał słabości. Nie był on zapewne pisarzem dla wytwornych salonów i buduarów, obrazy jego niekiedy trywialne, słowa nie zaprawne paczulą ni sandałowém drzewem, a przecież w dwustu tomach powieści jakie wydał niezmordowany ten pisarz, nie widzimy nigdzie zgorszenia; niczyjéj myśli nie zatruł on niepokojem, w żadne serce nie wrzucił nieczystego posiewu.

Sześćdziesiąt lat temu wstąpił Paul de Kock w szranki pisarskie, poprzedził zatem o jakie ćwierć wieku, ową tak zwaną *cyganię literacką*, którą odmalował tak żywotnie Henryk Murger w dziele p. t. *la Bohème*, napisanem przed laty z górą dwudziestu.

Owéj to *cyganii literackiéj*, temu polipowi rozrosłemu chorobliwie na ciele społeczeństwa, przypisuje znakomity professor i moralista Caro, ten gorączkowy szał co opanował umysły w ostatnich czasach, co zbroczył krwią ulice Paryża, i część grodu powalił w gruzy. „Rządy komuny— twierdzi Caro — nie były czém innem, jak zrealizowaniem *cyganii literackiéj* (1).“

Mówiąc o téj nieszczęśliwéj chorobie wieku, przypomnijmy mimochodem czytelnikom naszym, że owa *cygania literacka* znalazła i u nas smutny oddźwięk. Ileżto zdolnych umysłów utonęło w tém błocie, z którego według wiary adeptów, miały wytrysnąć nieśmiertelne promienie geniuszu!

Paul de Kock nie miał nic wspólnego z tą cyganią, ztąd zwolennicy jéj utrzymywali, że się przeżył, że nie postępuje z duchem czasu, i oddawna uważali go jakoby umarłego. Z bólem widział pisarz, iż wielka część młodéj generacyi zakosztowawszy palącego trunku, nie smakuje w jego utworach. I on téż wzajemną odpłacał jéj niechęcią.

— Nowi ci przybysze— mawiał — jakoś za bardzo smutni, znać na gorzkie ziółko nastąpili po urodzeniu!

Dobrze mówił Paul de Kock, gorzkie to ziółko ta literatura, którą Michał Grabowski określił nazwiskiem szaloném, a któréj wpływowi professor Caro przypisuje dzisiejszy kataklizm.

Paul de Kock szczerym był paryżaninem, ale raczéj z ducha niżeli z krwi i kości. Samo jego nazwisko zapowiada obcy rodowód. Jakoż w rzeczy saméj był on hollendrem urodzonym w Paryżu. Wypadki towarzyszące jego przyjściu na świat, tak są tragiczne, tak nadzwyczajne, że mogłyby służyć za wątek do ciekawéj powieści. Ojciec jego bankier hollenderski, zamieszkały w Paryżu od dawna, był intendentem wojskowym w czasach wielkiéj rewolucyi. Zaopatrywał w żywność armię Dumouriera. Obce nazwisko budziło nieufność w podejrzliwym rządzie; wskutek zaskarżenia jakoby był ajentem nieprzyjacielskim, skazano go na śmierć bez dowodów. Głowa jego spadła pod gilotyną.

Żonę wtrącono do więzienia. Długi czas przebywała w Passy pod Paryżem w murach spustoszonego monasteru. Tam przyszedł na świat Paweł, pogrobowy syn nieszczęśliwego bankiera.

Był on drugiém dzieckiem z kolei. Starszy brat jego Henryk, trzymał się narodowości hollenderskiéj; gdy wyrosł wstąpił do wojska, popłynął do Indyi. W walce przeciwko powstającym krajowcom wysłużył sobie wyższy stopień. Przechodząc ze szczebla na szczebel, został gubernatorem Batawii. Szczęście sprzyjało mu do końca; za powrotem do Europy, mianowany ministrem spraw wewnętrznych w Hadze, umarł na tém dostojeństwie w roku 1844.

Paul de Kock inną całkiem poszedł drogą. Zaszczyty i wielkości świata, wcale go nie nęciły. Urodzony i wychowany w Pa-

(1) Rozprawa professora Caro w Revue des Deux Mondes z 15 lipca 1871 roku.

ryżu, porwany tą siłą atrakcyi jaką wyższa cywilizacya wywiera na młode umysły wykarmione jéj wpływem, stał się Paryżaninem i był nim w całem znaczeniu słowa. Jeśli mu cośkolwiek zostało z narodowości ojca, to owa zdolność obrazowania życia codziennego, jakiéj dał niezliczone dowody. Każda jego powieść, to istny obrazek szkoły hollenderskiéj, pełen życia, swobody i wesołego humoru.

W młodym bardzo wieku rozpoczął Paul de Kock zawód literacki, a pozostał mu wiernym przez lat pięćdziesiąt z górą. Wystąpił nasamprzód jako autor dramatyczny; melodramy jego miały w swoim czasie wziętość na scenie paryzkiéj: w r. 1814 odegrano *Młyn w Mansfeld*, w 1815: *Trubadura portugalskiego*, za temi poszło wiele innych. Poznał jednak Kock, że smętny rodzaj nie odpowiada wrodzonym jego zdolnościom; wziął się więc do wodewillów, przeplatanych wesołemi śpiewkami; przedstawiał w nich mieszczan paryzkich, których życie schwycił niejako na gorącym uczynku.

Ciasne ramy wodewillu jeszcze mu nie odpowiadały dostatecznie; zabrał się tóż do powieści rodzajowéj. Na tém szerokiém polu talent jego rozwinął się w pełnéj sile. Przez pół wieku malował życie i obyczaje paryzkiego mieszczaństwa, z nieporównaną werwą, a co więcéj z gorącą miłością. Prawdziwy mistrz w skreśleniu charakterów, w dopatrzeniu komicznéj strony życia, chłoszcze wesoło drobne śmieszności; pod piórem jego czuć zawsze uśmiech igrający na ustach, niekiedy nawet czuć smutną zadumę, ale nie czuć nigdy szyderstwa. Jakaż to komika, jaka rozmaitość w tych obrazkach; z jakąż werwą skreślone owe niedzielne wycieczki za miasto wesołych paryżanów, zakończone najczęściéj jakąś śmieszną przygodą: tu przewraca się *kukułka* pełna świątecznie przystrojonéj gawiedzi; tam race przemokły na deszczu i chybiony fajerwerk na który czekano cały tydzień; tu znów pies zjada pasztet przygotowany na ucztę ręką zawołanéj gospodyni. Ni zliczyć tych obrazków, taka w nich rozmaitość.

Niekiedy Paul de Kock posuwa się za daleko; uniesiony wesołym humorem grzeszy czasami przeciw prawom dobrego smaku. Książka jego na głos czytana w salonie, mogłaby obrazić uszy trywialnością, nigdy jednak nie grzeszy on przeciw prawom moralnym, a tém samém przewyższa nieskończenie tylu innych wytworniejszych pisarzy tego czasu, których słowa lubo napozór przyzwoite, spadają na serca gryzącym jadem i wypalają na nich czarne plamy.

Niewyczerpany w pomysłach Paul de Kock napisał około dwustu tomów powieści, do sześćdziesięciu sztuk teatralnych, a nadto mnóstwo ulotnych piosenek. Wielka część prac jego pozostanie w literaturze francuzkiéj jako należąca do historyi. „Kto zechce poznać obyczaje ludu paryzkiego, jakim był między rokiem 1820 a 1830, mówi słusznie jeden z krytyków (Claretie) musi czytać powieści Kocka.“

Do celniejszych prac jego należą obrazy Paryża (*la grande ville*), dzieło ozdobione illustracyą Gawarniego i Dammiera. Przed okiem czytelnika autor przytacza kolejno obrazki bezmyślnej uciechy, albo smutnéj niedoli, nakreślone mistrzowskiém piórem. Tu bogacz rozsiadł się w przepysznéj karecie, tam ubogi idzie chyłkiem pod ścianą i nie śmié wyciągnąć ręki po jałmużnę, daléj robotnik *szaławiła* (bambocheur) w jednym dniu trwoni całotygodniowy zarobek, tu znów mały sabaudczyk pracuje z miłością na wyżywienie staréj matki. Paul de Kock patrzy z uśmiechem na bogacza, żartuje z szaławiły, z gorącém współczuciem przyklaskuje sabaudczykowi. Kreślił on te obrazki patrząc na przechodzących oknem domu swego, przy bulwarze St. Martin, obok pogorzałego dziś teatru. Przemieszkał w tym domu lat czterdzieści. Tu przed bacznym jego wzrokiem przesunęły się dwie lub trzy generacye, na obliczu których, czas wycisnął odrębne całkiem piętno.

Wieczorem wychodził zwykle na rynek Temple, pełen niegdyś życia i gwaru. Paryzki Temple przed dziesięciu jeszcze laty, nie był czém innem jak naszym starym Pociejowem. Szerokie to było pole spostrzeżeń dla głębokiego psychologa. Przyglądał się też pilnie tym tłumom tandeciarzy, zachwalających głośno swój towar, owym gadatliwym przekupkom przy straganach, tym swawolnym ulicznikom paryzkim, płatającym figle i psoty. I ludność Templu, znała nawzajem tego starca z długim siwym wąsem i białemi faworytami, w jasnym kapeluszu przechylonym na bakier, w długim kafowym surducie, z bambusową laseczką w ręku.

Siadał on zwykle na ławie i z zajęciem wsłuchiwał się w wrzawę uliczną. Wielki też był żal jego, gdy kilka lat temu Temple zatracił charakterystyczną swą postać, kiedy w miejscu odwiecznych bud i kramów, stanął tu murowany bazar, kiedy stary brukowany rynek, zamieniono w piękny skwer wysadzany kwiatami. Kock szczerze ubolewał nad tą zmianą; żal mu było dawnych śmieci, dawnego błota!

Kilka lat temu w teatrze *Delassemants*, przedstawiano jak zwyle zimą, humorystyczny przegląd tego wszystkiego, co zajęło uwagę Paryża w ciągu zbiegłego roku. Paul de Kock pięćdziesięcioletni jubilat w zawodzie literackim, nie był przepomniany w tym przeglądzie. Poświęcono mu zwrotkę:

Patrz, domek się bieli,
Cicho w domku tém;
Tu każdéj niedzieli
Pod kwitnącym bzem,
Muza jego cicha
Po przygodach tylu,
Spokojnie oddycha
W miłym Romainvillu.

Paul de Kock nie wiedząc o niczém, przybył do teatru na widowisko. Gdy odśpiewano poświęconą mu zwrotkę, publiczność wyprawiła starcowi gorącą owacyę.

Kilka lat ubiegło od téj chwili, a ileż tu zmian! teatr Delassement powalony w popiół i gruzy; Paul de Kock spoczywa już nie w cichym domku w Romainville, po tygodniowéj pracy, ale w cichszym grobie na cmentarzu Montmartre, po burzach ośmdziesięcioletniego żywota. A i sam Paryż nie tém już czém był: okręt jego po gwałtownóm wstrząśnieniu, wypływa znów na pełne fale, żegluje ku nowym nieokreślonym jeszcze przystaniom. Starzy sternicy odbiegają od rudla, nowi garną się w ich miejsce, gdzie powiodą nawę?... przyszłość zobaczy i oceni!

Jest jedna tradycya o Kocku, któréj tu opuścić nie możemy. Opowiadają że kiedy Chateaubriand wysłany do Rzymu w charakterze posła, przedstawił się Grzegorzowi XVI, po ukończeniu urzędowych ceremonij, papież miał zapytać posła; co porabia *il mio care figliuolo Paolo di Kocko?* Powodem do téj tradycyi mogło być upodobanie jakie sam Chateaubriand znajdował w powieściach tego popularnego pisarza. „Lubię Kocka—rzekł razu jednego w salonie pani Recamier—on mnie i zabawi, i rozśmieszy i daje mi nadzieję w chwili smutku.“

Ten sąd znakomitego poety-filozofa, doskonale określa prace świeżo zmarłego powieściopisarza. W rzeczy saméj, pracował on poczciwie, wszelkie dobro zalecał i chwalił, złe chłostał bez szyderstwa, bawił, śmieszył, rozweselał, lecz nigdy nie zgorszył nikogo.

W średnich wiekach zwanych barbarzyńskiemi, kiedy mocarz obejmował dziedzinę jaką na własność, rzucał w nią złoty pierścień, godło zawartego z nią ślubu. Na tómto prawie, córa Beli, nasza Kinga święta, rzuciła w otrzymane na Węgrzech żupy solne, ów cudowny pierścień wydobyty późniéj w Wieliczce; na tém téż prawie, Dożowie obejmując najwyższą władzę w Wenecyi, zaślubiali pierścieniem wody Adryatyku. Inne dziś czasy, inne obyczaje. Tak zwana cywilizacya dzisiejszego wieku, w miejsce złotego pierścienia, obmyśliła inną formę zaślubin, inny znak świadczący o wzięciu w posiadanie jakiéjś nowéj dziedziny.

Nie dawno, jak wspominaliśmy w kronice naszéj, całe państwo niemieckie od Baltyku aż do Mozelli, połączyło się w jeden chór, aby uczcić Wiedeńczyka Grillparzera, i z promieni jego geniuszu wykuć jakoby ślubny pierścień, godło przyszłych związków z Dunajem. Dziś znów podobny pierścień wykuto z geniuszu Bazylejczyka Holbeina. Ten pierścień Germania rzuca wgłąb górnego Renu, nie bacząc na poryk zatrwożonych niedźwiedzi berneńskich.

Powodem a raczéj pozorem do tych manifestacyj, zakończonych toastami na rzecz politycznéj jedności ludów, mówiących

językiem niemieckim, był kongres malarzy zebrany w tym roku w Dreźnie, dla rozstrzygnięcia dawnego sporu, o pierwszorzędne arcydzieło Holbeina, sławną jego Madonę. Przy téj okoliczności urządzono tu wystawę wszystkich dzieł mistrza, rozrzuconych po muzeach Europy.

Galerya Drezdeńska jak wiadomo, chlubi się od stu trzydziestu lat posiadaniem téj cudnie pięknéj Madony; po Madonie Syxtyńskiéj to najcenniejszy klejnot, z całego tak bogatego zbioru. Dla tych dwoch arcydzieł Rafaela i Holbeina, urządzn o w galeryi dwa osobne pokoje, jakoby osobne sanktuarya. Wyobraźmyż sobie słuszny żal Drezdeńczyków, kiedy nagle krytycy niemieccy, jęli dopatrywać w innéj Madonie Holbeina, należącéj do prywatnego zbioru księżnéj Hesko-Darmstadzkiéj, wielkie zalety świadczące według nich, że arcydzieło drezdeńskie jest późniejszą kopią, a obraz Darmstadzki rzeczywistym oryginałem. Cięższa była jeszcze ich boleść, kiedy kongres oświadczył się większością głosów za Darmstadzką Madoną!

Sprawa ta od kilku lat toczy się w świecie artystycznym niemieckim. Napisano o tém foliały. Artyści i antykwaryusze podzieleni na dwa obozy, uderzali na siebie z niesłychaną zaciętością, a jeśli te spory nie wyszły dotąd po za obręb Niemiec, to dlatego tylko, że je głuszyły zrazu działa Sadowy, a późniéj głośniejsze bomby Sedanu i Paryża.

Zaczém powiemy o wystawie dzieł Holbeinowskich, rzućmy okiem na olbrzymią postać artysty, którego geniusz nieśmiertelnym przyświeca blaskiem, choć trzy wieki przeszły nad prochem jego ciała.

Holbein jak utrzymują Niemcy, urodził się w Augsburgu; według tradycyj szwajcarskich w Bazylei w roku 1498. W każdym razie wiadomo że od małego dziecka przebywał w Bazylei, że tu wyrósł, tu przepędził młodość, tu wykonał najznakomitsze prace. Był więc sercem i duszą Bazylejczykiem, choćby nawet przyszedł na świat w Augsburgu.

Urodzony na schyłku XV wieku, wychowany w początkach XVI, zaczerpnął on w pierś tego potężnego tchnienia wiary, pod którego wpływem powstało tyle geniuszów, przyświecających w dziejach ludzkości. Wiek jego był wiekiem Kolumba, Kopernika, Guttenberga, Wita Stwosza, Michała Anioła, Rafaela, że pominiemy tylu innych. Imię Holbeina błyszczy w téj nieśmiertelnéj plejadzie, osobnym, właściwym sobie blaskiem.

Mistrzem jego w sztuce malarskiéj był własny ojciec, równie jak on *Hans*, zwany *Holbeinem starszym* dla odróżnienia. Uczeń prześcignął wkrótce mistrza. Oceniła wcześnie Bazylea zdolność młodego artysty; powierzała mu też rozmaite prace, a między temi sławne obrazy męki Pańskiéj zachowane po dziś dzień w bazylejskim ratuszu. Wykonał niemniéj dla miasta sławny *Taniec śmierci*, *Dance Macabre* malowany *al fresco* na murach cmentarza Śgo Jana. Utwór ten zniszczał z nieodżałowaną szkodą dla sztuki

na wiele lat wprzód, zaczem wynaleziono sposób zdejmowania fresków z muru. Myśl artysty nie przepadła jednak wraz z dziełem. *Taniec śmierci* rozpowszechniony w rycinach i drzeworytach budzi dotąd ogólny podziw. Nic dramatyczniejszego w rzeczy samój, jak ten kościotrup porywający w wirowe obroty papieża, kardynałów, biskupów, królów, cesarzy, wytworne panie, wyrobników, żebraków i kmieci. Wiersze nakreślone poniżéj, przez jakiegoś poetę XVI wieku, przypominają zupełnie znany poemat *O śmierci*, księdza Baki.

W Bazylei też na żądanie burmistrza Mejera, wykonał Holbein najpiękniejsze arcydzieło swoje, tę cudną Madonę, przedmiot dzisiejszych sporów. Obraz to wielki, kompozycya bogata. Na drugim planie, stoi Bogarodzica z maleńkiém dzieciątkiem na ręku, uwieńczona w złotą wysoką koronę, przetykaną drogiemi kamieniami. U stóp Maryi na pierwszym planie klęczy ubrana rodzina Mejera; po jednéj stronie on sam z niedorosłym synem, po drugiéj żona z córką i starą matką. Wpośród tych osób, stoi prześliczne dzieciątko, jaśniejące nadziemskim urokiem. Legenda mówi że mistrz w tém dzieciątku przedstawił maleńkiego Jezusa, gdy tymczasem dziecię na ręku Maryi wychudłe i zbiedzone, wyobraża chorego synka Mejerów. Z pomiędzy krytyków sam tylko Schlegel silnie obstawał za legendą; inni uderzają na nią gwałtownie, widząc nieprawdopodobieństwo i profanacyą w zestąpieniu Chrystusa z objęć Matki. Co do nas jednak chętniéj wierzymy legendzie i Schleglowi, niż innym krytykom, widzimy bowiem w postaci Madony i dziecięcia stojącego na ziemi ten promień Boży, którym artysta odróżnił idealne ich postacie, od pospolitych osób składających rodzinę Mejera. Najznakomitsze to arcydzieło, wykonał Holbein w bardzo młodym wieku, pomiędzy 1520 a 1525 r.

Przebywał wówczas w Bazylei sławny Erazm z Roterdamu. Ścisła przyjaźń złączyła go z Holbeinem. Onto namówił młodego mistrza na podróż za morze do Anglii. Holbein tém skwapliwiéj skłonił ucho na radę przyjaciela, że zła i krzykliwa żona zakłócała mu życie: przy niéj obmierzł mu próg domowy.

Trzy lata przebywał mistrz bazylejski na dworze kanclerza Tomasza Morus, któremu polecił go Erazm. Tam wykonał kilka znakomitszych dzieł, mianowicie portretów. Dnia jednego kanclerz zaprosił na ucztę Henryka VIII, przyczém ukazał królowi świeżo wykończone obrazy. Nadzwyczajne podobieństwo portretów do osób które przedstawiały, uderzyło monarchę. Kanclerz kazał przywołać Holbeina. Zachwycony król mianował go nadwornym malarzem, zatrzymał go przy sobie, obsypał łaskami i najwyższe okazywał mu względy.

Henryk umiał ocenić geniusz wielkiego mistrza; tolerował jego dziwactwa i fantazye. Razu jednego Holbein zniecierpliwiony odwiedzinami panów dworskich, zamknął się w pracowni z postanowieniem, że nikogo do siebie nie dopuści.

Ktoś poruszył silnie za klamkę.

— Kto tam?—zapyta Holbein.

— Gość wymienił z dumą nazwisko, pewien że na to hasło pękną przed nim zwarte podwoje. Było to nazwisko jednego z najbogatszych lordów angielskich.

— Przebacz pan, nie otworzę—zawołał mistrz—postanowiłem pracować sam: potrzebuję dziś spokojności.

Wielki pan nalegał coraz silniéj, chcąc na swojém postawić! Malarz trwał uporczywie przy swojém. Przyszło do ostréj kłótni.

Drzwi w końcu pękły pod gwałtownym naciskiem: ukazał się w nich lord zapérzony od gniewu.

Holbein zrywa się od stalug jak wściekły; rzuca się na magnata, jednym zamachem wypycha go za drzwi, strąca z kamiennych wschodów.

W mgnieniu oka przyszła rozwaga. Nie tracąc chwili artysta wyskakuje oknem na ogród, bieży do pokojów królewskich, opowiada rzecz Henrykowi, oskarża się sam o porywczość, błaga przebaczenia.

Król przyrzekł załatwić całą sprawę.

Ledwie że odszedł Holbein, wniesiono do gabinetu zakrwawionego lorda. Uniesiony gniewem wzywał sprawiedliwości za odebraną krzywdę. Napróżno król usiłował go uspokoić, napróżno tłumaczył zapalczywość właściwą wielkim artystom.

— Jeśli nie otrzymam słusznego zadosyć uczynienia—zawołał magnat—pomszczę się sam, pogruchoczę mu kości.

— Strzeż się—przerwał Henryk—za życie jego odpowiesz własném życiem.

— Jakto? życie moje godziż się równać z życiem jakiegoś malarza przybłędy? różnica przecież wielka!

— Tak jest, różnica wielka—odparł Henryk. Gdy zechcę, przywołam siedmiu chłopów, dam im przywileje; za jednego będę miał siedmiu takich jak ty lordów; ale cała moja potęga nie stworzy jednego Holbeina!

Tradycya nie mówi co odrzekł na to pokrzywdzony. Milczał zapewne, bo z królem Henrykiem trudna była dysputa.

Holbein umarł w Londynie podczas morowéj zarazy w r. 1543, umarł nie dożywszy nawet pół wieku. Życie jego opisał przyjaciel Erazm; przedstawia go jako marnotrawcę i zbytnika. Napróżno mędrzec z Roterdamu, usiłował ująć w karby jego burzliwy umysł. Kiedy napisał znany filozoficzny traktat, określający rozmaite kategorye szaleństw ludzkich, przysłał egzemplarz jeden przyjacielowi. Holbein szczęśliwy że wielki filozof rozgatunkował głupstwo, odrysował na egzemplarzu rozmaite jego rodzaje i odesłał księgę Erazmowi. Ten wybrał z rysunków jeden i podpisał pod nim *Hanz Holbein*. Rysunek wyobrażał Holendra przy biesiadzie: jedną ręką trzyma butelkę, drugą ściska smugłą kibić pięknéj sąsiadki.

Najliczniejsze i najznakomitsze utwory Holbeina pozostały w Bazylei, gdzie przeżył pierwszą młodość, i w Londynie, gdzie spędził wiek dojrzały. Z tych dwóch ognisk wielka część obrazów jego rozeszła się po różnych galeryach europejskich i płacono je na wagę złota. Ileżto potrzeba było zabiegów, ile starań, aby otrzymać choćby drobny rysunek skreślony tą ręką mistrzowską, z pod której wyszło tyle słynnych utworów.

W archiwach drezdeńskich przechowane są liczne dokumenta poświadczające autentyczność sławnéj Madony, w któréj dotąd świat widział pierwszorzędne arcydzieło Holbeina. W tych archiwach czytamy, że w roku 1633, znawca sztuk pięknych le Blou, ajent króla Szwedzkiego, w Amsterdamie, kupił ten obraz za tysiąc talarów, od jakiéjś rodziny bazylejskiéj, wkrótce zaś potém odprzedał go za 3000 florenów Janowi Lözert na usilną jego prośbę, dla królowéj francuzkiéj Maryi z Medyceuszów. Królowa umarła w tym czasie (1642 r.), obraz pozostał u nabywcy.

Po śmierci Lözerta, puszczony na licytacyę z całémi zbiorami, obraz Holbeina przeszedł w ręce bankiera holenderskiego Arogado. Ten zawiózł go do Wenecyi i zapisał testamentem rodzinie Delfino. Bezcenny klejnot sztuki, zagrzebany w prywatnych zbiorach mało komu był znany, prawdziwi miłośnicy malarstwa wiedzieli jednak o nim, są bowiem dowody że książe Orleanu sławny Rejent starał się o jego nabycie. Śmierć przerwała zawiązaną już negocyacyą.

W lat dwadzieścia potém Algarotti ajent króla Polskiego Augusta III, wynalazł ten cudny obraz i kupił go od rodziny Delfino do galeryi królewskiéj, za cztery tysiące talarow, w r. 1743. Zdziwili się Wenecyanie kiedy rzecz wyszła na jaw. Tłumy przybiegały do mieszkania Algarottego, aby widzieć nieporównane arcydzieło. Żal był powszechny, gdy piękny obraz wywieziono do Drezna.

Od stu trzydziestu lat drezdeńczycy chlubili się słusznie drogocennym nabytkiem, kiedy oto nagle wytoczyła się sprawa, o nieautentyczność ich Madony. Oburzenie było powszechne. Zapowiedziano kongres, złożony z pierwszych koryfeuszów, którzy mieli roztrzygnąć rzecz stanowczo. Wypadki wojenne powstrzymywały dotąd urzeczywistnienie téj myśli; w tym roku dopiéro wprowadzono ją w wykonanie; przy téj okoliczności, umyślono zebrać o ile można dzieła Holbeina i urządzić z nich osobną wystawę w salach drezdeńskiego Zwingeru.

Rozesłano odezwy po całéj Europie. Wszystkie niemal galerye poprzysyłały prace Holbeina bądź w oryginale, bądź w fotografiach. Sama Anglia i Irlandia dostarczyły przeszło stu utworów, przechowywanych tak w *Britisch Muzeum* jak w Windsorskich zbiorach królowéj i po zamkach bogatych lordów. Z Bazylei przywieziono sztuk 102, z Berlina 73, z Wiednia przeszło trzydzieści. Florencya, Haga, Lizbona, Paryż, odpowiedziały niemniéj

ua wezwanie. Z Darmstadtu sprowadzono ową Madonę, przedmiot sporu pomiędzy artystami. Zebrało się razem 440 dzieł; między temi do 400 wykonanych ręką Hanza młodszego, reszta pędzla ojca i dwóch braci Zygmunta i Ambrożego Holbeinów.

Wystawa Holbeinowska, otworzona 15 sierpnia, trwała do 15 października. Właśnie w tym czasie byliśmy w Dreźnie, mieliśmy więc sposobność widzieć nie tylko obie Madony, ale przytém napaść oczy widokiem kilkuset utworów, z których każdy, najdrobniejszy nawet, świadczy że kreśliła go ręka mistrza.

Nie będziemy tu wyliczać owych dzieł: niewdzięczna rzecz mówić o obrazach do tych którzy ich nie widzieli. Są pewne tajemnice pędzla a raczéj ducha kierującego pędzlem, których słowo nie zdoła odtworzyć. Powiemy tylko w ogólności, że wszystkie obrazy Holbeina, zalecają się doskonałym rysunkiem, wielką siłą kolorytu, pełną życia karnacyą, nakoniec perspektywą, któréj prawidła tak mało były znane w początkach XVI wieku. Holbein prawdziwie genialny wyprzedzał swój czas i wytykał innym nowe drogi.

Nic ciekawszego, jak portrety owych spanoszonych kupców i rajców Bazylejskich, owych pysznych lordów i dostojników z czasów Henryka VIII, przystrojonych w sobole i bławaty, w złotych łańcuchach na szyi i pierścieniach na każdym palcu. Jakże te oblicza prawdziwe, a jakże odmienne od dzisiejszych. Oprócz wysokiéj wartości artystycznéj, wizerunki te są niemniéj drogiémi zabytkami ze względu na archeologią i historyą. Do najznakomitszych należy portret Moretta złotnika Henryka VIII, wykonany w Anglii. Nie wiadomo jakim sposobem obraz ten dostał się do Modeny, gdzie uchodził za dzieło Leonarda da Vinci. Ztamtądto ajent Augusta III sprowadził go do Drezna, w połowie XVIII wieku.

Z portretów niewieścich uderzyło nas kilka, mianowicie portret Joanny Seymour, czwartéj żony Henryka VIII, własność domu Seymurów i dziwnie piękny portret młodéj kobiéty przywieziony z Dublina. W strojach niewiast w ogólności widzimy niesłychany przepych. Usprawiedliwia on, sławne ówczesne *lex somptuariae*, prawo przeciwko zbytkom, głoszone tak u nas jak i w całéj Europie. Znać jednak że ówczesnym paniom szło raczéj o wykazanie posiadanych bogactw, niż o podniesienie strojem własnych wdzięków. Piersi ich zawieszone łańcuchami i perłami, krzyży bramowane złotem, zapięte wysoko pod szyję, głowa pokryta jakimciś kapikiem rąbkowym mocno na czoło nasuniętym, z pod którego nie dopatrzyć ani jednego włoska. Ten zwłaszcza ostatni szczegół w ubraniu, przy układzie pełnym skromności i prostoty, nadaje im jakby zakonną postać.

W obrazach Męki Pańskiéj uderza głęboko religijne skupienie ducha i wybornie oddana gre fizyognomii. Wiele obrazów téj kategoryi zwieziono na wystawę. Bazylea przecież wyprawiła tylko fotograficzne odbicia swojéj sławnéj *drogi krzyżowéj*.

Portret Erazma z Roterdamu zwrócił uwagę naszą, z dwóch przyczyn: raz że wykonany po mistrzowsku, powtóre że przypomina w dziwny sposób rysy Adama Mickiewicza.

Przejdźmy wreszcie do owych dwóch Madon, do dwóch siostr bliźnich, jak je tu zowią na wystawie. Obie ustawione na stalugach obok siebie, podobne w rzeczy saméj jak bliźnięta: potrzeba dobrze się wpatrzyć aby odkryć w nich małoznaczące rożnice. Obraz drezdeński nieco wyższy, darmsztadzki za to szerszy. Suknia Madony drezdeńskiéj ciemno rozmarynowa, darmsztadzkiéj szmaragdowa. Oblicze i cała postać Bogarodzicy na obrazie drezdeńskim pełna niewinnéj prostoty, właściwéj utworom XV wieku, w darmsztadzkiéj więcéj dostrzedz maniery, czuć tu jakby pierwszy powiew odradzającéj się sztuki greckiéj; akcessorya wszystkie, korona, włosy i inne drobiazgi, wykonane tu z większą starannością. Na pierwszy rzut oka, darmsztadzki obraz pożółkły i jakby przykurzony wydaje się znacznie starszym od drezdeńskiego; pochodzi to ztąd, że ostatni oczyszczony przed kilkunastu laty stracił tę żółkłość jaką wieki zostawiły na drugim.

W blizkości dwóch obrazów przybito na ścianie odezwę do zwiedzających osób, z prośbą aby zapisywały swoje zdania w księdze przeznaczonéj na ten cel, położonéj na stoliku pod ścianą. Mnóstwo w niéj napisów tak prozą jak i wierszem, więcéj jeszcze wykrzykników to za jedną, to za drugą Madoną. Między tém mnóstwem zdań uderzyło nas jedno skreślone po francuzku, dobrze nam znaném pismem, zawarte w kilku słowach: „Jeśli zważymy wyraz twarzy, Madonna drezdeńska ma więcéj prostoty średniowiecznéj, Madonna darmsztadzka *plus mimardiseé*, a więc nowożytniejsza.” Pod tém zdaniem podpisano J. I. K. z Warszawy.

Któż nie zna tego podpisu, któż nie wié, że zdanie z pod pióra tak poważnego znawcy, zasługuje na baczną uwagę. Co do nas podzielamy je najzupełniéj. Innego przekonania była większość sędziów przywołanych na kongres Holbejnowski. Należeli do nich pierwsi professorowie i dyrektorowie muzeów niemieckich, z Berlina, Halli, Wiednia. Wejmaru i t. p.

Po tygodniowych sporach w dniach 1, 2 i 3 września, *Nazional Zeitung* ogłosiła wyrok podpisany przez większość znawców, jako Madona darmsztadzka w rzeczy saméj *i ona tylko jedna*, jest dziełem Holbeina, że przeciwnie drezdeńska jest po prostu *kopią innéj ręki*.

Okrzyk boleści Drezdeńczyków był odpowiedzią na ten wyrok. Sypnęły się broszury. Przytaczamy tu dowody wykazane w jednéj z tych broszur, zdają nam się bowiem dostatecznie przekonywające.

Autor broszury Albert Jansen, zsyłając się na dawnych krytyków, którzy pisali o Holbeinie, mianowicie na Ekstejna, utrzymuje że Holbein przed podróżą do Londynu, po r. 1520, malował dla Mejera obraz znajdujący się dziś w galeryi drezdeńskiéj. Wkrótce potém nastąpiły zaburzenia w skutek szerzącéj się refor-

macyi. Zrzucono Mejera z posady jako gorącego katolika; wtrącono go nawet do więzienia. Bazylea przecież zagrożona, czując potrzebę jego dzielnéj pomocy, uwolniła go i postawiła na czele wojsk swoich. Podczas gdy Meyer był w więzieniu, Madona zaginęła. Ta strata dotknęła rodzinę tém silniéj, że do obrazu przywiązane było pobożne wotum. Wówczasto Mejer zażądał od Holbeina nie już kopii ale raczéj powtórnego wykonania oryginału. Ten to drugi obraz znajduje się w Darmstacie.

Holbein wyjechał potém do Anglii. Bazylea pogrążona w odmęcie walk religijnych, przebywała najsroższe klęski i bezprawia. Jakób Mejer walczył na czele katolików, ztąd zacięta zemsta przeciwnego stronnictwa. Protestanci złupili dom jego. Zniknął wtedy drugi obraz, pomieszczony w jednym z kościołów bazylejskich.

Przez lat sto pięćdziesiąt nie ma nigdzie wzmianki o tym obrazie. W roku dopiéro 1709, ukazał się w Amsterdamie u handlarza Loskarta. Co się z nim potém stało, nikt nie wié, to tylko wiadomo, że w roku 1822, paryzki handlarz starożytności Delachante, sprzedał go księciu Wilhelmowi pruskiemu, zkąd przeszedł w ręce księżnéj Heskiéj Darmstadzkiéj.

Dowody te, powtarzamy, trafiają żywo do przekonania naszego. Patrząc na oba tak cudnie piękne obrazy, niepodobna przypuścić aby którykolwiek z nich był kopią. Nie rozumiemy tylko złéj woli czy zaślepienia sędziów, którzy wzięli sobie za cel, poniżyć Madonę drezdeńską na korzyść darmstadzkiéj.

Niektórzy dopatrują w tém cel bynajmniéj nie naukowy ani téż artystyczny, a widzą raczéj prostą spekulacyę na możebne wypadki w przyszłości. Obraz drezdeński jest osobistą własnością domu saskiego. Dom ten obcy ludowi z powodu religii od początku XVIII wieku, dziś staje się bardziéj jeszcze obcym, bo stanowi przeszkodę do zupełnéj centralizacyi niemieckiéj, w któréj przewodzi protestantyzm. Darmstadzki zaś dom uważany przez to panujące stronnictwo jako ściśle narodowy. pewniejszą daje rękojmię że obraz będący jego własnością pózostanie na zawsze w Niemczech. Potrzeba więc aby nauka przyznała mu pierwszeństwo.

Wyrok aczkolwiek podpisany przez wiele znakomitych imion nie roztrzygnął rzeczy stanowczo, nie przekonał bynajmniéj szermierzy przeciwnego obozu; da on tylko pochop do nowych badań, z których może kiedyś wytryśnie światło.

Patrząc na samo tytuły pięćdziesięciu dzieł, poświęconych całkiem, lub obejmujących szerokie rozprawy nad Madoną Holbeina, musimy bądź co bądź uchylić głowę przed wytrwałością niemiecką, przed tą miłością idei tak wprost przeciwną dzisiejszemu realizmowi. Nie godzi nam się szydzić z téj benedyktyńskiéj cierpliwości, obrzucanéj przez niektórych śmiesznością i pogardliwie przezwanéj pedantyzmem. W tym to ośmieszonym pedantyzmie spoczywa zachowawcza siła, on dzielnie przeciwważy, temu

nieszczęśliwemu prądowi nihilizmu, grożącemu zatratą wiekowym pomnikom geniuszu ludzkiego.

Najważniejszą z prac o Holbeinie jest dzieło dra Alfreda Woltmana w dwóch tomach; wydane w Lipsku w r. 1867 i 1868, p. t. *Holbein und seine Zeit.* Widzimy tu w drzeworytach oddane liczne prace bazylejskiego mistrza.

Wyszło świéżo w Paryżu dzieło Erazma z Rotterdamu *Eloge de la Folie*, wspomnione powyżéj. Nowy to przekład wykonany przez Wiktora Develay. Przeszło ośmdziesiąt drzeworytów Holbeina, zdobi tę pyszną publikacyę.

PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

I. Obrazy z życia i natury, w dwóch seryach, Wincentego Pola.

II. Illustrowany Przewodnik do Tatr, Pienin i Szczawnic, pisał i illustrował Walery Eliasz.

Każdy kraj można opisywać pod różnemi względami, np. geologicznym, geognostycznym, klimatycznym, etnograficznym i t. p.; szczegółowe przecież te opisy nie dadzą *żywego oddechu natury*, jak się pięknie autor Obrazów wyraża, bo w naturze względy te oderwane stykają się z sobą, uzupełniają nawzajem, przenikają w czynnych i biernych potęgach i tworzą zjawisko życia ogólnego. Ztądto poszło, że w jeografii powszechnéj, fizycznéj i porównawczéj, mianowicie w najnowszym jéj postępie opis winien odpowiadać temu zbiorowemu wyrazowi zjawisk natury.

Opisy podobne, które po systematycznem rozpatrzeniu kraju pod specyalnemi względami nauk przyrodniczych, dają niejako syntetyczne poglądy, od Humboldta i po nim nazywane są: *widokami natury*. A jeżeli metoda jeograficzna okazała się najodpowiedniejszą dla nauk przyrodzonych, dla poglądów ogólnych najwłaściwszym organem byłyby illustracye, dopełniane stosownym opisem.

Z tych wychodząc pojęć, Pol daje nam swe *Obrazy*, w których objął opisy odrębnéj fizyognomii różnych okolic mniéj lub więcéj znanych, ale w literaturze aż po nasze czasy jeszcze odpowiednio nie wyświeconych. Każdy z *obrazów* jest obrazem miejscowym, zdjętym z natury, uzupełniony badaniem jéj tajemnic, czerpanem z podań miejscowéj ludności.

Obrazy o których mowa, odnoszą się do północnego wschodu Europy, który ma tę właściwość, że typowe okolice natury są tu na wielkiéj przestrzeni rozrzucone. Malowanie tych kontrastów obrazu, sprawiało, że autor w opisach swoich przenosić się musiał nagle z je-

dnéj okolicy w drugą— nie jestto zatém dowolnością, ale koniecznością rodzaju pracy.

Pójdziemy więc za autorem, a rozliczność ta właśnie i rozmaitość wynagrodzi nam, sądzę, sowicie drogę, którą nas poprowadzi.

W piérwszym *obrazie* mającym napis: *Na lodach*, ukazuje nam się widok wybrzeży morza Baltyckiego. Ponurym jest ten widok, ale każdy typ w naturze jest jak twarz człowieka nieznanego narodu; nie rozumiemy jego mowy, nie znamy myśli, więc nie pojmujemy gry jego fizyognomii. Czas nas z tém wszystkiém oswoi. Obrazy znowu, które nas nie zajmują uderzającemi odrazu wdziękami, podobne są do kobiety, która nas więcéj powabem duszy niż ciała zachwyci. Ztąd to pochodzi owo wielkie przywiązanie synów Północy do rodzinnéj ziemi, w któréj się urokach rozpatrzyli, a z oddechem jej zrośli.

Płytkie i piaszczyste są wybrzeża baltyckie, brak roślinności uderza tu widocznie; wody są czyste i przejrzyste. Mgrzu temu brak oświetlenia, koloryt jego jest odbiciem ołowianego nieba północy, dla tego, że ku północy na nie patrzy się z lądu, nie odbija się tu słońce, ani księżyc; trzeba je widzieć z łodzi, lub jakiego przylądku rybackiego.

Gdy lody na Baltyku staną, zaczynają się charakterystyczne zabawy szlichtad i polowań na wilki, które tędy od połowy grudnia ciągną gromadami ze Szwecyi i Finlandyi ku żmudzkim i kurlandzkim brzegom, gdzie więcéj żoru i lasu znajdują.

Opis takiéj szlichtady z Królewca, odbywanéj z udziałem kobiét, które w tym zwyczaju narodowym wystawę dla swych wdzięków i strojów znajdują, oraz polowania na wilki, jest jednym z piękniejszych ustępów obrazu.

Z zimnych i ponurych wybrzeży Bałtyku przerzuca autor swój pędzel na tło wód tatrzańskich, żywych i pieniących się, zwłaszcza podczas burzy górskiéj i powodzi, których tu piękność i grozę opisuje, poprzedzane charakterystycznemi prognostykami ludu. Główną tu rolę zajmuje Dunajec, który na falach swych w chwili rozpasania niósł teraz na sobie całą wyspę zieloną jak rutę, t. j. kawał góry urwany z gęstym młodocianym świerkiem. Co chwila widzieć można było na falach: potopione bydlęta, trumny i kolebki, kości mamutów i odłamy granitów, słowem, żywe, umarłe i przedpotopowe godła. Wody takie zowie tu lud *naremnemi* a cóżto za straszna ich potęga, kiedy z 3 odrębnych światów zdobywają łupy.

A jednak cóż to za nieopisane piękności rozkrywają się przed okiem w téj nowotarskiéj dolinie! Szczyty turni zmieniają tu kształt i wysokość w miarę oddalenia i punktu z którego się patrzy. Wszystko wiecznie nowe i świeże, jak oddech tych gór, nowe i świeże, jak ich roślinność, jak ich mgły i chmury, światła i cienie, jak myśli i uczucia, któremi nawodzą umysł i serce! Ztąd pochodzi owa tęsknota do gór— kto się w pośród nich nie uczuł natchnionym, kto tego żalu do nich nie poczuł w sobie, temu na zawsze zamknięto drzwi do nieba!

Tatry i Pieniny, Pieniny i Tatry!

Były one wcześniéj niż u nas znane w świecie naukowym. Wielka scena natury ma podobnie jak teatr swój parter, swą galeryę i loże. Dla Tatrów prawdziwą królewską lożą jest widok z zamku Czorsztyńskiego. Taką jednę wycieczkę z Czorsztyna do Szczawnic Dunajcem odbytą, spotykamy w obrazie Pola, który jak wszystkie, pełen jest ruchu, barw, życia i artyzmu, że się z żalem z nim rozstajemy. Ale nam tę stratę zaraz wynagradza następna scena, w któréj ujrzymy pyszne widoki puszczy litewskiéj.

Letuwa-Żeme (od *litos*, deszcz) *ziemia dżdżysta*, to Litwa! Nazwa sama tłumaczy nam położenie kraju północne, nadmorskie, bogactwo wód lądowych, jednostajnie wysoki stan wód wielkich jezior, spławność nietylko rzek głównych ale i najmniejszych, które z owych jezior wodę biorą. Więc to ziemia podmokła, mglista, sprzyjająca bujnemu porostowi drzew; to kraina *lasow i puszcz!* Więc to ziemia mglista, leśna; a więc lud jest myśliwym, rybakiem, bartnikiem. Rolnictwo szerzy się tu tylko na spaleniskach i pasiekach, a pług wiekami walczyć musi z wrzosowiskami!

Nazwa więc *ziemia dżdżysta* daje nam w jednem słowie cały jeograficzny obraz ziemi! Jest ona zasiana odtokiem skandynawskiego granitu. *Auxtote*, to Wysoka Litwa, grzbiet *Pojezierza* litewskiego, na którém dzielą się rzeki, w jeziorach biorąc swe wody. Jedne idą do morza, jako strugi pomorskie, inne zlewają się ku Niemnowi, ku Dźwinie, ku wiślanéj Narwi, ku dnieprowéj Prypeci! *Żamaj-Tis* to Żmudź, to *Niż* Litwy, ziemia morzu przyległa, *żuławskie* napływisko rzek. *Letogła-Żemme-Gallas* (Semigalia), to kończyna ziemi dżdżystéj, u kraju leżąca; to Ukraina jéj *Pojuris*, to jéj Pomorze, a *Jatwa* (*Jautis*: wół czyli tur), to dziki *Wołyń* ziemi dżdżystéj.

Tak więc do pojęcia typów natury, język, tradycye narodu, i pogląd miejscowego ludu, są prawdziwym tajemniczym kluczem! Bez człowieka martwą jest natura, i tyle tylko daje, ile człowiek do niéj wnosi!

Wycieczkę z Wilna odbytą z uczniem ze szkoły Jundziłła Warszewiczem, który po długich latach i pobycie w południowéj Ameryce, z rekomendacyi Humboldta został był dyrektorem ogrodu botanicznego w Krakowie, Pol opisuje zajmująco, opowiadając, jak z powodu pokaleczenia nóg został dni kilka u jakiegoś węglarza, gdzie poznał wychowankę jego Boguńkę. W historyi tego dziewczęcia usłyszał tajemnice mitologiczne bogini Mai. Dziewczę to, podług swego opowiadania, znalazł węglarz w sitowiéj kolebce zawieszonéj w ustroni leśnéj na wierzchołku dwóch brzostów, splecionych gałęziami. Było to w wilią Ś. Jana. Kiedy się węglarz z żoną wyprawił po ową sierotę, na wstępie doleciało ich syczenie wężów z koroną złotą na łbie. Przeszła noc Sto-Jańska, dopiéro wydobyli z kołyski Boguńkę, która wyrosłszy pełna zalet i wdzięków, stała się ozdobą samotnéj węglarni, przybranych rodziców, i błogosławieństwem dla nich nieba. Z Boguńką tą jeździł Pol na łodziach po ryby, z ust jéj usłyszał wyrazy: *a kysz, a kysz!* dotąd tylko z poezyi znane, i na pamiątkę nauczył się piosnki, którą jako ludową, rzewną a nieznaną, powtórzymy tu:

Da przez ciemny bor,
A na biały dwor
Cieciorka leciała;
A mnie Bóg nie dał
Tego, co mnie znał,
Com go pokochała.
Marnie ze świata
Zejdą me lata,
I z krasotą moją;
Nie z wieńcem jadą,
Oj! w trumnę kładą,
Matuś dońkę twoją!

Opis siedzib bobrów i polowanie na nich, psoty niedźwiedzia po barciach, którego zwykle wydaje zazdrosna o miód żołna, należy do ciekawych ustępów opowiadania.

Każdy kraj ma swoje niebo, koloryt i zapach. Litwa, ziemia dżdżysta ponury ma koloryt nieba, a zapach jéj jest zapachem żywicy i smołki! Głównem drzewem na Litwie jest sosna; lubo Wysoka Litwa ma jodłę i świerki. Ziemia ta jest prawie jednostajnym lasem. Po tych uwagach następuje opis litewskiéj puszczy. Puszcza taka, to nieprzebyte morze iglastego drzewa na piaszczystéj nizinie. Natura odkrywa tu jakoby wnętrze swoje przed człowiekiem; świat jest tu mniéj powabnym, ale głębszym i prawdziwszym, a myśl idzie jakoby dnem życia.

Miejscami rozwidnia się puszcza, widać niebo, a niżéj wody szeroko rozlane. Są to jeziora litewskie, szklane i blade, jak niebo litewskie! Dziwna tu, tęskna spokojność, poranne i wieczorne mgły, przy świetle księżyca do ossyanowskich cieni podobne. Charakterystyką Litwy są *wielkie jeziora lądowe i puszcze północne.*

Z puszczy litewskich puścimy się teraz z autorem na wyspę Rugią!

W pogańskiéj słowiańszczyznie ostatecznym punktem dla zachodnich Słowian była starożytna wyspa Rujana, Roja czyli Rugia. Szlaki handlowe przypierały do Odry w mieście, które dlatego nazwano *Brzegiem*; odtąd szła żegluga dalej wzdłuż Odry, łącząc sady-by Zaodrzańskich Słowian z obszarem téj rzeki, Wisły i Noteci, z Pomorzem, gdzie gęsto nasiadłe miasta utrzymywały ciągłe styczności z małém ostrowiskiem, na ujściu Odry leżącém, w którém Rujana, jest największym ostrowem, mniejszemi Wolin i Ujściedom (Usedom). Nazwy starych nadbrzeżnych grodów przypominają tu (przy pomocy Długosza, który je zachował nauce) cudowne dzieje i legendy nawrócenia Pomorzan za Bolesława Krzywoustego przez Ottona biskupa bambergskiego. Na ujściu Odry pokazują na dnie zatok starożytną świątynię Retry i ludną a bogatą niegdyś Wenedę Słowian! Brzegi to obsunęły się w morze, a cała Rugia jest jednym wielkim gabinetem starożytności słowiańskich i galeryą najokazalszych pomników przeszłości

Są tu mogiły, wały, przekopy stare, a nawet półwyspy całe, oddzielone jak Krym przekopem; są grody i uroczyska święte, okopy twierdz pierścieniowe, są żale i cmentarzyska pełne popielnic, są grobowce kamienne z cyklopowych brył granitu, są wreszcie święte jeziora i gaje, ofiarne ołtarze i sądowe kamienie i t. p. Takich pomników do dziś odkryto tu na powierzchni ziemi do 2000, prócz wykopalisk. W ogóle na Rugii znajdziesz to wszystko, co badacz Słowiańszczyzny natrafia na całéj przestrzeni od ujść Odry i Wisły do ujścia Dniestru i Dniepru!

Purkinie bawiący wówczas w kąpielach na Rugii dał autorowi *Obrazów* list do pastora miejscowego, z którym odszukał wiele pomników główniejszych. Nagrobne pomniki Rujany są czterech rodzajów:

Grobowce kamienne, dwóch odmian, *mogiły* sypane z ziemi w kształcie dzwonów, w których się tylko popielnice znajdują i olbrzymie *łożyska* kamienne, podłużne, ziemne nasypy, w pośrodku nieco zaklęsłe.

Cmentarzysko słowiańskie pod Krakowem na Rugii zajmuje blisko 2 morgi obszaru. Góry *umarłych* czyli *Czarne-Groby* pod Ralświkiem. Jestto grupa pagórków czarnym wrzosem i karłowatym jałowcem porosłych; ślady to żalisk starych Słowian, poświęconych jakiemuś bóstwu. Niedaleko od gościńca wiodącego do *Mnichowa* na Rugii spotykają się *Kamienne góry pod Łankami*, różniące się od innych pomników, i tylko w téj miejscowości całéj wyspy napotkać je można.

Ofiarzyska i kamienie ofiarne, które na Rugii istnieją na *polach umarłych*, objaśniają nas o sprawowaniu ofiar u starych Rujanów. Do całopaleń i krwawéj ofiary bogom, wybierali oni wzgórza, a częściéj jeszcze jary i ukryte miejsca, aby przez tajemniczość i świętą grozę obrzęd przybierał coś mistycznego i nadziemskiego.

W ogólności Pol, przy pomocy Długosza odtworzył starą słowiańską Rujanę, zaco mu się wielka część zasługi należy. Na dołączonéj mapce czytamy tu nazwy Arkona (orny koniec), Witow, Wałów, Starygród, Stopnica, Góry, Kraków, Mnichów, Chołm, Strzała. Rajgród (Ragigrod), Podbórz i t. p... wszystko to stanowi ślady przeszłości słowiańskiéj. Nie dziw więc, że na skalistym przylądku pogańskiéj Rujany obrał sobie przed wieki mieszkanie *Światowid*, patrzący czterema twarzami na cztery strony świata.

Zburzył w r. 1168 jego świątynię Waldemar Duński, jednakże do dziś na półwyspie Mnichowie ludność tameczna zachowała wiele typów dawnych, i kilkanaście wyrazów, jak np. reba, morie, żywot ziemia, niebo, chmura, drel (drellich), mléko, kęs, tata, mać, dziewa, perekop, Bóg, chata, piorun, woda i t. p.; a uczony ów pastor źródłosłowu ich daremnie szukał w staréj niemczyznie i skandynawskich językach, i wielce był uszczęśliwiony, kiedy mu je nasi podróżnicy wytłumaczyli.

W kolejnym obrazie *(Beskidu)* t. j. grzbietu gór ciągnącego się od źródeł Wisły do źródeł Świecy Dniestrowéj, autor opisuje życie

i zwyczaje Padhalan i Nowotatrzan, o których poniżéj na właściwém miejscu wspomnimy przy obrazie Tatrów. Tu tylko notujemy charakterystyczny rys *gromad*, które noszą na sobie cechy starożytnych *wieców* i ślady pierwotnéj gminy słowiańskiéj. Sołtys w nadzwyczajnych wypadkach dla zwołania gromady przesyła *buławę*, którą każdy podać musi kolejno, pod karą i bez żadnéj wymówki.

Góralo w Jasielskiem i Sanockiem już są rolnikami. Święcą zwyczaje palenia Sobótki na Śty Jan i Zielone Świątki. Z okoliczności téj, Pol podaje kilka pieśni, z których wyprowadza świadectwo, że obrzęd Sobótki rozciągał się do różnych stanów i różnych zatrudnień.

Huculów uważa Pol za ród kaukazki, który ciągnął za taborem słowiańskich Ratai i o wiele wieków późniéj osiadł w górach Pokucia i Bukowiny. Wszystko u nich jest wschodnie; cały ród konny i zbrojny w zbroje orientalne, czego nawet strój ich zatrzymał wyraźne ślady. O nich także wspomnimy na swojém miejscu.

Do *krain stepowych* schodząc Pol, objaśnia, że do nich zalicza nietylko stepy właściwe, ale i wszystkie krainy zajęte jeszcze panowaniem wschodnich wiatrów, które wciskając się klinem, zajmują przestrzeń od stepów kaukazkich do podnóża Karpat. Brzeg dnieprowy zapowiada już roślinność kaukazką. Między temi 2 granicami panuje odrębna roślinność, *podolską* przez naturalistę Andrzejowskiego nazwana... W obszarze tym zamykającym się między Dniestrem, Wiarem, Sanem, Wieprzem, wołyńskiém i kijowskiém Polesiem a Dnieprem, prawie wszystkie wody wzięte są na stawy. Stawy te są charakterystycznym rysem krainy, nadając jéj oddzielną fizyognomię. Lud nazywa to *Stawnem-Opolem*, a okolice źródłowiska, zkąd jedne rzeki idą na południe ku Dnieprowi i Dniestrowi, a inne na północ ku Prypeci, trzecie ku wschodowi i na wschód południowy ku Dnieprowi, mieni *Zborną Wierzchowiną*. Na *Opaku*, podług języka ludowego, leży Wołyń ku północy, tudzież wołyńskie i kijowskie Polesie, w *słonecznem* leży Podole i Pobereże pochylone ku południowi, w *trawnym* leży owa Wierzchowina Zborna. Wody te spuszczają się w jary; ten charakter głębokich jarów jest także jednym ze znamion krajowych.

Od gór Miodoborskich i wyniosłości Wołynia na wschód-południowy ciągną się rozległe niwy, stanowiące wstęp do *Ukrainy*. Do charakterystyki stepów ukraińskich należą *futory*, małe zagrody, czasami wśród lasków sady, czasami pasieki. Stepy Ukrainy, to osobliwy widok: świat otworem leżący, wietrzny, ruchomy... myśl zdaje się tutaj tęsknić za czémś rozleglejszém, choć objąć nie zdoła tego, co oko widzi. Ztądto owa tęsknota krainy, która się w ludzie, dziejach jego i pieśniach rozlała!

Ostatnie obrazy z pierwszéj ich seryi stanowią opis Burzy letniéj i zimowéj. Zimno się i gorąco naprawdę robi, przebiegając te stronnice, tak żywo są pisane.

Seryę II Obrazów z życia i natury stanowiących opis „Północy-Wschodu Europy,“ rozpoczyna zajmujący *Pamiętnik o Dniestrze*,

w którym autor objął techniczne badania co do urządzenia żeglugi na wspomnionéj rzece i przeszkód w tym kierunku napotykanych. Jestto rzecz wartości naukowej, oparta na doświadczeniach dokonywanych przez specyalistów.

Opis *Niepołomickiéj puszczy* jest jednym z owych obrazów natury, do poznania których poeta zachęca tém pięknem nazwaniem:

Otóż to wszystko znaćby jakoś trzeba,
Bo człeku nie żyć bez chleba i nieba;
Po chlebie miłość idzie na téj ziemi,
Po niebie droga wspólna za innemi:
A ktoby tego nie znał, nie rozumiał,
Pono nic nie zna, choćby wiele umiał!

Niepołomska puszcza jest ostatnią graniczną puszczą ku Europie zachodniéj, najdaléj posuniętą, gdzie się jeszcze przechowała i nazwa, i ostatnia wielka massa lasów najdaléj ku podgórzom przybliżonych. Samo Niepołomice jeszcze więcéj rozłożeniem, niż zabudowaniem noszą cechę odległéj starożytności, bo obszar jéj w którym kilka wsi legło, zajmuje przestrzeń 22,000 mórg kwadr. samego lasu! Znikły tu dziś dzikie ostępy i bagna, znikł z niemi i ów nieład puszczy; o turach, rysiach, łosiach, niedźwiedziach i jeleniach zostało tylko podanie, bo z osuszeniem jeziorzysk i błot znikły moczyska i odkryto bagna, a jelenie wybito podczas przechodu wojsk 1812 r. Charakterystyką dzisiejszéj Niepołomskiéj puszczy są leśne wody wzdłuż niéj ciekące, kawowego, a miejscami czarnego koloru, którym swe powstanie winny rudy błotne. Pod względem klimatycznym zachodząca różnica oznaczyć się tu da od 8 do 11 dni, bo gdy w Krakowie idą już kasztany do kwiatu, tu zaledwie zaczyna się rozwijać dąb.

Pod względem historyi i miejscowych podań Niepołomice są jeszcze krainą nową; wyświecenie jednego i drugiego oczekuje dotąd pióra. Materyałem bogatym w tym względzie jest inwentarz ekonomii Niepołomskiéj sporządzony za czasów Augusta II. Kościół tutejszy erygowany jest w r. 1358 przez Kazimierza W. Rękopis ks. Reszki, znajdujący się w bibliotece uniwersytetu Jagiellońskiego dotąd nie ogłoszony, mógłby tu także wiele dorzucić światła, bo ks. Reszka będąc mentorem młodego kardynała Batorego, często z nim bywał w Niepołomicach. Miejscowa legenda wspomina: „że ścieżka szła tu z dęba do dębu,“ co się nazywało *góro-lesiem;* coś podobnego można widzieć tylko w Ameryce, gdzie po konarach drzew, na pomoście wijących się roślin, dzicy ludzie przeprawiają się przez rzeki.

Pokucie jest najdaléj ku wschodowi wysuniętém pograniczem rodów słowiańskich na podnóżu Karpat ku siedzibom Dako-Rumunów, ztąd cechy rodowe uderzają tu bardzo wybitnie swoją odrębnością. Jestto kraj wyniosły, przypierający o potrójne kopce Rossyi, Mołdawii i Siedmiogrodu. Dostatek ten tu jest ogólnym. Wody nurtując pod ziemią pokłady gipsów, tworzą silne siarczane źródła. Każdy kraj ma swój własny zapach, jak powiedział autor. W Ros-

syi południowéj wieje od wielkich stawów zapach wód roślinnych, w których woń tataraku przeważa, w borach sosnowych i puszczach czuć zapach smołki, w górach odór owiec i dymiących się nawozów z pod mgły porannéj, w jarach Podola po sadach zapach jabłek, po słonecznych stokach gór każdéj wioski i po połoninach rozchodzi się woń macierzanki. Każda skoszona łąka, ściérń świeża pachnie innym słodem, innym wiatrem. Dymy nawet każdéj okolicy mają inny odór. Charakteryzując Pokucie podług téj zasady, powiedzieć można, że całe pachnie świeżém pieczywem chleba.

Sieć rzek, która pokrywa północny wschód Europy już jest naukowo zbadaną; jeziora jednak lądowe, które na pochyłości bałtyckiéj tak wielką grają rolę, pokrywa jeszcze dziwna tajemnica. Jeziora te rozlewają się na przestrzeni 200 kilkudziesięciu mil jeograficznych. Jestto grobla wyższego poziomu, ciągnąca się od rzeki Suchony aż do Danii, obchodzi wielkim łukiem południowe wybrzeża Bałtyku, stając na zawadzie wszystkim głównym rzekom pochyłości bałtyckiéj. Wyżyny te jeziorne które przerywa Dźwina, Niemen, Wisła i Odra, Pol trafnie, naprzekor uczonym geografom niemieckim mianuje *Pojezierzem bałtyckiém*. Z jezior tych biorą początek rzeki, z których jedne jako pomorskie strugi płyną na północ wprost ku morzu, drugie na południe ku rzekom głównym, odlewając się następnie Dźwiną, Niemnem, Wisłą i Odrą. Nad temi jeziorami sadowi się po siołach i miastach ludność miejscowa; żegluga latem wiąże przeciwległe brzegi, a zimą wszelkie dostawy idą po lodzie. Po rzekach łęgną się stada wodnego ptastwa, a w głębinach leżą zapasy całorocznéj rybnéj śpiżarni. Bory północne i zwierciadła jezior są charakterystyką tego Pojezierza, całe téż okolice ludności trudnią się to myśliwstwem, to rybołóstwem. Niektóre jeziora mają po kilka mil kwadratowych; często widać na nich wyspy, gdzie się znajdują osady i ruiny starych zamków; na innych widać setki i tysiące pali pod wodą bitych, poczerniałych i skamieniałych prawie dębów. Były to pływające grody, zamki, wsie i świątynie, gdzie się w czasie najazdów na kraj, cała ludność kryła.

Wszystko to składa oryginalny obraz chłodnéj Północy wspólnie z głosami jeziornéj natury, z krzykiem czajek i rybitw, z wrzawą dzikich kaczek, piskiem kulonów i jęczeniem żurawi!

Stada gęsi swojskich, których wyżywienie jest tu tak łatwe, stanowią gałęź gospodarstwa na Pojezierzu...

Jeziora Poznańskie, mianowicie w okolicach Kujaw tworzą osobny system jezior, którego centralnym punktem jest Gopło. Położone w najniższém zagłębieniu nizin środkowych utrzymują w jednostajnéj wysokości temi jeziornemi wodami rzeki. Z wysoczyzny Podolsko-Wołyńskiéj spuszczając się ku Litwie za biegiem rzek wołyńskich, natrafia się na kraj podmokły i zapadły, pokryty jeziorami, bagniskami, lasami i łąkami, a gęsto przerznięty rzekami; jestto naprzód *Zapadłe Polesie*, a następnie tak zwana *Kotlina Pińska*, o któ-

réj jeziorach toż samo powiedzieć można, bo to również tylko w wielkiéj powodzi łączą się z żywemi wodami.

Kotlina ta corocznie idzie pod zatop wód, gdy rzeki wpadające do Prypeci wzbiorą, a wsparte poniżéj na progach Dnieprowych, obfitości swojéj odlać nie mogą. Wtedy to płaszczyzna zmienia się w jedno wielkie jezioro i obszar przeszło 460 mil kwadr. Musiało tu więc przed wieki być jezioro, bo znajdowano tu nieraz kotwice i szczątki statków morskich.

Powodzi takiéj daje autor zajmujący obraz, pełen piękności i grozy żywiołu wodnego. *Powódź* podobna jest tylko czasową, ale staje się największém jeziorem lądowém, jakie widzieć można w Europie. Litwa leży najwyżéj z całego Pojezierza; na Białéj Rusi w Mohilewskiém i Połockiém powierzchnie jezior zajmują miejscami więcéj obszaru, niż ziemie suche. Jeziora te widział autor jak stały pod lodem, kiedy odbywał podróż do pani Chorążyny w Inflandyi o kilkadziesiąt mil od Wilna mieszkającéj. Opis téj podróży pełen zajęcia i rzewnych wspomnień przeszłości.

Zaraz po tym epizodzie wraca autor do malowania dalszego Pokucia, gdzie nad ogromnym obszarem gór lesistych panuje dział *Czarnéj góry i Czarnego lasu.* Jestto największa leśna górska pustynia wśród Europy. Przeprawa tu straszna ścieżkami ponad przepaścią, i gdyby Huculi nie byli konnym rodem, góry te byłyby puste. Są one skrzydłem gór karpackich na pochyłości czarnomorskiéj, a różnią się od gór podobnych na pochyłości bałtyckiéj tém, że są *kopczaste.*

Pol daje tu opis swojéj podróży na Czarną-górę,—była to prawdziwa karawana zbrojna, bo inaczéj podróżować tu niepodobna. Dotarł też do granicznych słupów Bukowiny, Moldawii i Siedmiogrodu. Było ich 5 kamiennych, wkopanych na granicy; grubo ciosane z twardego bloku, sterczały na 2 i pół łokcia z ziemi. U góry słupa stały dwie litery wyryte nieforemnie: F. R. Jeden ze straży sądził, że to miało znaczyć *forosna rumuna*, t. j. lasy rumuńskie, ale Rumuni nie kładliby liter łacińskich; wnosi więc Pol, że to ma znaczyć *Finis Reipublicae.* Z tradycyi Huculi wiedzieli o téj granicy, ale wprzód nie znali do niéj drogi.

O sinych górach i czarnych lasach mówi tu miejscowa pieśń ludu; ale to tylko latem, bo wtedy zaludniają się góry pasterzami i stadami owiec po polanach leśnych, oraz stadami wołów, któremi wypasają połoniny. Obraz życia pasterskiego przypomina pierwotne czasy patryarchalności; trzeba go przeczytać, aby powziąć pojęcie o mistrzostwie tego opisu. Zwyczaje Huculów, życie opryszków, napad niedźwiedzi na trzody i ludzi, *którzy sztuką tu niedźwiedzi tłuką*, wspaniałe wodospady, są to obrazy, które się pod piórem autora zmieniają jak szkła kalejdoskopu.

Silnie zwarty las rododendronów, zwanych powszechnie różami alpejskiemi otacza pierścieniem cały dział *Czarnéj góry*, na południowém dopiéro jéj zakończeniu znajduje się alpejskie jezioro. Brak tu życia i głosów natury. Wspaniale to i wielkie, ale dziwnie samotne i dzikie! Obiecana to ziemia cyganów, którzy przechodząc z Multan,

Siedmiogrodu i Węgier na Pokucie, zbierają złoty piasek na wierzchowinie Złotéj-Bystrzycy.

Historya dzielnéj Mułanki, téj prawdziwéj amazonki Huculów, narysowana z uczuciem i siłą, daje tu charakterystykę obyczajów miejscowych oraz awanturniczego życia *uskoków*.

W rozdziale: *Puszczaki Mazowsza*" mamy etnograficzny obraz ludności nad Narwią osiadłéj. To mazowieckie Puszczaki czyli Kurpie mogą być uważani za jeden z pierwotnych *leśnych rodów*, co poszło ztąd, że Narew ze swym systematem rzek, na obszarze Wisły i w organizmie przyrodzonym téj rzeki jest przedstawicielką *wód leśnych*, które z tych puszcz wyprowadza i połączywszy je z Bugiem, do Wisły odlewa.

Oprócz badań naukowych nad jeograficzną i historyczną stroną puszcz Mazowieckich, Pol podaje opis wsi kurpiowskich jako studyum etnograficzne, bo z nazwisk ich wyprowadzać można i rody, zajęcia i wypadki mieszkańców w téj dzielnicy kraju *żyjącéj*. Jest to nowa i nie mała zasługa autora!

Puszcze Mazowieckie nie są tak załomione i zawalone jak litewskie, i tém się od nich odróżniają.

Tu się spotykamy po raz pierwszy z dwoma pojęciami: *Kujawa* i *Żuława*, które następnie przeszły w jeograficzną nazwę daną całym okolicom *Kujaw* i *Żuław* Nadwiślańskich. *Kujawą* nazywają tu bezdrzewne, piasczyste, ogołocone z lasu (zgołoborzone) pagórki lub zawieje piasków położone wpośród lasów. *Żuławą* zowią łąkę, dolinę, lub poletki gruntu powstałe z leśnego żulu, czyli mułu.

Nazwy podobne świadcząc o bogactwie języka, są odbiciem pojęć lub podań: w nich leży niejako klucz wskazówek natury, leżą niejako dzieje osiedlenia okolicy, bo ludzie biorą tu nazwiska od ziemi, albo dają nazwisko ziemi, i dotąd są tu wsie i rodziny tego samego nazwiska np. Wielądki, Joszczołty i t. p.

Pobożność, mowa, ubiory, zwyczaje, są tu wspólne całemu Mazowszu z małemi odcieniami; pieśni i tańce są pieśniami i tańcami ludu polskiego,—tylko pannę młodą do rozplecin i oczepin sadzają nie na dzieży, ale na ulu, śpiewając:

Lata żołna, szuka ula,
A na nim siedzi Kasiula!

Gładkim, czyli polonezem rozpoczynają zabawę, znany tu nadto i *mazur*, *obertas*, *kowal* i właściwy ich taniec *Kurp*', który jest mięszaniną mazura i kujawiaka. *Wyrwasami* nazywają taniec, w którym jedna para się wyrywa na czoło i śpiewa improwizacye, w rodzaju Krakowiaków.

Pol przytacza oryginalną legendę Kurpiów, w któréj Dzieciątko-Jezus zapraszają na starostwo Ostrołęckie. Jako nieznaną podajemy tu w całości:

„Szczśliwe Betleem, miasto Dazidowe,
Że się nam zjawiło odkupienie nowe:
Chrystus się narodził
By nas wyswobodził
Od niewoli satańskiéj!

Nam się nie dostało szczścia takowego,
Byśwa w naséj puscy mieli zrodzonego
Jezusa Chsystusa,
Choćby nasa dusa
Serdecnie Go ucciła!

U nas w Ostrołęckiem na puscy starostwie
Nie byłbyś się narodził w takowem ubóstwie,
Mawa izbów wiele
I ciepłe pościele,
Byłbyś lezoł wygodnie!

Choć nam barci w lasach dzewa zabraniają,
Uzdy i siokiery w lasach zabierają,
Jednakbyśwa byli
Choć w nocy zwozili
Suche drewka dla Ciebie!

Miałbyś buracki i kapustę Ponie!
Tłustą wiepsowinę zawse na siodanie,
Mlecko z jogiełkami,
Chlibek z kartoflami,
Z miodem wódki flosecką.

A na obiadbyśwa krzecków naskwozyli,
I kosy gryconéj tłusto nakrosili,
Zając, kuropatwy,
Choć polów niełatwy
Byłby Panie dla Ciebie!

Miałbyś pieluski z portu cieniuchnego,
Sukmanek do kolan z sukna puścińskiego,
Faworek niedrogi,
Kurpiki na nogi
Byśwa zządzili.

A ze się tak Panie podobało Tobie,
Iześ cierpiał biedę w maluchnéj osobie,
Psyjmij scere chęci
I miéj nas w pamięci
Ty na puscy i w niebie!

Druga legenda równie pełna poetyczności opowiada, że była księżna imieniem *Wandola*. Na dwór téj pani przybył brat z siostrą, prosząc o służbę; brat nazywał się Bug i przybył z Wołynia,

siostra zwała się Narwią i przywędrowała z Litwy. Dobrze im się działo na dworze téj wielkiéj pani. Ale Narew urosła w dumę i chciała być wdzięczniejszą od saméj koronnéj pani. Zdały się tedy obie na sąd góry, pod którą razem stanęły. Góra wydała wyrok, że pani koronna piękniejszą jest od służebnéj panny. Więc obrażona Narew rzuciła się w bok i jest dziś *Nogatem* zwana—a Wandola poszła swoją drogą do morza. Miejsce sądu nazwano odtąd *Gniewem*.

I rzeczywiście Wisła pod tém miastem rozdziela się na dwoje. Lewe ramię zwane Samicą, matką, albo Samą Wisłą, wpada do morza pomijając Gdańsk; drugie płynie na Elbląg i Malborg do zatoki Fryzkiéj i zowie się tu Nogatem. Między temi dwiema gałęziami leżą Żuławy Gdańskie i Malborskie. Kraj to piękny, bogaty i oryginalny. Wiadomo, że pod Gniewem Wisła kiedyś wpadała do morza, a całe dzisiejsze Żuławy są odchodziskiem, odpłuczyskiem morskiém, wyniesioném falami z dna morskiego w czasie długotrwałéj i gwałtownéj burzy na Bałtyku, już za czasów historycznych wydobytém z bagien. Groble trzymające brzegi Wisły i Nogaty wynoszą przeszło 40 mil długości. Obszar Żuław leży niżéj od koryta obu tych odnóg, i lubo napotyka się tu groble na 24 stóp wysokie, mimo to powódź krę niosąca wznosi się niekiedy do stóp 20, groble te przerywa i przemienia Żuławy w wielkie jezioro, przegradzano tylko groblami porwanemi. Z powodu urodzajności żułu czyli namułu leśnego, który tu stanowi główny pokład, kraina ta jest łąką sztuczną bardzo żyzną, a w wielkiéj części uprawnym ogrodem. Każda własność oddzieloną jest z jednéj strony groblą, a z drugiéj połączona kanałem z systematem wodnéj sieci, groble obsadzają wikliną i wierzbnikami, zkąd idzie paliwo, w którego rachunek wchodzi i drzewo, które Wisła i Nogata podczas powodzi przynoszą. Dla Żuław więc rosną gdzieś lasy na świecie. Wszędzie pełno mostków i kładek zwodzonych, po kanałach przechodzą statki, czołna, promy i żaglowne berlinki. Wspaniały to widok, a jeżeli Wenecya jest miastem na wodzie, to Żuławy są *krajem* na wodzie.

Wilgoć padająca z morza, deszcze i rosy sprawia, że Żuławy przez rok cały są zielone jak ruta, z wyjątkiem zimy krótszéj znacznie od naszéj. Mają też osobny rodzaj bydła. Jest to znana czarnosrokata rasa o krętych rogach i ostréj kości, niepozorna ale zalet pełna. To polska krowa, przeniesiona na paszę żuławską, a ztąd tak mleczna!

Czystość, spokój i dostatek tu wielki.

Trudno zapomnieć przy ujściu Wisły o naszych flisakach i orylach, którzy wszędzie przybijają do brzegu, gdzie się tylko wznosi kapliczka Św. Barbary. Gdy zadzwonią na „Anioł Pański" flisacy na galarach zdejmują czapki, odmawiają modlitwy — a gdy w końcu dzwon uderza w jednę tylko krésę, wówczas flisacy na wodzie a miejscowi ludzie na brzegu odmawiają paciérz za dusze wiernych zmarłych, którzy potonęli w Wiśle. Potém słychać gwar na galarze, albo przelatującą śpiewkę:

Flisakowa żona
Siedzi sobie doma,
A flisaczek nieboraczek
Robi wiosłem jak robaczek,
Płynie.. do Torunia.

— A zkąd ludzie?—wołają głosy od brzegu.
— Krakowianie od Krakowa—i pozdrawiają się w Bogu.
— Szczęśliwa droga!
— A wam daj Boże brzeg szczęśliwy.
— Zkąd to Bóg prowadzi?
— Od Radymna—od Jarosławia—wołają z promu przewoźnicy:
— A wy zkąd?—Ci krzyczą: od Ulanowa, ci: od Niepołomic—tamci: od Sandomierza!

A wszystkim jedna, i daj Boże droga szczęśliwa!

Stary flis, to ćwik wytrawny, bo to już jemu „nie pierwsza woda." Ale fryc biédny! Grożą mu strachami, smokami, czarownicami po ostrowach Wisły; pytają, czém się wiedźmie, czém syrenie wyprosi. Nieraz odstąpi i szpyrkę z grochem, aby go nie sprzedano Litwie przy ujściu Narwi, albo nie sfrycowano na Pomorzu! Miejscem frycówki jest owa góra pod Gniewem; tu każdy chłosta fryca cholewą:

Więc znaj, gdzie droga pod Gdańsk aż do drąga,
A gdzie prowadzi Nogat do Elbląga?

W powrocie do domu przygrywa flisakom grajek na skrzypcach zakupionych w Gdańsku:

„Mijaj flisie grody, kościoły i dworki,
Bo na bursztynowe czekają paciorki.
Mijaj flisie Wisłę, bo ona nie wróci,
A tam po orylach cała wieś się smuci.
Przeorałeś flisie Wisłę aż do Gdańska,
To teraz przegrywaj na skrzypeczkach z pańska;
Za pierścionki złote i zamorskie spinki
Przytulisz tam głowę do ciepłéj pierzynki!

Opis Tatr jest jednym z najpiękniejszych ustępów drugiéj części *Obrazów*.

Najuroczyściéj wyglądają Tatry z oddalenia widziane, oświecone wschodem lub zachodem słońca, kiedy się turnie ostremi liniami oświecą, a olbrzymie ich cienie na całe *mile* przewloką—i jeżeli urodzajne nasze niwy (słowa autora) są niejako prozą natury, są góry nasze jéj poezyą. Ta poezya wyraża się głównie kontrastom ruchomych mgieł i szumu wód, a niezmąconego pokoju mas olbrzymich. Tak pełną piersią, tak czystém powietrzem nie oddycha się nigdzie!

Wyprawa zaczyna się od Podhala, okolicy u stóp Tatrów rozłożonéj. Podhalanie jest to prześliczny lud góralski o pięknych wyrazistych rysach, smukłym wzroście, swobodnych ruchach, wymowny, rozsądny, odważny, uprzejmy, do gór przywiązany, pracowity, rolnik-pasterz, furman i kupiec wyprawiający się do Węgier nad Dunajem, z winem do Wrocławia, z surowicami na Szląsk, a na kośbę w Sandomierskie i Krakowskie. Lud ten stoi najwyżéj pod względem *oświaty i uobyczajenia, poczucia godności człowieka i umiejętnego korzystania z czasu, sił i grosza.* Można tam spotykać ludzi, co uniwersytety pokończyli, a wdziawszy guńkę góralską, osiadają i pracują na zagrodzie ojców swoich.

Czarny Dunajec jest jedną z największych osad na Podhalu,— za biegiem rzeki Dunajca przybywa się do stóp samych Tatrów w las świerkowy, którym równina gęsto porasta. Przebywszy ten las staje się u skalistych *regli*—tak nazywają górale całą tę przestrzeń Tatrów, która lasami obrasta. Powyżéj tych lasów *hale* t. j. pasze leżą alpejskie, a nad niemi *turnie*, t. j. skaliste szczyty gór, które zwykle otacza dokoła *kosodrzewina*, rodzaj sosny stanowiącéj odrębną roślinność.

Tu Pol opisuje *Kościeliską Dolinę*, z któréj już miga jedna z największych turni *Pyszną* nazwana, bo się *pysznie* rozsiadła na grzbiecie Tatrów. Najbardziéj jednak zajmującym jest widok tak zwanych *Kominów*, t. j. skał kilka tysięcy stóp sięgających, a mających kształty kominów. Daléj idą obrazy innych turni od galicyjskiéj i węgierskiéj strony, Morskiego Oka, Pięciu stawów i t. d., przeplatane wspaniałym opisem piękności i ogromu natury, charakterystyki mieszkańców, ich obyczajów, życia, co wszystko składa pod piórem Pola czarodziejską całość wdzięków przyrody i wzruszeń natchnionego niemi widza; który woła:

Wspomnieć sercu miło
To, co źródłem bije,
Co po Bogu żyło
I na zawsze żyje!

Z czarnych lasów i zielonych borów, jestto napis ostatniego rozdziału książki, w którym autor rozbiera teoryę roślinności całéj Europy w zastosowaniu do miejscowych warunków opisywanego kraju. Tu znowu traktuje głównie ważny przedmiot uprawy lasów i mylne podstawy dotychczasowego leśnictwa, wykazując, że *dzielnice roślinności mają* swój ruch własny, i jak się wyraża, *własną kolej wielkiego płodozmianu natury*—że dzielnice te żyją oddechem klimatu, noszą w sobie warunki swego istnienia, szerzenia się, posuwania, ustępowania i niknięcia w końcu z powierzchni ziemi.

Człowiek i historya nie przechodzi obszaru lasów po bożym świecie bez śladu, ale jako potęga niszcząca w przymierzu z ogniem i bydłem.

Gdzie człowiek i historya boży posiew roślin zniszczy, tam ustępuje historya, i kwitnące niegdyś kraje zalega bezwodna pustynia

lub wydmuch wodnych piasków, a rydwan dziejów przesuwa się razem z ustąpieniem dzielnic roślinnych na nietknięte obszary posiewu bożego. Jeżeli w skutek wielkich cywilizacyjnych potęg, człowiek lub naród zastępuje brak roślin i lasów usilnością swoją, sieając lub sadząc las albo szczepiąc i zakładając sady, to ziemia pod jego pracą staje się znowu ozdobném mieszkaniem człowieka, ale nie stanie się uroczyskiem bożém—bo co człowiek w opiekę bierze, to wypuszcza z opieki swojéj natura!

Badając daléj przedmiot roślinności i śledząc koleje i miejsca, w jakich przechodzi swemi dzielnicami co do lasów głównie, wykazuje autor wielkie pod tym względem bogactwo języka, i utrzymuje, że język może być dla nas przewodnikiem w umiejętności i przyczyni się z czasem do jéj przekształcenia i unarodowienia, t. j. że umiejętność postawi i utwierdzi to naukowo, o czém naród w zapatrywaniu się na naukę, wié od wieków i czemu dał świadectwo w języku.

Oto jest treść *Obrazów z życia i natury*. Czytając je, zdaje się, że to jakaś podróż fantastyczna, tyle w niéj cudowności i zaciekawienia. A jednak są to owoce badań naukowych, dociekań w wielkiéj części oryginalnych, zbierania w ciągu lat całych téj mnogości rysów, z jakich się każdy obraz składać musi, podsłuchiwania owego *oddechu natury*, za którym biegnąc autor, przedeptał cały obszar opisywanych miejscowości, obejrzał i sprawdził, w swém uczuciu zważył, barwą swego serca zaprawił i językiem jego wypowiedział.

Czytającego ogarnia tu złudzenie, i niewiadomo, czy ta piękna rzeczywistość w fantazyi poety, czy fantazya jego w téj wspaniałéj rzeczywistości żyje. Jest to nowa *Pieśń o Ziemi*, równie pełna poezyi i prawdy; mowa w niéj nie wiązana, ale wiążąca w duchu wszystko, co nierozerwalno w wielkiéj całości dziejów natury, a przeto znajdująca rym w uczuciu każdego, kto równie kochał i rozpamiętywał!

Takie to momenta życia uczcił Pol tym prześlicznym wierszem:

Szczęśliwa chwilo, co otwierasz oko,
Na ten świat Boży jasno i szeroko,
I dajesz duszy przedtém niepojęte
Zadatki prawdy i wielkie i święte!
Do ciebie chwilo, wiecznie wracać trzeba
Z żałością serca i miłością nieba!

A jeżeli dziś z niezbadanych wyroków Opatrzności przygasła ta szlachetna źrenica, w któréj się tyle cudów natury odbiło, został temu, co nią to wszystko przejrzał, wzrok duszy, któréj oczyma widzi obrazy jeszcze piękniejsze i nieśmiertelniejsze i pewno niemi jeszcze się z nami podzieli.

Illustrowany Przewodnik do Tatr, Pienin i Szczawnic, jestto podręcznik opatrzony 21 illustracyami, bardzo użyteczny dla podróżników. Obejmuje w sobie wskazówki, przestrogi i opisy kolejne

miejscowości, z dołączeniem na końcu karty topograficznéj, dającéj obraz rozłożenia i wyniosłości Tatrów.

Ważniejszemi tu ustępami dla nauki, jest wywód nazwy Tatrów, zbadanie ich pod względem topograficznym, pomiar z roczników komissyi fizyograficznéj T. Nauk. Krak. z lat 1867, 1868, 1869, alfabetem nazwisk ułożny, bardzo przydatny, wykaz źródeł piśmiennych o Tatrach, Pieninach, Beskidach i przyległych okolicach, oraz wiadomości o ludziach, co trudnili się zbieraniem widoków na papierze lub płótnie.

Karpatami zowie się cały łańcuch gór ciągnący się od Szlązka wzdłuż granicy Węgier i Siedmiogrodu aż do Wołoszczyzny, *Tatrami* zaś tylko część skalistych gór z najwyższemi szczytami, odosobnionych ze wszech stron dolinami, tak, że tworzą jakby zastęp olbrzymów od wschodu na zachód 8 mil długi, a 3 mile szeroki z północy na południe. Tatry mają charakter alpejski, lecz o ile wiadomo, najwięcéj mają wspólności z górami Kaukazkiemi. Nazwy ich od przechodzenia tędy Tatarów wyprowadzić się nie da, bo niewiadomo nawet czy tu stopa ich postała; chociaż jak Pol objaśnia, dolina Kościeliska, podług podania ludowego, otrzymała nazwisko od kości pobitych tu Tatarów.

Ale nazwisko *Tatry* spotyka się w kronikach wtedy, kiedy w Europie o Tatarach niesłyszano. Przywileje czeskie wspominają o Tatrach pod rokiem już 998 i 1086. Ogólnie nazwę tę wywodzą od szczytu najwyższego, który Podhalanie nazywają *Gankiem*, a Słowacy i Węgrzy *Tatrą* albo *Wysoką*.

Pierwszy, który w m. czerwcu 1615 r. zwiedził Tatry i wszedł na Łomnicę był Śpiżak rodem Jan Fröhlich. Był tu potém jakiś anglik i opisał swą podróż w r 1720; następnie Robert Townson 1793 pierwsze zrobił pomiary. W roku 1804 zwiedził Tatry St. Staszic. W. Pol obszedł na około i przeszedł całe Tatry. Na dolinie Kościeliskiéj postawił krzyż, z napisem: *Nic nad Boga*, w miejsce zaś tego krzyża jako już zniszczonego i upadłego wzniósł w 1868 nowy, z tym samym napisem autor *Przewodnika*.

Dziełko Walerego Eliasza, bez pretensyi naukowéj ułożone, jest jednóm z rodzaju opisów specyalnych kraju, o jakiém wspomnieliśmy na wstępie rozbioru *Obrazów* z życia i natury, i może być co do tych miejscowości technicznem ich dopełnieniem. W każdym razie, należy się autorowi *Przewodnika* uznanie za zgromadzenie użyteczne w krótkiéj całości wszystkiego, co się wiąże z wyprawą w Tatry i łącznemi z nią wycieczkami, i objaśnia podróżnika, gdzie, co i jak zwiedzać należy.

Kritische Blicke in die Geschichte der Karpaten-Völker im Alterthum und im Mittelalter. von Dr. Isidor Szaraniewicz. Lemberg 1871.

(Krytyczne rzuty oka na dzieje ludów Karpackich w starożytności i w wiekach średnich).

Z zapowiedzianéj przez p. Szaraniewicza pracy ukazał się pierwszy zeszyt, obejmujący wiadomości, jakie się przechowały w literaturze starożytnej Greków i Rzymian, o ludach zamieszkujących góry Karpackie. Dalsze trzy części zawierać będą, jak głosi przedmowa, zmiany etnograficzne i państwowe, które się dokonały w Karpatach w ciągu wieków średnich. Już sam tytuł jest wielce powabnym dla polskiego czytelnika, Karpackie bowiem góry stanowią jedyną olbrzymią wyniosłość w granicach dawnéj Polski, były dla niéj od południa silném przedmurzem i niby wyniosłe ściany, przedzieliły między sobą dwa sąsiednie plemiona. Tu nieraz w starożytności i w wiekach średnich u podnóża Karpatów, zatrzymywały się jako przed przyrodzoną tamą fale wędrownych ludów, nieraz Karpaty stawały się graniczną miedzą między narodami, które na północnych lub południowych ich stokach osiadły. Prócz tego Karpaty wychowały w wiekach średnich znaczną część szczepu słowiańskiego, na tych płaskowzgórzach, na tych stokach, w tych dolinach rozsiedlały się słowiańskie plemiona. Cała górzysta natura stała się matką karmicielką tych ludów, na jéj łonie wyrobiły one swoje właściwe dzieje, społeczne stosunki i odbiły w swym charakterze te wszystkie właściwości, jakie napiętrzone pokłady ziemi zwykły nadawać zamieszkałym na nich ludom. Jakież to obszerne a nęcące swym urokiem pole dla dziejopisa! To istna praca geologa. Jak z wnętrza ziemi na wysokie gór szczyty wydobywają się po przez nowsze pokłady dawniejszych epok formacye, jak pod lekką ziemi pokrywą spoczywają warstwy, które kiedyś oblicze gór stanowiły, takim być winien i dziejowy obraz tych ludów, co wśród szczątków zamarłych i na gruzach dawniejszych panowanie swe w Karpatach górach roztoczyły. Na tych nieprzystępnych wierzchołkach, na tych lasom pokrytych wyniosłościach, łatwiéj niż na równinie zachować się mogły resztki wyparowanych ludów, kiedy niższe dziedziny zalał potok nowych przybyszów, i to samo strome skały i leśne knieje znowu stać się mogły schronieniem dla tegoż samego zdobywczego narodu, gdy przed silniejszym napływem nowego żywiołu zniewolonym był ze swych siedlisk ustąpić. Każda przechodnia fala zostawiała po za sobą swój osad. Więc dziejopis winien rozwinąć przed okiem czytelnika tę odległą perspektywę, w któréj ukazuje, iż tam w głębi na jéj krańcu przechowały się szczątki dawnych etnograficznych formacyj, że tu bliżéj prześwieca w kształcie nazwy np. miejscowości, żywioł nowy napływowy a tuż przed nami ukazuje się rozległy obraz współczesnych nam stosunków. Czy autor zapowiedzianego

dzieła zadość uczyni tym, zdaje nam się słusznym wymaganiom, dziś jeszcze stanowczo wyrzec nie jesteśmy w stanie; po skrzętnym jednak pracowniku, jakim jest p. Szaraniewicz, znanym już z ważnych rozpraw historycznych, mamy zupełne prawo tego wymagać. Wprawdzie spotykamy już w pierwszéj części próbę wystawienia ogólnego i szczegółowego obrazu gór Karpackich pod względem oro- i hydrograficznym, pod względem ich kształtów zewnętrznych, ich wpływów fizycznych, ale jest to próba niewykończona. Autor powołuje się na szczegółowe prace, przedstawiające Karpaty ze strony fizycznéj, geograficznéj i dziejowéj, przytacza rozprawy Janoty, Pola, Wagilewicza i Zeisznera, to jednak, co z nich wyjęte zostało, nie jest w stanie zadowolnić wyższych wymagań.

Obraz gór Karpackich ze wszystkiemi ich własnościami został nakreślony tylko w lekkich zarysach. Jest to niedokładny szkielet, któryby wypełnić należało drobniejszemi a zawsze ważnemi szczegółami, żeby z nich czytelnik jasne mógł sobie wyrobić pojęcie, jak charakter gór Karpackich mógł wpływać na życie polityczno-społeczne, i jak mógł wytworzyć właściwości ludu, który je zamieszkuje. Stronę fizyczną Karpatów uwydatnił p. Szaraniewicz kilku rysami nadmieniając, że pasmo tych gór w długości łuku o 150 milach panuje nad równinami Dniestru, Wisły i Dunaju (str. 112 i n.), że Karpaty nie dosięgają linii śnieżnéj, po nad którą wznoszą się tylko szczyty Tatrzańskie i Forgaraskie, że góry te ciągną się długiém równoległém pasmem z równoległemi dolinami, ujętemi w strome skały i niekiedy tylko załamują się w poprzeczne doliny, nad skalistą gór pokrywą w wielu miejscach wznoszą się bezleśne płaskowzgórza z bujną roślinnością (połoniny).

Pod względem geograficznym podobnież tylko ogólne rysy przedstawione zostały. Między innemi wiadomy podział co do nazwy: że całość gór rozpada się na kilka części a mianowicie na małe czyli Białe Karpaty ze szczytem Beskidu, na wysokie Tatry, na właściwe Karpackie leśne wzgórza i na siedmiogrodzkie Karpaty. Bliskość miejsca, w którém autor pisze, łatwość korzystania z miejscowych, dla innych rzadko dostępnych źródeł, są to okoliczności, które uprawniają nas do żądania od pisarza nierównie szerszych ram dla wystawienia górskiego obrazu. Wtedyby się lepiéj uwydatniły te pracowite poszukiwania, jakie poczynił autor nad przeszłością karpackich ludów w okresie starożytnym.

To pilnie pozostawiane wiadomości, które nam greccy i rzymscy geografowie o Karpackich ludach przekazali, lubo obznajmiają czytelnika z różnorodnemi warstwami, jakie w ciągu długich wieków po sobie powstawały, nie zaspokoją one jednak wymagań poważniejszéj krytyki. Najprzód, że wątpliwości, zagadki, jakie dotychczas ciemnémi były, nie wiele jaśniejszego zyskały światła i pod piórem p. Szaraniewicza.

Bezstronna krytyka niemiecka czy nasza przyzna, że autor skrzętnie pozbierał wiadomości z Herodota, Strabona, Pliniusza i inne odnoszące się do etnografii gór Karpackich, ale jak jedna tak i druga

przedewszystkiem powstawać będzie na mnóstwo błędów w cytatach, na zaniedbanie zewnętrzne, które nie przystoi w ogóle każdéj poważnéj pracy. Nie przyjmujemy na siebie obowiązku korrektora drukarskiego, autor zapewnie w następnych częściach pilniéj się tą stroną swéj pracy zajmie. Nie mieliśmy sposobności szczegółowo sprawdzać miejsc przytaczanych przez autora, nie porównywaliśmy wskazówek, jakie mieszczą w sobie prace Strabona, Pliniusza; mamy wszakże pod ręką Germanią Tacyta. W rozdziale 43-m (Tac. ed. Kritzius) powiada Tacyt o Gotynach i Osach, że pierwsi, używając języka celtyckiego, drudzy panońskiego, nie są widocznie Germanami, nadto i z tego względu niemi być nie mogą, gdyż płacą trybut.

Haracz na nich nakładają częścią Sarmatowie, częścią Kwadowie. Gotynowie, ciągnie Tacyt daléj, nawet żelazo kopią, ztąd się więcéj wstydzić winni, mając sposobność broń wyrabiać. (Partem tributorum Sarmatae, partem Quadi ut alienigenis imponunt. Gothini, quo magis pudeat et ferrum effodiunt).

P. Szaraniewicz wytłumaczył sobie myśl Tacyta zupełnie błędnie, oddając ją następnemi słowy: „Nad temi ludami (Szar. 57 str.) panowali Kwadowie i Sarmatowie, zmuszając ich do służebności i do robocizn, mianowicie zaś używali do górniczych robót w lesie Gabreta." Taka interpretacya zmienia całą postać stosunku. Jestto drobiazg, ale czyż poważnéj pracy nie szpeci podobna niedokładność? Zapewnie autor używał bardzo błędnego wydania Tacyta, jeśli przytacza Navarhalów, zamiast Naharvali, jeśli nawet zamiast Osów umieszcza Aryów, (str. 57, cyt.). W kilku miejscach autor powołuje się na źródła, nie przytaczając księgi ani stronnicy, gdzie zamieszczona jest przytaczana z nich wiadomość. Na st. 132, powołuje się p. Szaraniewicz na Herborda i przytacza żywot Św. Wojciecha. Gdyby autor był zajrzał na któréj stronnicy w dziejowych pomnikach Pertza znajduje się przytaczana przezeń wiadomość, byłby zapewnie nie popełnił dość rażącego błędu, przypisując Herbordowi żywot Ś. Wojciecha, który raczéj, jak wiadomo, zostawił opis żywota Ottona biskupa bamberskiego apostoła Pomorzan.

Nie powiemy także, iżby wywody filologiczne jakie często w pracy p. Szaraniewicza spotykamy, były udatne. Nazwa Karpatów (str. 83), powiada autor, może pochodzi od karpioi, karpianoi, może także być wyprowadzoną od słowa krępaki (którego lud miejscowy dla oznaczenia Karpatów używa), krępy, czyli silny, wielki. Ten ostatni wywód, zdaje nam się, nie ma podstawy. Czy autor nie zwrócił uwagi na to, że często w nazwach gór i rzek ukrywa się nazwa ogolna gatunkowa, że nieraz góra nazywa się tylko ogólném mianem: góra, rzeka rzeką. Czyżby i Karpaty nie miały więcéj wspólnego z słowiańską nazwą chrebiet znacząca wyniosłość, niż z wyrazami karpioi?

Następne części pracy p. Szaraniewicza, mniéj niż pierwsza, opracowane w literaturze niemieckiéj, zapewnie nie jednę zawierać będą cenną historyczną wskazówkę. W ogóle zapowiedziana monografia ważny stanowić będzie przyczynek do etnografii krajowéj. Może ją z czasem i w polskim ujrzymy języku. *A. P.*

O pieczęciach dawnéj Polski, napisał Teofil Żebrawski, zeszyt II, Kraków, 1871.

Przed kilku laty wyszedł pierwszy zeszyt sfragistyki polskiéj p. Żebrawskiego. Obecnie po dość długiéj przerwie ukazuje się na widok dalszy ciąg wielce szanownéj pracy, obejmujący pieczęcie w okresie Jagiellonów. Szereg ich rozpoczyna majestatowa pieczęć Władysława Jagiełły wraz z mniejszemi pieczęciami tego króla, za niemi idą pieczęcie następnych monarchów aż do Stefana Batorego włącznie. Tekst na 26 stronnicach stanowią szczegółowe objaśnienia dotyczące pierwowzorów, z których wykonane zostały drzeworyty, ich miejsca gdzie się znajdują, jak niemniéj ścisły opis wizerunku i napisu mieszczącego się na pieczęci.

Druga część tekstu i rycin składa się z wiadomości o kościołach ubyłych w Krakowie, obecnie już nie istniejących, mianowicie o kościele Ś. Piotra na Garbarzach i Ś-éj Giertrudy. W końcu zamieszczona jest wiadomość o książkach, mieszczących wizerunki i ubiory polskie oraz kilku rzadszych drukach.

Rozrzucone po różnych dziełach wizerunki pieczęci w zbiorach Działyńskiego, Strończyńskiego, Muczkowskiego, Raczyńskiego zostały przez p. Żebrawskiego zgromadzone w jednę całość. Praca powyższa zasługuje ze wszech miar na uwagę. W ścisłym porządku koleją czasu ułożone pieczęcie dają obraz stopniowego rozwoju rzeźbiarskiéj i rysowniczéj u nas sztuki. Ten szereg większych i mniejszych u nas pieczęci, odbitych za staraniem p. Żebrawskiego z wielką i chwalebną dokładnością łatwo dałby się powiększyć, ale już za to, co autor przedstawia, słuszne należy mu się uznanie.

Większa pieczęć Władysława Jagiełły odznacza się wysokiém wykończeniem. Przedstawia ona ukoronowanego monarchę z berłem i jabłkiem w ręku siedzącego na ozdobnym gotyckim tronie. W około tronu mieszczą się herby księztw. Szczegóły architektonicznych i herbowych ozdób na téj pieczęci są oddane z rzadką dokładnością. Pan Żebrawski może oddać jeszcze wielkie zasługi naszéj sfragistyki, która nieraz tak skutecznie w pomoc przychodzi poszukiwaniom i badaniom historycznym. *A. P.*

Jeden rys współczesnego piśmiennictwa niemieckiego.

Gruntowność prac uczonych niemieckich poszła w przysłowie. „Deutsche Gruendlichkeit," jest to przymiot który niemcy sami sobie radzi przyznają. Natomiast nie ma dość mocnych wyrażeń, z któremiby w piśmiennictwie niemieckiém spotkać się nie wypadło na potępienie powierzchowności (Oberflaechlichkeit) francuzkich, polskich i innych obco-krajowych pisarzy.

Skrupulatna, zbyt często do drobiazgów skierowana pracowitość, odznaczała istotnie uczonych niemieckich w czasach dawniejszych. Uczeni niemieccy owych czasów byli to ludzie wyłącznie swojemu zawodowi oddani, nie biorący udziału w życiu publicznem, zamknięci w swoich gabinetach, którym książki stały za społeczeństwo.

W takich prawie bez wyjątku warunkach pracujący uczeni prześcignęli nieraz w dokładnem zbadaniu szczegółów spółzawodników inno-krajowych, nie dorównywając im ani przestronnością poglądów, ani harmonią układu, ani jasnością stylu.

Dziś stan rzeczy zmienił się w Niemczech nie do poznania. Uczeni niemieccy, w znacznéj części, skosztowali zakazanego owocu. Coraz więcéj mieszać się zaczynają do spraw publicznych; nie zadawalniają się niezbyt rozgłośnym poklaskiem sal uniwersyteckich, pragną wpływu na kwestye bieżące; chcą być czytani przez wszystkich, przynajmniéj przez całą wykształceńszą część społeczności.

Jeśli w niektórych względach widać w ich dziełach postęp ku lepszemu, większą znajomość życia, popadają za to w błędy które sami niegdyś tak ostro w drugich karcili, strzelają bąki które ich poprzedników byłyby zgrozą przejęły.

Za pierwszorzędnego prawnika publicystę w Niemczech jest dziś uważany p. Gneist professor uniwersytetu Berlińskiego, poseł na sejm i t. d. Na dowód wziętości tego uczonego dość przytoczyć, że na tegorocznym zjeździe prawników niemieckich, przez aklamacyą obrany został prezesem zebrania. Sława jego polega szczególnie na dziełach wydanych o instytucyach angielskich, na które jak mniema rzucił nowe, jaśniejsze niż jego poprzednicy światło.

O tych poprzedników przez długi czas wcale się nie troszczył; nareszcie uznał właściwém stosunek swój do nich bliżéj oznaczyć i wykazać dlaczego odsłonięta przez niego strona instytucyi angielskich uszła ich baczności.

W wydaném przed dwoma laty dziele p. t. Verwaltung Justitz. Rechtsweg (Berlin 1869) Gneist pisze (str. 199):

„Już w wieku XVIII-tym społeczność francuzka przekształciła na swój sposób instytucye angielskie. Wyższe towarzystwo zajmowało się podówczas polityką, dyletanckim sposobem ukształconych, lecz od wszelkiego trudnienia się na seryo sprawami publicznemi odwykłych klass społeczeństwa. Przodownik w rozprzestrzenianiu nowych idei Montesquieu, miał przed oczyma nie instytucye angielskie lecz dzieło Blackstona, pięknie napisany podręcznik dla angielskich studentów prawa."

Krytyka niemiecka nie wytknęła zdaje się autorowi rażącego błędu jakiego się w tym ustępie dopuścił. We dwa lata po wydaniu przytoczonego dzieła doktór Gneist sporządzając w roku bieżącym trzecie wydanie głównego swego dzieła, dosłownie się powtarza pisząc (s. 944). „*Montesquieu hatte nicht die englische Verfassung sondern Blackstones Institutionen vor Augen.*

Zdanie wyrzeczone dwukrotnie w znacznym odstępie czasu w dziełach poważnych, nie może być uważane za pośpiech pióra, za

przelotne zapomnienie się. Przymuszeni jesteśmy zarzucić p. Gneist nieznajomość historyi literatury XVIII-go wieku.

Wiadomo powszechnie że Montesquieu, urodzony w r. 1689, zmarły w r. 1755, odwiedził Anglię w roku 1729 i bawił w niéj lat dwa, zajęty tam jak wszędzie gdzie podróżował obznajmianiem się z miejscowemi instytucyami (p. np. Villemain Cours de littérature francaise, lekcya 14-a). Nad dziełem swojém „Duch praw" pracował lat dwadzieścia i wydał je w roku 1748.

Blackstone urodził się w roku 1723, zmarł w r. 1780. Piérwszy tom jego komentarzy wyszedł w roku 1765. Kiedy Montesquieu przyjechał do Anglii, Blackstone miał wieku lat sześć: dzieło swoje Blackstone zaczął ogłaszać w lat siedemnaście po wydaniu Ducha praw, a w lat dziesięć po śmierci Montesquieu'go. Ten ostatni dotąd powszechnie uważany był za wzór jakiego Blackstone się trzymał. Bouillet np. w swoim słowniku mówi o dziele Blackston'a „Cet ouvrage dans lequel il avait pris Montesquieu pour modèle, l'a placé auprès de ce grand homme."

Wszystko to zdaje się być zupełnie panu Gneist niewiadomém. Dla niego nie Blackstone jak dotąd mniemano uczył się od Montesquieu'go, ale Montesquieu od Blackston'a.

Dzieło Montesquieu'go po wyjściu z druku miało w przeciągu ośmnastu miesięcy dwadzieścia dwa wydań. Rozpowszechniło się po całéj Europie. Villemain (lekcya 15-ta) mówi o duchu praw, że jest to niezawodnie ze wszystkich książek wydanych w XVIII-tym wieku ta w któréj jest najwięcéj idei.

O pisarzach tego rzędu co Montesquieu, godziłoby się mówić—nawet Gneistowi,—z większém zastanowieniem się i znajomością rzeczy.

Inaczéj niż Gneist wyraża się o Monteskiem spółziomek Gneista, znany historyk literatury, Scherr. W zbiorze rozpraw swoich wydanym w roku zeszłym p. t. Farrago, Scherr pisze dość rubasznie ale dosadnie (s. 281). „Staroświeckiego sposobu myślenia ludzie jak my, są tego zdania, że Montesquieu miał więcéj rozumu (Geist), znajomości ludzi i świata w jednym małym palcu u nogi, niż wszyscy razem wzięci, rozgłośni, z dziejów naukę ścisłą robiący pisarze (Geschichts Wissenschaftler) naszych czasów, pod wszystkiemi czaszkami swoich mózgownic razem."

Czy Scherr wyrażając się w tak ostry sposób o teraźniejszych spółzawodnikach Monteskiego miał i Gneista na widoku? jest to sprawa domowa, w którą szanując zasadę nieinterwencyi wdawać się nie zamierzamy. *F. Z.*

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Październik 1871 r. W. A. Maciejowski wykończył już i przygotował do druku dzieło z czterech części złożone p. n. „*Dzieje przed-Chrobrowéj Polski, aż do objęcia w niéj rządów przez rodzinę Piasta, zaczerpnięte ze źródeł pomnikami tychże dziejów od Bielowskiego nieobjętych, i opowiedziane z uwagą na ościenne kraje, a mianowicie na Ruś, Litwę, Czechy, tudzież starodawne i dzisiejsze Niemcy.*

Części te mają właściwe nadpisy:

I) Polanie czyli Polacy przed nastaniem Polski.

II) Lachowie z tegoż samego rodu co Polacy pochodzący, uzupełnili ich dzieje.

III) Mój wykład dziejów przed-Chrobrowéj Polski, przed sądem uczonych stawiony.

IV) Pomniki dziejów Polski przed-Chrobrowéj, Monumentami Bielowskiego nie objęte.

Dodatki następne uzupełniają całość:

1) Początek owéj bajdy nad bajdami o szwagrostwie Leszka III z Juliuszem Cezarem, powstał na Pomorzu, a jéj rozwój nastąpił w Polsce. 2) Sprostowanie mniemania Jana Wil. Lebla (Loebell) o stanie cywilizacyi Niemców w czasach najdawniejszych. 3) Słowo o stosunku prac p. Feliksa Michałowskiego do dziejów Polski przed-Chrobrowéj, ze wzmianką o dziele Napoleona III.

W. A. Maciejowski w roku 1846 wydał: „Pierwotne dzieje Polski i Litwy.“ Dzieło to w pomienionéj powyżéj pracy w całości jest przerobione według źródeł późniéj wynalezionych.

— Na zjeździe archeologicznym w Bononii, p. Jan Zawisza złożył swoje sprawozdanie o zwiedzonych przez siebie pieczarach w *Ojcowie*, które już poprzednio w zeszycie na Październik r. b. naszego pisma wraz z drzeworytami podaliśmy.

— *Gazeta Warszawska* w Nrze 209 z r. b. wydrukowała artykuł p. n. *Seweryna z Żochowskich Pruszakowa*, który dosłownie powtarzamy: „Czasopismo berlińskie *Magazin für die Literatur des Auslandes* w Nrze 23 r. b. zamieściło artykuł zwracający uwagę czytającéj niemieckiéj publiczności na powyższą autorkę, któréj prace literackie nietylko u nas, ale i za granicą doznały zasłużonego przyjęcia. Pobudką do napisania artykułu z tytułem: „*Eine polnische Dora d' Istria*“ był raport odczytany przez francuzkiego uczonego *Emila Hervet*, na posiedzeniu paryzkiego Towarzystwa Geograficznego w dniu 15 marca 1869 r., o pracach poetyckich naukowych tak oryginalnych jak i przekładach pomników litera-

tury francuzkiéj, angielskiéj, hiszpańskiéj, węgierskiéj, niemieckiéj i skandynawskiéj p. Pruszakowéj, w uznaniu zasługi i znaczenia których, mianowaną została członkiem stałym tegoż Towarzystwa. Raport ten przełożył w roku bieżącym jeden z literatów węgierskich p. *Pollak-Lippol*, który w równie życzliwych słowach skreśla jéj zasługi. Inaczéj wszakże, bo z chłodem i obojętnością, odzywa się p. *M. St.* o pracach naszéj autorki, porównawszy ją na początku do *Dory d'Istria* (Heleny z książąt Ghików Massalskiéj), która pierwsza mianowaną została członkiem Towarzystwa Geograficznego i swemi pracami naukowemi otworzyła wstęp innym kobietom do tego uczonego zgromadzenia, czyni jéj różne zarzuty. Tak zarzuca pani Pruszakowéj, jak i wszystkim naszym pisarzom: „iż kształcąc się (według jego przekonania) na produktach duchowych germańskiego pochodzenia, uchylają się późniéj z pod ich wpływów, a zwracając się do Francyi jéj literaturą żyją, jéj badania i postępy naukowe, wszystkiemi swojemi siłami popierają. Otóż w tém leży główny powód, o ile nam się zdaje owéj niechęci, z jaką pan *M. St.* ocenia osobę Pruszakowéj, i stanowisko jéj na polu literatury europejskiéj. Tak ona, jak i większość naszych znakomitych autorów, ukształcenie swe nie niemieckiéj lecz raczéj swojskiéj, a w części francuzkiéj literaturze zawdzięcza. Pisarze niemieccy mylą się, gdy sobie wyobrażają, że obce narodowości a pomiędzy niemi i my także, kształcą się jedynie na literaturze germańskiéj i jéj duchowym pokarmem tylko żyją. Jestto błąd, który staje się powodem mylniejszych jeszcze zdań i wniosków. Oto pani Pruszakowa np. do roku 1847, czyli do epoki, w któréj jako poetka wystąpiła na obszerniejszą widownię zawodu pisarskiego, żadnéj styczności z literaturą germańską nie miała, a tém samém żadnego wpływu owa literatura na jéj umysł wywierać nie mogła; dopiéro w podróżach swoich miała sposobność poznać znaczniejsze utwory niemieckich pisarzy, a przekładami licznemi ich prac poetyckich na nasz język, najlepiéj zdaje się nam dowiodła, jak ich cenić umié.“

Powyższy artykuł *Tygodnik Mód* w Nrze 41 z r. b. powtarza, a główny redaktor i wydawca tego pisma Jan Kanty Gregorowicz, zbliżony więcéj do naszéj autorki jeszcze lepiej wyjaśnia, wskazując drogi, któremi idąc kształciła się pani Pruszakowa i zdobywała naukę, z tą wytrwałością, wedle jego wyrażenia i niezmordowaną pracą: „jak benedyktyn średnich wieków.“ Wyliczywszy znakomitsze jéj utwory, tak zakończa swoje domówienie: „Obecnie w *Bibliotece Warszawskiéj*, co miesiąc nadsyła swoje sprawozdania literackie p. n. to *Kroniki paryzkiéj*, to *Kroniki zagranicznéj*, literackiéj, naukowéj i artystycznéj, w któréj mamy zebrane zajmujące wiadomości o najnowszym ruchu umysłowym tak Francyi, Niemiec, jako i z krajów słowiańskich. Zebrane razem prace wynosiłyby do 50 tomów sporych i przyznać musimy, że żadna z piszących kobiét naszych, nie oddała tyle zasług przeważnych literaturze w każdéj prawie jéj gałęzi co pani Pruszakowa. Nie

wymieniamy tu po szczególe utworów téj autorki, zwracamy tylko uwagę, że bibliograf spisem ich niejedną stronnicę swego dzieła zapełni.“

— Zapowiedziane wydawnictwo pism Syrokomli, już się wedle prospektu rozpoczęło, z tą wygodniejszą dla czytelników zmianą, że nie zeszytami ale tomami wychodzi. Mamy już tom 1szy w pięknéj i starannéj edycyi p. n.: „*Poezye Ludwika Kondratowicza (Władysława Syrokomli). Wydanie zupełne na rzecz wdowy i sierot autora.* Warszawa. Skład główny u Gebethnera i Wolffa 1872 (w 12ce str. 357). Tom ten ma na czele artystycznie wykonany portret Kondratowicza; obejmuje zaś: „Dzieła oryginalne. Dział I, Utwory epickie.“ Wydanie pod względem typograficznym przynosi zaszczyt zakładowi J. Ungra, który tę publikacyę swoim nakładem prowadzi, pod kierunkiem Wincentego Korotyńskiego a przyjaciela i towarzysza przez lata długie, zmarłego poety. „Po potrąceniu kosztów (tak zamyka swoją przedmowę na czele tego tomu pomieszczoną W. Korotyński), całkowity dochód z rozprzedaży obecnego zbioru idzie na rzecz rodziny poety, z któréj polecenia wydawnictwo rozrządzono. Publiczność polska, która czerpiąc z dzieł Kondratowicza natchnienia zdrowych myśli, zacnych uczuć i nieskalanych obrazów piękna, zaciągnęła względem niego obowiązki wzajemności, nie wątpimy, iż spłaci je sierotom poety, złaknionym chleba powszedniego i środków uzbrojenia młodocianego umysłu na twarde zapasy żywota. Rachunki całego wydawnictwa, dokonywane pod okiem osób wiernych pamięci wieszcza i przyjaznych jego rodzinie, jako rzecz przynależna publiczności będą ogłoszone drukiem po ukończeniu wydania.“

— W *St.-Petersburgu*, Komitet Towarzystwa Opieki nad więzieniami, w marcu 1869 roku, mając na uwadze zbliżający się jubileusz 50letni tegoż Towarzystwa, ogłosił był konkurs z nagrodą 300 dukatów, za napisanie najlepszéj rozprawy: „o najłatwiejszym sposobie utworzenia w rozmaitych miejscowościach Rossyi osad poprawczych rolniczych, dla przestępców nieletnich i włóczęgów, na wzór znajdujących się w *Mettreaux* we Francyi i *Rauhe-Haus* obok Hamburga, oraz o utworzeniu Towarzystwa Opieki nad osobami z więzienia uwolnionemi.“ Nadesłane rękopisma jakkolwiek pod wielu względami zasługiwały niektóre z nich na pochwałę, nie rozwiązywały dostatecznie zadania. Komitet przeto pomienionego Towarzystwa uważając za konieczne rozjaśnienie dwóch wielkiéj wagi kwestyj, mianowicie: „O urządzeniu osad poprawczych rolniczych, mogących ratować nieletnich przestępców, nieraz podpadających karze więzienia za przestępstwa mniejszéj wagi, od zarazy moralnéj naszych więzień, i dających możność wykształcenia ich na dobrych rolników, co mogłoby oddziaływać na rozszerzenie w ojczyźnie naszéj naukowych zasad gospodarstwa wiejskiego“ oraz: „O uformowaniu Towarzystwa Opieki nad osobami z więzień uwolnionemi, mającego zadaniem rehabilitacyę tych osób w społeczeństwie, i dostarczenie im środków uczciwego zarobku.“ St.-Pe-

tersburgski Komitet o więzieniach znowu ogłasza konkurs, co do rozwiązania tych kwestyj, i nagrodę przeznacza dla najlepszéj z prac, tysiąc dukatów. Rozprawy mogą być pisane w języku rossyjskim lub w jednym z języków europejskich. Ostateczny termin do nadsyłania oznaczony na dzień 1 (13) września 1872 r.

— Zeszyt pierwszy publikacyi p. n.: „*Podręczna Encyklopedya Powszechna, w dwóch tomach z atlasem*, Adama Wiślickiego, wyszedł z drukarni J. Jaworskiego (w małéj 8ce, druk na dwie szpalty) z mapką Ameryki północnéj kolorowaną, i obejmuje artykuły od *A* do *Algier* (str. 64). Dla prenumeratorów Przeglądu Tygodniowego, jestto bezpłatny dodatek jako premium. Każdy zeszyt może być oddzielnie nabyty po 30 kopiejek w Warszawie, a po 35 na prowincyi.

— Wyszła z druku: „*Historya Roślin* przez *Ludwika Figuier*, dzieło ozdobione 415 wizerunkami z natury wykonanemi, z francuzkiego przełożył, objaśnił i licznemi dodatkami powiększył autor *Flory polskiéj* Jakób Waga.“ Trzy tomy w wielkiéj 8ce.

— Z zapowiedzianego wydawnictwa komedyj Aleksandra hrabiego Fredry przez księgarnię Gebethnera i Wolffa, wyszły dwa pierwsze tomy; trzy następne opuszczą prassę drukarską w ciągu miesiąca listopada.

— Z drukarni Józefa Ungra wyszły: „*Komedye oryginalne wierszem przez Adolfa Mostowskiego.*“ Warszawa, 1871 (w 12ce str. 195). Trzy komedye tu się mieszczą: „*Interesująca*“ we dwóch aktach, i dwie jednoaktowych: „*Para nie para* i *Konsumenci.*“

— Redaktor *Kaliszanina* p. Jan Tański przełożył: *Han Islandyi*, powieść w trzech tomach przez Wiktora Hugo, Kalisz. Nakładem Redakcyi *Kaliszanina*, w drukarni W. Hindemith. 1871 w 16-ce. Utwór to poety francuzkiego, jeden z pierwszych gdy występował na pole literackie, i zaczął burzyć jak u nas Mickiewicz, poważaną starą klassyczność. Zaledwie pojawił się w Paryżu przed rokiem 1830, wytłumaczony na język polski, wyszedł z pod prassy w Warszawie w jednym tomie; przekład p. Tańskiego jest więc już drugim.

— J. I. Kraszewski, nabywszy w końcu roku 1868 w Poznaniu drukarnią od M. Zörna, przeniósł ją do Drezna, gdzie do lipca r. b. przetrwała. Zbył ją właściciel Dr. Wł. Łebińskiemu, który ją napowrót do Poznania sprowadził, i już urządził, ale pod firmą J. I. Kraszewskiego.

— Od lat czterech objął zarząd Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego Karol Estreicher, b. bibliotekarz biblioteki publicznéj przy b. Szkole Głównéj Warszawskiéj, w któréj się doktoryzował; zajął on miejsce po słynnych uczonych, jakimi byli jego poprzednicy Jerzy Samuel Bandtkie i Józef Muczkowski. Jakkolwiek początek téj Biblioteki sięga XV wieku, a gmach sam w pierwszéj połowie XVI stulecia wzniesiony został, i już znakomitą liczbę ksiąg liczyła, najzasobniejszą była w oddziały teologii i me-

dycyny: najuboższym zaś wykazywał się dział polski. Niemówiąc już o bibliotekach: Ossolińskich we Lwowie, Tarnowskich w Dzikowie, Działyńskich w Korniku, albo też w Sieniawie; prywatne nawet księgozbiory przenosiły ją o wiele zabytkami literatury krajowéj. P. Estrejcher położył sobie za zadanie, tak dotkliwy brak uzupełnić, i dzięki jego usilnym staraniom, dział polski już się wspaniale wypełnił. W roku 1864 Towarzystwo Naukowe Krakowskie, dla uczczenia pamięci pięciuset-letniego istnienia Uniwersytetu Krakowskiego, wydało dzieło p. n.: *Zakłady uniwersyteckie w Krakowie, przyczynek do dziejów oświaty krajowéj.* W niém mamy dzieje téj biblioteki skreślone przez Franciszka Matejkę. Tu znajdujemy stan jéj w roku 1851 szczegółowo podany, wraz z liczbą rękopismów dzieł drukowanych, atlasów i mapp, rycin i numizmatów. Porównywając stan obecny biblioteki, widzimy że działy znakomicie się powiększyły, a drukowanych dzieł liczba z 72,814 doszła do 150,000. Od 1839 roku, przy gorliwych zabiegach ś. p. Józefa Muczkowskiego zaczęto restauracyę gmachu zrujnowanego, w którym się mieści biblioteka, zewnętrznie już ją ukończono, zachowując dawny gotycki charakter całéj budowy: w roku przyszłym i wewnętrzne urządzenie będzie wykończone. W roku 1870, professor rysunku w szkole malarskiéj, Feliks Szynalewski ukończył *fryz* idący od zewnątrz dziedzińca biblioteki po pod dachem; obejmuje portrety akademików krakowskich, zacząwszy od Ś. Jana Kantego a kończąc na Śniadeckim, J. S. Bandkiem, Hubem, Aloizym Estrejcherze, Wiśniewskim, Muczkowskim i Helclu. Jestto praca znakomita i wysokiéj wartości artystycznéj.

— W Krakowie z drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego wyszło dzieło: „*Meteorologia*, przez *Apollinarego Pietkiewicza.*“ (w 8ce 1872 r.)

— Zakład imienia Ossolińskich we Lwowie otworzył na dni 14 Wystawę tegorocznych darów, które stanowią wspaniałe i drogocenne nabytki. Kurator tego Zakładu książe Jerzy Lubomirski ofiarował dla niego zbrojownię przechowywaną dotąd w *Przeworsku.* Pomiędzy szablami, odznacza się szabla Władysława Jagiełły, wybornie zachowana z cechami świadczącemi o jéj pochodzeniu: pochwa nawet pierwotna do niéj jest cała; obok niéj leżały szable Stefana Batorego, Zygmunta III i Władysława IV. Do tego szacownego zbioru należą szable i broń rozmaita z XIV, XV i XVI wieku. Przy nich szabla regimentarska zwraca uwagę. Jestto miecz niepospolicie długi i ciężki, ze wspaniałą rękojeścią i śliczną pochwą grubo pozłacaną i wysadzoną gęsto drogiemi kamieniami. Daléj do téjże zbrojowni należy zbiór pistoletów, puginałów, nożów i t. p. znakomitéj wartości, bo mają przepyszne kosztowne oprawy i są arcydziełami sztuki pod względem wyrobu. Kilka armatek, lanc, dzirytów i włóczni zamyka zbiór cały daru księcia Jerzego Lubomirskiego. Do niego włączono starożytny pancerz z kołpa-

kiem ofiarowany przez panią Broniewską. Po wykopaliskach na *Wysokim Zamku* lwowskim, zbiorze p. A. Schneidra, uderzały drzwi katedry gnieznieńskiéj z massy papierowéj, odcisk zrobiony przez naszego archeologa Karola Bejera, o których szeroko rozpisywał się J Lelewel, i cenny zbiór sfragistyczny nadesłany z Krakowa przez Dra Piekosińskiego. Wystawa książek w darze otrzymanych była wielce bogatą. Na czele położyć należy zbiór dzieł wydanych w wiedeńskiéj drukarni nadwornéj, a ofiarowanych przez dzisiejsze ministerstwo austryackie, oraz 174 tomów od królowéj angielskiéj wydawnictwa: „Roczników państwowych dokumentów.“ (*Calendars of State papers*), i 107 tomów publikacyi p. n. „*Scriptores rerum britannicarum:*“ przesyłką tych dzieł z Londynu zajmował się lord Romilly.

— W Cieszynie na Szlązku austryackim już dwadzieścia i trzy lat wychodzi *Gwiazdka Cieszyńska*, któréj wydawcą i redaktorem od samego założenia pisma aż do chwili obecnéj był i jest p. *Stalmach*. W roku 1873 przypada 25letnia rocznica istnienia pomienionego pisma, dla upamiętnienia tego jubileuszu, zawiązał się w Krakowie komitet, zamierzający wydać album prac literackich téj uroczystości poświęconych. Dochód z téj publikacyi ma być ofiarowany panu Stalmachowi, celem poparcia jego zaszczytnych usiłowań.

— W Poznaniu wznowiono komedyę Fryderyka hr. Skarbka „*Zofia Przybylanka.*“ która należy do najlepszych utworów dramatycznych tego autora. Do niéj dorobił muzykę Michał Hertz, dyrektor teatralnéj orkiestry.

— *Sprawozdanie kommissyi fizyograficznéj c. k. Towarzystwa naukowego, obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu roku 1870, oraz materyały do fizyografii Galicyi. Tom V. Kraków 1871.* Zawiera liczne artykuły odnoszące się, jak głosi sam tytuł, do zbadania przyrody w Galicyi pod względem stanu ziemi pokładów, stanu temperatury, królestwa roślinnego i zwierzęcego i t. d. Między innemi pracami godna jest uwagi rozprawa Dra Altha; pogląd na źródła solne i naftowe, tudzież na warzelnie soli kuchennéj w Galicyi i na Bukowinie. Pod koniec tomu umieszczona jest przez Alex. Kremera pośmiertna wzmianka o Ludwiku Zeisznerze. Dowiadujemy się z dołączonego tamże spisu prac Zeisznera, że geolog nasz ogłosił prócz kilku prac tłómaczonych, *145* rozpraw artykułów drobniejszych i obszerniejszych.

— *Roczniki Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego za rok 1871. Tom VI* mieszczą w sobie między innemi: rozprawę K. Liebelta „O kanale Suezkim i jego cywilizacyjném znaczeniu;“ prace Wegnera: „Stefan Gaczyński wojewoda poznański, i. dzieło jego: Anatomia Rzeczypospolitéj Polskiéj;“ artykuł Kętrzyńskiego: „O Stanisławie Górskim, kanoniku płockim i krakowskim.“ W części archeologicznéj czytamy rzecz Domaradzkiego: „O wykopaliskach Nadziejewskich.“ Między życiorysami spotykamy wspo-

mnienie pośmiertne poświęcone pamięci Zeisznera, pióra Feldmanowskiego.

— Časopis Musea królovstve českého w pierwszym tegorocznym numerze umieścił artykuł Dr Durdika: „O Koperniku“ ku przypomnieniu czterystoletniéj rocznicy urodzenia naszego astronoma, którą obchodzić będziemy 19 stycznia 1873 r.

Časopis Towar'stwa Macicy Serbskeje, redagowany przez ks. Michała Hórnika, wychodzący w Budyszynie, podaje w zeszycie za rok 1870 przegląd piśmiennictwa Serbów Łużyckich czyli Łużyczan za rok 1866—1870. W ciągu tych lat pięciu ukazało się kilka prac poświęconych badaniom nad językiem Łużyczan (4), najwięcéj jednak przypada na dział religijno-kościelny, obejmujący modlitewniki, śpiewy i t. d. Dla Łużyczan wychodzą czasopisma w liczbie pięciu, mianowicie: „Serbske Nowiny.“ redagowane przez Smolera; przytoczone wyżéj czasopismo Towarzystwa Macicy: „Missionski posoł,“ przez ks. Rychtera; „Łužičan,“ pod redakcyą Fiedlera w Budyszynie; i „Katholski posoł,“ wydawany przez ks. Hórnika.

— W zeszycie na lipiec r. b. umieściliśmy wyjątek z listu badacza i etnografa Kornela Kozłowskiego, zajmujący ustęp, o poszukiwaniach archeologicznych w kopcu wsi Łęgonice, o kilka wiorst położonéj od Nowego-Miasta, w górę rzeki Pilicy. Zdobycze tu się niemałe dla nauki pokazały w tém cmentarzysku z pogańskich czasów. P. Kornel Kozłowski, w rozprawie większych rozmiarów p. n.: „Mogiła pod Łęgonicami nad Pilicą i zabytki w niéj znalezione.“ opisuje szczegółowo to ciekawe wykopalisko, jak okolicę i lud zamieszkujący, a zarazem dołączył ryciny przedstawiające wynalezione przedmioty. Rozprawa ta, wraz z rysunkami w czasopiśmie illustrowanym *Kłosy*, zostanie pomieszczoną.

— Statystyka na źródłach urzędowych oparta, podaje nam ciekawe cyfry miasta Warszawy z 1869 roku. Ludność wynosiła:

	mężczyzn.	kobiét.	razem
stała:	82,713	98,589	181,252
niestała:	28,285	31,398	59,683
Wogóle:	110,285	129,937	240,935

Dwie cyfry są tu uderzające: pierwsza, że w ludności miasta liczba kobiét o 18,939 przewyższa mężczyzn; druga ogromna liczba żydów, wynosząca 78,283: to jest przewyższa całą ludność Warszawy jaką liczyła w ostatnich czasach Księzt. Warszawsk. i pierwszych Królestwa. Co do wyznań: katolików obojéj płci 144,553, prawosławnych 5,274, ewangelicko augsburskiego i reformowanego 12,681 i 144 innych. Domów i budowli murowanych 3,297, drewnianych 4,652, razem 7,949. Na liczbę ogrodów ogólną 1,392, w samém właściwém mieście jest tylko 51. Obszerne szczegółowe cyfry tak co do rzemiosł, jak i fabryk, podał nam Kuryer Warszawski w N-rze 203 z r. b.

— Pod redakcyą *Izaaka Kramstücka* znanego z wielu prac uczonych wyszedł: „Kalendarz dla Izraelitów na rok od stworzenia świata 5632“ (rozpoczynający się dnia 4 (16) września 1871, a kończący się dnia 20 września (2 października) 1872 r. (Warszawa, w drukarni J. Goldmana, 1871, w 12-ce, str. XXXIV—70). Oprócz właściwéj części kalendarzowéj, w dziale literackim obejmuje: *Mowę* mianą ósmego dnia świąt palmowych 5613 r. św. przez Izaaka Kramstücka, *Filan*, filozof aleksandryjski przez Kazimierza Kaszewskiego, *Z najniższéj warstwy*, obrazek z życia. *Wyjątek* z pisma *Józefa Szwarc z Jerozolimy*,—*Jeremiasz na ruinach Jerozolimy* p. Feliksa Seltzera.—*Abel Wigham* czyli żydzi w Zachodnich guberniach cesarstwa, p. Feliksa Seltzera. Godny uwagi jest: „Pobieżny obraz statystyczny Gminy Izraelitów w Lublinie, w którémto mieście ludność izraelska w roku 1870 wynosiła 15,945.

---

† W lipcu r. b. *Romuald Klonowski* w czasie wycieczki w śnieżne góry Władykaukazu, na najwyższym prawie jéj wierzchołku, dotknięty uderzeniem słońca, a ztąd apopleksyą zakończył życie. Znanym jest w literaturze z zajmujących podróży po Dagestanie, drukowanych w r. b. w *Tygodniku Illustrowanym* i *Opiekunie Domowym*. Urodzony w gubernii Kowieńskiéj, szkolne wychowanie odbył w Krożach, wyższe w b. Uniwersytecie Wileńskim. Przed dziesięciu laty, nabywszy majętność *Omulewo* w Prusiech Wschodnich pod Neudenburgiem, ostatnie ośm lat życia poświęcił ciągłym prawie podróżom. Po zwiedzeniu Włoch, Hiszpanii i Algieru, zwiedził Kaukaz, gdzie jedyna jego córka zamężna Benisławska jest zamieszkałą w *Temir-chan-Szurze*. Ztąd swe opisy nadsyłał. Z najwyższego szczytu *Abastumanu*, przewodnicy odwieźli jego zwłoki do *Kutaisu*, gdzie został pochowany zdala od swoich. Na sercu jego położono świeże kwiaty, które sam zerwał pnąc się w góry, i kilka okazów kamieni. Pozostawił w rękopiśmie: *Kartki z podróży na Kaukaz*, *Moskwę*, *Niższy Nowogród i Astrachań*. Oprócz opisu miast, zebrał ś. p. Klonowski legendy ludowe, wiadomości o kolonistach Saratowskich i Kałmukach; daléj obrazy Suramu, Abastumanu, Achałcyku, wraz z ich florą. Żył lat pięćdziesiąt pięć.

Od Redakcyi

BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie w roku 1872, w którym pismo to zacznie trzydziesty drugi rok życia. Literatura, nauki, umiejętności jak dotąd będą na przyszłość jedynym przedmiotem Biblioteki. Cena dotychczasowa utrzymana: w Warszawie rs. 9, na prowincyi 10; *kto pragnie z poczty regularnie i w należytym porządku odbierać wychodzące zeszyty, zechce wprost od siebie do księgarni Gebethnera i Wolffa (Krakowskie Przedmieście Nr. 415) przesłać prenumeratę* rs. 10 *i zarazem zawiadomić, z któréj stacyi pocztowéj zeszyty odbierać sobie życzy, a żadnego w przesyłce nie dozna zawodu.*

Prenumeratorowie raczą wcześniéj zaraz po 1 grudniu r. b. zgłaszać się, drukarnia bowiem odbija ilość egzemplarzy stosownie do ilości zgłaszających się prenumeratorów.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.
Wydawca *Józef Berger.*

W drukarni J. Borgera przy ul. Daniłowiczowskiéj Nr. 619.

Дозволено Цензурою, 15 Октября 1871 г.

LIBER BENEFICIORUM DŁUGOSZA.

PRZEZ

Felixa Zielińskiego.

Wydanie dzieł Długosza. — Dwa jego dzieła dotąd brane za jedno. — Liber beneficiorum. — Jan z Borsznic poprzednik Długosza. — Dziesięciny, czynsze wyderkaffowe, monety, wagi i miary w Liber beneficiorum.

Staraniem Alexandra Przezdzieckiego wychodzą w Krakowie w zupełném wydaniu dzieła Długosza, składać mające w texcie oryginalnym łacińskim, dziewięć obszernych tomów. Najpierw wyszły na widok publiczny w roku 1863 tomy: 7, 8 i 9, zawierające opis beneficyów dyecezyi krakowskiéj. Staraliśmy się bliżéj zapoznać z tém po raz pierwszy drukiem ogłoszoném źródłem, a dzieląc się z czytelnikami plonem naszéj pracy, przekonani jesteśmy, że przez to najlepiéj odpowiemy zamiarom czcigodnego wydawcy i złożymy dowód uznania jego zasług, wyższych nad słowa należnéj, lecz nie żądanéj pochwały.

Długosz rozpoczął pracowity swój zawód pełniąc obowiązki sekretarza przy sławnym kardynale i biskupie krakowskim Zbigniewie Oleśnickim. Widząc, że skutkiem bądź zaniedbania, bądź częstych pożarów, zatracone zostały najdawniejsze przywileje dyecezyi krakowskiéj; że nawet granice dyecezyi z biegiem czasu uszczuplone zostały: Długosz opisał w r. 1440 zamki, miasta, wsie, dziesięciny i różne dochody biskupstwa krakowskiego, układając ten rejestr porządkiem kluczów, tenut i powiatów.

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

W trzydzieści lat później, w roku 1470, Długosz będący podówczas nauczycielem synów Kazimierza Jagiellończyka, przedsięwziął w dalszym ciągu podjętéj poprzednio pracy, opisać prawa i dochody duchowieństwa katedry krakowskiéj, kollegiat, zgromadzeń zakonnych i probostw.

Jest to druga, od pierwszéj zupełnie odrębna część jego pracy poświęconéj opisaniu dyecezyi krakowskiéj. Pierwsza dotyczyła uposażenia samego biskupstwa, stołu biskupiego; druga ściąga się do praw całego z resztą duchowieństwa w dyecezyi krakowskiéj.

Piérwsza część pracy Długosza zaginęła jak się zdaje; nie wiemy nawet czy ślad jéj jaki pozostał. Przynajmniéj przedmowa do wydanéj obecnie księgi beneficyów żadnego nam w téj mierze nie udziela objaśnienia. Część druga objęta niniejszém wydaniem przechowała się w rękopisie, który długo uchodził za własnoręczny Długosza i za taki jeszcze na tytule obecnego wydania jest podany. Lecz już autorowie przedmowy i zakończenia wątpliwość swoją co do téj kwestyi wynurzyli. Jakoż pewną jest rzeczą, że rękopis w części tylko co najwięcéj, mógł być ręką samego Długosza pisany. Wzmianki lat późniejszych od śmierci Długosza znachodzą się w rękopisie, tém samém, lub przynajmniéj odróżnić się nie dającém od reszty rękopisu pismem ułożone.

W kopii w XVII-tym wieku sporządzonéj, w archiwum kapituły krakowskiéj przechowanéj, tytuł dzieła zawiera mylne szczegóły, widocznie jest utworem przepisywacza, który rzeczy nie pojął. W tytule tym na czele tomu pierwszego umieszczonym powiedziano (Lib. benef. I, s. VI), że to jest: Librorum beneficiorum Ecclesiae Cathedralis Cracoviensis per Reverendissimum Joannem Długos, seniorem Canonicum Cracoviensem dum apud Reverendissimum Dominum Sbigneum Cardinalem et Episcopum Cracoviensem secretariatus fungeretur officio anno 1440 conscriptorum Tomus primus.

Lecz Długosz pisał to dzieło nie w roku 1440, ale rozpoczął je dopiéro w r. 1470, kiedy był nie już sekretarzem kardynała Zbigniewa ale kanonikiem krakowskim i nauczycielem dzieci królewskich (I. s. IV, i 6). Błąd przepisywacza stał się podstawą mylnego a dotąd upowszechnionego

mniemania o dziele Długosza przechowaném w archiwum kapituły krakowskiéj (1).

Cóżkolwiekbądź, dzieło w głównéj swojéj osnowie jest niezawodnie pracą samego Długosza, w ostatnich dziesięciu latach jego życia, pomiędzy rokiem 1470 a 1480 dokonaną. Objął w niém Długosz wszystkie dobra i dochody duchowne w obrębie dyecezyi krakowskiéj, nie tylko te które należały do miejscowego duchowieństwa (z wyjątkiem biskupa), ale i te które były własnością pięciu postronnych dyecezyj, jako to: gnieznieńskiéj, włocławskiéj, lubuskiéj, płockiéj i przemyskiéj. Nawzajem duchowieństwo krakowskie posiadało majętności po za obrębem swéj dyecezyi; z tego względu praca Długosza wkracza w granice dyecezyj obcych: w gnieznieńskiéj mianowicie, opisuje obszerną włość Pabianicką, jeszcze w XI wieku darowaną kapitule krakowskiéj przez królową Judytę żonę Władysława Hermana.

Już przecież sam obręb ówczesny dyecezyi krakowskiéj obejmuje nader znaczny obszar kraju. Na kilkadziesiąt mil wzdłuż i tyleż wszerz rozciągała się przestrzeń ulegająca duchownéj władzy biskupa krakowskiego. Od Parzęczewa, Łęczny, Biskupic na wschodzie, dyecezya sięgała do Pszczyny i Częstochowy na zachodzie. Od Zbuczyna, Łaskarzewa i rzeki Pilicy, któréj jednak nie wszędzie dochodziła, na północy, rozpościerała się do Alp polskich, jak Długosz zwie Karpaty, do Podolińca, źródeł Dunajca i Popradu na południu. W tym obrębie dyecezya krakowska dotykała siedmiu sąsiednich: Łuckiéj, Chełmskiéj, Przemyskiéj, Strygońskiéj, Wrocławskiéj, Gnieznieńskiéj i Poznańskiéj wkraczającéj przez należący do niéj archidyakonat warszawski, w granice obcego sobie Mazowsza.

Praca Długosza przedstawiająca nam stan ekonomiczny znacznéj części kraju, w końcu trzeciej ćwierci XV wieku, doszła nas w różnym stopniu dokładności i wykończenia.

(1) Błąd podobny znajdować się musi i w rękopisie biblioteki Ossolińskich, na podstawie którego Szajnocha odniósł pracę Długosza do pierwszéj połowy XV wieku (Jadwiga i Jagiełło, wyd. 1szo, T. II, s. 108). Wydawcy Długosza o tym rękopiśmie biblioteki Ossolińskich nie wspomnieli.

Wzmianki o księdze beneficyów w Encyklopedyi powszechnéj T. 7, artykuł Długosz s. 136 i 140, pełne są niedokładności, których nie prostuję po szczególe, gdy prawdziwy stan rzeczy podałem w tekście.

Dzieli się ona na trzy części, obejmujące opisy dochodów: piérwsza, kapituły i kollegiat biskupstwa krakowskiego i biskupstw obcych w obrębie dyecezyi krakowskiéj; druga probostw dyecezyj; trzecia zakonów. Otóż Długosz jako kanonik krakowski miał przystęp do akt kapituły i mógł wiernie opisać jéj dochody a w części i dochody kollegiat. Co do dochodów probostw i zakonów, Długosz po większéj części mógł takie tylko wiadomości podać, jakich mu posiadacze dostarczyli. Wiadomości te nie były zupełne, ani dokładne. Dlatego w dwóch tych częściach dzieła, często kropki zastępują brak szczegółów, co w tomie I wyjątkowo tylko się zdarza.

Istniały niewątpliwie jeszcze przed Długoszem rejestra i wykazy dochodów pojedynczych beneficyów, probostw, zakonów i t. d., ale Długosz był pierwszym który je zebrał, uzupełnił i w całość złożył. U nas nie miał poprzednika w téj mierze. Jest przecież jedna praca, lubo po za granicami ówczesnemi kraju naszego sporządzona, w części jednak i do dóbr w kraju tutejszym położonych odnosząca się, o któréj jako o lat kilkadziesiąt od Długosza wcześniejszéj, wzmiankę w tém miejscu uczynić wypada.

O parę mil od Frankfurtu nad Odrą, na lewym brzegu téj rzeki jest dawna osada Lubusz, stolica biskupstwa tego nazwiska, które pod koniec XVI wieku istnieć przestało. Biskupstwo lubuskie należało do metropolii gnieznieńskiéj, a jakkolwiek w połowie XIII wieku zwierzchnictwo terytoryalne nad niém od xiążąt Szlązkich przeszło do Marchii Brandenburgskiéj, biskupstwo lubuskie nie przestało przeto należéć do składu kościoła polskiego. Biskupi lubuscy byli nawet prawie do końca XIV wieku biskupami Rusi; posiadali dobra nie tylko w obrębie swéj dyecezyi, lecz i na Szlązku, w Wielkiéj i Małéj Polsce. Jan von Borschnitz szlązak wyniesiony na stolicę biskupią w roku 1397, ułożył w r. 1400, na podstawie dawnych rejestrów i zasięgniętych wiadomości wykaz dochodów biskupiego stołu. Wykaz ten pomnożony późniejszemi dodatkami przechował się w kopii sporządzonéj w roku 1462 (1). Dotąd, a przynajmniéj do czasu w któ-

(1) P. Geschichte des ehemaligen Bisthums Lebus und des Landes dieses Namens von Sigmund Wilhelm Wohlbrück. Berlin, 1829—1832. Części trzy, II, s. 29—31. Wohlbrück nie wspomina gdzie mianowicie kopia rzeczona się znajduje.

rym Wohlbrück pisał swoją historyę biskupstwa lubuskiego, rękopism biskupa Jana z Borschnitz w całości drukiem ogłoszony nie został. Nie została mianowicie wydrukowana część téj pracy głównie nas tutaj obchodząca, t. j. wykaz dochodów biskupa z dóbr małopolskich, obejmujący zarazem i powinności włościańskie. Wohlbrück podał w swojém dziele z téj części pracy biskupa wyciąg skrócony, a nadto na s. 129—133 części II, zamieścił na próbę text opisu jednéj wsi marchijskiéj, jednéj szlązkiéj, jednéj wielkopolskiéj i jednéj małopolskiéj (Jałowęsy). Na tę pracę dawniejszą od Długoszowéj zwrócił już uwagę Szajnocha (Jadwiga i Jagiełło T. II, s. 107 i 108). Ale zamieszczone przez niego tłumaczenie opisu wioski Jałowęsy, tak jest skażone myłkami druku czy pióra, że na niém opierać się nie można. Nadto Szajnocha uważając inwentarz lubuski za wcześniejszy blisko o pół wieku od Długoszowego liber beneficiorum, za nadzwyczajnie cenny materyał do historyi gospodarstwa krajowego, nie porównał przecież opisu wsi Jałowęsy w inwentarzu lubuskim, z opisem téjże wsi w Długoszu. Skłoniło mnie to do zestawienia obok siebie dwóch opisów wsi Jałowęsy, nie o blisko pół wieku jak twierdzi Szajnocha, ale odnosząc opis Długosza do mniéj więcéj 1475 r. o trzy ćwierci wieku od siebie odległych. Z zestawienia opisów podanych w przypisku (1) wynika, że oba opisy lubuski i Długoszowy dokonane zostały na podstawie jednego i tego samego miejscowe-

(1) Opis wsi Jałowęsy:

Rejestr Lubuski z roku 1400 (Wohlbrück II, s. 132 i 133.)

Jolowans. In ista villa sunt xxj mansi de hiis duo pertinent ad scultetiam de quibus scultetus servire tenetur cum uno equo de tribus marcis.

Item pro censu quilibet kmeto debet soluere xxx ova. Item duos cascos. Item duos pullos.

Item pro Statione Regis debet quilibet kmeto soluere iiij grossos quoties rex venerit Aptaniam.

Item iij choros auene ij pullos ij cascos et x ova.

Liber beneficiorum w lat. 1470—80 (I, s. 637 i 638).

Jalovansi villa sub parochia ecclesiae de Oppathow sita, cuius proprietas et dominium pertinet ad episcopum Lubucensem, in ista villa sunt viginti unus mansi, de his duo pertinent ad scoltetiam de quibus scoltetus servire tenetur cum uno equo de tribus marcis Item decem novem mansi sunt censuales et quilibet cmetho solvit unum fertonem et unus tantum quantum alius, item pro censu quilibet cmetho de-

go rejestru, lub może że Długosz miał przed sobą rejestr Jana z Borschnitz; oba opisy są bowiem po większéj części dosłownie z sobą zgodne. Wpływ lat kilkudziesięciu nie przyniósł żadnéj prawie zmiany w stosunkach ludności wiejskiéj w Jałowęsach.

Do podobnego wniosku doprowadza porównanie opisu wszystkich dóbr małopolskich biskupa lubuskiego w skróconym wyciągu przez Wohlbrücka podane (II, 71—78) ze stanem tych dóbr u Długosza. Ta sama np. robocizna w Niemenicach, Zochcinie, Strzyżowicach (Wohlbrück s. 73.4, w przypisku), wsiach w których ją specyalnie opis biskupa lubuskiego wykazuje, co w odnośnym opisie Długosza.

Jakkolwiek mało znaczące są różnice między temi dwoma inwentarzami dóbr małopolskich biskupa lubuskiego, żałować przecież należy, że wydawnictwo libri beneficiorum nie postarało się o dokładny odpis części inwentarza z roku

Item quilibet kmeto debet preparare super yemem pro ij mensuris siliginis uel tritici, et illud seminare de semine Episcopi, et tm. (tantum) super estatem.

Item quilibet kmeto debet metere duobus diebus in frumento yemali. Item duobus diebus in frumento estiuali. Item debet laborare per ij dies in feno. Item quilibet debet duos dies laborare in piscinis.

Item ibi est taberna que soluit xxij scotos. Et ibidem Episcopus habet araturam de duobus mansis decimantibus et ortum et piscinam.

Item est ibi unus Rusticus qui propresenti tenetur soluere j marcam de duobus mansis minus quartali.

Summa Census iiij marc. iij ferto.

Sa pro Statione i½ marc. et iiij gr.

Sa pro Statione regis xix mod auene.

Item xxxviij pulli pro statione.

It. ix sex. cum ½ sex. ouorum.

It. xxxviij casei et xxxviij pulli

It. decima est episcopi valet xx marc.

bet solvere triginta ova item duos caseos, item duos pullos. Item pro statione regis debet quilibet emetho solvere quatuor grossos item tres choros avenae, duos pullos, duos caseos et decem ova; item quilibet emetho debet praeparare agrum super hyemem pro duobus mensuris siliginis vel tritici et illud seminare de semine episcopi et tantum super aestatem; item quilibet emetho debet metere duobus diebus in frumento hyemali; item duobus diebus in frumento aestivali; item quilibet emetho debet laborare duobus diebus in foeno; item quilibet emetho debet laborare in piscinis. Item ibi est taberna quae solvit viginti duos scottos episcopo Lubuczensi et ibidem episcopus Lubuczensis habet araturam de duobus mansis,— decimam manipularem quae valet viginti marcas et hortum et piscinam. De uno tamen manso praedíali cedit decima manipularis sextae praebandae Oppathoviensi quae ex ecclesia parochiali creata est.

1400, dotyczącego dóbr małopolskich i nie zamieściło go w przypiskach swego wydania. Byłby to cenny materyał, lubo nie tak nadzwyczajnie cenny jak mniemał Szajnocha, podnoszący wartość wydania Długosza. Na jego podstawie doszlibyśmy jak mniemam, z większą tylko pewnością do wniosku, który już obecnie stawić możemy, że stosunki ludności wiejskiéj w każdym czasie dość stagnacyjne, ulegały, zwłaszcza w dobrach duchownych, nadzwyczaj powolnym zmianom w wiekach średnich.

Materyały z których czerpali tak Długosz jak i Jan z Borsznicy nie zdają się przechodzić po za wiek XIV. Na ten wiek wskazuje tak rachuba na grosze jak i tytuł królewski nadawany panującemu, ilekroć jest o nim wzmianka. Lecz ta stosunkowo późna data ułożenia miejscowych inwentarzy nie stoi na przeszkodzie ażebyśmy stosunków inwentarzami wykazanych, nie mieli uważać za daleko wcześniéj powstałe od epoki, w któréj pismem poświadczone zostały. Prawdopodobieństwo utrzymania się bez zmiany dawnego stanu rzeczy jest tém większe, im znaczniejszą była massa dóbr stanowiących jednę, do jednego właściciela należącą całość. Reformy wprowadzane z góry silniejszy niezaprzeczenie znalazłyby opór w rozległych włościach do jednego właściciela należących, niż w majętnościach mniejszych, często jednowioskowych, gdzie słabość pojedynczych nie wieleby się wzmogła przez połączenie nielicznych.

Jeżeli w takich większych majętnościach zwanych czasem kluczami lub kasztelaniami, napotykamy w różnych a czasem i w tych samych wioskach stosunki niejednostajne znacznie różniące się między sobą, wnosić możemy, że powodem zachodzących różnic było raczéj zakładanie nowych wsi i zwiększanie dawniéj istniejących, osiedlanie na nowém prawie późniejszych osadników, niż zmiany w prawach osadników dawniejszych, których stosunki odnieść nawet nieraz mniemamy się być upoważnieni do początku czasów historycznych a może i do czasów dawniejszych.

Nie jest zbyt trudném odróżnić które stosunki z pomiędzy zachodzących w obrębie jednéj włości za dawniejsze, które za późniéj powstałe uważać należy. Można tu się posiłkować wyraźnemi lubo pojedynczemi wzmiankami opisu, analogią innych włości i t. d.

Odróżniając według tych zasad krytycznych stosunki dawniejsze od późniéj powstałych w obrębie pojedynczych włości, jesteśmy w stanie oznaczyć pierwotne stosunki pojedynczych włości, o ile takowe na podstawie opisu Długosza wykazać się dadzą. Lecz pierwotne stosunki różnych włości porównane z sobą, nie wszędzie okazują się być jednakowe. Mamyż te różniące się od siebie stosunki uważać za będące równéj dawności, za powstałe spółcześnie pod wpływem odmiennych okoliczności? lub téż przeciwnie, mamyż w różnych pierwotnych stosunkach pojedynczych włości, jak takowe dają się oznaczyć na podstawie opisu Długosza, odróżniać dawniejsze od późniejszych, wejść na pole niepewnych hipotez, starać się oznaczyć czas i okoliczności w których powstać mogły? Stawiłem sobie to pytanie; lecz badania wewnętrznych stosunków naszego społeczeństwa zbyt niedawno są rozpoczęte: postęp tych badań zbyt mało jest znaczący, aby pytanie stanowczo już obecnie rozwiązać się dało. Bezpieczniejszém zdawało mi się ograniczyć na skreśleniu rysu stosunków własności i rolnictwa jaki za czasów Długosza istniał; na podaniu wniosków co do bezpośredniéj przeszłości, z któréj stan ten: — Długoszowa teraźniejszość — się wywiązał.

Takie zasady przewodniczyć nam będą w drugiéj części niniejszéj pracy dotyczącéj dóbr własnych duchowieństwa. Lecz podane przez Długosza rejestra dochodów duchownych wskazują źródła tych dochodów oprócz majątku nieruchomego należącego do duchowieństwa prawem własności, w dziesięcinach pobieranych w naturze, lub pieniądzach z przychodów ziemi, i w innych mniejszych opłatach jako to: mesznem (*missalia*), kolędzie (*columbatio, strenna*), stołowém (*mensalia*), czynszach od summ wypożyczonych i t. p. Zanim zastanowimy się obszerniéj nad pierwszém źródłem dochodów duchowieństwa, t. j. nad własnym jego majątkiem, wypada choć w krótkim zarysie przedstawić rzecz co do dziesięcin i innych opłat, a nadto wyłożyć systemat monetarny, miary i wagi używane w liber beneficiorum, jako pomocnicze środki do zbadania najważniejszego przedmiotu, t. j. majątku nieruchomego duchowieństwa.

Przedmiot dziesięcin był w literaturze naszéj niejednokrotnie i dość obszernie rozbierany; ostatnia na tém polu

praca wyszła z pod pióra tak biegłego i gruntownego badacza jakim był A. Z. Helcel (Biblioteka Warszawska r. 1863 T. III, s. 1—55). Powodem do przedsięwzięcia téj pracy była właśnie księga beneficyów Długosza jeszcze podówczas nie wydrukowana, i Helclowi w całości nie znana, lub raczéj drobny z niéj wyjątek podany do wiadomości powszechnéj przez p. T. Ż. z zapytaniem, co znaczyć może napotkane wyrażenie: dziesięcina dawana w gonitwę *(in gonithvam)*?

Helcel starając się objaśnić to zagadkowe dziś wyrażenie dał najprzód ogólny rzut oka na powstanie i wykształcenie się systematu dziesięcinnego w kościele zachodnim i krajach postronnych, następnie na podstawie ustaw synodalnych krajowych, jako też dyplomatów szlązkich i polskich, częścią drukiem ogłoszonych, częścią rękopiśmiennych przyszedł do wniosków, które streścić się dają w następny sposób:

„Z dawien dawna — mówi Helcel — było cechą rycerstwa i szlachty, iż stan ten do żadnych osobistych służb i obowiązków, prócz służby rycerskiéj i wojennego przewodu (1) obowiązanym nie był.“ Z gruntów dworskim pługiem

(1) Co znaczy wojenny przewód (*conductus militaris*), to objaśniają dwa dyplomata: jeden szlązki, drugi krakowski. Szlązki z roku 1261 (u Stenzla Nr 54 i z niego u Roeppla Geschichte Polens — ale źle przecinkowany,— s. 315), przewód ducent militare et tantummodo in his rebus, ferinis carnibus et piscibus, utrisque tamen recentibus, similа, vino et militem captivum qui dicitur Chlodnik (Kłodnik od kłody p. Linde. Słownik, wyraz kłoda § 4).

Dyplomat krakowki jest to przywiléj Bolesława (Wstydliwego) z roku 1243, uwalniający wsie klasztoru mogilskiego Prandocin, i niektóre inne od różnych ciężarów „prevod non ducent nisi militale, videlicet similam et ferinas carnes recentes et pisces similiter recentes et captivum ferreis compedibus compeditum et aurum. (Zbiór dyplomatów klasztoru mogilskiego s. 14, Nr XVIII).

Simila, simula w dawnéj polszczyznie Żemła (p. Słownik Lindego) po niemiecku dotąd Semmel, tyle co bułka albo chléb pszenny.

Rycerską powinnością było przewozić od wioski do wioski na potrzeby dworu książęcego świeżą zwierzynę, świeże ryby, chléb biały, a prócz tego brańców wojennych. W dyplomacie 1261 r. wymienione jest jeszcze wino; w dyplomacie 1243 r. złoto.

Mówiąc o powinnościach szlachty w wiekach średnich trzeba mieć na pamięci średniowieczną trinoda necessitas: pontis erectio, arcis construetio et contra hostem expeditio. Por. Röppel s. 312 i 313, gdzie Röppel nie umie wytłumaczyć wyrazu Jstbiza. Jestto izbica (Linde ma i izdbica) Eisbock.

uprawnych szlachta nie płaciła podatków skarbowych (1), a co do dziesięciny, kościół nie uwalniając od niéj szlachty przez długie czasy zachował jéj jednakże tę prerogatywę, że dziesięcinę oddawać mogła do upodobanego sobie kościoła, altaryi, klasztoru lub dobroczynnego zakładu. Dziesięcina taka zwaną była dziesięciną swobodną (*decima libera*). Książęta i szlachta przeznaczali ją na uposażenie założonych przez siebie domów bożych, a w każdym razie tych, w ktorych były ich groby, i w których święte przyjmowali sakramenta. Duchowieństwo jednak z postępem czasu coraz niechętniéj widziało tę prerogatywę szlachecką, zwłaszcza kiedy dziedzice szczupłe dawniéj folwarki dworskie, własnym zachodem uprawiane, rozszerzać zaczęli, (co Helcel już pod koniec XIII wieku dostrzega, s. 49). W ustawach kościelnych znajdują się rozmaite ścieśnienia swobodnéj dziesięciny; gdy przytém dawne przez prywatnych fundowane kaplice i t. d. zamieniły się na parafialne kościoły, dziesięcina swobodna która jeszcze w XV wieku tylu niesnasek między duchownemi i świeckiemi była przyczyną, stała się uposażeniem parafii; w XVI wieku nie rozumiano już nawet co ten wyraz znaczył.

Drugim głównym przywilejem wyróżniającym dawanie dziesięcin przez szlachtę było: iż szlachcic nie był obowiązany odwozić dziesięciny do jéj duchownego właściciela, jak to czynili włościanie, lecz że duchowny sam sobie po nią miał posyłać lub jéj téż odstąpić komubądź zechciał. Nie dawała téż szlachta dziesięciny z konopi, świętopietrza, kolędy, chyba wyjątkowo gdzie był zwyczaj przeciwny.

W przeciwstawieniu z dziesięciną swobodną, była dziesięcina powszechna normalna, dziesięcina obowiązkowa oddawana kościołowi pewnemu stale oznaczonemu, co nazywano dziesięciną oddawaną w gonitwę.

Badając znaczenie wyrazu gonitwa, Helcel napotyka jego objaśnienie w wokabularzach czeskich z XIV wieku, gdzie

(1) Helcel pisze s. 26 „Wszak nawet owe późniejsze dwa grosza podatku łanowego na rzecz skarbu, które szlachta na siebie in recognitionem coronae przyjęła (r. 1374) z ról kmiecych przez kmieciów szlacheckich opłacane były.“ Potwierdził tu uczony mąż, co bliżéj wyjaśnione zostało w rozprawie mojéj o finansach polskich w XIV i XV wieku, (Bibl. Warsz. r. 1849). Nie przeszkadza to historykom naszym ciągle jeszcze błędnie wykładać przywiléj koszycki, i na téj podstawie powtarzać niezasadnie o zmniejszeniu podatków szlachcie przez Ludwika.

honytwa znaczy raz dyecezya (*dioecesis*), to znowu okrąg (*territorium, patria*). Helcel odrzuca dla gonitwy u nas z dziesięciną złączonéj znaczenie dyecezyi, dlatego, że dokumenta w których się to wyrażenie napotyka, mówią o dziesięcinie nie tylko do samych kościołów biskupich przypisanéj, a przyjmuje znaczenie okręgu, tak, że przez dziesięcinę oddawaną w gonitwę, rozumiećby należało: dziesięcinę oddawaną z całego pewnego okręgu (po niemiecku: riedweise) albo też w zgon, przez wszystkich razem, in commune.

Helcel uważając rzecz samą za niewątpliwą, obiecywał sobie, że oczekiwane z druku libri beneficiorum Długosza, znaczenie gonitwy i zastosowanie tego wyrazu do dziesięciny ostatecznie wyjaśnią. Pisząc swoją rozprawę znał Helcel z księgi beneficyów tylko przytoczoną przez p. T. Ż. wzmiankę o któréj mówi (s. 53):

„Długosz wymieniwszy tam *snądź pewną ilość wsi* powiada: „Ex quibus omnibus agris praedictarum villarum conducitur decima manipularis in commune aliis in gonithvam.“ Więc gonitwa znaczy według tego pewną łączną spółkę, pewną ogólną, zapewne większego lub mniejszego okręgu składkę, w którą razem dziesięcina snopowa z owych wsi zbierana była.“

Wzmianka przy dziesięcinie: że była dawana *in gonithvam*, wyjątkowo lubo dość często napotyka się w księdze beneficyów. Nie rzadką też jest wzmianka dziesięciny dawanéj in commune. Oba te wyrażenia *in gonithvam* i *in commune* łączy Długosz i objaśnia jedno przez drugie, tylko w przytoczoném przez Helcla miejscu wyjętém z opisu prebendy Ś. Pankracego w Starém Brzesku, któréj patronem i kollatorem był Opat i klasztor Premonstrateński w Hebdowie (1). Pewna ilość wsi które według domysłu Helcla wy-

(1) Miejsce w wyjątku przytoczone brzmi w całéj osnowie: ad eundem (Sancti Pancratii) praebendam dantur decimae manipulares cuius libet grani et seminis praebendario pro tempore existenti ex villis Syroslawicze et Maciejowicze nec non post curiam konve (ntus) de uno laneo qui fuit emethonalis abstractus tamen et adiectus praedio militari in Syroslawicze existenti. Ex quibus omnibus agris dictarum villarum Syroslawicze et Maciejowicze et ex laneo dicto Konwenczsky et ex aliis omnibus agris praedictarum villarum conducitur decima manipularis in commune alias in gonithvam. Quae quidem decima ad praebendarium Sancti Pancratii spectans dicitur decima magna. (II, 162).

mienione być miały w przytoczoném miejscu ogranicza się do dwóch wiosek, zwykle zaś wzmianka o dziesięcinie *in gonithvam* następuje w księdze beneficyów przy wsiach pojedynczych. Ze sposobu zatém wzmiankowania u Długosza dziesięciny in gonithvam, in commune, nie możnaby jeszcze wywodzić takiego wniosku do jakiego doszedł Helcel.

Porównywając daléj stan rzeczy co do dziesięcin w księdze beneficyów z rozprawą Helcla, nie napotkałem w księdze beneficyów wyrażenia: decima libera (dziesięcina swobodna). Nie masz tego wyrazu i w indexie przez pana Żebrawskiego dość starannie lubo niewyczerpująco ułożonym, czego przecież za dowód nieużycia przez Długosza tego wyrażenia stawić nie chcę, bo w tym indexie niema i wyrażenia: decima vaga, znachodzącego się rzadko wprawdzie w księdze beneficyów (III, s. 78), a którém jak mniemam Długosz zastąpił dawniejsze decima libera, przedstawiając ten stosunek niegdyś prawny z pewnym odcieniem nadużycia. Długosz nie mówi już o dziesięcinie swobodnéj, zwie ją dziesięciną stale jeszcze nie przypisaną (vaga).

W księdze beneficyów widzimy dziesięcinę z gruntów folwarcznych, po największéj części oddawaną kościołom parafialnym, podczas kiedy dziesięcina z ról kmiecych, karczemnych, młynarskich, sołtysich, w największéj części jest uposażeniem stołu biskupiego, wyższego duchowieństwa i klasztorów. W wielu razach napotykamy wyraźne wzmianki o uposażeniu prebend i t. d. z dziesięcin biskupich; między innemi wspomina o tém Długosz podając charakterystyczną anegdotę, o fortelu jakiego użył Kazimierz Wielki dla uposażenia założonéj przez siebie kollegiaty Śgo Jerzego na zamku krakowskim. Kazimierz wymurował tam kościół w miejsce dawnego drewnianego, ale troskliwy o całość dochodów skarbowych (1) nie spieszył z jego uposażeniem. Gdy w roku 1347 w uroczystości poświęcenia kościoła uczestniczyli obecni podówczas w Krakowie, arcybiskup gnieźnieński, biskupi: krakowski, kujawski i opat tyniecki, król zaprosił ich

(1) Ta troskliwość była cechą znamionującą Kazimierza, posuniętą czasami do wyskoków władzy. Kazimierz nie lubił np. żeby zwiedzano kopalnie wielickie, bo to odrywało od zatrudnień urzędników kopalni, ugoszczenie zaś przybyłych powodowało niepotrzebne wydatki. Kiedy wojewoda Nicorza zajechał do kopalni i kazał sobie podać przekąskę (praeliba-

na obiad, upominkami obdarzył, utraktował i w dobry humor (laetitia) wprawiwszy prałatów, wystąpił do nich z usilną prośbą, żeby się do uposażenia kollegiaty przyczynili, co lubo nie zbyt radzi (Długosz mówi I, s. 592 i 593, perplexitate diversa consternati) nie śmiejąc się wymówić królowi, uczynili, ustępując ze swoich dziesięcin.

Nie zawsze potrzeba było tak uprzejmego przymusu dla wymożenia od biskupów uposażenia z ich stołu; czynili to nieraz i hojnie na rzecz kollegiat, klasztorów i t. d. wiedzeni religijną gorliwością. Pozostały jak nadmieniliśmy, w Długoszu tych uposażeń liczne ślady; pewno jednak nie wszystkie, gdy wiele z nich zatarła niepamięć. Jeżeli Helcel odrzucił napotkane w wokabularzu czeskim tłumaczenia gonitwy: honytby, przez dyecezyę, dla tego, że dokumenta w których to wyrażenie napotkał, mówią o dziesięcinie nietylko do samych kościołów biskupich przypisanéj, to ważność tego dowodu osłabia okoliczność, że uposażenie kościołów następowało często ze stołu biskupiego; mogło to mieć miejsce i co do kościołów wymienionych w dokumentach, które Helcel przytoczył.

Przy wprowadzeniu chrześciaństwa panujący zakładał i uposażał biskupstwa. Lecz przypuścić nie można, ażeby był w stanie zbudować i uposażyć kościoły parafialne. Nastąpiło to dopiéro w kolei czasu i gorliwością prywatną. Panujący przyczynili się do tego w swoich dobrach, jako najwięksi w kraju właściciele. Na zasadzie prawa kościelnego wraz z przyjęciem chrześciaństwa powstała i dziesięcina duchowieństwa; ta nie mogła byé przypisana kościołom parafialnym których nie było, ale poszła na uposażenie biskupów jako szafarzy majątku kościelnego. Ztąd biskupi rościli sobie prawo w czasach późniejszych do dziesięciny z osad nowo powstałych i przy tém prawie się utrzymali (1).

tio), Kazimierz gniewał się na niego o to przeszło dwa miesiące i ledwie dał się przebłagać. Zaraz téż zakazał: „primo principaliter et maxime super omnia“ pod karą gardła i utraty dóbr, żeby żaden pan ani szlachcic nie ważył się zwiedzać kopalni, chyba za najłaskawszém pozwoleniem króla Jmości (de maxima gratia). Helcel. Pomniki, s. 218 i 219. Ciężkie było rzemiosło turystów w XIV wieku!

(1) P. wyrok arbitralny arcyb. Jarosława z roku 1359. Helcel jak wyżéj s. 21. Tenże Starod. pomniki I, s. 405 i 406.

Po za obrębem dziesięciny powszechnéj pozostały grunta będące w posiadaniu rycerzy (milites) służbę wojskową pełniących, od innych ciężarów z małym wyjątkiem wolne. Rycerze do dziesięciny dla biskupów nie obowiązani, ulegali przecież obowiązkowi dawania dziesięcin, z prawa kościelnego, lecz przeznaczali ją dla kościołów miejscowych, gdzie jaki był, lub wedle upodobania. Gdy systemat parafialny zaczął się ustalać, dziesięcina z początku swobodna, coraz więcéj stale przypisywaną być zaczęła kościołom parafialnym, które uposażone zostały i częścią dziesięcin biskupich. Pod koniec XV wieku t. j. właśnie w czasie, w którym Długosz układał księgę beneficyów, reforma ta już prawie zupełnie przeprowadzoną została.

Dość liczne ale zawsze tylko wyjątkowe są przykłady w księdze beneficyów dziesięciny kmiecéj przypisanéj kościołom parafialnym. Łatwo pogodzić się to daje w sposób powyżéj wyłuszczony z ogólnym poglądem na sprawę dziesięcin w Polsce.

Z powyższego wywodu wynika, że dziesięciny w gonitwę dawanej nie należy tłumaczyć — ku czemu skłaniał się Helcel — przez dziesięcinę dawaną z pewnego okręgu, lecz raczéj albo przez dziesięcinę dawaną (pierwotnie) do dyecezyi, jeżelibyśmy przyjęli, i dla naszego języka takie znaczenie gonitwy (honytby) z czeszczyzny, albo jak ma Długosz in commune, t. j. przez dziesięcinę dawaną łącznie przez wszystkich razem (w zgon).

Są jeszcze do zaznaczenia w księdze beneficyów przykłady acz rzadkie dziesięciny pełnéj, t. j. dawanéj z innych przedmiotów niż ziemiopłody. Daleko liczniéj napotykamy dziesięcinę opłacaną w pieniądzach, chociaż prawidłową, normalną jest dziesięcina snopowa.

Z innych opłat na rzecz duchowieństwa uiszczanych, zastanowimy się pokrótce nad czynszami od summ wypożyczonych, nie żeby ten przedmiot był pomiędzy dochodami duchowieństwa szczególnéj ważności, lecz że stopa na którą czynsz był zakupywany jest dla poznania ekonomicznych stosunków kraju przedmiotem nader interesującym (1).

(1) Por. Czacki, O lit. i pol. prawach. Wyd. poznańskie II, str. 156—158.

Kirszrot. Prawa o procentach Ekonomista z r. 1867, T. II, str. 103—106.

Wiadomo, że w średnich wiekach pobieranie procentu było prawem kościelném zakazane. Potrzeby społeczne wynalazły środek swego zaspokojenia nie podchodzący pod zakaz prawa. Środkiem tym było kupno czynszu (renty). Stosunek czynszu zakupionego do ceny jego nabycia jest w średnich wiekach tém mniéj więcéj, co obecnie stopa procentu od pożyczek hypotecznych.

Z znachodzących się w księdze beneficyów przykładów czynszu zakupionego wymienimy:

W r. 1453 Tomasz z Strzępina, kanonik krakowski, doktor prawa kanonicznego (decretorum) założył w katedrze krakowskiéj ołtarz Ś. Heleny uposażając go dwunastu grzywnami rocznego czynszu. Czynsz ten był oparty na wszystkich dochodach wsi klasztoru Zwierzynieckiego „Modlnica;“ zakupiony został za 180 grzywien od tegoż klasztoru. Czynsz mógł być spłacony za sześciomiesięcznem wypowiedzeniem; spłaty użyć nie było wolno na nic innego jak na zakupienie innego czynszu. Straty losowe (casus fortuitos) ponosił altarista, iuxta naturam reemptionis (I, 242 i 243). Kupiono tu czynsz na stopę 15 : 1 czyli na $6\frac{2}{3}$ %.

W r. 1470 bracia de Schebnia uposażyli drugiego altarystę przy ołtarzu Wniebowstąpienia w téjże katedrze czynszem grzywien szesnastu. Z tych zakupili grzywien 12 opartych na cle krakowskiém u króla Kazimierza za florenów 300: cztery zaś grzywny czynszu zakupili u czterech mieszczan kazimierskich, opierając każdą grzywnę na innym domu i placu, i płacąc za nią po grzywien 16. Floren miał groszy 28; grzywna groszy 48. Wypada ztąd, że czynsz od króla był zakupiony w stosunku $14\frac{1}{12}$ do 1, t. j. na stopę 6,86 %; czynsz zaś od mieszczan na stopę $6\frac{1}{4}$ %. Mieszczanom zapłacono blisko o $1\frac{1}{2}$ grzywny drożéj niż królowi za grzywnę czynszu; klasztorowi więcéj niż królowi, ale mniéj niż mieszczanom (I, 244 i 245).

Ołtarz Śgo Erazma założony przez Jadwigę, uposażył Władysław Jagiełło w roku 1406 w następny sposób. Na żupach wielickich niejaki Jelitko miał zapisany czynsz dwunastogroszowy czyli po wiardunku (tygodniowo). Ten czynsz zakupił Jagiełło za pośrednictwem Jana z Tenczyna dając mu na to grzywien 150, i nadał go ołtarzowi (I, 245). Czynsz

kupiony został na stopę 11 $^{7}/_{13}$ grzywny kapitału do jednéj grzywny czynszu czyli na stopę 8 $^{2}/_{3}$ %.

Ołtarz Śgo Dyonizego, Vita, Fabiana i Sebastiana wyposażył Jan z Czyżowa kasztelan i starosta krakowski piętnastu grzywnami czynszu, którego przejścia tak Długosz podaje (I, 256):

Mikołaj z Dombrówki, żupnik, otworzył własnym kosztem szyb w Bochni, za co miał przyznanego bergrechtu (Barchracht) kopę szerokich groszy (tygodniowo). Ten czynsz sprzedał nasz żupnik rajcy krakowskiemu Konradowi Kuncza Reich za 1200 grzywien szerokich groszy. Od Reicha kupił go Jan z Czyżowa za 1600 florenów, i zapisał z niego 15 grzywien na ołtarz, a resztę dla mansyonarzy w Czyżowie. Czynsz był sprzedany przez Dombrówkę Reichowi w stosunku 18,46 grzywny kapitału do 1 grzywny czynszu, czyli na stopę 5,41 %. Reich odprzedał go Janowi z Czyżowa za 1600 florenów czyli 700 grzywien groszy szerokich. Reich kupił czynsz drogo, a sprzedał go tanio, bo prawie za połowę ceny, na stopę wyższą cokolwiek od 9%.

Czynsz 18 grzywien groszy szerokich kupił Mikołaj Peyser od Dobrogosta z Szamotuł za 280 grzywien groszy szerokich, stosunek 15 $^{1}/_{3}$: 1, czyli na stopę cokolwiek wyższą od 6 $^{2}/_{5}$ % (I, s. 393). Czynsz dwóch grzywien szerokich groszy kupił tenże Peyser za trzydzieści grzywien szerokich groszy od Mikołaja Tomickiego, czyli w stosunku 15:1 albo na stopę 6 $^{2}/_{3}$ % (tamże).

Oba czynsze dla kollegiaty mansyonaryuszów kościoła sandomierskiego.

Na wsi Brzezie mieli wikaryusze sandomierscy cztery grzywny rocznego czynszu zakupione za 150 florenów podarowanych im przez Jana Pieczonego mieszczanina sandomierskiego. Długosz (I, 401) nie wymienia czy grzywny były groszy zwykłych czy szerokich; gdy 150 florenów czyni 87 $^{1}/_{2}$ grzywien zwykłéj monety, mniemam że czynsz czterech groszy zwykłej monety byłby za niski; przypuściwszy że tu mowa o grzywnach groszy szerokich, cztery tych grzywien równać się będzie 5 $^{1}/_{3}$ grzywnom monety zwykłéj, co da właściwszy stosunek 16,4 kapitału do 1 czynszu, czyli cokolwiek nad 6%.

Około roku 1407, żona Menżyka z Dombrowy, wojewody lwowskiego dała dwieście grzywien szerokich groszy

pragskich doktorom i magistrom u Śgo Floryana beneficya mającym, na zakupienie dwunastu grzywien czynszu, które miały stanowić płacę jednego docenta uniwersytetu krakowskiego (collegiatus in universitate Cracoviensi in artibus laboraturus). Atoli doktorowie i magistrowie pieniędzmi się podzielili, a czynszem obciążyli kościół Śgo Floryana, czyli raczéj uniwersytet krakowski (I, 513). Z darowizny téj wzbudzającéj zajęcie jako jedna z najwcześniejszych ofiar na cele naukowe przez wysokiego stanowiska damę uczyniona, płynie przekonanie, że już w początkach XV wieku, stopa 6% przy kupnie czynszu wieczystego była uważana za normalną. Taki bowiem stosunek przyjęła darodawczyni chcąc zapewnić dwanaście grzywien rocznéj płacy prelegentowi.

Ołtarz w kaplicy Macieja i Mateusza apostołów w kościele Śgo Stefana w Krakowie, uposażony został 14 grzywnami czynszu, który exekutorowie testamentu Stanisława Reja, plebana tegoż kościoła kupili od Mikołaja Baczyńskiego dziedzica Dobiesławic za 250 grzywien. Stosunek kapitału do czynszu $17^{6}/_{7} : 1$, czyli na stopę $5^{3}/_{5}$ %. Było to za Kazimierza Jagiellończyka (II, 18).

Nareszcie na uposażenie klasztoru Paulinów przy kościele na Skałce w Krakowie, sam Długosz zakupił od Spytka z Melsztyna połowę wieczystego czynszu opartego na żupach wielickich, wynoszącego 30 groszy szerokich tygodniowo za 2,000 florenów (III, 115). Cena zdaje się nieproporcyonalnie wysoką, bo daje stosunek kapitału do czynszu prawie jak $27 : 1$, czyli czynsz zakupiony został na stopę niższą od 4%.

Z powyższego przeglądu kilkunastu umów o kupno czynszu wynika, że cena kupna odpowiadała zwykle stopie procentu 6—7 od sta. Zdarzają się pojedyncze przykłady stopy o dwa procent wyższéj lub niższéj, ale przeważna ilość umów daje jak wykazano stopę przeciętną 6 z ułamkiem; stopę więc przez Czackiego podaną (4 – 5) należy uważać za zbyt nizką.

Rozbierając przedmiot czynszów potrąciliśmy kilkakrotnie o monetę różnych gatunków. Dla usprawiedliwienia przyjętéj ewaluacyi i gdy oznaczenie wartości monet i w następnéj części niniejszéj pracy jest nieodzowne, winniśmy w krótkości przedstawić systemat monetarny libri beneficiorum.

Długosz zna grzywnę; grzywnę groszy szerokich lub zwykłych, wiardunki i skojce (części grzywny).

floreny;

grosze szerokie (czasem z dodatkiem pragskie);

grosze zwykłéj monety;

grosze w półgroszkach;

półgrosze;

kwartniki;

denary.

Grzywna Długoszowi współczesna jest grzywną groszy, monetą liczebną; ma zawsze groszy 48, ale te grosze raz są szerokie, drugi raz zwyczajne. Stosunek ich niżéj poznamy.

Oprócz grzywny groszy monety liczebnéj są jeszcze w księdze beneficyów wzmianki grzywny jako wagi metalu, srebra lub co rzadziéj złota. Wzmianki te odnoszą się do czasów dawniejszych, w słowach: marca argenti fusi, puri examinati. Co do grzywny złota, wartość połowy téj grzywny w dyplomacie z r. 1279 (III, 160), podaną jest na sześć grzywien srebra. Stosunek więc wartości złota do srebra w XIII wieku był u nas, jak to powszechnie wówczas miało miejsce, jak 1 : 12.

Zwyczaj liczenia grzywny po groszy 48, powstał jak trafnie domyśla się Czacki ztąd, że grosze bite u nas pierwotnie za Kazimierza W. na wzór pragskich były jednéj z niemi dobroci i wagi. Groszy pragskich bito podówczas 60 z grzywny pragskiéj, gdy zaś grzywna pragska miała się do krakowskiéj prawie jak 4 : 5 (assów 5280 i 4198), więc dla utrzymania jedności monety należało wybijać z grzywny krakowskiéj groszy 48. Monety złotéj u nas w XIV a nawet w XV wieku nie wybijano wcale; lecz obiegały floreny najwięcéj węgierskie. Florenów wybijano $60\frac{1}{2}$ z grzywny złota, czyli tyle prawie co pierwotnych groszy z grzywny srebra, a gdy stosunek wartości złota do srebra był jak 1 : 12; więc floren równał się pierwotnie groszom 12.

Floren dłużéj niż grosze zatrzymał pierwotną wartość, ztąd stosunek groszy do florenów dozwala stanowić o wewnętrznéj wartości groszy. Już około połowy XIV wieku zaczęto w Czechach wybijać z grzywny groszy 70. Dawało to wartość florena groszy 14. Tak było i u nas pod koniec panowania Kazimierza W., Czacki powołuje akt z r. 1369 (nota

140) obliczający kurs florenów na groszy 14. Widać ztąd, iż starano się o utrzymanie wartości grosza na równi z czeskim. Wszakże już podówczas ta równia chwiać się zaczęła. Przynajmniéj w urządzeniu solném Kazimierza W. z roku 1368 polecono brać floren za groszy 16, a wyjątkowo tylko z przyczyn w urządzeniu wyłuszczonych, brano go od Węgrów w groszach 14. Różnica w wartości groszy krajowych od pragskich istniała w każdym razie już przed r. 1405, bo napotyka się w dokumencie z t. r. przywiedzionym w treści przez Ks. Stupnickiego w uczonéj rozprawie o monetach halicko-ruskich (Bibl. Ossol., T. 7, s. 155). Ks. Stupnicki usiłuje wytłumaczyć tę różnicę przyjmując z Czackim stosunek grzywny pragskiéj do krakowskiéj jak 4 : 5, lecz dodając: „że przy równéj ilości z każdéj z tych monet wybijanych rozmaitych groszy, 4 szerokie pragskie zawierały w sobie więcéj jak 5 polskich.“ Niewiadomo mi na czém ks. Stupnicki opiéra twierdzenie, że ilość groszy wybijanych z grzywny była u nas równa jak w Pradze. W takim razie różnica w wartości groszy krajowych i pragskich musiałaby istnieć zawsze i zawsze być jednostajną. Ani jedno ani drugie nie miało miejsca. Sam ks. Stupnicki zaświadcza, że grosze szerokie Kazimierza W. były równe czeskim co do wagi i dobroci srebra. Pod koniec panowania tego monarchy floren liczono u nas jak widzieliśmy, na taką ilość groszy co w Czechach. Grosze więc były jeszcze wówczas może monetą równéj wartości, a tak nie mogły być bite w równéj ilości z dwóch grzywien odmiennéj wagi. Późniéj zmieniło się to: w Czechach, zaczęto wybijać po groszy 80 z grzywny, u nas stosunek wartości groszy spadał jeszcze raptowniéj. Ztąd grosze pragskie ulegały u nas zmienności kursu; brane były secundum cursum communem inter mercatores currentem jeszcze w roku 1447 (Statut piotrkowski z t. r. vol. Leg. I, s. 154). Wiele ta różnica wynosiła w różnych czasach z pewnością nie wiemy.

Czacki oparty na powadze Wyrwicza i zastrzegając wyraźnie, że nie wié z jakiego źródła ten pisarz tę wiadomość wyjął, podaje wartość florenów współczesną układowi libri beneficiorum w r. 1470 na groszy 22; w roku 1476 na groszy 24, a dopiéro w r. 1487 na groszy 28. Lecz wartości florena niższéj od 28 groszy nie zapamiętał już Zygmunt I,

urodzony w r. 1467, jak sam Czacki nadmienia. Nadto w tabelli wykazującéj wartość monet w XIII, XIV i XV wieku w dziele p. Cibrario: Economia politica del medio evo wyd. 5te; wartość florena już w r. 1474 podaną jest na 28 groszy turońskich będących pierwowzorem wszystkich innych (II, s. 197). Długosz piszący około tegoż roku, wartość florena w monecie krajowéj stale przyjmuje na groszy 28. Proporcyą zaś groszy monety zwykłéj do groszy szerokich oznacza stale na 4 : 3 (1), co nie odpowiada stosunkowi grzywny krakowskiéj do pragskiéj. Różnicy więc wartości groszy zwykłych i groszy szerokich pragskich szukać należy nie w różnicy odnośnych grzywien, ale w ilości wybijanéj z grzywny monety.

Grzywna była monetą liczebną; jej podziały: wiardunek (ferto) i skojec (scotus), część czwarta i część dwudziesta czwarta, liczono piérwszy na groszy 12, drugi na groszy 2; lecz do groszy wiardunku i skojca pierwotnie odnosić nie można, gdy dawniéj od téj monety są u nas wspominane. Wiardunek np. pod rokiem 1223 (Cod. dipl. Pol. I, s. 29), skojec jeszcze w dyplomacie tynieckim.

Podziały te grzywny odnosiły się tak jak i same grzywny do groszy bądź szerokich, bądź zwykłych mieszcząc w sobie obudwu jednakową ilość.

Floren jako moneta rzeczywista był za czasów Długosza monetą zagraniczną. W kraju był monetą liczebną. Zajmował takie stanowisko jak np. u nas talar lub dukat, które znachodzą się jako moneta obca, częściéj zaś brane są w znaczeniu monety liczebnéj: talar złotych sześciu, dukat ośmnastu. Floren jak nadmieniliśmy równa się w księdze beneficyów 28 groszom monety zwykłéj, a 21 groszom szerokim (I, 652).

Te ostatnie grosze, za czasów Długosza można uważać przeważnie za monetę liczebną. Wprawdzie grosze krajowe wartości równéj pragskim wybijane były w pierwszéj epoce mennictwa Kazimierza W., i według świadectwa Bielskiego za jego czasów, acz rzadko widzieć je jeszcze można było

(1) p. III, 384 i w wielu innych miejscach. W indexie mylnie wydrukowano: Grossus latus bohemicalis seu Pragensis valet octo grossos communis pecuniae z powołaniem III, 393. Powinno być: sex valent octo grossos.

(ks. Stupnicki, s. 77—79). Nie o tych groszach przecież jest mowa w księdze beneficyów pod nazwą groszy szerokich, bo groszy Kazimierza W. szło 12 na floren; grosze zaś szerokie w liber beneficiorum liczą się 21 na floren. Z téj saméj przyczyny nie może tu być mowa i o dawniejszych groszach czeskich; jaką wartość miały Długoszowi współczesne, nie jest mi wiadomo. W każdym razie była to moneta obca, która, że kursowała w kraju w r. 1447 widzimy z ustawy. Lecz wówczas miała kurs zmienny; stały kurs nadawany jéj w księdze beneficyów uważać każe grosze szerokie raczéj za monetę liczebną.

Grosze monety zwykłéj były tylko monetą liczebną, gdy takich groszy mennica krajowa nie biła wcale, lecz wybijała półgrosze. Ztąd wyrażenie: per octo grossos mediorum grossorum (II, 194) biorę za jednoznaczne z wyrażeniem groszy zwykłéj monety.

Półgroszki wspominane np. I, 349 były monetą rzeczywistą. Zwano je téż kwartnikami jako czwartą część skojca (Stupnicki s. 80). Nazwa kwartników jest u Długosza quadrantes (I, 589, III, 201—284) lub téż quartenses (III, 379, pro decem et octo marcis latorum grossorum et quartensium).

Najmniejszą monetą ale także srebrną były denary (denarii). Stosunku ich wartości do grosza na podstawie księgi beneficyów oznaczyć nie można.

Drobnéj monety którą Jagiełło dozwolił w r. 1404 bić miastu Wschowie szło 12 na grosz. Była to proporcya normalna dla drobnéj monety w zachodniéj Europie; nieraz jednak od niéj odstępowano.

„W dawnych czasach“ mówi Cibrario II, s. 135 i 201: „solidy (soldi, sous, szelągi) były częścią ilorazową funta (libra, lira, livre); denary częścią ilorazową solida. Dobrze pierwéj przed rokiem 1,000 było powszechnie przyjęte, że dobrych solidów szło 20 na funt, a 12 denarów na solid czyli 240 na funt (1). Lecz gdy 20 solidów (złotych) w cesar-

(1) Nadmieniam, że w Anglii funt (sterling), dotąd dzieli się na 20 shillingów; shilling na 12 pensów. W skróceniu te monety oznaczają się przez L. s. d. (libra, solidi, denarii). Włoska Lira (papiezka do końca) miała 20 soldów; francuzki livre 20 sous; dziś jeszcze tak zowią sztuki 5-centimowe będące 20 częścią franka.

stwie bizantyńskiém i u Longobardów nie ważyły nawet trzeciéj części funta zwykłego, więc funt 20 solidów stał się funtem wyobrażalnym, różnym od funta istotnego, i tyle było funtów odmiennych, w ilu odmianach wagi i dobioru (lega) wybijane były solidi. Gdy po roku 1,000 solid przestał być prawie powszechnie monetą rzeczywistą (1) i wyobrażał tylko denarów 12, powstało tyle odmiennych funtów, ile było odmiennych denarów (s. 135). Niektórzy mniemają, że grosz turoński był solidem a nie denarem. Jestto błąd. Grosz był denarem (denarius grossus) i miał odpowiednie sobie konwencyonalne solid i funt o 12 i 240 denarach. Ale denar gruby (grosz) stał w stosunku (faceva uffizio) solida do monety drobnéj, kiedy wartość jego równała się 12 sztukom téj ostatniéj. Tak np. kiedy w Paryżu w roku 1317 grosz równał się 12 denarom paryzkim, można go było uważać za solid w stosunku do téj monety. Ten sam denar (grosz) turoński nie mógł już być uważany za solid w stosunku do małych denarów turońskich, bo kupował ich 15. Panujący starali się tak swoje monety urządzać, iżby 12 denarów szło na grosz, lecz częste pogorszanie monet i chwianie się kursu wymiany bardzo prędko psuły tę proporcyą."

Tak było i u nas. W r. 1404 miało iść według przywileju Władysława Jagiełły na grosz denarów 12. Za Kazimierza Jagiellończyka szło 18 denarów na grosz, według statutu piotrkowskiego z r. 1447. Gdy ta sama proporcya przyjęta jest w ordynacyi mennicznéj Zygmunta I, z r. 1525 (Czacki I, 159) możemy przyjąć, że i w czasie pośrednim w którym Długosz pisał księgę beneficyów, 18 denarów szło na grosz. Gdy więc czytamy (I, 349), że od owcy płacono myta 4 denary, od konia półgrosza, półgrosz przyjąć należy za denarów dziewięć.

Z kolei winniśmy dać objaśnienia co do wag i miar napotykanych w liber beneficiorum.

(1) Według Stronczyńskiego „Pieniądze Piastów" (s. 212) solidy w Polsce były istotnie bite, gdyż ślady ich pod Mieszkiem II wyraźnie się okazują. Wzmianka przywiedziona z Kadłubka (tamże, s. 22), o solidach za Mieszka III (Habebant autem thesaurarii solidos aliquot ex argenti vena puriori) najprędzéj ściąga się do solidów jako monety liczebnéj. Późniejsze wzmianki o solidach jako monecie liczebnéj znajdują się np. w dyplomacie z r. 1236, Cod. dipl. Pol. III, 29.

Z wag wspominany jest rzadko cetnar (soli) centenarius de maiori sale (II, 164) sal minutum centenariatum (I, 417); częstsze są wzmianki o kamieniu łoju, wosku, soli; lapis, sepi, cerae salis (II, 164) i o funcie libra. Talenta cerae II, 239, znaczą tyle może co kamienie. Jaki był stosunek tych wag między sobą o tém z księgi beneficyów się nie dowiadujemy (1).

Co do miar. Z miar długości index wymienia łokieć (cubitus) III, 355; wątpliwém jest przecież czy w powołaném miejscu cubitus ma znaczenie miary.

Miary przestrzeni są staje, stajania (stadia, jugera I, 416); pręty czy laski, virgae, których 12 idzie na łan (I, 647), jutrzyny kilka razy zwane morgi, łany (lanei, mansi). Te ostatnie są różnéj rozległości. Zaznaczam III, 344, sex longi et lati lanei emethonales Theutonicales qui duodecim aliis aequipollent. Ziemia po największéj części, lubo nie wszystka, jest pomierzoną; gdzie miary nie ma, mówi się o kawałkach roli (pecies agrorum, sortes II, 250, III, 333, 410 portiones) o niwach, płozach, obszarach (areae spatiosae III, 203) przymiarkach (quartae agri alias przymiarki II, 480), o siedliskach, klinach (clineus agri p. Index). Wyrazu polskiego odpowiedniego *sors*, zrzeb' niema w księdze beneficyów, ale są pochodne: łan pozrzebny III, 295, Szgrzebny (zrzebny) młyn III, 315.

Miara ciał sypkich jest (chorus) korzec. Od korca odróżniony jest coretus, coretum, zapewne korczyk, półkorzec. Item in aliis villis quando solvuntur tres coreti tunc ipsi solvunt duos choros I, 642. Że coretus nie miał objętości dzisiejszego korca, dowodzi urządzenie solne Kazimierza W. z r. 1368, gdzie na konia ze stajni królewskiéj, przeznaczony dziennie unus coretus avenae, co zapewne wynosiło około 4 garncy. (Helcel. Starod. pomniki I, 220, 221). Jeżeli chorus był dwa razy większy od coretus, to tłumaczenie Szajnochy (Jadwiga i Jagiełło II, 107) chorus przez ćwierć, byłoby odpowiedniém. W liber beneficiorum jest ćwierć korca I, 642, quarta chori seminis canapi. Jest też i kwarta i półkwarty bez odniesienia do korca; pół kwarty maku I, 623.

(1) por. Czacki. O Lit. i Pol. prawach I, 307. Urządzenie solne Kazimierza W. z r. 1368 wspomina już o sprzedaży soli na centnary; o wadze łoju używanego do oświetlania kopalni, por. Maciejowski, Historya dawnych miar i wag. Ekonomista z r. 1868, s. 261.

Większą miarą od korca jest kłoda, tunna, równa dwom korcom III, 306. Nader częstą w księdze beneficyów jak i w dyplomatach spółczesnych i dawniejszych jest mensura, miara bez innego oznaczenia. Miara równała się trzem korcom, jak wnosić można z porównania fundacyi klasztoru Pięddziszowskiego przez kardynała Zbigniewa Oleśnickiego w roku 1449 (III, 138) z relacyą o tém Długosza (III, 130). Kardynał zastrzegł sobie i następcom swoim, w przepisanym porządku dziedziczenia, na dowód i pamiątkę swego prawa patronatu ducale dierium t. j. to co dawano jako stacyą panującemu, dwanaście kuraków, cztery miary owsa, ćwierć wołu, sześćdziesiąt chlebów, achtel piwa, a do tego jeszcze na Ś. Marcin jedno naczynie wina z własnéj winnicy (vasculum) z dwoma chlebami. Gdzie w nadaniu kardynał wymienia cztery miary owsa, Długosz ma w relacyi dwanaście korcy. Do téj saméj wynikłości prowadzi opis wsi Świątkowéj Woli. Wieś ta płaciła stacyi królewskiéj z łanu 6 groszy i trzy korce owsa. Gdy summa ogólna stacyi podaną jest w opłacie pieniężnéj, na kopę groszy, więc składało się na nią 10 łanów t. j. 8 kmieci i 2 karczmarskie. Summa ogólnego owsa stacyjnego podaną jest na miar dziesięć (I, 645) co podzielone przez 10 daje miarę równą trzem korcom.

Większą jeszcze miarą zboża równającą się dwunastu korcom był modius. Modius alias 12 chori I, 347. W tomie III, 421 czytamy kilkakrotnie (wiadomość z r. 1222) modius episcopalis in grano. Zwracam jednakże uwagę, że w przytoczonym opisie wsi Jałowęsy z rejestru lubuskiego, początkowe litery mod. (skrócenie modius) oznaczają trzy korce.

Z miar objętości ciał płynnych wymienia księga beneficyów octuale (achtel) piwa II, 141; pół achtla medium octuale I, 311, kwartę (quarta mellis I, 449, półkwarty I, 450).

Skopiec (łoju, quartale sepi) III, 393. i poków (urna mellis 1, 277, 287; ollae I, 622 są raczéj naczynia niż miary. Toż cista (brasci) zapewne kadź (słodu) I, 622. Koryto teraz wiesze, dodaje Długosz alveus salis III, 335. Thina, tuna. Faski alias tres quartae III, 95. Jako naczynie kościelne ampułki (ampulae I, 623).

Wyrażenie *poczim* wspomnione raz jeden obok korca... duas portiones salis quae a vulgo *poczim* et *corcze* vocantur III, 299, na podstawie księgi beneficyów objaśnić się nie daje.

ROZAMUNDA.

DRAMAT

Józefa Weilen'a.

PRZEKŁAD **S. D.**

(Dokończenie).

AKT III.

Sala z drzwiami po bokach, w pośrodku otwarta firanka, z poza której widać wschody.

SCENA I.

KLEPH, LUPOLD.

LUPOLD, (*gorzko*).

Piękny był orszak... wesele nie lada!

KLEPH.

Z skarbca królewskie przynieś tu korony
A potém żywo iść w pochód wypada.

LUPOLD (*z szyderczym śmiechem*).

Co? ledwie obrzęd jeden dopełniony,
Już uroczystość sposobić mi nową?
Uczta po uczcie! Ha! tego za wiele!

KLEPH.

Ukoronujem dziś króla z królową.

LUPOLD.

Dwoisty obrzęd! dwoiste wesele!
Wszystko do ładu jak wiankiem się splata,
Grimoald równie dziś jak król szczęśliwy;
Że ujrzał pierwszy królewnę... cud świata!
Nasz pan go za to ślubnémi ogniwy
Łączy z Romildą!

KLEPH (*ostro*).

Skończ raz to gadanie;
Idź, czy słyszałeś?

LUPOLD (*z przyciskiem*).

A puhar nasz stary?
Tak natarczywie żądałeś go panie!

KLEPH.

Już nie potrzebny: równie ostrzem miecza
Jak prawem spadku krol posiadł te kraje,
Złączon z królewną wiecznym węzłem wiary:
Krew Kunemunda tron mu zabezpiecza.

LUPOLD (*szyderczo*).

Krew Kunemuda!

KLEPH (*niecierpliwie*).

Któż jéj nie uznaje
W królewnie waszéj?

LUPOLD (*stanowczo*)

Długo w to wierzono,
Ale tak nie jest, przysięgam na Boga;
W kołysce mamka przemieniła dziecko.
Córa królewska byłażby dziś żoną
We krwi Gepidów zbluzganego wroga?
Czyżby ujęła tę rękę zbójecką
Nie ściekłą jeszcze ze krwi ojca świéżéj?

KLEPH.

Milcz! potwarczémi nie bluzgać ci słowy!

LUPOLD.

Rychło dokonać obrzędu należy,
Króla zdobywcę kraj przyjąć gotowy;
Jeżeli świętą zbliży do ust czaszę,
Zesłańca niebios w nim uzna lud pewno:
Wszyscy mu wiarę poprzysięgniem naszą,
Lecz Rozamundy Gepidów królewną
My nie uznamy. Na czole jéj młodém
Niech Longobardów zaświéci korona;
Małżonka króla będzie w niéj poczczona,
Acz nie ją z naszym nie wiąże narodem:
Krew Kunemunda w jéj żyłach nie płynie.

(*Lupold odchodzi*).

SCENA II.

KLEPH (*sam*).

Piękny pożytek to stadło nam wróży!
Tyś mnie nie słuchał dumny Alboinie,
A jam cię niańczył, jam słonił wśród burzy
Tarczą mój piersi twe gniazdo sokole:
Jam-to kierował twych skrzydeł podloty.
Dziś chyży sokół wypuszczon na wolę
Przepomniał mistrza, dla... marnéj istoty,
Którą lud własny odtrąca od łona!
Wczoraj przy onym weselnym obrzędzie
Badawcze oko wlepiłem w jéj lica:
Niekiedy ogniem połyska źrenica,
Westchnieniem piersi wznoszą się łabędzie,
To się uśmiechnie ku niému spłoniona;
Lecz niechże tylko tłum odwróci oczy,
Stoi ponura niby słup na grobie,
Jakby jéj w ziemię wrosły stopy obie,
I czarna chmura wnet czoło pomroczy.
Na tém ja czole czytam straszne piętno;
Jak ta kobiéta dla duszy méj wstrętną!
Gdzież on?... Alboin!... nie próżno się trwożę!

SCENA III.

KLEPH, ALBOIN wchodzi lewémi drzwiami z pokoju Rozamundy.

ALBOIN (*z najżywszą radością*).

O przyjacielu! o Klephie mój drogi!
Czyż tyle szczęścia ta ziemia dać może?

KLEPH.

Rychłoż my królu opuścim te progi?

ALBOIN.

Pieścić jéj włosów jedwabne warkocze,
Całować lica i senne powieki
Cóżto za rozkosz!

KLEPH.

Twe hufce ochocze
Rwą się już w drogę... a pochód daleki!

ALBOIN (*żywo*).

Jak ty mnie dręczysz! by widmo złowieszcze
Sępiemi skrzydły słonisz mi blask słońca:
Zostaniem jutro... po jutrze... i jeszcze..!

KLEPH (*surowo*).

Przecież tu siedzieć nie możem bez końca!

ALBOIN.

Nie możem?... czemu?..,

KLEPH.

Bo ludów gromady
Walą się na nas, ciężą nam na grzbiecie;
Bo nim wiatr ślady stopy naszéj zmiecie,
Nowy tłum nogą nastąpi w te ślady.
Niechby nam chwilę powstrzymać tu kroku,
Po trupach naszych wnet spłyną te dzicze,
Jak rozpędzone z gór wody potoku,
I krwią kupione wydrą nam zdobycze,
I berło świata wytrącą z twéj ręki!

ALBOIN.

Pomnę od dziecka, okrutny ty starcze
Ciężkieś ty zawsze zadawał mi męki:
Gdym był znużony, w dłoń kładłeś mi tarczę
I twardy oszczep; skoro sen do powiek
Chwilę mi przypadł wiodłeś mnie na łowy:
Daremnie błagam... oh! tyś głaz nie człowiek!
Ściągasz mnie z łoża nocą, w mróz zimowy.
„Wstań chłopcze — wołasz — wskażę ci na niebie
Drogę mądrości, gwiazdami utkaną!"
I dziś, po trudach tylu, gdy mi dano
Do ust przyłożyć pełną szczęścia czarę,
Chciałbyś mi wydrzeć tę obcą dla ciebie
Czarę miłości!

KLEPH.

Pijesz z niéj nad miarę.
Posłuchaj królu: potęgą uroku
Ona tumani młodzieńcze twe serce,
Idziesz na oślep uwikłan w jéj sieci;
Mogłażby ona ukochać mordercę
Ojca własnego? ten płomień w jéj oku
Co tak dla ciebie czarodziejsko świéci
Alboż to miłość?... nie, królu!,.. to zdrada!
Ja nie rozwiążę zagadki inaczéj.

ALBOIN (*śmiejąc się*).

Temu ja wierzę, twe oko nie zbada
Serca tajemnic... spytaj słońca raczéj
Dlaczego świéci?.... ognia... czemu płonie?
Zapytaj gromu, czemu błyski miota?
Niech ci powiedzą, niech w skrzepłém twém łonie
Bożą iskierkę na chwilę rozświécą:
Wtedy rozwikłasz zagadkę żywota!
Poznasz czém miłość: ogniem!... błyskawicą!...
Lecz nim w twéj piersi ten cud się dokona,
Ty jéj nie zgadniesz!

(*Pogląda na drzwi w lewo*).

Ha! nadchodzi oto
Moja zagadka... moja luba żona!

(*wybiega ku Rozamundzie*).

SCENA IV.

Ciż sami. ROZAMUNDA.

ROZAMUNDA (*do Alboina*).

Nie zwij mnie żoną!

ALBOIN.

Czy gołąbką białą?

ROZAMUNDA

To ci odlecę!...

ALBOIN.

Powstrzymam pieszczotą!
Jak cię mam nazwać? może krasną różą?

ROZAMUNDA.

Urok wiosenny nie długo trwa w kwiecie,
Róża zakole, bo ma kolców dużo!

ALBOIN.

Ja się nie lękam! jak cię zwać przystało?
Naucz-że droga?

ROZAMUNDA.

Powiédz: moje dziecię!
Bom ja już nie ta jaką byłam wczora.
Jam biédna, ślepa i w tobie na świecie

Jedyna dla mnie siła i podpora;
Mogę na drodze zbłądzić nieutartéj,
Lecz w tobie niebo zsyła mi obrońcę.

ALBOIN.

Biédna ty... ślepa... z oczyma jak słońce!

ROZAMUNDA.

Zamknąć je może?...

KLEPH (*ponuro*).

Skończyćby te żarty!

ALBOIN (*do Rozamundy*).

Nic-że nie widzisz?

ROZAMUNDA

Nic...

ALBOIN.

Poczekaj chwilę,
Stanę za tobą i czoło pochylę...
I pocałuję....

ROZAMUNDA (*rzucając okiem na Klepha*).

Czy widzisz?... on stoi!

ALBOIN.

Niech cię nie trwoży to widmo ponure,
O Rozamundo! bez miłości twojéj
Żyćbym już nie mógł.
(*patrzy na nią z uczuciem*).

KLEPH (*panuro na stronie*).

Widzę znów tę chmurę,
Widzę... po czole przemknęła złowrogo.

ROZAMUNDA (*do Klepha*).

Ty męża mego mistrzu i piastunie,
Coś go z lat młodych bezpieczną wiódł drogą;
Mojemu sercu ty dodaj podniety,
Ucz mnie jak działać, gdy przyszłość rozsunie
Przed okiem mojém widnokrąg nieznany!

KLEPH (*nie patrząc na nią, na stronie*).

Oh! dziwny czuję wstręt do téj kobiéty!
Trzeba te słodkie rozkruszyć kajdany.

ROZAMUNDA (*do Alboina*).

Mruczy coś głucho, nie spojrzy mi w oczy!

ALBOIN (*do Klepha*).

Cóż stary druhu! nie rozmarszczysz lica?
Może się lękasz, by wdzięk jéj uroczy,
Co tak potężnie za serce pochwyca
Nie urzekł ciebie?

(*do Rozamundy*).

Wnet złamię te lody,
On mi był ojcem!... on kochał mię tyle!
Musim nakoniec powrócić do zgody.

ROZAMUNDA.

Pragnę w kaplicy pomodlić się chwilę;
Ty z nim pozostań....

ALBOIN.

Opuszczasz mnie droga?

ROZAMUNDA.

Nie patrz tak na mnie, myśl pierzcha mi z głowy!
Jam dziś jak owa dziewczyna uboga,
Co ułożyła w skrzyneczce lipowéj
Całą chudobę, swój posag dziewiczy;
Tak w mego serca głębi tajemniczéj
Jam ułożyła modlitwy, pragnienia,
A wzrok twój wszystkie poplątał mi myśli!
Muszę je zebrać i skupić je ściśléj
I zasłać Bogu! bądź zdrów, do widzenia!

(*odchodzi drzwiami w głębi sceny*).

SCENA V.

ALBOIN, KLEPH.

ALBOIN (*patrząc oczarowany za Rozamundą*).

Wszystkie jéj myśli w jednę myśl się splotą,
Za mnie modlitwa jéj pójdzie w niebiosy!

KLEPH (*na stronie patrząc téż za Rozamundą*).

Jam zdobył w próbach starzec siwowłosy
Skarb doświadczenia bezcenny, a oto
Młoda kobiéta stanęła przedemną;
Widzę na licu niewinności znamię:
„Nie wierz! – przeczucie szepcze mi tajemno—
Oko jéj zwodzi i serce jéj kłamie!"
Lecz jak wzrok przebić przez łupinę ciała?
Jak wskróś przewiercieć otchłań myśli czarną?

Gdzie Tytan woli tak potężnie działa,
Kędy hoduje krwawe zbrodni ziarno;
Zkąd blask kłamliwy zasyła do oczu,
I miód zatruty wciąż na usta kładzie;
A kiedy zdrada niańczona w pomroczu
Wystąpi czynem przed obliczem nieba,
Nie czas nam działać, zapobiédz dziś trzeba,
Skoro przeczucie ostrzega o zdradzie!

SCENA VI.

ALBOIN, KLEPH. GRIMOALD.

GRIMOALD (*do Alboina*).

Królu a Panie!

ALBOIN.

To ty panie młody!
Jak ci stan nowy do myśli przypada?

GRIMOALD.

Hej! nie zupełnie!... te weselne gody
Czort je wymyślił... z kobiétami biada!
Próżno zarzucam na szyję wędzidło,
Wrzeszczy i tupie i zębami zgrzyta.
Oj tych słodyczy mam-ci już do syta;
Gdyby tak daléj, toby życie zbrzydło.
I lud tu wszystek nie lepszy, toć królu
Przyszedłem ostrzédz póki jeszcze pora.

KLEPH (*żywo*).

Ostrzedz?... mów daléj.

GRIMOALD.

Niby pszczoły w ulu
Niesforne tłumy roją się od wczora.
Ten, ów, drugiemu coś szepnie na ucho;
Dziwny szał jakiś opętał im głowy:
Bezczeszczą imię samejże królowéj!

ALBOIN (*żywo*).

Co? Rozamundy!

GRIMOALD.

Tak, jam słyszał panie.
Trzebaż ujść prędzej przed tą zawieruchą,

Rozkaż, pod bronią drużyna wnet stanie:
Dalej-że w pochód w inne świata strony!

(*zabiéra się do wyjścia*).

ALBOIN (*zatrzymując go*).

Stój! gdzie tak pędzisz?

GRIMOALD.

Pośpieszam do żony.
Niewiasty z oka nie spuszczaj na chwilę!
W każdéj zostało coś kociéj natury.
Popatrz na kotkę!.. a schowa pazury,
Wdzięczy się, łasi, pogląda tak mile;
Traci odwagę pod groźném spojrzeniem,
A taka cicha, potulna i słodka.
I wam tak czynić, skoro się ożeniem,
A spowolnieje żoneczka jak kotka (*odchodzi*).

SCENA VII.

ALBOIN, KLEPH.

KLEPH.

Tyś nic mi wierzył! w téj mowie prostaczéj
Głęboka prawda zaliż się nie mieści?
W ciasnym obrębie myśl jego zawarta
Nie wzlata orłem, wié przecież co warta
Wiara Gepidów, i zdrady niewieściéj
Dobrze on świadom; roztropnie téż baczy,
Śledzi małżonki każdy krok i słowo,
Kiedy ty królu czarem upojony
Zamykasz oczy!

ALBOIN (*przerywając*).

Dość tego szalony!
Tę niewolnicę śmiesz równać z królową!

KLEPH.

Do nieufności, zbyt ważne niestety
Mam dziś powody, wyliczę je zwolna:
Gdy mąż zapuka do serca kobiety,
Wiele zaprawdę przebaczyć mu zdolna,
Przepomni obelg, i uraz i bólu,
I łez, i krasy co na licu zbladła;
Jednego tylko nie przebaczy królu,
A gdy przebaczy, na wieki przepadła!

Gdziebądź dosięgły dźwięki naszéj mowy,
W murach zamczyska, czy pod strzechę nizką,
Stopy dziewczyny wrosły w próg domowy;
Całym jéj światem domowe ognisko
Z sercem rodziców, i brata i siostry;
Z młodu uczucia jéj mocno się sprzęgły,
Kto śmie powalić stare domu węgły;
Kto w drogiém sercu zatopi miecz ostry.
Te jéj świętości kto w niwecz rozkruszy,
Musi rozbudzić w tajnikach jéj duszy:
Wieczną nienawiść! téj krzywdy nie może,
Téj nie powinna przebaczyć niewiasta.

ALBOIN.

Nowe jéj życie, nowy świat otworzę!
W miarę jak miłość w sercu się rozrasta,
Przygłuszy dawne boleści i rany;
Ona swych zmarłych ściga myślą smętną,
Lecz dla jéj serca jam droższy niż oni:
Świadczy mi o tém każde piersi tętno,
Każdy błysk źrenic, każdy uścisk dłoni,
Jam mąż, jéj sercem, jéj wolą wybrany!

KLEPH (*śmiejąc się na głos*).

Piękny mi wybór, gdy wśród łez i trwogi,
Tobie los ślepy rzucił ją pod nogi:
Śmierć albo więzy! a wtém siłą cudu,
Ten, co w pierś ojca utopił żelazo,
Co zabił brata, pogromca jéj ludu,
Klęka przed branką i błaga o serce.
Owóż ta branka z tłumioną obrazą,
Własnego ojca poślubia mordercę;
Obca mu rodem, i myślą i duchem,
Lecz konieczności przykuta łańcuchem:
Wolny to wybór!

ALBOIN (*przerywając gwałtownie*).

Milcz! kłamco bezczelny!

KLEPH (*żywo*).

Kiedy szablicę wybierać masz nową,
Nie według blasku sądzisz jéj zalety:
Patrzysz, czy z twardéj wykonana stali,
Bez szwanku próbę przetrwała ogniową.
Nim idziesz na bój, probujesz ażali
Głownia do ręki przypadnie twéj dzielnéj:
Tak mąż roztropny z wyborem kobiety

Czynić powinien! Tyś patrzał na lica,
Na krucze sploty, na łabędzią szyję,
Na krew, co w żyłach wrzącém tętnem bije;
Połysk jéj oczu twe zmysły pochwyca,
Pod ich zaklęciem nie widzisz olśniony,
Jak gad w jéj sercu czarne gniazdo ściele.

ALBOIN (*porywczo*).

Milcz! twój to język jadem zaprawiony,
Serca mojego chce zatrzeć wesele.
Gdym ja mém szczęściem dumny jak pan świata,
Twoja to ręka żmijami potwarzy,
Moje kwieciste oplotła wezgłowie!

KLEPH.

Jam wyhodował dziecięce twe lata,
Nie gniew, lecz miłość przemawia w mém słowie;
Tyś nad przepaścią, a któż się odważy
Ostrzedz cię w porę? baczność królu młody!

ALBOIN.

Czyżem ją zmuszał? rzucałem jéj w darze
Ojczyste berło, i ziemie i grody;
Alboż nie sama pozostać mi każe,
Słodkiemi słowy i uściskiem dłoni?
Zkądże w jéj sercu tak nagła przemiana?
Cud to miłości... i ty wątpisz o niéj!
Ty śmiesz!

KLEPH.

Zagadka to nierozwikłana,
Czemu tu ona trzyma cię w swéj sieci?
(*po chwili wykrzykuje na głos*):
Wiem, wiem, jam szukał, a wszakże nademną
Prawda jak słońce w pełnym blasku świeci,
Aby ją zbadać, napróżno mózg silę!
Dziwnyż-bo tuman ludzki zmysły mroczy;
W otchłań domysłów sięga człowiek ciemną,
A prawda sama lezie mu przed oczy.

ALBOIN.

Cóżeś zobaczył?

KLEPH (*uroczyście*).

Królu Longobardo!
Wszak wodza Hunnów pamiętasz, Attylę?
Biczem go bożym przezwał świat struchlały:
To twój poprzednik! On-to stopą twardą

Drogę do przyszłéj wydeptał ci chwały,
Czy wiész jak umarł?

ALBOIN.

Czemu pytasz o to?

KLEPH.

Bo jak prawica podobna lewicy:
Tak wy, potężni świata zapaśnicy,
Oba jak jeden podobni do siebie:
Męztwem i siłą, szczęściem i ślepotą;
Jeden cel gonić sądzono wam w niebie!
Zważ dobrze królu, stanowcza to chwila,
Jeśli dziś zdrowéj nie posłuchasz rady,
Umrzesz tym skonem jak wielki Attyla!
Nie ostre miecze, ni rzutkie strzał grady
Z łuków germańskich, zwaliły olbrzyma;
Wyszedł on cały z tysiąca zapasów,
Aż tu niewiasta w pochodzie go wstrzyma.
Dotarł już dzielnie w głąb burgundzkich lasów,
Morduje wodze, lud w powrozy troczy;
Wtém go urzekły Hildegundy oczy,
Podał jéj rękę z krwi ojca nie ściekłą.

ALBOIN.

Milcz!

KLEPH.

Nazwał żonę burgundzką dziewoją,
Słowo przysięgi posłyszało piekło.
Słodko dni kilka przeżyli oboje!..
Owóż przed jurtę przyszli wodze z rana:
Starszy z drużyny zasłonę odchyli,
Nieba! co widzę?... jurta krwią zalana,
We krwi się pławi blady trup Attyli;
A u wezgłowia nad Attyli trupem
Stoi Burgundka, miecz w pięści zaciska,
Żarem tryumfu płonie wzrok niewieści,
Krwią poi oko, bo ta krew okupem
Hańby jéj rodu, jéj własnéj bezcześci,
Znieważonego jéj ojców ogniska!
Tak Hildegunda pomściła się krwawo
Sromu Burgundów!.. jak Attyli żona,
Równy do zemsty ma powód i prawo
Córa Gepidów przez ciebie skrzywdzona.

ALBOIN (*z wściekłością*).

Milcz nikczemniku! two słowa potwarcze
Ufnego serca nie złowią w swe sidła,

Ha! w twoich oczach, ty bezbożny starcze,
Cichy jéj poszept, to zdrada obrzydła!
Wzrok jéj słoneczny, to wędka co świeci
Ułudnym blaskiem, by pociągnąć na dno!
Słodkie objęcia, to piekielne sieci,
Co oplatają moją pierś bezwładną!
Ty mniemasz starcze, że gdy szczęścia syty,
Spokojnie głowę złożę na jéj ramię,
Że piorun zemsty połyśnie z jéj czoła,
Że dłoń gotowa schwycić miecz ukryty:
Twe usta bluźnią, i język twój kłamie,
Nie dość szermierzyć padalczemi słowy,
Żądam dowodów! kto stawić je zdoła?
Nie ty oszczerco, puszczyku grobowy!

KLEPH.

Gdy myśl dojrzeje, gdy czynem się stanie,
Będą dowody jaśniejsze od słońca;
Lecz nie dla ciebie. Jesteś wodzem panie:
Bój się rozpoczął;—czekasz-li do końca
Aż cię wróg zbije? aż cię w krąg osaczy?
Ha! nie czas działać kiedyś zagnan w matnię;
Wprzód, musisz drogę zabieżyć mu raczéj,
Zaczém obroty wykonał ostatnie.

ALBOIN (*z uniesieniem*).

Ha słowo! słowo!... ty kąsasz nićm wściekle,
Wszak mnie czcze słowo za dowód nie starczy;
Jadem co kipi w twego serca piekle,
Szalenie bluzga twój język potwarczy.
Słowo nie dowód! pusty dźwięk... nic więcéj!...
Byłżeby kłamstwem jéj uśmiech dziecięcy?
Te świeże lica jak pączek w rozkwicie
Kryłyby zdradę? Czegóż myśl się trwoży,
Mnież te pociski padalcze ustraszą?
O! przemów do mnie, ty płomieniu boży,
Ty, którym Stwórca zapalił pierś naszą,
Kiedy z jéj życiem zespolił swe życie!
Przy swoim blasku złe się nie ostoi,
Prawdę od kłamstwa, tylko w mocy twojéj
Rozróżnić mocą zaczerpniętą w niebie;
Ty jesteś okiem, okiem co głęboko
Spoziera w duszę—oh! czyżby to oko
Miało być ślepém?

(*Do Klepha z boleścią głęboką*).

Człowieku! ja ciebie
Czciłem jak ojca! w méj doli sierocéj
Tyś mnie otulił skrzydły twéj opieki,

Dłoń mi zaprawiał do łuka i procy,
Myśli mój obszar ukazał daleki.
Tyś mnie ukochał gorąco jak syna,
Jam ci miłością odpłacał wzajemną,
Wdzięczność ku tobie wzrastała wraz zemną;
Gdybym miał przeżyć lat tysiąc na ziemi,
Długu mojego nie spłaciłbym jeszcze;
Otóż czy słyszysz! ta jedna godzina
Gdyś ją obluzgał szyderstwy czarnemi,
Gdyś wsiał nieufność do mój prostéj duszy,
Gdy zbudził w sercu pierwsze trwogi dreszcze,
Tak... wyznam prawdę przed słońca obliczem:
Owa godzina stare węzły kruszy,
Mój dług spłacony, tyś dla mnie dziś niczém!
Precz ztąd! czy słyszysz?

KLEPH (*z głębokim żalem*).

Serca mego dziecię!
Ty, dumy mojéj filarze jedyny,
Do twéj wdzięczności czyż roszczę ja prawo?
Złaman twardemi przygody na świecie,
W długiéj a próżnéj pogoni za sławą,
Bohaterskiemi jam nie błysnął czyny!
Ale w mój piersi drgała struna żywa;
Choć włos nad czołem posypał szron biały,
Pomnę, głos smutny w mój duszy pobrzmiewa,
Cóżeś dokonał? umrzéć ci bez chwały!
Wtedym cię znalazł królewską sierotą,
I wszystkie zasług mych niedoszłe plony,
Wszystkie promienie mych nadziei złote,
Do bohaterskiéj twéj wplotłem korony.
Dziś ta korona świeci na twéj głowie,
I na mnie padły jéj cudne odbłyski;
Mnie, twoja chwała należy w połowie;
Droga przed tobą otwarta, cel bliski,
Mnież spokojnemi poglądać oczyma,
Gdy czarna zdrada wnet skrzydła rozpostrze?
Dzisiaj uściskiem kołysze olbrzyma,
A jutro w piersi utkwi miecza ostrze,
Ciosby odrazu przeciął dni twych wątek;
A ja potrzykroć zamordowan w tobie,
Przeszłość, obecność i chlubny początek,
Twéj przyszłéj chwały zamknąłbym w tym grobie!
Gdybym ja wzrokiem mógł przewiercieć do dna
Jéj skryte serce, jéj umysł niewieści,
I kres położył téj zwątpienia męce;
Gdybym miał dowód, że twych uczuć godna,
Chce dzielić z tobą trudy i boleści,

Upadłby przed nią starzec na kolana,
Z pokorą białe całowałbym ręce,
I ukochałbym ją tym serca żarem
Jakim przez ciebie chyba ukochana!

ALBOIN (*stanowczo*).

Tak, schylisz przed nią siwą głowę starcze,
I przygnębiony wyrzutu ciężarem,
Z pokorą słowa odwołasz potwarcze;
I żebrać będziesz z jéj ust przebaczenia.
Ona tu wróci—pomów z nią przez chwilę,
W głębię jéj duszy wkop się do korzenia.
Ty śmiesz ją równać z Hildegundą krwawą!
Burgundzka wiedźma kochałaż Attylę!
Ona mnie kocha, ja wierzyć mam prawo
W szczerość jej uczuć; tak, klnę się na duszę,
Nigdy kobieta nie kochała lepiéj!
Głowa mi pała... na łowy pójść muszę,
Niech się odemnie to widmo odczepi;
Tyś mi dzień popsuł—zabawiąż mnie łowy?
Nie, ja w pobliżu sam pozostać wolę
A ty ją zbadaj!..

(*Odchodzi*).

SCENA VIII.

KLEPH sam, potém ROZAMUNDA.

KLEPH.

Idźmy wprost do mety!
Starego lisa nie wywiedzie w pole,
Nie na to baczmy co wypowie słowy,
Lecz na rzut oka, na każde ust drgnięcie;
Muszę wskroś przejrzeć serce téj kobiety!

ROZAMUNDA (*wchodzi z lewéj strony i ogląda się wkoło*).

Gdzież on?

KLEPH.

Na łowach.

ROZAMUNDA.

Czyż na to dziś pora?
Kiedyż powróci?

KLEPH (*patrząc na nią podejrzliwie*).

Zapewne z wieczora.
Słuchaj mnie pani, w méj myśli odmęcie
Dziwaczne jakieś wylęgły się mary:
Jam cię obwiniał...

ROZAMUNDA.

Oh! tak...

KLEPH.

Dziś inaczéj
Trzymam o tobie; przebacz mi... jam stary,
A starzec umie uczcić włos gołębi,
Otóż, nie mogłem zrozumiéć co znaczy
Twa obojętność dla ojca ..

ROZAMUNDA (*przerywając z powagą*).

Przez Boga
Milcz! niech umarli spoczywają w grobie;
Tyś w chłodnéj ziemi pogrzebał ich ciała,
Jam pogrzebała ich w piersi méj głębi,
Pokryłam rąbkiem gęstym... oh! nie tobie
Widziéć, jak wielce ich pamięć mi droga,
Nie tobie zdzierać ten całun grobowy!

KLEPH.

Znam ja cię dobrze... wiem... tyś się oddała
W moc Alboina zmuszona?..

ROZAMUNDA.

Tak panie,
Byłam zmuszona!

KLEPH.

Potwierdzasz to słowy.

ROZAMUNDA.

Możnaż wybierać, gdy bohatér stanie
Przeczuty myślą, odgadniony duchem,
Gdy naszą wolę, i rozum i chęci
Jakby zaklętym pociąga łańcuchem?
Silny to przymus!

KLEPH (*zawiedziony, żywo*).

Nie o takim myślę!
Wyznaj mi prawdę, ja czytam w twéj duszy,
Z twojemi ludy połączona ściśle,
Wierna rodzica i brata pamięci,

Tyś się poddała, acz serce twe pęka;
Czekasz rychło-li przyjazna ci ręka
One kajdany ohydne rozkruszy,
A gdy to chybi, twoja ręka dzielna
Pochwyci sztylet!

ROZAMUNDA (*z najwyższém oburzeniem*).

Ha! potwarz piekielna!
Śmiesz te bluźnierstwa rzucać mi przed oczy?
Ty przyjacielem zwiesz się Alboina!
W żonie, małżonka ty pomiatasz sławą!
Mów, gdzie zuchwałych podejrzeń przyczyna?
Do tych domysłów, dałażem ci prawo?

KLEPH (*na stronie*).

Prawdaż co mówi? czy w sídła niewieście
Chce mnie oplątać? Ha! w głowie się mroczy!
Mam jeszcze sposób, użyję go wreszcie:
(*głośno*).
Kto mnie tam woła? czy słyszysz?
(*wybiega żywo przez środek sceny*).

ROZAMUNDA *sama, głęboko zamyślona* (*po chwili*).

Dlaczego
On mi to mówił... ten okrutnik stary?
Jam go odgadła... w mego serca głębię
Krwawo zanurzył swe szpony jastrzębie;
By zbadać myśli!.. wyśledzić zamiary!
Cóż twoje oczy w tém sercu dostrzegą?
Rany i blizny niezgojone jeszcze!
Godziż się tobie rozdzierać te rany?
Z piersi dobywać przypomnienia dreszcze?
Gdybyż to wiedział on... mój ukochany,
Żeś mnie tak dręczył!

KLEPH (*wpadając śpiesznie*).

Nieszczęście! mój Boże!

ROZAMUNDA.

Jakie nieszczęście?.. mów!.. ja się nie trwożę...
Chyba o niego!...

KLEPH.

Przysłano tu gońca:
Otóż się łowy zbliżały do końca,
On konia dopadł... o strzemię wsparł nogę,
Chwycił się grzywy...

ROZAMUNDA (*gwałtownie*).

I cóż!...

KLEPH.

Wtém przyskoczy
Zbrojny Gepida... i przyparł go zbliska.

ROZAMUNDA (*z przerażeniem*).

Niebal...

KLEPH.

I oszczep pod żebra mu wtłoczy:
Padł!.. krew na ziemię strumieniem wytryskła!

ROZAMUNDA (*gwałtownie*).

Ranny?

KLEPH (*grobowym głosem*).

Już skonał!

ROZAMUNDA.

On zamordowany!
Kłamiesz człowieku! Bóg co wziął mi tyle,
Bóg za te wszystkie boleści i rany,
Dał mi w nagrodę jedną szczęścia chwilę;
Miałżeby wszystko odebrać mi razem?
On! ugodzony Gepidy żelazem?
Nie! taki potwór nie żyje na ziemi!

(*Biegnie w głąb—woła głośno*).

Chcę widzieć trupa... trupa, czy słyszycie?
Gdy ujrzę trupa oczyma własnemi,
Wtedy uwierzę!..

KLEPH.

Przyniosą tu zwłoki.

ROZAMUNDA (*wskazując*).

Ja na krużganek ten wstąpię wysoki,
I czekać będę... tam na zamku szczycie;
Jak ujrzę trupa... wnet rzucę się z wieży:
Przy nim niech moje rozprysną się kości!
Ile mi drogi, wtedy świat uwierzy!

(*chce odejść środkiem sceny*).

KLEPH (*zatrzymując ją*).

Zostań .. co czynisz?

SCENA IX.

Ciż sami i ALBOIN, który od chwili stał ukryty poza firanką.

ALBOIN (*przybiegając z radością do Rozamundy*)

Żono! żono droga!

ROZAMUNDA

(*z płaczem i śmiechem rzucając się w objęcia Alboina*).

To ty!... więc żyjesz?.. prawdaż to... na Boga!

(*zatrzymuje się nagle, patrzy bystro na Klepha*).

Więc to żart tylko!.. oh!.. żart bez litości!

KONIEC AKTU III-go.

AKT IV.

Sala jak w poprzedzającym akcie.

SCENA I.

ALBOIN (*sam*).

Noc to okropna!.., skończyła się wreszcie,
Ha! jeszcze widzę ten wzrok osłupiały,
Skurczone bólem te rysy niewieście?
Te lica blade jak marmur!. drżę cały!
I w mojéj piersi noc czarna... jak w grobie,
Robak zgryzoty głęboko ją toczy!
Próżno z miłością zwracam ku niéj oczy!
Próżno chcę pytać: kobiéto! co tobie?
Ledwie obejmę ramiony drżącemi
Wiotką jéj kibić, nim wyczerpnę słowo,
Dwa blade widma wyłażą z pod ziemi,
Całun jéj krwawy rozpostrą nad głową:
To brat i ojciec.... poznaję te trupy!
Wszystkież-li ciała powstaną, co w boju
Zaległy pola zwalone na kupy?
Zmarłym-że w ziemi nie zaznać spokoju?
O! wtedy od nas szczęśliwszy ten człowiek,
Któremu jarzmo zgięty grzbiet przygniata,
Bo sen mu nocą nie zbiega od powiek,
Sen, niedostępny bohatérom świata!

SCENA II.

ALBOIN, ROZAMUNDA wchodzi od lewéj strony.

ALBOIN (*oddychając lżéj*).

O Rozamundo! chodź... rozprósz te chmury,
Powróć mi pokój... złóż na czole mojem
Gorące usta, zażegnaj tortury,
Co pierś mi szarpią.

ROZAMUNDA (*z powagą*).

Obojgu nam raczéj
Na zawsze z błogim rozstać się pokojem.

ALBOIN (*na stronie*).

I ona także!

ROZAMUNDA.

Mężu mój...

ALBOIN,

Co znaczy
Twój wzrok surowy .. mów... jaka przyczyna?...
(*na stronie*).
Tak samo patrzał jej ojciec na syna,
Gdy konający pluskał w krwi potoku.

ROZAMUNDA.

Od ciebie prawdy dowiedzieć się muszę:
Kiedy ten starzec, ten potwór złowrogi
Krogulcze oko zatopił w mém oku,
Żelazną ręką pochwycił mi duszę,
Gdy z piersi mojéj wydobył droszcz trwogi
Wieścią kłamliwą: odtąd mi na oczy
Padł czarny tuman i serce mi tłoczy
Grobowy kamień; zrzucić raz potrzeba
Ten ciężar z piersi... w domysłach się gubię:
Wyznaj otwarcie przed obliczem nieba,
O téj piekielnéj wiedziałeś ty próbie?

ALBOIN.

Wszak to minęło... i czemu drżysz jeszcze?

ROZAMUNDA.

Powiedz!... przez litość!.., wiedziałeś?... mów śmiało!

ALBOIN.

Wszakżem ja żywy, mnie się nic nie stało...
Patrzę w twe oczy i dłoń twoją pieszczę!

ROZAMUNDA.

Tak przy mnie jesteś... oh! można stać zblizka,
Trzymać dłoń w dłoni, patrzéć oko w oko;
Cóż ztąd że ręka silnie rękę ściska,
Skoro się myśli rozbiegły szeroko!
Cóż ztąd że ucho głosu dźwięk pochwyci,
Jeżeli słowo nie wniknie w głąb ducha?
O! nie zrywajmy téj uroczéj nici,
Co wiąże myśli, wszak w tobie jedynie
Moja na ziemi pomoc i otucha!
Wszystko straciłam, tyś mi Alboinie
Ojcem i bratem; ale wyznaj szczerze
Czyś o tém wiedział?.

ALBOIN.

Ciężkiémi on próby
Doświadczon z młodu, więc o mnie się boi;
Wszędzie rozwartą widzi przepaść zguby
Przed stopy mémi; by skrzepić go w wierze,
I o miłości przekonać go twojéj...
By wolę starca nakłonić ku tobie...

ROZAMUNDA.

Co? ty wiedziałeś... ty?...

ALBOIN (*przerywając żywo*).

O żono droga!
Lepiéj niż dotąd dziś czytam w twéj duszy,
Ty, chciałaś zemną spocząć w jednym grobie,
Więc naszych węzłów sama śmierć nie skruszy!

ROZAMUNDA (*gwałtownie*).

Nowych dowodów trzebaż ci na Boga,
By zbudzić w sercu miłość już przytloną?
Nie dość-że sromu? i małoż ofiary?
Zdeptałam wszystko co we czci u świata,
Stargałam wiarę i obyczaj stary;
Po świéżych trupach rodzica i brata
Sama na twoje rzuciłam się łono;
Ciebie wątłémi oplotłam ramiony,
Jak się pnia dębu czepia bluszcz zielony.
Małoż dowodów?... żądasz ich na nowo!
Niechajby z serca wytrysła krew żywa,
Jakbyś mnie ujrzał z roztrzaskaną głową,
Możebyś przyznał że miłość prawdziwa!

ALBOIN (*zbliżając się do niéj*).

Ni słówka więcéj... chodź w moje objęcia!...
Ja cię pieszczotą ukoję za chwilę;
Ty coś już dla mnie przepomniała tyle

I to przepomniszl... chodź... z wiarą dziecięcia,
Twój pocałunek me serce ukoi.

ROZAMUNDA (*cofając się wstecz*).

Mój pocałunek! ha!... lękaj się zdrady!
Może żmijemi zatruty on jady?
Może mój uścisk w głębi duszy twojéj
Ohydny tuman tak zręcznie rozpostrze
Iż ukrytego nie dopatrzysz miecza,
Zaczem śmiertelne dosięgnie cię ostrze!

ALBOIN.

Od tych podejrzeń dziś mnie zabezpiecza
Ufność bez granic!....

ROZAMUNDA (*gwałtownie*).

Ja nie wierzę sobie!
Strach siebie saméj za serce mnie chwyta,
Kto śmiał powiedziać że zmarli śpią w grobie?
Nie, im nie spocząć!... dłoń pomsty nie syta
Rozwali twarde grobowca zawady,
Własną zniewagę w nas skarcić gotowa.

ALBOIN (*głucho na stronie*).

Ona ich pamięć w głębi duszy chowa..,
Biada mi....

ROZAMUNDA (*cofając się*).

Widzę, jakiś tuman blady
Wśród nas obojga wciska się tajemnie
I niewidzialną porywa cię mocą,
I coraz daléj unosi odemnie!
Przed okiem mojém zaledwie migocą
Znane twe rysy... jak słabo mi dzwoni
Głos twój... zaledwie do ucha mi wpada...
Gdzie ty?.., już ciebie nie sięgnąć méj dłoni..-
Jakżeś ty zmalał! .. oh biada nam, biada! (*wychodzi*).

SCENA III.

ALBOIN patrzy za nią, jakby do ziemi przybity, ze środka sceny wychodzi KLEPH.

KLEPH.

Od świtu obaj z Grimoaldem panie
Tropimy ślady onéj świętéj czary;
Wkrótce mym chęciom zadosyć się stanie.

ALBOIN

(zamyślony patrząc we drzwi którémi wyszła Rozamunda).

Masz ją?

KLEPH,

Ze skarbca wziął ją Lupold stary,
Tajemnie w polu zakopał pod miedzą;
Starsi z Gepidów znać o niéj coś wiedzą:
Już się tam ludu gromady zebrały,
Jam je rozpędził i kopię głęboko
I rów na miedzy przekopałem całéj.

ALBOIN.

A więc znalazłeś?

KLECH.

Nigdzie ani oko...
Lecz wierny Grimoald wytropił nareszcie
Téj czary świętéj nieomylne ślady;
Ręce ją z ziemi dobyły niewieście,
Do swego domu pośpieszył na zwiady:
Wnet ją przyniesie!

ALBOIN *(oddychając swobodniéj).*

Ha! prędko mi trzeba
Z bolesnych wrażeń uleczyć myśl chorą,
Biedz w inne ziemie i pod inne nieba;
Tak, jam jéj rękę pozyskał zbyt skoro,
Od progu szczęścia wstecz cofnąć się muszę,
Jakby nie istniał dla mnie dzień godowy,
Na nowych prawach posiędę jéj duszę,
I serca nasze wzmocni węzeł nowy,
I miłość moja na czole jéj smętném
Zmieni zwycięzko te chmury złowieszcze,
I będzie moją każdém piersi tętnem
I urok życia zakwitnie nam jeszcze!

(z żywą radością).

Pójdę!... tam szczęście, tam miłość mnie woła!

(zwraca się do drzwi na lewo).

KLEPH *(zatrzymując go)*

Gdzie idziesz królu? stój!...

SCENA IV.

Ciż sami. ROMILDA blada z roztarganym włosem wybiega żywo z pokoju Rozamundy.

ROMILDA (*rzucając się do nóg Alboina*).

Królu a panie.

ALBOIN.

Romilda!

ROMILDA

Panie! przed tobą się korzę!
Twych longobardzkich praw nie znam ja zgoła,
Czy w nich przemaga miłosierdzie Boże,
Czy głos sumienia przemaga surowy;
Sprawiedliwości nic w poprzecz nie stanie,
Nie zwróci miecza od przestępnéj głowy...
Mnie śmierć!

ALBOIN.

Śmierć! za co?

ROMILDA.

Ząb za ząb dać trzeba!
Jam głowę męża rozbiła toporem:
Grimoald skonał!

ALBOIN (*z przerażeniem*).

Sprawiedliwe nieba!

KLEPH (*przerywając*).

Królu, obiedwie pójdą jednym torem:
Co ta spełniła, wnet tamta dokona!

ALBOIN (*z gwałtownym wybuchem do Romildy*).

Tyś ugodziła morderczém żelazem
W małżonka głowę, kobiéto szalona!
Przysięgłaś życie podzielić z nim razem,
Także to świętéj dochowujesz wiary?
Ha nikczemnico!

ROMILDA (*z postanowieniem*)

Królu! pod miecz kary
Przynoszę głowę.... przestępstwo spełnione!

ALBOIN (*gwałtownie*).

Gadzino z piekła! ty przychodzisz od niéj!
Do przeniewierstwa podżegasz mi żonę,
Młodą jéj rękę zaprawiasz do zbrodni!
Wie-ż ona o tém?

(*Do Klepha*)

Niech przyjdzie królowa,
Sam ją wybadam.

ROMILDA.

Nie powie ci słowa!

ALBOIN.

Wnet zobaczymy. On był Longobardą,
Więc zamordowan... lecz w tobie nie płynie
Krew tych Gepidów, co ciebie z pogardą
Okuli w pęta!

ROMILDA.

W królewskiéj rodzinie
Znalazłam panie opiekę od dziecka,
Sercem zrośnięta z tego domu progiem;
Ja lud Gepidów kocham duszą całą,
Kto ich znieważa—on także mym wrogiem.

ALBOIN.

Więc to przez zemstę twa ręka zbójecka
Chwyciła topór! Nie ujdzie bezkarnie
Twój czyn morderczy... lecz pod mieczem kata
Nie paść twéj głowie... śmierć jeszcze za mało;
Ha... tobie raczéj długie cierpiéć lata,
Konać i skonu przedłużać męczarnie.

SCENA V.

Ciż sami, ROZAMUNDA.

ROZAMUNDA (*z powagą*).

Przychodzę królu...

ALBOIN (*surowo*).

Patrz! ten potwór z piekła,
Owa kobieta... nie... wilczyca wściekła,
Toporem męża porąbała głowę.

ROZAMUNDA.

O nieszczęśliwa!

ALBOIN.

Ja wybadać muszę
Powód téj zbrodni głęboko tajony.

ROMILDA (*błagalnie*).

Nie mów! na ojca zaklinam cię duszę.

ALBOIN (*stanowczo*).

Mów! posłuszeństwo powinnością żony.

ROZAMUNDA (*zimno*).

Jam żoną twoją: nic się nie poważę
Kryć przed twém okiem. Dla mojego ludu
Istnieje świętość...

ALBOIN (*przerywając*)

Wiem o tym puharze,
Co wam się dostał z nieba siłą cudu.
Gdzież on? mów!

ROZAMUNDA.

Lupold ukrył go głęboko,
A gdy poczęły krążyć o nim wieści,
W wierne Romildy powierzył go dłonie;
Tam go dostrzegło Grimoalda oko:
Przyszło do sprzeczki, i w dłoni niewieściéj
Zabłysnął topór.

KLEPII (*radośnie*).

W Gepidów koronie
Czas ci wystąpić i ten puhar święty
Raz ponieść do ust, i w pochód co żywo!
Ku Romie starćj tobie szlak wytknięty!

ROMILDA (*do Rozamundy z naleganiem*)

O nie! ty w cudze nie oddasz go ręce,
Lupold zań głowę swą narażał siwą;
Ja biedna branka... ja życie poświęcę
By go ocalić, a tyżto... boz sromu
Ostatnia płonka królewskiego domu
Byłażbyś zdolną?

ALBOIN (*gwałtownie*).

Czego syczysz gadzie?

(*Do Klepha*)
Nie dość że zionie śmierć z czarnego łona,
Jeszcze i drugich podżega ku zdradzie.
Na śmierć!

ROZAMUNDA (*do Klepha który chce ująć Romildę*).

Nie dotkniesz jéj!
(*Do Alboina*)
Królu mój! ona
Spełniła zbrodnię, ukarz ją; masz prawo:
Chcesz, więziennemi otocz ją ryglami;
Lecz niech miecz pomsty nie ugodzi krwawo
W biedną jéj głowę; pomnij, wszak my sami
Do tych ją związków znaglili namową.
Miłość ją swemi nie urzekła czary,
Pomna Gepidom przysiężonéj wiary,
Chciała im służyć... wzrastałyśmy obie
Razem od dziecka!

ALBOIN (*przerywając gwałtownie*).

Kobieto! nie tobie
Przystało krzywdzić nierozważną mową
Ten święty węzeł, którego moc wzajem
Łączy dwie dusze wiecznemi ogniwy
Powinność żony! Acz to prosty najem,
Z którego woli rozwiązać się dano?
Przysięgę w Imię Boże wykonaną
Zwać-że igraszką? wiatr-że to pierzchliwy?
I ty śmiesz bronić téj nędznéj istoty,
Co z domem twoim złączona od młodu,
Aby ten puhar zabezpieczyć złoty,
Mniemaną świętość Gepidów narodu,
Topór na męża podnosi morderczo!
Ta, co nie widzi ohydy w tym czynie,
Gotowa może ręką przeniewierczą
Sama pochwycić oręż!

ROZAMUNDA (*żywo*).

Alboinie!

ROMILDA.

Dość Rozamundo... oh! ja się nie boję
Umrzeć!...

ROZAMUNDA (*ze łzami do Romildy*).

Złóż głowę na téj piersi bratniéj!
Siostro w niedoli, niechże miłość twoję
Ten pocałunek zapłaci ostatni:
Teraz idź na śmierć... zazdroszczę ci może!...

ROMILDA.

Słusznie zazdrościsz!.. przed wrogiem—świadcz Boże!
Moja się głowa nie ugięła harda,
W krwi nienawistnéj zmyłam piętno sromu,
Zmuszona zostać żoną Longobarda,
Strzegłam świętości królewskiego domu,
Z piersią gotową na pocisk śmiertelny:
Idę więc umrzéć spokojnie i śmiało!

KLEPH (*półgłosem do Alboina*).

Strzeż się!

ALBOIN (*z uniesieniem gniewu do Romildy*).

Precz nędzna!

(*Kleph uprowadza Romildę środkiém sceny*).

ALBOIN (*do Rozamundy*).

Co? tobie przystało
Całować usta téj żmii piekielnéj?
Ściskać tę rękę w krwi świeżéj zbroczoną?
Raz nasz stósunek określić wypada,
W obec tych ludów, masz tylko być żoną
Króla ich władcy; morderstwo i zdrada
Niechże się odtąd twym płaszczem nie słoni:
W twym każdym czynie, w każdém serca drgnieniu
Ja będę czytał jasno, jak na dłoni.
Żadna chęć twoja nie skryje się w cieniu;
Już w tych męczarniach nie wytrwać mi dłużéj:
Zmysły się plączą, ład w myślach się burzy;
Sęp podejrzenia utkwił mi szpon twardy
W pierś, i na kęsy szarpie ją boleśnie;
Wciąż te tortury na jawie i we śnie:
Już tego nadto!..

ROZAMUNDA

Mów!. czego chcesz panie?

ALBOIN.

Gdy przy obrzędzie społem z Longobardy
Przed mém obliczem lud Gepidów stanie,
Podasz mi wtedy, z czcią jaka przystoi
Mnie, w obec ludów tę cudowną czaszę,
Co ją z przed ócz mych usuwasz tajemno;
Ten drogi klejnot, onę świętość waszą
Chcę przy obrzędzie podjąć z ręki twojéj.

ROZAMUNDA (*żywo*).

Panie! jam sługa!.. masz prawo nademną.
Rozkasz!..

ALBOIN (*w najwyższém uniesieniu*).

Twéj wiary dowiedziesz tym czynem.
Straszna się zmora w méj piersi rozsiadła,
Jam już być przestał dawnym Alboinem;
Mózg mi owładły piekielne widziadła,
Z rozwartą paszczą, z ognistą źrenicą,
Jeśli je gwałtem zduszę w piersi chorej,
Wnet po twém czole przemkną błyskawicą;
Z ócz twych piekielne wyłażą potwory,
I w pierś zatrute wciskają mi noże.
O! czyż mi wytrwać w tym śmiertelnym boju.
Zabij mnie lepiéj, pokoju!.. pokoju!..
Chociażby w grobie...
(*wybiega na prawo*).

SCENA VI.

ROZAMUNDA (*sama*).

Co słyszę!.. mój Boże!
Za moją miłość takaż-to zapłata?
Mnież rozkazuje niby brance podłéj?
Mnie upokorzyć chce dziś w obec świata,
W obec mych ludów! Jaż niema i głucha
Zniosę tę hańbę?.. i z piersi wychłodłéj
Nie buchnie płomień?... i kark do łańcucha
Nagnęż bez sromu!... i w niewoli błoto
Zagrzęznę cała!.. Zbudź się w piersi mojéj
Ty stara dumo królewskiego rodu,
Coś mnie zbyt szczodrze karmiła od młodu!..
Byłaś mi grzechem, dziś będziesz mi cnotą,
Bom ja niewierna!... Twa moc mnie uzbroi,
I stanę przed nim z podniesioną głową
Ja, córa królów, wsparta jak na tarczy,
Na czci niewieściéj, na niezłomnéj wierze!

SCENA VII.

ROZAMUNDA, LUPOLD.

LUPOLD.

Jesteś tu pani!

ROZAMUNDA (*nakazująco*).

Czego chcesz?

LUPOLD (*przystępując do niéj żywo*)

Królowo,
Twojemu ojcu jam dochował wiary;
Mnie ostatniego uścisnął król stary:
Jam ich mogiły przybrał w kwiaty świeże.

ROZAMUNDA (*zimno*).

Czemu to mówisz?

LUPOLD.

Póki tchu mi starczy
Pragnę ci służyć!.. Przysiągłem przed Bogiem
Stronić od ciebie, lecz konieczność zmusza,
I znów mnie widzisz za tym świętym progiem,
Z którym się niegdyś zrosła moja dusza;
Twa dawna sługa wtrącona do rzeki,
Zmarła przed chwilą.

ROZAMUNDA (*na stronie*).

Romildo ty biedna!

LUPOLD.

Ten drogi puhar co nas strzegł przez wieki,
Jéj był oddany pod straż... ty dziś jedna
Masz go w swéj mocy...

(*pada na kolana*).

Patrz! ja starzec siwy
Błagam na klęczkach, weź do serca słowo!
On nas jednoczy świętemi ogniwy,
Ze starych ojców przeszłością wiekową;
Nieraz, twardemi kuł wróg ich łańcuchy,
Lecz z bark Gepidów spadały te pęta,
Bo on był przy nich, bo moc jego święta
Wlewała w serca zdrój bożéj otuchy;
Ledwie krwią mężnych pociokła dolina,
Wschodził zielony kłos na ojców grobie:
Ty go nie podasz w ręce Alboina.

ROZAMUNDA.

On mężem moim...

LUPOLD (*powstając*).

Biada nam i tobie!
Wiesz-li jak skonał brat twój ukochany?
O! na myśl samą zbiegają mnie dreszcze;
Legł na murawie, lecz oddychał jeszcze,
Krew z żył gorąca ściekała przez rany,
Szyderczym wzrokiem patrzy nań morderca!
Wtém przypadł ojciec i z krwawéj kałuży

Wywłóczy trupa... spojrzy w zgasłe oko:
Zaryknął płaczem... Oh! był to ryk turzy,
Po krwawém polu rozległ się szeroko.
Leśnym kudłaczom poruszyłby serca
Ten ryk; lecz odpadł jak od skały twardéj
Od piersi tego, co został twym mężem:
Chwyta za oszczep ręka Longobardy
Wali po tarczy, druzgocze zbroicę.
Runął król w serce ugodzon orężem,
Śmiertelna bladość padła mu na lice;
Tarza się we krwi głowa starca siwa,
A tryumfator po zwycięzkim boju,
Pyszny jak żeniec gdy dokona żniwa,
Wzrok od swych ofiar odwrócił w spokoju.

ROZAMUNDA.

Ha! to okropna!...

LUPOLD.

Rzucam się pod nogi
Panu mojemu... on rozwarł ramiona:
„Zanieś—wyrzecze—méj dzieweczce drogiéj,
Błogosławieństwo!“ i śmierci zasłona...
Nagle źrenice królewskie pomroczy.
Bóg cię znać królu powołał ku sobie,
Byś hańby własnéj nie widział na oczy;
Jeszcze nie wzrosła trawa na twym grobie,
A oto córka stumaniona szałem,
W twego mordercy rzuca się objęcia!

ROZAMUNDA (*z boleścią*).

Jakżem ja nędzna! jak upadła nisko!

LUPOLD.

Tak, ciebie nędzną zwie lud w kraju całym,
Znasz-li tę piosnkę, którą nad kołyską
Szepczą dziś matki w ucho niemowlęcia?
„Żebym wiedziała że będziesz jak ona,
Krewbym do kropli stoczyła ci z łona!“
Gdybyś ty śmiała—skoro przy obrzędzie
Czoło królewską ozdobisz koroną,
Podnieść ten puhar, co zawsze i wszędzie
Był nam kotwicą, tarczą i osłoną;
Oh, niechże tylko twa ręka znieważy
Owe świętości nasze tajemnicze;
Drżyj! bo ja Lupold stoję tu na straży,
Ja słowo gromem rzucę ci w oblicze:
Jak znieważyłaś cześć ojca i brata,

Jak lud twój własny zdradziłaś niegodnie,
Ten, dla którego popełniasz tę zbrodnię
Bodajby kiedyś stanął ci za kata!
Bodajby straszne podejrzenia gady
W jego się sercu wciąż lęgły plugawo,
Bodajby ścigan widmem czarnéj zdrady,
Pomiatał srodze twoją czcią i sławą.
Bodaj wam cierpieć i dręczyć się razem,
I wzajem ostrzyć miecz pomsty na siebie,
I pod morderczém krew stoczyć żelazem:
Bóg słyszy klątwę... i spełni sąd w niebie!

(*wychodzi*).

SCENA VIII.

ROZAMUNDA sama, przerażona pochylając głowę.

Gdzie iść?.. co czynić?.. wśród myśli tysiąca
Nędzna, zdeptana, miotam się daremno!
Iść-że do ludu?... mój lud mnie odtrąca!
Iść-że do męża?.. cofa się przedemną!
Do grobu ojca?.. z wnętrza tego grobu
Piorun przekleństwa wali mnie na ziemię:
Czego się chwycić?.. Ha!.. nie ma sposobu!
Porusz nieszczęsna to piekielne brzemię
Co pierś twą tłoczy... niechże spowiedź szczera
Spędzi z twéj duszy mrok nocy ponury.
Cóż cię zgubiło?.. czy ta pieśń zdradziecka,
Przy któréj dźwięku wzrastałaś od dziecka,
Pieśń, co w tryumfie do królewskiéj córy
Promienistego wiodła bohatéra.
Pieśń się spełniła... oh! spełniła wcześnie,
Przyszedł bohatér wyrojony we śnie;
Palących źrenic potrącona czarem,
Skra z piersi twojéj buchnęła pożarem.
Żeś go kochała... dziewicząż to siłą
Zakazać sercu?.. lecz gdy rzucał progi
Tego zamczyska... i pocóż ci było
Wołać go jeszcze? zawracać wstecz z drogi?
Było ci sztylet pochwycić w dłoń hardą,
W twe słabe serce zatopić go raczéj,
Niż odkryć serce to przed Longobardą;
W tém twoja wina, téj Bóg nie przebaczy,
Ztąd piorun klątwy nad grzeszną twą głową;
Za to dziś odwet krwawo się poczyna
Gad się rozpostarł w piersi Alboina:
On nazwie kłamstwem każde z ust twych słowo,
Szalone mary co pierś jego dręczą

Ścisną twe serce palącą obręczą,
Przy jego boku ty uschniesz jak trawa;
Przy tobie zgaśnie jego czar młodzieńczy,
Zmarnieje w pączku bohatéra sława;
Nim pełnym kwiatem skroń męzką uwieńczy,
Duchem-że wieszczym wyrzekł Lupold stary:
Zginiesz przez niego!.. on przez ciebie zginie!

(*chwytając nową myśl*).

On miałby zginąć?.. dość jednéj ofiary!
Mnie śmierć!.. jam winna... ty żyj Alboinie!

KONIEC AKTU IV-GO.

AKT V.

Sala przystrojona uroczyście w makaty, herby, świeczniki etc.; w głębi na podwyższeniu wielki stół; na nim rozstawione bogate naczynia złote i srebrne. Po lewéj ręce okno; w blizkości okna na podwyższeniu tron, przy nim krzesło.

SCENA I.

LUPOLD, GEPIDY przychodzą z prawéj strony.

LUPOLD (*z goryczą*).

Mamy więc króla... obrzęd już spełniony,
Trzeba nam oto zgiąć pokornie czoła,
Powlec się za nim w cudze świata strony,
Gdzie nas do boju cudzy głos powoła.
My zwyciężeni...

GEPIDA.

Ufność w mocy Bożéj!
Nim władnie nami, niech król Longobarda
Do świętéj czary wprzód usta przyłoży.

(*Gepidy z Lupoldem stawają po lewéj stronie sceny*).

SCENA II.

Ciż sami. KLEPH, LONGOBARDY.

KLEPH (*na stronie patrząc na Gepidów*).

Jakże ich postać ponura i harda.

LUPOLD (*wyglądając przez okno*).

Straszno coś huczą te potoku fale,
Grzmią jakby parte potęgą wszechwładną;
Ten dom królewski zbudowan na skale
Miałyżby skruszyć i pociągnąć na dno?

KLEPH (*do Longobardów ukazując Gepidów*).

Strzedz ich się trzeba, miejmy ich na oku,
Jedności brątniéj rychło czas dokona,
Gdy ją uświęcim w jednym krwi potoku.

SCENA III.

Ciż sami. ALBOIN w koronie i płaszczu koronacyjnym.

ALBOIN (*wesoło zdejmując z głowy koronę*).

Już po obrzędzie,... niech spocznie korona.
(*kładzie ją na krześle*).
Żelaznym hełmem przystroić mi głowę;
Precz z moich romion królewska purpuro!
(*rzuca płaszcz na koronę*).
Raczéj zbroicę przywdziać mi stalową.
(*spogląda na Gepidów*))
Czemu ci ludzie patrzą tak ponuro?
(*do Klepha*)
Swoboda zbiegła widzę z twego czoła,
Lica twe czarną powlekły się chmurą.
Jam tak szczęśliwy!.., radbym świat dokoła
Przybrał radości słonecznémi szaty.
(*słychać odgłos trąb*).
Słyszysz te hasła... otóż i królowa
W orszaku niewiast wychodzi z komnaty,
Wiary niezłomnéj dowieść mi gotowa
Dziś w obec ludu!

KLEPH.

Przyjdzież-li z puharem?

ALBOIN.

Co? jeszcze wątpisz? w twojém oku starem
Czytam nieufność.

KLEPH.

Ona nie posłucha
Ciebie mój królu!

ALBOIN.

Szalone domysły!
Na głos miłości onaż będzie głucha?
Nimby te wieczne ogniwa rozprysły,
Które jéj wolę poddały méj woli,
Wprzód moja ręka i noga i oko,
Pójdą gdzie wola iść im nie pozwoli:
Otóż i ona...

SCENA IV.

Ciż sami, ROZAMUNDA ubrana w koronacyjne szaty, otoczona orszakiem niewiast, z których jedna niesie na tacy puhar.

ROZAMUNDA (*spokojnie klękając przed Alboinem*).

Królu mój a panie!
Przed twém obliczem korzę się głęboko,
Starym zwyczajom niech zadość się stanie,
Wraz z ludem moim u stóp twego tronu
Ja posłuszeństwo przysięgam do skonu,
I wieczną miłość, co przez grobu wrota
Pójdzie za kresy ziemskiego żywota.

ALBOIN (*podnosząc ją*).

Królowo moja! ukochana żono!

ROZAMUNDA (*do niewiasty niosącéj puhar*).

Przystąp tu bliżéj...

LUPOLD (*na stronie z rozpaczą*).

Mnież dożyć potrzeba
Takiego sromu!... już z nami skończono.

ROZAMUNDA (*podejmując puhar*).

Biorę cię w rękę nieszczęsny puharze,
Jako ofiarę sądzoną mi z nieba!

LUPOLD (*na stronie*).

Cóż z nim uczyni!

(*chwila głębokiego milczenia*)

ROZAMUNDA (*trzymając puhar w ręku*).

Jak obyczaj każe
Spełnię go do dna: (*na stronie*) on mnie oswobodzi.
(*do Alboina*).
Na cześć go twoją spełniam Alboinie!
Ilebyś kropel naliczył w tym płynie,

Tyle ci życzę lat szczęścia i chwały;
Bodajby nigdy wśród wieków powodzi
Twe bohaterskie czyny nie przebrzmiały!
(*pije i składa puhar na tacy*).

ALBOIN.

O droga moja! winienem ci tyle,
Gdy dusza moja nad miarę szczęśliwa,
Nie budź w niéj pychy!

ROZAMUNDA.

Niezłomne ogniwa
Z mym biédnym ludem sprzęgły cię na wieki,
Gdy go powiedziesz z sobą w świat daleki
Smętne sieroctwa ty osłodź mu chwile!
Lud twój w Gepidach niechże uzna braci,
Nie skąp im serca, poratuj w potrzebie,
Daj im czas tylko przywyknąć do siebie,
Mój lud miłością za miłość zapłaci.

ALBOIN.

Spełnię twą wolę, zaufaj mi droga;
Ostatni nawet biedak z twego ludu
Będzie mi synem, przysięgam na Boga!

ROZAMUNDA (*biorąc znów puhar*).

Święty puharze! coś potęgą cudu
Padł nam puścizną u dziejów kołyski,
Wiarą narodu uświęcon wiekową,
Czas tobie spocząć, bo oto dzień blizki
A lud mój wstąpi w koléj życia nową.
Ostatnia z rodu ja stoję na straży
Przy tobie, ojców ty klejnocie święty,
Ni swój, ni obcy, już się nie poważy
Do ust cię zbliżyć; niechże wód odmęty
Ukryją ciebie przed obliczem słońca,
Na całą przyszłość, na wieki bez końca!
(*rzuca puhar przez okno: ogólne poruszenie*).

GEPIDA.

Stało się... nieba!... schłonęły go fale!

LUPOLD.

On go nie posiadł, nie traćmy nadziei!

ROZAMUNDA.

Jako te prądy huczące po skale
Tajemną siłą w jeden prąd się zlały,
Tak wam, dwa ludy w wiekowéj kolei
Braterska jedność nowy szlak otwiéra;

Niech was prowadzi ramię bohatéra,
Do jednych celów i do jednéj chwały!

ALBOIN (*do Gepidów*).

Wam się nie smucić niewoli ohydą!

(*do Longobardów*)

A wam poskromić radzę umysł hardy:
Odtąd Gepida nie będzie Gepidą,
I czas wnet zatrze imię Longobardy;
Nowa się doba dla was dziś poczyna
Wam być zwycięzkim hufcem Alboina.

(*Longobardy i Gepidy podają sobie ręce i mieszają się razem na drugim planie sceny*).

ALBOIN (*na przodzie sceny w uniesieniu*).

Widzę już siebie na czele téj rzeszy,
Lotny mój biegun goni wichry w pędzie;
Powódź rycerstwa w tropy moje śpieszy,
Fala za falą bije w Alp krawędzie;
Coraz to wyżéj drzemy się do szczytu,
Zdziwione orły zakrakały w górze,
Ścigają wzrokiem ze złomów granitu,
Ślady stóp naszych; po śniegu marmurze,
Suniemy na dół leśnémi gór stoki,
Widzę kobierzec rozesłan szeroki,
Tkany w murawę, ubarwiony w kwiecie,
A daléj... daléj... na tym łąk kobiercu
Gród mi połyska, jedyny gród w świecie!
Tchu brak mi w piersi.., krew kipi mi w sercu;
Po pysznym grodzie zataczam wzrok dumny,
Bramy rozwarte czekają przybysza;
Spieszym do grodu... w grodzie wielka cisza!...
Tylko milczące sterczą tam kolumny,
Drużyna za mną podąża w te tropy,
W oku jéj zapał, na licu wesele,
Złoto potokiem płynie mi pod stopy;
Pełną je garścią między lud mój dzielę,
Koronacyjne oto moje gody!
Na kapitolu, w pałacu Cezara,
Spieszmyż na Zachód przez pola i grody,
W pochód zwycięzki... za mną! za mną wiara!
Chwała zapłaci te trudów ogromy.
Bądźcie gotowi na hasło bojowe!

GEPIDY I LONGOBARDY (*wychodzą wołając razem*)

Niech żyje król nasz! do Romy! do Romy!

ALBOIN (*do odchodzących*).

A ja tymczasem pożegnam królowę.

SCENA V.

ALBOIN, ROZAMUNDA.

ALBOIN (*bierze rękę Rozamundy i prowadzi ją na tron*).

Siądź na tym tronie Rozamundo miła,
Ja u stóp twoich uklęknę szczęśliwy;
Dziś serca nasze nowa uczuć siła,
Sprzęgła na wieki świętémi ogniwy,
Tyś moją znowu, zdobyłem znów ciebie;
Słońce na chwilę przymglone pomrokiem
Jasno zabłysło na dni naszych niebie.

ROZAMUNDA (*na stronie*).

Zbliżasz się wolnym lecz niechybnym krokiem,
Zaczém w śmiertelne pochwycisz mnie kleszcze
Zaczekaj chwilę... powstrzymaj twe prawo...
(*do Alboina*)
Podaj mi rękę... Oh! pozwól mi jeszcze
Spojrzéć w twe oczy gorąco i łzawo.
Mogliśmy doli zakosztować błogiéj,
W miłości przeżyć długie dni i lata,
Gdyby nam dano daleko od świata
Nie wytknąć głowy z pod strzechy ubogiéj.
Lecz odkąd czarne przyszłości widziadło
Myśl twą nieufną odemnie odtrąca,
Odkąd me słowo jak lawa paląca
Na podejrzliwe twoje serce padło:
Runął gmach szczęścia, rozpadły się belki,
Żadna ich siła już spoić nie może!

ALBOIN.

Z gruzów on powstał bezpieczny i wielki,
I przetrwa gromy i wichry przemoże.
Powiodłaś lud twój do szczęścia i chwały,
I wiecznym blaskiem twe imię zasłynie,
A ja małżonek, przez żywot mój cały
Będę cię wielbił!

ROZAMUNDA.

O mój Alboinie!
Dla nas obojga przebrzmiały te czary,
Serca małżonków cóż łączy tak żywo?
Oboje łączy niezłomna moc wiary,
I drogocenne ufności ogniwo;
Z czystego włókna utkana ta wstęga,

Co w jeden węzeł jednoczy dwie myśli,
Wspólna je boleść zaciska tem ściśléj;
Lecz obluzgany podejrzenia jadem
Słabnie ten węzeł i sam się rozprzęga
I moc go żadna nie zwiąże na nowo.
Ty mu nie ufasz: na mém czole bladém,
Ty czytasz zdradę; mój uśmiech, me słowo,
Kłamstwem!!... Oh! słuszna ta niewiara w tobie,
Bom ja umarłych znieważyła w grobie,
A czyje serce raz pokala zdrada,
Nie zdradzi-ż znowu? kto ręczy... kto zgadnie?
Twoim umysłem znów trwoga zawłada,
W sercu nieufność zalęże się na dnie,
I liść wawrzynu zwiędnie ci u czoła,
I krzepkie barki omdleją ci w trwodze.
Mnież być opoką na olbrzyma drodze?
Mnież być łańcuchem co mego sokoła
Skrępuje loty? O nie! kto na ziemi
Spełnia cel wielki wytknion wolą nieba,
Niechże doń siły podąża wszystkiémi,
Jemu być całym i wolnym być trzeba!

ALBOIN.

Czemu tą mową dręczysz mnie daremno?

ROZAMUNDA *(na stronie)*.

Dreszcz zbiegł mi żyły, już widmo złowieszcze
Zimnym całunem powiało nademną!

(do Alboina z najwyższą miłością)

Na twoich ustach niech usta położę,
Niech pocałunkiem to czoło popieszczę;
To czoło, w chwały uwieńczone zorzę,
Co kiedyś słońcem rozpłonie dla świata!
Ileż ty szczęścia i rozkoszy ile
Dałeś mi poznać! O! za długie lata
One urocze wystarczą mi chwile.
Dusza nie zdolną trwać w takim zachwycie,
Dopóki zmysły ku ziemi ją cisną,
Niech śmierć potężnych jéj skrzydeł użyczy,
A skoro ziemskie okowy rozprysną,
Wolna, niech snuje wątek tajemniczy,
Którego dosnuć nie dało jéj życie.

ALBOIN *(przerażony)*.

Jakżeś ty blada!... o nieba!... co tobie?

ROZAMUNDA *(z ostatniém wysileniem)*.

Jam przebłagała mój lud znieważony,
I przebłagałam mych umarłych w grobie;

Uczciłeś we mnie posłuszeństwo żony,
I tyś mnie za to ukochał goręcéj!
A cóżby życie dać mogło mi więcéj?
Czas z niém zakończyć, tak powinność każe;
Uzbrój się mocą jak mężnym przystoi,
Wyznam ci prawdę... w tym świętym puharze
Który spełniłam do dna ku czci twojéj,
Była trucizna... śmierć chyżo przybywa:
Już tu!...

(*chwyta się za piersi*).

ALBOIN (*z gwałtowną boleścią*)

Drży cała... pot śmiertelny płynie
Po bladém licu!

ROZAMUNDA (*słabym głosem*).

Umiéram szczęśliwa!
Ty mnie uściśnij... o mój Alboinie,
Przed tobą przyszłość, zwycięztwo i chwała,
Dla mnie grób cichy i wspomnienie twoje! (*umiéra*).

ALBOIN.

Ona umarła!... nie!... ona śpi tylko!

(*śmieje się w obłąkaniu*).

Zaczém przyniosą jadła i napoje
Niech się do uczty pokrzepi snu chwilką!

(*dotyka ręki Rozamundy*).

Jak marmur zimna i jak marmur biała,
Ja cię okryję królewskim szkarłatem:
Wnet blaskiem zorzy lica twe zaświécą!

(*Otula ją starannie płaszczem koronacyjnym, zdaleka tymczasem słychać trąby*).

Milczéć zuchwali! biada kto się waży
Zbudzić królowę!

(*dobywa szabli z pochwy*).

Wyjdź z pochwy szablico!
Jam ciebie zdobył w zapasach z jéj bratem.
U stopni tronu stanę sam na straży;
Śpij-że mi droga, śpij słodko i długo:
Wierny małżonek czuwa tu przy tobie!

SCENA VII.

ALBOIN, KLEPH, LUPOLD, LONGOBARDY, GEPIDY.

KLEPH (*żywo*).

Królu a panie!

ALBOIN

(*odrzuca na bok szablę, bieży do Klephą i chwyta go za piersi*).

Ha, niegodny sługo!
Przed mém obliczem śmiesz stawać w téj dobie,
Sprawco méj nędzy, ty potworze z piekła!

KLEPH.

Cóż tobie królu?

ALBOIN (*puszczając go.*)

Tyś nie winien stary,
Alboż ci kiedy swą miłość przyrzekła?
I tyś jéj nigdy nie przysięgał wiary!
Czyż ty zbadałeś w tajnikach jéj serca
Jakich poświęceń bohaterskich zdolną!
Niechajby bluzgał potwarze oszczerca,
Tyś mógł nie ufać!... ale mnie czyż wolno?

KLEPH.

Czas do pochodu... brzmią rycerskie hasła.

ALBOIN

(*przystępuje żywo do stóp tronu i zdziera płaszcz z trupa*).

Patrz, oto Roma, jéj skarby, jéj złoto!
To moja zdobycz... to gwiazda co zgasła
Na mojém niebie!

LUPOLD (*przerażony przystępując*).

Biédna ty królewno!

ALBOIN (*z szałem*).

Precz ztąd! niczyje nie dotkną jéj dłonie!

KLEPH.

Czyjaż to sprawa!

ALBOIN.

Ity pytasz o to?
Tyś mi był mistrzem... ty masz rękę pewną!
Miecz twój nie chybi!... tyś mordów świadomy,
Jam twoim uczniem... my oba w jéj łonie
Utkwili oręż!...

KLEPH.

Tyś wolny! świat woła!
Czas nim zawładnąć, do Romy! do Romy!

ALBOIN (*z pogardą*).

Zawładnąć światem! mnież pociągnąć zdoła
Ta ciężka bryła gdzie w łzach i rozpaczy
Grzęzną nikczemne ludów rojowiska!
Co mi ta ziemia, co urok jéj znaczy?
Jutrzenka szczęścia już mi nie połyska,
Kwiat mego życia przepadł już na wieki,
Przeklęta ziemio! przepadnij z nim razem!

(*w najwyższéj rozpaczy*).

Ja cię rozorzę końskiémi kopyty,
Pijany mordem przez Alpów granity
Przemknę jak burza z ogniem i żelazem.
Za stóp mych śladem wytrysną krwi rzeki,
Zdobycze wieków zmiecie powódź krwawa;
Drżyj! oto wschodzi jutrzenka méj chwały!
Nowy Attyla zszarpię świat w kawały,
Gdzie koń mój stąpi nię porośnie trawa!
Duch Rozamundy pochodnią grobową
Do bram twych Romo drogę mi ukaże
I tam w twych świątyń olbrzymim pożarze,
Wyprawię dla niéj stypę pogrzebową!

KLEPH.

Daléj do Romy!

ALBOIN (*do drużyn*).

Do Romy! hej wiara!
Za mną!

RYCERSTWO (*otaczając Alboina*).

Cześć tobie wielki Alboinie!

LUPOLD (*zbliża się do trupa i podnosi miecz w górę*).

Ona umarła!... to za nas ofiara:
Z téj ręki staréj śmierć go nie ominie!

KONIEC.

FRYDERYK HRABIA SKARBEK.

(Dokończenie).

VII.

Na poważne pole historyka, wszedł Fr. Skarbek już w sędziwym wieku. Wziął za przedmiot badań swoich, początek naszego stulecia, a głównie okres od roku 1806 do 1814.

W utworach też literackich, z którémi najprzód wystąpił, okres ten głównie przeważa; na jego tle kréśli swojéj wyobraźni obrazy, i z tych czasów wywołuje do życia zagasłe postaci (1).

Nie łatwy przedmiot wziął do opracowania; dzieje to bowiem jakkolwiek krótkie, bo tylko ośm lat i to nie całych obejmujące, tak są bogate treścią, takie szranki obszerne roztwarło działalności mnóstwa jednostek, z których nie mało wyrosło w wydatne postacie historyczne, takie zmiany wprowadziło w życie społeczne, w obyczaje, prawodawstwo, słowem, w cały ustrój narodowy, że zadanie oddania w malowidle wiernem tak znakomitego obrazu, potrzebuje obszernych i głębokich studyów, témbardziéj, gdy na podstawach położonych w tych czasach, społeczność nasza głównie rozwijać się musiała.

(1) W téjto jeszcze epoce, bo w roku 1813 napisał Fr. Skarbek pierwszą swoją komedyą. Posłuchajmy, co mówi o tym utworze z całą szczerotą w swoich pamiętnikach.

„W ostatnich czasach pobytu mego w Warszawie, zajmowałem się wiele teatrem i pisałem w *Gazecie Korrespondenta Warszawskiego* recenzye sztuk wystawianych i krytyki gry aktorów. Prócz tego napisałem pierwszą komedyę w trzech aktach p. t. *Panna modna*. Nędzna ta sztuka znamionowana niedoświadczeniem młodego autora, przedstawiona raz jeden na teatrze i źle przyjęta, na zawsze pochowaną została. Byłem już na wsi wówczas i umyślnie zjechałem, aby być świadkiem upadku tego pierwszego scenicznego dzieła mego, którego wystawa przypadła w epokę zajęcia Warszawy przez wojska austryackie".

Dużo prac do działu historycznego należących, pozostawił w rękopiśmie; na czele wszystkich stawiamy: *Pamiętniki*, w których objął wspomnienia tak własne jak i swojéj rodziny. Stanowią one ciąg zajmujących obrazów, jak i wizerunki rozmaitych osób, które albo całkowicie należały do XVIII wieku, lub stanowiły ogniwa łączące go z następnym, albo téż już są naszego wyłącznie stulecia.

Kiedy je ukończył, zabrał się ze zwykłym sobie zapałem, do skreślenia *dziejów*, jak mówiliśmy od roku 1806 do 1814.

Przedmiot to zaprawdę pociągający dla każdego myślącego badacza, a nadzwyczaj bogatéj treści.

Jeżeli Skarbek stara się dać żywszy zarys téj epoki, jeżeli lekko maluje ujemne strony owéj społeczności, opuścił wielce ważny a dla nas zajmujący obraz, jakie zajmowało stanowisko dogorywające pokolenie starszyzny, co już z osiwiałym włosem, złamane trudami życia, znalazło się wśród tego przewrotu. Zastęp ten był jeszcze silny liczbą, kiedy zapamiętamy sami, nie małe ich grono.

Starszyzna ta, postawą, ubiorem, mową i obliczem, stała w przeciwieństwie zupełném z młodém plemieniem ,które na sposób francuzki wychowane za Stanisława Augusta, zaczęło zajmować miejsca po swoich ojcach.

Bez gruntownéj nauki, przyjąwszy tylko ogładę zewnętrzną i to cudzoziemską, odznaczało się zupełną *niewiarą* i pogardą dla cnót domowych, stawiając na pośmiech przodków wiarę, pobożność, zwyczaj i obyczaj. Lekkomyślność w młodzieży była ogólną, a z nią najszkodliwsza łączyła się wada marnotrawstwa, która w krótkiéj lat dobie setki najzamożniejszych rodzin zubożyła lub do ostatniéj nędzy przywiodła.

Skarbek jako naoczny świadek tych czasów pisze:

„Francuzki język i literatura stały się główną i niemal jedyną zasadą edukacyi. Emigranci francuzcy panowali we wszystkich znakomitych domach polskich, i uczyli młodzież zapominać macierzystego języka i kaleczyć go makaronizmami. Udzielali jéj nieco powierzchownych wiadomości o historyi, mitologii i jeografii, a zaniedbując zupełnie języki i literaturę starożytną, nauki przyrodzone i matematyczne, dlatego, że sami zwykle żadnego o nich nie mieli wyobrażenia, kształcili tę młodzież, na owych gładkich trefnisiów, co po francuzku niewiastom słodkie słówka prawić, lub z niemi na wzór starożytnéj galanteryi francuzkiéj rozprawiać i pieszczone ich klassyków wiersze cytować umieli.“

W tém malowidle ówczesnéj społeczności, w któréj sam żył i patrzał na nią młodemi oczyma, jest nadzwyczaj oszczędny, rzec można aż do skąpstwa, jakby się lękał przypomnieć owe artystyczne obrazki, wiernie z niéj fotografowane, które rozrzucił po swoich powieściach obyczajowych z tegoż okresu.

Czytelnik chciawszy mieć jasne i pełne wyobrażenie z owéj epoki naszego świata, musi dopełniać sobie to z *Pana Starosty*, to

z *Pamiętników Seglasa*, a głównie też z powieści ostatniéj Skarbka: *Olim*. W niéj pierwszy rozdział, śmiało mógł być pomieszczonym w księdze wstępnéj *dziejów*, albowiem autor dokładniéj w nim odzwierciedla całą społeczność, w któréj stare z młodym pokoleniem występuje równocześnie na scenę.

Przypomnijmy ten obraz z czasów tak *zwanych pruskich*.

„Zamożniejsi obywatele, pozbawieni wszelkiego zajęcia w życiu publicznem, nie znając jeszcze zajęcia się dążnością przemysłową, bez pobudek do pracy i czynnego życia, żyli z sąsiadami i myśleli tylko o tém, jakby w towarzyskiém pożyciu zapomnieć o sprawach pospolitych. Zdawało się, że wówczas jedyném zadaniem każdego niepotrzebującego pracować na utrzymanie swego życia, było obmyślać sposób najlepszego zmarnotrawienia czasu i dostatków, tak dalece, że zabawy i rozrywki były celem głównym, a nieuprzyjemnieniem życia. Jeżeli się kto czém użyteczném zajmował, to było rzadkim wyjątkiem od powszechnego sposobu życia.

„Obok obywateli, mających z czego żyć swobodnie, powstała oddzielna klassa mieszkańców kraju, żadnego sposobu utrzymania nie mająca, która się tylko z łaski bogatszych braci utrzymywała. W pierwszych chwilach zajęcia kraju przez Prusaków, została bez chleba i przytułku znaczna ilość szlachty drobnéj, poprzednio wojskowo służącéj, która nie kwapiła się o wyszukanie sposobu utrzymania dla siebie, za pomocą pracy lub służby, bo wiedziała, że zamożni panowie poczytają sobie za obowiązek otworzyć jéj drzwi gościnne dworów swoich, bądź to przez uczucie ludzkości, bądź też dlatego, że to dogadzało modzie i prożności, ażeby się otaczać rezydentami i licznym dworem innych przesadzać (1).

„Tacy rezydenci w domach pańskich niemieli zgoła żadnych obowiązków, ale towarzyszyli panu na polowaniach, stawali do kufla, kiedy wśród *gali* trzeba było pokonać słynnych w téj walce szermierzy, wypełniali mniéj więcéj tajemne zlecenia, gdy szło o doręczenie listu, lub o wytropienie śladu jakiéj piękności, albo sprawienie się w jakim interesie pana. Mieszkali oni zwykle razem poza dworem w oficynie dla nich przeznaczonéj, sypiali pokotem, grali w karty, lub z fuzyjką po polach chodzili do godziny obiadowéj, w któréj wszyscy się stawiali, zasiadali na szarym końcu u stołu, posilali się pańskiemi potrawami, o ile na półmiskach starczyło, dopełniając niedostatku na folwarku, lub u szafarki.

„Po obiedzie bawili pana i gości, to gonitwami konnymi, to strzelaniem do celu i ptaków w lot, albo rozpierzchali się po polach i lasach, kiedy nie było kogo bawić, ani rozkazów pana do wypełnienia. Wieczory ich były zwykle zajęte zalotami w garderobie i na folwarku, i nieraz dochodziły ztamtąd do dworu tony angielskiéj gitary, i śpiewy przy zalotach wykonywane.

(1) Wyborną postać takiego pasożyta *rezydenta*, dał nam Fr. Skarbek w osobie *Pana porucznika*, w jednéj z najpiękniejszych swych powieści „Pan Starosta.“

„Ci rezydenci którzy w lat kilka po większéj części znikli, znalazłszy pewniejszy sposób do życia, nie wiele kosztowali panów; raz dlatego, że z biédy nie byli wymagającymi, i że dla próżniactwa nie mogli się niczego dopominać, a drugi raz dla tego, że w owym czasie, zbytki stołu były nieznane, a obiady dworskie były złożone z bardzo prostych i nielicznych potraw, które przy wielkich zapasach domowych i taniości wszystkich artykułów żywności, do wielkich wydatków pieniężnych powodu nie dawały, a to co dobra same dostarczały, nie wchodziło zwykle w rachunek przychodu i rozchodu.

„Zbytki ówczesne objawiały się głównie w utrzymywaniu licznego dworu i zgrai próżniaków, którzy jakkolwiek mało płatni, przykładali się do marnotrawstwa pańskiego przez to co zjadali, i co przez nieład i niedbalstwo marnowali. Prócz lokai i strzelców do liberyi, trzymano w wielu dworach dwóch kamerdynerów, jednego dla *pana*, drugiego dla *pani*. Było jeszcze modą wówczas mieć huzara w węgierskim stroju, który jeździł konno przy karecie, i stawał za stołkiem pana u stołu. Prócz stangretów, forysiów i masztalerzy, trzymano w niektórych domach laufra, który wrazie paradnego wystąpienia, biegał nawet mil parę przed poszóstną karetą, w wygalowanéj liberyi, w kołpaku ze strusiemi piórami na głowie.

„Każdy pan, zwłaszcza wielkie knieje posiadający, miał mniéj więcéj liczną służbę myśliwką: borowych osiadłych w lasach, strzelców dworskich, doganiaczy i psiarków, którzy prócz wyprowadzania i karmienia psów nic nie robili, a wycie tychże w psiarniach dowodziło nieraz, że się i z tego obowiązku niewywiązywali.

„W wielu domach była jeszcze prócz tego wszystkiego nadworna kapela, z kilku muzykantów, głównie na dętych instrumentach grających złożona, która w dni świąteczne w kościołach dla chwały Bożéj, a wrazie gali na dworze do tańca, i do wnoszonych wiwatów przygrywała, i zresztą na każdy rozkaz pana, zwłaszcza w letnie wieczory, nieharmonijną muzyką zebranych gości ogłuszała.

„Tak jak w różnych zawodach jest współzawodnictwo i usiłowanie odznaczania się i przodkowania innym, tak było wówczas współubieganie się o pierwszeństwo i nawet o pewne bohaterstwo w próżniackiém i rozpustném życiu.

„Byli bohatérowie miłości, słynący z wziętości i szczęścia u dam do wyższego towarzystwa należących, których jedne drugim odmawiały, którym mniéj szczęśliwi mężczyzni zazdrościli, i którzy z właściwą sobie zarozumiałością przybierali pewną przewagę w towarzystwach, z których zalotność nie była wykluczoną.

„Byli bohaterowie pijacy, którzy słynęli w okolicy, a czasem nawet w całym kraju z nadzwyczajnéj możności wypicia duszkiem wielkiéj miary wina, lub przetrzymywania w piciu kilku pijaków.

„Byli szulery z professyi, a obok nich ludzie z innych względów poważni, którzy dnie i noce na grze w karty przepędzali, o ni-

czém więcéj nie myśleli, i nie upatrywali w tém nic złego, aby nieoszukując ograć niedoświadczonego gracza.

„Byli szermierze i junacy, jedni gotowi do burd i awantur, prawie karczemnych, drudzy szukający zaczepki i pojedynków, i dobijający się reputacyi ludzi: śmiałych i groźnych.

„Byli namiętni i zapamiętali myśliwi, dla których knieje, pola i błota, tudzież polowanie z ogarami i psami legawemi, i szczucie chartami były całym światem, i którzy nic nie znali, niczém się nie zajmowali, prócz właściwém sobie myśliwstwem.

„Byli koniarze, większą część życia w stajni przepędzający, którzy wychowywali, ujeżdżali i przedawali konie, zakładając sztukę na tém, aby zawsze własne konie za celniejsze od obcych przedstawić; aby dobrze jeździć na koniu, śmiało skakać i zręcznie powozić, a przytem, nie upatrując w tém nic złego, przy sprzedaży, błędy koni przed kupującym ukryć.

„Te wszystkie bohaterstwa, jakkolwiek mniéj więcéj istniejące, stanowiły wówczas osobne powołanie u wielu takich, co się czém inném zajmować nie mogli.

„Prusacy nie wywierali żadnego wpływu na obyczaje, ani na społeczne pożycie nasze. Pod ich panowaniem, zachowały wszystkie towarzystwa, tak w stolicy jako i w wiejskiém pożyciu, główne znamiona ducha i charakteru narodowego. Wszędzie panowała grzeczność i poważanie, czasem nawet aż do drobiazgowych formuł etykiety doprowadzone, a zwłaszcza pod względem dam, którym nietylko nikt nieśmiał ubliżyć, lecz z któremi nie pozwalano sobie tego poufałego obejścia, które tak łatwo do braku poszanowania doprowadza.

„Gościnność i uprzejmość w przyjęciu były poniekąd świętym obowiązkiem każdego, kto dom swój dla przyjaciół i znajomych otwierał, a z drugiéj strony poważanie tych, u których się było w gościnie, poczytywano za święty obowiązek goszczących. Obok otwartéj wesołości, panowała zawsze pewna surowość obyczajów w towarzystwach, która nikomu granic przystojności przestępować nie dozwalała, nawet kiedy gęsto krążące kielichy, głowy zawracały, a przynajmniéj póty, póki się damy w towarzystwie znajdowały.

„Młodzi eleganci małpowali czas niejaki tak zwanych *incroyables* paryzkich: nosili fraki, krótkie spodnie, buty ze sztylpami, chustki grubo zawiązane na szyi, włosy pudrowane pokryte ogromnym *klakiem*, czyli kapeluszem stosowanym składanym. Późniéj występowali wystrzyżeni *à la Caracalla*, w surdutach długich ze stojącym kołnierzem lub z peleryną na codzienne ubranie, a we frakach dłuższych, krótkich spodniach i trzewikach na każdém zebraniu, na którém się damy znajdowały.

„Kobiety nosiły opięte suknie, wygorsowane, wysokie fryzury z własnych włosów, tapirowane, późniéj suknie kroju greckiego i rzymskiego ze starożytnych posągów wzięte i włosy krótko z tyłu obcięte *à la Titus*. Mała tylko liczba poważnych matron, i mniéj

zamożne szlachcianki, zachowały ostatnie ślady ubiorów matek i babek swoich, *lewitki*, suknie długie fałdziste, i pudrowane włosy.

„Bogatsi panowie dawnéj daty przesadzali się jeszcze wówczas w ubiorach polskich, a mianowicie: w pasach, karabelach i spinkach z drogich kamieni, któremi się żupany pod szyją zapinały. Na dowód tego można przytoczyć, że na *Krakowskiem Przedmieściu* w Warszawie był sklep, w którym Ormianin same pasy tureckiéj tkaniny i kolorowe buty sprzedawał, i na tym handlu takie osiągnął korzyści, że znaczne dobra potomkom swoim zostawił. Na *Sto-Jańskiéj* ulicy długo istniał handel, w którym widziano okrągłego i rumianego polaczka, który same polskie czapki robił i sprzedawał.

„Panowie, którzy używali stroju francuzkiego, nosili przy pudrowanych włosach, tak zwane *harcapy*, to jest mniej więcéj długie włosy na tyle głowy splecione i czarną wstążką okręcone. Było to jedyne zbliżenie się do zwyczajów pruskich, bo wszyscy oficerowie pruscy ówczesnéj armii pruskiéj, zwłaszcza w piechocie, nosili *harcapy* tém znakomitsze, im były dłuższe, co je odróżniało od podobnych harcapów polskich, zwykle krótkich. Było co widzieć, kiedy na balikach niemieckich, wystąpiło kilkunastu leitnantów, kapitanów i oberstów pruskich w wieku, w którym dziś nigdzie już poruczników i kapitanów nie napotka, i puszczało się poważnie ulubionego *Szleifera*, przy czém zwykle lewą ręką z pewną gracyą, za koniec długiego harcapu trzymali.

„Ta rozmaitość stroju i powierzchowności, nie wpływała wszakże na zmianę naszych obyczajów, i w każdém obywatelskiém zebraniu, można było natrafić na też same znamiona rodzinnego pochodzenia (1). Etykietalna grzeczność, czasem do przesady posunięta, poważanie wiekowi i dawnemu znaczeniu lub dostojeństwu przyznawane, powaga między starszemi, a skromność między młodszemi kobietami; to były zasady obejścia się towarzyskiego, powszechnie przyjęte.

„Za pruskich czasów, każdy szlachcic miał jeszcze tytuł pochodzący z urzędu niegdy przez niego samego lub przez ojca jego piastowanego. Byli dygnitarze i urzędnicy, lubo dygnitarstw i urzędów już nie było; tytuły te nieodpowiadały żadnym rzeczywistym urzędom, i były poprostu zmyśleniem, przez zwyczaj za jakąś rzeczywistość poczytaném.

(1) Znakomity rysownik *Orłowski*, właśnie z tego okresu o którym pisze Skarbek, tę rozmaitość stroju doskonale uwydatnił w dużéj arkuszowéj akwarelli, przedstawiając odpust w kościołku *Ujazdowskim*, gdzie dziś na jego miejscu wznosi się pałac Belwederski. Oryginał zakupił książe Talleyrand słynny z czasów Napoleona I. Widzieliśmy wierną kopję, w tychże samych rozmiarach, artystycznie wykonaną przez ś. p. Korwina. Stroje francuzkie i niemieckie, zarówno jak polskie w rozmaitym kształcie widzimy na przedstawionych grupach płci obojéj, w śród których odbijają i kostiumy ludu z okolic Warszawy.

„Kto kiedyś był wojewodą, kasztelanem, podkomorzym i t. p., ten do śmierci nim pozostał, i nawet przez rząd pruski za takiego był uznany. Synowie takich dygnitarzy byli: wojewodzicami, kasztelanicami, podkomorzycami, i używali tychże tytułów jawnie i urzędownie, lubo te urzędy w dawnéj Polsce dziedzicznemi nie były. Trzeba było znać dokładnie stopniowanie téj hierarchii dawnych urzędów koronnych i ziemskich, aby wiedzieć przed kim komu dać pierwszeństwo, kogo na pierwszém miejscu, lub w jakiéj kolei przy stole posadzić, komu się należy iść przodkiem przy przestąpieniu progów domu i pokoi. Żony i córki byłych dygnitarzy i urzędników koronnych i ziemskich, używały tych samych prerogatyw co ich ojcowie i mężowie. Wojewodzine, wojewodzianki, kasztelanowe i kasztelanki, podkomorzyce i podkomorzanki i t. p. wszystkie miały stale oznaczoną koléj starszeństwa. Ta fikcya urzędów i czczych tytułów kończyła się wszakże w drugiém pokoleniu, i dzieci wszystkich dygnitarzy noszących tytuł na *nic* zakończone, żadnych już tytułów po nich nie dziedziczyły, lubo mówiąc o nich, powoływano się zwykle na znaczenie ich dziadów.

„Z czasów Stanisława Augusta pozostała znaczna liczba szambelanów, nie takich którzy rzeczywiście tę godność piastowali, ale takich, których dlatego tytułowano szambelanami, że żadnego innego urzędu nie piastowali. Zdarzało się także, że samowolnie przybierano tytuł szambelana, bo wiedziano, że nikt nie będzie sprawdzał, czy kto miał prawo do niego, i że zwykle pobłażano tym, którzy go nie mieli. Byłto osobliwszy pozór łudzenia się pozorami znaczenia urzędowego i politycznego przez poszanowanie dawnych tytułów i dostojeństw, których już nie było. Próżność ta przeżyła długo rzeczywiste życie obywatelskie: pielęgnowano i zachowywano dawne tytuły jako drogą pamiątkę przeszłości, jakby się obawiano, aby narodowość nie zginęła, gdy ostatni jéj reprezentanci w zapomnienie pójdą.

„Dziś, może się to poważanie do tytułów przywiązywane wydawać śmiesznością, ale wówczas, nietylko nikt nie urągał się z ludzi którzy się pocieszali tym samym odblaskiem dawnéj świetności, lecz każdy kładł to poważanie na równi z pobożném wspomnieniem o zmarłych, za których się modlimy i poczytywał je za ścisłe wykonanie tego prawidła: „*de mortuis non nisi bene.*"

To karty wstępne do powieści *Olim*, któreśmy powtórzyli a mogły lepiej zastąpić ten początek *dziejów*, co do społeczności ówczesnéj, niż ten jaki nam określił w swéj historycznej pracy.

Okres ten pierwszych lat naszego stulecia, miał szczególny dla Fr. Skarbka pociąg i powab. Nie dziwota: w 1806 roku liczył już rok piętnasty życia, a gdy się zamykał ten okres dziejowy, na który zblizka patrzał i brał w nim chociaż skromny udział, już doszedł pełnoletności.

W utworach powieściowych żywo go odmalowawszy i wyprowadziwszy mnóstwo postaci różnych stanów na scenę, uważał jak-

by za ujmę rozwijanie większe szczegółów życia domowego, obyczaju i zwyczaju rodzinnego na poważnych kartach historyi. Niekiedy wszakże, pokazawszy już w nich ujemne strony w pełnym życia dramacie i tu chłodniéj je przypomina i rozbiéra.

„Oddawna—słowa Fr. Skarbka—uchodziła hojność i gorliwość panów, za najpierwszą cnotę szlachecką, bo była rzeczywiście zasadą ich znaczenia i potęgi. Ztąd także upodobanie rozrzutności i wystawności między wielkimi panami i usiłowanie ich naśladowania między małymi. Dlatego, rzadką była po domach rządna oszczędność; za skąpca uchodził ten, kto się oglądał na przyszłość, wydatki codzienne do zwykłych dochodów stosował i nie szedł za pospolitym pędem, w którym gościnna marnotrawność, dziedzictwa pokoleń coraz bardziéj uszczuplała i do zagłady doprowadzić groziła. Do tego dodać jeszcze należy nieuleczoną słabość naszą naśladowania wyższych i zbliżania się do nich sposobem życia i przywarami, a wtedy miéć będziemy smutny obraz narodu rzeczywiście ubogiego, który nie już dochody, lecz majątki trwonił, nie przewidując tego, iż przez to zmusi kiedyś, odartych przez siebie potomków, do ustąpienia z rodzinnych dziedzin swoich."

Skarbek kreśląc ten ustęp, patrzał na upadek wielkich rodzin, miał wzór marnotrawcy w ojcu swoim, który straciwszy ogromną fortunę, ratował się w końcu ucieczką za granicę. Żaden z panów lub zamożnéj szlachty po stracie majątku, nie pomyślał o podźwignieniu się pracą. Przywykli do swobodnego życia, usiłowali zachować znamiona dawnego znaczenia i wyższości przez wystawność i rozrzutność; tém zagłuszali w sobie wyrzuty sumienia, że do pomyślności kraju ręki przyłożyć nie chcieli i nie umieli.

Ostatnim typem tych możnowładców XVIII wieku, a typem wielce wydatnym, był książe Karol Radziwiłł *Panie Kochanku*. Ogromnéj używał popularności i zaufania; ztąd szlachta z bliższych i dalszych okolic kraju, znosiła do niego swoje w gotowiźnie, zebrane ciężką pracą oszczędności do zachowania, z prośbą o procent. Radziwiłł nie pojmował jaki dać obrót tym kapitałom, a duma pańska nie dopuszczała mu myśli, ciągnięcia korzyści ze złożonych pieniędzy; pomimo to przyjęcia ich nie odmawiał żadnemu. Każdy szlachcic, przyniesioną summę w srebrze lub w złocie we własnym worku, miał sygnetem herbowym *Panie Kochanku* w oczach swoich zapieczętowaną i odniesioną do skarbcu książęcego, który z niéj nic nie użytkując płacił właścicielowi umówiony procent, wyższy lub niższy, stosownie do chwilowego humoru. I tak z naniesionych pieniędzy utworzył się znakomity kapitał, martwo spoczywający w okutych skrzyniach, a Radziwiłłowi przymnażał rok rocznie nie małe wydatki. Panie Kochanku myślał że niewyczerpany ma skarb swój, a w naszych oczach widzieliśmy zupełną ruinę téj olbrzymiéj fortuny.

Niedotykając strony zewnętrznéj kraju okresu tego, jaki brał pod pióro swoje Skarbek, strona duchowa stanowi nadzwyczaj bogaty materyał, z którego przecież nie chciał korzystać. Z działających osób krajowych w ową dobę, mamy tu tylko gołe nazwiska, ale charakterystyki żadnej nie mamy.

Na polu literackiém chociaż ruch nie mały i znakomite postacie często się na niém pojawiają—Skarbek milczeniem pokrywa. Pomiędzy niémi ani wspomnienia Franciszka Dmochowskiego, tłumacza *Iliady*, *Enejdy*, *Miltona i Junga*, autora i owéj *Sztuki rymotwórczéj*, która była książką szkolną, oznajamiającą młodzież z dziejami literatury krajowéj. A znał go sam Skarbek, słusznie wielbił i po zgonie, wiersz napisał poświęcony jego pamięci (1).

(1) Utwór ten młodzieńczego pióra Fr. hr. Skarbka, jako ciekawy owych czasów zabytek, wedle autografu podajemy:

Pomnik Franciszka Dmochowskiego na Parnasie.

„Na przyjemnym wierzchołku sławnego *Parnasu*,
W pośrodku świętych cieniów laurowego lasu,
Stanął posąg; nie dzieło słabéj człeka ręki:
Lecz który smutne *Muzy*, przez czułość i dzięki
Słowiańskiemu bardowi same wystawiły,
Aby jego geniusz i cnoty uczciły!
Marmurowy podnóżek z nad ziemi powstaje,
Dmochowski w swéj postawie na nim się wydaje:
Wyżéj *Sława* wieczysta odważnym polotem,
Ogłasza dzieła jego, trąby swéj łoskotem.
Do ręku mu podaje zacny syn *Latony*,
Własną swoją cytarę z złocistemi struny;
Muza, która Homera tak dzielnie wzbudzała,
Która z nim bohatyrów i walki śpiewała,
Na posągu podparta z łzawemi oczyma,
Wieńczy go jednym laurem, drugi w ręku trzyma.
Polihymnia ze smutkiem hołd mu winny składa;
Poczciwość dla trwałości kamień swój przykłada.
Idzie Homer opodal z głową nachyloną,
I drżącą swoją ręką starością zwątloną,
Wity wieniec na posąg kładzie zasmucony.
Horacy, *Jung* i *Milton*, trzykrotne korony
Z wdzięcznością tam na jego pomniku składają,
I ztąd się oddalając za większych się mają.
Laur jeszcze nieskończony *Wirgili* tam wije,
Krasicki przez wzajemność nagrobek mu ryje.
Twój geniusz, twoje dzieła, twoje rzadkie cnoty,
Wstrzymane w swych działaniach przez śmiertelne groty."
Hołd oddany od ucznia nauczycielowi wszystkich.

Fryderyk Skarbek.

Z dzieł pomnikowych od roku 1808 do 1814, właśnie w tym okresie S. B. Linde wydrukował swój *Słownik języka polskiego.* Jan Kalasanty Szaniawski występuje jako głębszy myśliciel i filozof (1): Stanisław Węgrzecki; prawoznawca daje ważne objaśnienie w nowym ustroju społecznym. (2) Staszic występuje z najważniejszémi swémi pracami, jak S. Potocki jako piérwszy mówca.

Tomasz Szumski. professor przy Akademii wojskowéj berlińskiéj: wyprzedza Bentkowskiego ogłaszając: „*Krótki Rys historyi i literatury polskiéj od najpóźniejszych do teraźniejszych czasów-*" (Berlin 1807 r.).

Czerwiński Ignacy, ziemianin z pode Lwowa, w zaciszy wiejskiéj pracując nad dziełem: „*Rys dziejów kultury i oświecenia narodu polskiego od wieku X do końca XVII wieku*" (3), piérwszy u nas zajmuje się badaniem życia i charakteru ludowego, jego zwyczajów i przesądów które ogłasza p. n. „*Okolica zadniestrska między Stryjem i Łomnicą.*" (Lwów 1811 r,) i jest poprzednikiem *Zoryana Chodakowskiego* (Czarnowskiego).

(1) Z prac jego wspomnieć musimy: 1. *Co jest filozofia*, niektóre myśli *służyć mogące do porozumienia się względem odpowiedzi na to pytanie.* 2. *O znakomitych systemach moralnych starożytności.* 3. *System Chrystyanizmu krótko ułożony: pismo służące za dalszy ciąg wykładu systematów moralnych.* 4. *Rzut oka na dzieje filozofii od czasu jéj upadku u Greków i Rzymian, aż do epoki odrodzenia nauk.* 5. *Rady przyjacielskie młodemu czcicielowi nauk i filozofii, pragnącemu znaleźć pewniejszą drogę do prawdziwego i wyższego oświecenia.* 6. *O naturze i przeznaczeniu urzędowań w społeczności.* 7. *Pochwała Cypryana Godebskiego.* Wszystkie te prace drukowane były od roku 1802 do 1809.

(2) Lubo wiele pracował i drukował, albowiem umarł dopiéro w r. 1845; wspomnimy tylko o pismach, które Węgrzecki wydał w okresie czasów Księztwa Warszawskiego: 1. *Rozprawa o professyach i professyonistach, oraz o systemacie administracyjnym* (1809). 2. *Pismo o prawach dla Księztwa Warszawskiego uchwalonych* (1809 r.). 3. *Uwagi nad powszechnym moratorium* (1810 r.).

(3) Pracę tę ogłosił Czerwiński na drugi rok po upadku Księstwa Warszawskiego w Przemyślu 1816 r. w drukarni Jana Gołębiowskiego, w dwóch tomach w 8co. Na każdém polu potrzeb społecznych, widzimy ruch niezwykły. Niezapomniano o stronie ekonomicznéj kraju. *Onufry Wyczechowski* ówczesny prezes Sądu Appelacyjnego, w rozprawie swéj podaje *projekt utworzenia systematu kredytowego, w celu umorzenia długów prywatnych ciążących dobra ziemskie w Księztwie Warszawskiém.* Warszawa 1811 r. (Projekt ten podniesiono w 14 lat późniéj i wprowadzono w życie). Nie możemy pominąć przekładu dzieła Jana Pawła *Harla: Nauka policyi* przez Gliszczyńskiego (późniejszego kasztelana), wydrukowane w Bydgoszczy 1811 roku a przypisane „*Towarzystwu królewskiemu Przyjaciół Nauk w Warszawie.*"

Dantiscus, wydaje drugą edycyę ważnego dzieła: „*Myśli o pismach polskich*" które jest jakby wstępem, do daleko późniejszych prac nad dziejami literatury krajowéj.

Poeci współcześni: *Julian Ursyn Niemcewicz*; będący ogniwem łączącém wiek XVIII z naszém stuleciem, po nim *Ludwik Osiński*, *Franciszek Wężyk*, *Kajetan Koźmian*, *Ludwik Kropiński*, *Cypryan Godebski*, *Kantorbery Tymowski*, *Aloizy Feliński*, stanowią poważne grono na które oczy wszystkich są zwrócone.

Teatr narodowy grał w tym okresie przeważną rolę: byłato scena nie do próżnéj rozrywki.

Oryginalni pisarze dramatyczni jak: Niemcewicz, Wężyk, Kropiński, Feliński stoją tu na czele, a obok nich słynny tłumacz Kornela Osiński, który siłę jego i wzniosłe myśli, umiał oddawać równie pięknym jak harmonijnym wierszem.

Niebrakło pracowników w téj gałęzi literatury, i z grona samychże artystów dramatycznych. Do dziejów teatru tego okresu przywiązali swe imiona, jak twórca sceny polskiéj *Wojciech Bogusławski*, tak *Ludwik Dmuszewski* i *Aloizy Żółkowski*, późniejszy redaktor *Momusa*. Każdy z nich chwytał wypadki na dobie będące, i albo je w szacie właściwéj przedstawiał, albo téż dobierał utworów z literatury dramatycznéj francuzkiéj i w udatném naśladownictwie lub tłumaczeniu przedstawiał. Grono artystów znakomitych odpowiadało godnie swemu zadaniu; słowem, scena ówczesna wzniosło swoje znaczenie spełniała: dlatego należała jéj niejedna karta chlubnego wspomnienia tego okresu, który Fr. Skarbek brał pod pióro, a o niéj zapomniał.

Rzecz godna uwagi, że gdy nasz autor we wszystkich utworach powieściowych, które rozwijał na tle czasów ostatnich lat XVIII wieku, a pierwszych naszego stulecia, posługiwał się gorącą jeszcze z tego wieku tradycyą, a i sam dobrze te czasy pamiętał, ta tradycya przy pisaniu *dziejów* pomienionego okresu, jak najmniéj dała mu żywiołu, przez co pozbawił pracę swoją dramatycznego życia. A przecież sam czerpał w niej obficie w utworach powieściowych, i ta tradycya dała mu najpiękniejsze postacie i ustępy.

Zbliżeni więcéj do Fr. Skarbka, mamy nie mało powodów do obrony usterków, w jego pracach historycznych, które stanowić mogą w druku kilka obszernych tomów, tu tylko napomknęliśmy w lekkim zarysie o brakach wybitnych w jego ulubionym okresie dziejów od 1806 do 1814 roku.

Czuł je sam dobrze,-widział że mało studyował obfite materyały, jakie się coraz liczniéj pokazywały: to téż w ostatnich latach swego życia, na nowo przeglądał ten okres już opracowany w całości, poprawiał i uzupełniał.

O czasach późniejszych krajowych, nie przepomniał, ale je po większéj części w swoich pamiętnikach rodzinnych umieścił: jakkolwiek przedsięwziął napisanie dziejów od roku 1815. Ustępy z téj szacownéj pracy znamy, bo sam je nam czytywał, czy zaś je w całości wykończył jak zamierzał, nie wiemy.

* * *

Zamykając rzecz naszą o Fr. hr. Skarbku, nie mogę pominąć kilku jeszcze ważnych, wedle naszego zdania, szczegółów.

Szukając wyższych nauk, udał się jak to mówiliśmy do Paryża. Gdy wielu z zamożniejszéj naszéj młodzieży oddawna chciwie spieszyło do téj *stolicy świata*, jak wówczas zwano Paryż, ażeby zmarnować w jego rozkoszach mienie ojcowskie, godność osobistą i własne zdrowie, nasz autor nie poszedł tak zgubnémi śladami. Cały czas pobytu w tém pełném wrzawy i powabu mieście, oddał się wyłącznie mozolnéj pracy i studyom naukowym, dla zdobycia wyższéj wiedzy: to było bowiem jedyną żądzą i namiętnością w kwiecie wieku Skarbka. (1).

(1) W papierach po ś. p. S. B. Lindo, znajduję właśnie dwa listy Fr. hr. Skarbka, które najlepiéj popierają nasze słowa. Lat sześćdziesiąt jeden właśnie upływa, kiedy je kreślił w Paryżu. Przytaczam je w całości, gdyż zawierają ciekawe szczegóły, odnoszące się do pobytu naszego pisarza w stolicy Cesarstwa francuzkiego.

I.

Paryż, 21 stycznia 1810 r.

„Dowiedziawszy się z listu matki mojéj, że WPan Dobrodziéj raczysz mnie zaszczycać łaskawą swoją pamięcią, mam sobie za powinność oświadczyć mu za to moją wdzięczność. Przybywszy na miejsce przeznaczenia mego, starałem się podług rad WP. Dobr. czas mój nietylko samym poświęcać muzom, i zatrudnić się takiemi naukami, przez którebym się mógł stać zdolnym do dzierżenia później jakiego urzędu. Atoli próżne były z początku moje starania, ponieważ w całym Paryżu, niemasz żadnego publicznego kursu nauk *kameralnych*, którym się poświęcam, i większa część mieszkańców téj stolicy, uczonych nawet, nie zna je z imienia a tém bardziéj co do rzeczy. Winniśmy jednak staraniom JPana Krysińskiego, który się raczył tém zatrudnić, że teraz bierzemy lekcye prywatne ekonomiki politycznéj, podług Smita, i administracyi skarbowéj od pana St. Aubin dawnego trybuna ludu. Nauczyciel nasz jest Niemiec i zna dobrze z własnego doświadczenia naukę, którą nam wykłada. Bierzemy na tydzień cztery godziny ekonomii, a dwie administracyi skarbowéj. Z pierwszéj czynimy wyciągi na piśmie, a w drugiéj ćwiczym się praktycznie, przez opisywanie znaczenia wyrazów w tym wydziale używanych i przez robienie różnych raportów, podług przepisów procedury francuzkiéj. Nauki te

Najlepszym tego dowodem jest list znakomitego męża *Piotra Maleszewskiego*, stale osiadłego w Paryżu pisany do *S. B. Lindego* dnia 11 czerwca 1811 roku, jako do dawnego przewodnika Skarbka w Liceum warszawskiém, właśnie w chwili gdy nasz autor powracał do kraju.

brane od dawnego trybuna bardzo nam drogo przychodzą, ale też za to pan St. Aubin zaręczył nam, że w przeciągu jednego roku, skończy z nami kurs rozpoczęty i że już na ten czas będziemy w stanie podjęcia się jakich urzędów w tym wydziale. Słucham oprócz tego w Kollegium francuzkiém publicznych kursów greckiéj i łacińskiéj literatury i Prawa kryminalnego; pierwszy daje pan Gail, tłumacz Tucydydesa i Xenefonta; drugi pan Le Maire, jako zastępujący pana Legouvé, który po śmierci żony swojéj melancholią, czyli pomieszanie zmysłów cierpi; a trzeci pan Pastoret hrabia państwa, senator i członek ciała prawodawczego, oprócz tego, człowiek bardzo światły i niezacięty jak inni w swoich zdaniach. W greckim czytamy Tucydydesa, lecz jeśli jest u nas mało przyjaciół greczyzny, mniéj jeszcze tutaj w porównaniu Warszawy z Paryżem, język Homera mało znajduje czcicieli; jedyny kurs publiczny pana Gaila, ma tylko piętnastu najwięcéj słuchaczów. W łacinie tłumaczy i rozbiera pan de la Maire Enejdę, z tego kursu poznałem, że tylko jedynie Wirgiliusz ma łaskę u Francuzów, przenoszą go nad Homera nawet, a o Horaciuszu ledwo wspominają. W pierwszéj godzinie tego professora miałem szczęście widzieć Delilla, któremu tam laur z przyłączonemi wierszami wtenczas podano".

II.

W Paryżu, 15 września 1810 r.

„Słodką jest dla ucznia powinnością złożyć przed przewodnikiem swoim hołd uszanowania i wdzięczności. Raczyłeś WP. Dobr., moją trudnić się młodością, i choć daleko teraz jestem od kraju, łaskawą mnie swoją obdarzasz pamięcią, dowiadując się czasem o stanie moich nauk; zechcesz teraz WPan Dobrod. przyjąć z zwykłém sobie dla poczynających pobłażaniem, małą rozprawę, którą tutaj przyłączam. Napisałem ja ją w celu tym jedynie, ażebym mógł dać jaki dowód, że się staram zasłużyć na względy, którymi mnie WPan Dobrod. obdarzasz; chciałbym aby mogła go przekonać, ile sobie cenię rady i nauki jego. Wiedząc z pamiętników że u nas o zaprowadzeniu kanałów rozmyślają, przedsięwziąłem wyłożyć wkrótkości teoryą systematu najnowszego małych kanałów, któryby może mógł być do Polski zastosowany. Czerpałem wiadomości w téj materyi w dziełku pana Fultona Amerykanina, który jest wynalazcą tego systematu; to zaś com w ogólnych zdaniach wyjawił, wyjęte jest z dzieła: „O bogactwie narodowém Schmitha" albo też z uwag nauczyciela mego tutejszego. Zrobiłem niektóre przystosowania, ale tylko o tyle, o ile mi oddalenie od kraju i szczupłe moje wiadomości pozwalały. Poddaję pod sąd WPana Dobr. tę małą rozprawę, ufając jego pobłażającéj dobroci, która przeba-

„JPan Skarbek wart być uczniem takiego nauczyciela. Zostawia on tu przykład do naśladowania dla młodych polaków. Jest to prawdziwie młodzieniec, z którego wiele obiecuję, jeżeli za dąży do szczęśliwego przeznaczenia."

czając znajdującym się w niéj błędom, uważać ją tylko będzie za dowód tego, że chcę korzystać z nauki i porad moich nauczycieli.

„Dowiedziałem się z listu matki mojéj, że miała ukontentowanie widzenia WPana Dobrodzieja u siebie, i że się WPanu Dobrodziejowi podobały te miejsca, do których jestem tak mocno przywiązany; żałowałem, czytając list mojéj mamy, że nie mogłem dzielić jéj radości i jako uczeń w ojcowskim domu, tak zacnego przewodnika mego przyjąć. Dowiedziałem się oraz że życzeniem WPana Dobr. by było, ażebym zaświadczenia wszystkie pilnie poodbierał, ale pozwolisz WPan Dobrodziéj oświadczyć sobie, że tutejsze zaświadczenia żadnéj wagi nie mają. Zapisuje się kto chce u burgrabiego do wyznaczonéj książki; professor nie zna żadnego z tych którzy na jego lekcyach bywają, ani też znać niemoże. Gdy po skończonym kursie kto chce zaświadczenia, daje mu go professor, skoro tylko jest wpisany, niezważając na to czy na nich był uwagą dostateczną uzbrojony. Te zaświadczenia zresztą nic więcéj nie dowodzą, jak tylko że ten a ten bywał na tych a na tych lekcyach. Zaświadczenia tylko szkół specyalnych prawa, medycyny i aptekarstwa są ważne i 500 franków kosztują; ale trzeba aby je dostać trzyletni kurs odbyć, równie jak sześć półrocznych i jeden główny popis złożyć, i prócz tego dość znaczną kwotę pieniędzy zapłacić. Podług tego nie starałem się wcale o żadne zaświadczenia nic nieznaczące i wolę za moim powrotem wszelkim się poddać egzaminom, jak próżne papiery produkować. Kończymy już teraz kurs prywatny ekonomii i finansów; kończą się kursa publiczne chemii i rolnictwa w ogrodzie Botanicznym na które chodzę i resztę czasu który w Paryżu przepędzę, mniéj publicznym a więcéj domowym naukom poświęcę. Przeczytam dzieła ściągające się do ekonomii politycznéj i do finansów, szczególniéj kodex handlowy, przejdę z objaśnieniami którymi się już obwarowałem. Jeżeli teraz więcéj suchsze nieco nauki, jak literatura, szczególniéj mnie zajmują, staram się jednak i téj nieco czasu poświęcić. Przedsięwziąłem przeczytać całego Homera i zbywających mi jeszcze poetów łacińskich. Jestem teraz około XII księgi Iliady: przeczytałem całego Wirgiliusza, Czwartą księgę *Od* i *Sztukę rymotwórczą* Horacyusza i nieco elegii Tybulla. Co do własnych robót poetycznych, ranne chwile pozwalają czasem z muzami obcować. Nie czerpam ja śmiało w hipokreńskiém źródle, ale zwracając moje myśli ku mojéj ojczyźnie, śpiewam powaby, które ma dla nas miejsce urodzenia. Zdziwisz się może WPan Dobrodziéj, gdy mu powiem, że już kończę małe poema w téj materyi i że nad jednym przedmiotem, mogłem (z nadzwyczajną u mnie stałością) dwie pieśni po 600 wierszy napisać. Oto sumienny rachunek moich zatrudnień; winienem go zdawać WPanu Dobrodziejowi z uszanowania, z powinności, a szczególniéj z wdzięczności, z którą nie przestanę być najniższym jego sługą i uczniem.

F. Skarbek.

I nie zawiódł tych pięknych nadziei! Niezmarnowana wiosna życia dała hr. Fr. Skarbkowi bogate zasoby na całą pielgrzymkę ziemską: działalność jego użyteczną dla kraju, widzieliśmy; a jako niestrudzony pisarz przez pół wieku z górą, wzbogacał w różnych gałęziach naszą literaturę i śmierć tylko mogła mu wytrącić pióro z zlodowaciałéj ręki.

Wszystkie rękopisma niedrukowane, zarówno jak prace już ogłoszone i przygotowane do drugiego wydania, są w ręku najstarszego syna zgasłego autora.

K. Wł. Wójcicki.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Manifest nowéj szkoły niemieckiéj: *Rom's Unrecht*, przez Wolfganga Mentzla. —Rehabilitacya Wandalów.—Sprzeczność geniuszu germańskiego a romańskiego.— Romantyzm średniowieczny.— Wiek Odrodzenia.— Racyonalizm— Walka nowéj szkoły przeciw poetom i filozofom niemieckim.—Nowe drogi na przyszłość.—Zgermanizowanie kościoła w duchu Aryusza.—Protestacya Francuzów przeciw idei o ich romańsko-łacińskiém pochodzeniu.—Pomnik Woltera w Paryżu.—Nienawiść Woltera ku Francuzom.—Ruch literacki w Czechach. —Karol Jaromir Erben, jako archeolog i poeta.—Wacław Szolc. Statystyka pism peryodycznych czeskich.—Stowarzyszenia naukowe, literackie i inne. Przyjęcie Juliusza Janin do Akademii francuzkiéj.

Z pomiędzy wielu nowych publikacyj niemieckich, które zwróciły uwagę naszą w ostatnich czasach, uderzyło nas szczególniéj dzieło Wolfganga Mentzla p. t.: *Rom's Unrecht.* Obszerne to dzieło o 470 stronnicach, poświęca autor wykazaniu wiekowych bezprawi ludów romańskich. Jakież to te bezprawia? Oto zapoznanie praw bożych i ludzkich przez te ludy, to jest wiekowa niesprawiedliwość ich względem Niemców.

Rzecz widoczna, iż mamy przed sobą obszerny akt oskarżenia, skreślony przez szermierza biegłego w sztuce retorycznéj. Jak zwykle w tego rodzaju odezwach, słyszymy wyłącznie głos potępiający. Ale że to głos jednego z przewódców nowéj szkoły, że oskarżyciel wytacza proces plemieniu romańskiemu, w imię pokrzywdzonego germanizmu, a przeprowadza go przez pasmo szesnastu z górą wieków, że nakoniec dotyka głównych zagadnień dziejowego życia tych plemion, tak na polu historyi jak w dziedzinach sztuki, literatury i filozofii, mamy sobie za obowiązek obznajmienie czytelników naszych z tą niemiecką publikacyą.

Autor wynosi wielkie zasługi jakie położyli Germanie w sprawie chrześciaństwa. I któż dziś nie uznaje tych zasług?

historya wykazała je dostatecznie. Ależ autorowi idzie szczególniéj o wyróżnienie z rzeszy germańskiéj tych mianowicie szczepów, które w jego mniemaniu najdobitniéj charakteryzują geniusz niemiecki, tak w przeszłości jak i obecnie. Temi w czasach upadku państwa rzymskiego byli Wandalowie, temi są dzisiaj Prusacy.

W czémże autor widzi pokrewieństwo obu tych ludów? W rozwoju dziejowego ich życia. Jedni i drudzy powinni być uznani, za najznakomitszych przedstawicieli geniuszu niemieckiego, ponieważ w ciągu wieków okazują się najzaciętszymi wrogami geniuszu ludów romańskich.

Oto główna cecha ostatniego manifestu, wydanego przez myślicieli nowéj szkoły niemieckiej. Zasługuje on, powtarzamy, na szczególniejszą baczność, nie jest to bowiem pamflet napisany pod wrażeniem dziennych walk; jest to raczéj wyraz kierunku myśli potężnego stronnictwa, które patrzy na świat i wyrokuje o jego losach, mając za sobą dalekonośne Kruppy i tysiące tysięcy bagnetów.

Zobaczmy jak autor udowadnia loiczną słuszność swéj zasady. Wypisujemy tu jego słowa:

„Wandalowie—mówi on—postępowali względem Rzymian przezorniéj a zarazem sumienniéj niż to czynili Ostrogoci. Wiedzieli dobrze, iż niepodobna ująć w karby prawa ludu rzymskiego spróchniałego do gruntu, wiedzieli że najsroższe kary nie uczynią go czystym i obyczajnym. Potrzeba było przyłożyć topór do korzenia. Ztąd to pochodzi ona nienawiść ku Wandalom, owe zarzuty i potwarze miotane na nich w pasmie wieków. Rzymscy i katoliccy dziejopisowie, od których tylko na nieszczęście doszły nas wiadomości o Wandalach, współubiegają się w pohańbieniu tego szczepu. Jednakże z pośród tych kłamliwych podań, wytryska wszędzie obraz bohaterskich walk cnoty niemieckiéj, przeciw rzymskim występkom. Główny błąd Galów i Wandalów był ten, że się zawczasu nie połączyli z sobą, że wspólnemi siłami nie założyli wielkiego państwa po nad morzem Śródziemném. Kiedy genialny król Wizygotów Enrich przedsięwziął to połączenie, było już wtedy zapóźno. Śmierć jego zniszczyła ten związek.“

Autor gorzko ubolewa nad smutnym kierunkiem nauk historycznych, który upowszechniwszy się po niemieckich uniwersytetach, i przeszedłszy w zgubną rutynę, tumani dotąd młodzież niemiecką, i nie pozwala jéj spojrzéć zdrowém okiem w przeszłość własnego narodu.

„Niemcy—mówi on—w swéj dobrodusznej łatwowierności i skromności (*gutmüthigen Leichtgläubigkeit und Bescheidenheit*) przywykli brać za prawdę, a nawet powtarzać niestworzone brednie i oszczerstwa, jakie Grecy i Rzymianie, a za nimi nowocześni historycy, prawili i prawią o ich germańskich praojcach. Co gorsza, Niemcy powtarzają bezmyślnie pochwały, jakie cudzoziemcy sypią sobie w oczy z ich krzywdą. Każdy oto uczeń niemiecki

lituje się nad losem Belizaryusza, że na starość był ślepym żebrakiem. I któż to ów Belizaryusz? to bicz na Gotów i Wandalów. Pogromca ich tak w Italii jak w Afryce! A któż to owe pogromione przezeń ludy? To Niemcy! to praojcowie nasi! stokroć szlachetniejsi niż one nikczemne a tak zachwalone ludy greckie! Godziż się nam tych bohaterskich i czcigodnych Wandalów, uważać dotąd jako barbarzyńskie tłuszcze i zostawiać na nich ciążący zarzut haniebnego pojęcia Wandalizmu? (1). Jeśli oni druzgotali taranem miasta i świątynie rzymskie, nie czyniliż tak mnichy ortodoxy w Egipcie i Grecyi? nie czyniłże tak sam Belizaryusz, gdy tysiące pysznych posągów postrącał z murów Rzymu?"

O ile w mniemaniu autora Wandalowie najlepiéj przedstawiali ducha germańskich plemion, o tyle Frankowie zatracili własny charakter przez długie sąsiadowanie z Rzymianami. „Ze wszystkich szczepów niemieckich, mówi Mentzel, Frankowie byli najpraktyczniejsi, lecz za to najmniéj uczciwi. Zmuszeni przez wieki miéć się na baczności od Rzymian, zaczem podbili ich ostatecznie, wyuczyli się od nich chytrości i przebiegów."

Do ostatecznego zromanizowania Franków, przyczynił się rzymski katolicyzm. Główny téż zarzut jaki autor czyni Frankom jest ten, że nie poszli śladem bratnich Gotów, i nie przyjęli aryańskiego chrześciaństwa. Król Franków Chlodowig, uważając w tém mądrą politykę, połączył się z Rzymem, a tém samém przeniewierzył się idei germańskiéj.

Pomimo takiego *zboczenia*, autor przypisuje Frankom że uratowali chrześciaństwo i ma im to za wielką zasługę. Nie chce przecież widzieć, że dopiéro w połączeniu z ludami które on zowie romańskiemi, dopełnili téj missyi dziejowéj. Francuzi sami, jak to wykazaliśmy w jednéj z poprzednich kronik, wiedzą dobrze co winni tym barbarzyńskim Germanom, którzy z głębi puszcz przynieśli im silną organizacyą i położyli kamień węgielny ich państwu.

Do jakich absurdów doprowadzić może stronniczy pogląd, widać to w zarzucie jaki czyni Mentzel Frankom w Gallii a Longobardom w Italii, że zatracili swoją narodowość niemiecką! Nie może przebaczyć szlachcie obu tych szczepów, iż się zlała z podbitym przez siebie ludem, jak gdyby to inaczéj być mogło.

Z jakąż zgrozą muszą wyznawcy szkoły pangermańskiéj patrzéć na Normandów-Rusów, ktorzy w IX—XIV wieku utonęli w massie ludów słowiańskich w Nowogrodzie na Dnieprze i Dniestrze!

Te ubolewania, te łzy nad klęskami żywiołu niemieckiego we Francyi, we Włoszech i na Rusiach, w przeciągu średnich

(1) Auch ist es unserer unwürdig, unsere Stammgenossen, die sehr *heldenmüthigen* und *achtungswürdigen* Vandalen, noch immer als die rohesten Barbaren anzusehen, und den beschimpfenden Begriff des Vandalismus, auf ihnen lasten zu lassen. Roz. 1, str. 9.

wieków, jakże doskonale charakteryzują pychę zwolenników nowéj szkoły! Rozumują oni o odległéj przeszłości, jak gdyby mogli być jéj panami i skierować prąd czasów do swych dzisiejszych zachcianek. Autor gromi Karola Wielkiego, że przypuścił tubylców do współdziałania razem ze zdobywcami, a nie zostawił ich na uboczu, jakby indyjskich Paryasów. „Inaczéj bezwątpienia poszłyby rzeczy—mówi Mentzel—gdyby państwo Franków pozostało czysto-germańskiém, a nie przypuściło do siebie romańskiego żywiołu. Romanie przez plemienny antagonizm stargali tę piękną harmonią.

„Pytamy—mówi daléj autor—azaliż nie byłoby lepiéj i *naturalniéj*, gdyby niemiecki cesarz jako pan zachodniego chrześciaństwa, wsparty przewagą niemieckiego plemienia, ześrodkował zarówno duchowną jak i świecką władzę i przeniósł ją z romańskiéj przydatkowéj części państwa, do głównéj niemieckiéj ojczyzny? Źle się stało że kościół zatrzymał romański charakter, kiedy władza świecka była czysto germańską. Ale Niemcy w tym względzie okazali się zbyt skromni i dobroduszni, *viel zu bescheiden und zu gutmüthig*. Za otrzymane od Rzymu chrześciaństwo, wywdzięczyli się już dostatecznie, broniąc go od muzułmanizmu i ukrzepiając go siłą własnego ducha. Potrzebaż było tę wdzięczność posuwać aż do rezygnacyi?“

Jakaż to z innéj strony klęska dla Niemców dzisiejszych, że Normandowie-Ruscy zleli się z tubylcami i stargali te cechy plemienne, które były tak bogatym posiewem dla rozkwitu przyszłości Germanii!

Z dziedziny historycznéj, przechodzi autor do literatury. Określa czém był średniowieczny romantyzm, ten kłos wyrosły z Germańskiego ziarna, na grzędzie romańskiéj pod słońcem południowém. Romantyzm! sam ten wyraz budzi odrazę w autorze, bo świadczy o przerodzeniu się Gotów, Franków i Longobardów, przesiąkłych na wskroś wpływem obcym, w Hiszpanii, w Galii i w Italii; bo dowodzi zlewu zdobywców z tubylcami, kiedy byłoby loiczniéj, to jest bezpieczniéj dla przyszłości, wyprzéć owych tubylców z ich odwiecznych gniazd, i rozpostrzéć się swobodnie na ich miejscu. Zapomniał tylko pan Mentzel, że loika historyczna, inna niż loika jego szkoły. Można pokonać lud i zapanować nad nim, lecz niepodobna go wytępić; niepodobna uchronić się od jego wpływu, zwłaszcza kiedy tubylcy wyżsi cywilizacyą od zdobywców, jak byli wyżsi od Germanów Rzymianie i Gallowie.

Zobaczmy jak autor charakteryzuje różnicę pomiędzy dwoma plemionami: „Obok południowego żaru zmysłów, żywéj fantazyi, upodobania w jaskrawości i przepychu, w nadprzyrodzonych cudach, sprzecznie odbija północna prostota, trzeźwa rozwaga połączona z ścisłą sumiennością. Ztąd wynika, że geniusz romańskich ludów, bujał w świecie jaskrawszym i bogatszym, lecz nierównie złudniejszym od świata, w którym krążył geniusz ludów germańskich. Romanie, istne dzieci, pragnęli posiąść wszy-

stko co ich z daleka czarowało, wszystko co nieujęte chcieli pochwycić dłonią, przycisnąć do ust i do piersi. Germanie więcéj mieli powściągliwości i rozumu. Taż sama różnica jaka się objawia w religijnych wyobrażeniach pogańskich obu ludów, objawia się również i w ich pojęciach chrześciańskich. Tam przeważa strona zewnętrzna, tu przeważa wewnętrzna. Sprzeczność pomiędzy romańskiém a germańskiém plemieniem, ma korzenie w sprzeczności południa z północą, równika z biegunem. Na południu życie wybiega na powierzchnię, na północy koncentruje się w głębi. Murzyni ze wszystkiego co im pod oczy wpada tworzą sobie fetysze; w podbiegunowych krajach lud drży przed niewidzialnymi demonami. Grecy i Rzymianie czcili tylko ucieleśnionych bogów. Starożytni Niemcy w szumie świętych drzew i zdrojów, słyszeli głosy tajemnych potęg. Germańskie plemie rozumniejsze, czystsze w obyczajach, wniosło te usposobienia z pogaństwa w chrześciaństwo; romańskie zaś przeciwnie, zepsuciem swojém skaziło ducha chrześciańskiego."

Tu autor szeroko się rozwodzi nad niewinną prostotą i moralnością staro niemieckich poezyi, stawiając je obok *metamorfoz Owidyusza*. Porównanie to całkiem niewłaściwe. Godziż się jakiś pączek rozkwitły w cieniu leśnym, stawiać obok pysznego, lecz przekwitłego już kwiatu, pogańsko-rzymskiéj cywilizacyi?

„Wierność—mówi Mentzel—głównym jest rysem poezyi starych Germanów. To wybija najświetniéj w Nibelungach, w rycerskim okresie Karola Wielkiego, w powieściach o królowéj Bercie, Hildegardzie, Genowefie i innych. Wierność ku Bogu i królowi, wierność w małżeństwie i przyjaźni: oto żywotna cecha tych utworów.

„Ale wpływ ludów romańskich oddziaływał na ducha germańskiego i pomału zacierał pierwotne jego cechy. To co dziś zowiemy romantyzmem—mówi autor—było przeobrażeniem się Niemców, kiedy odpadli od nauki aryańskiéj a przeszli do rzymskiego kościoła. Czar pięknéj południowéj przyrody, a szczególniéj czar pięknych kobiét, porywał niemieckich zdobywców. Zwolna przyszło do tego, że zwycięzcy wraz z mową romańską, przyjęli w części przynajmniéj romański sposób czucia, myślenia, że dusza niemiecka rozmiłowała się w nieznanych jéj dotąd urokach, wybuchnęła nowym płomieniem i stworzyła romantyzm."

Autor jest tu w sprzeczności sam z sobą, potępia romantyzm w zasadzie, lecz z drugiéj strony chlubi się nim, jako dzieckiem geniuszu niemieckiego. Ubolewa że Niemcy przepomnieli pierwotnéj czystości aryańskiego swego wyznania, że zaniedbali czci jedynego Boga a rozmiłowali się w poetycznych postaciach katolickich legend, w nowém, tak zwaném przezeń, wielobóstwie. Skoro jednak romantyzm stał się faktem, Mentzel godzi się z nim rad nie rad, ale całą jego dodatnią stronę przyznaje wyłącznie geniuszowi Germanów, jak gdyby geniusz ludów romańskich, nie wpłynął do jego rozwoju.

„Germanie—mowi on—nie poniżyli się do Romanów, gdyż byli panującym narodem. Przynieśli z sobą własny charakter, wypiętnowali go w romantyzmie. Ich średniowiecznym katolicyzmem, rządziła jeszcze pełna energia rycerskiego narodu. Byli to rycerze dobrowolnie przed krzyżem zginający kolano, wyznający się wazalami Chrystusa. Z dzikich potomków Odyna, którzy przebiegli świat uraganem, wytworzyli się szlachetni zapaśnicy, mściciele znieważonego prawa, gotowi poświęcić miecz swój czci niewieściéj, opiece pokrzywdzonych. Geniusz staro-germański i w tém nie zaparł siebie, że czcił Boga jako potęgę tajemną i niewidzialną, raczéj pod cieniem świętych lasów, niżeli w grubych bałwanach. Ztąd urok gotycyzmu: w kunsztownych ostrołukach i wieżach gotyckich kościołów, schrześcijanił się niejako staro-niemiecki las pogański.

„Romantyzm—ciągnie autor—wyszedł wyłącznie od Niemców. Nigdyby nie zakwitła poezya romańska, gdyby italo-i galo-romanie pozostali zamknięci w sobie samych."

Temu nie przeczymy bynajmniéj. Zdaje nam się tylko, że i poezya germańska nie byłaby zatraciła krwawego piętna, jaką wycisnęli na niéj czciciele Thora, Odina i Walkyryów, gdyby nie harmonijny zlew z geniuszem ludów romańskich, wychowańców greckiéj cywilizacyi.

Pan Mentzel przypomina, iż z wizygockiéj szlachty wyszli pierwsi trubadurowie i pierwsi twórcy hiszpańskich romanzerów; że cesarz Fryderyk II Szwab rodem, dał pierwszy popęd poezyi włoskiéj w Palermo. Przystajemy; ale jakże tu udowodnić, że: „w Dancie płynęła raczéj krew niemiecka aniżeli romańska." Tak przecież autor utrzymuje. Wieszcz Boskiéj komedyi podziela tu losy Kopernika, Van Dika i tylu innych!

Posłuchajmy dalszych uwag o romantyzmie. Tu już autor przestaje być historyozofem, a występuje z całym cynizmem nowéj szkoły.

„W miłości jaką Niemcy poświęcili Romanom—mówi Mentzel—objawiła się cała bezinteresowność, całe bezsamolubstwo niemieckiego plemienia. Romanie tymczasem w stosunkach do nas, pozostali zawsze samolubni i interesowani. My jakkolwiek wyżsi od nich rozumem, duchem i duszą, nie pysznilišmy się nigdy z téj wyższości i nie myśleli nawet o niéj. Szacunek nasz ku nim przewyższał ich usługę. Troskliwi o ich dobro, uczyliśmy się od nich, zajmowali wciąż nimi. Oni przeciwnie, zajęci wyłącznie sobą, niczego się od nas nie ucząc, pozostali w zupełnéj nieświadomości o niemieckim kraju, niemieckim narodzie, niemieckiéj literaturze. Sprzeczność to pełna znaczenia. Ztąd pokazuje się o ile germańskie plemię z wrodzonego usposobienia, pokrewném jest chrześciaństwu. Bo i jakże nazwać inaczéj tę wrodzoną szlachetność duszy, tę gotowość zapomnienia siebie, przez współczucie dla drugich. Brak egoizmu, poświęcanie się bezustanne w niewinności ducha; zbyteczna dobroduszność, niebezpieczne to i niekiedy szko-

dliwe przymioty. Łatwo przy nich zbłąkać się na manowce, i stać się ofiarą cudzéj przewrotności. Uczuciowość przechodzi niekiedy w głupotę, czego niestety dzieje nasze tysiące okazują dowodów. A przecież ta dobroduszność z natury nam wrodzona, stokroć wyższa i szlachetniejsza nad wyrafinowany egoizm i światową mądrość romańskiego plemienia, nad tradycyjną chytrość *Welszów*. Ludy romańskie obstają przy własnych prawach, nie mając względu na prawa innych ludów; ustępują tylko gdy do tego zmuszone. Niemcy szanują prawa drugich z samowiedzą i pełną bezinteresownością, skoro słuszność tego wymaga. W tém oto moralna wyższość nasza. Romanie zazdroszczą nam téj wyższości wówczas nawet, kiedy chytrą przebiegłością tryumfują nad nami."

Zepsuciu plemienia romańskiego, przypisuje autor, zerwanie z literaturą i sztuką romantyczną, a powrót do staro-rzymskiego pogaństwa, w epoce Odrodzenia.

„Pod panowaniem Niemców—mówi on—Gallo-Romanie, Hiszpanie i Włosi, przyjęli z niemieckiego romantyzmu, rycerskość, cześć kobiét i t. d. Że jednak te zalety nie leżały w duchu ich plemienia, ztąd powrót do uczuć i myśli klassycznego Rzymu, ztąd owa pogańska zaraza, która palącym jadem zatruła literaturę, a przetrwała do naszych czasów. Dopóki Frankowie zachowali niemiecką mowę i niemiecki obyczaj w Galii, Longobardowie we Włoszech, złe nie mogło powrócić. Zromanizowanie zwycięzców, otworzyło na rozcież wrota pogańskim sztukom i pogańskiéj literaturze."

Jeśli autor pogodził się w części z romantyzmem, jako wypływem niemieckiego geniuszu, niemoże za to pogodzić się z epoką Odrodzenia. W powrocie do starożytnego klassycyzmu, widzi wojnę wypowiedzianą idei germańskiéj: w opiece Medyceuszów zgaduje cel wyłącznie polityczny. Z nienawiścią téż pogląda na dzieła nowéj szkoły, tak w architekturze jak w malarstwie, rzeźbie i poezyi.

Zobaczmy jak krytykuje kościół Śgo Piotra w Rzymie.

„Kopuła—mówi on—siedzi na gmachu jak małpa na niedźwiedziu. Brak smaku widoczny tu we wszystkiém: w tych kolosalnych posągach, w tych nieprzeliczonych mozajkach zapełniających wnętrze. Kościół za nadto wielki. Wchodząc spostrzegamy jakiegoś anioła maleńkiego jak dziecię, ale idźmy daléj w głąb, a zobaczymy że to posąg kolosalnych rozmiarów. W obec tych olbrzymich figur, obszar ścian maleje dla oka. Fronton zewnętrzny, to potwór architektury. Poczwórna kolumnada Berniniego, ma niby to przedstawiać biblijne *Cogito interne*, wyciągając dwa zakrzywione ramiona jakoby kleszcze raka. Dwie okrągłe dzwonniczki obok wielkiéj kupuły: wyglądają jak dwie szlafmyce obok czapki papiezkiéj. Sama kopuła, to istna piramida postawiona na szczycie *Cimborazo*. Trudno pojąć jakim sposobem Fenimore Cooper tak się zachwycał olbrzymim gmachem Śgo Piotra.

My Niemcy widzimy w nim tylko porcelanową malowaną filiżankę, kolosalnej wielkości.

„Czemu ta budowa tak potworna?—pyta autor.—Oto dlatego że wyraża potworną ideę, że służy jako cel polityczny. Kościół Sgo Piotra to symbol śmiertelnéj nienawiści romańskiéj przeciwko Niemcom. Leon X stawiając pogański panteon, jakoby kopułę na świątyni zarysowanej w formie krzyża, chciał wyrazić znakiem symbolicznym, że nad ponurém chrześciaństwem średnich wieków, ma stanąć idea pogańska; że promieniści bogowie świata greckiego, mają odtąd zapanować nad krzyżem!

„Artyści XVI wieku—mówi autor—rzucili się *bez natchnienia* w nowe sztuki, szerokie bowiem pole otwierało się ich czynności, istnie jak za czasów Peryklesa, Augusta i Adryana. Przykładem dla wszystkich był słynny Michał Anioł. Jegoto Leon X użył za główne narzędzie do spoganizowania kościoła.

„Rafael—mówi daléj krytyk—najwyżéj czczony z malarzy włoskich, miał prawdziwe poczucie świętości, lecz i on porwany był prądem wieku. W pierwszych dziełach artysty, czuć jeszcze tę świętość, jaka cechowała utwory jego mistrzów; w późniejszych widać już tylko miłość sztuki, ubieganie się za pięknem: w końcu rzuca się w objęcia pogańskiego Odrodzenia. Nie był to postęp, ale kierunek wsteczny, w ślad za upadającym duchem ludzkości. Rafael widzi wyższe piękno w architekturze nowo-romańskiéj, niż w gotyckiéj. W malarstwie nie wyrzeka się ideału świętości chrześciańskiéj, lecz przybiera ten ideał w kształty zmysłowego piękna z niebezpiecznym zwrotem do realizmu."

Na ten argument niech służą za odpowiedź prelekcye Taina w szkole paryzkiej sztuk pięknych, dowodzenia Courbeta i innych koryfeuszów realizmu. Poniżają oni Rafaela dlatego właśnie, że w ich pojęciach za nadto był oderwanym od ziemi, do zbytku idealnym, A pamiętajmy że professor Taine jest uczniem filozofii niemieckiéj.

Sławny parnas Rafaela, w szczególny sposób oburza Mentzla. Posłuchajmy co mówi o nim: „Godziłoż się *nędznego* Petrarkę stawiać przy czystym Dancie? Możnaż przebaczyć Rafaelowi, że pomieścił w niebie *niegodziwego* Owidyusza, w rzędzie największych poetów? Apoteoza pogańskiéj poezyi azaliż przystała tak wielkiemu artyście? Żałujemy go iż żył i działał w tak niegodném siebie otoczeniu. Wychowany w szkole Peruggina, pod urokiem świętéj prostoty i niewinnego wdzięku religijności średniowiecznéj, wpadł w skażony smak odrodzenia, którym posługiwała się polityka Medyceuszów, aby wygnać chrześciańską powagę i wytępić germańskie poczucie prawa i wolności. Ohydna to niewdzięczność Rzymu. Jeśli bowiem zachodni kościół nie upadł i tak świetnie przetrwał średnie wieki, zawdzięcza to jedynie bohaterskim i pobożnym Niemcom. Pogardzono przecież nimi jako barbarzyńcami!

„Medyceuszom przypisuje autor przewrot, który w XVI wieku *cofnął wstecz* pochód ludzkości i pogrążył świat w chaosie. Patrzmy!— woła— jak hojnie szafują złotem i jak wspierają klasyczne nauki, jak skrzętni wywłóczą z prochu greckie i rzymskie rękopisma, jak rozsiewają po świecie utwory poetów i filozofów pogańskich! Ich to zabiegi sprowadziły wielki kataklizm. Dzięki im, pogaństwo i żydowstwo wstrząsnęło do gruntu chrześciaństwem! Starożytny poganizm stał się dla plemion romańskich bronią przeciwko Niemcom."

Ależ i Niemcy ulegli niemniéj wpływowi klasycznego odrodzenia; autor nie może tego przemilczéć. Pozwala im téż do gruntu badać starożytność, ale chłoszcze bez litości dawnych i nowych fanatyków szkolarstwa w Niemczech, widząc w nich odstępców idei narodowéj.

„I Niemcy— mówi on — umieją cenić wartość klasycznych nauk. Cóż wspanialszego nad ich wszystko ogarniającą wiedzę? nad zapał w zajęciu się sprawami wszystkich czasów i plemion? Niemcy to właśnie wskutek wrodzonego uczucia sprawiedliwości i dobrotliwego usposobienia z jakiém postępują względem innych ludów, i uznają cudze zasługi, oni to szczególniéj uzdolnieni do pojęcia i ocenienia klasycznéj starożytności. Nie pochlebiając sobie, śmiało możemy twierdzić, że Niemcy gruntowniéj zbadali grecki i rzymski klasycyzm, aniżeli Włosi i Francuzi. Lecz nie potrzeba przeceniać starożytności z poniżeniem geniuszu niemieckiego, dodaje z pychą Mentzel. W taki to bezrozum wpadli humaniści z XV i XVI wieku. Ba! i dziś jeszcze są w Niemczech pedanci szkolni, którzy mienią barbarzyńskiemi, wszelkie wyroby ducha germańsko-chrześciańskiego, a w pogańskim klasycyzmie widzą najwyższy ideał piękna. Cóżmże byli, pytam, równi im fanatycy klasycyzmu, w pierwszych czasach odrodzenia? oto nikczemnymi niewolnikami władzy, apologistami siły, obrońcami zepsucia dworskiego! Tacy to pedanci na niemieckich uniwersytetach skazili obyczaje, oni zaprowadzili młodzież na bezdroża, ujarzmiając ducha czarem poetów greckich. Im to winna początek tak zwana *schweinerei* akademicka, którą w tak ohydnych barwach odmalował Tholuck, professor w Halli."

Ale zdaniem autora, to co w Niemczech było wyjątkowém, rozwijało się normalnie u ludów romańskiego pochodzenia.

„We Włoszech — mówi — odrodzenie pogaństwa znalazło gorące poparcie władzy. Jakże skwapliwie zbierają tam pomniki języków klasycznych, jak hojną ręką sypią ich przekłady, komentarze, naśladownictwa! Jak skrzętnie z pod gruzów starożytnych miast dobywają posągi. Jakąż to radość, jaki zapał budzi odkrycie sławnéj gruppy Laokona. Malarze silą się na pomysły aby wyrazić pędzlem. A co? czyż nie urocze pogaństwo nasze w obec waszego chrześciaństwa? Starożytne ruiny świątyń, odłamy posągów, odbierają tam stokroć wyższe hołdy, niż chrześciańskie kościoły i ołtarze. Watykan napełnia się tysiącami posągów, po-

piersi i płaskorzeźb; gdzie rzuć okiem, pogańskie bożyszcza. Pałace możnych zdobią się w malowidła, do których dostarcza wątku chrześciańska legenda, połączona z grecką mitologią. Michał Anioł maluje pogańskiego Charona, prowadzącego zmarłych w sławnym obrazie Sądu Ostatecznego."

„Smak odrodzenia— ciągnie autor— szybko z Włoch przerzuca się za Alpy. Królowie Francyi wprowadzają go do Paryża, książęta burgundcy do Dijonu. Romantyzm średniowiecznéj epoki germańskiéj, ustępuje, zgłuszony pogańskim klasycyzmem. Dwór francuzki wita z poklaskiem włoską modę. Starobretańskie romanse o królu Arturze, podsycały tu od wieków plemienną nienawiść ku Germanom; klasycyzm będzie nowym orężem do zabicia germańskich wpływów. Jakoż Franciszek Iszy sprowadza z Włoch sławnych malarzy: Leonarda da Vinci, Andrea del Sarto, Benvenutego Cellini, buduje pałace, zawiesza ściany dziełami nowéj szkoły: następcy idą jego śladem. Dziś jeszcze pałace w Wersalu i Fontainebleau pełne obrazów pogańskich, wyglądają na siedziby starożytnych Cezarów Rzymu."

„Habsburgowie— mówi autor— szerzą ten popęd w Hiszpanii, Neapolu i Wiedniu; Wittelsbachowie w Monachium, książęta Düsseldorfu hołdują niemniéj nowéj modzie. Łatwo pojąć jak artyści ubiegali się o dogodzenie tym pogańskim zachciankom władzców!"

I któż byli, zapytamy ci Habsburgowie i Wittelsbachowie! juścić nie byli Romanami. Ale autor uważa tylko północne Niemcy, mianowicie Prusy za istotny wyraz geniuszu germańskiego, całe południe zarażone romanizmem, przeniewierzyło się idei narodowéj. Północ ocaliła nawę rozbijającą się na morzu obcego nowatorstwa, ma téż prawo nad nią zapanować. Oto ostatni wynik.

Autor poświęca szeroki ustęp dzieła *racyonalizmowi* zrodzonemu późniéj w Niemczech pod wpływem francuzkich wyobrażeń. Wpływ ten jakkolwiek niebezpieczny w zasadzie, według niego oddziałał tu dodatnio, i nie mało przyczynił się do postępu.

„Ponieważ — mówi — francuzka moda panowała na dworach, nie brakło w Niemczech umysłów wolnomyślnych *beaux esprits*, przesiąkłych na wskróś francuzczyzną. W ogóle jednak krytyka występowała tu do walki nie z bronią szyderstwa i bezbożnego dowcipu, ale z powagą i szlachetném oburzeniem na bezrozumną nietolerancyę wszystkich wyznań. Potrzeba myśl chrześciańską, mówili nowatorowie, oprzéć na prawach czystego rozumu: ztąd przezwano ich *racyonalistami*."

„W imię nowych idei— ciągnie krytyk— powstają w XVII wieku walki po wszechnicach niemieckich. Najzaciętsza toczy się w Lipsku, gdzie Tomasius wyzywa w zapasy i prawników i teologów. Wbrew uniwersyteckiemu zwyczajowi porzuca łacinę, pisze po niemiecku, chłoszcze pochlebstwa panegirystów dworskich, powstaje przeciw torturom, przeciw zabobonnéj wierze w czaro-

wnice. Taranem racyonalizmu wali gmach średniowiecznych przesądów, porusza liczne gniazda os i szerszeni. Przeciwnicy rzucają się nań z całą zajadłością, obwiniają go o kacerstwo, pisma jego skazują na płomień, pociągają go pod sąd. Miecz zawieszon jest nad jego głową, ale Tomasiusz ratuje się ucieczką pod skrzydła brandeburskich Hohenzollernów. Dom ten występuje w obronie prześladowanego racyonalizmu. Fryderyk Iszy król pruski wysoko ceni zasługi Tomasyusza, otwiera pole jego działalności, zamieniają małą akademię w Halli na wielki uniwersytet. Nowator działa tu bez przeszkody. w imię prawa i czystego rozumu. Inni professorowie lipscy: Franke i Spener, wygnani jak on, znajdują w Berlinie przytułek i opiekę."

„Ruch racyonalny— mówi daléj autor— znalazł silną dźwignię w wolnomularstwie, które z Anglii rozlało się na Niemcy. Podparł go jeszcze postęp w naukach przyrodzonych i rozbudzony popęd do podróży. Nauka dziejów świata, studya nad pogańską filozofią Greków i Rzymian, otworzyły dla myśli nowy horyzont. I protestanckie społeczeństwo musiało iść za prądem czasu, wiejącym silnie od Francyi."

Myśl ludzka z jednéj ostateczności przerzuciła się w drugą. „Luterska ortodoxya— mówi Mentzel— głęboko poniżyła człowieka, uważając go wskutek upadku Adama za całkiem zepsutego, i nie zdolnego do wydobycia się ze szponów szatańskich, chyba za wyraźną łaską Bożą. Po długim a strasznym okresie wojen religijnych, po procesach czarownic, podniesienie poniżonéj ludzkości było prawdziwém dobrodziejstwem. Człowiek odetchnął wolniéj. I sztuka wzięła udział w téj przemianie; malarstwo dość już nakréśliło bitew, krwawych męczeństw i ohydnych scen katów. Nagle w germańskiéj północy świta nowy brzask, wchodzą w modę krajobrazy i rodzajowe sceny z życia. Na dworach miejsce igrzysk rycerskich, zastępują sielanki pasterskie, w teatrach zamiast tragicznych dramatów, odgrywają dowcipne komedye i farsy."

Autor szydzi sobie z tego nowego zwrotu, z tego ubostwienia ludzkiego serca, z téj litości nad ludzkiém cierpieniem. Że dzielny duch niemiecki mógł tak dalece zmiękczéć, obwinia z jednéj strony wolnomularstwo angielskie, z drugiéj strony idee nowych filozofów francuzkich, mianowicie marzyciela z Genewy. Rousseau jednak więcéj ma u niego łaski niżeli Wolter. Dlaczego? bo urodzony w Genewie, na krańcach romańskiego i germańskiego świata, zaczerpnął w siebie coś z germańskiéj zacności. Posłuchajmy jak autor określa obu filozofów:

„Wolter zawdzięcza nadzwyczajne powodzenie we Francyi nienawiści do chrystyanizmu, wzgardzonego przez plemię romańskie. W sławnym romansie *Kandide* Wolter brudnym dowcipem bluzga na germanizm, hańbiąc go w osobie młodego szlachcica westfalskiego. Trafnym instynktem przeniknął on pokrewieństwo germanizmu z chrześciaństwem, i dlatego ogarnia je wspólną

nienawiścią. Ta plemienna nienawiść ku Germanom, ta negacya chrześciaństwa, czyni Woltera żywém uosobieniem romanizmu."

„Idea Wolteryańska — ciągnie dalej Mentzel — przeistacza się w marzycielu z Genewy, owianemu wpływem niemieckim. Rousseau równie jak Wolter przeczy chrześciaństwu, ale podczas gdy pierwszy poprzestaje na tém, że jak stara małpa wykrzywia się w oczy światu, wyśmiewa go i obrzuca błotem szyderstwa, Rousseau chce poprawić i uszczęśliwić ludzkość, już nie przez chrześciańskie, lecz przez humanitarne zasady, marzy o równouprawnieniu mas, formułuje prawa powszechnéj demokracyi. Ztąd to, kiedy Wolter znalazł mir na dworach książąt i możnéj szlachty, Rousseau w protestanckiém mieszczaństwie zjednał sobie gorących zwolenników."

Autor usiłuje wykazać smutny przewrót w pojęciach moralnych, jakię obcy nowatorowie wprowadzili do Niemiec. Wpływ ten oddziałał naprzód na literaturę, następnie przeszedł w życie, i doprowadził naród niemiecki do chwilowego upadku w pierwszych latach bieżącego stulecia.

„W imię równości — mówi Mentzel — pisarze i poeci biorą sobie za cel wywyższyć to wszystko co nizkie, poniżyć to wszystko co góruje, przyćmić co przyświeca. Występek nawet i hańba znajdują apologistów, jako skutki niesprawiedliwości wyrządzonéj bezbronnym przez możnych. Poeci szukają na wyścigi ideałów cnoty po żydowskich zaułkach miast, po plantacyach negrów. Tak to Lessing wynajduje szlachetnego żyda, Szyller szlachetnego bandytę, Zschokke szlachetnego galernika, Kotzebue szlachetnego złodzieja, szlachetnego kłamcę, szlachetną nierządnicę!"

„Do takiego schlebiania wyrzutkom i włóczęgom, którzy dotąd stali poza obrębem społeczeństwa, przyłączyło się wkrótce schlebianie zmysłom, gloryfikacya nieczystych popędów, dotąd potępianych przez prawa moralne. W imię świętych *praw serca* poeci zerwali z dawną wstydliwością, wrodzoną germańskiemu plemieniu, pokrywając bezrząd zasłoną estetycznego piękna. Goethe uczył Niemców uniewinniać zmysłowe popędy jako przyrodzone prawo wolnego wyboru, stojące w sprzeczności z twardém jarzmem małżeństwa. Inni przecież a mianowicie Szyller, przeciw téj kobiecéj miękkości, téj kokiéteryi serca, stawiali męzkie ideały bohaterstwa i cnoty, a lubo nie mieli na uwadze niemieckiéj narodowości i chrześciaństwa, przechowali jednakże święty ogień i nie wpadli w kloakę Wolteryanizmu."

Jeśli Mentzel ostro chłoszczo poetów, nie mniéj ostro biczuje filozofów szkoły racyonalnéj. „Filozoficzne i teologiczne auły — mówi on— stały się formalnemi fabrykami bogów. Professor-pyszałek usiłuje nasamprzód dowieść bytność Boga. Już go ma, lecz pokazać go jeszcze nie może, jeszcze nie zupełnie gotowy! prosi o cierpliwość, za chwilkę przedstawi go w całym blasku."

Stuletnią walkę racyonalizmu przeciw Bogu chrześciańskiego objawienia, przyrównywa autor do systematycznéj oppozycyi

nowoczesnego parlamentaryzmu przeciw tronowi. „Na takie to— mówi— bezdroża plemię romańskie wprowadziło ludzkość. Liberalizm wytryśnięty ze źródeł romańskich wstrząsł podwalinami germańskiego społeczeństwa. Objawiło się to więcéj w północnéj Ameryce niż w Europie. Dowodem *bezrozumne usamowolnienie Negrów.* (!) Nowi reformatorowie przepominają, że plemieniu murzyńskiemu brak zdolności do użycia praw im przysądzonych. Równie jak usamowolnienie murzynów, potępia niemniéj emancypacyę żydów w Europie, dokonaną z pożytkiem dla nich, lecz ze szkodą chrześciańskich obywateli!“

Ale idźmy do konkluzyi. Autor zakreśla przyszłe drogi idei germańskiéj, zwichniętéj zbyt długo w dziejowym swym pochodzie. Tryumf północnych Niemiec nad Francyą, otwiera nową erę Niemcom, a przez nich światu chrześciańskiemu.

Romańskie plemię— mówi autor—nie było zdolném do właściwego pojęcia chrześcianizmu. Plemię to zmysłowe, próżne, chciwe używania, zamiłowane w powierzchownych błyskotkach, rządzi się wyłącznie zwierzęcym instynktem, a nie umie zapanować nad sobą. Że przy tém otrzymało z natury smak i pojęcie sztuki, bystry umysł i estetyczną wytworność, ztąd łudzi się co do własnych błędów, i upiększa swe grzechy. I cóż dziwnego, że *chrześciaństwo* w ręku romańskiego plemienia stało się narzędziem władzy, systematem pogromu, komedyą, kłamstwem! Na tém właśnie zbywało Romanom, co stanowi piętno chrześcianizmu: brakło im *miłości bliźniego*, *uczucia ludzkości*, słowem, *ducha ofiary!* Samolubstwo, próżność, pycha, niemiłosierne chrześciaństwo względem innych plemion, oto główne rysy ich charakteru. Germańskie tylko plemię posiada cnoty potrzebne do pojęcia chrześciaństwa w jego wzniosłéj czystości.“

„Ostatnia wojna we Francyi — ciągnie Mentzel — objawiła nam całą otchłań bezbożności, kłamstwa, zezwierzęcenia, otchłań do jakiéj naród germański, a do tego protestancki nie byłby zdolnym zstąpić. Gdyby jeszcze Romanie zdolni byli jakiegośkolwiek samopoznania, błagaliby na klęczkach Germanów, tak dalece wyższych w religijności i wykształceniu, błagaliby na klęczkach o nowego pasterza, któryby ich na lepsze poprowadził pastwiska. Lecz oni zanadto dumni, zanadto zatracili w sobie wszelką szlachetność duszy. Nic nam zatém nie pozostaje, jak odosobniwszy się od nich, dać im przynajmniéj dobry przykład. W każdym razie jednak, Niemcy zdolni są w wielkiéj swojéj ojczyznie przeprowadzić zgermanizowanie katolicyzmu. To dziś głównem zadaniem naszém. Mielibyśmy po temu środki, zbywa nam tylko *na odwadze* aby ich użyć, brak nam *dumy* aby uznać w sobie stanowczo wyższość nad romańskiém plemieniem.“

Téj dumy, téj odwagi nie brak przynajmniéj autorowi i całéj jego szkole.

Oto ostateczny wynik z dzieła Wolfganga Montzla: Niemcy dzisiejsi (północni) reprezentują geniusz wszystkich ludów ger-

mańskich. Mają prawo panować nad ludami romańskiemi i słowiańskiemi. Prawo to wypływa z przewagi ich intelligencyi, moralności, a nadto z łańcucha zdarzeń historycznych. Jakiż cel téj przewagi niemieckiéj? aż nadto on widoczny. Urzeczywistnić prawo Boże na ziemi, prawo miłości bliźniego, którego świat nie zdoła zrozumieć i wprowadzić w życie, bez przewodnictwa Niemców. Niemcy zaś aby odpowiedzieć godnie wielkiemu zadaniu, powinni odrzucić na bok spory filozoficzne i religijne, katolicyzm i protestantyzm, a połączyć się w uznaniu jedynego Boga na niebie, podług zasad Aryusza, zasad wyznawanych przed wieki przez prawdziwych przedstawicieli germanizmu: Wandalów, Ostrogotów i Longobardów."

Wstrzymujemy się od wszelkich protestacyj, te zadalekoby nas zaprowadziły. Zakończymy rzecz jedną tylko uwagą: Szkoła jaką tak dobitnie reprezentuje p. Wolfgang Mentzel, ma widocznie na celu poniżenie romańskiego, a wywyższenie germańskiego plemienia. Wyrazy: *plemię*, *rasa*, ciągle są tu pod piórem. *Charakter krwi* stanowi podług téj szkoły wyższość albo niższość narodów. Otóż ta szkoła myli się w samém założeniu. Francuzi bowiem, którzy są głównym celem jéj pocisków, jako reprezentanci plemienia romańskiego, nie przyznają sobie tego rodowodu, lecz mienią się synami starych Gallów.

Błąd w tym względzie przez długi czas upowszechniony, ustępuje dziś w obec nowych badań, na które i my sami nieraz już zwracaliśmy uwagę, mówiąc o ostatnich pracach Emila Chasla, Guizota, Henri Martin i innych.

Nową protestacyą przeciw opinii o pochodzeniu romańsko-łacińskiém Francuzów, podniósł p. Kazimierz Delamare, na jednóm z ostatnich posiedzeń Towarzystwa geograficznego paryzkiego, w rozprawie o pracach Viquesnela nad Słowiańszczyzną. Rozprawa ta drukowaną była w buletynie Towarzystwa z miesiąca marca r. b.

Sypią się ciągle w Paryżu dzieła i dziełka, o czasach oblężenia i komuny. Samo wyliczenie ich tytułów zajęłoby nie jedną stronnicę. Wartość tych publikacyj rozmaita; w każdym razie stanowią one ważny materyał dla przyszłego historyka tych nieszczęśliwych czasów. Są to po większéj części artykuły dziennikarskie, pisane z dnia na dzień, zebrane teraz w jedną całość, dopełnione objaśnieniami. Tym sposobem powstały książki pp. Helta z *Verité*, Veuillota z *Universa*, Jezierskiego z *Opinion Nationale* i wiele innych.

W jednéj z tych publikacyj, znajdujemy ciekawe szczegóły o Wolterze, przypominane z powodu inauguracyi jego pomnika na bulwarze dawniéj *Prince Eugéne*, przezwanym dziś *Boulevard Voltaire*. Szczegóły te nie są wymysłem złéj woli, autor zestawił tylko ułomki, z własnoręcznych listów i wierszy filozofa z Fezney

do króla pruskiego, uwił z nich dziwnego rodzaju wiązankę i rzucił ją pod stopy monumentu. Inauguracya jak wiadomo odbyła się w początkach wojny pruskiéj, 14 sierpnia 1870 roku.

Przytaczamy niektóre ustępy z listów Woltera, nadzwyczaj uderzające w obec dzisiejszych zdarzeń.

„Panie! jesteś stworzony na mego króla, bardziéj zaprawdę niż Śty Franciszek i Śty Dominik na patronów moich. Piszę więc do króla mojego:

Votre esprit, votre ardeur guerrière
Des Français se feront chérir,
Vous aurez le double plaisir
Et de nous vaincre, et de nous plaire.

(„Twój rozum, twój zapał rycerski: drogimi zostaną dla Francuzów. Podwójną uczujesz radość, żeś nas pobił i zyskał serca nasze.")

„Poseł waszéj królewskiéj mości śmiało powiedzieć może: *Francuzi są wszyscy Prusakami.*"

Kiedy Fryderyk II wybierał się do Paryża, Wolter tak pisze w liście:

„O Paryżu! bądź godzien jeżeli możesz zwycięzcy, którego masz przyjąć w twym obrębie, bezkształtnym i zabłoconym.

„Najjaśniejszy panie! otóż jestem w Paryżu! to jak sądzę twoja stolica."

Fryderyk jak wiadomo podczas wojny prowadzonéj z Francyą, wygrał w roku 1757, krwawą bitwę pod Rosbach. Było to dla Francuzów jakoby pierwsze Waterloo. Jedyny człowiek ośmielił się powinszować w języku francuzkim tryumfatorowi. Tym człowiekiem był Wolter. Napisał on natychmiast dwa listy do Fryderyka. Król odpowiedział mu na to:

„Dziękuję za sympatyczny udział w szczęśliwych wypadkach jakie mi sprzyjały."

W pół roku późniéj Wolter wystąpił z wierszem:

Heros du Nord, je savais bien
Que vous aviez vu les derrières
Des guerriers du roi Très-chretien
A qui vous taillez des croupières.

Kończymy na tém cytacyą; reszta jest ohydna. Wstrzymujemy się nawet od przełożenia tego bezecnego czterowierszu.

W siedm lat potém Wolter powraca jeszcze do przypomnienia dnia Rosbachu tak smutno pamiętnego dla Francyi. Pod datą 27 kwietnia 1775 pisze do Fryderyka, z podziękowaniem za otrzymany portret:

„Niéma Welcha (Galla) któryby nie zadrżał spoglądając na ten wizerunek. Tego ja to właśnie pragnąłem:

Tout Welche qui vous examine,
De terreur panique est atteint,
Et chacun dit à votre mine
Que dans Rosbach on vous a peint.

(„Każdy Welsz gdy spojrzy na ciebie, przejęty postrachem panicznym, każdy patrząc na twoją postać, rzecze iż cię w Rosbach malowano.“)

W tymże samym roku 1775, tak się wyraża Wolter w nowym liście do króla:

„Ilekroć piszę do Waszéj królewskiéj mości w przedmiocie poważniejszym, *drżę jak nasze pułki pod Rosbach!*“

Gdzieindziéj czytamy znowu:

„Podczas kiedy przed oczyma Waszéj królewskiéj mości, manewruje 30 lub 40000 wojowników, nie mogę nic lepszego uczynić jak przesłać mu bitwę pod Rosbach rysowaną przez Estalonda.“

Chaque peuple a son tour a reigné sur la terre,
Par les lois, par les arts, et surtout par la guerre.
La siècle de la Prusse est à la fin venu.

(„Każdy lud panował z kolei na ziemi, potęgą praw, sztuk pięknych, a szczególniéj miecza. Wiek Prus nadszedł nakoniec.“)

W dniu 7 grudnia 1774 r., pisze Wolter te słowa:

„Czy pamięta Wasza królewska mość śliczną sztuczkę, którą raczyłeś mi przysłać przed piętnastu laty, a w któréj malujesz tak wybornie „ten lud głupi i trzpiotowaty, zarówno dzielny do łupieztwa, jak nikczemny na polu bitwy:

Ce peuple sot et vollage,
Aussi vaillant un carnage,
Que lâche dans les combats.

W maju 1775 r. pisze znowu:

„Mundur pruski na to przeznaczony, aby Welsze przed nim padały na kolana.“

Nie pojmujemy doprawdy, dlaczego autor dzieła *Ram's Unrecht*, zabierając Włochom Danta Aligherego i mieniąc go raczéj Niemcem niżeli Włochem, nie pomyślał o zabraniu Francuzom Woltera. Nowy bałwochwalca Hohenzolernów, zamiast połączyć się z dawnym bałwochwalcą i śpiewać z nim razem hymn pochwalny, zowie Woltera *starą małpą*, wykrzywiającą się do świata, i otacza go wspólną nienawiścią z Janem Jakóbem Rousseau; wiadomo przecież jak Wolter nienawidził sławnego Genewczyka, jakie sypał mu przydomki. Rousseau w oczach Woltera był

szaleńcem, polissonem, psem, małpą, najohydniejszym łotrem jaki kiedykolwiek shańbił literaturę (1).

Mniej pojmujemy jeszcze, jakim sposobem część Francuzów, do tego stopnia uległa obałamuceniu, że nie zatrzymała się przynajmniéj z inauguracyą dawno przygotowanego pomnika, lecz odkryła go publicznie po smutnych dniach Wissenburga i Wörthu, kiedy już dziennik urzędowy zapowiadał wielkie niebezpieczeństwo dla Francyi. Wyjaśnić to można o ile nam się zdaje tym nieszczęśliwym systematem stałéj opozycyi przeciwko wszelkiéj władzy, téj opozycyi *bądź co bądź*, która, jak wyznał Gambetta w sławnéj odezwie w Bordeaux, mniéj miała na celu dobro Francyi, niż dziecinną manią czynienia rządowi *na złość*. Ta publiczna spowiedź Gambetty, aż nadto była potrzebną!

Powiedzmy dziś słówko o ruchu literackim naszych pobratymców Czechów. Kto patrzy na tę żartkość i energią jakiéj dają dowody w odnowionéj walce przeciw germanizmowi, mógłby mniemać, że wszystkie siły wyczerpali z siebie w tym kierunku. Tymczasem życie Czechów rozwija się niemniéj silnie na niwie literatury. Sama nawet poezya, ta pierzchliwa ptaszyna, co zwykła śpiéwać tylko w ciszy gajów, a ucieka przed gwarem ludzkim, ma tu swych gorących zwolenników i pełnych talentu uprawiaczy.

Ostatni rok smutno się odbił w literaturze czeskiéj, śmierć bowiem wyrwała tu z liczby pracowników, dwóch znakomitszych przedstawicieli ruchu umysłowego. Mówimy o uczonym Karolu Erbenie, i młodym poecie Wacławie Szolcu. Każdemu z nich poświęcimy krótkie wspomnienie.

Karol Jaromir Erben urodził się 7 listopada 1811 roku w Milutynie. Nauki pobierał za staraniem i pod opieką proboszcza miejscowego Jana Arnolda: ukończył je w Królowym grodzie. W uniwersytecie Pragskim przeszedł kurs filozofii.

Zatrzymamy się najprzód nad pracami Erbena w wydziale erudycyi, a potém pokażemy go jako pełnego natchnienia poetę.

Wcześnie zabrał się młody Erben do studyów nad językiem i dziejami swego narodu. Bystry w poglądach, niezmordowany w pracy, zwrócił na siebie uwagę historyka Palackiego, który otworzył mu szerokie pole do badań. Pod tarczą takiego mentora, młody pracownik pozyskał wkrótce imię uczonego. Z niezmordowaną gorliwością odczytywał stare archiwa, i zbierał skrzętnie materyały do dziejów tak Czech, jak całéj Słowiańszczyzny.

(1) Oto wyrażenie Woltera: La Chienne d'Erostrate, ayant rencontré le Chien de Diogène, avait des petits, dont Jean Jacques est descendu en droite ligne.

W przeciągu lat trzech od 1844—1847, przejrzał Erben wszystkie archiwa czeskie; nie tylko w Pradze, ale i w całym kraju. Była to praca wymagająca benedyktyńskiéj cierpliwości. Potrzeba było uporządkować te dokumenta, opisać je, porobić z nich obszerne wyciągi, porównać wszystkie między sobą. W owym to czasie właśnie, powstała myśl wydawania czeskiego herbarza, ku czemu obiecywało przyjść z pomocą kilku pierwszych magnatów czeskich. Zebranie materyałów w tym przedmiocie powierzono Tomkowi i Erbenowi.

Zamiar nie doszedł do skutku, podjętą przecież w tym celu pracą, Erben wyrobił sobie ważne stanowisko naukowe. Znakomicie zasłużył się krajowi urządzeniem czeskiego *Muzeum*; nie dość że je uporządkował, ale co więcéj wzbogacił wypisanie z archiwów rozmaitych miast czeskich. W nagrodę pracy tak mozolnéj, w roku 1846 na wniosek Palackiego, został mianowany asystentem przy zbiorze dokumentów i starożytności czeskiego muzeum; w roku zaś 1850, głównym jego archiwistą i sekretarzem.

Zajął się następnie uporządkowaniem dokumentów miasta królewskiego Pragi (1854) za co otrzymał tytuł honorowego kustosza Miejskiéj Biblioteki. W kilka lat późniéj (roku 1863) mianowany był generalnym archiwistą wszystkich miast czeskich.

Ciągłéj pracy po bibliotekach i archiwach, zawdzięczał Erben głęboką znajomość starożytnego języka ojców swoich, wzbogacił on literaturę wydaniem wielu starych rękopismów, dodając do nich wstępy i uczone objaśnienia. Te prace drukował w części po czasopismach, a niekiedy oddzielnie. Oto są tytuły tych ważnych publikacyj:

Żywot świętéj Katarzyny z rękopismu XIII wieku, odkryty przez Dra Pečirka w Stokholmie, wydany w roku 1862.

Bartoszowa kronika Pragska (1851—1862).

Sześć książeczek Tomasza Szczytnego: *O powszechnych rzeczach chrześciańskich*, (1852).

Podróż do Ziemi Świętéj i do Egiptu, Krysztofa Haranta z Pelžic, (1854—1855).

Zbiór pism czeskich Jana Hussa w trzech tomach, (1864—1868).

Wybór z literatury czeskiéj do końca XVII wieku.

Erben znał doskonale język czeski, nie tylko literacki i historyczny, lecz niemniéj i prawniczy. W skutek tego mianowano go w roku 1848, tłumaczem praw na język czeski. W rok potém minister Bach powołał go do Wiednia, na członka komissyi układającéj terminologią prawniczą dla wszystkich języków słowiańskich. Prezesem jéj był uczony Szafarzyk. Późniéj gdy rząd rozwiązał ową komissyą, Erben zabrał do Pragi prace przez siebie dokonane, i wydał je p. t.: *Prawnicza terminologia czeska.*

Oprócz tego, ogłosił drukiem wiele innych dzieł prawnych, wspólnie z Drem Friczem, Strobachem, Hawliczkiem i Neubaurem.

W roku 1861 został głównym redaktorem przeglądu *Prawnik*, gdzie ogłaszał badania nad prawem czeskiém.

Do najważniejszych prac naukowych, którym Erben zawdzięcza sławę swoją tak w kraju jak zagranicą, należy wielkie dzieło pod tytułem: *Regestra Diplomatica nec non epistolia Bohemiae et Moraviae*, wydane w r. 1855.

Z innych prac erudycyjnych przytaczamy tu jeszcze:

Die primatoren der Altstad Prag (1858). Tu opisuje dzieje Pragi od XVI wieku aż do dni naszych.

Szkice życia wiejskiego w Czechach, a szczególniéj w Pradze w wieku XVI, drukowane w czasopiśmie *Obzor*, 1855.

Geschichte des bürgelichen priv: Scharfschützen korp.

Kaple w Radnicy Staromiejskiéj po czesku i po niemiecku.

W rękopismach pozostawił: *Wypisy z zagranicznych pisarzy o narodzie czeskim do r. 1836.* Praca ta ma wyjść niezadługo jako część wielkiego zbioru materyałów historycznych: *Fontes rerum Bohemiorum.*

Oprócz tylu ważnych prac, literatura czeska winna jeszcze Erbenowi przekład *Ruskiéj kroniki Nestora*, wydany w roku 1867, oraz przekład *Pieśni o wyprawie Igorowéj*, z krytycznemi i historycznemi objaśnieniami, drukowany r. 1869.

Był Erben niemniéj gorliwym współpracownikiem wychodzącego podziś dzień *Naučneho Slownika* (Encyklopedyi czeskiéj). Ostatnie wyrazy jakie wypracował były: *uros*, *unos*, *upir*.

Nie w samych tylko pożółkłych pargaminach, niezmordowany ten pracownik szukał przeszłości swego narodu; szukał jéj też skrzętnie w żywéj piersi ludu czeskiego, w jego podaniach, obyczajach i literaturze. Do tych żywych zabytków przeszłości, najwyższą przykładał wagę. „Dopóty, mawiał, żyje naród, dopóki chowa pilnie narodowe swoje pamiątki.“ Przejeżdżając też z miejsca na miejsce w celu poznania archiwów czeskich, chętnie jak niegdyś Zoryan Chodakowski, wstępował w progi chat wieśniaczych i zbierał z ust ludu odwieczne podania i pieśni. Zrozumiał on, że pieśni szczególniéj wiernóm są zwierciadłem uczuć i pragnień narodu, czuł też głęboko potrzebę zachowania dla potomności, owych drogocennych zabytków.

Pomiędzy rokiem 1842 a 1845 wydał trzy zeszyty ludowych pieśni w Czechach. Późniéj w innych trzech zeszytach dodał do nich i melodye; muzyka nie była mu też obcą.

Rozszerzył następnie ten zbiór i ogłosił go pod tytułem: „Prosto narodni Ceske pisne a řekadla (opowieści), w 1862 i 1863 roku, w sześciu zeszytach, dołączając do nich melodye w osobnym zeszycie.

W dziele: „Slovanska čitanka“, zebrał sto ludowych podań i powieści, w językach ludów słowiańskich. Oprócz tego drukował mnóstwo rozpraw w tym przedmiocie po różnych czasopismach

i rocznikach czeskich jak: „Pamiatki archeologickie“, „Obrazy żiwota“, *Lumír*, *Zlotá Praha*, *Kvety* i t. d. Zasługuje tu na uwagę praca ogłoszona w *Matice ludu* (rocznik III), p. t.: „Wybrane baje a powesti narodni jinych vítvi (gałęzi) slovanskych.“

Wyniki badań Erbena, w zakresie mitologii i etnografii słowiańskiéj, drukowane były częściowo w *Czasopiśmie czeskiego muzeum*. Oto spis chronologiczny, tych ważnych publikacyj.

Obítowanie zemi 1848 roku.—Imiona miesięcy słowiańskie a szczególniéj czeskie r. 1849.— O dwojcy i trojcy w mitologii słowiańskiéj.—Czeskie zażegnywanie w chorobach 1860.—Podania słowiańskie o stworzeniu świata, 1866.—Wszystkie te prace były tylko wstępem i początkiem do wielkiego dzieła o *Mitologii słowiańskiéj*, nad którém Erben pracował długie lata; nie wykończył go jeszcze, gdy go śmierć zaskoczyła.

Owiany urokiem pieśni i podań ludu, poprobował téż uczony starożytnik sił swoich na polu poezyi. Oryginalne jego pieśni osnute na tle podań czeskich, zalecają się niesłychaną świeżością i prostotą. Czytając je, dziwić się wypada, że te urocze kwiaty mogły wyjść z pod pióra głębokiego erudyty, który strawił część życia w atmosferze zapylonych archiwów i odwiecznych bibliotek.

Zbiór pieśni jego p. t. *Kytice* (wiązanki) z *povesti narodnich*, wydane były trzykrotnie w latach: 1853, 1861 i 1871. Utwory te pełne życia, barwy i woni, zapewniły mu znakomite miejsce w plejadzie nowoczesnych poetów czeskich.

Złożony chorobą, nie składał jeszcze pióra. Przygotowywał właśnie libretto do czeskiéj opery, gdy śmierć przerwała niedokończoną pracę.

Erben jako człowiek miał téż niepospolite zalety: szlachetny, usłużny, miły w obejściu, odznaczał się nadzwyczajną prostotą i skromnością. O niesłychanéj wytrwałości w pracy, wymownie świadczą dokonane przezeń dzieła.

Umarł 21 listopada 1870 r., w pięćdziesiątym dziewiątym roku życia. Śmierć jego osierociła żonę i trzy córki; osierociła niemniéj czeską literaturę, do któréj podźwignięcia i wzrostu tak się był potężnie przyczynił.

Życiorysy jego wychodziły w różnych czasach z pod pióra zdolnych pisarzy. Wacław Zeleny wydał pierwszy z nich w *Almanachu, maj* r. 1859; drugi wydał Józef Rank w *Slovniku Naučnem* (Encyklopedyi), i w *Osveti* r. 1868, ostatni napisał Dr Józef Emler w *Kvetach* 1868 roku. Portret Erbena, bardzo podobny, umieszczony był w czasopiśmie *Swetozor* z r. 1870 (Nr 19).

Zbiór poezyi *Kytice* rozpoczyna Erben pieśnią p. t. *Wiązanka kwiatów*. Dajemy go w przekładzie:

WIĄZANKA.

Umarła matka, złożono ją w grobie,
Zostały po niéj sieroty;

Każdego ranku chodziły w żałobie
Na grób matuni swéj złotéj.

I użaliła się matka tych dziatek,
Łzy ją sierotek zwabiły;
Dusza jéj wrosła w drobnolistny kwiatek
Co ściele darnę mogiły.

Po woni matkę poznały sierotki,
Drogi im kwiatek ten mały;
Czują zaklęty w nim oddech jéj słodki,
Duszą go matki przezwały (1).

Pieśni! co w dawną wzrosłyście mogiłę,
Wy dla mnie duszą macierzy!
Wy mi powiedzcie o kwiateczki miłe
Komu was oddać należy?

W skromną równiankę splotę was jak mogę,
Związę wstążeczką powiewną;
Przez lasy, pola, ukażę wam drogę
Między rodzinę pokrewną.

Może zbłąkana gdzie córa matczyna
Pozna was kwiatki po woni;
Może po drodze spotkacie jéj syna,
Co łzę nad wami uroni!

Inną pieśń o Wierzbie osnuł poeta ściśle na tle ludowém. Wplótł w nią odwieczne podania o *mocném słowie*, którego zaklęta siła wiąże smoki i strąca gwiazdy z nieba; o *śmiertelnéj żonie*, zaklętéj w pień starój wierzby. Przytaczamy tę pieśń dosłownie:

WIERZBA.

Do śniadania siadło dwoje,
Pan zapyta panią swoję:

—„Pani moja, pani miła,
Zawsześ dla mnie słodką była;

Już dwa latka żyjesz ze mną,
Ty ukrywasz coś tajemno.

Myśl mnie dręczy wciąż boleśnie:
Co się z tobą dzieje we śnie?

(1) Macierzy duszyczka *vel* macierzanka. Podanie to upowszechnione w Czechach.

Z lic rumieniec zbiega świeży,
Twoje ciało martwo leży.

Nadaremnie skłaniam ucha,
Nigdzie śladu twego ducha;

Trupio zimne twoje ciało,
Jakby próchnieć poczynało;

Choć w kolébce dziecię kwili,
Nie rozbudzisz się i chwili;

Pani moja, pani złota,
Zkąd ta niemoc, ta martwota?

Jeśli niemoc dręczy ciebie,
Wszak są leki jak Bóg w niebie;

Kiedy słonko błyśnie wiosną,
W polu wonne ziółka rosną;

Gdy nie nada ziółko w biedzie,
Mocne słowo nie zawiedzie;

Mocne słowo z ciemną wodą,
Słabe łodzie w burzy wiodą;

Słowo kruszy wpół opoki,
W parze z ogniem wiąże smoki;

Słowo gwiazdę strąci z nieba,
Jego mocy użyć trzeba.“

—„O mój panie, miły panie!
Jak sądzono niech się stanie.

Jaką dolę Bóg naznaczy,
Nie przemieni człek inaczéj;

Nie przebijesz muru głową,
Czém przed Bogiem ludzkie słowo?

Chociaż nocą jam bez ducha,
W niebie cała ma otucha;

Bom ja zawsze w Bożéj mocy,
On mnie strzeże w dzień i w nocy;

A choć we śnie martwa leżę,
Rankiem czuję siły świeże.

Gdy różowa błyśnie zorza,
Ukrzepiona wstaję z łoża.“

—„Próżne pani twoje słowa!“
Pan myśl skrycie w duszy chowa?

Na kominie tli ognisko,
Stara babka siedzi z miską;

Liczy pełne misy wody,
Pan do babki rzecze młody:

—„Słyszysz matko, ty wiesz dużo,
Twoje rady mi posłużą.

Zkąd ta niemoc jéj sądzona?
Gdzie śmiertelna chodzi żona?

Zkąd ta klątwa padła na nią?
Co się dzieje z moją panią?

W dzień rumieniec jéj tak świeży,
W nocy ciało martwe leży;

Choć do piersi przyłóż ucha,
Nikt się tętna nie dosłucha;

Trupio zimne biednéj ciało,
Jakby próchnieć poczynało!“

—„Pytasz panie zkąd martwota?
Bo w niéj tylko pół żywota!

We dnie z tobą, gdy dzień minie,
Nocą dusza jéj w drzewinie.

Idź nad strugę pod oborą,
Znajdziesz wierzbę z białą korą;

Żółte pręty rosną na niéj:
W niéj jest dusza twojéj pani.“

—„Nie chcę żony, rzekł pan w gniewie,
Coby żyła duszą w drzewie;

Raz mi skończyć z czary temi,
Niechaj wierzba zgnije w ziemi.“

Chwyci topór, zatnie z siłą,
Wnet się drzewo powaliło;

Od korzenia tnie raz drugi,
Padła wierzba na dno strugi:

Zaszumiała— jękła drżąca,
Niby matka konająca,

Jak ta matka, co nim skona,
Patrzy w dziecię rozżalona.

—„Któż to umarł w moim domu?
Komu biją dzwony, komu?“

—Twojéj żonie biją dzwony,
Kwiat twój kosą padł zsieczony;

Padła chodząc tu przed dworem,
Niby drzewo pod toporem!

Z martwych powiek łzy jéj płyną,
Znać z tęsknoty za dzieciną.

—„Biadaż, biada! co uczynię!
Jam ją zabił w téj wierzbinie!

Już nie odżyć jéj na świecie,
Już sierotką biédne dziecię!

Oj ty wierzbo, wierzbo biała,
Tyś pół życia mi zabrała!

Tyś oblekła mnie żałobą.
Cóż ja wierzbo zrobię z tobą?

—„Każ wyciągnąć mnie nad wodę,
Poobcinaj pręty młode,

A z tych prętów żółtych oto
Kolebeczkę niech uplotą.

W nią dzieciątko włóż nieboże,
Tam mu łezki oschną może.

Niech zasiędzie matka słodko
U wezgłowia nad sierotką.

Posadź pręty koło wody;
Pilném okiem strzeż od szkody.

Gdy wyrośnie chłopię duże,
Niech fujarkę z nich wystruże;

Niechaj zadmie w nią co siły
A wywoła mnie z mogiły.—“

Przytaczamy jeszcze jedną:

WIECZÓR.

Wieczór zapadł, biją dzwony,
Son nam oczy ćmi;
Jasnych gwiazdek miliony,
Cudownie się skrzy.
W nocnéj dobie
Jakże tobie
Serce... mówże mi?

W górębym ja poleciało
Otulone w mgłę,
Tam w kropelkę rosy małą
Zmieniłobym się,

Leciałobym z dźwiękiem spiżu
W nieskończoną dal,
Zadzwoniło w gwiazd pobliżu
Wśród powietrznych fal;
Sercem dzwonów,
Serc milionów
Koiłobym żal!

W kilka miesięcy po Erbenie umarł inny poeta Wacław Szolc; młodzian rokujący najpiękniejsze nadzieje. Czesi boleśnie uczuli tę stratę.

Wacław Szolc urodził się w 1839 r., skończył życie w rodzinném miejscu Sobótce, na suchoty 14 lipca 1871 roku. Od małego dziecka do roku 1860 uczył się w giminazyum w Ičiňe (Iczynie). Na rozwinięcie jego umysłu wpłynął najsilniéj professor Uchlicz. Poezye swoje drukował po czasopismach: w Kronice Rodzinnéj, w Kwiatach. w Wiośnie kutnonorskiéj, w Ruchu, w Almanachu czeskich studentów i Svietozorze. Pieśni jego w ogólności pełne ciepła, tchną jakimś niewysłowionym urokiem. Do najwyżéj ce-

nionych należą *Sonety Świętowacławskie.* Zbiór jego poezyi wyszedł osobno pod tytułem Prvsenki (pierwiosnki). Trzy wydania tego zbioru zupełnie już wyczerpane. Przytaczamy parę z tych pieśni:

RENEGAT.

Na tureckim kobiercu
Zasiadł pasza ponuro,
Znać niepokój ma w sercu,
Czoło zaszło mu chmurą.

Trwoga w duszy wciąż rośnie,
Z lica krasa mu znika,
Bo za oknem żałośnie
Brzmi piosenka lirnika.

—„Dajcie—woła na sługi—
Sznur jedwabny a długi:
Kto się śpiéwać ośmieli,
Pieśń mu zduszę w gardzieli.“

Jak za zwierzem psów smycze
W lot pobiegły sług chmary,
Już przed paszy oblicze,
Kroczy z gęślą dziad stary.

Noc mu czarna wzrok słoni,
Gęśl w zgrzybiałéj drży dłoni;
Pasza z licem ponurem
Milcząc igra ze sznurem.

—„Powiédz—spyta—psie podły!
Zkąd-że struna ta drżąca?
Że w mój duszy wychłodłéj
Roje wspomnień potrąca!

—„Padł baranek mój biały
W klęsk szalonym padł wirze,
Skórę jego zbolały
Jam uwiązał na lirze.“

—„Mówże jeszcze psie stary,
Mów, z jakiegoś ty drzewa
Strugał lirę, co czary
Na mą duszę rozsiewa?

—„Na wysokim Bałkanie
Rośnie jawor wspaniały,
Jam hodował go, panie,
Łzy go moje zlewały,

Gdy bez słychu, bez wieści
Tam wygnaniec sierota,
Lat spędziłem trzydzieści
Hajduczego żywota!“

—„Czemu starcze, mów spieszno
Głos w twéj zachrzypł gardzieli?
Mów, nim duszę twą grzeszną
Ten sznur z ciałem rozdzieli!

—„Mnież pogróżki ustraszą?
Wszak nie znana mi trwoga,
Głos mój zachrzypł, o paszo!
Bom słał klątwy do Boga,

Bom na własne me dziecko
Wzywał pomsty i kary,
Gdy syn zrzekł się zdradziecko
Ojców cześci i wiary.“

Od Bałkanu dmą burze,
Szum jaworu wciąż straszy;
Na jedwabnym tam sznurze
Igra z wiatrem... trup paszy.

ŁAWECZKI.

I.

Stoi w ojców moich ziemi
Góra nie wysoka,
Jak na ślubne strojna gody
Dziewa modrooka;

Łąk kobierzec się roztacza
Cudnie u podnóży,
Z boku niby krasne wstęgi
Kwitną krzaki róży;

A na górze stoi zamek,
Dach na basztach złoty:
W zamku błyszczy dziewczę perła,
Klejnot nad klejnoty.

II.

W ojców moich pięknéj ziemi
Kwitną łąki świeże,
Nad doliną się unoszą
Złote zamku wieże.

Tam pastuszek co dnia młody
Pasie trzódkę z rana,
Z rosą wietrzyk niesie w górę
Słodką pieśń młodziana.

Chłopiec śpiéwa urok wiosny,
Miłość i nadzieję,
Aż się w zamku dziewczę perła
W serduszku rozśmieje.

I leciuchna jak sarenka
Na nóżki poskoczy,
Wzrok obróci ku dolinie,
Spojrzy chłopcu w oczy.

III.

Rośnie lipa rozłożysta
W pięknéj ziemi mojéj,
Na kwiecistéj rośnie łące,
Nad nią zamek stoi.

A pod lipą dwie ławeczki
Porosłe darniną,
Tam zasiada piękny młodzian
Z uroczą dziewczyną.

To pastuszek co za trzodą
Pieśń miłości śpiéwa,
To bezcenna perła zamku
Czarodziejska dziewa.

Księżycowym blaskiem świeci
Jasne chłopca oko,
Dziéwa modre w niém źrenice
Utkwiła głęboko.

Oba serca żarem płoną
Wiatr lipiną chwieje,
Rozśpiewany słowik głosi
Młodych serc nadziejo.

IV.

W ojców moich pięknéj ziemi
Zamek podniósł czoło,
Wieżycami złocistémi
Połyska w około.

Pyszny zamek głową sięga
W powietrzne lazury,
Lecz pyszniejszy pan zamczyska
Wyrzecze do córy:

—Hodowałem cię jak złoto
Jedynaczko droga,
Lada przybysz cię nie weźmie
Z ojcowskiego proga.

Chowałem cię jak tę perłę
Co się w morzu świeci,
Kto bądź ciebie córko miła
Nie ułowi w sieci.

Chowałem cię jak królewnę
Piękna moja córo,
Tobie chadzać-li odzianéj
Królewską purpurą.

V.

Wjeżdża książe w zamku bramy,
Oblicze mu płonie;
Droga perła niech zaświeci
W królewskiéj koronie,

W zamku pląsy, radość, wrzawa,
Aż się wstrząsły ściany;
Słyszy gędźbę tę godową
Kraj rozradowany.

Ach! dwa tylko serca płaczą,
Ból szarpie dwa łona:
Pasterz płacze tam pod lipą,
W zamku narzeczona.

Gdy nad zamkiem pierwsza gwiazda
Zaświeci w oddali,
Smętny pasterz pieśnią łzawą
Niebiosom się żali.

A gdy błyska tarcz miesiąca,
Głos mu zadrżał smutniéj;
Pękła struna serca drżąca
Jak w rozbitéj lutni.

Ależ oto złote słonko
Padło na doliny,
Patrz! na ławie trup pasterza,
W zamku trup dziewczyny.

I po dziś dzień choć nad ziemią
Powiał kir żałoby,
Stoi lipa... a pod lipą
Dwie ławki... dwa groby.

W noc je niebo rzeźwi rosą,
W dzień je lipa cieni;
Czyż im nic już zatraconéj
Nie wróci zieleni.

Chyba kiedyś łza miłości
Na te groby spłynie,
I rozbudzi nowe życie
W téj śmierci dolinie!

Z pieśni p. t.: *Śpiéwak* piśničkař, dajemy tu kilka zwrotek. Oto ideał ludowego śpiewaka stworzony wyobraźnią poety.

Gniazdem mi była ona Praga złota,
Co śle ku niebu stu świątyń dzwonnice;
Na powitanie u progu żywota
Noc mi zesłała grom i błyskawicę.
Z krzyku dzieciny przed ołtarzem Pana,
Proroczo babka odgadła jéj dolę:
„Słyszycie kumy—wyrzekła spłakana—
Śpiewakiem będzie to biédne pacholę.

. . . . . .

Nie miałem głowy gdzie złożyć w méj nędzy,
Więc na skalistym Wyszehradu szczycie,
Jam przy gwiazd blasku snuł złotą nić przędzy,
Wsnutéj w przesławne mych praojców życie;
Lub na Żyszkowie, gdy mi zawierucha
Chłostała lica, szalała nad głową,
Na ryk piorunów jam nadstawiał ucha,
Bym się do ludu mógł ozwać ich mową.

I na Petczynie, i w kościele Wita,
Na płaczu długie spędzałem ja noce,
Kiedy Wełtawa o skały rozbita
Pieśnią żałoby z cicha mi pluskoce;
Wiem, czemu pieśń jéj boleśnie splątana,
Śpiewak narodu, jam ugiął kolana!

Ziomkowie sławni i wy dobrzy ludzie,
Kiedy wraz z życiem umilknie me słowo;
Gdy dni domotam w boleści i trudzie,
Taki mi napis położcie nad głową:
„Miłość mu nasza ten pomnik stawiała,
Wznosił go bogacz, kmieć, żebrak, sierota;
Niechże po śmierci rozbrzmi jego chwała,
Bo był śpiewakiem w smętne dni żywota!“

Strata Erbena i młodego Szolca silnie jak mówiliśmy daje się czuć w literaturze czeskiéj. Ta przecież literatura tak jest żywotną, tak bogatą w swym dzisiejszym rozwoju, że śmierć dwóch znakomitszych pracowników zatrzymać jéj w pędzie nie zdoła. Sama statystyka pism peryodycznych jakie wychodziły w Pradze w ciągu bieżącego roku, najmocniéj świadczy o rozbudzonéj tam chęci i potrzebie czytania, w najniższych nawet warstwach społecznych. Oto niektóre dane statystyczne.

Dzienników politycznych czeskich tak w Pradze jak w innych miastach wychodzi 27, pism poświęconych belletrystyce 18, czasopism literackich i naukowych 53, religijnych 15.

Jak się rozwijało życie literackie w Czechach, wyjaśniają następujące cyfry:

Od najdawniejszych czasów do r. 1410, było pisarzy czeskich		33
od roku 1410—1526	„	195
„ 1526—1620 (rok bitwy Białogórskiéj)		625
„ 1620—1774	„	444
„ 1774—1848	„	1244
(między tymi dziennikarzy 283),		
„ 1848—1870	„	1181
(w liczbie tych dziennikarzy 153),		
	Razem	3722

Ruch ten szczególniéj podniósł się od r. 1860, a wzrasta coraz silniéj.

Czesi mianowicie od r. 1861 tłumaczą bardzo wiele utworów poetycznych i literackich z języka polskiego. Oprócz poezyi Mickiewicza, których przekład wykonał ksiądz kanonik Stultz, oprócz Maryi Malczeskiego i innych dawniéj potłumaczonych utworów poetycznych, w ostatnich latach Józef Frycz przełożył

Irydyona, Kelitz *Sen nocy letniéj*, O. Berka *Zamek Kaniowski*, ksiądz Stultz *Resurrecturris*. Wkrótce ma się pojawić w tłumaczeniu Goll'a: Pan Tadeusz i Dżuma, Słowackiego. Dr Antoni Zeman zajmuje się przekładem Beniowskiego, Hol tłumaczy Mohorta, ksiądz Stultz Barbarę Radziwiłłównę, A. E. Odyńca, Ketitz Listy Zygmunta Krasińskiego.

W teatrze mają wkrótce przedstawić komedyę Bałuckiego: *Radcy pana Radcy*.

Z pomiędzy oryginalnych utworów dramatycznych ceniona powszechnie komedya E. Bozdena p. t. *Z doby Kotillonu*, i inna tegoż autora p. t. *Baron Görtz*. Znajduje niemniéj powodzenie dramat Guldnera: *Gad w różach*, jak również dramat Grillparzera: *Służebnik swego pana*, osnuty na dziejach Węgier, przekładu Fr. Jeřabka.

Wysoko rozwinięte dziennikarstwo nie zabija tu ruchu księgarskiego. Wspominamy kilka ważnych publikacyj jakie się w tych czasach pojawiły.

Do najznakomitszych należy drugi tom *Historyi miasta Pragi* przez Tomka; piérwszy tom wyszedł około roku 1848. Dzieło to powszechnie cenione, wielką ma wagę i dla nas; w wielu bowiem ustępach dotyka rzeczy polskich.

Wyszły też świeżo w Pradze *Pisma wyborowe* (wybrane spisy) J. A. Komensky'ego; zeszyt pierwszy zawiera *Labirynt świata*. Autor dowodzi tu, że człowiek na ziemi dopóty żyje w ciągłéj walce, niepokoju i boleści, dopóki w sercu nie połączy się z Bogiem.

Zeszyt drugi obejmuje *Dydaktykę*, t. j. umiejętność dobrego uczenia, uwagi o podniesieniu szkół w królestwie Czeskiém, nakoniec rozprawę o przysłowiach p t. *Przysłowia czyli mądrość starych przodków, jako zwierciadło wystawione potomkom*.

Z wydziału poezyi wspomnimy bardzo ładny zbiór pieśni pani Albertyny Dvořačkowéj p. t. *Chudobki*.

Zaczęło w tych czasach wychodzić w Pradze pismo miesięczne w rodzaju Przeglądu Dwóch Światów p. t. *Oswiata*, pod redakcyą Wacława Wlecka. Grono stałych współpracowników składają znakomici uczeni: Tomek, Sember, Zeleny, Krejči, Tonner i wielu innych.

Erudyci czescy zajęci bardzo w téj chwili wynalezionym w mieście Znoimie w Morawii, ważnym rękopismem na pargaminie z XVI wieku. Tytuł jego: *Liber municipales inclitae civilitatis Znoimensis redactus et confeitus per dominum Steffanum de Wischao notarium huius civitatis 1525*. Rękopism ten obejmuje 408 stronnic, długości 20, szerokości 14 cali.

Zakończmy tę krótką wzmiankę dowodzącą odrodzenia się narodowości czeskiéj po 200letniéj martwocie, od czasu klęski Białogórskiéj, wyliczeniem różnych stowarzyszeń, jakie istnieją w saméj Pradze. Jest ich razem 404. Cyfra to prawdziwie zadziwiająca w stosunku do ludności.

W téj liczbie towarzystw religijnych istnieje 10, dobroczynności 30, wzajemnéj pomocy 102, gospodarskich 9, gramatycznych 8, poświęconych naukom i sztukom pięknym 48, że pominiemy wiele innych.

Z tych danych łatwo się domyślić, jaki ruch umysłowy w rozmaitych kierunkach ożywia miasta i miasteczka wewnątrz kraju.

Wszystko w Paryżu wraca do normalnego stanu; 9 listopada odbyła się w pałacu Mazaryniego uroczystość akademicka, pierwsza po długiéj przerwie, spowodowanéj krwawemi wypadkami. Akademia przyjmowała nowego członka, Juliusza Janin.

Przy dzisiejszym zwrocie do odrodzenia, przy popychaniu całéj machiny społecznéj, przewódcy nowych idei uderzyli silniéj niż kiedykolwiek przez organa dzienników, na bezczynność i bezużyteczność akademii francuzkiéj. Jeden z nich Scherer, współpracownik dziennika Temps, wyrzekł w stanowczy sposób: „Czas nam pożegnać już *wdzięki słowa*, jako zbytek dziś nie potrzebny, a podjąć poważną pracę naprawy i odbudowania, którą nam wypadki nakazują.“

Akademia boleśnie uczuła ten wyrzut. Ludwik Ratisbonne w jéj imieniu odpiéra go silnie w Debatach. Przytacza on na dowód scenę z dramatu: *Syn puszczy*, wiedeńskiego poety Halma. Rycerz barbarzyńca ujął brankę, uroczą dziewicę grecką. Spotyka ją raz jak wije wieniec z kwiatów. Dziwi się i pyta, czemu zalana łzami pracuje nad tém co się nie przyda na nic?

— Wszystkoż-li ma się na coś przydać? nawet kwiaty— odrzecze zagadniona.— Greczynka pokonała barbarzyńcę.

Jestto po prostu parafraza słów Pisma Śgo: *Nie samym chlebem żyje człowiek.*

Jak we wszystkiém, tak i w dzisiejszym sporze akademii z przewódcami nowych idei, widzimy część prawdy po obu stronach. Według nas przewódcy nowych idei, mają słuszność utrzymując, że dla złaknionego potrzebniejszy kęs chleba, niźli wytworny sorbet. Akademia ze swéj strony może śmiało opierać się na tradycyjnych prawach, które postawiły ją na straży języka, nakazując pilnować owéj skarbnicy wieków, w nieskażonéj czystości i uroku.

Pamiętajmy, że fotel akademicki jest miejscem wypoczynku dla spracowanych szermierzy pióra. Trudno od siwowłosych starców wymagać takiéj pracy, jakiej podoła tylko młode ramię. Dosyć oni naznosili cegieł, niechaj drudzy pochwycą kielnię i naprawiają zszczerbione wzręby gmachu. Obowiązkowa praca akademików, wszak dostateczna na stargane ich siły. Praca ta jak wiadomo, polega na dopełnianiu słownika akademickiego, na sądzeniu utworów konkursowych, a co więcéj, na podawaniu nowych pytań do rostrzygnięcia.

O cóż więc idzie? O to chyba, żeby akademia francuzka zrzekła się ducha koteryjności, a przyjmowała do grona swego mężów uznanéj zasługi w kraju, bez względu na ich polityczną chorągiew, żeby wyższa nad namiętności wichrzące społeczeństwem, stała w świątyni nauk jak poważna Druidka i zasłużoną ręką podsycała święty płomień, tak w czasach pokoju, jak niemniéj w chwilach burz i przewrotów.

Uroczyste mowy akademickie, których wytworny wdzięk wydaje się *zbytkiem*, przewódcom nowych idei, mają także dodatnią stronę. One to głoszone kilka razy do roku, w chwili przyjęcia członków, obznajmiają publiczność z biegiem nowoczesnéj literatury. Ujemną ich stronę stanowiła konieczność sypania kadzideł pamięci zmarłego akademika i palenia komplementów w oczy nowemu przybyszowi. Owa to konieczność wyrobiła tę *manierę akademicką*, która w niemożności wypowiedzenia prawdy, polega na delikatném kłuciu śpileczkami, z zachowaniem wszelkich praw wytwornego dworactwa. Na tento panegiryzm urzędowy, uderza jak nam się przynajmniéj zdaje p. Scherer, i w tym względzie zupełną przyznajemy mu słuszność.

Uroczystość w dniu 9 listopada wyłączny miała charakter. Cały Paryż wziął w niéj serdeczny udział, bo i któż nie czytuje sprawozdań Janin'a? Kto nie bierze z zajęciem do rąk poniedziałkowych Debatów? Kto czytając odcinek nie uśmiechnie się i nie zaduma, uderzony dowcipem połączonym zawsze z jakąś poważną myślą. O ile Juliusz Janin popularnym jest w Paryżu, dość nam przypomnieć ten bukiet przysłany mu przez grono przekupek, przed dwoma blisko laty, kiedy akademia mianowała go członkiem swoim. Dzień uroczystego przyjęcia tém silniéj poruszał umysły, że tak długo był oczekiwany.

Sala akademicka wstrząsła się od oklasków, kiedy ulubiony krytyk ukazał się wsparty na kiju, powłócząc spodagrowaną nogę. Janin krzepko jeszcze wygląda, mimo lat sześćdziesięciu ośmiu; oblicze jego nie tyle piękne jak znaczące, właściwy ma charakter. Na szerokiém czole, pracująca myśl wycisnęła swe piętno; w wyrazistém oku połyska rozum, swobodny uśmiech ożywia rysy zbyt drobne w stosunku do okrągłéj i pełnéj twarzy. Oczy wszystkich zwróciły się na nowego akademika, kiedy przybrany w palmy haftowane wszedł do sali w towarzystwie dwóch tak zwanych ojców chrzestnych. Byli nimi St. Marc Girardin i Cuvillier-Fleury. Camil Doucet przyjmował go imieniem akademii.

Janin tak głęboko był poruszony, że zaledwie wybełkotał pierwsze słowa mowy, którą według zwyczaju przyniósł w rękopiśmie. Drżący głos jego silnie oddziałał na słuchaczów, wkrótce zabrakło mu tchu. Cuvillier-Fleury wziął mowę z ręku towarzysza i odczytał ją całą.

Mowa ta jakże daleka od akademickiéj pedanteryi! jakże w niéj odbija Janin, czarodziéj, ulubieniec publiczności paryzkiéj! Słowa jego żyją, ruszają się, tryskają niby strumyk żywéj wody

po zwirze, podlatują w górę jak barwiste motylki. Rzekłbyś słuchając ich, że to jakaś *fata morgana*, dźwięk uroczy co przebrzmi, barwny kwiatek co zwiędnie bez owocu. Ale niech kto przeczyta z uwagą tę mowę, a pozna rzeczywistą jéj wartość. Pod tym pozorem leciuchnym, eterycznym, spoczywa myśl głęboka, logiczna, oparta na niewzruszoném przekonaniu. Juliusz Janin w tym względzie, najwierniéj według nas przedstawia ducha francuzkiego.

Nowy akademik jak zwyczaj każe, podnosił zasługi poprzednika, po którym odziedziczył fotel. Tym poprzednikiem był Sainte Beuve. W historyi literatury XIX wieku, Sainte Beuve i Janin zajmą niewątpliwie pobliskie siebie karty. Obaj urodzili się w jednym roku 1804, w jednym miesiącu grudniu, o dzień podobno różnicy. Obaj z równym zapałem rzucili się do walki, pod sztandarem Wiktora Hugo. Obaj upojeni romantyzmem doszli w nim do ostatecznych krańców. Obaj schłostani surowo przez ówczesną krytykę: Ste Beuve za Bajroniczne uniesienia w poemacie *Józef Delorme*, Janin za ekscentryczne wyskoki w powieści: *Zdechły osioł i kobieta gilotynowana* — cofnęli się w samą porę, w granice wytknięte zdrowym rozsądkiem, których nigdy odtąd nie przekroczyli. Obaj w dalszym rozwoju talentu, wzięli się do poważnéj pracy na polu krytyki, i przez lat blisko czterdzieści szli raz obraną drogą. A jednak mimo tylu pozornych zbliżeń, głęboka przepaść rozdziela dwóch krytyków. Sceptyczny i sarkastyczny Ste Beuve, pomimo całéj erudycyi, pomimo estetycznego wyrobienia, jakże daleko pozostał za pełnym życia Janinem, który mimo dręczącéj go podagry, mimo siódmego krzyżyka na barkach, zachował dziś jeszcze całą krzepkość, pełną wiarę młodzieńczą.

Janin w akademickiéj mowie, przebiega cały zawód literacki Ste Beuva; zatrzymuje się szczególniéj nad pasmem jego bogatych prac krytycznych. Wylicza geniusze wszystkich czasów i narodów, z którymi Ste Beuve pobratał się duchem, z którymi żył poufnie, których myśl przeniknął do gruntu.

Po świetnym obrazie prac i tryumfów poprzednika swego, Janin rzuca z żalem przezroczystą zasłonę na ostatnie jego chwile tak zatrute sceptycyzmem, tak smutne, tak wszelkiéj pozbawione pociechy. Tu zręcznie przytacza słowa starego Diderota, wyrzeczone do syna, sławnego Encyklopedzisty: „Widzisz moje dziecko, dobra to poduszka wypchana rozumem, ale ja wolę moją; miléj mi wesprzéć głowę, na poduszce *prawa i religii*.“

„Dobrze wyrzekł — dodaje Janin — pełnić prawo i wierzyć, w tém cała tajemnica!“

Przytaczamy zakończenie téj znakomitéj mowy:

„Cóż brakło Ste Beuvowi?— pyta Janin,— Oto brakło mu przykładu i rady zacnéj małżonki. Często on musiał powtarzać słowa pisma: *Źle człowiekowi być samemu!* Wierzył w geniusz, w pracę, wierzył w wielką potęgę intelligencyi. Szczodrą ręką rozsiewał wiedzę na wszystkie narody i kraje, śmiałym krokiem przebiegał Eden poezyi, gdzie niema zakazanych owoców; umarł

w pomyślności, w dostatkach, nie przeczuwając rychłych nędz jakie spaść na nas miały. Umarł, gdy byliśmy jeszcze królami świata, kiedy bandyci żyli przyczajeni skrycie po norach.

„W jego duszy nie brakło hartu! mógł spojrzeć oko w oko naszéj hańbie, naszéj rozpaczy! Serce jego byłoby pękało na widok krwawych pól bojowych, i krwawszéj stokroć ulicy. Lecz widok ten byłby z serca jego wydobył nową moc! w nieszczęściu znalazłby naukę zbawienną, czerpnąłby zasłużoną nagrodę.

„Przy ohydnéj wrzawie klubów, owych śmietników bezecnych, gdzie potarzano zarówno cześć narodu i zdrowy jego rozum, jak piękną ojców mowę, ażaliż nie byłby sobie wdzięcznym, że przez lat czterdzieści stał wiernie na straży języka, pilnując jego nieskażonéj czystości? W tych cuchnących otchłaniach nie byłżeby zapłacił pogardą za pogardę, tym znieważycielom chwały i cnoty narodowéj. Gdyby patrzał na skon arcypasterza, zamordowanego przez tych potworów, ażaliż nie pochyliłby głowy przed tym bohaterem wojującego kościoła? Cóż dodam jeszcze? Ażaliżby nie przyklasnął odwadze i dzielności tych, którzy pospieszyliby ocalić ład społeczny w chwilach, kiedy uczciwi ludzie z głębi kryjowek swoich, błagalne wyciągali ręce, wzywając Bożego miłosierdzia i Bożéj sprawiedliwości!

„Żyłby w nędzy— umarłby pocieszony!“

PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Studya nad literaturą polską XVII i XVIII wieku do czasów panowania Stanisława Augusta I. — Hieronim Wespazyan z Kochowa Kochowski, przez Adama Rzążewskiego, Magistra nauk Hist. Fil. b. Szk. Głównéj Warszawskiéj. 1871. Warszawa.

Nad zaniedbaną a tak jednak bogatą w szczegóły literaturą naszą z końca XVII i początku XVIII wieku, powolnie ale coraz więcéj przybywa nam studyów. Przed lat dziesiątkiem czytaliśmy po dwakroć zajmująco studya nad *Morsztynami* Mecherzyńskiego, nad *Opalińskim* Szajnochy,— w tych ostatnich latach o Wacławie *Potockim* przez Bolcikowskiego, Nabielaka, i i. o *Janockim* przez Estreichera, o *Załuskim* i innych z notat Bartoszewicza itp. Dziełko obecne o życiu i pismach Wespazyana Kochowskiego odnosi się téż właśnie do tego czasu.—Praca ta, powiedzmy to z góry, jestto studyum i pracowicie i zdolnie wykonane.—Ramy dziełka nie obejmują wprawdzie więcéj jak str. 148, lecz w miarę prac przedmiotowi temu dotąd poświęcanych, mogą się nazwać nader obszerne. — Treść pisma rozwiniętą jest w oddziałach 5ciu. W 1szym (od str. 1 do 34) opowiada nam autor żywot Wespazyana Kochowskiego, 2gi obejmuje wyliczenie pism jego (34—48); 3ci rozbiór jego poezyj polskich (48—127), 4ty pism jego łacińskich treści drobniejszéj, i wreszcie 5ty: jego kroniki, czyli Klimaktorów. Szczegóły bliższe téj treści są: Życiorys Kochowskiego w oddziale 1szym poprzedza autor wywodem rodu Kochowskich, a wywód ten oprócz wiadomościami z herbarzów wzbogaconym tu jest szczegółami czerpanemi z akt trybunału lubelskiego, metryki koronnéj i innych. Samo życie autora opowiadano zwykle w historyach literatury na stronnicy lub półstronicy, tu rozszerzono zostało do kart kilkunastu przez zbliżenie, ocenienie i poszykowanie własnych wzmianek Kochowskiego o sobie w jego pismach wierszem

i prozą rozrzuconych.—Wyliczenie pism Kochowskiego w oddziale 2gim jest przytoczeniem wiernem tytułów i wydań 15tu dzieł tego autora drukiem ogłoszonych, oraz zebraniem wiadomości o mających się jeszcze ukrywać kilku rękopismach. W wyliczeniu tém własnością pana Rzążewskiego jest domysł (usprawiedliwiany krytycznie) iż wzmiankowane przez Kochowskiego w Klimakterach dzieło jego p. n. *Rubus incombustus* dotąd nikomu nieznane, jest niczém innem jak łacińskim tytułem jego poematu religijnego *Ogród Panieński*. Oddział 3ci poświęcony rozbiorowi poezyj polskich jest najobszerniejszy i stanowi główną charakterystykę dziełka;—o każdém z poetycznych wydań Kochowskiego—mówi tu autor oddzielnie, i dając poznać treść kréśli ich charakter; mówi więc najprzód o *Lirykach*, czyli o wierszach zawartych w pierwszym zbiorku poetycznym Kochowskiego wydanym p. n.: *Niepróżnujące próżnowanie*, następnie o *Fraszkach*, o *poematach historycznych*, i wreszcie o *religijnych*. Rozbiór liryk zajmuje największą część oddziału. Zdaniem p. Rzążewskiego, Kochowski w utworach tych poetycznych chciał być naśladowcą głównego rzymskiego liryka Horacyusza, nader jednak odmienny duchem przejmował tylko formę, a i w tej formie dawał tylko parodye liryk Horacyuszowych. Treść liryk Kochowskiego była najczęściéj historyczną, t. j. spółczesnym wypadkom krajowym poświęconą, „dwie trzecie, uważa autor są treści wyłącznie historycznéj," inne są religijnéj, i wreszcie, liczne także, obyczajowéj. Charakteryzując bliżéj tę treść p. Rząż. uważa, iż głównemi motywami Kochowskiego w lirykach jego były: duch religijny i poczucie powinności obywatelskiéj; lecz że te barwy, które byćby powinny dodatnie, psute są zwykle przez ówczesne wady krajowe, t. j. barwa religijna nietolerancyą, zaś historyczna mylną chełpliwością ze swobód oraz oglądaniem kraju w jednéj tylko klasie krajowéj t. j. szlachcie;—autor poczytuje mianowicie za wadę: przypisywanie przez Kochowskiego swojemu krajowi missyi bronienia chrześcijaństwa od niechrześcian (Tatarów i Turków), „z téj bowiem u niego identyfikacyi (uważa) uczucia miłości ku Bogu z miłością dla kraju, powstało chorobliwe pojęcie o przodownictwie jednego narodu w następnéj epoce tak szeroko rozwijane." Co do obyczajowych, tych cechą według autora, jest: towarzyskość, gościnność oraz erotyczność,—erotyczność jednak nie platoniczna, ale na wzór Jana Kochanowskiego i jego następców wyłącznie praktyczna.

Przechodząc do szczegółowszych uwag lub raczéj do wypadków postrzeżeń, p. Rz. dochodzi do wniosku i czyni to założenie: iż właściwie Kochowski nie rozumiał co jest poezya, gdyż sądził, iż jest ona tylko „jako środek, który nie dozwala czynom ludzkim zaginąć w niepamięci, i tym sposobem cel jaki naznaczano dawniej kronikarstwu na poezyę przenosi." „Wiek XVII, dodaje, stracił dawne klassycznych zasad pojęcie, zaszczepione przez Kochanowskiego, stracił tradycye dawnéj szkoły, a nie umiał sobie utworzyć nowych; ztąd wynikło, że poezya nie stała już podówczas na równi ze wszelkiemi objawami życia, ale formowała jakiś oddzielny grodzik w miejscu dział i okopów, najeżony imionami starych bogów Grecyi i Rzymu" (str. 71). „Poeta wzięty

we dwa ognie przez spółczesne pojęcia narodu i zasady szkoły, nie miał odwagi przeważyć się stanowczo na jedną lub drugą stronę, kroczył jak spętany, gmatwał się i plątał w ciemnych labiryntach wyrażeń, nie zrozumiałych dla spółczesnych (1), a témbardziéj dla potomnych“ (72). To wada wieku; zaś osobista poety była: „brak estetycznego poczucia, brak widny nieraz w wyborze przedmiotu i w zbyt realném, bez wdzięku przedstawianiu go.“ Co do strony zewnętrznéj utworów, autor uważa, iż zaletą formy Kochowskiego jest wielka rozmaitość rytmiczna, wpadająca nawet nieraz w „nutę ludową“ i kończąc rzecz o lirykach, mówi: „Atoli mimo tych wszystkich wad stawiających go (Kochows.) na równi z Twardowskim i Gawińskim, w lirykach jego przebija już przedświt nowych poetycznych pojęć, nowego zwrotu i celów, przedświt który zagłuszony następnie naśladownictwem francuzkich wzorów z wulkaniczną siłą wybucha dopiéro na początku XIX-go wieku.“ Od stronnicy 75 do 88 zajmuje się autor treścią *Fraszek* czyli *Epigrammatów*, których liczba u Kochowskiego jest około 800; wykazuje tu pracowicie wielu z nich pochodzenie obce i zwraca uwagę na dowcip rzetelny wielu oryginalnych. Mówiąc następnie o poematach historycznych, do jakich liczyć się mogą pisane oktawami na wzór Tassa: *Kamień świadectwa* poświęcony Jerzemu Lubomirskiemu (tytuł całkowity tego wiersza jest: „Kamień świadectwa niewinności wielkiego senatora“) oraz *Dzieło Boskie* (t. j. O wyprawie Jana III pod Wiedeń), autor zarzuca pierwszemu, iż lubo z zadania miał być opisowym, jest tylko liryką, jakkolwiek liryką nacechowaną siłą uczuć i przekonań swéj partyi; zaś drugiemu, iż mając tak bogate zadanie jest tylko opowiadaniem kronikarskiém, któremu użyte pomoce z mitologii poezyi nie dodały. Z kolei charakteryzuje poemata religijne oddzielnie wydawane, i uczyniwszy uwagę, iż wiek XVII byłto u nas wiek który zbyt zmysłowo pojmował i tłumaczył prawdy chrześciańskie, iż poezya ówczesna „będąc służebnicą czasu nieraz ubliżała pobożnie Bogu chrześciańskiemu,“ dodaje, iż właśnie takiéj poezyi wyrazem są i poemata religijne Kochowskiego, t. j. *Ogród panieński*, poemat podzielony na 16cie *Kwater*, a złożony z 1818 dwuwierszów, z których każdy poświęcony jest czci jakiegoś poetycznie upatrzonego przymiotu N. Panny; *Różaniec* podzielony na *Tajemnice*, a obejmujący do 2400 wier-

(1) Przytaczamy to zdania jako w swym ogóle trafne; czy jednak wyrażenia Kochowskiego nie były istotnie rozumiane przez spółczesnych, jak autor tu mówi, na to nie mamy świadectwa,—dlatego trafniéj zdaniem naszém, wyraził się w podobnéj właśnie okoliczności, albowiem w studyach także nad Kochowskim o poetach ówczesnych, Siemieński gdy rzekł: iż poeci ci, byli to ludzie wpływu na swoje czasy, którego jednak dziś nie rozumiemy; „potomność,—dodaje tu krytyk-poeta,—nieznająca ich a chcąca poznać, podnosi ciężkie wieka kamiennych trumien, i ciekawie przypatruje się resztkom stroju i rycerskich przyborów, których nawet nazwać nie umié.“ Wyrażenia powyższe p. Rząż. są nawet oczywiście naśladowaniem tego miejsca w *Siemieńskim*.

szy różnych miar, oraz *Chrystus cierpiący*, poemat mający do 6,000 wierszy; charakteryzując bliżéj dwa pierwsze autor mówi: „o religijnéj wzniosłości w poematach tych, mowy już być nie mogło, ale nie mają one nawet jasności i prostoty, któreby mogły uczynić utwory te pieśnią ludu i bractw różańcowych;“ z okoliczności zaś ostatniego, który jest opisaniem historyi męki Chrystusowéj, szeregiem krótkich muzykalnych wierszy, wyraża: „trudne i dla największego artysty niebezpieczne zadanie, występować do emulacyi z prostemi a tak wymownemi słowami Ewangelii,—opisy te u Kochowskiego przeciwnie cechują: niesmak, trywialność, szkarada, a do pomocy posługuje erudycya mitologiczna i z historyi starożytnéj.“ I wreszcie zwraca tu autor szczególowszą uwagę na utwór Kochowskiego, o którym nie wzmiankowały nawet dotąd historye literatury, t. j. jego: *Psalmodye*. Psalmodya ta (tytuł jéj dosłowny był: *Trybut należytéj wdzięczności* etc., albo: Psalmodya polska za dobrodziejstwa Boskie dziękująca, przez jednę najlichszą kreaturę roku Pańskiego 1693 napisana) jestto zbiór 36 psalmów prozą biblijną i wyrażeniami wziętemi z psalmów Dawidowych napisanych, a różne szczegóły dziejów kraju (od dawnych do spółczesnych Kochowskiemu) określających. Iż utwór ten był ręki Kochowskiego, wspomniał o tém przygodnie sam autor w swym 3cim Klimakterze; na treść zaś tego utworu, pierwszy, ile wiemy, zwrócił bliższą uwagę Siemieński, wskazując zarazem, iż nazwać się on może prototypem pism treści podobnéj i podobnież stylem biblijnym pisanych, niektórych nam spółczesnych poetów, jak: Brodzińskiego, Mickiewicza i t. p. Myśl tę p. Rząż. w części bliżéj rozwinął i podobieństwo utworów wskazaniem bliższém na psalm VII Kochowskiego więcéj usprawiedliwił, a lubo nie podzielił główniejszych wniosków, na wyjątkową jednak wartość tego, jednego z najpóźniejszych utworów Kochowskiego, dobitnie wskazał. „Są, wyraża tu autor, wyjątkowe natury, które w chwilach starości żywiéj jeszcze puszczają w ramy kółka umysłowéj organizacyi, i rozwijają twórczość jakiéj nie okazali przez cały ciąg swojego żywota. Do takich osobistości należał i Kochowski. Zamknięty w ustroniu swéj cichéj wioski, na lat kilka przed śmiercią wskrzesił on pamiątkę dawnego psalmisty i wysłał do Boga hymn zanucony w imieniu swojém i swojego kraju. Nigdzie w jego utworach nie znajdujemy takiéj uroczystości, takiéj powagi i namaszczonego natchnienia, jakie spotykamy w Psalmodyi.“ Po wyrażeniu zdań o utworach szczególnych, o ogólnéj zasłudze Kochowskiego jako poety, autor we wniosku tak mówi: „Myśli, ognia, zapału, spotkasz w nim co krok wiele, więcéj nawet, aniżeli w naszych poetach złotego wieku, ale nie umié on zapanować nad temi darami. Tamtym (którzy tworzyli chłodniéj) natchnienie jest sługą, Kochowski zaś jest sługą natchnienia. Oni nigdy nie sięgnęli w takie szlaki jak Kochowski w Psalmodyi, ale zato Kochowski nie doszedł nigdy do takiéj artystycznéj perfekcyi jaką się odznaczają Kochanowskiego pieśni.“ Mówiąc w oddziale IV o drobniejszych pismach łacińskich Kochowskiego, pisma te, a mianowicie: *Munus civile*, w którém Kochowski dawał lekcye rządzenia nowo-

obranemu królowi Michałowi,—*Preliminare salve*, panegiryk na przybycie arcyksiężniczki Eleonory, narzeczonéj tegoż króla,—i *Hypomnena Reginarum Poloniae*, czyli opisanie panegirycznemi wierszykami królowych polskich od Dąbrówki do Eleonory. Autor w ogóle uważa za panegiryczne, i objaśnia, iż wartość tych wszystkich utworów, mianowicie pod względem poetycznym, jest prawie żadna.—Mówiąc wreszcie o Kochowskim jako o historyku, t. j. o jego kronice rzeczy spółczesnych, wydawanéj tomami obejmującemi po lat 7, i ztąd noszącéj tytuł: *Klimakterów*, autor wylicza jéj zalety, jéj cechy, i dodaje: iż jednak „palmę pisania dziejów za owe czasy przyznać należy nie Kochowskiemu, lecz Piaseckiemu," iż niema Kochowski „tego racyonalnego poglądu i pragmatyzmu jak Piasecki."

Takie są główne rysy studyum p. Rzążewskiego nad Wespazyanem Kochowskim. Studyów nad naszemi pisarzami dawnemi w ogólności nie mamy wiele, z tych zaś które są, jedne uważać można, zajmowały się albo przeważnie samą bibliografią i biografią danych pisarzy (jak np. Wiadomości historyczno krytyczne Ossolińskiego), albo prawie wyłącznie ocenianiem ich pism (jak np. *Wizerunki pisarzy* przez Siemieńskiego); monografia obecna, jak to widzimy, jest połączeniem obu tych charakterów:—jestto studyum z zadania swego zarazem i historyczne i estetyczne. Wykład treści nie jest tu nigdzie pobieżny i powierzchowny, autor owszem starał się być wszędzie i krytycznym i przedmiot swój możliwie wyczerpującym. Wprawdzie z podniesienia tych licznych wzmianek, które Kochowski rozrzucił o sobie w swych pismach, jako w Klimakterach, przedmowach, nawet w Psalmodyi, a nadewszystko w licznych swych lirykach, życiorys jego mógłby się jeszcze znacznie rozszerzyć, a to co p. Rząż. mówi w studyum o pismach jego łacińskich jest stosunkowie za szczupłe; zawsze jednak i obraz Kochowskiego w życiorysie dobitniejszym tu jest niż gdzieindziéj, i co się mówi o każdém z pism tego autora, dostatecznem jest dla wyobrażenia o ich treści i charakterze. I owszem, jeżelibyśmy wykonaniu téj pracy przez p. Rząż. zarzut jaki uczynić mieli, tedy przedmiotem jego musiałyby być: ani szczupłość treści, ani brak krytyki, ale przeciwnie, powiem, że tak rzec można, jéj zbytek. Staranność o ciągłość krytyki, różnorodność zdań objawianych (czerpanych mianowicie z różnorodnych a licznych poetycznych przytoczeń), dają tu nam nieraz w ciągu rozprawy albo próżność spostrzeżeń, lub pewną sprzeczność w uwagach; a ztąd idzie: iż krok autora krytyczny jest jeszcze niepewnym, a jego ogólne wnioski lub założenia nieraz nawet jawnie są mylne. Dla objaśnienia przytoczymy tu parę pierwszych lepszych przykładów, wziętych już z samego zaczęcia życiorysu, już z estetycznych sądów.—W zaczęciu biografii Kochowskiego p. Rząż. poprawia powszechnie przyjętą datę urodzenia tego autora, podawaną na 1633 r., i dowodzi, iż ten urodzić się musiał wcześniéj, a mianowicie w r. 1630. Kochowski wydając w r. 1698 swój pierwszy Klimakter wspomina, iż ma lat 65, czas urodzenia jego musiał więc i musi być oznaczanym na rok 1633. P. Rząż. zwracając jednak uwagę, iż Kochowski przy wzmiance

w kronice o wypadkach z r. 1643 wyraża, iż „było to za mojéj pamięci,“ iż z tychże Klimakterów uczynić można domysł, że stryjeczny brat jego Aleksander musiał się rodzić w r. 1630, iż wreszcie Kochowski pisząc wiersz na śmierć Władysława IV w r. 1648 nie mógł go pisać w 15tym roku życia, wnosi, iż musiał się rodzić nie w r. 1633, lecz znacznie wcześniéj, a mianowicie w r. 1630 (str. 7), i że wyrażenie jego przy Klimakterach, że ma lat 65 dowodzi tylko, iż między napisaniem tych słów a wydrukowaniem, z powodu cenzury duchownéj i innych musiała być przerwa więcéj niż roku. Rozumowania te p. Rząż. jakkolwiek napozór krytyczne, są właściwie takiemi tylko pozornie. Pamięć ludzka sięga zwykle 4go i 5go roku swojego życia, Kochowski wspominając w kronice o tém, co było wiadomém w jego roku życia 10tym (1643), jakże się miał inaczéj wyrazić, jak: że było to już za jego pamięci? dlaczego przypuszczalny rok urodzenia brata jego Aleksandra 1630, ma się uważać za rok urodzenia i Wespazyana? kiedy o jednoletniém urodzeniu tych braci nigdzie wzmianki niema, zupełnie nie rozumiemy. Wiersz Kochowskiego na śmierć Władysława, jak widać z treści, rzeczywiście pisanym był przed elekcyą jeszcze nowego króla, ale rok nie jestto przeciąg zbyt krótki, elekcya Jana Kazimierza nastąpiła dopiéro w miesiącu październiku 1648 r.; gdyby więc Wespazyan Kochowski rodził się w styczniu 1633, pisząc wiersz miałby już rok blisko 17ty, i wiersz ten złożony po większéj części z wyrażeń szkolnych, nie byłby żadną nadzwyczajnością w roku życia 16tym. Dodajmy wreszcie, iż rok wydania kroniki 1698 — *podpisany* też jest i pod przedmową autora, a przeto, iż tenże był rok i wydrukowania téj kroniki i rękopismu.

Mianując następnie wioskę w któréj się rodził Kochowski nazwiskiem *Gaj*, autor szydzi z tych biografów, którzy ją nazywali *Dąbrową*, przytaczając bowiem na str. 9téj z liryki Kochowskiego: *Na rozjeznem*, między innemi te wiersze:

Do *gęstéj* w sośnie, co blisko rośnie,
Możesz pójść *dąbrowy*;

dodaje w przypisku: „ta dąbrowa oznaczająca lasek nie więcéj, była przyczyną, iż nieuważnie czytający Kochowskiego liryki, każą mu rodzić się we wsi zwanéj Dąbrowa.“—Dlaczego autor wnosi, iż ci którzy za miejsce urodzenia podawali Dąbrowę, opierali się na powyższym wierszyku? nie wiemy; wniosek o tém nazwisku wioski jeżeli był wyciągany z poezyi Kochowskiego, tedy z pewnością nie z tego wierszyka: *Na Rozjeznem*, a zwłaszcza nie z przytoczonych wyrazów, (bo mowa tu jest wyraźnie nie o folwarku ale o *gęstéj* dąbrowie) ale z liryki Kochowskiego *Gniazdo ojczyste*, w któréj poeta wzmiankując iż Kochowscy mieli dawniéj nazwisko *Sarnów*, i że ta familia mieszka w sąsiedztwie, wyraża:

Ta z nich dotychczas ma sąsiad (sąsiadów) *Dąbrowa*,
Choć dla dzielnicy piszą się z Kochowa.

Kochowski rodził się w okolicy gór Św-Krzyzkich; wzmiankujący o jego życiu nie podawali zrazu nazwiska wioski w której się rodził, następnie zaczęto ją mianować już Gajem, już Dąbrową, a téj ostatniéj nomenklatury trzymali się między innemi ostatnio o nim piszący *Siemieński* w Wizerunkach, i dobry znawca gubernii Radomskiéj *Sobieszczański* w Encyklopedyi powszechnéj. Pierwszy, ile wiemy, Ambroży Grabowski podając w *Starożytnościach polskich* (1840) kilka szczegółów autentycznych o rodzinie Kochowskich, wioskę rodzinną Wespazyana nazwał *Gajem*, za nim poszli wydawcy Rysu piśmiennictwa Lesława Łukaszewicza, poszedł i p. Rzążewski. P. Rząż. miał prawo zupełne wioskę rodzinną Kochowskiego Wespazyana nazywać *Gajem*, w wierszu bowiem tego poety: *Pożegnanie na rozjeznem* z powodu działu majątku (1), i przenoszenia się pod Kraków do *Goleniowa*, czytamy między innemi:

I takli w maju, *ojczysty Gaju*
Z ciebie rumacya..

a lubo to wyrażenie: ojczysty, nie koniecznie oznacza rodzinny, Kochowski bowiem następnie i Goleniowo nazywał swoją wioską ojczystą („scripsi Goleniovii ruro meo *paterno*“ Klimakt.), w dalszéj jednak apostrofie do tegoż Gaju w tymże wierszyku czytamy:

Tu *ojciec z dziady*, krewnych gromady,
I mali wnukowie,
Dzieciństwa doszli, etc.,

ale mając prawo nazywać Gajem, nie miał prawa szydzić z tych, którzy ją nazywali *Dąbrową*; w wierszu bowiem: *Gniazdo ojczyste*, nie mamy wzmianki o Gaju, a Dąbrowa, jak widzieliśmy, figuruje tu wyraźnie w znaczeniu wioski. Wnieść zaś raczéj wypada, że obszerna wioska poety, okolica, (gdzie się wychowały „krewnych gromady“) podwójnie była nazywaną i *Dąbrową* i *Gajem*, a mogło to być tém naturalniéj, iż w dawnym języku polskim wyraz: Dąbrowa nic innego nie oznaczał jak *Gaj dębowy* (*v.* Linde).

Takie zboczenia krytyczne, mimo w gruncie pewną krytyczność, widzimy na większą skalę i w zdaniach o talencie poetycznym Kochowskiego. P. Rząźewski za główną charakterystykę i główną wadę Kochowskiego poczytał, jak widzieliśmy, iż autor ten nie odróżniał poezyi od historyi, i miał ją tylko za rymowe opowiadanie wypadków

(1) Kochowski nie w jednéj liryce swéj wyrażał użalanie się na ten podział, który miał miejsce nie „przez wzgląd na wdowę,“ jak objaśnia p. Rząż., ale że przy działach przy *fundum* zostawał najmłodszy; objaśnia to i łaciński jego wierszyk *do braci*, w którym między innemi pisze:

Rem paternam cum divido,
Haec *juniori* cessere..

dziejowych. „Zapatrywanie się Kochowskiego na poezyą, wyraża tu dosłownie, nie było właściwe, ale owszem błędne. Poezyą uważa Kochowski jako środek niedozwalający ważnym czynom ludzkim zaginąć w krainie niepamięci. Cel jaki naznaczano dawniéj kronikarstwu, on na poezye przenosi, a pojęcie to nadaje w końcu poezyi zupełnie mnemoniczne znaczenie str. 67. Z takiegoto błędnego stanowiska wynikają i rozmaite wady Kochowskiego jako poety.“ To zdanie służyło autorowi za podstawę do dalszych o talencie Kochowskiego, a jednak z gruntu jest błędném. Zakresu poezyi od historyi być może iż nie rozróżniał poprzednik Kochowskiego Sam. Twardowski, który spółczesną kronikę („Wojny kozackie i szwedzkie“) pisał wierszem; lecz Kochowski, który miał takież upodobania jak Twardowski (i któremu dank przed sobą, jako starszemu, dawał) dowiódł dobitnie, iż odróżniał istotę obu gałęzi, gdy wypadki dziejowe opisywał w oddzielnéj kronice prozą (Klimaktery), a w poezyach umieszczał tylko stosowane do szczególnych wypadków liryki, t. j. poezye, które mieściły nie ścisły obraz, ale fantazyowanie uczuć i myśli z powodu wypadków. Sam p. Rząż. mówiąc o poemacie: *Kamień świadectwa* zarzucał mu iż był raczéj liryką samą nie historyą. Kochowski jako uczony i uczoności przyjaciel wyżéj zapewne cenił naukę niżeli fantazyę; ztąd téż czas, który poświęcał pisaniu poezyi za „próżnowanie niepróżnujące“ uważał, wszakże pojmował on dobrze istotę poezyi i poczytywał ją nie za odbicie wypadków zewnętrznych, lecz za wypływ konieczności wewnętrznéj, natchnienia, które, jak wyrażał: „jako ogień, w gabinetach umysłu rozpala się.“ „Próżno, mówi w *Epodon* do liryk, zatrudnia mnie plug, ciągle gospodarstwo, muza liryczna („Erato“) męczy mnie i we śnie i na jawie,“ i dodaje:

Jest Bóg i w poetach,
Jest *ogień z nieba* dany ich duszy,
Wieszczém *natchnieniem* co mózgi puszy
W ziemskich gabinetach.“

P. Rząż. dla potwierdzenia swego założenia dodaje, iż z tak mylnie pojętéj przez Kochowskiego zasady poezyi, wypływają i wszystkie jéj wady, jakoto: uciekanie się do *mitologii*, frazesów *filozoficznych*, brak poczucia estetycznego i t. p.; lecz właśnie to rozwinienie zasady objaśnia jéj mylność: dlaczegoby bowiem uciekanie się do mitologii (allegoryi), do spekulacyi i t. p. miało być skutkiem nieodróżniania poezyi od historyi, jest to wcale nie jasném.

Zdania autora z powodu poematów religijnych w wielu miejscach są trafne; słusznem np. jest to, iż w wieku w którym pisał Kochowski „wiara coraz mniéj na czynie a coraz więcéj na słowach i ascetycznéj kontemplacyi była oparta,“ że poezye jego były odbiciem takiéj natury wieku i t. p., wszakże czynionym przez autora zarzutom wiekowi XVIImu o przesadę w praktykowaniu chrześciaństwa, można także zarzucić nieraz przesadę. Jedną np. z cech pierwotnego chrześciaństwa był obowiązek szerzenia i przepowiadania go, jedną

z zasad nauki téj, od jéj początku było: iż obowiązkiem jest ludzkim podźwiganie natury swéj, obciążonéj jawną jakąś karą, przez umartwienia; kiedy więc autor wyraża: iż w owym wieku XVII mylnie wierzono w kraju, iż Bóg może się ująć jakby datkiem: szerzeniem wiary, kiedy wytyka „ustawiczne w owym wieku vota, posty i umartwienia," tedy właściwie nie jest to obwinianie wieku o przesady w nauce chrześciańskiéj, ale saméj nauki chrześciańskiéj. Jedną z cech czci religijnéj od czasów świętego Wojciecha, była szczególna cześć dla Bogarodzicy, cześć ta za czasów Kochowskiego silnie nadto wzniesioną została przez obronienie się Częstochowy od Szwedów; pamiątką i reprezentantką tego wzniesienia uczucia, wtedy powszechnego, pozostały nam właśnie między innemi poemata religijne autora Klimakterów;— rzec można, iż niema tylu gwiazd droga mleczna, ile poetyczny umysł tego poety umiał wynaleźć i określić odcieni czci Matki Chrystusowéj w owych poezyach: *Ogród Panieński*, *Różanieo* i t. p. Gdyby autor postrzeżenia swe bliżéj na przedmiot ten zwrócił, nie uczyniłby téj omyłki w swém założeniu, iż dla Kochowskiego poezyą była historya.

Najciekawszém, ile najnowszém, w rozbiorze poezyi Kochowskiego jest to, co autor mówi o ostatnim utworze tego poety *Psalmodyj;* uważaliśmy już iż tu zwróceniem bliższém uwagi na psalm VII, usprawiedliwił poniekąd twierdzenie swego poprzednika, że pismo to może się uważać za prototyp pism nader podobnéj treści Brodzińskiego, Mickiewicza i innych; dla rzetelnéj jednak charakterystyki tego utworu dodać wypada: iż Kochowski oprócz stylu trzymał się tylko w nim i téj metody autorów hebrajskich, iż wszystkie wypadki swojego kraju ze stanowiska sprawiedliwości i rządów Bożych wykładał,—lecz nie wdawał się tu wcale w wieszczenia i właściwą historyozofię,—w psalmie owszem 27ym mówi tu wyraźnie: „Wyroki królestw w górnym konsystorzu głęboko utajone zostają, a jakiego losu państwom spodziewać się nikt nie zgadnie, aż fata kostkę rzucą." Lecz mówiąc o ogólnéj naukowéj zasadzie dodajmy, iż ponawiano nieraz w tém studyum twierdzenie autora, że jakoby błędem było utrzymywać: iż szczególne ludy mają szczególne swe przeznaczenia, i że wyznawanie takiéj nauki prowadzić musi do apatyi, do bezczynności, jest zdaniem naszém skutkiem tylko nieprzejęcia się należnego przez autora zasadami historyozofii. Jeśli bowiem ludzkość (historya) to jedność, tedy i różne jéj członki, jak członki jednego ciała muszą pełnić *różny* swój urząd; a jeśli wyrokiem czyim jest brak apatyi, jakże udziałem jego mogłaby być apatya?

Prócz tych ogólnych, i nie na jedno szczególne zdanie autora monografii moglibyśmy się nie zgodzić. Kiedy np. utrzymuje autor, iż od Kochanowskiego do Kochowskiego poeci nasi znali tylko erotyczność praktyczną, tedy musiał przepomnieć sonety Sępa, sielanki Symonowicza i t. p., kiedy mówi, iż w lirykach Kochowskiego był przedświt poezyi nowéj, tedy żałujemy iż nie objaśnił w czém?—wnieść można, iż autor stosował to do Psalmodyi nie liryk;—nie zgodzilibyśmy się téż co do nas (w rzeczy o pismach łacińskich) na przyznanie pal-

my dziejopisarstwa Piaseckiemu przed Kochowskim; szczegółowość i uczucie czyli dusza z jakiemi pisane są Klimaktery, daleko dobitniéj i jaśniéj przedstawiają nam określane dzieje i czasy, niżeli poważne, i główne tylko rysy zewnętrzne określające pióro Piaseckiego, i t. p.

Te główniejsze nastręczyły się nam uwagi, i takie między innemi uderzyły nas ujemności przy odczytaniu obecnego traktatu o Kochowskim. Ujemności te, dodać jednak należy, zbyt drobne są w miarę stron dodatnich traktatu. Studyum obecne p. Rzążewskiego (objaśniając przez porównanie) ustąpić zapewne musi pod względem ścisłości krytycznéj studyom spółczesnym J. Przyborowskiego nad Kochanowskim, St. Węclewskiego nad Symonowiczem,— pod względem wdzięku stylu i wytrawności postrzeżeń praktycznych, Wizerunkom przez Siemieńskiego; ale przeważającą jego zaletą jest to, iż, jak to już wzmiankowaliśmy, jest ono połączeniem obu tych kierunków, t. j. iż mieści i część historyczno-krytyczną, i rozbiór pism estetyczny, a wykonanie w obu tych kierunkach nie jest bez mnogich zalet. Praca obecna pana Rzążewskiego jest zasłużoną pracą, i dla przyszłego historyka literatury, przygotowała cenny materyał.

X.

Kronika Piotra Piaseckiego. Kraków. 1870.

Ubogie u nas wydawnictwo z czasów ostatnich dzieł historycznych wzbogaconém zostało publikowaniem w roku zeszłym kroniki Pawła Piaseckiego w przekładzie polskim. Kronika ta znana już światu naukowemu z trzech, wydań w latach 1645, 1648 i 1649 ogłoszonych w języku łacińskim, a zatem mało przystępnych ogółowi; po raz piérwszy w całości, co do rzeczy miejscowych, wydrukowaną została w mowie rodzinnéj (1). Powiadamy co do rzeczy miejscowych, gdyż w dawnych wydaniach „*Chronica gestorum in Europa singularium*", obejmowała obok krajowych, dzieje postronne, opuszczone w niniejszéj publikacyi, zamkniętéj prawie wyłącznie w szrankach przeglądu domowych spraw.

Z górą dwuwiekowéj przeszłości pomnik nie myślimy roztrząsać ze stanowiska dzisiejszéj historycznéj nauki, bo jest on materyałem tylko, który wzbogacony i rozjaśniony rozlicznymi innymi z téj epoki, posłużyć może do jéj umiejętnego wszechstronnego ocenienia. Wyznajemy iż wzięcie się nasze za pióro, przedewszystkiem spowodował wstęp ś. p. Bartoszewicza, poprzedzający tekst samójże kroniki, a obejmujący studyum nad życiem Piaseckiego, jéj autora.

Na polu uprawy rodzimój historyi, znanym jest zaszczytnie ś. p. Bartoszewicz jako twórca mnogiéj ilości dzieł, broszur, arty-

(1) Część kroniki Piaseckiego poczynając od r. 1608, wydaną została w języku polskim z dawnego rękopismu, przez p. Wójcickiego r. 1846.

kułów i recenzyi, bądź oddzielnie ogłaszanych. bądź po różnych pismach krajowych rozsypanych. Górującym jego przymiotem była niezwyczajna znajomość źródeł historycznych i obfite z nich czerpanie, w celu rozjaśnienia kurzem wieków przysutych ludzi, wypadków i stosunków. Obok tego posiadał ten pisarz niezaprzeczony dar kombinacyjny pozwalający mu dla dobra nauki zużytkować oną znajomość wcale nie pospolitą rozlicznych autentyków przeszłości; a to za pomocą stawianych wniosków z nowéj, to jest dotąd niedostrzeżonéj strony wyjaśniającéj ją. Niemniéj w pracach tego pisarza jaśnieje na każdéj karcie miłość przedmiotu jakim się zajmuje, płomieniejącego żarem jego uczucia. Ten żar uczucia niewątpliwie jest potężnym czynnikiem we wszystkich dziełach fantazyi, imaginacyi, a nawet i myśli, suche realne fakta lub stosunki, opromieniających światłem dozwalającém przenikać w najskrytsze ich tajniki. Światłem które za pomocą właściwego cieniowania, oswobadza z wszystkich przykrywających powijaków prawdę, i odsłaniają dla wzroku ogółu jasną, przejrzystą. Nastrój wszelako uczuciowy w uprawiającym historyę, ma i swoją niedogodną stronę, jeśli zanadto wybuja kosztem zimnéj analizy, wypadki i ludzi umieszczającéj w zakresie odpowiednim ich charakterowi i dziejowemu znaczeniu. W takim bowiem razie zamiast posługiwania ku cieniowaniu, ku zdzieraniu zasłon urastających w przebiegu czasu i różnorodnych zwykle podaniach: narzuca sam danemu okresowi lub przedmiotowi koloryt urobiony w swéj wyobraźni, a nie na gruncie historycznego pochodu. W wyobraźni zasilanéj wypielęgnowanémi w swoim *ja* widziadłami, nie zaś pochwycanemi z rzeczywistego życia. Namiętności wówczas i z góry powzięte uprzedzenia, łatwo zapanują nad wytrawnością i zapatrywaniem się przenikliwym, zgodném z prawdą.

Rozczytując się we wstępie wyżéj powołanym, poprzedzającym świéże wydanie kroniki Piaseckiego, przyszliśmy do przeświadczenia, iż obok właściwości ś. p. Bartoszewicza, zwykle prace jego zalecających, nie jest wolny od wykazanych słabości, prawdopodobnie w cieple jego serca zrodzonych.

Sąd *a priori* postawiony, uzasadniamy jak następuje:

Paweł Piasecki ostatecznie biskup przemyślski żyjący w XVII wieku, znanym był jako mąż nauki, odtwarzający współczesną sobie historyą z niezwykłą bezstronnością, to jest małém baczeniem na możnych, a tém samém na swą dalszą promocyę. Opinia na taką modłę formułowana, była jednozgodnie powtarzana przez różnych pisarzy, rozdzielonych nawet od siebie znaczną przestrzenią czasu, oraz wyznawanemi pojęciami co do politycznego lub społecznego życia. Zacząwszy od wkrótce po nim piszących dziejopisów lub tychże roztrząsających, jak Kochowski, Rudawski, Braun, aż do późniejszych: Janockiego, Ossolińskiego i niedawno zgasłego Łętowskiego, że innych pominiem, przyznawano mu niezależność w zdaniu i zdrowy sąd. Bartoszewicz który nas już przyzwyczaił do niespodzianek w ocenianiu ludzi jak tego w Historyi literatury polskiéj, a mianowicie co do Konarskiego, Czackiego, obok wielu

innych dowiódł; i tu sili się przedstawić go w świetle różném od dotychczasowego. Ponieważ uderzając na człowieka, na jego charakter, oraz moralność i poczucie godności, łatwiéj zachwiać pewność w to co opowiada, o czém twierdzi pisarz; zamierzył przedstawić Piaseckiego jako człowieka, jako kapłana, biskupa, a tém samém senatora, wydatniéj nierównie niżeli jako pisarza. Na gruncie tego dążenia pojawiło się wspomniane o Piaseckim studyum, przedewszystkiem rozbierające jak żył a nie jak i co pisał. Nie wiemy czy od samego zawiązku przeznaczone być przewodnikiem dla czytelnika nowo publikowanej kroniki, czy też skreślone z inném pierwotnie przeznaczaniem. Czy z tém jednak czy z inném przeznaczeniem, dosyć iż w wydaniu krakowskiém kroniki, służy niejako za przedsionek czytelnikowi przed wejściem jego pod sklepienie samegoż gmachu historycznego. Wspomnieliśmy o wypowiedzianych co do Piaseckiego świadectwach, a dotychczas mających powagę, jakkolwiek przyznajemy, że nie zawsze tysiącem ust powtarzana opinia jest echem prawdy. Wspomnieliśmy też o nich nie dlatego by nam służyły za punkt wyjścia w ich podtrzymaniu, ale aby wykazać różnicę zapatrywania się utartego dotąd, od nowo podnoszonego. Nowo podnoszonego nie za pomocą głębokiego wniknięcia w pozostawione dzieło i odsłonięcie w niém usterków w opowiadaniu przebiegu wypadków, lub udziału w nich ludzi sterujących nawą państwa, lecz drogą uboczną rujnującą wiarę w autora, ponieważ samolubstwo rozstapiające się jedynie w ogniu rodzinnych stosunków, miało być przewodnią nicią jego żywota. Oto jak Bartoszewicz swe założenie przeprowadza.

Rozpoczyna od wykazania zgodnie z Niesieckim, iż jedna z gałęzi Piaseckich herbu Janina osiadła na Litwie, wybujała nad inne w znaczenie i mienie. Daléj dowodzi zasadnie iż historyk Paweł Piasecki nie z téj linii pochodził, jakkolwiek tegoż herbu używał. Owszem według rękopismu Kłodnickiego skłonnym jest mu przyznać mieszczańskie pochodzenie z Wąchocka. Wyjaśnienie to rodowodu i wykazana wątpliwość co do szlachectwa Piaseckiego, nie jest bez wyraźnego celu, gdyż nieco poniżéj pikuje go za niejednokrotnie objawioną w nim chętkę koligacenia się z Borkowskimi i Swoszowskimi, rodzinami mającémi znaczenie w kraju. Dla nas bez kwestyi dzięki cywilizacyjnemu rozwojowi, rodowód jest tylko pamiątką, uprzytomnianiem postaci historycznych ale w praktycznem życiu dającém materyał jedynie prożności. Dla odsuniętych wszelako przedziałem z górą dwu stuleci naddziadów, zupełnie inaczéj rzecz się tu przedstawiała. Dla nich splendor szlachecki nie był polem czczego popisu, ale stanowił grunt, który uprawiany pługiem zasługi, obfitszy nierównie plon przynosił jak dla człowieka z ludu. Najznakomitsi też ludzie rozumem i pracą, jak Dantyszek, Hozyusz, Kromer, skwapliwie wyciągali rękę po dyplom szlachecki, bo rozumieli że on stanowi dźwignię skuteczniejszego oddziaływania na społeczność.

Nasz więc historyk ulegając potędze wrażeń naciskających go zewsząd, nie mógł nie ulegać prądowi porywającemu powszechnie współczesnych.

W dalszym ciągu wstępu opowiada młode lata Piaseckiego. Zamknąwszy zaś określenie rodowodu jego parafrazą niby smugą światła wyjaśniać mającą charakter historyka (1), zarzuca mu iż należał do tak zwanych kortezanów, jakkolwiek sam wyraźnie mówi, iż nie otrzymał w Rzymie żadnego uposażenia, którém dopiéro tę nazwę na siebieby ściągnął. Uwidocznia się tu powtarzana bezustannie chęć Bartoszewicza obrzucania zarzutami, do wykazywania nicości moralnéj autora, którego życiorys na wzór niejako anatomicznego opisu nakreślił.

Po rozpatrzeniu się w *Praxis Episcopalis* następuje określenie pobytu u dworu Piaseckiego. W całym tym ustępie nie żałuje Bartoszewicz czarnego koloru do odmalowania naszego historyka. Gdzie nie napotkał faktów, któreby mogły być z ujemnéj strony przedstawionemi, tam bez żadnego skrupułu posługuje się domysłami. I tak: ma mu za złe, iż po powtórnym jego powrocie z Rzymu nie zabiegał o łaski ówczesnego biskupa poznańskiego, do którego dyecezyi jako kapłan należał; ale iż bezpośrednio udał się na dwór królewski. Powody skłaniające do rzeczonego kroku Piaseckiego giną w pomroce czasu. Dla nas jednak dostateczną jest rzeczą iż był zdolnym, czego mu i Bartoszewicz nie odmawia; byśmy chętnie przebaczyli, iż na szerszéj widowni dającéj możność rozciąglejszéj użyteczności, szukał pola ku działaniu. Według naszego widzenia za ten krok należy mu się raczéj wdzięczność niż przygana, bo on to właśnie dostarczył mu sposobności bliższego i dłuższego przypatrywania się sprawom państwa, a tém samém dokładniejszego naszkicowania obrazu dziejów sobie współczesnych.

W ustępie rzeczonym określającym pobyt u dworu, malującym na czarno Piaseckiego, co jakeśmy już tego dotknęli i w innych bezustannie się powtarza, spotykamy taki rysunek jego charakteru. „Ksiądz Piasecki w ogóle mało miał kapłańskiego w sobie i nieodpowiadał dobrze powołaniu. Głównie polityk, dyplomata, nie tyle zajmował się książką i kościołem, co nowinami i bieżącą chwilą. Mowy jego często były tak bezbożnie polityczne, że możnaby nieraz słusznie wątpić o jego sposobie myślenia w materyi religii. Był nieporządny w czynach i mowach. To jedna strona charakteru, która Piaseckiego nie mogła zalecić na dworze zacnym i pobożnym. Ale było tych stron znacznie jeszcze więcéj.

(1) Bartoszewicz z powodu iż Piasecki pisał o Lisowczykach mówi o nim na kar. VIII. „Pod tym względem winniśmy mu wiele, ale czy to nie wskazuje że ksiądz Piasecki był w duszy Lisowczykiem. Charakter miał dosyć lekkomyślny, niestały, gonił chętnie za łupem i znaczeniem, i moralność jego była wielce dwuznaczną. To cechy charakteru zbliżały go do lisowskiego rycerstwa, wśród którego miał jak widzieliśmy i najbliższych krewnych.“

Starał się ks. Piasecki przedewszystkiem o stanowisko, jak Goślicki, ale nie tak zacnie i pracowicie jak Goślicki. Chiał wynieść siebie i swoją rodzinę; można powiedzieć bez żadnéj obawy, że dlatego jedynie żył; stało się z czasem to pragnienie silną namiętnością, niehamowaną żadnemi względami! Chciał Piasecki a widzieliśmy, że było o kim myśleć, nie tylko dźwignąć rodzinę, ale ją zaraz i zbogacić. Czy się uda pierwsze? mógł wątpić, ale to drugie po części zależało od niego. Dlatego chciwy na grosz, łapał gdzie mógł rozmaite posady kościelne w kapitułach lub probostwach, chociaż kanonista tyle biegły wiedział, że sobór trydencki nie pozwala się trzymać kilku. (Postanowienia soboru tego objaśnimy później). Ale ks. Piasecki nie wiele ważył sobie prawo, chociaż udawał się za prawnika i samém dziełem swojém dowodził, że umié nawet być biskupem. Wiedział jak postępować należy, ale nie miał do tego odwagi, prywatą zajęty. Łapiąc posady, oszczędzał się nad wszelki wyraz i przez to był skąpym aż do sknérstwa. Kłótliwy z równemi sobie, większym umiał się nadstawić, starał się im trafiać w humor, i sztuki téj nie wahał się używać bez względu na swój stan duchowny. Uginał się więc, kłaniał, zabiegał o względy tych, których mógł pozorną swą grzecznością ująć. Był jednym z tych ludzi, co to nie mogąc się wznieść własnemi siłami, starają się przylgnąć do drugich, a pochlebiając ich namiętnościom, zaskarbić sobie ich łaskę, lubo i te sposoby nie zawsze im się udają“ (1).

Z porównania rysunku Bartoszewicza z nakreślonym przez nuncyusza Visconti a w odsyłaczu zamieszczonym, widzimy iż oba

(1) Wstęp, k. XVII. W Relacyi Nun. Apostol. T. II kar. 245, Visconte daje taki rysunek Piaseckiego: „O Pawle Piaseckim biskupie kamienieckim, mówię na ostatku, jako o ostatnim w zasłudze i zaletach, a może nawet niegodnym liczyć się pomiędzy biskupami. Mianowany został biskupem z niezukontentowaniem całego dworu przez króla Zygmunta, który okazał w tym czasie, że kto ma w ręku wiele rzeczy, trudno aby z nich jakiéj nie upuścił. Był sekretarzem królewskim i zajmował się po większéj części prywatnemi interesami króla, od którego różniąc się dalece w zdaniu i sposobie myślenia, dziwną jest rzeczą jak mógł wejść do jego służby, a cóż dopiéro dostąpić pod nim wyższych godności. Być może, że król nie bardzo lubiąc tych co byli najwięcéj niechętni temu człowiekowi, a nawet zarzucali mu brak szlachectwa, chciał mu tem większą okazać przychylność, często bowiem królowie w czynnościach swoich najmniéj przez ogół chwalonych, chcą pokazać że nie zależą od cudzego zdania. Ale wkrótce król miał przyczynę żałować mniéj rozważnego wyboru, gdy Piasecki wpadł w podejrzenie przeniewierzenia się w ważnym interesie, i odtąd za jego życia nie śmiał pojawić się na dworze. Lecz za teraźniejszego króla zaczął się znowu wtrącać w niektóre sprawy, bo się umié nadstawić, a król wzywa każdego wedle czasu i zdolności. Z tém wszystkiém zwątlały wkrótce jego nadzieje, gdy mu niedopisała sztuka trafiania w humor, któréj nie waha się używać bez względu na swój stan. Nie mniéj

pisarze są niemal zgodni. Powody ich zgodności nie trudno odsłonić. Dosyć dla zrozumienia téj solidarności w sądzie, zwrócić uwagę na zarzuty poczynione Piaseckiemu, jako dostojnikowi kościoła. Bartoszewicz powiada, że gdy na skutek dopełnionego układu między Władysławem IV a nieunitami, nastąpiły na sejmie koronacyjnym protestacye ze strony niektórych katolików, nasz historyk jakkolwiek się na nim znajdował, nie stanął wszelako w ich rzędzie. Ztąd téż mówi o nim: „Piasecki na wszystko był tolerantem," (k. XLI). Zarzuty zaś o obojętność dla katolicyzmu nie jednokrotnie się powtarzają. Między innémi z téj przyczyny sformułowanémi nader mocno autor wstępu nacióra nań za posiłkowanie Władysława IV w zamiarze zawarcia małżeństwa z protestantką palatynowną Renu. Z jakiego powodu mówi o nim: „Nie chodziło bynajmniéj o nic świętego biskupowi, o kościół i Rzeczpospolitę, o powinność, o dobre imię. Wszystko to gotów był poświęcić za dobre słowo królewskie, za promocyę" (kar. XLIV).

Gorzkie wyrzuty hojnie dziś szafowane, siłą gorącéj niegdyś walki ożywione, mogły się przedstawiać nuncyuszowi w formie daleko drażliwszéj i bardziéj podejrzliwość, niechęć obudzającéj. Ztąd téż usposobionym był do nałożenia ciemnémi barwami postaci ze względu wyznawanych przez nią opinii wstrętnéj sobie; którą to niechęć podzielając Bartoszewicz powtarza zarazem sąd co do przekonań i charakteru biskupa przed dwoma wiekami nakreślony.

Wszechstronne badanie życia w różnorodnych jego objawach do zupełnéj już jasności podniosło prawdę, iż wszelkie w dziedzinie jego następstwa, są wypływem poprzedzających je stosunków i okoliczności; jakotéż że im dane następstwo jest ważniejszém, im działa na większą ilość jednostek by je wspólną drogą do wspólnéj mety prowadzić: tém samém i przyczyny wywołujące je musiały być głębsze i powszechniejsze. Wsparci na podstawie téj prawdy przyjętéj już bezspornie przez świat naukowy, znajdujemy wyjaśnienie zapatrywania się Piaseckiego odnośnie do spraw religijnych swego czasu. Obywatel narodu społecznie i umysłowo wykształconego tak wydatnie w XVI wieku, iż Erazm Roterdamczyk znakomitość owéj epoki wyrzekł, iż w pośród niego jednego wolno być uczonym; w otaczających go stosunkach czerpał przykłady szanowania dla myśli najwznioślejszego objawu potęgi człowieka.

z obejścia jak z wejrzenia odrażający; skąpy aż do sknerstwa, nieporządny w czynach i mowach, często tak bezbożnie politycznych, iż możnaby nieraz słusznie wątpić o jego sposobie myślenia w materyi religii. Jest jednem słowem z tych ludzi, którzy nie mogąc się wznieść własnemi siłami, starają się przylgnąć do drugich, a pochlebiając ich namiętnościom, zaskarbić sobie ich łaskę; lubo i to sposoby nie zawsze im się udają. Starał się także głośném uczynić swe imię przez wydanie w przedmiocie kanonicznym, lecz czyny jego i mowy tak dalece różniące się od tego przedmiotu dowodzą, że prócz pisma nic masz w tém dziele nic jego własnego".

Czerpał przykłady w najwcześniejszém uznaniu przez stany państwa swobody wyznania, w należeniu do reakcyi tegoż aktu samychże biskupów, w sprawowaniu najwyższych publicznych dostojeństw, bez względu na wyznawane przekonania religijne (1). Skutkiem jakich to wzorów i stosunków od dziecka go okalających, mniemamy zasadniejszém przypuszczenie, iż przeświadczenie o użyteczności dla kraju zasady o jakiéj mówimy, kierowało jego postępowaniem, aniżeli ubieganie się za „łaską dworu i trafianie w humor."

Uczucia ożywiające Viscontego, na wskroś przenikały Zygmunta III. Jakkolwiek więc ulegając wymaganiom powołującego go do tronu narodu, warunkami elekcyi zobowiązał się równouprawnienie religijne w swéj mocy utrzymać, w ciągu rządów starał się podkopać istnienie owego równouprawnienia. Nuncyusz Malaspina w relacyi, złożonéj stolicy apostolskiéj 1598 r. mówi: „Król zobowiązał się przysięgą jednéj i drugiéj stronie (katolikom i różnowiercom) nie mogąc tedy po prost wystąpić przeciw heretykom, z obawy aby mu nie wypowiedziano posłuszeństwa, stara się ubocznémi drogami dojść do tego celu, to jest że nie daje żadnéj godności, żadnego starostwa ludziom innego wyznania i tym sposobem nie przestaje krzewić wiarę a wypleniać herezyę" (2). W lat dwadzieścia kilka objawia się już skutek wzmiankowanych przez Malaspinę usiłowań. W instrukcyi danéj Mons de Torres 1621 r. powiedziano: „Król tak zmienił senat: gdy przy wstąpieniu na tron było trzech senatorów katolików, teraz jest tylko dwóch czy trzech heretyków" (3).

Zaznaczone w powyższych świadectwach dążenia uwydatniają się w całém długiém pasmie rządów Jagiellończyka po kądzieli. Otoczony od dzieciństwa szeregiem wrażeń urabiających w nim przekonania nie pasujące do podniosłości stającéj się udziałem ukształceńszéj części społeczeństwa w Polsce; walczył wszystkiémi zasobami swéj władzy z ich objawami.

Mówimy o polityce Zygmunta III w artykule rozbiérającym wstęp do kroniki Piaseckiego nie bez racyi, gdyż widocznie rzeczony wstęp został napisany w celu obrony wzmiankowanego monarchy. Zapowiada ją nawet wyraźnie na karcie LX studium w sło-

(1) Na sejmie konwokacyjnym zgromadzonym w styczniu 1573 uchwalono, dla różnicy w wierze i odmiany w kościołach krwi nie rozlewać, ani się wzajem prześladować, pod konfiskatą dóbr, poczciwością, więzieniem i wygnaniem. Do któréj to redakcyi aktu zwanego Konfederacyą Warszawską należeli obok świeckich dygnitarzy: Krasiński biskup krakowski, Karnkowski kujawski, oraz trzeci z nazwiska nie wymieniony w dziejach. Wprawdzie pokój religijny zawarty w Augsburgu 1555 r. uprzedził rzeczony akt w Polsce, lecz obejmował tylko ustępstwo dla jednego wyznania augsburskiego, z wyłączeniem innych, gdy nad Wisłą uchwalony, zastrzegał bezpieczeństwo dla wszystkich odcieni religijnych.

(2) Relacye Nuncyuszów Apostolskich, T. II, p. 81.

(3) Tamże p. 119—120.

wach: „Zbijanie omylnych podań Piaseckiego poszczegółowe, zamieniłoby się w obronę Zygmunta III, rzecz piérwszéj wagi dla historyi narodowéj. Obronę tę gdzieindziéj na wielką skalę podejmiemy, bo jéj godzien król spotwarzony a z wielu względów znamienity". Żałujemy niezmiernie iż Bartoszewicz nie przedstawił faktów, owo niemal uwielbienie usprawiedliwiających, lecz natomiast walczy słowami, mniéj lub więcéj zręcznie wypowiedzianémi. Na seryo, nawet wątpimy żeby Bartoszewiczowi udało się wyszukać dowody posłużyć mogące do skuteczniejszego zrealizowania objawionego zamiaru, a choćby zatwierdzenia przez naukę wyrzeczonych już o nim sądów, jak naprzykład na k. XVII: „Bystry znawca kraju rozumnym był, wyrozumiałym panem." Na k. LXXI: „Rzymianin stary, posągowa postać." Co drugi raz na téjże karcie nieco inaczéj powtarza. „Oskarżamy męża posągowego". Jak również na téjże karcie, iż Zygmunt miał: „rozum wielki, zdolności niepospolite, pojmowanie obowiązków zacne, pracowitość ogromną, charakter silny, przekonanie mocne, życie nieskazitelne" (1). Na karcie LXXIII: „Opozycya zabiła niepospolite zdolności i najlepszą wolę Zygmunta III."

Powiedzieliśmy iż wątpimy aby na podstawie dowodów, usprawiedliwić się dały sądy powyższe. W każdym jednak razie zanim ogłoszonémi zostaną, oparci na dotychczas znanych, wcale usposobieni nie jesteśmy bić czołem przed wielkością jego zasług.

Roztrząsaliśmy już politykę Zygmunta III względem różnowierców, zdaniem Bartoszewicza najzupełniéj odpowiednią potrzebom naszej przeszłości, a według nas zapełnie niestosowną, nawet fatalną. Pomijając zatém ten przedmiot jako zcharakteryzowany, zastanowimy się nad dziejową działalnością monarchy rzeczonego, odnośnie do tego jak się snuło jéj pasmo, i jakie skutki przyniosła.

Według zasad zdrowego rozsądku o tyle monarcha spełnia zacniéj swe wielkie obowiązki, o ile zupełniéj zespala swe osobiste uczucia, dążenia potrzeby, z interesem czyli dobrem państwa przez siebie rządzonego. Jakimże widzimy w tym naczelnéj doniosłości względzie Zygmunta? Wolnymi głosy narodu powołany do tronu, przybywa objąć go w zenicie sił, bo w 22 roku życia. Zaraz następującego roku pisze list do Ernesta, brata cesarza Rudolfa 27 maja 1588 r. wzywający pod najściślejszą tajemnicą do układów o odstąpienie mu tronu polskiego. W lat parę, bo w lutym 1590 roku wysyła zausznika Jana Secymińskiego do tegoż Ernesta z ponowieniem propozycyi. Jakoż 20 listopada pomienionego roku staje między Zygmuntem a Ernestem układ, mocą którego w razie pozyskania przez drugiego berła Polski, zobowiązano się wzajemnie: 1sze, zawrzéć przymierze przeciwko sąsiednim nieprzyjaciołom; 2ie, część Inflant obecnie pod władzą szwedzką

(1) Nie przeczymy, iż niektóre z zaznaczonych rysów są trafnie rzucone; lecz nigdy nie zgodzimy się na rozum wielki i zdolności niepospolite.

będącą, zostawić i nadal przy Szwecyi; 3ie, Zygmuntowi wypłacić 400,000 złp. tytułem wynagrodzenia kosztów wyłożonych w czasie starań o koronę Polski (1).

Krok powyższy z wielu względów był co najmniéj niewłaściwym.

1. Monarcha dobrowolnie paktami, rodzajem kontraktu przyjąwszy zobowiązanie, a następnie dążący do złamania go, bez nastąpionéj zmiany w widokach i stosunkach politycznych, dowodził, iż nie rozumny namysł, ale czysta fantazya rządziła jego czynami. Bo widocznie albo uprzednie jego starania o tron albo téż późniejsza chęć onegoż porzucenia, były jéj wypływem.

2. Porównywając znaczenie, wpływ i potęgę owoczesnéj Polski ze Szwecyą jako państw, w powyższéj propozycyi widzimy brak wznioślejszéj ambicyi i dążeń, zwykle zrosłych z ludźmi bystrzejszego polotu; gdyż widocznie Polska przedstawiała w tym czasie dla działalności utalentowanego władcy, szersze nierównie pole niż Szwecya.

3. W wolnym narodzie posiadającym w swych szeregach ludzi znakomitych, liczne dyplomatyczne stosunki utrzymujących, nie mogły układy tak ważnéj natury długo pozostać nieznanémi. Rzeczą zaś zawierającego je było przewidzieć, iż odkryte muszą posiewać niezgodę, nieufność w całym kraju. Jakoż odgłos prowadzonych z Ernestem układów już na sejmie warszawskim 1593 obudzał kwas niechęci (2), a następnie przyczynił się nie pomału do nieszczęsnego rokoszu Zebrzydowskiego, jak niemniej długo i późniéj jeszcze psuł harmonią między rządzącym i rządzonymi, niezbędną dla ich wspólnego dobra.

Fantazya a bardziéj niestanowczość objawiające się w samychże pierwocinach panowania Zygmunta III, nie opuszczają go ani na chwilę, w długim szeregu lat upłynionych w ciągu sterowania przezeń łodzią Rzeczypospolitéj. Czy to stosunek do Szwecyi czy do drugiego mocarstwa Północy, zapełnione są błędami króla nazwanego Dojutrkiem, to jest odkładającego bezustannie na późniéj stanowczą decyzyę. Jaką to fatalną wadę określa dobitnie Piasecki w słowach: „A ta to ociężałość często w najważniejszych sprawach, pozbawiała go owych chwil drogich, po których utracie nie masz miejsca działaniu (3). Dziedziczny król Szwecyi po śmierci ojca traci ją, z powodu w znacznéj części osobistéj nieudatności. Ale co gorsza wciąga dwa narody, w imię sukcessyi i elekcyi mające być jedną wolą rządzonémi, w zgubną dla obydwóch walkę. W całym téż przebiegu stosunków z tąż Szwecyą,

(1) W. W. Tomek przywiedziony przez Mosbacha w Wiadomości do dziej. Pol. k. XXI—XXII.

(2) Łubiński, wydanie Wolffa str. 28. Piasecki wcześniéj nawet o pojawiającém się z powodu tego niezadowoleniu opowiada.

(3) Piasecki, Kronika k. 104.

bardzo licznych w ciągu jego rządów, nie można dopatrzeć w nim przezorności, a nawet choćby zdrowego zdawania sobie rachunku z położenia zmieniających się sytuacyj. Nie odgaduje w stryju Karolu przedsiębierczego przeciwnika. Nie zna usposobienia ludu szwedzkiego, mianowicie też pod względem religijnym. Napróżno dlań fakta wyrastają jedne po drugich, w przebiegu życia. Szwecya w krótkim czasie na wskróś protestancka zżyma się na sam widok katolickiego kapłana, a umysł Zygmunta pomimo tego, długo snuje projekta nawracania. W odbywanych podróżach do téjże Szwecyi, w r. 1593, jakotéż drugiéj z r. 1598 nie umié przewidzieć konsekwencyi: ztąd niezaopatrzenie się w niezbędne środki, ku zrealizowaniu pożądanych następstw. W ciągu zaś samegoż w pośród niéj pobytu, nie umié korzystać z nadarzających mu się pomyślnych wypadków, jak możność rozgromienia zastępów Karola, lub też jego samego zatrzymanie; lecz ciągle jest igraszką losu nie będąc zdolny nań zręcznie oddziaływać. Również w dalszym ciągu owych smutnych stosunków, gdy już przyszło do otwartéj wojny między ludami przeznaczonémi jak się zdawało do zbliżenia pod jednem berłem; ubieganie się za realizacyą niepraktycznych projektów albo ze złą wiarą podsuwanych, jakotéż wahanie się, brak sprężystości w przygotowaniach wojennych(1) sprowadzały na państwo silniejsze w zasoby, ludność i dobór wodzów, klęski. Klęski okupione utratą znacznych prowincyj i zniechęceniem ogółu ku królowi jako przedstawicy niefortunnéj polityki. Napróżno Bartoszewicz chce z Zygmunta zrobić wielkiego męża stanu, wnioskując iż w głębi jego przenikliwego rozumu płynęło przeznaczanie Litwinów na dostojników koronnych, a dzieje wszelako nas uczą, iż nie zawsze rzeczone mianowania były wynikiem wyższych dążności, lecz raczéj osobistych widoków chwilowo istniejących. I tak Duody poseł wenecki w sprawozdaniu z r. 1592 złożonem swemu rządowi mówi, iż obdarzenie biskupstwem krakowskiém Radziwiłła, było po prostu następstwem życzenia królewskiego, aby wzmocnić cały jego dom, a tém samém uzdolnić do przeciwwagi powadze Zamojskiego (2).

Na poparcie nakreślonych opinii nie powołujemy się najzwykléj do szczegółowych faktów, bo komuż obznajmionemu z dziejami przeszłości naszéj, sam wiadomy przebieg wypadków nie wskazuje, iż onto właśnie pozwolił, a raczéj zniewolił nas do wypowie-

(1) Po najechaniu Inflant 1621 r. przez Gustawa Adolfa, pomimo ostrzeżeń hetmana Radziwiłła, nie dokonano żadnego przygotowania do oporu, listy przypowiednie do zebrania sił wojennych nader późno rozesłano, a następnie jak korrespondencye w sprawach wojennych Radziwiłła wskazują, napróżno tenże woła o posiłki w ludziach i pieniądzach; pomimo ukończenia wojny tureckiéj, na plac boju północny lata całe upływają a też przynajmniéj w dostatecznéj ilości nie przybywają.

(2) Zbiór Pam., o daw. Pol. Niemcewicza T. IV str. 86.

dzenia powyższych opinii. Aby jednak lepiéj je uzasadnić, rzućmy raz jeszcze przelotne spojrzenie na rządy wysoko przez Bartoszewicza podnoszonego monarchy, i rezultaty jakie one rządy krajowi przyniosły. W tym zaś celu zastanówmy się przedewszystkiém, czy tenże jako władzca obszernego państwa, stał na wyżynach zadania nasuwającego mu się niezbędnie, wraz z objęciem nad niém berła.

Przyrodzoną jest właściwością człowieka, iż bezustannie pracuje nad rozszerzaniem swego moralnego i materyalnego dobra. Im zaś podnioślejsze daném mu jest zajmować stanowisko, z tém większą łatwością nachyla ku sobie korzyść i skuteczniéj rozszerza zakres oraz znaczenie owego dobra. Zupełnie więc zgodnie z prawem powszechném natury ludzkiéj, monarchowie z małym wyjątkiem dążyli do rozszerzenia zakresu swéj władzy; czyli targali więzy dla swéj woli wzniesione ustawami rządzonych przez nich państw. Jakoż zgodnie z tém prawem i Zygmunt objąwszy ster władzy w Polsce, zaciśniony w niedogodne dlań powijaki, pragnął się z nich oswobodzić. Nie wchodzimy tu bynajmniéj w rozbiór, czy należało mu tak zrobić ze względu na interes rządzonego państwa lub nie; dosyć, że ono dążenie znajdujemy naturalném, wynikającém z samegoż gruppowania się stosunków. Na polu wszelako politycznych czy społecznych prac, nie dosyć jest mieć chęci, a nawet środki ku zrealizowaniu danego zadania; potrzeba przedewszystkiem umieć to zrobić, to jest znać tajemnice przyoblekania złożonéj w głębi myśli, w czyn. Znajomość wszakże owéj tajemnicy nie była daną Zygmuntowi III. Dla pełniejszego uwydatnienia rzuconego tylko co zdania, porównajmy dwa po sobie u nas następujące panowania Batorego i Zygmunta.

Piérwszy ożywiony był niezaprzeczenie dążeniem o jakiém mówimy: rozpatrzmy się więc w jaki sposób zabrał się do jego przeprowadzenia. Pojmując iż wielkie ustępstwa w narodzie można otrzymać tylko w imię wielkich zasług, drogą oręża i układów, podnosi znaczenie kraju, a tém samém i swéj osoby. Wszelako jako prawdziwie wyższy umysł wié, że wyłącznie na zasługach nie może opiérać nadziei urzeczywistnienia reformy społeczeństwa uznawanéj w głębi swego rozumu konieczną. Przywiązuje więc do swéj sprawy i widoków Zamojskiego, który po zjednaniu przynosił pomoc nie tylko indywidualną, ale zapewniał ją u znacznéj części narodu, zhołdowanéj urokiem jego dzielności i talentów. Nie poprzestaje na tym ważnym nabytku dla zrealizowania swych życzeń, lecz w celu wytworzenia właściwych środków, po zakończeniu wojny północnéj, obdarza szczodrémi dobrodziejstwami wojskowych, oraz wielu z nich zatrzymuje w czynnéj służbie (1). W tymże prawdopodobnie celu urządza kozactwo, by mieć pod ręką siły na wszelki wypadek. Wreszcie spostrzegając ileby umo-

(1) Hejdensztein, wydanie Wolffa T. II, k. 117.

cnił swe życzenia przytarciem rogów buty u możniejszych w szlacheckim zastępie, pracuje nad osiągnięciem tego celu. Ztąd też pod ciosami karzącego miecza spadają głowy Samuela Zborowskiego i Ościka kasztelana iłowskiego (1).

Wszystko w powyższym planie jest z sobą w związku, bo myśl wyższego człowieka, łączy pojedyncze odłamy zadania w całości, gdy wtém nagła jak uderzenie piorunu śmierć, przecina cały jego wątek (2).

U drugiego z władców to jest Zygmunta, jakkolwiek zadanie przez piérwszego podnoszone, było jak powiedzieliśmy naturalném pragnieniem, drogi jednak wybiérane przezeń, odskakują o całą przepaść zapełnioną różnicą wynikającą z ich charakteru i talentu. Zamojski pomocnik czynny i nieutrudzony dzielnego Batorego, przeistacza się w przeciwnika dworu. Udatna, nakazująca poszanowanie polityka zewnętrzna poprzednika, zbiegiem okoliczności postawiona za Zygmunta w dogodnych warunkach względem północnego sąsiada, wyciąga dłoń by wydobyć z nich korzyści. Nie umiejąc jednak w porę zdeterminować się co do wyboru ku ich osiągnięciu właściwych dróg, zniewolona jest poprzestać na nader miernych. Zbyt ufna względem Austryi upartém zespalaniem się z jéj interesami, zniechęca ku sobie mnogie hufce własnych obywateli, a tém samém osłabia się co do siły wewnętrznéj. Co więcéj sekundowaniem ciągłém tejże Austryi, ściąga na swe barki ciężar potęgi tureckiéj, z którą krwawe zapasy toczyć musi. Rozmyślnie więc porzuconą zostaje rozumna polityka ostatnich Jagiellonów i Batorego, zależąca na wstrzymywaniu się od okazania nieprzyjaźni przed możnością wymierzenia stanowczego ciosu. Najdotkliwsze jednak klęski ponosi w zawikłaniach ze Szwecyą, w znakomitéj mierze własną winą wywołanych. Pomimo więc cząstkowych przypadkowych pomyślności, bo w całość głębszą myślą nie wiązanych, w końcu widocznie szwankuje w całéj rozciągłości swych różnorodnych stosunków. Obok tego silną poprzednika dłonią wprowadzany ład, poskramianie swawoli możnych, pod słabszą Zygmunta, jeśli nie ustaje doszczętnie, to nie zapewnia pożądanych następstw. Wyprawy zagraniczne na swą rękę przedsiębrane przez prywatnych (Potockiego, Koreckiego), rozterki między możniejszémi familiami (Radziwiłłów z Chodkiewiczami) są niejako odblaskiem

(1) Bielski u Gałęzowskiego T. 9, k. 169.

(2) Podajemy ustęp z mowy Batorego na sejmie Toruńskim malującéj jego dzielność. „Z woli Bożéj zostałem królem waszym, przybyłem tu w skutek waszych próśb i nalegań. Wy sami włożyliście mi koronę na głowę. Jestem więc waszym rzeczywistym a nie malowanym monarchą. Chcę panować i rozkazywać i nieścierpię żeby kto nademną panował. Bądźcie stróżami wolności waszéj; ale nie pozwolę abyście byli bakałarzami moimi i senatorów moich. Tak strzeżcie wolności waszéj, aby się w swawolę nie wyrodziła.“

zwiększającego się zamętu. Wojsko tworząc powtarzające się licznie związki, staje się potęgą, z którą naród i dwór, muszą wchodzić w układy, nie zaś polegać na niéj. Wniesiony przez poprzednika projekt opisania, stale określonémi prawami elekcyjności królów, rzecz pierwszorzędnéj ważności, nie znajduje dostatecznego poparcia w monarsze, objawiającym stałość dla drobnostek raczéj a nie postanowień zapewniających przyszłość kraju (1).

Wprawdzie niefortunne pasmo wypadków wysnuwających się pod berłem Zygmunta III, nie wyłącznie płynęło z jego winy; ustrój polityczny i społeczny kraju, rozprzężenie będące jego następstwem, przyczyniały się znakomicie do takiego stanu rzeczy. Zarzut wszelako bardzo zasadny spada na barki jego, iż jako przewodnik narodu, nie umiał pokierować nim, odpowiednio do potrzeb rozumem wskazywanych. Porównanie dwóch po sobie następujących władzców: Stefana i Zygmunta przekonywa, iż siłą zręczności i talentu wiele dałoby się zrobić.

Zwalenie winy smutnych następstw panowania Zygmunta III na opozycyą, nie uznajemy zasadném, bo któryż z wielkich ludzi, mianowicie politycznych, nie spotykał na drodze pochodu niechętnych? Właśnie cechą talentu, rozumu, zwalczanie opozycyi a przynajmniéj zmniejszanie jéj do tak szczupłéj falangi, iżby nie była zdolną opierać się natchnieniom dojrzalszéj myśli. Cóż innego da się powiedzieć o człowieku mającym chęci i środki do przeprowadzenia danego zadania, a jednakże nie dochodzącym do wyznaczonéj sobie mety; jak tylko że nie umiał tego zrobić, czyli że nie był zdolnym. Przymioty jego domowe, rodzinne, towarzyskie, a nawet zacność charakteru, nie zapewnią mu na kartach skreślających rozwój życia państwowego, imienia utalentowanego męża. Opozycya zacięta, namiętna była udziałem i Batorego, a jednak pod koniec jego dni zaczęto oddawać mu sprawiedliwość i to w szeregach właśnie dotąd niechętnych. I tak wraz z zakończeniem burzliwych sessyj sejmowego sądu w Lublinie 1585 roku na Krysztofa Zborowskiego, posłowie wystąpili z protestacyą przeciw zapadłemu wyrokowi, gdy jeden z ich grona Swiętosław Orzelski zabrał głos, wysławiając zasługi króla i zaklinając go, by nie zrażał się niewdzięcznością, oraz krnąbrnością kilku, mając ogół wiernym sobie (2). Solikowski w całym swym pamiętni-

(1) Wprawdzie na sejmach r. 1588—1589 za Zygmunta był wnoszonym co do tego przedmiotu projekt, z powodu jednak małego poparcia dworu, a to dla wyłączania od korony domu Rakuzkiego upadł, a późniéj zaległo głuche milczenie. Siarczyński w tomie 2 przywiedzionego już dzieła, cały rozdział poświęcił rozbiorowi błędów popełnionych przez Zygmunta III, a jakkolwiek nie na wszystkie wywody tego pisarza zgodzić się można, przyznać trzeba, iż z wielką skrzętnością zebrał fakta wyjaśniające niedecyzyą, opieszałość i brak przewidywania tego monarchy.

(2) Orzelski, wydanie Wolffa, tom wstępny k. 57—64.

ku chłodny względem Stefana, opisując ostatnie jego chwile, zniewolony jest niejako do wyrzeczenia zdania: „Iż umysły ludzkie wielce się odmieniły, podatki na wojnę ochoczo miano uchwalić; Andrzeja i Baltazara Batorych, przyznać za polskich obywateli“, słowem, król mógł się spodziewać, że zamiary jego na sejmie szczęśliwie pójdą (1).

Do właściwości geniuszu należy, iż na drogi przezeń wytknięte wstępuje ogół, i niesie chociaż spóźnione uznanie ich wielkości. Nic podobnego nie spotkało Zygmunta III w końcu jego zawodu; między innemi o nim świadectwami, Obuchowicz zapisując śmierć królewską dodaje: „Rzadki za jego czasów z ludzi rycerskich doścignął nagrody, bo lada komu odźwiernym, pokojowym dawał kontontacye, przeto narzekania bywały (2).“ Rudawski mówi o nim: „Skłonniejszy do pokoju jak do wojny, którą mimowoli zawsze prowadził. Król przepędzający większą część czasu w orszaku lutnistów, śpiewaków, co podług prawideł polityki nieprzystoi wcale królowi, chyba w czasach zupełnéj spokojności, albowiem zabawy monarchów, często zgubą stają się dla poddanych (3).“ Więcéj ma znaczenia nad sądy pojedyńcze, powszechna obojętność będąca udziałem Zygmunta III tak w narodzie jak historykach, która dopiéro w ostatnich czasach stopniała w zapale paru pisarzy wyższych nierównie entuzyazmem, jak zimnym, przenikliwym rozbiorem (4).

Z tego cośmy powiedzieli wypływa jak mniemamy, iż uwagi wyrzeczone o Zygmuncie III przez Piaseckiego, a sprowadzające nań po upływie dwóch wieków gromy Bartoszewicza nie były na wiatr rzucane. Zrobiliśmy już wzmiankę, że aby osłabić wiarę co do tych uwag, uderzono wstępnym bojem na charakter naszego historyka. Uderzono za pomocą wykazania, jak bez skrupułów łapał beneficya, jak usilnie zabiegał nad powiększeniem swego mienia, oraz podnoszeniem w znaczeniu i dostatkach swéj familii. Trzy rozdziały wstępu wspomnionego: „Pobyt na dworze,“ *Sielanka w Rokitnie*, jakotéż *Nowe posady kościelne*, szeroko o tém rozpowiadają. Autor wstępu dla ich skreślenia nie żałował mozolnych poszukiwań po urzędowych aktach, bądź konsystorza warszawskiego, bądź archiwum głównego. Istotnie téż za ich pomocą przedstawił obraz kapłana wcale nie budujący, zabiegającego usilnie o pozyskanie dóbr ziemskich. A jakkolwiek wyznajemy, iż to obraz nie do zbudowania, jednakże bynajmniéj nie podzielamy pryskającego w tychże rozdziałach oburzenia Bartoszewicza. Tłumaczymy się jak następuje dlaczego.

(1) Solikowski, wydanie Wolffa k. 74.

(2) Pamiętniki historyczne Obuchowiczów i Cedrowskiego k. 3.

(3) Rudawski, wydanie Wolffa, T. 1, k. 4.

(4) Pochwały mu oddawano jak np. przez Kobierzyckiego nie nie dowodzą, gdyż są próżnych tylko słów dźwiękiem nie przedstawiających ani faktów ani wyrozumowania.

Stosunki, wyobrażenia, obyczaje, w kole których od dziecka się obracamy, kształcą nasz sąd w tak stanowczy sposób, iż są miarą naszych poglądów na życie, skalą, według której podziwiamy lub potępiamy myśli i działania. Wszakżeż w Sparcie zręcznie dokonaną kradzież, uważano za czyn dowodzący sprytności, a zatém pochwały godny. Skutkiem czego, któryż Spartańczyk miałby go sobie za hańbę. Jak zaś Spartanie wyróżniali się od naszych pojęć co do znaczenia kradzieży, tak ludzie z XVII wieku, co do pozyskania godności i dóbr kościelnych. Ubieganie się za niemi, bynajmniéj nie okrywało piętnem niesławy, nie bezcześciło nikogo. W Polsce zaś bardziéj jeszcze starania téj natury uwzględniano jak gdzieindziéj. Wprawdzie sobór trydencki zakończony 1564 r. ograniczył do jednego beneficium, możność dotychczasową posiadania ich kilku; duchowieństwo jednak polskie uznało rzeczone przepisy uciążliwemi, skutkiem czego wyjednało u papieża Piusa IV zawieszenie ich mocy obowiązującéj, u nas do lat trzech, a późniéj zaś u Grzegorza XIII udzielenie nuncyuszom prawa dyspensy w tym względzie (1). Taki to pogląd Stolicy Apostolskiéj trwał i późniéj, co się pokazuje z instrukcyi udzielonéj w r. 1622 nuncyuszowi Lancelloti, w któréj powiedziano: że jakkolwiek co do plebanów, wtenczas tylko można pozwalać na posiadanie dwóch parafij jednemu, gdy są tak blizkie siebie, iż jeden kapłan zdoła wydołać podwójnym obowiązkom, to „co do kanonii i godności kollegialnych, niepodobna odmawiać dyspensy i potrzeba pozwalać na trzymanie ich dwóch, trzech najwięcéj do pewnego czasu“ (2).

Oczywistą zaś jest rzeczą, iż to co było dozwoloném przez najwyższą w kościele władzę, przy małéj w ogóle skrupulatności ludzi z téj epoki, nie mogło się przedstawiać oczom współczesnych w świetle dzisiejszém. Ztąd téż polowanie na posady i dochody kościelne, przedstawiają nam w Piaseckim człowieka, który pod względem moralności i poczucia godności, stoi tylko na równi z ogółem współkolegów. Bynajmniéj zaś nie widzimy w nich dowodu samolubstwa, lekkomyślności, matactwa, wyrosłych w takie rozmiary, iżby cieniem przez siebie tworzonym, obrzucać miały opinie i świadectwa historyka. Owszem rozczytując się w kronice przez niego pozostawionéj, uznajemy najzupełniéj trafném ocenieniem, przyznawaną mu prawdomówność i trzeźwość w zapatrywaniu się na przebieg spraw w kółku których żył. Bo czyż z niechęci jego wypływa zanotowana przezeń wiadomość na k. 81, w samychże pierwocinach panowania Zygmunta o sporze między tymże, a pierwszym powagą jego zebranym sejmem. O sporze co do Estonii, którą posłowie Szwecyi w czasie zabiegów o tron, przyrzekli z chwilą pozyskania go przez Zygmunta zwrócić, a któréj zwrotu tenże odmawiał podczas obejmowania rządów. Czyż nie-

(1) Dzieje prawa Kościoła pol. Ostrowskiego, T. III, k. 264.
(1) Relacye Nunc. Apostol. T. II, k. 170.

chęć dyktowała mu wyrazy, iż na sejmie 1591 r. pomimo pozornéj ciszy „rzucone zostały nasiona długiéj i prawie nigdy nieustającéj między królem a stanami niezgody. Podówczas to bowiem co już był z dawna zamyślał, w ściślejszą przyjaźń z Austryakami wkroczyć postanowił. Ztąd cały dalszych podejrzeń rozwinął się szereg“ (k. 102). Czyż go obwiniać można za uwagę zrobioną co do pierwszéj szwedzkiéj podróży królewskiéj. „Przyznać należy, iż sam Zygmunt nie dość się ostrożnie zachował pośród zastawianych na siebie sideł; można było albowiem ukrywać do jakiegoś czasu wiele takich przedsięwzięć, które zbyt rychło wyjawione, posłużyły tylko do rozdrażnienia ludu. Miał przy sobie nuncyusza papiezkiego Germanika Malaspinę biskupa Sa. Sewera, człowieka wprawdzie przezornego, ale zbyt porywczego w zdaniu; było z nim także wielu jezuitów o których dobrze wiedzieli Szwedzi, że od dziecinnych jego lat mieli największą władzę nad jego umysłem, (k. 114—115.) Czyż cechuje stronniczy umysł, nakreślona przezeń opinia o Zygmuncie i jego niemieckich stosunkach w wyrażeniu: „Król przeto prośbami i namowami możniejszych zniewolony, aczkolwiek od wszystkich tych przewinień na sumieniu wolny. (jak to ostatecznie w podeszłym nawet wieku twierdzić nie przestawał) (1), dla dobra pokoju (te były słowa zabranego przezeń głosu w senacie) do uczynku się przyznał, przyrzekając, iż nigdy bez wiedzy i zezwolenia Rzeczypospolitéj o postanowienie następcy traktować nie będzie (k. 111). Jak również czy niechętną stronnością odbija narysowany przezeń stan Szwecyi po drugiéj w niéj bytności królewskiéj.“ Wszystkich bowiem, których o sprzyjanie Zygmuntowi z najgłębszego domysłu posądzał (Karol), jako wichrzycielów publicznych do więzienia wtrącał, śmiercią okrutną gładził, dobra ich na skarb zabierał i rodziny ich z kraju wywoływał; zgoła po całém królestwie tak nieustannie wywierał katusze, że nikt słowem ani uczynkiem zatrzymać go nieśmiał, jeżeli zarazem życia i potomstwa swego na ostateczne niebezpieczeństwo narazić nie chciał. Nie dosyć już było nie sprzeciwiać się jego woli, ale nawet uprzedzać jego żądania należało, chociaż bowiem cały wątek rokoszu z jego rady się wysnuwał, on jednak taki rzeczom chciał nadać pozór, jakoby wszystkie postanowienia nie z niego, ale z jednomyślnéj wszystkich stanów uchwały pochodziły (k. 152—153). Czyż można mu zarzucać brak jasności w ocenianiu strategii prymasa Karnkowskiego, nieprzyjaznéj Zamoyskiemu, a uciekającéj się do zwołania swą tylko powagą zjazdu, poważającego się rozbierać już zapadłe postanowienia sejmowe. W ocenieniu wypowiedzianém ustami Jana Tarnowskiego podkanclerzego: „że chociażby kiedy największych rzeczy dokonał (prymas), by też nawet setki gimnazyów pobudował, nigdy

(1) Związki z Ernestem były wyświetlanemi, a jednak Piasecki tak się o nich oględnie wyraża w swéj kronice.

téj szkody jaką swym buntowniczym zjazdem Rzeczypospolitéj zadał, wynagrodzić nie mógł“ (k. 101).

Zresztą samaż charakterystyka Zygmunta III, wypowiedziana w chwili jego zgonu wykazuje dowodnie, raczéj życzliwość dla niego niżeli niechęć. Mówi bowiem o nim k. 354. „Zakończył dni swe pan we wszystkie cnoty pobożnego chrześcianina i dobrego króla bogaty, pełen majestatu w swojém obliczu, w całéj swéj postaci szanowany, w przeciwnościach i szczęściu zawsze sobie podobny, prawości i czci boskiéj wielki miłośnik, w przedsięwzięciu nieporuszony, co częstokroć jemu samemu na wielką wychodziło szkodę.“

Szczupłe ramy artykułu nie pozwalają zbyt rozszerzać wypisów z Piaseckiego, choćbyśmy znaleźli mnogie ustępy, wykazujące w nim historyka zapatrującego się na życie jak człowiek, o którym się mówi: ma głowę i serce. Zaznaczyliśmy w ciągu pracy niniejszéj, iż te przymioty przyznawał mu długi szereg pisarzy, zwracających uwagę na wybitną i niepospolitą postać w naszém dziejopisarstwie Piaseckiego. Jeden Visconti charakteryzuje go w nieprzyjazny sposób, a charakterystyki téj wykazaliśmy powyżéj źródło. Różnice jego sądu, od sądu innych współczesnych poniższe przytoczenia stawiają w świetle.

Laboureur będący w orszaku wyprawionym z Francyi z Maryą Ludwiką do Polski, a zatém mogący osobiście znać naszego historyka, w swéj relacyi powiada: iż Piasecki ma w kraju uznanie: jakie mieli niegdyś Hozyusz i Kromer, a jego historyą uważa jako wierne odbicie wypadków, oraz wolną od pochlebstw (1).

Rudawski przy śmierci Piaseckiego będący już mężem mającym sąd dojrzały, a przytém gorliwy katolik, mówi o nim: „Jednakowe w nim przywiązanie religijne;“ daléj zaś: „Cudzoziemcy nie szczędzą mu pochwał, chociaż nie potrzebuje pochwały, kto sam o sobie tyle ile Piasecki świadczy, czy spojrzymy na życie jego, czy na napisane przezeń dzieła“ w końcu dodaje: „Jednak gdy karcił piórem historycznem zbrodnie niektorych magnatów, od wielu został oskarżony o potwarz, i zamiast należnéj pochwały uległ wspólnéj dla wszystkich prawych historyków w obeldze (2).

Kochowski mający już lat 16, gdy nasz historyk kończył żywot daje o nim świadectwo; iż w pośród uczonych miał sławę z nauki i roztropności, a wcale nie dziwna iż jako przyjaciel prawdy posiadał nieprzyjaciół, gdyż samém obliczem i spojrzeniem surowém, przyganiał lekkomyślności (1).

Ograniczyliśmy się na tych świadectwach nieprzytaczając wyrzeczonych przez Zyznowskiego i Naramowskiego pełnych

(1) Laboureur Relation du Voyage de la Royne do Pologne, Paris 1647 a, T. II. p. 117.

(2) Rudawski T. 1, k. 2 i 78.

(1) Kochowski przywiedziony przez Ossolińskiego T. II, k. 139—150.

pochwał, lecz ubranych w sukienkę panegiryczną; gdyż zdaniem naszém dostatecznie dowodzą odskoku między ich opinią a Viscontego.

W rysunku historycznym zwykłym jest systemem postępowania, iż w przedmiocie różnostronnie ocenianym przyjmujemy za prawdę co jest przez większą liczbę świadect stwierdzoném, mianowicie też jeśli one nie są w rzeczywistéj sprzeczności z prawdą. Co więcéj jeżeli owe ocenienia nie pochodzą z jednego obozu, ale od ludzi różnych stanowiskiem i opiniami, tém większą wiarę obudzają. Nareszcie przenikliwy i bezstronny historyk polega wtenczas tylko z zupełném zaufaniem na daném świadectwie, gdy skrupulatnie wyważy w swym umyśle, nawet pobudki jakie na wyrzeczenie go oddziaływać mogły. Tymczasem wszystkie te względy pierwszorzędnego znaczenia pominięto w studyum o Piaseckim. Uporczywie trzymano się jednéj relacyi bez względu iż mnogie świadectwa co innego mówią, jakotéż iż ono nie przychylne świadectwo z przyczyn wyżéj zaznaczonych, bardzo a bardzo zasługiwało na nieufność. Pogwałcenie o jakiém wzmiankujemy, znanych wybornie zasad Bartoszewiczowi nauki historycznéj, nie z innych powodów nastąpiło, jak gorącości jego uczuć religijnych nie znane w licznych pracach tego pisarza.

Boże uchowaj abyśmy obarczali wyrzutami cześć religijną, wszakżeż to strażnica sumienia, latarnia niejako morska w ciemnym a burzliwym pochodzie życia. Według jednak naszego pojmowania, owa latarnia świecić powinna na drodze naszych czynów; ale być obcą sądom szczególniéj téż naukowym.

Bartoszewicz wspominając o ocenieniu przez Ossolińskiego naszego historyka powiada: „wykryliśmy pobudki jakie wpływały na sąd jego o Piaseckim". Sąd to nie samodzielny, jest raczéj tylko echem uprzedzeń dawnych uniesień. Na sąd swój własny, nie zdobył się Ossoliński" (k. LXXXII). O ś. p. Bartoszewiczu bynajmniéj tego nie powiemy, sąd jego i owszem jest wybitnie samodzielny; żałujemy tylko że wyobraźnia i uczucie zbyt szeroko zajęły w nim miejsce.

Nie podnosimy sporu z powodu wielu innych zarzutów stawianych Piaseckiemu, bo szło nam głównie o podstawy do zrozumienia przeszłości służące, nie zaś o drobne fakta lub określenie ich znaczenia. Zresztą przegląd kroniki dozwala dostrzedz, bez posiadania wzroku ostrowidza, tu i owdzie popełnione błędy. Wszakżeż Piasecki był człowiekiem, to dosyć. Co więcéj pisał o czasach sobie współczesnych, nie mógł więc mieć spokoju, bezwzględnéj bezstronności, na jakie zdobyć się może i powinien historyk kreślący z dokumentami w ręku, obraz przebrzmiałéj dawno epoki. Życzliwość i niechęć z tła życia tryskające, musiały się wpić w jego serce, ciemnym lub jasnym kolorytem naprowadzać opowiadane przezeń epizody. W sile uczuć rozlicznémi tony grających w jego duszy, jakoteż w niedoskonałości natury ludzkiéj uosobionéj do błędów, szukać ich należy, a nie w złéj jego woli

lub przewrotności. Rysował obraz z natury, kładł więc nań barwy żywe, może namiętne, ale sercem i rozumem poczute. Jeśli się niekiedy mylił, to natomiast wyprowadził na światło tysiące nieznanych zkąd inąd wydarzeń, wiernie, bo na gorącym uczynku pochwyconych. W sądach jego również to ciepło życiowe, oraz prawda, błyszczą tyle jasnym płomieniem; że dwa wieki ubiegłe pozwalają go uznawać tém czystszym, tém świetniejszym.

Żałujemy iż ś. p. Bartoszewicz nie uczynił swém zadaniem sprostowanie wszystkich błędów Piaseckiego; bo niezaprzeczenie napisałby w takim razie artykuł bardzo a bardzo pouczający, co przy znanéj jego erudycyi przyszłoby mu łatwo.

A. Adamowicz.

Liszt jako symfonista.

Dr. Brendel professor Konserwatoryum Lipskiego wydał broszurę o utworach symfonicznych Liszta, którą Ludwik Gozlan francuz uzupełnił artykułom krytyczno-muzycznym.

Z okoliczności wykonania po raz pierwszy tego lata w Warszawie symfonii Liszta Tasso: *Lamento e triompho*, ze źródła dopiéro wskazanego podamy kilka ważniejszych wiadomości.

Już w utworach fortepianowych takich, jak: *Lata pielgrzymki*, *Etudy*, *Rapsodye węgierskie*, Liszt okazywał kierunek ku wielkiemu stylowi o szerszych rozmiarach. Dążność ta spotęgowała się z czasem do tego stopnia, że mu już fortepian nie wystarczał; zapragnął więc odetchnąć szerzéj i głębiéj, i zawołać piersiami całéj orkiestry i głosów ludzkich.

Stało się to w r. 1849, kiedy Niemcy wyzwoliły się z pod formuł klasycyzmu, Szuman redagował gazetę muzyczną w Lipsku, a Wagner wykończał swe opery Tannhäuser i Lohengrina. Szuman już wtedy upadł pod brzemieniem pracy; Lisztowi więc przypadła z kolei część formy ostatecznéj, ledwie poczętéj przez Mendelsohna, a posuniętéj przez Szumana.

Genialność Liszta dodała mu w tym względzie sił odpowiednich. Już w *Dantejskiéj symfonii* Liszt porzucił tradycyę szkół dawnych, i utworzył w tym kierunku 12 dzieł, które noszą napisy:

1) Co słychać na górze? (podług W. Hugo).
2) Tasso-Lamento e triompho.
3) Preludya, (podług Lamartina).
4) Orfeusz.
5) Prometeusz.
6) Mazeppa, (podług W. Hugo).
7) Głosy świętalne.
8) Heroida żałobna.

9) Hungaria.
10) Hamlet.
11) Bitwa Hunnów (podług Kaulbacha).
12) Ideały (podług Szyllera).

Samo to wyliczenie pokazuje, jak szerokie pole zakreślił dla swych muzycznych utworów. Cechą ich jest malowniczość, opisowość i plastyczność; a muzyka to programowa. Autor w utworze takim dążąc do uwydatnienia *wyrazu ogólnego*, opartego na *nastroju i treści całego dzieła*, kładzie na czele kompozycyi jakieś motto, które treść jéj bliżéj określa, granice twórczości rozszerza, a tak słuchaczowi jak i twórcy przekazuje nowe światy dla wyobraźni i uczucia. Idea kompozytora rozwija się tu pod wpływem ognia i natchnienia, nie dającego się ująć pod jakąś miarę oznaczoną.

Utwory jednak symfoniczne Liszta charakteryzuje idea główna przewodnia, wydobywająca się z massy modulacyj harmonijnych, przebija się przez mnóstwo odcieni instrumentalnych, przybiera różne formy, a następnie ustępuje nagle miejsca drugiéj idei melodyjnéj wręcz przeciwnéj, poczem pierwsza powraca, zlewa się z drugą, i obie stapiają się w jedną całość harmonii. Obok gorącego kolorytu instrumentacyi Liszta, znajdujemy tu harmonie łagodne, eoliczne, smętne, przypominające nam czarodziejskie tony pierwszéj młodości.

Hungaria, Lament i tryumf Tassa, Prometeusz w okowach, Mazeppa, Hamlet są to postaci utworzone przez ogrom uczuć niemi miotających... ale czysto człowiecze; bo cierpienia, namiętności, ścierające się często z cywilizacyą, wstrząsają uczuciem słuchacza w miarę organizacyi, jaką w sobie życiem i cierpieniem wyrobi.

Orfeusz, *Preludye*, *Ideały*, a głównie *Bitwa Hunnów*, są to utwory fantastyczno-epiczne; *Co słychać na górze? Głosy świętalne* i *Heroida* są połączeniem jednego i drugiego rodzaju kompozycyi.

Tasso, jestto dramat przyobleczony w formy zwyklejsze. Cóż może być świetniejszego dla poety, mówi Jean Paul, jak nie przeżyć własnéj apoteozy. Ta myśl zrodziła utwór symfoniczny; złożony on jest z jęku boleści, zwątpienia, szału miłości, rozpaczy, urągania, dumy i natchnienia nieśmiertelnego poety. Liszt rozwinął tu swą ideę muzyczną z gorącem kolorytu *weneckiego*, a finał Tassa jest prawdziwie wzniosłym. Widzimy tu wieszcza, obojętnego na cześć mu oddawaną, cierpiącego, bo nie *ona*, nie ta, co mu była wszystkiem, a *obok* któréj *wszystko jest niczem*, złoży mu na skroń wieniec wawrzynowy.

Symfonia *Prometeusz*, do któréj sam autor napisał przedmowę, jest uwerturą do chórów Heidna, które były wykonane przy odsłonięciu posągu jego w Wejmarze. Początek jest ponurym i ciemnym, mówi Gérard Nerval, jak musiał być ciemnym szczyt Kaukazu, na którym rozkrzyżowano Prometeusza; dzikie i śpiżowe odgłosy smętne uderzają ucho, podobne do szczęstu skrzydeł sępich. W pierwszéj scenie słychać akordy gwałtowne i dzikie; siła to brutalna, posłannica Zeusa pastwi się od czasu do czasu nad męczennikiem idei;

następuje potém ustęp tęskny, który składają wiolonczelle. Słychać w nich: to modlitwę, to żal, to nadzieję.

Powróćmy ztamtąd na ziemię, nie jaką jest, ale jaką być winna, w świat błękitów, błogości, miłości... idźmy za człowiekiem, który żył wiele, ale się jeszcze nie przeżył i chce utonąć w marzeniach na łonie natury, lecz kiedy chwila najwyższéj walki wybiła, powraca nić życia codziennego, a zrozumiemy całą piękność *Preludyów* symfonicznych. Czémże jest nasze życie, jeżeli nie przedśpiewem światów przyszłości, których pierwszą nutę śmierć rozpoczyna? Miłość jest jutrzenką każdéj istoty; ale burza niszczy te złudzenia, piorun boleści obala te ołtarze serca. Człowiek spełniwszy ofiarę na samym sobie, na swojém *ja*, uświęcony staje do walki w szeregach ludzkości, i gdy surma zabrzmi hasłem bojowém, biegnie na swe stanowisko, by w téj walce, jakąkolwiek jest, byle była szlachetną, odzyskać samowiedzę i zupełne poczucie sił własnych.

Myśl tę Lamartina, Liszt oddał równie w swéj pieśni. Jestto intermezzo pasterskie, przypominające pastoralne symfonie Beethovena: mniéj tu jednak spokoju.

Orfeusz płacze po swéj Eurydyce... to jego ideał, który odbiera przemocy piekieł, ale którego niestety na ziemi nie uchował.. Symfonię rozpoczynają tony arfy półboga, spokój wspaniały, w którym utonęły wszelkie burze miotające sercem człowieka...

Jakby umyślny kontrast Liszt wystawił w *Bitwie Hunnów* walkę straszną światła i ciemności, miłości i nienawiści, cywilizacyi i barbarzyństwa, chrześciaństwa z pogaństwem, dzikiego Atylli z rycerzem średniowiecznym. Duchy z ciał uleciało, jeszcze 40 godzin w powietrzu z sobą walczyły. Legendę tę średniowieczną, z całą jéj grozą odmalował Kaulbach pędzlem, a Liszt tonami. Wprzągł do téj walki wszystkie okropności trwogi, przerażenia, boleści i nieskończoności, aż walka ta zmilknie jako symbol wiekuistego zwycięztwa światła nad ciemnością i przejdzie przed sąd Przedwiecznego—podobnego wrażenia trudno sobie wyobrazić.

Oto jest duch i treść symfonii Liszta. Nie zadowolony tém, co na polu intonacyi stworzył Wagner, a głównie Berlioz, utworzył coś nowego, coby mistyką instrumentacyi nazwać można. I wynalazł kombinacye pełne effektów nieznanych dotąd w muzyce, pełnych modulacyj śmiałych, a odpowiednich swym sytuacyom, co głównie zastosować można do Preludyów, Hungaryi, Głosów świętalnych i Orfeusza.

Podział skrzypców na kilka grup z systematem Wagnera, umiejętne użycie instrumentów dętych, szczęśliwa kombinacya małych metalicznych dźwięków, są prawdziwemi zdobyczami w nauce muzyki. W różnych utworach nadto Liszt wybierał z upodobaniem pewne gromady instrumentów. W preludyach górują narzędzia dęte łącznie z fletami; w *Fauście* kwartet przeważa nad innemi. Ten ostatni utwór złożony z 3 części niezwykłemi odznacza się effektami, jest muzyką zupełnie nową. *Dźwięki świętalne* i *Bitwa Hunnów* posługują się głównie instrumentami głośnemi, pełne metalicznéj wrzawy.

Orfeusz i Prometeusz jako ogólniejsze, są zestrojeniom różnych odgłosów w jeden głos uroczy, jednolity.

Liszt formę klassyczną symfonii z 3 lub 4 części złożoną przemienił w jednę ściśle związaną całość. Forma jego odznacza się precyzyą rytmu, i przez to podnosi utwór do siły dramatu. Rytm ten jest wyrazem naszego burzliwego i przechodniego ducha czasu.

Wartość utworów Liszta zasługuje na ich upowszechnienie. Symfonii *Hamleta* dotąd nigdy nie wykonano, i sam Liszt jéj w orkiestrze nie słyszał. Preludya i Orfeusz wykonane były we Lwowie za staraniem dyrektora *Mikulego*, przygotowującego wystawienie Śtéj Elżbiety i Śgo Stanisława, także kompozycyi Liszta, który w dziejach naszych widzi wiele pięknego, i wiele téż dla nich *okazuje miłości* i poważania (1). W ogólności utwory genialnego Liszta pod względem *rozwoju idei poetycznéj*, *instrumentacyi* i *nowości form*, a mianowicie *poematy jego symfoniczne* zostaną najznakomitszemi pomnikami muzyki XIX wieku!

J. M.

(1) Rozprawki jego o Mickiewiczu i o Szopenie należą do prac literackich Liszta, do których dodać należy: *Les Bohemiens*, o *Lohengrinie*, o *Fieldzie*, jak niemniéj *Szkic podróży po Włoszech*.

KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Wenecya, 13 października 1871 r.

. . . . . .

Pierwsze posiedzenie kongresu archeologii przedhistorycznéj w Bononii, rozpoczęło się 1 października od powitalnéj mowy prezesa kongresu hr. Gozzadyniego, szanownego starca 70letniego, który najwięcéj ma zasług w odkryciach i opisaniach grobów w Marzabotto i Vilanova etc., a o którym najlepiéj się wyraził margrabia Constabili w jednym z toastów wniesionych na jego cześć: „W całém jego życiu i w całéj jego pracy, miał za godło: „Szlachectwo obowiązuje.“ W mowie téj prześlicznéj wyraźnie wypowiedzianéj wspomniał hr. Gozzadyni o téj kolébce nauk całego świata ucywilizowanego Bononii, w któréj to czerpali wiadomości uczeni ze wszystkich krajów i jednego tylko nazwisko wymówił: naszego Kopernika.

O innych mowach tego dnia i następnego z rana powitalnych wspominam tylko, a przystąpię do opisania prac archeologicznych przedhistorycznych:

Zwiedzając przez nas otwarte Muzeum archeologiczne w Bononii, przekonaliśmy się, iż przedewszystkiem potrzebna jest praca wspólna, ciągła, systematyczna, a na materyałach w żadnym kraju nie zbywa, a témbardziéj w naszym, gdzie archeologia przedhistoryczna i historyczna od tak dawna z zamiłowaniem opracowywaną była przez ludzi znamienitych: Staszica, Narbuta, hr. Przezdzieckiego, hrabiów Tyszkiewiczów, Kraszewskiego, Grabowskiego etc., brak nam tylko uczonych w pomocniczych koniecznie naukach: geologii, kraniologii; i na téj drodze Staszic dał nam przykład za którym niestety mało kto poszedł, a nieskupiona praca rozbita, nikła przed olbrzymiemi odkryciami uczonych innych krajów Europy. Podajmy więc sobie ręce, pracujmy wspólnie, a wnet po odkryciu gdziekolwiekbądź założonego, byleby systematycznie, gabinetu paleontologicznego, poznamy nasze siły i przyczynimy się do ogólnéj na tém polu pracy.

2 października: Dyskussya o epoce kamiennéj.

Mówiąc o dwóch epokach kamiennych ogólnie przyjętych: archeolitycznéj, ciosanego kamienia, i neolitycznéj, szlifowanego, pan Issel, professor z Genui był zdania, iż należałoby jedną tylko przyjąć nazwę: epoki kamiennéj; przeciwnego byli zdania inni uczeni; nawet włoscy poparli swoje zdanie odkryciami skandynawskiemi, gdzie napływowe narody mniéj niszczyły pomników przedhistorycznych i gdzie te dwie epoki są wyraźnie oznaczone, i jeżeli nie wszędzie to w wielu miejscach te dwie epoki przyjąć wypada.

Pan Desor, professor z Neuchatel przedstawił odkrycia ważne pana Fraase w Wirtembergii. Wynalazł jaskinię, zkąd od dawna wydobywano kły niedźwiedzia Spelaeus; w tych jaskiniach znalazł kosci wołu olbrzymiego, dzika, konia, kota dzikiego, mamuta, niedźwiedzia spelaeus i antylopy. Nad temi ostatniemi bardzo się zastanawiał jako dotychczas w téj części Europy nie odkryto, a szczególnie iż były zmięszane z mamutowemi i niedźwiedziemi. Były tu narzędzia krzemienne, bez kości jednakże ludzkich.

Przy téj sposobności wspomniałem o swoich poszukiwaniach i odkryciach podobnegoż rodzaju w jaskiniach Ojcowskich, cztery szczęki niedźwiedzia jaskiniowego rozmaitéj wielkości przedstawiłem; uznali uczeni prezydujący, iż do jednego należały gatunku t. j. niedźwiedzia spelaeus jaskiniowego, różnego tylko wieku. Żebro zaś pod stalagmitem tam znalezione, oświadczyli być żebrem przeżuwającego bardzo wielkiego zwierza.

Pan Garrigon, doktor medycyny z Luchon w Pyreneach przedstawił kości rozłupane rozmaitych zwierząt, i tu dopiéro się wszczęła jedna z najciekawszych dyskusyj o sposobie łupania kości i dobywania szpiku, jakie są ślady niezaprzeczone a rzeczywiste działania ludzkiego na tychże kościach. Pan Steenstrup, sławny paleontolog duński, chociaż źle się wyrażając po francuzku, dowiódł niepospolitéj nauki, zbijając twierdzenie pana Garrigon przykładami nieodzownemi, i kilka tylko kości z wielkiéj bardzo ilości uznał za rzeczywiście rozłupane przez ludzi.

3 października: Wyprawa do Modeny, dla zwiedzenia terramare w Montale. O przyjęciu nas świetném pozostawuję opisaniu innym sprawozdawcom, wspomnę tylko o toaście pana Quatrefages przy obiedzie na cześć uczonych kraju włoskiego: oświadczył w kilku słowach, iż od czasów przedhistorycznych mieszkańcy tego kraju zawsze przodowali i odznaczali się wyższością sztuki w robieniu nawet narzędzi krzemiennych, naczyń glinianych etc., przeszedł następnie do czasów historycznych i zakończył temi słowy: „czegóż dopiéro ten naród nie dokaże będąc połączonym i wolnym,“— i tu dodał: „Panowie o polityce waszéj nie mówię.“ Trzeba wiedzieć, iż pan Quatrefages należy do gorliwych obrońców praw Ojca Świętego.

O milę od Modeny na wzgórzu w ziemi nanosowéj znaleźliśmy jamę symetrycznie przygotowaną, gdzie na ścianach widoczne były warstwy na trzy do czterech metrów rozkopane. W téj części dawnéj Emilii na prawym brzegu rzeki Po, natrafiamy ślady mieszkań na palach, w miejscowościach gdzie żadnego niema jeziora, rzeki lub błota.

Byłto więc napływ ludności, mający zwyczaj budowania schronień wśród jezior i błot dla chronienia się od nieprzyjaciół i zwierząt drapieżnych. I tak w niektórych zwiedzonych już miejscowościach: napotykamy u samego spodu: 1) zwir, dowodzący, iż przed wiekami było to dno jakiegoś stawu, jeziora lub błota. W tym zwirze wodnym wbijane były pale w rozmaitym kierunku; 2) szczątki palów, pomostu a na tym gliny, kości, pomiotu i węgli, co dowodzi, iż ogniem te siedziby zniszczone były; 3) po czterech stronach téj miejscowości zamieszkanéj, wznoszą się nad siedzibą resztki kuchenne, jak w Danii, Kiönkenmoddingi i Szwajcaryi, czyli śmietnika z czerepów kości, naczyń potłuczonych, narzędzi kamiennych, kościanych, bronzowych; 4) tu dopiéro się kończy warstwa przedhistoryczna, a natrafiamy na narzędzia żelazne z czasów rzymskich, dachówki dobrze palone, fugowane etc., jednem słowem, wszystko co oznacza historyczną epokę tego kraju. Odłamków kilka glinianych odrębnego kształtu zebrałem w Montale do mojego zbioru.

4 października: Książę Humbert o 12téj godzinie przybył na sessyą ranną kongresu. Professor Pigorini tłumaczył pokłady terramare i ich znaczenie i szczegół ten dodał, iż dotychczas nigdzie w téj okolicy nie natrafiono na groby tych mieszkańców przedhistorycznych z epoki bronzu.

Professor margrabia Constabile z Peruggii wyłożył historyę ludów przedhistorycznych w ten sposób:

Migracye pochodzące z Azyi podzielił na cztery gałęzie, jedna z nich Aryjska przez Azyę mniejszą, teraźniejszą Grecyę, osiadła w bliskości Alp i dała początek czterem po sobie osiedlającym się ludom: co zwykle nazywają Aborigeny, Ambryjski, Pelazgijski i Etruski. Ci ostatni utworzyli państwo Etruskie, którego stolicą była dawna Felsina, teraźniejsza Bononia, inne miasta większe były Adria, Spina. Wspomniał też o świeżo odkrytym napisie w Egipcie, gdzie wspominają o narodzie Tousche (Tusz) Etrujskim, jako przed 15 wiekami ery chrześciańskiéj wodą z daleka przybył, zawojował, i następnie wielki handel prowadził.

Professor Desor oświadczył, iż podług niego Terramare zaliczyć wypada do siedzib ludzkich najdawniejszych epok bronzu, od Etrusków daleko wcześniejszych, następnie idą groby w Vilanova, mające zupełnie odrębny charakter, a po nich dopiéro groby Etrusków w Marzobotto i Certozie.

Hr. Gozzadini w opisaniu grobów w Vilanova dowodzi niezaprzeczenie o ich pochodzeniu etruskiém, tylko z epoki najwcześniejszéj tego ludu. Margrabia Constabile oznacza mniej więcéj

9 wieków przed Chrystusem siedziby i groby w Vilanova, a 4 lub 5 dla grobów w Marzobotto i Certozie.

Za najważniejszą korzyść kongresu uważam zbliżenie się i poznanie osób pracujących na téjże saméj drodze; i tak dla mnie nader korzystne były znajomości i opowiadania Dra Garrigon: o 200tu kilkudziesięciu jaskiniach z różnych epok przez niego zwiedzanych, tak w Pyreneach jakotéż i Francyi, Szwajcaryi, udzielił mi przytém opisanie kilkunastu jaskiń przez siebie jak najszczegółowiéj opisanych. Czytając dopiéro tę pracę musimy niestety przyznać, iż nic a nic u nas dotychczas nie zrobiono, z drugiéj zaś strony mając przekonanie, iż bogaci téż jesteśmy w zabytki przedhistoryczne, cieszyć się możemy tą nadzieją, że byleby chęci i pracy nie żałować wspólnéj, odkrycia nasze jak najlepszym uwieńczone będą skutkiem.

Zdaniem p. Garrigon najwyżéj położone jaskinie zwykle zawierają ślady niedźwiedzia spelaeus, mamuta, a niżéj w téjże saméj dolinie służyły za schronienie zwierzętom z epoki późniejszéj np. reniferów, żubrów etc.. Podzielam jego zdanie, albowiem w Ojcowskich dolinach wyżéj położone jaskinie np. Łokietkowska, Zbójecka zawierały kości niedźwiedzia, a w niżéj położonych np. Wierszchowskiéj tylko kości ludzkie i zwierząt z późniejszéj epoki.

5 października: Wyprawa do Marzobotto, cmentarzyska etruskiego, a podług niektórych mieszkań tego narodu, mojém zdaniem, były tam i mieszkania i groby. Willa ta o kilka mil od Bononii należy do hr. Aria, zupełnie nauce archeologii poświęconego. Książe Humbert towarzyszył nam w téj wyprawie, świetny obiad, wieczorem w Bononii teatr, gala.

Wieczorne sessye zwykle były poświęcone rozmaitym rozprawom o rozmaitych epokach. Hr. Alexander Przezdziecki nadzwyczaj szczegółowo i jaśnie przedstawił nam opisanie mieszkań przedhistorycznych na palach, odkrytych przy jeziorze w Cieszewie w W. Ks. Poznańskiém, a należących do epoki bronzowéj. Okazy jego były ciekawsze od wszelkich innych tam pokazywanych. Odkrycie to tém jest ważniejsze, iż te mieszkania na palach (palafittes) jedyne są tak na północo-wschód położone, i że o nich dotychczas świat uczony nic wiedział. Professor Virchow wspomniał tylko o podobnych odkryciach w Niemczech północnych, szczegółów nam żadnych nie podał, nie będąc do tego przygotowanym.

Hr. Wurmbrandt z Kroacyi o palafitach przez niego odkrytych téż mówił, narzędzia kamienne są z hornblendu.

6 października: Zwiedzenie świeżo odkrytych etruskich grobów pod kościołem Certosa, o parę wiorst od Bononii. Rzecz ciekawa, iż pod całém prawie miastem, dawniejszą Felsiną, natrafiają o dwa metry głębokości na ślady dawnych mieszkań i bruku, podobnego do bruku w Pompei zasypanego popiołem i lawą.

Pan Gab. Mortillet w rozprawie: „*l'époque quaternaire de la vallée du Po*," jest zdania, iż pokłady diluwialne, potopowe, docho-

dzące od 31 do 35 metrów wysokości nad teraźniejsze koryto rzeki Renu, w miejscowości Calvenzano dowodzą, iż po utworze pliocenicznym nastąpiły oscyllacye czyli zniżanie się ziemi w pewnych miejscowościach sub-apenińskich, ztąd ten utwór znaczny, diluwialny: następnie zaś nastąpiło stopniowe podnoszenie się ogólne ziemi, tak przy brzegach morza Śródziemnego jakotéż i Adryatyckiego, a ztąd tak głęboko pod powierzchnią znajdywane ślady: bruków, mieszkań i grobów.

Pod kościołem o 2—3 metrów odkryte groby etruskie zawierają w sobie szkielety z ozdobami wszelkiego rodzaju bronzowemi nawet złotemi, urnami, paciorkami bursztynowemi, Cisty Cistes, czyli naczynia wielkie bronzowe zamknięte, niektóre prześlicznéj roboty, a w nich palone ciała. Ta epoka styka się z historyczną.

Tegoż dnia na sessyi professor Karol Vogt z niewielką korzyścią dla nauki dowodził, iż wszystkie ludy przedhistoryczne były antropofagi czyli ludożercze; słynny on jest z paradoxów i tak oświadczył, iż wszystko co jest ogólne jest potrzebne, i że między temi ludami byli uczciwi i porządni ludzie; ta jego rozprawa przykre wrażenie zrobiła i zimno przyjętą została.

7 października: Wyprawa do Ravenny; przyjęcie świetne, zwiedzanie osobliwości z 7 wieku ery chrześciańskiéj, jako do historyi należące opisywać nie będę.

8 października: Posiedzenie ostatnie i zaproszenie świetnie wypowiedziane pana Dognée w imieniu Belgii na kongres 6ty przedhistoryczny do jednego z miast tego kraju, jeszcze nieoznaczonego.

Pan Karol Vogt przedstawił opisanie poszukiwań przedhistorycznych p. Aspelin, Finlandczyka, o starożytnościach tego kraju; wszystkie naczynia krzemienne, kamienne i gliniane, są podobne do naczyń i broni dotychczas znalezionych w Szwecyi i Norwegii, wiele się jeszcze znajduje grobów i grodów, okopiszcz nie rozkopanych.

Pan Désor podał niektóre punkta do rozstrzygnienia, polecił przedewszystkiém uwagę zwrócić na urny malowane, z figurami i deseniami na sposób etruski, dotychczas nigdzie na północ Alp nie wynalezionych; a także poszukiwania zwrócić nad brzegami rzek, gdzie brody dawniejsze i teraźniejsze; tamtędy przechodziły wędrujące ludy, a zabytki tam znalezione mogą światło rzucić na kierunek, obyczaje i narzędzia tych ludów koczujących.

Jan Zawisza.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Listopad 1871. — W zeszycie za wrzesień podaliśmy życiorys zmarłego w dniu 3 sierpnia r. b. *Franciszka Salezego Dmochowskiego*; teraz dla uzupełnienia, załączamy spis bibliograficzny, udzielony nam przez p. Cypryana Walewskiego, wszystkich prac zgasłego pisarza. Spis ten jest dokładniejszy od znajdującego się w *Bibliografii* Karola *Estreichera* i mieści w sobie prace F. S. Dmochowskiego, *oryginalne* i *tłumaczone*, a zarazem wyliczenie pism pod jego redakcyą wychodzących, w ostatku te wszystkie dzieła, ktore jako *wydawca* drukiem ogłosił.

Oryginalne:

1) Pisma wierszem F. S. Dmochowskiego część I i II. Warszawa, druk Józefa Węckiego, nakładem autora 1827, w 8ce. I. 157 str. i 3 k. n. II, 85 str.

2) Odpowiedź na pismo p. Mickiewicza o krytykach i recenzentach warszawskich, obejmująca tekst p. Mickiewicza z uwagami krytycznemi i obraz dążności literatów polskich, od panowania Stanisława Augusta, aż do naszych czasów. Warszawa 1829, druk Gazety Korresp., w 8ce 118 stron. Wydanie 2gie z dołączeniem artykułów z Biblioteki polskiéj wyjętych. Warszawa 1830, w 12ce 218 stron.

3, 4, 5 i 6) Podarunek dla dobrych dzieci ułożony przez F. S. D. Warszawa 1829, w 16ce 8 tomików w puzderku.

7) Jaka siła moralna zrządziła i prowadzi rewolucyę, rzecz czytana na miesięcznym obchodzie. Warszawa w 8ce 12 str,

8) Nagroda dla pilnych i grzecznych dzieci. zbiór moralnych powieści, wierszy i wiadomości do wieku dziecinnego stosowanych, przez autora podarunku dla dobrych dzieci. Warszawa 1832, druk Gałęzowskiego. w 12ce 169 str. i 2 ryciny.

9) Wieczory w domowém zaciszu czyli zbiór powieści rozmaitych z najnowszych autorów, Warszawa w biórze zleceń przy ulicy Wierzbowéj, w druk. J. Wróblewskiego 1834, w 12ce 2 tomy; wychodziło zeszytami co dwa tygodnie, sześć zeszytów stanowi tom jeden.

10) Gabinet powieści i romansów zebrany z najnowszych i najcelniejszych autorów. Warszawa nakład S, H. Merzbacha 1835, w drukarni przy ulicy Nowo-Senatorskiéj w 8ce. Tom I. 61. 69,

29. 24 str. Tom II 201 str. Tom III i IV 278 str. Tom V 72, 59, 18 i 58 str. Tom VI 50, 115 i 103 str.

11) Obrazy obyczajów i wspomnienia podróży zebrane z najnowszych autorów i podróżników. Warszawa w drukarni przy ulicy Nowo-Senatorskiéj 1835, w 12ce 117 str.

12) Obraz Boga-Rodzicy czyli dzięcie zgubione, powiastka na kolendę z 2 rycinami ofiarowana dobrym dzieciom przez F. S. D. Warszawa 1836 w 12ce. Wydanie 2gie Warszawa 1841, w 12ce.

13) Baranek, powiastka na kolędę z dwiema rycinami ofiarowana dobrym dzieciom przez F. S. D. Warszawa 1837 w 12ce.

14) Włochy, obraz historyczny i opisowy krajów na półwyspie włoskim znajdujących się, oraz Sycylii, Malty, Korsyki, i Sardynii. Z 48 rycinami na miedzi przez F. A. Dietrich. Warszawa nakład S. H. Merzbacha 1837 r. w 8ce Tom I 204 str. i 1 k. n. Tom II 167 str. i 2 k. n.

Pismo to miało ogólny tytuł: Podróż malownicza po Europie. Warszawa 1837 i 38 r. w 8ce; Włochy stanowiły pierwsze dwa tomy.

15) Czytania pożyteczne i przyjemne, dzieło w trzech językach polskim, francuzkim i niemieckim, dla użytku młodzieży. Warszawa 1837, nakładem S. H. Merzbacha w 12ce 3 tomy.

16) Czytania przyjemne, zbiór najnowszych powieści przez F. S. D. pismo dodatkowe do Muzeum Domowego. Warszawa 1838 w 8ce. Tom I 189 str. i 1 k. n. Tom II 197, i 1 k. n. Tom III 189 str. i 1 k: n. rok 1839, w 8ce. Tom I 184 str. T. II 197 str. i 1 k. n. Tom III 213 str. i 1 k. n. nakład S. H. Merzb.

17) Nowy Kolumb, czyli podróż malownicza pod redakcyą F. S. D. Warszawa 1838 w 8ce.

Kolumb, nowy pamiętnik podróży i wiadomości statystycznych przez F. S. D. rok 1839. Warszawa w 8ce. Tom I 266 str. i 2 k. n. i 5 rycin na stali.

18) Rodzicielski podarunek. Powieści i komedyjki w trzech językach: polskim, francuzkim i niemieckim. Warszawa w 8ce poprzecznéj 354 str, i 2 k. n. i 10 rycin litogr.

19) Powieści, obrazy i zarysy oryginalne i naśladowane przez F. S. D,. Warszawa nakład autora 1857, w 16ce 386 str, i 1 k. n. przedruk z Gazety Codziennéj: druk J. Jaworskiego.

20) Nauczycielka, powieść z tegoczesnych obrazów społczesnych, Warszawa druk J. Jaworskiego 1857 w 8ce, 1 k. niel. i 348 stronnic.

21) Przekleństwo matki, opowiadanie na rzeczywistych faktach osnowane przez F. S. D. Warszawa 1858 w 8ce 319 str.

22) Moje wspomnienia od roku 1806 do 1830 r. Warszawa w drukarni Jana Jaworskiego 1858, w 8ce, 382 str. i spisu 1 k. n.

23) Obecne kwestye gospodarcze i przemysłowe przez F. S. D. Warszawa 1858, nakład A. Nowoleckiego, druk J. Jaworskiego w 8ce 2 k. n. i 148 stronnic.

24) Satyryczne powieści i gawędy, wiersze różne, przekłady i życiorysy przez F. S. D. Warszawa druk J. Jaworskiego 1859, w 8ce 157 str., spisu 1 k. n.

25) Opowiadania ojca, obejmujące historyą naturalną, jeografię, historyą polską i starożytną, powieści i poezye. Warszawa 1859, w 8ce. Tom I 270 stronnic, dwie ryciny i jedna mappa. Tom II 220 str. i trzy ryciny.

26) Nowe drogi, opowiadania i marzenia ziemianina, powieść. Warszawa 1859, w drukarni Jana Jaworskiego, w 12ce 306 str. i 1 k. n.

27) Pijak, czyli dwaj osadnicy, powieść obyczajowa. Warszawa 1859, w 12ce 158 str.

28) Historya powszechna opowiedziana w skróceniu z poglądem na religię, przemysł, handel, i literaturę narodów, podług C. Cantu przez F. S. D. Tom I, Warszawa nakład wydawcy 1860, w 8ce 2 k. n. i 564 stronnic spisu 2 k. n. Tom II druk J. Jaworskiego w 8ce, 96 stronnic.

29) Sprawa graniczna, powieść z tegoczesnych zdarzeń. Warszawa, nakład wydawcy, druk J. Jaworskiego 1860 w 8ce, 249 str.

30) Znakomitości tegoczesne. Zarysy zebrane z najnowszych źródeł. Napoleon III, Wiktor Emanuel, lord Palmerston, hr. Cavour, lord Derby, Humboldt, marszałek Mac-Mahon, Lamoricière, Filangieri. Warszawa druk J. Jaworskiego 1860, w 12ce, 116 str. (Odbitka z Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych warszaw.)

31) Praktyczna nauka czterech języków: francuzkiego, angielskiego, niemieckiego i włoskiego przez czytanie i tłumaczenie powieści i dramatów dla młodzieży stosownych. Warszawa, wydanie F. S. D., druk J. Jaworskiego 1860, w 8ce 49 str. i 4 k. n.

32) Dawne obyczaje i zwyczaje szlachty i ludu wiejskiego w Polsce i w ościennych prowincyach. Warszawa, nakład F. S. D., druk Jana Jaworskiego 1860 w 8ce, 314 str., spisu 1 k. n.

33) Uwagi nad edukacyą publiczną, przez dawnego ucznia szkół Wojewódzkich i Uniwersytetu warszawskiego. Warszawa druk J. Glücksberga 1861, w 12ce 18 str. (oddruk z Pszczoły).

34) Historya święta Starego i Nowego Testamentu opowiedziana w skróceniu, z dodatkiem o pierwszych wiekach Chrześcijaństwa aż do Konstantyna W. Warszawa nakład Tow. rolniczego 1861, w drukarni Gazety Polskiéj w 8ce II i 129 stron. Wydanie 2gie tamże 1862, w 8ce II 129 str. Wydanie 3cie tamże 1865, w 8ce II i 128 str.

35) Wiejskie pogadanki niedzielne. Warszawa 1862 nakład redakcyi Roczników gospodarstwa krajowego, w drukarni Gaz. Pol. w 8ce 1 k. n. i 121 stron.

36) Wykład nauki czytania, pisania i rachunków dla użytku nauczających w ochronkach i w szkółkach wiejskich, z dołączeniem powiastek i przysłów polskich oraz 15 tablic liter i wyrazów, wydanie Redakcyi Bibl. Warsz. Warszawa 1862 w drukarni Ignacego Krokoszyńskiego w 8ce, 89, 57 i 28 str. i 15 arkuszy tablic.

37) Pierwsze wojny krzyżowe z dodaniem krótkiéj wiadomości o następnych. Staraniem Redakcyi Biblioteki Warsz. Warszawa 1862, w drukarni Gaz. Pols. w 8ce 1 k. n. i 28 str. z ryciną.

38) Krótki zbiór historyi polskiéj opowiedzianéj podług najnowszych źródeł historycznych. Warszawa, nakład redakcyi Roczników gospodarstwa krajowego 1862, w drukarni Gazety Polskiéj w 8ce, 154 str., i 1 k. n. Wydanie 2gie powiększone, Warszawa w drukarni Augusta Liefeldta 1863, w 12ce, 196 stronnic.

39) Bajki i przypowieści Ignacego Krasickiego (z objaśnieniami F. S. D.). Staraniem Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj. Warszawa 1862 w drukarni Gazety Polskiéj w 8ce 51 str.

40) Opowiadania starego nauczyciela przydatne dla czytelników wiejskich oraz dla dzieci wszelkiego stanu. Warszawa nakładem Redakcyi Roczn. gosp. kraj. 1863, w 8ce 1 k. n. i 115 str. w drukarni Gaz. Pols.

41) Gospodarstwo domowe włościan polskich przez obywatela ziemskiego. Warszawa, nakładem Redakcyi Roczn. gosp. kraj. w drukarni Gazety Polskiéj, 1863 w 8ce II i 114 str.

42) Krótki zbiór historyi Starego i Nowego Test. przez F. S. D. Książka polecona do użytku szkół elementarnych męzkich i żeńskich przez Kommissyę Rządową Oświecenia Publicznego. Warszawa 1864, w drukarni Augusta Liefeldta w 12ce 121 stronnic. Wydanie drugie nakładem A. Lewińskiego 1866, w drukarni Jana Cotti w 8ce 122 str. i 1 k. n.

43) Nauka prozy, poezyi i zarys piśmiennictwa polskiego w trzech częściach. Warszawa nakładem autora 1864, w drukarni J. Psurskiego w 8ce. Cz. I, X i 78 str. Część II IV i 112 str. Część III. IV i 143 str. Wydanie drugie, Warszawa w drukarni Jana Jaworskiego 1865 w 8ce.

44) Nauka gospodarstwa wiejskiego na małych udziałach gruntu dla użytku włościan. Warszawa 1867, w 8ce 96 stron.

45) Meksyk opisany pod względem jeograficznym, statystycznym i historycznym, od najdawniejszych czasów aż do śmierci Cesarza Maksymiliana, podług najnowszych i najpewniejszych źródeł. Warszawa 1867, w 8ce 108 str. z ryciną.

46) Poczciwość i praca, czyli historya biédnéj sieroty, przez autora Pogadanek niedzielnych, Warszawa w drukarni J. Goldmana ulica Muranowska, 1868 r. w 8ce, 75 stronnic.

Dmochowski F, S. jako tłumacz:

1) Maryusz w Minturnie tragedya P. Arnault w 3 aktach z francuzkiego, wierszem przełożona. Warszawa druk N. Glüksberga 1821, w 8ce str. 42.

2) Samotnik, romans napisany po francuzku, przez P. d'Arlincourt, w tłumaczeniu polskiém skrócony przez F. S. D. Warszawa w drukarni Wandy u N. Glüksberga 1821, w 12ce stron. 93. Edycya druga poprawna i powiększona, tamże, 1822, w 12ce str. 184.

Edycya trzecia poprawiona i powiększona tamże, 1825, w 8ce, str. II i 234. Edycya czwarta tamże, 1829, w 12ce, str. 197.

3) Urojona niewierność, komedya Moliera w czterech aktach, przerobiona wierszem. Warszawa, druk N. Glüksberga 1821, w 8ce str. 37.

4) Kto się kocha ten się kłóci, komedya Moliera w dwóch aktach, przekład F. D. i D. L, wystawiona po raz piérwszy na teatrze warszawskim d. 15 grudnia 1820 r. Warszawa, nakład i druk N. Glüksberga 1820, w 8ce, str. 43.

5) Natręty, komedya w dwóch aktach z Moliera, przerobiona przez F. S. D., wystawiona po raz piérwszy na teatrze narodowym d. 5 sierpnia 1820 r. Warszawa, nakład i druk N. Glüksberga 1821, w 8ce, str. 39.

6) Powietrze w Barcelonie czyli ostatnie listy dwojga kochanków, wydane w Madrycie przez P. Henares, na polski język przełożone przez tłumacza Samotnika, z dołączeniem widoku Barcelony. Warszawa, druk Zawadzkiego i Węckiego 1823, w 12ce, str. 202.

7) Wybrane romanse Walter-Scotta. Oddział I, Guy Mannering, czyli Astrolog. Warszawa 1827, w Drukarni Gazety Korrespondenta, w 8ce, 4 tomy, str. 239, 238, 236 i 256.

8) Ryszard lwie serce w Palestynie, romans historyczny Walter-Scotta, przełożony na polskie przez F. D. Warszawa, nakład i druk N. Glücksberga 1826, w 8ce, T. I str. 216, T. II 208, T. III 233. str.

9) Więzienie w Edymburgu, nowe powieści mojego gospodarza, zebrane i wydane przez Jedediacha Cleisbotham, bakałarza i zakrystyana parafii Gandercleugh, romans Walter-Scotta przełożony przez F. D. Warszawa, w Drukarni Gazety Korrespondenta 1827, w 8ce, T. I str. 280 i XVI, T. II 292 i 2 k. n., T. III 294, 1828 r., T. IV str. 302 i 2 k. niel.

10) Purytanie szkoccy, romans Walter-Scotta, przełożony przez F. D. Warszawa, druk Gazety Korrespondenta 1828, w 8ce, T. I str. 262, i 2 k. n., T. II 252 i 2 k. n., T. III str. 260 i 2 k. n.

11) Antykwaryusz, romans Walter-Scotta przełożony przez E. G., wydany przez F. S. D. Warszawa, druk Gazety Korrespondenta 1828, w 8ce, T. I str. 223 i 2 k. n., T. II 239 i 2 k. niel. T. III 252 i 2 k. n., T. IV 264 i 2 k. n.

12) Narzeczona Lammermoru romans Walter-Scotta przełożony przez F. D. Warszawa, druk Gazety Korrespondenta 1828, w 8ce, T. I str. 275, T. II 244 i 2 k. n., T. III 242.

13) Iwanhoe czyli powrót Krzyżowca, romans Walter-Scotta, przełożony i wydany przez F. S. D. Warszawa 1829, druk Gazety Korrespondenta, w 12ce, cztery tomy.

14) Hetman z Chester, romans Walter-Scotta, przełożył F. S. D. Warszawa, 1829, w 12ce, trzy tomy.

15 i 16) Turcya i Konstantynopol w roku 1828, przez K. MacFarlane, przekład. Warszawa, 1830, w 12ce, 2 części.

17) Wawerley, czyli lat temu sześćdziesiąt, rom. Walter-Scotta, przekład z angielskiego. Warszawa, 1830, w 18ce pięć tomów.

18) Leonida, czyli stara z Sureny, romans W. Ducange, przekład. Warszawa, w Drukarni pod Nr. 476, 1830, w 8ce, T. I str. 225, T. II 187, T. III 244, T. IV 228 i 2 k. n.

19) Doktor spowiednikiem, czyli młoda emigrantka, romans W. Ducange, przełożony przez F. S. D. Warszawa, w Drukarni przy ulicy Elektoralnéj, 1830, w 8ce, T. I str. 178, T. II 174, T. III 168, T. IV 183, T. V 206 i 2 k. n.

20) Nocleg w Austeryi, komedyo-opera z francuzkiego, przez F. S. D. Warszawa, w Drukarni przy ulicy Elektoralnéj, 1830, w 16ce, str. 63.

21) Wujaszek z Ukrainy, komedyo-opera w jednym akcie przerobiona z francuzkiego przez F. S. D. Warszawa, w Drukarni przy ulicy Elektoralnéj Nr. 795, 1830, w 16ce, str. 84.

22) Powieści historyczne Van der Welde, przełożone na język polski. Warszawa 1830, w 12ce, 2 tomiki.

23) Podróż do ziemi van Diemen, albo opisanie historyczne, geograficzne i topograficzne téj wyspy przez G. W. Evans, naczelnego miernika osady. Warszawa, 1830, w 12ce.

24) Podróż do Hiszpanii, z dzieł P. E. F. Lantier, przekład z francuzkiego. Warszawa, 1830, w 12ce, 2 części.

25) Wspomnienia Sycylii, przez P. Forbin. Warszawa, 1830, w 12ce.

26) Podróż do Maroko, przez angielskiego kapitana Beauclerk w roku 1826 odbyta, przekład. Warszawa, 1830, w 12ce.

27) Opat, romans Walter-Scotta, przełożony z francuzkiego przez F. S. D. Warszawa 1832, nakład S. H. Merzbacha w 12ce.

28) Eugenia czyli mąż i żona, romans obyczajowy Pawła de Kock, przekład z francuzkiego. Warszawa, 1832, nakład S. H. Merzbacha, w 12ce, 4 tomy.

29) Brat Jakób, powieść Pawła de Kock, przekład z francuzkiego. Wilno, nakładem T. Glücksberga 1833. w 12ce, 4 tomy.

30) Trzy córki wdowy, romans W. Ducange, przekład z francuzkiego. Warszawa, 1833, nakład S. H. Merzbacha, w 12ce, 5 tomów.

31) Córka, siostra i matka, czyli trzy obrazy uczuć kobiety, powieści P. E. Voiart, przełożone przez wydawcę romansów Walter-Scotta. Warszawa, 1833, w 16ce, dwa tomiki.

32) Powieści z dzieł Zschokke i Hofmana, przekład z niemieckiego. Warszawa, 1832, w 12ce 2 tomiki.

33) Rozrywki niedzielne. Warszawa 1833, w 12ce, poczém zmieniły tytuł na: Czytelnia najnowszych powieści rozmaitego rodzaju i przedmiotu. Warszawa, 1834, nakład S. H. Merzbacha, w 12ce, 8 tomów. Są to przekłady z różnych pisarzy francuzkich i niemieckich.

34) Obrazy z życia i powieści filozoficzne, przez H. de Balzac, przekład z francuzkiego. Warszawa, 1834, w 12ce dwa tomy.

35) Rady dla dzieci w moralnych i ciekawych powieściach, wystawione przez Delafaye-Brehier, przekład z francuzkiego. Warszawa, 1834, nakład S. H. Merzbacha w 12ce, T. I str. 157, T. II 155, z ryc.

36) Cyrulik paryzki, romans Pawła de Kock, przekład z francuzkiego. Warszawa, 1834, nakład S. H. Merzbacha w 12ce, T. I str, 171, T. II 177, T. III 177 i T. IV 132.

37) Władysław i jego kuzynka, romans Pawła de Kock, przełożony przez F. S. D. Warszawa, 1834, w 8ce.

38) Zawsze i wszędzie czyli głos sumienia, powieść przez M. Masson, przekład z francuzkiego. Warszawa, 1834, w 12ce.

39) Zapusty dziecinne czyli małe towarzystwo; dziełko dla dzieci, P. Delafaye-Brehier, naśladowane przez F. S. D. Warszawa, w Drukarni przy ulicy Senatorskiéj, 1835, w 16ce, str, 223 z rycinami. Wydanie drugie wieczory dziecinne i t. d. Warszawa, 1840, druk M. Chmielewskiego, w 16ce, str. 224 z rycinami.

40) Jedynak, czyli uczeń miłości, romans obyczajowy Pawła de Kock, przełożony z francuzkiego. Warszawa, 1835, nakład S. H. Merzbacha, w 12ce, 3 tomy.

41) Sabaudczyk, czyli miłość i wdzięczność, romans obyczajowy Pawła de Kock, przełożony z francuzkiego. Warszawa, 1835, w 12ce, 4 tomy.

42) Eugenia Grandet, czyli córka łakomcy, scena z obrazów życia, przez H. de Balzac, przełożona z francuzkiego. Warszawa, 1835, nakład S. H. Merzbacha, w 12ce, 2 tomy.

43) Młoda dziewczyna z Malines, powieść L. E. Bulwera, przełożona z angielskiego. Warszawa, 1835, w 12ce.

44) Magdalena, romans obyczajowy Pawła de Kock, przełożony z francuzkiego. Warszawa, 1836, nakład S. H. Merzbacha, w 12ce, 4 tomy.

45) Mléczarka czyli pustota, dobroć i niewinność, romans obyczajowy Pawła de Kock, przekład z francuzkiego. Warszawa, 1836, w 12ce, 3 tomy.

46) Żyd, czyli obraz Niemiec w wieku XV, romans historyczno-obyczajowy Spindlera, przełożony z niemieckiego. Warszawa, 1836, w 8ce, T. I str. 222, T. II 240, T. III 216, T. IV 213.

47) Kawaler do wzięcia, powieść obyczajowa, z dołączeniem dwóch pomniejszych powieści Pawła de Kock. Warszawa, 1837, w 12ce, 2 tomy.

48) Eugeniusz Aram, romans L. E. Bulwera, przełożony przez F. S. D. Warszawa, w Drukarni pod firmą J. Węckiego, 1837, w 8ce, T. I str. 207, T. II 194, T. III 186, T. IV 218, rok 1838.

49) Pocóż chciał wiedzieć? scena z życia paryzkiego, przez H. de Balzac, przekład z francuzkiego. Warszawa, 1838, nakład S. H. Merzbacha w 12ce.

50) Szyld, czyli sierota z placu Chatelet, powieść M. Masson, przekład z francuzkiego. Warszawa, 1838, w 12ce.

51) Zuzia, romans obyczajowy Pawła de Kock, przełożony z francuzkiego. Warszawa, 1839, nakład S. H. Merzbacha, w 12ce, 4 tomy,

52) Stenia, romans Kamilli Bodin, przełożony z francuzkiego. Warszawa 1841, druk Banku Polskiego. w 12ce, T. I str. 180, T. II 179, T. III 180 i T. IV 200.

53) Rodzina na bezludnéj wyspie, czyli Robinson szwajcarski, tłumaczył F. S. D. Warszawa, nakład S. H. Merzbacha, 1850, w Drukarni J. Jaworskiego, T. I str. 230 i XI,T. II 230 z 4 rycinami kolorowanemi.

54) Podróż z Paryża do Jerozolimy, przez F. A. Chateaubrianda, przekład z francuzkiego, illustracya Edwarda Coppin. Warszawa, nakład S. H. Merzbacha, 1853, w 4ce, dwie części z rycinami.

55) Wspomnienia sieroty, czyli pierwsze lata powieściopisarza, powieść Kar. Dickens, wolny przekład z angielskiego. Warszawa, 1857, w 8ce, T. I str. 376, T. II 324.

56) Powieści belgijskie z życia rodzinnego, przez Henryka Conscience, przełożył z francuzkiego. Warszawa, 1858, druk Hindemitha w 16ce, T. I str. 344, T. II 364.

57) Duch wiary chrześciańskiéj, czyli wpływ religii chrześciańskiéj na oświatę i sztuki, przez X. Pinard, przekład z francuzkiego. Warszawa, nakład tłumacza, 1860, druk J. Jaworskiego, w 8ce, str. 214 i 1 k. n.

58) Wybór najnowszych tworów literatury zagranicznéj. T. I. Hollandya, przez Alfonsa Esquiros str. 152. Epoka Attyli, przez Amadeusza Thierry, str. 35, T. II Powieści hiszpańskie, przez pannę Faber, str. 142. Miłość w małżeństwie, przez Guizota, str. 48. Warszawa, 1860. wydanie F. S. D., druk J. Jaworskiego, w 8ce.

59) Wieczory zimowe, obrazy z życia rodzinnego dla młodych osób, przez H. Conscience, przekład z francuzkiego. Warszawa, 1861, druk J. Jaworskiego, w 8ce, T. I str. 344, T. II 364. Jestto drugie wydanie dzieła p. t.: Wieczory belgijskie i t. d. Warszawa, 1858, w 8ce.

Dmochowski jako redaktor:

1) Tygodnik Polski, w Warszawie przy ulicy Gęsiéj 1820, w 8ce, wspólnie z Dominikiem Lisieckim, dwa tomy; poczém od 1 lipca tegoż roku zmienił tytuł na: Wanda, tygodnik polski płci pięknéj i literaturze poświęcony. Warszawa 1820 roku, w drukarni przy ulicy Śgo Jerzego w 8ce. 2 tomy 334 i 302 str. W roku 1821 wyszło 4 tomy 388, 374, 286 i 166 stron. W roku 1822, w 8ce 4 tomy 230, 206, 222 i 106 stron. Ogólnego zbioru było 20 tomow.

2) Biblioteka polska pamiętnik umiejętnościom, historyi, literaturze i rzeczom krajowym poświęcony; Warszawa druk N. Glücksberga 1825, w 8ce. Tom I 292 str., Tom II 301 str., Tom III 293 str., Tom IV 270 i VII str. *rok 1826.* Warszawa w drukarni K. R. W. Rel. i Ośw. P. Tom I 292 str., Tom II w drukarni Gaz. Korep. 288 str., Tom III czyli kw. 4y, 286 str. więcéj nie wyszło; poczém zaczął wydawać:

3) Gazeta Korrespondenta Warszawskiego i Zagranicznego, Warszawa w 4ce poczynając od 1 lipca 1826 r. do 1829 r. przydając do niego wychodzące w dalszym ciągu od 1815 r. pismo p. t.

4) Rozmaitości warszawskie pismo dodatkowe do Gaz. Kor. Warszawa, w drukarni przy ulicy Śto Jańskiéj w 4ce *rok 1826* nr. 49, str. 384; *rok 1827* nr. 50 str. 400; *rok 1828*, nr. 51, str. 408; *rok 1829* nr. 52, str. 392: pismo to przestało wychodzić z dniem 30 marca 1839 r. w 8ce.

5) Przewodnik polski (pismo codzienne treści politycznéj) Warszawa w 4ce *rok 1829*, nr. 116, stron. 466 (tyle posiada Bibl. Uniw. Warsz.).

6) Muzeum domowe albo czytelnia wieczorna, dzieło poświęcone historyi, statystyce, moralności, naukom, sztukom pięknym i literaturze krajowéj z 200 rycinami, Warszawa w drukarni przy ulicy Nowo-Senatorskiéj w 4ce; *rok 1835* ma 415 str,. *rok 1836* str. 413, druk w dwie kolumny, *rok 1837* druk Maksymiliana Chmielewskiego w 4ce 414 str. *rok 1838* w 8ce I 274 str. II 286 str. *r. 1839:* w 8ce, I 286 str., II 286 str.

7) Podróż malownicza około świata; porządny zbiór najciekawszych wiadomości i odkryć z Byrona, Wallis, Kartereta, Bougainvilla, Kooka, Laperouza, Vancouvera, d'Entrecasteux Baudina, Freysineta, Duperry, Krusensterna, Kotzebuego, Bechey, Dumont d'Urville, Laplace i t. d. wydana przez Towarzystwo podróżników i uczonych pod kierunkiem p. Dumont d'Urville, przełożona na polskie przez F. S. D., z rycinami na miedzi p. F. Dietrich, Warszawa w 4ce. Rok I, 1834 r. rok II, 1835 w 4ce.

8) Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych, Warszawa: folio poczęła wychodzić od dnia 1 kwietnia 1856 roku, i przestała wychodzić dnia 30 grudnia 1860 roku.

9) Świat literatury, historyi, nauk ekonomicznych, podróży i powieści. Dzieło zbiorowe wydane przez F. S. D. i Z. Z. Tom I. Warszawa nakładem Gebethnera i Wolffa 1861, w drukarni Jana Jaworskiego w 8ce, 314 str. Wyszły tylko 4 zeszyty.

Dmochowski jako wydawca.

1) Pisma rozmaite F. X. Dmochowskiego tłumacza Iliady Część 1. Warszawa w drukarni N. Glücksberga 1826 r. w 8ce, 292 str. i 2 k. n. Tom II, 382 str. i 7 k. n.

2) Iliada Homera tłumaczenia F. Ks. Dmochowskiego. Edycya trzecia tom I w Warszawie w drukarni Gazety Korrespondenta. Warszawa 1827, w 8ce, LXXXIV i 299 str, Tom II 276 str. T. III 1828 r. 362 str.

3) Biblioteka narodowa wydawana p. F. S. D. Warszawa nakład i druk wydawcy 1828—30 r, w 8ce. Oddział I: dzieła Kniaźnina. Tom I, XXXVI i, 184 str. Tom II, 243 str. Tom III 243 s. Oddział II: Tom IV, 238 str. Tom V, 230 str. Tom VI, 226 str. Oddział III: Tom VII 276 str. Dzieła Zabłockiego: Tom I 227 s. Tom II 251 str. Oddział IV: Tom III 239 str. Tom IV, 247 str. Tom V 187 str. Tom VI 243 str.: razem wyszło 13 tomów.

4) Enejda Wirgiliusza przekładania F. Dmochowskiego tłum. Iliady. Edycya druga. Warszawa w drukarni przy ulicy Nowo-Senatorskiéj nr 476, 1830 roku w 8ce z przodu 4 k. n. ,XVIII i 332 s. Ksiąg 9 przełożył ojciec, dziesiątą przełożył syn, a 11stą i 12stą przełożył wspólnie z Franciszkiem Kowalskim.

5) Rozbójnik morski, romans Walter-Scotta przekład F. Kowalskiego, wydany przez F. S. D. Warszawa w drukarni pod nr. 476 1830, w 8ce Tom I, V i 282 str. Tom II 276 str. Tom III, 275 str. Tom IV. 320 str. i 2 k. n.

6) Sztuka rymotwórcza pisana w 4ch pieśniach przez F. S. D. Nowa edycya podług egzemplarza znalezionego między papierami autora; w Warszawie w drukarni N. Glücksberga, nakładem wydawcy 1826, w 8ce 88 str.

7) Dzieła Ignacego Krasickiego, Warszawa nakład i druk N. Glücksberga 1829 w 12ce, XXIV i 216 str. Tom II 228 str. i 2 k. n. Tom III 338 str. i 3 k. n. Tom IV, IV i 294 str. i 5 k. n. Tom V. IV i 270 str. spisu 4 k. n. Tom VI, 302 str i 1 k. n, Tom VII 291 str. Tom VIII 295 str. Tom IX 292 str. Tom X. 254 str. Dopełnienia w żadném z dotychczasowych wydań nie zawarte, a po większéj części z własnoręcznych po śmierci autora pozostałych rękopismów wyjęte, Warszawa nakład i druk N. Glücksberga 1830, w 8ce. Tom I 247 str. Tom II 276 str. Tom III, 268 str. Tom IV 242 str. Tom V, 1831 r 272 str. Tom VI 1832 248 str. Tom VII 279 str. Tom VIII 1833 r., 298 str.

8) Wybór najciekawszych i najnowszych podróży pod redakcyą M. Dembińskiego, Warszawa nakładem F. S. Dmochowskiego 1830 r. w 12ce Tom I i II. Rys podróży do Ameryki południowéj przez p. Whrigt, 223 i 223 stron. Tom III Podróż do Maroko przez Beauclerca kapitana angielskiego, 2 k. n. i 240 str. Tom IV: Wspomnienia Sycylii p. Forbin 2 k. n. i 222 str. Tom V Podróż do ziemi Van-Diémen G. W. Evansa naczelnego miernika osady, 2 k. n. i 222 str. Tom VI i VII Turcya i Konstantynopol 1828 p. Kar. Mac-Farlane 222 i 223 str. Tom VIII i IX Podróż do Hiszpanii E. F. Lantier 3 k. n, 256 i 230 str.

9) Żywoty sławnych Polaków. Życie Jana Tarnowskiego przez Stanisława Orzechowskiego: Lwa Sapiehy p. Ks. Kognowickiego, Tom I i II w Radomiu 1830, w 8ce 249 i 318 str. T. III

Życie Jana Zamoyskiego p. ks. Bohomolca 287 str. Tom IV, Życie Stefana Czarnieckiego przez ks. Krajewskiego 282 str.

10) Dwie podróże na około świata przez niewiastę odbyte, dzieło p. Idy Pfeiffer, przełożył Juliusz Schedling, nakład F. S. D. 1860 r., w drukarni Jana Jaworskiego w 8ce 312 str. (Oddruk z Kroniki wiad. kraj. i zagr. 1859 r.).

— Doktor Milliot w roku 1869 przeznaczył w Towarzystwie Lekarskiém Warszawskiém, rub. srebrem 300, za napisanie rozprawy z tematu: *Opis topograficzno-lekarski* jednego z powiatów, miast, lub jakiéjbądź miejscowości Królestwa Polskiego lub gubernii Wołyńskiéj". Na posiedzeniu pomienionego Towarzystwa dnia 7 listopada r. b., nagroda pomieniona przyznaną została rozprawie p. n.: „Opis powiatu Radzymińskiego". Z godłem: „Bez czynu, świat byłby jak rola bez plonu". Po otwarciu zapieczętowanego listu zawierającego nazwisko autora, Towarzystwo dowiedziało się, że ją otrzymał *Dr. Leon Bokiewicz* z Jadowa.

— Poezyj Ludwika Kondratowicza (Władysława Syrokomli) wyszło tomów trzy. Tom drugi i trzeci zawierają utwory większych rozmiarów następne: *Margier*, *Kęs chleba*, *Filip z Konopi*, *Żebrak z rzemiosła*, *Matysek*, *Terefera i Szerpentyna*, *Córa Piastów*, *Zgon Acerna*, *Trędzlowe*, *Wielki czwartek*, *Garść pszenna*, *Cieśla* i *Rycerz na czatach*. W przedmiocie samego poety, do Margiera poematu z dziejów Litwy, znajdujemy wzmiankę, że na tę wydatną postać, jak i dramatyczny ustęp dziejowy, zwróciła jego uwagę pani Paulina Wilkońska, małżonka autora *Ramot i Ramotek* zachęcając do opiewania tego bohatera. Trzeci obejmuje: *Stare wrota*, *Janko cmentarnik*, *Królewscy lutniści*, *Najmłodszy z Toporczyków*, *Nocleg hetmański*, *Starosta Kopanicki*, *Ułas*, *Sejm Lubelski*, *Stara niwa*, *Czarno i biało*, *Szkolne czasy*.

— Rozpoczętą została nowa publikacya p. n. „Teatry amatorskie". W pierwszéj książeczce mieści się przysłowie dramatyczne w jednym akcie Alfreda de Musset: „Nie można przewidzieć wszystkiego", przekład Zofii Mellerowéj.

— *Anticaglia* z szczątków budowli palowych w jeziorze czeszewskiém w Wielkopolsce, zajmowały uwagę badaczy zgromadzonych na zjeździe antropologiczno-archeologicznym w Bononii. Przedstawiał je tam hr. Przezdziecki, mając sobie udzielone z gabinetu archeologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na owym kongresie uznano: że palafitty czeszewskie odkryte przez profesora Łepkowskiego, jeszcze w roku 1865, są stacyą budowli palowych najdaléj (ze znanych) posuniętą ku wschodowi. Zapewne p. hr. Przezdziecki zda sprawę z uwag, jakie nad tém odkryciem poczyniono w gronie, w którém był: *Quatrefages*, *Worsae*, *Steenstrup*, *Capellini*, *Pigorini*, *Morel-Fatio*, *Vogt*, *Desor* i inni.

— W Gazecie Polskiéj (Nr. 240 z r. b.) czytamy:

„Do dwustu prawie przedmiotów starożytnych wysłanych z Paryża i Sieniawy do Gabinetu Archeologicznego Uniwersytetu

Jagiellońskiego, przybędzie przez tegoż prywatnego dawcę zakupiony we Francyi zbiór zabytków ceramiki greckiéj i rzymskiéj, nadto średniowiecznéj, oraz wiele szkieł, *majolików* i starożytności z bronzu. Cały tedy dar składa się blizko z 500 przedmiotów, nabytych za kilkanaście tysięcy franków. Dawca gotów ofiarować uniwersytetowi i marmurowe zabytki, jeśliby koszt przewozu z Paryża do Krakowa był pokryty; życzy sobie jednak podobno zyskać prawo opieki stałéj nad ofiarowanemi przedmiotami, w sposób kuratorstwa spadkowego w swojéj rodzinie, jakie dozwoloném zostało baronowi Rastawieckiemu, z tytułu włączenia zbioru jego do Muzeum katedry archeologii i p. Al. Przezdzieckiemu."

— Ogłoszony został prospekt na pismo p. n.: *Niwa dwutygodnik naukowy, literacki i artystyczny*, który zacznie wychodzić od 1 stycznia r. b. Redaktorem i wydawcą jest p. Julian Schönman mag. fil. i kand. prawa. Skład główny w księgarni Maurycego Orgelbranda. Cena roczna prenumeraty rsr. sześć. Równocześnie ukazały się prospekta: 1) *Wieniec, pismo czasowe illustrowane*, wychodzące dwa razy na tydzień. Wydawca Hipolit Orgelbrand, redaktor Mieczysław Orgelbrand. 2) *Tygodnik rolniczy*. 3) *Przyroda i przemysł, tygodnik popularno-naukowy*; wszystkie mają ukazać się od 1 stycznia 1872 roku.

— W miasteczku *Kitajgrodzie* gubernii Kijowskiéj, powiat Lipowiecki, wybuchły pożar dnia 16 września r. b. sprawił ogromne straty. Własność p. Konstantego Wołodkowicza, który w domu swoim zgromadził wiele drogocennych zabytków przeszłości. Biblioteka bogata w stare druki i dyplomata do dziejów Polski, wiele bibliograficznych kruków białych, rękopismów, mnóstwo różnorodnych pamiątek, bronzy staroświeckie, portrety familijne i obrazy nowożytne, kosztowne srebra, wszystko spłonęło w ogniu, z którego nic wyratować nie zdołano.

— *Goniec Europy* za miesiąc sierpień r. b. podaje następujące wiadomości:

Podług nowéj ustawy z lipca r. b. o przekształceniu gimnazyów, ilość lekcyj obowiązkowa w ciągu lat ośmiu całego kursu, wynosi: dla języka łacińskiego 49 zamiast 34, a dla greckiego 35 zamiast 24 dawniejszych na tydzień; prócz tego, język grecki postanowiono zaprowadzić do wszystkich bez wyjątku gimnazyj. Uczniowie klassy I będą mieli codziennie, lub prawie codziennie jedną lekcyą języka łacińskiego, a uczniowie klassy III, codziennie lub prawie codziennie jedną lekcyę języka greckiego. A ponieważ języki starożytne są tu głównym przedmiotem, praca więc uczniów głównie się do ich uczenia skieruje. Na język rossyjski przypadnie 2—4 godzin tygodniowo (a w przygotowawczém tylko gimnazyum godzin 6), na jeden zaś żyjących języków od 2—3 godzin tygodniowo. Tym sposobem na 206 lekcyj tygodniowych w ciągu lat 8 kursu ogólnego, we wszystkich klassach przypadnie godzin 84 dla języków starożytnych, 24 dla rossyjskiego a 19 dla

jednego z obcych języków żyjących. Głównym celem wzmocnienia klassycyzmu w średnich zakładach naukowych (w Cesarstwie), jest zamiar dania młodym umysłom bezpośredniego przystępu do źródeł wykształcenia europejskiego, głównym zaś owocem piérwszeństwa danego nauczaniu klassycznemu przed realném jest to, że piérwsze przenosząc ucznia w świat duchowy, skuteczniéj się ma przyczynić do rozwoju jego umysłowego. Dla dopięcia tego celu, zdawałoby się koniecznem wzmocnić wykład historyi. W nowéj ustawie na liczbę 206 lekcyj, przeznaczono 12 dla historyi, a dla języków starożytnych, jak się wyżéj wyjaśniło, 84. W oznaczeniu tém trzymano się zasady, że zbyteczna ilość lekcyj historyi; że nauczyciel pod tą formą zupełnie niewłaściwą w gimnazyach, podaje uczniom albo zanadto drobne wiadomości, obarczające tylko pamięć, albo téż ogólne tylko poglądy na indywidua i wypadki dziejowe, co może się stawać jedynie zawadą w umysłowém i moralném rozwijaniu się młodzieży.

W projekcie rzeczonéj ustawy powiedziano: że doświadczenie przekonało dobitnie, iż postęp w wykładzie języka rossyjskiego, nie znajduje rękojmi w ilości lekcyj na ten cel wyznaczonych, albowiem nastręcza się wykładającemu sposobność tracenia czasu na różne wywody nie tylko nieużyteczne, ale czasem nawet i zupełnie szkodliwe.

W Rossyi istnieje teraz wszystkich gimnazyj i progimnazyj, (z wyjątkiem okręgu warszawskiego i dorpackiego) 103. Z liczby ich 9 nosi nazwę realnych i zostaną się takiemi do dalszego czasu i zatwierdzenia nowego w tym względzie projektu (który czeka przejrzenia go w Radzie Państwa). Pozostała liczba 94, stanowi zakłady klassyczne, które będą przekształcone podług już istniejącéj nowéj ustawy. Z tych już w 37 gimnazyach a 6 progimnazyach, wykładają się języki starożytne; a więc 42 dotychczasowym gimnazyom i 6 progimnazyom, w których uczono języka łacińskiego, nie tylko będą wzmocnione pod względem wykładu tegoż języka, ale nadto przybędzie im język grecki.

W listopadzie r. z. powstał w stolicy Cesarstwa prywatny zakład ks. Obolińskiéj, pod kierunkiem pani Adamowicz. Jestto zakład pierwszorzędny, który ma na celu dać panienkom wykształcenie jak najbardziéj praktyczne. Założycielka ofiarowała na ten cel bezpowrotnie znaczny kapitał, tak aby zakład bez innych pomocy, mógł istnieć lat 2; prócz tego, ks. Obolińska zobowiązała się dodawać potrzebne fundusze aż do chwili, kiedy zakład będzie mógł istnieć o własnych siłach. Przewyżka zaś jakaby się okazała, będzie wyłącznie obróconą na rozwijanie i ulepszanie téj szkoły. Kurs naukowy jest 7 letni, a więc równy kursowi męzkich gimnazyj realnych i przygotowywać będzie uczennice do otrzymania patentu uniwersyteckiego. Oprócz tego jest w zamiarze dodać jeszcze dwie wyższe klassy dla przygotowania elewek do bardziéj specyalnego wykształcenia w kierunku medycyny lub pedagogiki. Wy-

kład w pierwszych klassach będzie miał cel wyłącznie praktyczny, dążący do przygotowania wychowanek, za pomocą wszechstronnego rowijania ich zdolności, do zajęć raczéj poważnych i samoistnych w przyszłości, nie zaś już do zbyt wczesnego obciążania ich umysłu massą nieprzetrawionych faktów. W tym celu w pierwszych klassach dany będzie nacisk głównie na rozwijanie pojęć matematycznych i prawidłową naukę języka rodzinnego.

— *Bibliografii polskiej* Karola Estreichera wyszedł zeszyt III (od str. 233 do 398) i obejmuje litery *C* i *D*. Wchodzą tu ogromne działy „*Czasopisma*" i „*dramatycy*" opracowane po raz pierwszy z tak ścisłą dokładnością.

— O milę od *Dąbrowy* koło wioski Gruszowa (w Tarnowskiém, w Galicyi), położonéj w bardzo piasczystéj okolicy, po silnéj zawiei, ukazały się w piaskach dokładne postacie hufcu zbrojnych rycerzy. Wszystko za dotknięciem w proch się rozsypywało. Prof. J. Łepkowski z tego powodu pisze: „Podobneż odkrycie zdarzyło się raz pod Przemyślem, gdzie po usunięciu się piasczystego brzegu, ujrzano dwóch konnych goniących się. Bardzo krótko trwało wyraźne widzenie, zczerniało i rozeszło się. Około roku 1811 widziano znów pod Paczołtowicami w takiż sposób odsłoniętego rycerza rzymskiego w skórzanéj łuskowéj zbroi. Niebawem rozwiał się i znikł: został jednak po widziadle realny dowód, bo pieniądze podobno Adriana, które miał w kieszeni. Pieniądze te posiada zbiór biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Postarałem się o relacyę z Tarnowskiego, z okolic Dąbrowy, gdzie leży Gruszów. Otrzymałem zapewnienie, że wspomniane odkrycie jest rzeczywiste. Najbliżéj objaśniła mnie p. Wiktorya Brzowska (z Zabawy pod Radłowem) która będąc na miejscu w Gruszowie, pilnie tam sama rzecz śledziła. Polegając na jéj opowiadaniu, sądzićby można, że Gruszowskie ruchome piaski, pokrywają bardzo wielkie pobojowisko, na którém odsłaniają się zetlałe zwłoki wojowników, poległych w bitwie na owych pustkowiach, stoczonéj. Wichry rozwiewają wyniosłe mogiły z piasku usute. Odsłonięte tym sposobem szczęty ciał i okruchy wojennych rynsztunków, nikną rozsypując się na proch. Głębsze pokłady przedstawiają same kości. Na pobojowisku tém ma się nadto znajdować (co byłoby ważném) wiele okrzesków, nożyków i strzał krzemiennych. Jakkolwiek wstrzymanie się od domysłów wszelkich uważam za właściwe, myśląc jednak że w każdym razie, miejscowość ta zasługuje na zbadanie, przedstawiłem ks. Jerzemu Lubomirskiemu, prezesowi oddziału archeologicznego w Towarzystwie Naukowém krakowskiem, potrzebę zachęcenia którego z członków naszéj sekcyi, do udania się na miejsce; a do właściciela Gruszowa odezwałem się z prośbą, aby to, coby się na owém pobojowisku (jeśli niem jest rzeczywiście) znaleźć mogło z narzędzi wojennych, opieką swoją osłonił, i do gabinetu archeologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego odesłał."

— Urzędowa *Gazeta Lwowska* donosi, że postanowieniem cesarskiem zniesiono przywiléj teatralny fundacyi hr. Skarbka we

Lwowie; w skutek czego ustaje obowiązek utrzymywania teatru niemieckiego, ciążący na funduszu Skarbkowskim.

— W muzeum Zakładu naukowego imienia Ossolińskich we Lwowie, ustawiono popiersie marmurowe Mickiewicza, dłuta rzeźbiarza Dawida d'Angers, wykonane w r. 1835, a sprowadzone z Paryża, staraniem kuratora Zakładu ks. J. Lubomirskiego.

— „*Paulina Stachurskiego, opowieści stepowe.*" Pod takim tytułem wyszło we Lwowie sześć powiastek razem, jak: *Gulmara, Na stepie, Atamańska mogiła, Czartowa góra, Pokuta* i *Podolanka.* Autor znanym jest już z poprzednio wydanych utworów, jak: *Przed laty,* powieść ukraińska; *Trójka,* powieść w 2ch tomach; *Wycieczka do Pionin; Krzyż mogilny; Karykatury żyjące, Bawidło.*

— *Hr. W. Engeström,* tłumacz dzieł szwedzkich na język polski, między innémi Ezajasza Tegnera, wydał nakładem Żupańskiego w Poznaniu, pamiętnik swego dziada, który był posłem szwedzkim przy dworze Stanisława Augusta. Przy tłumaczeniu tych pamiętników na język polski znajdują się dokumenta dyplomatyczne z archiwum w Sztokholmie.

— Dyrektor gimnazyum realnego w Taborze, w Czechach, Wacław Křižek wydał zestawiony synchronistycznie w szeregu tabel, *Pogląd na dzieje Słowian* „Dejiny národů Slovanských v přehledu synchronistickem" (u Jańskiego w Taborze). Dzieje Słowian dzieli autor na 7 okresów: 1szy od najdawniejszych czasów aż do upadku państwa Hunnów; 2gi do czasów rozbicia wielko-morawskiego państwa przez Madiarów; 3ci do podbicia Rossyi przez Mongołów; 4ty do upadku państwa serbskiego po bitwie na Kosowém polu; 5ty do wstąpienia rodziny Romanowów na tron rossyjski: 6ty do podziału Polski; 7-my do czasów obecnych. W taki sam sposób jak dzieje Słowian polityczne, przedstawiona jest historya ich oświaty. której autor następujące urządził okresy: 1szy od czasów najdawniejszych aż do przyjęcia chrześciaństwa przez Ruś; 2gi do Jana Hussa; 3ci do bitwy pod Białą górą; 4ty do upadku Polski; 5ty do powstania idei słowiańskiéj w 1848 r,; 6ty czasy obecne. Jest także w tém dziele 30 tablic genealogicznych rodzin panujących u Słowian, bądź krajowych, bądź cudzoziemskich; domy: Meklemburski, Arpadów, Anjou, Luksemburski, Habsburski, Piastów, Jagiellonów, Ruryków, Romanowych, serbskich dynastyj i czarnogórskich, książąt Karyntyi, hrabiów Gorycyi, Tyrolu Miśni i t. d.

— Czytamy w naszych pismach codziennych że ma wyjść w Poznaniu portret Kopernika; pracy téj podjął się p. T. Maleszewski, którego imię jest dostateczną rękojmią, iż portret znakomitego astronoma wszelkim warunkom sztuki odpowie. P. Maleszewski znany jest na polu artystycznem z wielu prac wystawionych za granicą i w kraju. Przymioty prac tego artysty, stanowią świeżość, lekkość i miękkość tonów, które w pastelowych portretach, w jakich p. Maleszewski celuje, najpierwsze miejsce zajmują. Malarz ten

już od dawna oddaje się pracom tego rodzaju, a w 1858 r. żegnał go Wł. Syrokomla pięknym wierszykiem zaczynającym się od następujących wyrazów:

„Pyłkiem tak lekkim jak puch brzoskwini,
Albo jak puszek skrzydeł motylka,
Kiedy twa ręka mój obraz czyni i t. d.

P. Maleszewski jest również we Francyi znany. Na wystawie sztuk pięknych odbytéj w Paryżu w 1870 roku, wystawił on portret Bohdana Zaleskiego, o którym p. Laurent Jouvenet jeden z najznakomitszych krytyków sztuki malarskiéj w dzienniku *l'Art* (z 8go sierpnia) tak pisze: „Portret p. B. Zaleskiego, przez p. Maleszewskiego; nacechowany jest wybornym kolorytem i świetną siłą tonów. Nie znając nawet modelu, odgaduje się w nim wielkie podobieństwo; przedstawia się w nim bowiem nietylko strona fizyczna, ale i moralna; poza nie mogła być lepiéj wybraną i więcéj naturalną. Model jest siedzący w fotelu, oparty na stoliku z założonémi nogami. Umiarkowanie w kolorze, z poświęceniem nawet akcessoryów, ściągają spojrzenia i uwagę jako na przedmiot najważniejszy, na głowę, wymodelowaną z nauką, która jednakowoż nie odbiera jéj wdzięku. Jakaż tam delikatność w przejściach tonów, umiejętność w planowaniu i logiczność w traktowaniu, w połączeniu którychto warunków, artysta potrafił przedstawić żywą postać na płótnie. Trudnoby żądać było więcéj wdzięku obok poważnego traktowania sztuki i więcéj uszlachetnienia w prostocie."

— W Uniwersytecie wrocławskim w półroczu zimowém wykłada dr. *Wł. Nehring*, grammatykę staro-słowiańską i historyą języka polskiego; dr. *Wincenty Kraiński* lektor, język ruski, historyą literatury polskiéj i dzieje wymowy w Polsce; dr. *Emanuel Ogiński*, encyklopedyę filozofii, psychologię i pedagogikę.

— *Leonard Rettel* b. uczeń Uniw. war., wydał w Paryżu, nakładem biblioteki Kórnickiéj (hr. Działyńskiego) dzieło; „*O Metodym i Cyryllu.*"

— Fundusz dotychczasowy na budowę teatru polskiego w Poznaniu zebrany, jużto z rozprzedanych akcyj, już też ze składek dobrowolnych, wynosił do połowy listopada r. b, talarów 35292 srg. 14, fen. 2. Rada nadzorcza postanowiła natychmiast przystąpić do budowy; powyższy bowiem fundusz daje już dostateczne środki do tego, a tymczasem następne raty akcyj dostarczą do uskutecznienia zamierzonego dzieła, dalszych zasobów.

— W czasopiśmie illustrowaném czeskiém: „*Swetozor*" wychodzącém w Pradze czeskiéj, znajdujemy rysunek naszego artysty-malarza Szernera, przedstawiający odejście kompanii pobożnych pątników, z klasztoru na Jasnéj Górze. W objaśnieniu tego drzeworytu czytamy: że corocznie w przybliżonym rachunku, odwiedza klasztor częstochowski 200000 osób z kraju i zagranicy, a głównie z Mora-

wii, Czech, Węgier, oraz Szlązka pruskiego i austryackiego.—W Pradze czeskiéj przedstawiono komedye Michała Bałuckiego: Radcy Pana Radcy, w przekładzie czeskim.

— W połowie października r. b. we Florencyi wyszły na widok publiczny poezye Teofila Lenartowicza w przekładzie włoskim przez *Marrucci'ego*. W zbiorze tym znajdują się trzy poemata Lenartowicza: *Dante*, *Spartakus* i *Schody nad przepaścią*.

— W ostatnich walkach w Paryżu, wiele uszkodzono pomników. Pomiędzy innémi, posąg płaczącego geniusza, zdobiący grób Fryderyka Chopina, dłuta słynnego rzeźbiarza Clessingera, utracił dwa palce.

— W Krakowie professor Dr. Łuszczkiewicz wydał rozprawę p. n.: *Rzeźba kamienna krakowska XIV wieku*. Przedmiot ważny do dziejów sztuki w Polsce.

— Aleksander hr. Przezdziecki odkrył w Peszcie *Modlitwy Wacława*, zabytek z XIV wieku. Professor Uniwersytetu Jagiellońskiego Suchecki, pierwszą o nim podał wiadomość. Hr. Przezdziecki przygotowywa wydanie tych modlitw, wedle odpisu z XV wieku z pomocą lingwisty p. Malinowskiego.

— We Lwowie z drukarni Zakładu imienia Ossolińskich wyszła w nader staranném i ozdobném wydaniu: *Biblia królowéj Zofii żony Jagiełły z kodeksu Szaroszpatackiego, nakładem księcia Jerzego Henryka Lubomirskiego, wydana przez Antoniego Małeckiego*, (w 4ce, str. L i 349 z facsimilami chromolitografowanemi i litografiami). W obszernym wstępie, wydawca kreśli nam historyę tego zabytku i jego znaczenie.

— Dr. M. Toeppen, znany z badań etnograficznych nad Mazurami osiadłymi w Prusiech, rozpoczął wydawnictwo w Gdańsku p. n.: *Elbinger Antiquitatem*, badania starożytnicze tyczące się historyi *Elblonga*, który to gród niepoślednie zajmuje miejsce w dziejach krzyżackich, a następnie i polskich.

— W Götyndze Dr. Perlbach wydał: *Die aeltere Chronik von Oliva*..

— We Lwowie wyszedł: *Katalog dubletów Zakładu narodowego Ossolińskich*.

— W Poznaniu nakładem J. K. Żupańskiego, wydał Dr. Władysław Nehring, professor literatury słowiańskiéj w Uniwersytecie Wrocławskim tak zwany *Psałterz Floryański*.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

† Znany poeta ukraiński *Tomasz Pądura* umarł dnia 8 września r. b., w domu przyjaciela swego Maryana Wasiutyńskiego, który jak najtroskliwiéj pielęgnował sędziwego starca. Pochowany w Machnówce.

† Dnia 1 listopada r. b. umarł w Warszawie Walenty Czekierski b. podpułkownik b. w. p. w 84 roku życia. Urodzony 1788 (14 lutego) pobierał nauki w Liceum Warszawskiém za czasów Lindego, w roku 1806 wszedł do wojska, gdzie się dosłużył stopnia podpułkownika. Opuściwszy szeregi, był pisarzem magazynu solnego w Mniszewie nad Wisłą, a wysłużywszy emeryturę, osiadł stale w Warszawie. Ojciec jego z krakowskiego rodem, był lekarzem, wykształciwszy się w Uniwersytecie Jagiellońskim. Syn jego najstarszy był za naszych już czasów, jednym z najsławniejszych Doktorów w kraju, i miał największą praktykę. Zmarły Walenty był jednym z młodszych w licznem rodzeństwie. Żywego charakteru, wesoły i dowcipny, w wolnych chwilach pisywał wierszyki, i krótkie opowieści prozą. Na rok przed zgonem, zabrał się ochoczo do spisania swoich wspomnień. Pamiętniczek ten, zawierający wiele zajmujących szczegółów, nie ukończył jak zamierzał, ale w ostatniéj chorobie, kiedy już piórem władać nie potrafił, doręczył K. Wł. Wójcickiemu, któremu położonym na czele wierszykiem tę pracę swoją przypisał. Wspomnienia te obejmują okres od 1806 do 1818 r.

† Dnia 4 (16) listopada r. b. zakończył życie Aleksander Mickiewicz ostatni z braci Adama, w majętności swéj zwanéj *Gubernia*, w powiecie kobryńskim, gubernii Grodzieńskiéj. Urodzony w Nowogródku w roku 1801; nauki wyższe pobierał w Uniwersytecie Wileńskim na wydziale prawnym, gdzie otrzymał stopień magistra obojga praw. Obszerna jego rozprawa: *Jaki wpływ prawodastwo rzymskie na polskie i litewskie miéć mogło?* drukowana w *Dzienniku Warszawskim*, piśmie miesięcznem z r. 1825 z przypisami Lelewela, utorowała mu drogę do katedry w Liceum Krzemienieckiém, zkąd w r. 1835 przeszedł na katedrę prawa rzymskiego w Kijowie, a w r. 1840 na takąż katedrę w Charkowie. W rękopiśmie pozostawił: *Kursa prawa wykładane w Liceum Krzemienieckiém*, oraz *Encyklopedyą prawa*.

Od Redakcyi

BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie w roku 1872, w którym pismo to zacznie trzydziesty drugi rok życia. Literatura, nauki, umiejętności jak dotąd będą na przyszłość jedynym przedmiotem Biblioteki. Cena dotychczasowa utrzymana: w Warszawie rs. 9, na prowincyi 10; *kto pragnie z poczty regularnie i w należytym porządku odbierać wychodzące zeszyty, zechce wprost od siebie do księgarni Gebethnera i Wolfa (Krakowskie Przedmieście Nr. 415) przesłać prenumeratę* rs. 10 *i zarazem zawiadomić, z której stacyi pocztowéj zeszyty odbierać sobie życzy, a żadnego w przesyłce nie dozna zawodu.*

Prenumeratorowie raczą wcześniéj zaraz po 1 grudniu r. b. zgłaszać się, drukarnia bowiem odbija ilość egzemplarzy stosownie do ilości zgłaszających się prenumeratorów.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.
Wydawca *Józef Berger.*

W drukarni J. Bergera przy ul. Daniłowiczowskiéj Nr. 619.

Дозволено Цензурою, 15 Ноября 1871 г.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1871.

—

Archeologia.

Stron.

Poszukiwania archeologiczne *Jana Zawiszy*. (Z drzeworytami)..... 4

Starożytności.

Liber Beneficiorum Długosza, przez *Felixa Zielińskiego*..... 33

Materyały historyczne.

Jan Czarnkowski i jego kronika, przez *Ludwika Kubalę*..... 59

Biografia.

Fryderyk hrabia Skarbek, przez *K. Wł. Wójcickiego*. (Dokończenie)..... 403

Literatura powszechna.

Stron.

Literatura angielska. Z H. Taina, przez *Ed. L.*..... 76, 233

Literatura polska.

Wiek Jana Kazimierza w głównych przedstawicielach piśmiennych. I. Szymon Starowolski, przez *A. Tyszyńskiego*..... 220

Literatura rossyjska.

Podania i pieśni narodowe. (Przekład z rossyjskiego dzieła: *Kritika* Bielińskiego)..... 205

Dramat.

Rozamunda. Dramat Józefa Weilen'a, przekład *Seweryny Duchińskiéj*.. 173, 361

Sztuki piękne.

Stuletnia na cześć Beethowena uroczystość w Bonn, przez *Bolesława Wilczyńskiego*..... 259

Powieść.

Człowiek bez jutra. Powieść przez *Jana Zacharyasiewicza* (Dokończenie).. 1

Kronika zagraniczna.

Kilka słów odpowiedzi na zarzuty czynione nam w *Revista Europea* i w przeglądzie berlińskim: *Magazin für die litteratur des Auslandes.*— Przegląd florencki *Revista.*— Praca Dory d'Istrya *Gli Albanesi in Rumenia.* — Hołdy składane autorce w Grecyi. — Wspomnienie księżnéj Belgioso.— Nowe pamiętniki Lamartina.— Lata dziecinne i pierwszéj młodości. — Literatura francuzka podczas wojny 1870 — 1871 drukowana w Berlinie.— Pociski Berlińczyka na poetów.— Amerykanin Delpit. Pieśń jego nad kolyską dziewczynki.— Rapsod rycerski Bergereta: „Kirassyery z Reischhoffen."— Professor berliń-

ski Bois Reimond.— Jego akademicka mowa.— Nowe publikacye o Alzacyi.— Protestacye Alzatczyków pisane po niemiecku.—Pieśni nienawiści. (Lieder des Hasses)— Zgorzały pałac w Nancy.— Muzeum Lotaryngskie.— Pamiętniki po Stanisławie Leszczyńskim.— Auber i jego dzieła..... 104

Dzieło professora Franka: Komunizm osądzony przez historyą. Teorye socyalne Tomasza Morus, Campanelli, Fenelona, J. J. Rousseau, Mably, Morellego.— Robespierre i Babeuf. — Szkoła Louis Blanc. Uwagi nad dziełem Franka. Komunizm przejściowy u ludów europejskich; stały u ludów arabskich.— Arcybiskup Darbois; jego prace naukowe. — Poeta Jakób Normand. *Tablettes d'un Mobile. Wystrzał*, opowieść. Piosneczka Prusaka. — Paul de Kock; jego powieści.— Wystawa obrazów Holbeina w Dreznie. Spór o dwie Madony.— Kongres malarzy i archeologów. Dzieła o Holbeinie. Pożyteczność pedantyzmu niemieckiego..... 273

Manifest nowéj szkoły niemieckiéj: *Rom's Unrecht* przez Wolfganga Mentzla.— Rehabilitacya Wandalów. — Sprzeczność geniuszu germańskiego a romańskiego.— Romantyzm średniowieczny —Wiek Odrodzenia.— Racyonalizm.— Walka nowéj szkoły przeciw poetom i filozofom niemieckim.— Nowe drogi na przyszłość.— Zgermanizowanie kościoła w duchu Aryusza.. — Protestacya Francuzów przeciw idei o ich romańsko-lacińskiém pochodzeniu.—Pomnik Woltera w Paryżu. Nienawiść Woltera ku Francuzom. — Ruch literacki w Czechach. — Karol Jaromir Erben, jako archeolog i poeta.— Wacław Szolc.— Statystyka pism peryodycznych czeskich.— Stowarzyszenia naukowe, literackie i inne.— Przyjęcie Juliusza Janina do Akademii francuzkiéj..... 418

Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.

Prace Wojciecha Jastrzębowskiego. Przez *B. S.*..... 137

Odgłosy z gór, poezye Felicyana. 1871. Warszawa.— Mirosława Dobrzańskiego wstępne akordy. 1871. Warszawa.—Maryana Korwina Kochanowskiego ostatnie poezye (wydanie pośmiertne). 1870. Kraków. Przez *X*..... 143

Rys historyi włościan w Polsce przez J. I. Goremykina. Petersburg. 1869. Przez *K. P.*..... 155

Dwa sonety Jana Kochanowskiego. Przez *P. Ch.*..... 159

I. Obrazy z życia i natury, w dwóch seryach, Wincentego Pola.— II. Illustrowany Przewodnik do Tatr, Pienin i Szczawnic, pisał i illustrował Walery Eliasz, przez *Józefa Majewskiego*..... 306

Kritische Blicke in die Geschichte der Karpaten-Völker im Alterthum und im Mittelalter, von Dr. Isidor Szaraniewicz. Lemberg. 1871. (Krytyczne rzuty oka na dzieje ludów Karpackich w starożytności i w wiekach średnich). Przez *A. P.*... 322

Stron.

O pieczęciach dawnéj Polski, napisał Teofil Żebrawski, zeszyt II, Kraków. 1871. Przez *A. P.*..... 325

Jeden rys współczesnego piśmiennictwa niemieckiego. Przez *F. Z.*..... 325

Studya nad literaturą polską XVII i XVIII wieku do czasów panowania Stanisława Augusta I.—Hieronim Wespazyan z Kóchowa Kochowski, przez Adama Rzążewskiego, Magistra nauk Hist. Fil. b. Szk. Głównéj Warszawskiéj. 1871. Warszawa. Przez *X.*..... 454

Kronika Pawła Piaseckiego. Kraków. 1871. Przez *A. Adamowicza*..... 463

Liszt jako symfonia. *Przez J. M.*..... 481

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj: od Jana Zawiszy..... 485

Wiadomości literackie..... 162, 328, 490

Od redakcyi Biblioteki Warszawskiéj..... 336 508

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE

PODAWANE PRZEZ

KSIĘGARNIĘ I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH

GEBETHNERA i WOLFFA

w Warszawie.

Krakowskie-Przedmieście Nr. 415. (Pałac Hr. Potockiego).

Nr. 6.

od Kwietnia do końca Września 1871.

☞ Uwaga. Ceny książek za granicą drukowanych mogą ulegać zmianie, stosownie do kursu pieniędzy.

Wypisujący jednorazowie dzieł za Rs. 5, kosztów przesyłki nie ponoszą; przy mniejszych zamówieniach dołączają 10 kop. do każdego rubla na koszta przesyłki. Wyłączają się z tego książki w cenie zniżone, szkolne, na prenumeratę wychodzące i kalendarze.

Wszelkie dzieła tak polskie jakotéż zagraniczne oraz nuty muzyczne, przez gazety lub czyjekolwiek katalogi ogłaszane, księgarnia powyższa również dostarcza.

d'AZEGLIO, Massimo. Nicolo de'Lapi. Powieść historyczna. Z oryginału włoskiego przełożył AIO. 3 tomy. 8-vo I, str. 199; II, st. 191; III, st. 183. Lwów, 1871. 2 Rs. 70 kop.

BAŁUCKI, Michał. Żydówka, powieść z ostatnich lat. 8-vo, str. 291. Warszawa, 1871. 1 Rs. 20 kop.

BEŁCIKOWSKI, Adam. Dwaj Radziwiłłowie. Komedya w pięciu aktach. 16-ka, str. 187. Kraków, 1871. 40 kop.

BENEDEN Van P. I. Anatomija porównawcza; przełożył z francuzkiego Zygmunt Zanożyński. Poszyt I, II. 8-vo, str. 1—80. Warszawa, 1871. Poszyt po 25 kop.

Biblioteka Ordynacyi Krasińskich. Rok 1871. Akta podkanclerskie Franciszka Krasińskiego 1569—1573. Wydał Wł. Hr. Krasiński, objaśnił przypiskami Wł. Chomętowski. Część III-cia (zawierająca dokumenta od dnia 1-go Maja 1571 roku do 22-go Maja 1573 r.). 4-to, str. 4 nieliczb. 503. XXV i 33. Warszawa, 1871. 3 Rs. 60 kop.

Biblioteka pamiętników i podróży, wydawana przez J. I. Kraszewskiego, tom V-ty; patrz Bukar, Pamiętniki. VI. Pamiętniki wojenne, 1792—1812. 8-vo, str. XVI i 268. Drezno, 1871. 1 Rs. 20 kop.

Biblioteka teatralna lwowska. Zeszyt VII, VIII, IX. 8-vo, Lwów, 1871:

zeszyt VII. BAŁUCKI, Michał. Radcy pana Radcy, komedya w 3-ch aktach, str. 125, 50 kop.

„ VIII. URBAŃSKI, Aureli. Po wystawie paryzkiéj. Fraszka dramatyczna w 1 akcie, str. 54. 22 1/2 kop.

„ IX. KOZIEBRODZKI hr. Wład., Zawierucha, komedya w jednym akcie, str. 80. 25 kop.

BIELSKI, Józef. Lekarz i chory, studyum. 8-vo, str. 29. Lwów, 1871. 20 kop.

— Homeopatya dzisiejsza, 8-vo, str. 42 i 2 nieliczb. Lwów, 1871. 35 kop.

BIESIADECKI, Dr. Alfred. Poszukiwania dokonane w Zakładzie patologiczno-anatomicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w roku 1870. 8-vo, str. V i 145. Kraków, 1871. 90 kop.

BOGUCKI, Adolf. Krótki podręczny regulamin hodowli jedwabników. Na arkuszu z kolorowanemi rycinami. Warszawa, 1871. 50 kop.

— Jedwabnictwo nasze i obce. Dwa odczyty na rzecz Towarzystwa Dobroczynności. 8-vo, str. 61. Warszawa, 1871. 30 kop.

BORN J. F. Eugenia czyli tajemnice zamku Tuileries. Historyczno-romantyczne opowiadanie z najnowszych dziejów Francyi, w 16-ce, poszyt 1—13. Warszawa, 1871. Poszyt po 12 1/2 kop.

— Tajemnice stolicy świata czyli grzesznica i pokutnica. Romans, przekład z niemieckiego, w 16-ce, poszyt 1 — 21. Warszawa, 1871. Poszyt po 12 1/2 kop.

BRODOWICZ, M. J. Przegląd ogólny swojego zawodu lekarskiego i nauczycielskiego. 8-vo, str. XX i 131, Allegata str. 198, IV i 23 tablic. Kraków, 1871. 2 Rs. 25 kop.

BRODZIŃSKI, Kaź. Wiesław, sielanka; i Zieliński Gustaw: Kirgiz, powieść, 16-ka, str. 78. Lwów, 1871. 20 kop.

BRUHL, Rob. Tablica nawozów sposobem graficznym ułożona, wykazująca ile rośliny powszechnie uprawiane wyczerpują z gruntu części mineralnych i jak ubytek ten dla utrzymania równowagi zastąpić sztucznemi nawozami, podług niemieckiego wydania Dra G. Heppe, obliczona na miarę i wagę krajową. 8-vo, str. 16 i tabl. Warszawa, 1871. 1 Rs.

BUKAR, Seweryn. Pamiętniki. Z rękopismu po raz pierwszy ogłoszone. 8-vo, str. VIII i 224. Drezno, 1871. 95 kop.

BYRON, Lord. Sardanapal; tragedya, przekład Fryderyka Krauzego. Wydanie Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj. 8-vo, str. 132. Warszawa, 1871. 1 Rs.

CHŁĘDOWSKI, Kazimierz. Skrupuły. Powieść, w 16-ce, str. 320. Kraków, 1871. 1 Rs.

CHMIELEWSKI, Józef. Zagadki, zgłoskówki, łamigłówki, rebusy dla grzecznych i pilnych dzieci. 16-ka, str. VIII i 152. Kraków, 1871. 55 kop.

CICERO, M. T. Sen Scypiona. (Somnium Scipionis), z łacińskiego przełożył i uwagami objaśnił, oraz poglądem historycznym na rozwój filozofii rzymskiej uzupełnił Hen. Sadowski. 8-vo, str. 72. Warszawa, 1871. 37½ kop.

— Mowy przełożone przez Rykaczewskiego. Nakładem Biblioteki Kórnickiéj. Tom II i III. 8-vo, tom II str. 586, tom III str. 602. Paryż, 1870/1. 4 Rs. 20 kop. Cena I tomu 2 Rs. 40 kop.

CICHOWSKI, Roman. Opis pługów i narzędzi rolniczych, wedle własnego pomysłu wykonanych, wraz ze sposobem ich użycia. 4-to, str. 24. Warszawa, 1871. 50 kop.

CODEX diplomaticus Universitatis studii generalis Cracoviensis, continet privilegia et documenta quae res gestas Academiae ejusque beneficia illustrant. Pars prima pertinet ab anno 1365 usque ad annum 1440. 4-to, pag. VII, 201, 23. Cracoviae. 4 Rs.

COLLINS, Wilkie. O zmroku. Przekład z angielskiego przez A. D.....ę. 8-vo, str. 324. Lwów, 1871. 1 Rs. 65 kop.

ĆWIERCZAKIEWICZ, Luc. 365 obiadów za 5 złotych, przez autorkę jedynych praktycznych przepisów z dodatkiem 120 obiadów postnych bez ryb. Wydanie ósme poprawione i powiększone. 8-vo, str. LXI i 312. Warszawa, 1871. 75 kop.

— Jedyne praktyczne przepisy wszelkich zapasów spiżarnianych oraz pieczenia ciast. Wydanie szóste, przejrzane i pomnożone. 8-vo, str. V i 179. Warszawa, 1871. 60 kop.

— O gospodarstwie domowém. Odczyt I, miany w Zakładzie nauk, sztuk i rękodzieł dla kobiét. 8-vo, str. 24. Warszawa, 1871. 15 kop.

CZERNY D. Franc. Panowanie Jana Olbrachta i Aleksandra Jagiellończyków (1492—1506) spisał na podstawie źródeł. 8-vo, str. 140. Kraków, 1871. 82½ kop.

CZYRNIAŃSKI, Prof. Dr. E. Odpowiedź na ocenę chemicznéj teoryi, opartéj na ruchach wirowych niedziałek, przez Dra Bronisł. Radziszewskiego. 8-vo, str. 29. Kraków, 1871. 30 kop.

De fontibus qui ad abdicationem Joannis Casimiri et electionem Michaëlis Wisniowiecii pertinent 1668—1669. 8-vo, p. 94. Dresdae, 1871. 50 k.

DICKENS i COLLINS. Bez wyjścia. Powieść, przełożył z angielskiego Stanisław Boduszyński, 8-vo, str. 135. Warszawa, 1871. 90 kop.

DMOCHOWSKI, F. S. O życiu i pismach Kazim. Brodzińskiego. 8-vo, str. 44. Warszawa, 1871. 40 kop.

DOBIESZEWSKA Józefa z Szmigielskich. Odczyty publiczne w sali ratuszowéj miasta stołecznego Lwowa, miane na wezwanie sekcyi lwowskiéj Towarzystwa pedagogicznego galicyjskiego. Wychowanie kobiét w obec dzisiejszych dążeń społecznych. 8-vo, str. 173. Lwów, 1871. 90 kop.

DOBRSKI, K. Dopełnienie do przekładu siódmego wydania Patologii i terapii szczegółowéj Dra T. Niemeyer'a według ósmego wydania oryginału niemieckiego z roku 1871. 8-vo, str. 29 i II. Warszawa, 1871. 40 kop.

DOBRZAŃSKI, Mirosław. Wstępne akordy. 8-vo, str. 84. Warszawa, 1871. 60 kop.

DREWNOWSKI Fran. Pogląd na przemysł browarny w Królestwie Polskiém ze stanowiska ziemiańskiego i rolniczo-fabrycznego. 8-vo, str. II i 89. Warszawa, 1871. 60 kop.

Dubissa, główna rzeka w dawném Księstwie Żmujdzkiém, dziś w gubernii Kowieńskiéj. Z mappą téj rzeki, opisana przez I. B. 8-vo, str. 59. Wilno, 1871. 50 kop.

DUMAS, Aleksander syn. Antonina, przełożył St. B...a. 16-ka, poszyt 1—5. Warszawa, 1871; poszyt po 7 1/2 kop.

Dwie Zosie. Obrazek z czasów spółczesnych w trzech aktach, przez W. W. 8-vo, str. 78. Lwów, 1871. 50 kop.

EMMENS, Edw. Najnowsze wychowanie, cel jego i warunki, zbiór odczytów professorów angielskich: Tyndalla, Henfry, Podgeta, Emmens'a, Massona, Faraday'a, na obronę wychowania naukowego ułożony, przełożył I. R. 8-vo, str. 198 i II. Warszawa, 1871. 1 Rs.

ESTREICHER, K. 1400 pism peryodycznych i zbiorowych, abecadłowo zestawił. Wydanie w 30 egzemplarzach. 8-vo, str. 27. Kraków, 1871. 45 k.

FABIAN, Alex. Farmacya. Przekład dzieła Prof. Dra Adolfa Duflos'a: „Theorie und Praxis der in pharmaceutischen Laboratorien vorkommenden pharmaceutisch, technisch und analytisch-chemischen Arbeiten. (Chemisches Apothekerbuch." Fünfte Bearbeitung. Breslau, 1867. Tomu I-go część II-ga. 8-vo, str. 321—480 z 20 drzeworytami. Warszawa, 1871. 1 Rs. 50 kop.

FAY, Karol. Dziennik oficera armii nadreńskiéj, z mappą wykazującą wojskowe działania pod Metz'em. Podług trzeciego wydania przełożył Edmund Callier. 8-vo, str. VIII i 282. Poznań, 1871. 1 Rs. 80 kop.

Fizyologia. Przekład dzieła F. C. Donders'a: „Physiologie des Menschen." Część I. „Die Ernährung" przez A. Fabiana i A. Stockmanna. Uzupełniony przez prof. Dra H. Hoyer'a. Tomu I-go zeszyt I-szy (z 50 drzeworytami w tekscie). 8-vo, str. 160. Warszawa, 1871. 1 Rs. 50 kop.

GALEN, Filip. Czarodziejka z Argentières. Powieść, przełożył z niemieckiego Edward Sulicki. 8-vo, str. 288. Warszawa, 1871. 90 kop.

GEMBARZEWSKI, Kazimierz. O pokucie kościelnéj w prawie karném. 8-vo, str. 24. Warszawa, 1871. 20 kop.

GERVINUS. Szekspir, przekład przez Wandę Grabowską, 8-vo, str. 86. Warszawa, 1871. 50 kop.

GOERANSSON, Kiellmann. Synowie Barona czyli anioł z ulicy Westerlang. Z szwedzkiego przełożył B. Sz. 8-vo, str. 216. Lwów, 1871. 1 Rs.

GONDEK, Ks. Fel. Siedm grzechów głównych. III, Nieczystość, IV, Obżarstwo. 8-vo, str. 180 i 2 nieliczb. Kraków, 1871. 30 kop.

GRAJNERT, Józef. Dziwne przygody Lorka Szlązaka, opowiadania z dziejów polskich z 4-ma obrazkami. 16-ka, str. 69. Kraków, 1871. 35 kop.

HAFFNER, Dr. Materyalizm nowoczesny. Z oryginału niemieckiego przełożył Wł. M. Tłomaczenie upoważnione przez autora. 16-ka, str. 92. Warszawa, 1871. 30 kop.

HEINRICH Dr. Alex. Historya medycyny. Przekład dzieła Dra Haesera: „Lehrbuch der Geschichte du Medicin" 1867: Tomu I-go zeszyt I-szy, 8-vo, str. 1—160. Warszawa, 1871. 1 Rs. 20 kop.

Historya cudownych podróży pewnego Araba. Wyjątek z Tysiąca i jednéj nocy. 16-ka, str. 112. Warszawa, 1871. 20 kop.

HUGO, Wiktor. Han z Islandyi, powieść w 3-ch tomach, przełożył z francuzkiego Jan Tański. 16-ka, tom I str. 167, II, str. 184, III, st. 175, Kalisz, 1871. 1 Rs. 50 kop.

HUCKL, Prof. E. Botanika dla szkół niższych gimnazyalnych i realnych. 8-vo, str. 210. Kraków, 1870. 45 kop.

JACHOWICZ, S. Bajki i powiastki. Wydanie ósme. 3 tomy. 8-vo. Tom I, str. 138 i VI; II-gi, str. 197 i XVII; III-ci, str. 216 i XXIX. Warszawa, 1871. 1 Rs. 50 kop.

JAGIELSKI Dr. Wiktor. Kumys i jego użycie w medycynie, tłumaczył z angielskiego Dr. Jan Kwaśnicki. 8-vo, str. 51. Warszawa, 1871. 50 kop.

JASTRZĘBOWSKI, Wojciech. Klucz do układu przyrodzonego roślin rosnących na przestrzeni ziemi rozciągającéj się między Karpatami i morzem Bałtyckiém. Ułożony na wzór klucza La Marcka i De Candolla. 8-vo, str. 49. Warszawa, 1871. 30 kop.

Irena czyli Chrześcianie za Domicyana. Powieść oryginalna przez M. G. 8-vo, str. 247. Kraków, 1871. 80 kop.

KARWACKI Dr. Alex. Ogrodnictwo warzywne, drzew owocowych i krzewów jagodowych, oraz użyteczność tychże. 8-vo, str. 220. Warszawa, 1871. 60 kop.

Kochanki Augusta II, króla polskiego, zwanego: „Mocny," spolszczył M. I. 16-ka, str. 106. Warszawa, 1871. 35 kop.

KEMPIS, Tomasz. O naśladowaniu Jezusa Chrystusa, ksiąg czworo, według tłumaczenia X. A. I., w 32-a, str. 590. Warszawa, 1871. 30 kop.

KOCHANOWSKI, Maryan, Korwin. Ostatnie poezye (wydanie pośmiertne). 8-vo, str. 195. Kraków, 1871. 1 Rs. 5 kop.

Kosa, kartki humorystyczno-satyryczne, pod redakcyą i nakładem M. Dzikowskiego. 8-vo, str. 36. Warszawa, 1871. 30 kop.

KOZIEBRODZKI, Hr. Wład. Klaudya, szkic dramatyczny w 2-ch aktach, 16-ka, str. 71. Kraków, 1871. 30 kop.

— Po ślubie, komedya w 1-nym akcie, 8-vo, str. 68. Kraków, 1870. 20 kop.

KRASZEWSKI, J. I. Piękna Pani. Powieść-studyum. 8-vo, str. 147. Lwów, 1871. 90 kop.

Książka do modlitwy dla dzieci rzymsko-katolickich. Wydanie trzecie poprawione i pomnożone. w 32-a, str. 249 i V. Warszawa, 1871. 30 kop.

LAFORET, Dr. Dzieje filozofii starożytnéj. Z oryginału francuzkiego przełożył Dr. Wład. Miłkowski. Tłumaczenie upoważnione przez autora. Tom I, zeszyt 1 i 2. 8-vo, str. 1—160. Warszawa, 1871. Prenumerata na 2 tomy, 6 Rs.

LEMONNIER, Kam. Sedan, tłumaczył Filip Sulimierski. 8-vo, str. 186. Warszawa, 1871. 50 kop.

LESKE, Marya. Mała krawcowa dla lalek. 8-vo, str. 6 z tabl. Warszawa, 1871. 20 kop.

LIEBIG, Justus. Wiedza zastosowana do rolnictwa i fizyologii. Tom wstępny. 8-vo, str. XVI i 139. Kraków, 1871. 75 kop.

Liza. Powieść z angielskiego. 8-vo, str. 45. Warszawa, 1871. 15 kop.

LUBIENIECKI, Julian. Dokładna praktyczna nauka dla pasieczników: Jak mają chodzić koło pszczół, aby rozmnożyć prędko pasieki i wydobyć z nich zysk jak największy, tak w zwyczajnych naszych ulach krajowych jako też i w ulach Dzierżonowskich. Drugie wydanie poprawione i pomnożone przez Konstantego Kluczenkę. 8-vo, tom I-szy, str. VIII i 301, 3 nieliczb., i XVIII tabl. Lwów, 1871. Przedpłata na 3 tomy, 4 Rs.

LUBOWSKI, Edward. Aktorka, powieść. 8-vo, str. 427. Warszawa, 1871. 1 Rs.

MARCHAL, O. Ostatnie chwile rewolucyonisty na śmierć skazanego podczas zamachu stanu Napoleona III-go. Z 19-go francuzkiego wydania na język polski przełożył X. Wład. M. 16-ka, str. 64. Kraków, 1871. 15 kop.

MAYZEL, Dr. Wacław. Anatomia praktyczna. Przekład dzieła Prof. Dra Budge'go: „Anleitung zu den Präparirübungen." (Z drzeworytami w tekście). 8-vo, str. VIII, 462 i II. Warszawa, 1871. 4 Rs.

MIERZYŃSKI, Dr. Ant. Jan Łasicki, źródło do mytologii litewskiéj. Osobne odbicie z N. M. Rocz. Tow. Nauk. Krak. 8-vo, str. 102. Kraków, 1870. 75 kop.

MIKLASZEWSKI, Walenty. Kilka słow o wykonaniu kary. 8-vo, str. 44. Warszawa, 1871. 40 kop.

— O pozbawieniu wolności obwinionych o spełnienie przestępstwa. Rzecz publicznie w sali ratuszowéj dnia 31 marca 1871 r. wyłożona. 8-vo, str. 23. Warszawa, 1871. 20 kop.

Módlmy się, czyli zbiór krótkiego nabożeństwa na wszystkie większe uroczystości. Z ryciną kolorowaną. Wydanie czwarte, przejrzane i powiększone, w 32-ce, str. 480. Warszawa, 1871. Osobne wydanie dla mężczyzn i kobiet. 1 Rs. W oprawie za 2 Rs.; 2 Rs. 50 k.; 3 Rs.; 5 Rs.

MONIUSZKO, Stanisław. Pamiętnik do nauki harmonii. 8-vo, str. 88. Warszawa, 1871. 1 Rs. 20 kop.

MOSTOWSKI, Adolf. Komedye oryginalne wierszem. 8-vo, str. 195. Warszawa, 1871. 75 kop.

Myśli kilka o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych, przez A. D. 8-vo, str. III, 237 i 2 nieliczb. Lwów, 1871. 1 Rs. 65 kop.

NEWMANN, W. O. Kalista czyli obraz historyczny z III-go wieku, przekład Eleonory Ziemięckiéj. 8-vo, str. 413. Kraków, 1871. 75 kop.

NICOLAS, Aug. Wywód prawdy chrześciańskiéj ze stanowiska filozofii, dogmatu i historyi, z francuzkiego dzieła wydanego pod tytułem: „Badania

filozoficzne o chrześcianizmie" etc., przełożył E. T. Masalski. 8-vo, tom I-szy str. XIV i 410; tom II-gi str. 424. Wilno, 1870. 3 Rs. 30 kop.

NIEWĘGŁOWSKI, G. H. Trygonometrya z teoryą ilości urojonych i z notami. 8-vo, str. XV i 407. Paryż, 1870. 1 Rs. 50 kop.

NOSKOWSKI, Wł. Kultura lnu w Belgii. Sprawozdanie z podróży naukowéj odbytéj w r. 1869/70 z polecenia Komitetu C. K. Towarzystwa Gospodarskiego galicyjskiego, i temuż Komitetowi przedłożone. 8-vo, str. 74. Lwów, 1871. 50 kop.

OCHOROWICZ, Jul. Psychologiczne pytania XIX wieku. III. O wolności woli. 8-vo, str. 140 i 3 nieliczb. Warszawa, 1871. 85 kop.

Ogród różany, w którym zawiera się duch nabożeństwa i religii ku pożytkowi duchownemu wszystkich pobożnych katolików służący, przez ś. p. X. Jakóba Falkowskiego ułożony. Wydanie nowe poprawne i pomnożone. 8-vo, str. XXIV i 671. Wilno, 1871; wydanie na papierze zwyczajnym 1 Rs. 20 kop, na papierze lepszym 1 Rs. 50 kop.

ORZESZKO, Eliza. Cnotliwi, powieść. 8-vo, str. 407. Warszawa, 1871. 1 Rs. 20 kop.

Ostroga. Kartki humorystyczno-satyryczne. 8-vo, str. 44. Warszawa, 1871. 30 kop.

OSTROWSKI, Edward. Weterynarya gospodarcza. Nauka leczenia zwierząt domowych, wykładana w Instytucie gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie. 8-vo, str. 176 i V. Warszawa, 1871. 80 kop.

PABLO de los RIOS, Juan. Dygnitarze, oryginalny romans meksykański, z hiszpańskiego przełożył S. W.; przytém: Caballero Fernan, Łukasz Garcia, Paz i Luz, powieści andaluzyjskie. 8-vo, str. 221. Lwów, 1871. 1 Rs.

Pamiętnik Teatrów Warszawskich za rok 1870. Rok pierwszy. Wydał Stanisław Goślicki. 16-ka, str. 179, III i 2 rozkłady miejsc. Warszawa, 1871. 50 kop.

PAPŁOŃSKI, Jan. Zasady wychowania domowego, odczyt publiczny miany 5-go marca 1871 roku na korzyść Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Wydanie drugie. 8-vo, str. 19. Warszawa, 1871. 20 kop.

PAWŁOWSKI, Franciszek. Premislia sacra, sive series et gesta Episcoporum r. l. Premisliensium. E fontibus domesticis et extraneis congessit. 8-vo, pag. 682, XXX. Cracoviae, 1870. 2 Rs. 70 kop.

PETOFI. Janosz Witeż. Przekład z oryginału madziarskiego przez Seweryne z Żochowskich D. 8-vo, str. 40. Warszawa, 1871. 40 kop.

PĘKALSKI, P. Uwagi nad podaniem starodawnéj pieśni: „Bogarodzica," świętemu Wojciechowi przyznanéj. 8-vo, str. 32. Kraków, 1871. 20 kop.

PIETRASZKIEWICZ, Ksaw. O potrzebie i pożytku nauk przyrodniczych w ruchu powszechnéj cywilizacyi. Odczyt miany w Muzeum techniczno-przemysłowém Krakowskiém, dnia 5 lutego 1871 roku. 8-vo, str. 16. Kraków, 1871. 15 kop.

PRZYBOROWSKI, Walery. Życie za marzenie. Romans. 8-vo, str. 132. Warszawa, 1871. 50 kop.

Przygody małéj Wandzi. Powiastka dla dzieci od lat 5-ciu do 10-ciu, z sześcioma kolorowanemi rycinami, napisał A. Ł. 16-ka, str. 48. Kraków, 1871. 30 kop.

Przyrodnik. Kwartalnik illustrowany. Nr. 1 i 2. Lwów, 1871. 40 kop.

QUAIN-HOFFMANN. Anatomia opisowa ciała ludzkiego. Przekład dzieła: „Lehrbuch der Anatomie von Quain-Hoffmann" przez Kazimierza Gurbskiego. Tom I-szy, zeszyt II-gi, (z 81 drzeworytami w tekscie). 8.vo, str. 161—320. Warszawa, 1871. 1 Rs. 50 kop.

RAKOWSKI, Ks. Fr. Nauka chrześciańska z dzieł Księdza Leonharda niegdyś biskupa Pelteńskiego, nowo zebrana i ułożona. Część I-sza. O wierze. 8-vo, str. 106. Warszawa, 1871. 22½ kop.

— Dopełnienie katechetycznego wykładu nauki religii dla młodzieży wyznania rzymsko-katolickiego, 8-vo, str. 29. Warszawa, 1871. 15 kop.

REBEN, E. Gramatyka języka niemieckiego, według najnowszych niemieckich dzieł gramatycznych, dla użytku młodzieży polskiéj ułożona. Część druga. Składnia. Wierszowanie. 8-vo, str. 184 i 2 nieliczbow. Kraków, 1871. 40 kop.

Rocznik sądowy na rok 1871. 16-ka, str. XIV i 264. Warszawa, 1871. 37½ kop.

Rocznik Towarzystw przemysłowych. Staraniem Towarzystwa Przemysłowego w Poznaniu. 16-ka, str. 68. Poznań, 1871. 20 kop.

Rocznik Ces. Król. Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. Poczet trzeci. Tom XVIII-ty. Dział nauk moralnych. 8-vo, str. 453 z 5-ma tablicami. Kraków, 1870. 1 Rs. 80 kop.

„ XIX-ty. Dział nauk przyrodniczych i matematycznych. 8-vo, str. 416. Kraków, 1871. 1 Rs. 80 kop.

ROGER, E. O. Teatr amatorski. Dziełko podręczne dla amatorów, wykazujące: praktyczny sposób budowania sceny, pewne prawidła przy zachowaniu się na scenie, uwagi co do charakteryzacyi i sposobu przyrządzenia szminek, tudzież wiele innych. 8-vo, str. 42. Poznań, 1871. 30 kop.

Rok kościelny, czyli książka domowa katolików. Zawierająca: 1) Nauki o przedmiocie, celu i główniejszych obrzędach przedniejszych uroczystości kościelnych. 2) Ewangelie i Lekcye, poprzedzone krótkiém ich objaśnieniem, na niedziele i święta całego roku. 3) Prosty wykład nauki chrześciańskiéj rzymsko-katolickiego kościoła przez X. S. K. 2 tomy. 8-vo. Tom I str. 320, II str. 396. Wilno, 1870. 1 Rs. 80 kop.

RUDNICKI, Dr. Wład. Suchoty płucne i gruźlica, z odczytów klinicznych Prof. Oppolzer'a, przetłumaczył i przypiskami pomnożył. 8-vo, str. 72. Warszawa, 1871. 60 kop.

RZĄŻEWSKI, Adam. Studya nad literaturą polską XVII-go i XVIII-go wieku, do czasów panowania Stanisława Augusta. I. Hijeronim Wespazyjan Nieczuja z Kochowa Kochowski. 8-vo, str. 3 nieliczb. i 148. Warszawa, 1871. 1 Rs.

SARCEY. Oblężenie Paryża. Podług ósméj edycyi francuzkiéj przełożył Filip Sulimierski. 8-vo, str. 407. Warszawa, 1871. 1 Rs. 20 kop.

SAWICZ-ZABŁOCKI, Wojn. Kaz. Prawdopodobna historya. Poemat. Dwuwiersze i ucinki. 8-vo, str. II i 114. Warszawa, 1871. 60 kop.

SCHNEIDER, Antoni. Encyklopedyja do krajoznawstwa Galicyi pod względem historycznym, statystycznym, topograficznym, orograficznym, etnograficznym, handlowym, przemysłowym, sfragistycznym etc. etc. Tom I. 8-vo, str. 403 i III. Lwów, 1868/71. 1 Rs. 75 kop.

SCHWARTZ, M. Zof. Żona męża próżnego. Ze szwedzkiego przełożył B. Sz. 8-vo, str. 208. Lwów, 1871. 1 Rs.

SIEMIEŃSKI, Luc. Wacław Rzewuski i przygody jego w Arabii, opowiedziane z pism pozostałych po nim. 8-vo, str. 123. Kraków, 1871. 1 Rs.

SKOBEL, Prof. Dr. F. K. O skażeniu języka polskiego w dziennikach i w mowie potocznéj, osobliwie w Galicyi. Spostrzeżenia i uwagi. Wydanie drugie, powiększone. 8-vo, str. VIII i 102. Kraków, 1871. 45 kop.

SŁOWACKI, Jul. Jan Bielecki, powieść oparta na podaniu historycznem. 16-ka, str. 32. Warszawa, 1871. 15 kop.

SMITH, I. F. Opactwo Carrow. Z angielskiego. Część I: Zamek Carrow. Część II: Kwiat alocsu. 8-vo, I, str. 275; II, 242. Lwów, 1871. 2 Rs. 25 kop.

SOMMER, Dr. Fel. Nauka o chorobach dzieci (Pediatrya). Podług dzieła Vogel'a: „Lehrbuch der Kinderkrankheiten" opracowana. Tom I-szy, zeszyt I-szy (z 31 drzeworytami w tekscie). 8 vo, str. 1—320. Warszawa, 1871. 3 rs.

STACHURSKI, Paulin. Opowieści stepowe. 8-vo, str. 194. Lwów, 1871. 67½ k.

STRUVE, Prof. Dr. Henryk. O teatrze i jego znaczeniu dla życia społecznego. Wykład publiczny czytany w sali ratusza w Warszawie, dnia 13 marca 1871 roku. 8-vo, str. 18. Warszawa, 1871. 20 kop.

SWIEŻAWSKI, E. Zarysy badań krytycznych nad dziejami, historyografią i mitologią do wieku XV; poszyt 1 i 2. 8-vo, str. 142. Warszawa, 1871. Serya z 10 zeszytów. 3 Rs.

SZEKSPIR, W. Tymon z Aten. Tragedya w 5-ciu aktach, przekład Edwarda Lubowskiego. 8-vo, str. III i 79. Warszawa, 1871. 50 kop.

TACZANOWSKI, Dr. Bron. Laryngoskopia i Rynoskopia. Z 23-ma drzeworytami w tekscie. 8-vo, str. II i 119. Warszawa, 1871. 1 Rs. 20 kop.

Tajemnice Krakowa. Powieść. 16-ka, str. 146. Kraków, 1871. 52 1/2 kop.

TARNOWSKI, Dr. Stan. Romans polski w początku XIX-go wieku. Prelekcya z dnia 10 i 17 grudnia 1870 roku, na korzyść Towarzystwa bratniéj pomocy uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego. 8-vo, str. 65. Kraków, 1871. 22 1/2 kop.

Theorema et praxis, to jest: Rozważne y sprawne ratowanie chorych, pomaganie umierającym, posilenie konających. Dla informacyi Kapłanom poczynającym koło chorych pracować, przedtym włoskim przez Xiędza Józefa Antoniego Marchesalle Franciszkana, a teraz: In Theoretica Łacińskim, in practica metodo oyczystym językiem przez jednego Franciszkana Konwentu Krakowskiego Opisane r. P. 1754. W Krakowie w drukarni X-cia IMCI B. K. 16-ka, str. 135 i 6 nieliczbow. Kraków, 1871. 40 kop.

TOMASZEWSKI, Fel. Instrukcya leśna do zarządzania lasami, do zakładów dobroczynnych należącemi, oraz prowadzenia w nich gospodarstwa leśnego, wypracowana na zasadzie przepisów o lasach rządowych obowiązujących, z zastosowaniem do lasów Instytutowych. 8-vo, str. XVIII i 36. Warszawa, 1870. 50 kop.

TRETIAK, Józef Trzywdar. Królewska para. Powieść historyczna. 8-vo, str. 110. Lwów, 1871. 90 kop.

TURGIENIEW, Jan. Dym, powieść. 16-ka, str. 249. Warszawa, 1871 75 kop.

TURSKI, I. K. Nieszczęsny legat, powieść społeczesna. 8-vo, str. 204. Poznań, 1871. 1 Rs.

TYSZKIEWICZ, Graf Eustach. Sammlung von Medaillen, welche sich auf die Geschichte der Länder und Städte der ehemaligen Republik Polen beziehen und von ihrer ersten Theilung bis zum Tode des Kaisers Nicolaus I geprägt sind 1772—1855. Aus dem Polnischen übersetzt von O. K. 4-to, pag. X, 78, u. XXXVI Tafeln. Riga, 1871. 6 Rs.

— Nasze strony, obrazek litewski. 8-vo, str. 32. Kraków, 1871. 10 kop.

TYSZYŃSKI, Alex. Dwie Świtezianki, czyli rzut oka na ostatni okres poezyi polskiéj. 8-vo, str. 30. Warszawa, 1871. 20 kop.

ULANECKI, Ks. Stanisław. Najświętsza Panna w Lourdes od r. 1858 łaskami słynąca. Z francuzkiego treściwie zebrał. 16-ka, str. 256. Warszawa, 1871. 50 kop.

VENTURA de RAULICA. Niewiasty ewangeliczne. Homilie, przełożył na język polski z 3-go wydania X. Zygmunt Golian. Zeszyt 8 i 9. 8-vo, str. 162. Kraków, 1871. 67 1/2 kop. (Zeszyt 1—7, 2 Rs. 40 k.).

WALEWSKI, Antoni. Historya wyzwolonéj rzeczypospolitéj wpadającéj pod jarzmo domowe za panowania Jana Kazimierza (1655 — 1660). Tom I-szy. 8-vo, str. 39, 332, LXXXIV i XIV. Kraków, 1871. 2 Rs. 25 kop.

WALEWSKI, Juliusz. O stosunku prawnym wyłączności majątkowéj między małżonkami, według kodeksu cywilnego polskiego (art. 191—206). 8-vo, str. 96. Warszawa, 1871. 60 kop.

Wieczory czwartkowe. Opowiadania o cudach przyrody i znakomitszych odkryciach naukowych, młodocianemu wiekowi poświęcone przez starego przyjaciela dzieci. Z 30-tu drzeworytami. 8-vo, str. 448 i rejestr. Warszawa, 1871. Kartonowane 1 Rs. 35 kop., oprawne w płócienko, 1 Rs. 50 kop.

WIERCISZEWSKI, X. Wład. Wykład nauki wiary kościoła katolickiego. 8-vo, str. 171 i III. Kraków, 1871. 80 kop.

WILKOŃSKA, Paulina. Za posagiem. Powieść w dwóch częściach. 16-ka, str. 278. Lwów, 1871. 60 kop.

WISEMANN, kardynał. Fabiola. Powieść z czasów prześladowania chrześcian w roku 302. Napisana w języku angielskim. 8-vo, str. 395. Kraków, 1871. 60 kop.

WIŚLICKI, Adam. Wykład geografii powszechnéj, ułożony do użytku szkolnego na wzór dzieł Prof. Wilhelma Pütza i Teodora Schachta. Wydanie drugie, przejrzane i poprawione przez Michała Markiewicza. 8-vo, str. 304. Lwów, 1870. 75 kop.

WISŁOCKI, Dr. Wład. Uwagi nad pierwszym zeszytem Bibliografii Pana Karola Estreichera. (Odbito 100 egzemplarzy). 8-vo, str. 47. Lwów, 1871. 22½ kop.

WITKOWSKI, Dr. Stanisław. Badanie i semiotyka moczu (Uroscopia). Przekład dzieła C. Neubauera i I. Vogla: „Anleitung zur qualitativen u. quantitativen Analyse des Harns. Wiesbaden, 1867. Wydanie 5-te z 31 drzeworytami w tekście i 4 tablicami. 8-vo, str. VI i 375. Warszawa, 1871. 3 Rs. 60 kop.

WUJEK, X. Jak. Czyściec to jest: Zdrowa a gruntowna nauka o modlitwach, o mszach, y iałmużnach za zmarłe wierne; y o mękach Czyscowych po śmierci, teraz nowo zebrana y wydana. W Poznaniu drukował Jan Wolrab roku 1579. 16-ka, str. 285 i III. Kraków, 1871. 65 kop.

ZIENTARSKI, Rom. Śpiewnik kościelny (Cantionale ecclesiasticum), obejmujący pieśni, hymny, antyfony, nieszpory, etc. Z melodyami oraz objaśnienia tyczące się świąt i obrzędów kościoła rzymsko-katolickiego, ułożony podług muzyki kościelnéj, chóralnéj i figuralnéj. 8-vo, str. 199 i 2 rejes. Warszawa, 1871. 2 Rs.

ZIMMERMANN, Dr. W. F. A. Dziwy świata pierwotnego czyli kolebka wszechświata, przełożył z 23-go wydania oryginalnego, T. Dzieckoński. Z 268 drzeworytami. Wydanie drugie. Poszyt 1—8. 8-vo, str. 1—256. Warszawa, 1871. Przedpłata na 16 zeszytów, 2 Rs. 40 kop.

Źródła do dziejów Kurlandyi i Semigalji z czasów Karola królewicza polskiego, księcia saskiego, z autentycznych korrespondencyi ogłoszoną przez E. T. 8-vo, str. 134. Kraków, 1871. 1 Rs. 50 kop.

ŻEBRAWSKI, Teofil. O pieczęciach dawnéj Polski i Litwy. Zeszyt 2-gi. 4-to, str. 43—69 i Rozmaitości str. 31—56 i tabl. 17—24 i rozmaitości tabl. III—IX. Kraków, 1871. 2 Rs. 50 kop.

Nakładem Księgarni **GEBETHNERA i WOLFFA** wychodzą:

KOMEDYE Aleksandra Hr. FREDRY.

Wydanie nowe, poprawione, pomnożone życiorysem autora przez Lucyana Siemieńskiego i ozdobione portretem. W pięciu tomach, w 8-ce.

Cena wszystkich *pięciu tomów* . . . . . tylko 1 Rs. 50 kop.

„ „ „ „ z przesyłką na prowincyę 2 Rs.

Tom 1 i 2 opuścił prasę, zaś następne t. j.: 3, 4 i 5 wyjdą w ciągu 2-ch miesięcy.

Taż Księgarnia otrzymała na Skład Główny:

HISTORYA ROŚLIN PRZEZ LUDWIKA FIGUIER.

Dzieło ozdobione 415 wizerunkami z natury wykonanemi, z francuzkiego przełożył, objaśnił i licznemi dodatkami powiększył autor *Flory Polskiéj (Jakób Waga)*. 3 tomy w wielkiéj 8-ce. 6 Rs., z przesyłką, 7 Rs.

Oczekiwana od dawna ta *Historya Roślin*, zalecająca się jasnym wykładem przedmiotu, w któréj każdy szczegół przedstawiony jest wizerunkiem branym z natury, napisaną została z uwagą na potrzebę lekarza, farmaceuty, różnego rodzaju technika, ogrodnika, leśniczego, wiejskiego gospodarza i t. p., a nadewszystko z uwagą na potrzebę książki do nauczania botaniki tam, gdzie ten przedmiot wchodzi w plan instrukcyi dla uczącéj się młodzieży.

PRZYJMUJE RÓWNIEŻ PRZEDPŁATĘ NA:

POEZYE LUDWIKA KONDRATOWICZA.

(*Władysława Syrokomli*).

Wydanie zupełne, na rzecz *Rodziny Autora*.

Dziesięć Tomów w 8-ce, na papierze welinowym, z portretem autora na stali.

Cena prenumeracyjna za 10 tomów w Warszawie 7 Rs.; które także częściowo mogą być składane. — Cena prenumeracyjna wraz z przesyłką pocztową, 8 Rs. 50 kop., która to kwota w 2-ch ratach, t. j.: przy zamówieniu 4 R. 50 k., i po odbiorze 4-go tomu 4 Rs., może być nadesłana.

Tom I-szy wyjdzie dnia 1-go Października r. b., następne zaś w odstępach trzy-tygodniowych, tak że całe dzieło do d. 1-go Maja 1872 r. ukończoném zostanie.

Pisma Kazimierza Brodzińskiego.

Wydanie nowe, poprawne i pomnożone z niewydanych rękopismów pod redakcyą i kierunkiem J. I. Kraszewskiego. Dzieła wszystkie, poezye oryginalne, tłumaczenia, rozprawy, opowiadania, kursa, mowy, urywki okolicznościowe i t. p., obejmą 6 wielkich tomów ścisłego druku w 8-ce większéj.

Celem ułatwienia nabycia tego zbioru jak największéj liczbie czytelników, ustanowiono cenę prenumeracyjną jak najprzystępniejszą, a mianowicie:

Przedpłata za 6 tomów wynosi w Warszawie 6 Rs., i może być częściowo składana, to jest przy odbiorze tomu I-go 2 Rs., a za następne 4 tomy po 1 Rs.

W Cesarstwie i Królestwie z przesyłką pocztową, 7 Rs. 50 kop., która to kwota w dwóch ratach to jest przy zamówieniu całego dzieła 4 Rs., a przy odbiorze 3-go tomu 2 Rs. 50 kop. może być nadesłana.

Druk pierwszego tomu już został rozpoczęty i bez przerwy postępować będzie, tak by wszystkie dzieła w przeciągu kilkunastu miesięcy wyjść mogły.

Дозволено Цензурою. 18 Сентября 1871 года.

W Drukarni Józefa Bergera, przy ulicy [illegible]owiczowskiéj Nr. 619.